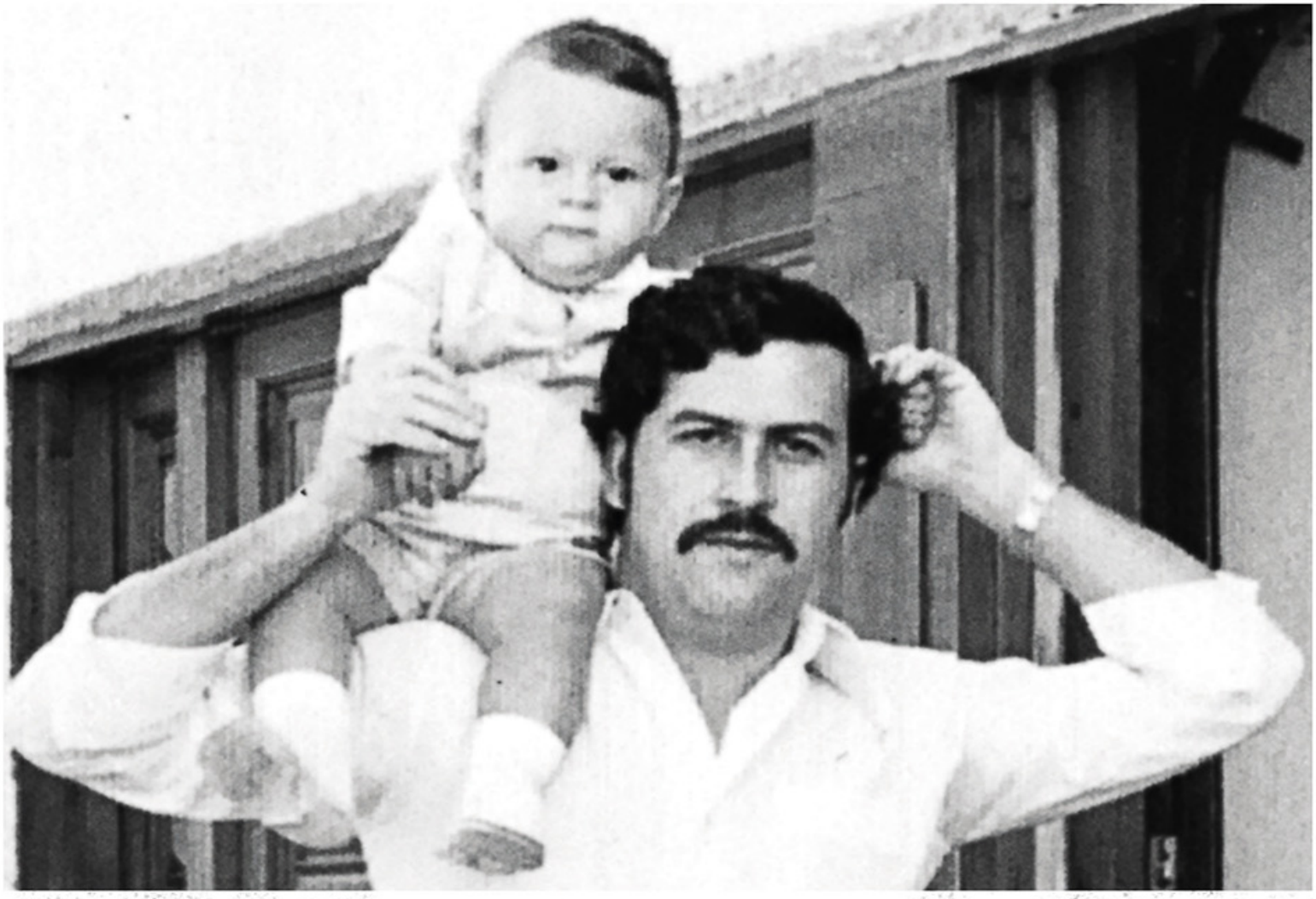

JUAN PABLO ESCOBAR

# MÓJ OJCIEC PABLO ESCOBAR

Plik jest zabezpieczony Twoim wewnętrznym identyfikatorem transakcji: e7c032a41900215d4e52f6e5ec63568c

JUAN PABLO ESCOBAR

# MÓJ OJCIEC PABLO ESCOBAR

PRZEKŁAD
MAGDALENA OLEJNIK

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Juan Pablo Escobar
Mój ojciec Pablo Escobar

Tytuł oryginalny
*Pablo Escobar. Mi Padre*

ISBN 978-83-8116-038-4

Copyright © 2014 Juan Sebastián Marroquín Santos
Copyright © Editorial Planeta Colombiana S.A.
Latin American Rights Agency – Grupo Planeta
*All rights reserved*

Copyright © 2017 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j.

Redaktor
Adriana Staniszewska

Projekt graficzny okładki
Tobiasz Zysk

Zdjęcia pochodzą z prywatnych zbiorów rodziny Marroquín Santos.

Serdecznie dziękuję Fernandowi Vargasowi Ruízowi za nieocenioną pomoc w wyjaśnianiu zawiłości kolumbijskich realiów i specyfiki lokalnego języka, która pozwoliła mi uniknąć wielu błędów.
Magdalena Olejnik

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

Rozdział 1
ZDRADA

Rozdział 2
GDZIE JEST KASA?

Rozdział 3
POKÓJ Z KARTELAMI

Rozdział 4
BEZBRZEŻNA AMBICJA

Rozdział 5
KORZENIE OJCA

Rozdział 6
NÁPOLES: PIĘKNE SNY I KOSZMARY

Rozdział 7
KOKA RENAULT

Rozdział 8
KAPRYSY

Rozdział 9
DLA PRZYJACIÓŁ WSZYSTKO

Rozdział 10
TATA MAFIOSO

Rozdział 11
NAJWIĘKSZY BŁĄD: POLITYKA

Rozdział 12
WOLIMY GRÓB W KOLUMBII

Rozdział 13
BARBARZYŃSTWO

Rozdział 14
OPOWIEŚCI Z KATEDRY

Rozdział 15
ZACZNIJCIE SIĘ MARTWIĆ, KIEDY ZAWIĄŻĘ TENISÓWKI

Epilog
DWADZIEŚCIA LAT NA WYGNANIU

Podziękowania

Zestawienie pseudonimów wymienionych w książce

Ilustracje I

Ilustracje II

*Dla mojego syna, który daje mi siłę i energię, by być dobrym człowiekiem.*

*Dla bezwarunkowej ukochanej i towarzyszki życia.*

*Dla mojej dzielnej mamy.*

*Dla bardzo bliskiej mi siostry.*

*Dla kochanej rodziny.*

*I dla nielicznych przyjaciół, którzy zdołali przezwyciężyć strach.*

# Wstęp

Przez ponad dwadzieścia lat zachowywałem milczenie. W tym czasie próbowałem ułożyć sobie na nowo życie na wygnaniu. Na każdą rzecz przychodzi odpowiedni czas i książka ta, podobnie jak jej autor, musiała dojrzeć, przejść przez proces samokrytyki i pokory. Tylko w ten sposób mogłem zdobyć się na to, by usiąść i spisać historie, które nawet dziś dla kolumbijskiego społeczeństwa pozostają nieznane.

Także Kolumbia dojrzała wreszcie do tego, by mnie wysłuchać. Dlatego uznałem, że nadeszła pora, by podzielić się z czytelnikami doświadczeniem życia u boku takiego człowieka, jakim był mój ojciec. Kochałem go bezwarunkowo, a zrządzeniem losu stałem się przy nim świadkiem wydarzeń, które naznaczyły część kolumbijskiej historii.

Od chwili moich narodzin aż po dzień jego śmierci ojciec był mi przyjacielem, przewodnikiem, nauczycielem i doradcą. Kiedy jeszcze żył, prosiłem go kilka razy, by spisał swoją prawdziwą historię, ale nie chciał o tym słyszeć: „Grégory[1], zanim zabierzesz się do spisywania historii, najpierw powinieneś ją zakończyć”.

Poprzysiągłem sobie pomścić śmierć ojca, ale bardzo szybko porzuciłem tę myśl. Wszyscy mamy prawo się zmieniać, a ja od ponad dwóch dekad żyję w środowisku szanującym zasady tolerancji, pokojowego współistnienia, dialogu, wybaczenia, sprawiedliwości i pojednania.

Moja książka nie ma służyć wylewaniu żali. Jej celem jest głęboka refleksja nad tym, jaka jest nasza ojczyzna, jak wygląda jej polityka. To próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego w jej łonie rodzą się takie postacie, jak mój ojciec.

Szanuję życie i właśnie z takiej pozycji napisałem tę książkę; z perspektywy odmiennej i szczególnej. Nie mam przy tym żadnych ukrytych celów, w odróżnieniu od autorów większości tekstów na temat mojego ojca.

Książka ta nie pretenduje także do miana prawdy absolutnej. To próba poznania i zrozumienia losu mego ojca. Moje prywatne i bardzo osobiste dochodzenie. Ponowne odkrywanie tego szczególnego człowieka ze wszystkimi jego zaletami, ale także wadami. Większość zawartych tu historii opowiedział mi podczas długich, zimnych nocy w ostatnim roku swojego życia, przy ognisku; inne spisał dla mnie, gdy czuł, że śmierć z rąk jego wrogów była nieuchronna.

Badanie historii ojca zaprowadziło mnie do osób latami pozostających w cieniu, które dopiero teraz były gotowe pomóc mi w pracy nad książką, w nadziei, że ułatwi to mnie i wydawnictwu trafniejsze osądzenie wielu wątków. Ale przede wszystkim po to, by nikt nigdy więcej nie odziedziczył takiej nienawiści.

Nie zawsze byłem przy ojcu, nie znam wszystkich wydarzeń z jego życia. Kto twierdzi, że wie o nim wszystko, kłamie. Wiele faktów przywołanych w książce poznałem długo po tym, gdy się wydarzyły. Ojciec nigdy nie konsultował ze mną ani z nikim innym swoich decyzji; należał do ludzi, którzy działają na własny rachunek.

Wiele „faktów” dotyczących jego osoby znanych jest tylko połowicznie albo wcale. Dlatego też opowiedzenie jego historii wiązało się z dużym ryzykiem. Należało ją przedstawić z poczuciem wielkiej odpowiedzialności, gdyż niestety wiele z tego, co powiedziano, układa się w całość nazbyt spójną. Jestem przekonany, że weryfikacja, której wydawnictwo Planeta z redaktorem Edgarem Téllezem na czele poddało ten tekst, przyczyniła się do pomyślnego zakończenia tych starań.

Jest to zatem osobista, wnikliwa analiza osobowości człowieka, który nie tylko był moim ojcem, lecz także szefem organizacji mafijnej, jakiej wcześniej nie znano.

Publicznie proszę o wybaczenie wszystkie bez wyjątku ofiary mojego ojca. Szczerze ubolewam nad tym, że musiały znosić ataki ślepej i niespotykanej dotąd przemocy, która doprowadziła do śmierci wielu niewinnych. Dusze wszystkich tych zmarłych zapewniam, że z głębi serca pragnę uczcić pamięć każdej z nich. Książka ta pisana była ze łzami w oczach, ale bez urazy. Bez zamiaru donoszenia na kogokolwiek, bez szukania odwetu lub usprawiedliwiania przemocy ani tym bardziej chęci gloryfikowania zbrodni.

Czytelnik będzie zapewne zaskoczony początkowymi rozdziałami, w których po raz pierwszy ujawniam głęboki konflikt, jaki rozdzielił nas z rodziną ze strony ojca. Mamy za sobą dwadzieścia jeden lat nieporozumień. Wyciągnąłem z nich wniosek, że wielu spośród krewnych aktywnie przyczyniło się do doprowadzenia do śmierci mego ojca.

Nie pomylę się, jeśli powiem, że rodzina ojca prześladowała nas bardziej niż jego najgorsi wrogowie. Moje postępowanie wobec nich płynęło zawsze z miłości i bezwzględnego poszanowania rodzinnych wartości, które nie powinny zatracić się nawet w czasie najgorszej wojny, a już tym bardziej z powodu pieniędzy. Bóg i mój ojciec wiedzą, że bardziej niż ktokolwiek inny pragnąłem wierzyć, że tamta bolesna tragedia rodzinna to tylko koszmarny sen, a nie rzeczywistość, której powinienem stawić czoło.

Jestem wdzięczny ojcu za jego bolesną szczerość, którą zrządzeniem losu udało mi się zrozumieć, choć w żadnym razie nie chcę go usprawiedliwiać.

Po tym, jak prosiłem o wybaczenie w filmie dokumentalnym *Grzechy mojego ojca*, dzieci zamordowanych liderów Luisa Carlosa Galána i Rodriga Lary Bonilli powiedziały mi kilkakrotnie: „Ty też jesteś ofiarą”.

Moja odpowiedź od tamtej pory pozostaje niezmienna: tak, być może to prawda, zapewne jestem ostatnią z długiej listy ofiar wśród Kolumbijczyków.

Pablo Escobar zawsze brał odpowiedzialność za swój los, za swoje czyny i wybory życiowe — jako ojciec, jako człowiek i jako przestępca, który zadał Kolumbii i światu trudne do zagojenia rany. Marzę o tym, że któregoś dnia się one zabliźnią i zmienią w coś pozytywnego, tak by nikt nie odważył się powtórzyć tej historii, by wyciągnięto z niej wnioski.

Nie należę do dzieci ślepo zapatrzonych w ojca. Póki jeszcze żył, nieraz wyrzucałem mu akty przemocy i metody działania, błagałem go na wszelkie sposoby, by porzucił nienawiść, złożył broń, znalazł pokojowe metody rozwiązania swoich problemów.

W tysiącach opinii krążących na temat mojego ojca w jednym punkcie wszyscy są jednak zgodni: swoją rodzinę darzył bezwarunkową miłością.

Mam nadzieję, że będę wspominany przez wzgląd na czyny własne, a nie ojca. Zachęcam czytelnika, by pamiętał i o mnie, czytając te strony, by nie mylił mnie z Pablem Escobarem, bo to także moja historia.

Juan Pablo Escobar

---

[1] Pablo Escobar często zwracał się do syna imieniem Grégory (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki).

# Rozdział 1

# ZDRADA

Dziewiętnastego grudnia 1993 roku, dwa tygodnie po śmierci ojca, przebywaliśmy nadal pilnie strzeżeni na dwudziestym dziewiątym piętrze aparthotelu Residencias Tequendama w Bogocie. Nieoczekiwanie dostaliśmy telefon z Medellín i dowiedzieliśmy się o ataku za pomocą listu-bomby na przebywającego w więzieniu w Itagüí stryja, Roberta Escobara.

Przejęci próbowaliśmy dowiedzieć się, co zaszło, ale nikt nie chciał z nami o tym rozmawiać. W wiadomościach telewizyjnych podano, że Roberto otworzył nadany z prokuratury list, który wybuchł, wywołując u niego poważne obrażenia oczu i brzucha.

Następnego dnia zadzwoniły ciotki i powiedziały, że klinika Las Vegas, dokąd pilnie go przewieziono, nie dysponuje koniecznym do operacji sprzętem okulistycznym. Jakby tego było mało, krążyły plotki, że uzbrojony oddział zamierza dobić stryja w szpitalnej sali.

W tej sytuacji rodzina zdecydowała się przenieść Roberta do szpitala wojskowego Hospital Militar Central w Bogocie, który był nie tylko lepiej wyposażony, lecz także bardziej bezpieczny. Tak też się stało. Mama zapłaciła trzy tysiące dolarów za przewiezienie chorego medyczną awionetką. Kiedy tylko upewniłem się, że Roberto został przyjęty do szpitala, postanowiliśmy odwiedzić go z bratem mamy, wujkiem Fernandem.

Po wyjściu z hotelu zauważyliśmy ze zdziwieniem, że tego dnia agenci CTI[2], którzy strzegli nas od końca listopada, zostali bez uprzedzenia zastąpieni ludźmi z Sijin[3], wydziału policji śledczej w Bogocie. Nic o tym nie wspomniałem wujkowi, ale czułem, że może się stać coś złego. W innych częściach budynku za nasze bezpieczeństwo odpowiadali funkcjonariusze Dijin i DAS[4]. Na zewnątrz straż pełniło wojsko.

Na oddziale chirurgii szpitala wojskowego spędziliśmy już kilka godzin, gdy wyszedł do nas lekarz i powiedział, że potrzebują zgody jakiegoś członka rodziny Roberta na usunięcie obu gałek ocznych, które zostały poważnie uszkodzone w czasie wybuchu.

Odmówiliśmy złożenia podpisu. Błagaliśmy doktora, żeby spróbował zrobić co w jego mocy, nawet jeśli uważa, że szanse na uratowanie wzroku pacjenta są znikome. Zapewniliśmy go, że cena nie gra roli. Zaproponowaliśmy też sprowadzenie lepszego okulisty skąd będzie trzeba.

Parę godzin później, jeszcze pod działaniem znieczulenia, Roberto opuścił blok operacyjny. Przeniesiono go do pokoju, którego pilnował strażnik więzienny z INPEC[5]. Stryj miał zabandażowaną twarz, brzuch i lewą rękę.

Czekaliśmy cierpliwie, aż się ocknie. Jeszcze pod wpływem środków nasennych powiedział nam, że dostrzega światło, nie był jednak w stanie rozpoznawać kształtów.

Widząc, że trochę oprzytomniał, powiedziałem mu, że bardzo się martwię, bo skoro po śmierci ojca próbowano go zaatakować, zapewne wkrótce coś podobnego przydarzy się mamie, siostrze i mnie. Zgnębiony zapytałem go, czy ojciec miał gdzieś ukryty helikopter na wypadek konieczności ucieczki.

Podczas rozmowy przerywanej wizytami doglądających go pielęgniarek i lekarzy zapytałem kilkakrotnie, jak możemy się uratować wobec

zagrożenia ze strony wrogów ojca.

Roberto milczał przez chwilę, wreszcie kazał mi przygotować kartkę i długopis, żebym mógł coś zapisać.

— Juan Pablo, pisz: „AAA”. Pójdź zaraz do Ambasady Stanów Zjednoczonych i poproś o pomoc. Powiedz, że to ja cię przysyłam.

Schowałem kartkę do kieszeni spodni i zaproponowałem Fernandowi, żebyśmy poszli do ambasady, ale w tym momencie zjawił się doktor, który operował Roberta. Powiedział, że jest dobrej myśli i zrobił, co mógł, by uratować wzrok stryja.

Podziękowaliśmy lekarzowi za starania i pożegnaliśmy się, mając zamiar wrócić do hotelu. Wtedy chirurg oświadczył stanowczo, że nie mogę opuścić szpitala.

— Jak to nie mogę, doktorze? Dlaczego?

— Nie przyszła pana eskorta — odpowiedział.

Słowa lekarza wzmogły moją paranoję. Pracował na oddziale chirurgicznym, nie było więc powodu, by znał tak dobrze nasze zasady bezpieczeństwa.

— Panie doktorze, jestem wolnym człowiekiem, a jeżeli mam tu pozostać w charakterze zatrzymanego, lepiej proszę mi o tym powiedzieć, bo tak czy inaczej stąd wyjdę. Podejrzewam, że ktoś czyha na moje życie i planuje mnie zabić jeszcze dzisiaj. Podmieniono już funkcjonariuszy CTI, którzy nas pilnowali — odparłem przestraszony.

— Jest pan chroniony, a nie zatrzymany. Szpital wojskowy odpowiada teraz za pańskie bezpieczeństwo i możemy pana przekazać wyłącznie państwowym służbom bezpieczeństwa.

— Doktorze, na moje życie nastają akurat ci, którzy powinni mnie strzec — upierałem się. — Proszę więc zdecydować, czy pomoże mi pan,

pozwalając na opuszczenie szpitala, czy będę musiał stąd uciec. Nie zamierzam niczego ułatwiać moim zabójcom.

Lekarz najwyraźniej dostrzegł przerażenie na mojej twarzy. Ściszonym głosem zapewnił mnie, że nie będzie robił przeszkód i zaraz podpisze zgodę na opuszczenie szpitala przeze mnie oraz Fernanda. Z zachowaniem wszelkiej ostrożności wróciliśmy do Residencias Tequendama. Postanowiliśmy, że następnego dnia udamy się do ambasady.

Wstaliśmy wcześnie. Wraz z wujkiem Fernandem poszedłem na dwudzieste dziewiąte piętro, gdzie znajdowali się ludzie odpowiedzialni za naszą ochronę. Przywitałem się z „A-1” i zawiadomiłem go, że potrzebujemy eskorty, ponieważ wybieramy się do Ambasady Stanów Zjednoczonych.

— A po co chce pan tam jechać? — odparł opryskliwie.

— Nie muszę pana informować, po co tam jadę. Proszę mi tylko powiedzieć, czy da nam pan obstawę, czy może mam zadzwonić do prokuratora generalnego i powiedzieć mu, że nie chce nas pan ochraniać.

— W tej chwili nie mam wystarczająco dużo ludzi, żeby tam pana zawieźć — odpowiedział z irytacją funkcjonariusz prokuratury.

— Jak to nie ma pan ludzi? Przecież działa tu pełen system ochrony, przy którym pracuje czterdziestu policjantów z całego kraju. Dysponuje pan specjalnymi samochodami na ten cel.

— Jak tak bardzo chce pan jechać, to proszę, ale ja nie będę pana zabezpieczał. I proszę zrobić mi tę grzeczność i podpisać formularz, w którym zrzeka się pan oferowanej przez nas ochrony.

— W porządku. Niech pan przyniesie ten papier, a ja go podpiszę — zgodziłem się.

„A-1” poszedł do drugiego pokoju poszukać czegoś do pisania, a my skorzystaliśmy z tego momentu, by opuścić hotel. Zbiegliśmy na dół

i złapaliśmy taksówkę, która po dwudziestu minutach zajechała przed amerykańską ambasadę. O tej porze, to jest o ósmej rano, stała tam długa kolejka oczekujących osób, ubiegających się o wizę do Stanów.

Byłem bardzo zdenerwowany. Przepchnąłem się przez tłum, zapewniając, że przychodzę w innej sprawie. Kiedy znalazłem się przed wejściem, wyciągnąłem kartkę z potrójnym A, które podyktował mi Roberto, i przytknąłem ją do przyciemnianej pancernej szyby.

W jednej chwili pojawiło się czterech potężnych mężczyzn, którzy zaczęli robić nam zdjęcia. Nic nie powiedziałem. Po chwili jeden z nich zbliżył się do mnie i powiedział, żebym z nim poszedł.

Nie zapytano nas o nazwisko ani o dokumenty, nie zrewidowano mnie ani nie przeszedłem przez bramkę wykrywaczy metali. Było jasne, że potrójne A to coś w rodzaju koła ratunkowego, które ofiarował mi stryj Roberto. Byłem przestraszony. Pewnie dlatego nie zastanawiałem się, co może łączyć brata mojego ojca z Amerykanami.

Zamierzałem usiąść w poczekalni, kiedy zjawił się starszy poważny mężczyzna o niemal białych włosach.

— Nazywam się Joe Toft, jestem szefem DEA[6] na Amerykę Łacińską. Proszę ze mną.

Zaprowadził mnie do przyległego biura, gdzie bez większych wstępów zapytał, w jakim celu przyszedłem do ambasady.

— Proszę o pomoc, mojej rodzinie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo… Jak pan wie, przychodzę z polecenia mojego stryja Roberta, który powiedział mi, że mogę się na niego powołać.

— Rząd mojego kraju nie może panu zapewnić żadnej pomocy — odparł na to Toft oschłym i obojętnym tonem. — Co najwyżej mogę powierzyć pana sprawę prawnikowi ze Stanów Zjednoczonych, żeby zbadał

możliwość przyznania wam prawa pobytu w moim kraju przez wzgląd na ewentualną współpracę, jaką moglibyśmy podjąć.

— Współpracę? Jakiego rodzaju? Jeszcze nie jestem pełnoletni.

— Mógłby nam się pan bardzo przydać… jako źródło informacji.

— Informacji? Jakiego typu?

— Z archiwum pańskiego ojca.

— Wraz z nim zniszczyliście jego archiwum.

— Nie rozumiem — mruknął urzędnik.

— W dniu, w którym przyczyniliście się do śmierci mojego ojca… Całe archiwum nosił w głowie, a teraz jest już martwy. Wszystko przechowywał we własnej pamięci. W notesach zapisywał jedynie numery rejestracyjne samochodów i adresy swoich wrogów z kartelu z Cali, ale tymi informacjami już od jakiegoś czasu dysponuje kolumbijska policja.

— Sędzia zdecyduje, czy zostanie pan przyjęty, czy nie.

— Wobec tego nie mamy o czym rozmawiać, lepiej już pójdę, dziękuję bardzo — powiedziałem do szefa DEA, który pożegnał się powściągliwie, podając mi na koniec swoją wizytówkę.

— Jeżeli kiedyś coś się panu jednak przypomni, proszę do mnie zadzwonić.

Wyszedłem z ambasady pełen wątpliwości. Nieoczekiwane, wręcz zaskakujące, spotkanie z najważniejszą osobistością DEA w Kolumbii i Ameryce Łacińskiej nie poprawiło w niczym naszej trudnej sytuacji, ale ujawniło coś, o czym nie mieliśmy wcześniej pojęcia: stryj Roberto miał kontakty z Amerykanami na wysokim szczeblu. Tymi samymi, którzy trzy tygodnie wcześniej oferowali pięć milionów dolarów za schwytanie mojego ojca. Tymi samymi, którzy zmobilizowali i wysłali do Kolumbii pokaźne siły militarne, by go ująć.

Myśl, że brat ojca mógłby być w jakiś sposób powiązany z jego głównym wrogiem, wydała mi się absurdalna. Jednak zasiała w mojej głowie kolejne wątpliwości. Czy było na przykład możliwe, że Roberto współpracował ze Stanami Zjednoczonymi i grupami składającymi się na Pepes (Prześladowanych przez Pabla Escobara) w schwytaniu ojca?

Hipoteza nie była pozbawiona podstaw. W wyniku tych rozważań przypomniała mi się pewna sytuacja, na którą w swoim czasie nie zwróciliśmy należytej uwagi, a do której doszło, kiedy ojciec ukrywał się z nami w domu na wsi, w górzystym rejonie Belén, w okręgu 16 prowincji Medellín. Wówczas, 18 maja 1993 roku wieczorem, porwano mojego kuzyna Nicolása Escobara Urquijo, syna Roberta. Napastnikami byli dwaj mężczyźni i kobieta, którzy wywieźli go do Catíos, przy drodze łączącej gminy Caldas i Amagá w Antioquii.

Usłyszeliśmy te wieści, przebywając w ukryciu, bo zadzwonił do nas któryś z krewnych. Nastawiliśmy się na najgorsze, gdyż w tamtym momencie Pepes z zapamiętaniem tropili ojca i zdołali już zaatakować wielu członków rodzin Escobar i Henao (ze strony mojej matki). Na szczęście skończyło się na strachu, bo pięć godzin później, około dziesiątej w nocy, w pobliżu hotelu Intercontinental w Medellín Nicolás został wypuszczony na wolność bez najmniejszego uszczerbku na zdrowiu.

Nasz kontakt był coraz słabszy, dlatego porwanie Nicolása odeszło w niepamięć, choć ojciec i ja zastanawialiśmy się, jak zdołał ujść z życiem z porwania, które na tym etapie wojny powinno równać się wyrokowi śmierci.

Jak uratował się Nicolás? W zamian za co Pepes uwolnili go kilka godzin po porwaniu? Możliwe, że Roberto zdecydował się zawrzeć pakt z wrogami ojca w zamian za życie syna.

Kolejna przesłanka o istnieniu tego rodzaju zmowy pojawiła się w sierpniu 1994 roku, osiem miesięcy po mojej wizycie w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych.

W tamtym czasie wyprawiliśmy się z mamą, moją siostrą Manuelą i moją dziewczyną Andreą, żeby obejrzeć nędzne pozostałości hacjendy Nápoles. Prokuratura wyraziła na to zgodę, ponieważ matka miała spotkać się z potężnym *capo*[7] tego rejonu i przekazać mu pewne rzeczy należące do ojca.

Któregoś wieczoru, gdy spacerowaliśmy po starym pasie startowym hacjendy, odebraliśmy telefon od cioci Alby Mariny Escobar, która powiedziała, że musi się z nami spotkać jeszcze tego samego dnia, bo ma bardzo pilną sprawę do omówienia.

Zgodziliśmy się natychmiast, gdyż użyła słowa „pilny”, które w języku naszej rodziny oznacza, że komuś grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Tego samego wieczoru przyjechała do hacjendy bez bagażu. Czekaliśmy na nią w mieszkaniu zarządcy, czyli jedynych zabudowaniach, które przetrwały zrównanie posiadłości z ziemią i wojnę.

Chroniący nas funkcjonariusze prokuratury i Sijin zostali na zewnątrz, a my skierowaliśmy się do jadalni, gdzie ciotka zjadła *sancocho*[8]. Potem dała do zrozumienia, że jedynie matka i ja powinniśmy wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

— Przynoszę wam wiadomość od Roberta.

— Co się stało, ciociu? — dopytywałem się nerwowo.

— Roberto bardzo się cieszy, bo jest szansa, że dostaniecie wizę do Stanów Zjednoczonych.

— Doskonale, a jak mu się udało to załatwić? — zapytaliśmy.

Po naszych minach mogła bez wątpienia ocenić wrażenie, jakie wywarły jej słowa.

— Nie dadzą wam wizy tak od razu. Najpierw trzeba coś zrobić — odpowiedziała, a ton jej głosu wzbudził moje podejrzenia. — To bardzo proste… Roberto dogadał się z ludźmi z DEA. Poprosili go o przysługę w zamian za wizy dla was. Musicie tylko napisać książkę. Na dowolny temat, pod warunkiem że wspomnicie tam o Pablu i Vladimirze Montesinosie, szefie wywiadu Fujimoriego w Peru. Poza tym powinieneś napisać, że widziałeś, jak Montesinos rozmawiał z ojcem, tu w Nápoles, i że przyleciał samolotem. Reszta książki jest bez znaczenia.

— To nie są aż tak dobre nowiny, ciociu — przerwałem.

— Jak to nie? A może nie chcecie wiz?

— Gdyby DEA prosiło mnie o poświadczenie prawdy, to co innego, nie przyszłoby mi to z trudnością. Ale oni chcą, abym oczernił kogoś w bardzo ważnej sprawie.

— No właśnie, Marino — wtrąciła matka. — Proszą nas o bardzo ryzykowną przysługę, a jak potem udowodnimy te fałszywe deklaracje?

— A cóż to dla was za różnica? Chyba potrzebujecie tych wiz? Jeżeli nie znacie ani Montesinosa, ani Fujimoriego, co wam szkodzi tak powiedzieć? Przecież chcecie tylko żyć w spokoju. Ci ludzie kazali wam przekazać, że DEA będzie bardzo zobowiązane i od tego momentu nikt nie będzie wam robił trudności w Stanach Zjednoczonych. Zgadzają się też, żebyście zabrali ze sobą pieniądze i korzystali tam z nich bez problemu.

— Marina, nie chcę pakować się w nowe kłopoty, poświadczając nieprawdziwe fakty.

— O, mój biedny brat Roberto! Tak bardzo stara się wam pomóc, a teraz kiedy wreszcie udało mu się coś załatwić, wy odmawiacie.

Rozdrażniona Alba Marina jeszcze tego samego wieczoru opuściła Nápoles.

Kilka dni po tym spotkaniu, wracając już do Bogoty, odebrałem telefon. To była babcia Hermilda z Nowego Jorku, gdzie przebywała z Albą Mariną. Wyjaśniła mi, że wybrała się tam na wycieczkę i zapytała, czy ma mi coś przywieźć. Naiwnie i jeszcze nie zdając sobie sprawy z ogromnego znaczenia faktu, że babcia przebywa w tym kraju, poprosiłem ją o kilka flakoników perfum, których nie udało mi się zdobyć w Kolumbii.

Zdezorientowany zakończyłem rozmowę. Jak to możliwe, że babcia była w Nowym Jorku w siedem miesięcy po śmierci taty, skoro, jak wiedziałem, rodzinom Escobar i Henao odmówiono wizy?

Nazbierało się już wiele faktów, po których widać było związki moich krewnych z nieprzyjaciółmi ojca. Jednak gdy walczymy o życie, pozwalamy biec wydarzeniom, nie wchodząc za bardzo w szczegóły.

Minęło kilka lat, mieszkaliśmy już w Argentynie, dokąd udaliśmy się po opuszczeniu kraju. Któregoś dnia z ogromnym zdumieniem usłyszeliśmy w wiadomościach telewizyjnych, że prezydent Peru, Alberto Fujimori, uciekł do Japonii, przesyłając faksem swoją rezygnację.

Do zaskakującej dymisji Fujimoriego po dziesięciu latach sprawowania przez niego rządów doszło w tydzień po opublikowaniu w czasopiśmie „Cambio” wywiadu, w którym Roberto zapewniał, że mój ojciec dał milion dolarów na pierwszą kampanię prezydencką Fujimoriego w 1989 roku.

Oświadczył też, że pieniądze te zostały wysłane przez Vladimira Montesinosa, który według jego wiedzy wielokrotnie odwiedzał hacjendę Nápoles. Stryj dodał jeszcze w wywiadzie, że Fujimori obiecał ojcu ułatwienia w handlu ze swoim krajem, gdy tylko obejmie władzę. W końcowej części wywiadu wyjaśnił, że nie ma dowodów na te rewelacje, bowiem, jak powiedział, mafia nigdy nie zostawia śladów swojej nielegalnej działalności.

Kilka tygodni później wydawnictwo Quintero Editores wprowadziło do sprzedaży liczącą 186 stron książkę autorstwa Roberta Escobara pod tytułem *Mój brat Pablo.* „Odżyła” w niej na nowo sprawa kontaktów ojca z Montesinosem i Fujimorim.

W dwóch rozdziałach Roberto opowiada o wizycie Montesinosa w hacjendzie Nápoles, o tym jak handlował z moim ojcem, o przekazaniu miliona dolarów na kampanię Fujimoriego, telefonach pełnych wdzięczności ze strony nowego prezydenta Peru do mojego ojca i ofercie współpracy w zamian za otrzymaną pomoc finansową. Moją uwagę zwróciło zdanie pod koniec artykułu: „Montesinos wie, że ja wiem. I Fujimori wie, że ja wiem. Dlatego obu powinęła się noga”.

Roberto opowiadał o tych wydarzeniach, zapewniając, że był przy nich obecny. Jednak ani ojciec, ani ja nigdy nie braliśmy udziału w niczym podobnym.

Nie wiem, czy była to ta sama książka, o której napisanie proszono nas, obiecując w zamian amerykańskie wizy. Jedyna pewna informacja w tej sprawie nadeszła w sposób przypadkowy zimą 2013 roku, wraz z telefonem zagranicznego dziennikarza, któremu zwierzyłem się kiedyś z moich podejrzeń.

— Sebas[9], muszę ci opowiedzieć, co mi się właśnie przytrafiło. Nie mogę z tym czekać do jutra.

— Mów, co się stało!

— Przed chwilą jadłem tu w Waszyngtonie kolację z dwoma byłymi agentami DEA, którzy brali udział w poszukiwaniu twojego ojca. Spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o ich ewentualnym udziale wraz z tobą w planowanym przez telewizję północnoamerykańską serialu o życiu i śmierci Pabla Escobara.

— No dobrze, ale co takiego się stało? — dopytywałem.

— Wiedzą na ten temat bardzo dużo. Przy okazji wspomniałem im o podejrzeniach dotyczących zdrady ze strony stryja Roberta, o której tyle mówiliśmy. To prawda! Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy przyznali, że w bezpośredni sposób przyczynił się do śmierci twojego starego.

— Widzisz! Miałem rację! Jak inaczej wyjaśnić, że jesteśmy jedynymi osobami z rodziny Pabla Escobara na wygnaniu? Roberto cały czas żył sobie spokojnie w Kolumbii, podobnie jak moje ciotki, którym nie spadł włos z głowy. Nikt ich nie prześladował.

---

[2] CTI (Cuerpo Técnico de Investigación) — wydział dochodzeniowo-śledczy prokuratury.

[3] Sijin, Dijin — kolumbijska policja śledcza. W strukturze organizacyjnej Sijin (Seccionales de Investigación Criminal) podlega Dijin (Dirección de Investigación Criminal).

[4] DAS (Departamento Administrativo de Seguridad) — kolumbijska Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozwiązana w 2011 roku.

[5] INPEC (Instituto Nacional Penitenciario y Carcelario) — Krajowy Instytut Penitencjarny, kolumbijski urząd sprawujący nadzór nad więziennictwem.

[6] DEA (Drug Enforcement Administration) — amerykańska agencja rządowa zwalczająca handel narkotykami poza obszarem Stanów Zjednoczonych.

[7] *Capo* (hiszp.) — szef mafii lub osoba pełniąca w niej kierowniczą funkcję.

[8] *Sancocho* (hiszp.) — pożywna zupa z mięsem i warzywami.

[9] Juan Pablo Escobar używa obecnie nazwiska Sebastián Marroquín.

# Rozdział 2

## GDZIE JEST KASA?

Trzeciego grudnia 1993 roku, gdy wróciliśmy do Residencias Tequendama po bolesnej i burzliwej podróży na pogrzeb ojca w Medellín, powzięliśmy silne postanowienie, że teraz, w miarę możliwości, zaczniemy normalnie żyć.

Wraz z mamą i Manuelą mieliśmy właśnie za sobą dwadzieścia cztery najbardziej dramatyczne godziny naszego życia, bo nie dość, że musieliśmy jakoś radzić sobie z bólem po gwałtownej utracie głowy naszej rodziny, to jeszcze na domiar złego pogrzeb okazał się kolejną traumą.

Stało się tak, ponieważ kilka godzin po tym, jak naczelnik Prokuratury Krajowej Ana Montes potwierdziła nam osobiście śmierć ojca, zadzwoniliśmy na cmentarz Campos de Paz w Medellín, a tam odmówili nam zorganizowania uroczystości pogrzebowych. Sytuacja powtórzyłaby się zapewne także w Jardines de Montesacro, gdyby nie to, że krewni naszego ówczesnego prawnika Francisca Fernándeza byli właścicielami cmentarza.

Tam babcia Hermilda miała dwie kwatery, w których postanowiliśmy pochować ojca i Álvara de Jesúsa Agudelo, alias „Limón”, ostatniego ochroniarza, jaki mu towarzyszył.

Oceniliśmy ryzyko, jakie oznaczał udział w pogrzebie, i po raz pierwszy nie posłuchaliśmy starego zalecenia ojca: „Kiedy umrę, nie idźcie na

cmentarz, bo może was tam spotkać coś złego”. Często powtarzał nam, że nie powinniśmy w ogóle odwiedzać jego grobu ani zanosić nań kwiatów.

Mimo to mama powiedziała, że pojedzie do Medellín „wbrew woli Pabla”.

— W takim razie pojedźmy wszyscy. Jeśli nas zabiją, to trudno — oświadczyłem. Wynajęliśmy awionetkę i polecieliśmy do Medellín z dwoma ochroniarzami, których przydzieliła nam prokuratura.

Po wylądowaniu na lotnisku Olaya Herrera musieliśmy stawić czoło oblężeniu dziesiątek dziennikarzy, którzy nie dbając o własne bezpieczeństwo, wtargnęli na pas, jeszcze zanim samolot na dobre się zatrzymał. Manuela z matką zostały przewiezione na cmentarz czerwoną terenówką, a ja z moją dziewczyną — czarną.

Kiedy dotarliśmy do Jardines de Montesacro, pozytywnie zaskoczyło mnie to, że przyszło tak dużo osób. Nieraz byłem świadkiem uwielbienia, jakim prości ludzie darzyli ojca, i teraz poczułem wzruszenie, słysząc te same okrzyki, co wtedy gdy otwierał boiska sportowe lub ośrodki zdrowia w zaniedbanych rejonach: „Pablo, Pablo, Pablo”.

W jednej chwili tłum otoczył czerwoną terenówkę i zaczął w nią gwałtownie uderzać, podczas gdy auto posuwało się w kierunku miejsca pochówku taty. Jeden z dwóch ochroniarzy z prokuratury zapytał mnie zaniepokojony, czy zamierzam wysiąść, ale zrozumiałem, że może wydarzyć się coś złego, i uznałem, że lepiej będzie, jeżeli skierujemy się do budynków zarządu cmentarza i tam poczekamy na mamę i siostrę. W tym momencie przypomniały mi się ostrzeżenia ojca i doszedłem do wniosku, że najrozsądniej będzie się wycofać.

Weszliśmy do biura. Kilka minut później przyszła z płaczem przerażona sekretarka i powiedziała, że przed chwilą ktoś zadzwonił, uprzedzając o planowanym zamachu. Wybiegliśmy na zewnątrz i znów wsiedliśmy do

czarnej terenówki, gdzie przeczekaliśmy ceremonię. Byłem tam, w odległości zaledwie trzydziestu metrów, a jednak nie mogłem wziąć udziału w pogrzebie. Nie było mi dane pożegnać własnego ojca.

Po chwili nadeszła mama z Manuelą i pojechaliśmy na lotnisko, żeby wrócić do Bogoty. Czułem się zdruzgotany, upokorzony. Pamiętam, że kilka przecznic od hotelu zatrzymaliśmy się na światłach. Przez szyby pancerne dostrzegłem na chodniku człowieka, który śmiał się w głos; potem jednak zauważyłem, że brakuje mu rąk i nóg. Ten smutny obrazek sprawił, że pomyślałem: skoro ów kaleka nie stracił zdolności śmiechu, to jak ja mogłem czuć się tak nieszczęśliwy? Twarz nieznajomego wyryła mi się w pamięci na zawsze, jak gdyby sam Pan Bóg postawił go na mojej drodze, pragnąc coś mi przez niego powiedzieć.

Po powrocie do Residencias Tequendama zrozumieliśmy, że spokój, którego tak pragnęliśmy po śmierci ojca, jest ulotny i że przed nami wiele dni pełnych niepewności. Cierpieliśmy z powodu śmierci ojca, ale dotarło do nas, że dopóki będziemy przebywać w otoczeniu agentów bezpieczeństwa i dziesiątków czyhających na nas dziennikarzy, nasze odosobnienie w hotelu w centrum Bogoty będzie burzliwe.

Zarazem niemal natychmiast, niczym ponury koszmar, pojawiła się wizja braku pieniędzy. Ojciec już nie żył i nie mieliśmy do kogo udać się po pomoc.

Przebywaliśmy w bogockim hotelu od 29 listopada, kiedy to wróciliśmy z nieudanej podróży do Niemiec, i żeby zminimalizować grożące nam niebezpieczeństwo, wynajęliśmy całe dwudzieste dziewiąte piętro, choć zajmowaliśmy na nim jedynie pięć pokoi. Nasza sytuacja finansowa skomplikowała się w połowie grudnia, gdy hotel przesłał pierwszy rachunek za pobyt i wyżywienie, który, ku naszemu zaskoczeniu, zawierał

także koszty konsumpcji wszystkich członków ochrony przydzielonej nam przez państwo.

Kwota była astronomiczna, bo pilnujący nas ludzie nie mieli hamulców w wyborze posiłków. Zamawiali langusty, krewetki, całe półmiski owoców morza i wykwintnych mięs, jak również wszelkiego rodzaju alkohole, w szczególności whisky. Sprawiało to wrażenie, jakby celowo wybierali najdroższe marki i dania.

Zapłaciliśmy rachunek, ale niepokój o brak pieniędzy rósł z każdą chwilą, a na horyzoncie nie było widać żadnego rozwiązania. Wreszcie któregoś dnia do hotelu przyszły moje ciotki Alba Marina, Luz María, jej mąż Leonardo i trójka ich dzieci: Leonardo, Mary Luz i Sara. Choć nie widzieliśmy się od kilku miesięcy, a stosunki rodzinne były dość chłodne, wizyta wypadła bardzo dobrze.

Do mojej siostrzyczki wreszcie przyszedł ktoś, z kim mogła pobawić się lalkami, bo przecież od roku siedziała w zamknięciu, nie wyglądając nawet przez okno, nie wiedząc, gdzie się znajduje. W dodatku nikt nie tłumaczył jej, czemu w pobliżu zawsze znajduje się ponad dwudziestu mężczyzn z karabinami, jakby zaraz miała nadejść wojna.

Usiedliśmy przy stole w jadalni. Po omówieniu wydarzeń ostatnich tygodni mama poruszyła kwestię problemów finansowych. Rozmawialiśmy na ten temat przez dłuższą chwilę, a widząc pełną zrozumienia i szlachetności postawę rodziny ojca, przyszło mi do głowy, że Alba Marina jest odpowiednią osobą do odzyskania bliżej nieokreślonej sumy pieniędzy w dolarach, które tata ukrył w dwóch skrytkach w niebieskim domu. Wydało mi się, że nadszedł moment, by je odzyskać i w ten sposób zapewnić sobie nieco finansowego wytchnienia.

Usiadłem na krześle obok niej, zanim jednak cokolwiek powiedziałem, przypomniałem sobie, że mieszkanie, w którym się znajdujemy, nadal jest

monitorowane przez władze, które kontrolowały nie tylko rozmowy telefoniczne, ale z pewnością pozakładały także podsłuchy we wszystkich kątach. Szukałem tych urządzeń do upadłego: rozkręciłem lampy, aparaty telefoniczne, meble i różnego rodzaju przedmioty, sprawdziłem nawet gniazdka, ale udało mi się jedynie wywołać spięcie, po którym na całym piętrze wysiadł prąd.

Zdecydowałem się powiedzieć jej na ucho swoją tajemnicę, wcześniej jednak włączyłem telewizor, nastawiając dźwięk na cały regulator. Wyznałem ciotce, że podczas dręczącego zamknięcia, w jakim żyliśmy w niebieskim domu, pewnej nocy tata postanowił podsumować swoją sytuację finansową. Kiedy wszyscy spali, zaprowadził mnie w dwa miejsca na terenie posiadłości. Jedno z nich znajdowało się w salonie koło kominka, a drugie na patio do suszenia bielizny za grubym murem. Kazał tam zbudować skrytki. Pokazał mi pudła, w których schował pieniądze w gotówce, i powiedział, że poza nim, a od tamtej chwili także mną, jedynym człowiekiem, który zna miejsce ukrycia pieniędzy, jest „Gruby”. Potem dodał, że ani mama, ani moja siostra, a tym bardziej jego rodzeństwo nie powinni o tym wiedzieć.

Wedle słów ojca — opowiadałem dalej uważnie słuchającej cioci — w obu skrytkach znajdowało się wystarczająco dużo pieniędzy, żeby dało się z ich pomocą wygrać wojnę i podnieść z finansowej zapaści. Dlatego, ostrzegał mnie, powinniśmy rozsądnie nimi gospodarować. Powiedział mi też, że jakiś czas wcześniej dał sześć milionów dolarów swojemu bratu Robertowi, trzy na jego wydatki w więzieniu, a trzy jako oszczędności na nasze potrzeby. Zakończył rozmowę, mówiąc, że polecił Robertowi przekazać nam te pieniądze, gdyby jemu samemu coś się stało.

Skończyłem relację i przeszedłem do rzeczy:

— Ciociu, odważyłabyś się pojechać do Medellín mimo tej całej wojny i odzyskać schowane w obu skrytkach pieniądze? Nie mamy nikogo innego, kogo moglibyśmy prosić o tę przysługę, a sami nie możemy tam pojechać.

Ciotka, która zawsze miała w rodzinie opinię odważnej, natychmiast wyraziła zgodę. Wówczas wyjawiłem jej, gdzie dokładnie znajdują się skrytki w niebieskim domu, i poprosiłem, żeby nikomu o tym nie wspominała, żeby pojechała tam sama, nocą, najlepiej nie swoim samochodem, by pokrążyła autem po okolicy, zanim skieruje się do posiadłości, przez cały patrząc w lusterka wsteczne i upewniając się, czy nikt jej nie śledzi. Na koniec napisałem list do „Grubego”, w którym upoważniłem ciotkę do zabrania pieniędzy ze skrytek.

Po udzieleniu tych wskazówek zapytałem, czy nie boi się jechać po kasę.

— Dla mnie to nic wielkiego… Pojadę po kasę wszędzie, gdzie będzie trzeba — odpowiedziała stanowczo.

Ciotka wróciła trzy dni później, lecz kiedy stanęła w drzwiach, miała nietęgą minę. Przywitała się ze wzrokiem wbitym w podłogę. Natychmiast domyśliłem się, że wynikł jakiś problem z pieniędzmi. Poprosiłem wówczas o klucze do jednego z pustych pokoi na dwudziestym dziewiątym piętrze i poszliśmy tam porozmawiać.

— Juan Pablo, w domu, gdzie jest „Gruby”, było tylko parę dolarów. Nic więcej — wypaliła.

Zamilkłem na kilka minut, skonsternowany. W pierwszym odruchu nie podałem w wątpliwość jej wersji i skierowałem swój gniew przeciw „Grubemu”, strażnikowi skrytki, który bez wątpienia szukał i szukał, aż wreszcie trafił na pudła z pieniędzmi.

Zniknięcie gotówki pogrążyło nas w morzu wątpliwości, musieliśmy jednak zachować je dla siebie, bo nie mieliśmy jak zweryfikować wersji ciotki. Aż do tamtej pory nie ośmieliłem się wątpić w jej uczciwość i nie

mogłem niczego kwestionować, bo nieraz widziałem, że była lojalna względem ojca.

A zatem nie udało nam się rozwiązać problemów finansowych z pomocą krewnych ojca.

W połowie marca 1994 roku, po trzech miesiącach spędzonych w Residencias Tequendama, wynajęliśmy duże dwupoziomowe mieszkanie w dzielnicy Santa Ana, żeby zmniejszyć wydatki, póki nie rozwiążemy jakoś naszej sytuacji, bo wciąż żyliśmy w zawieszeniu.

W tamtych dniach nie tylko coraz bardziej doskwierał nam brak pieniędzy, lecz także nasze życie było w niebezpieczeństwie, dlatego utrzymywano wokół nas pierścień bezpieczeństwa zapewniany przez funkcjonariuszy Dijin, Sijin, DAS i prokuratury.

Wobec naglącej sytuacji, bo zawartość dwóch skrytek w Medellín uznaliśmy za straconą, zdecydowaliśmy się zapytać rodzinę o owe trzy miliony dolarów, które tata przekazał dla nas Robertowi.

Domyślaliśmy się, że zdążyli już wydać sporą część tych pieniędzy. Naciskaliśmy na nich, bo zależało nam na czasie, i odpowiedź przyszła dość szybko. Przekazana została przez babcię Hermildę i jej dzieci: Glorię, Albę Marinę, Luz Maríę i Agremira, którzy pewnego wieczoru przyszli do mieszkania w Santa Ana.

Aby uniknąć podsłuchiwania przez agentów pilnujących niższego piętra mieszkania, zebraliśmy się w pokoju mamy na drugim poziomie.

Wyjęli kilka kartek wydartych z zeszytu, jakby to były rachunki z osiedlowego sklepiku, na których wyszczególnili wydatki z ostatnich miesięcy: trzysta tysięcy dolarów na umeblowanie nowego mieszkania cioci Glorii, czterdzieści tysięcy na taksówkę dla cioci Glorii i niezliczone wypłaty różnych sum dla dziadka Abla, na pensję dla majordomusa, na

naprawę samochodów i na zakup nowego auta, które miało zastąpić skonfiskowane, pomiędzy wieloma innymi pozycjami.

Przedstawili nam zatem długą listę, pragnąc z jej pomocą usprawiedliwić fakt, że Roberto roztrwonił siedemdziesiąt pięć procent dolarów, które dał mu na przechowanie nasz tata. Innymi słowy, Roberto gotów był wypłacić nam jedynie to, co mu zostało.

Poirytowany zakwestionowałem większą część tych wydatków, które uznałem za nieuzasadnioną rozrzutność. Swoją krytykę skupiłem na przesadnej wartości mebli cioci Glorii, która natychmiast się obraziła i zapytała, czy to znaczy, że ona nie ma prawa zastąpić nowymi rzeczy, które straciła podczas wojny. Pomijając już nawet owe przepychanki, od razu rzucało się w oczy to, że coś jest nie tak z tymi rachunkami, bo nie chciało mi się wierzyć, żeby meble kosztowały więcej niż mieszkanie. Tymczasem Alba Marina upierała się przy tym, a na koniec dorzuciła sarkastycznie, że Roberto nie wydał przecież tych pieniędzy na jedzenie.

Spotkanie z babcią i ciotkami skończyło się źle, bo oświadczyłem im, że nie przekonają mnie swoim „radosnym” zestawieniem wydatków. Zrozumiałem też, że nie odzyskam pieniędzy. Zastanawiałem się więc, co robić. Wtedy przypomniało mi się, że od kilku tygodni otrzymywaliśmy groźby z więzień od przynajmniej trzydziestu ludzi, którzy pracowali dla mojego ojca i po jego śmierci zostali z niczym. Wobec tego, by uniknąć dalszych problemów z nimi, poprosiliśmy Roberta, żeby pomógł osadzonym i ich rodzinom za pieniądze, które był nam winien.

Według moich kalkulacji kasa, jaką miał Roberto, powinna wystarczyć na rok. Takie zobowiązanie — w naszym odczuciu — mieliśmy wobec ludzi walczących w wojnie po stronie ojca, którzy trafili do więzienia i dostali duże wyroki. Tata zawsze powtarzał, że ludzi nie można zostawić na pastwę losu podczas odsiadki, bo właśnie wtedy najbardziej potrzebują

pomocy. Sam widziałem, że ilekroć ktoś mu mówił „Szefie, taki a taki wpadł”, natychmiast wysyłał aresztowanemu adwokata, a jego rodzinie pieniądze. Tak postępował ojciec ze wszystkimi, którzy znaleźli się w więzieniu z powodu ich wspólnej działalności.

Jednak to, co źle się zaczyna, nie może skończyć się dobrze i sprawa tych pieniędzy miała stać się dla nas źródłem kolejnych utrapień, a do tego przyczyną dalszego pogarszania relacji z rodziną ojca.

Kilka tygodni po tym burzliwym spotkaniu z więzień zaczęły docierać wieści, które bardzo nas zaniepokoiły. Dowiedzieliśmy się, że babcia Hermilda odwiedziła kilku ludzi, którzy pracowali dla ojca, i zapewniła ich, że to Roberto daje im pieniądze.

Musiałem wysłać do kilku zakładów penitencjarnych list z wyjaśnieniem, jak naprawdę przedstawia się sytuacja. Poprosiłem w nim także o przekazanie innym zatrzymanym, że żona Pabla wraz z dziećmi zobowiązała Roberta, żeby pomógł im z naszych środków. Wiedziałem, że jedynym sposobem wyciągnięcia od stryja pieniędzy było zmuszenie go do rozdzielenia ich pomiędzy więźniów.

Jednocześnie, czego właściwie można się było spodziewać, bardzo szybko zaczęły się problemy z przestępcami, którzy pracowali dla ojca, bo Roberto przestał posyłać im pieniądze. Zaniepokojony zadzwoniłem i zapytałem go, co się dzieje, a on nie miał najmniejszych skrupułów, by powiedzieć mi, że naszych pieniędzy starczyło tylko na pięć miesięcy.

Pierwsza wiadomość świadcząca o niezadowoleniu dawnych płatnych zabójców ojca nadeszła pod koniec kwietnia 1994 roku, kiedy otrzymaliśmy list, w którym wielu z nich skarżyło się, że od miesiąca nie otrzymują żadnej pomocy, że nie mają jak utrzymać swoich rodzin ani z czego opłacić obrońców, że oddali wszystko za *Patróna*, a my jesteśmy

niewdzięcznikami. Jakby tego było mało, Roberto powiedział im, że nie zamierzamy wysłać ani grosza więcej.

List zawierał zawoalowaną groźbę, dlatego odpisałem im, wyjaśniając, że pieniądze, które otrzymali do tej pory, nie pochodziły od stryja, lecz od ojca: „Wszystkie wasze pensje, adwokaci, jedzenie aż do tej pory opłacane były z majątku ojca, a nie Roberta, niech to będzie całkiem jasne. (…) To nie nasza wina, że Robertowi zabrakło forsy. Powiedzieli nam, że pieniądze się skończyły, bo ciotka Gloria miała jakieś wydatki, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie tak naprawdę trafiła ta kasa”.

Roberto najwyraźniej zorientował się, co się dzieje, bo kilka dni po moim liście napisał do mamy, wykorzystując jako pretekst Dzień Matki. Po skreślonym odręcznie tekście widać było skutki ataku, którego ofiarą padł w grudniu. „Tata, nie jestem już tym samym człowiekiem co kiedyś. Dobija mnie mój stan. Trochę mi się poprawiło, ale męczę się już od pięciu miesięcy, najpierw z powodu tego, co przytrafiło się mojemu bratu, a potem mnie. Nie słuchaj plotek, tylu ludzi źle nam życzy. Miałbym ci sporo do powiedzenia, ale bardzo źle się czuję”.

Rodzinny spór o utrzymanie więźniów pracujących wcześniej dla kartelu z Medellín dotarł do uszu Ivána Urdinoli, *capo* kartelu Norte de Valle, z którym mama spotkała się parę razy w więzieniu Modelo w Bogocie.

Na sygnowanym własnym nazwiskiem papierze Iván Urdinola wysłał do mamy list utrzymany w serdecznym, lecz naglącym tonie: „Szanowna Pani, piszę ten list, żeby niezwłocznie wyjaśniła Pani nieporozumienia z resztą rodziny Escobar i z tymi chłopcami, którzy nie są winni kłopotów z Robertem. Bardzo proszę ich wesprzeć, taka jest nasza rola, a Pani stała się teraz głową rodziny i na niej spoczywa ten obowiązek. Póki nie zostanie to załatwione, nie zazna Pani spokoju. Proszę przyjechać na spotkanie w Cali i zakończyć sprawę”.

Ale było coś jeszcze. Rankiem 19 sierpnia 1994 roku, kiedy leżałem w łóżku, przyszedł faks, który mnie zmroził. Był to list od jednego z wielu „chłopców", którzy wcześniej pracowali dla mojego ojca, a obecnie odbywali karę w więzieniu Itagüí. Zawierał poważne oskarżenia wobec stryja Roberta:

„Doña Victoria, proszę przyjąć szczególne pozdrowienia dla Pani, a także dla Juancha i Manueli. Piszemy, żeby rzucić nieco światła na plotki dotyczące don Roberta Escobara. Zwracamy się do Pani, bo zorientowaliśmy się, o co mu chodziło, kiedy wysłał swoją siostrę Glorię, żeby »szpiegowała« Juancha.

Za pośrednictwem Reya pragniemy zawiadomić, że polecił on Pani przekazać, iż jeśli pewne rzeczy nie zostaną naprawione, to wprowadzi swój zamiar w czyn. Chcemy zarazem podkreślić, że nasza postawa jest jednoznaczna: tutaj nikt nie zamierza mieszać się w te kłamstwa i nadużycia, nie szukamy zwady z nikim, chcemy po prostu żyć w spokoju.

Jeśli on się za to bierze, to wyłącznie na własny rachunek i ryzyko, bo my nie będziemy się w to wtrącać. Tak jak byliśmy lojalni wobec szefa, tak samo jesteśmy wobec Pani".

Wiadomość została podpisana przez Giovanniego alias „Modelkę", „Komancza", „Misteria", „Tatę" Avedaño, „Valentína", „Szpona", „Styropiana", „Grubego Lambasa" i Williama Cárdenasa.

Zmartwiłem się, zobaczywszy te podpisy. Postanowiliśmy zawiadomić prokuratora De Greiffa, by zapobiec ewentualnej intrydze stryja. Przyjął mnie wraz z naszym adwokatem Fernándezem, a ja podzieliłem się z nim moimi obawami, bo bez wątpienia uknuto już plan, który miał mnie zaprowadzić do więzienia. Wyjaśniłem też prokuratorowi, że kilku osadzonych w Itagüí więźniów, którzy nie podpisali listu (Juan Urquijo i „Neris"), sprzymierzyło się z Robertem w tym przestępczym

przedsięwzięciu, w którym zamierzali ponadto wymusić na nas spłatę domniemanych długów ojca związanych z handlem narkotykami.

Roberto nie spodziewał się, że uda nam się stawić mu czoło ani że zdobędziemy się na odwagę, by to zrobić. Gdy ogłosiliśmy we wszystkich więzieniach, że to on miał przeznaczone dla osadzonych pieniądze ojca, poczuł się osaczony. Nie miałem innego wyjścia, jak pokrzyżować mu plany — tylko w ten sposób mogłem uniknąć i powstrzymać oskarżenia, którymi nas obrzucał.

Jeszcze nie wygrzebaliśmy się z tych nowych kłopotów, kiedy nastąpiło pewne zdarzenie dobrze ilustrujące powiedzenie, że prędzej potknie się kłamca niż kulawy.

O jedenastej wieczorem któregoś wrześniowego dnia 1994 roku funkcjonariusz Sijin zadzwonił domofonem do mieszkania w Santa Ana, informując, że właśnie przyszedł człowiek, który przedstawia się jako „Gruby” i chce się ze mną widzieć, ale odmawia okazania dowodu osobistego lub podania prawdziwego nazwiska, co było warunkiem stawianym wszystkim, którzy chcieli wejść do środka.

Policjant nie chciał ustąpić, co zresztą specjalnie mnie nie zdziwiło, bo zawsze wiedzieliśmy, że zarówno w Altos, jak i w Residencias Tequendama, a teraz w Santa Ana do zadań naszych ochroniarzy należało także zbieranie informacji i ustalanie, kto nas odwiedza i kto się z nami kontaktuje.

Moje zaskoczenie było wielkie, ponieważ chodziło ni mniej, ni więcej o złodzieja, którego oskarżałem o opróżnienie pudeł z dolarami ukrytych przez ojca w niebieskim domu. „Skoro ma czelność zjawiać się tu o tej porze, zapytam go o pieniądze, które zniknęły”, pomyślałem. Po krótkiej dyskusji udało mi się przekonać funkcjonariusza Sijin, żeby pozwolił „Grubemu” wejść, nie legitymując go, na moje ryzyko.

Gdy tylko stanął w drzwiach pokoju, gdzie go oczekiwałem, „Gruby” objął mnie i się rozpłakał.

— Juancho, bracie, co za radość, że cię widzę.

Nie umiałem ukryć konsternacji, bo uścisk i łzy tego człowieka wydawały mi się szczere i szlachetne, dalekie od jakiejkolwiek podłości. Poza tym przyszedł ubrany jak zawsze, z właściwym sobie dobrotliwym wyglądem skromnego człowieka, w niewyszukanym stroju i rozpadających się tenisówkach. Nie wyglądał na kogoś, kto kilka miesięcy wcześniej obrabował skrytkę z dolarami. Po co miałby mnie odwiedzać, skoro z tamtymi pieniędzmi byłby już urządzony do śmierci?

Przyjrzałem mu się uważnie i nie bez podejrzliwości. Wysłuchałem, co się z nim działo, od kiedy wraz z ojcem opuściliśmy niebieski dom w listopadzie 1993 roku, i stwierdziłem, że nadal jest tym samym lojalnym człowiekiem, jakiego znaliśmy.

Po kilku minutach rozmowy na tarasie pierwszego piętra, gdzie nikt nie mógł nas słyszeć, uznałem, że nadszedł właściwy moment, by zapytać go o zaginione pieniądze.

— „Gruby”, powiedz mi, co się stało ze skrytką w niebieskim domu? Wpuściłeś ciotkę? Gdzie jest forsa?

— Juancho, przyjąłem ciotkę zgodnie z twoimi wskazówkami. Kiedy wręczyła mi twoją wiadomość, poszliśmy do obu skrytek, wyciągnęliśmy pudła i pomogłem jej zapakować je do bagażnika auta, którym przyjechała. Więcej jej nie widziałem. Przyszedłem tylko zapytać, jak się wam powodzi, przywitać się, bo bardzo was szanuję, i oddać się do waszej dyspozycji.

— Sęk w tym, że ona zapewnia, że w skrytkach było tylko parę dolarów.

— Kłamstwo! Sam pomogłem jej zanieść do auta stertę pieniędzy. Samochód tak był wyładowany kasą, że aż było widać, jak mu z tyłu siada podwozie. Przysięgam, że wszystko zabrała twoja ciotka, a jeśli chcesz,

mogę tu zostać i poczekać, aż po nią zadzwonisz, bo gotów jestem powtórzyć jej to samo w twarz — powiedział ze łzami w oczach.

— „Gruby”, bracie, wybacz mi podejrzliwość, ale to wszystko wydaje mi się nieprawdopodobne. Wierzę ci i wcale mnie nie dziwi, że ciotka była zdolna do czegoś takiego.

# Rozdział 3

# POKÓJ Z KARTELAMI

Wiadomość, że koniarz Fabio Ochoa Restrepo przyjechał nas odwiedzić w Residencias Tequendama, pozwoliła nam przezwyciężyć smutek i niepewność tamtego 5 grudnia 1993 roku, zaledwie czterdzieści osiem godzin po pogrzebie ojca w Medellín. Fabia znaliśmy od początku lat osiemdziesiątych.

Upoważniłem go do wejścia i po chwili patrzyliśmy oniemiali, jak wkracza do środka z dziesiątkami garnków różnych rozmiarów, pełnymi jedzenia. Całkiem jakby opróżnił swoją restaurację Margarita del 8, antioqueński zakątek przy północnej autostradzie do Bogoty. Przywiózł około pięćdziesięciu porcji *bandeja paisa*[10], których wystarczyło dla nas, dla pilnujących nas żołnierzy, policjantów, detektywów z DAS-u, agentów CTI, Dijin i Sijin. Wszystko z fasonem, w najlepszym stylu *paisa*[11], co oczywiście przyjęliśmy z wdzięcznością.

Uczta z fasoli, *arepas*[12], mielonego mięsa, kiełbasy, słoniny i jajek była dobrą nowiną, którą przyniosła nam głowa rodziny Ochoa. Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Po posiłku, około piątej po południu, don Fabio oznajmił nam tonem spokojnym, lecz poważnym, że według jego wiedzy Fidel Castaño, szef Pepes, nie wycofał rozkazu zabicia mamy, siostry i mnie.

— Fidel Castaño powtarza, że Pablo Escobar był wojownikiem, ale popełnił błąd, zakładając rodzinę; że właśnie dlatego on nie ma nikogo, by

nikt nie mógł go zranić — dodał don Fabio Ochoa, przytaczając słowa Castaño.

Wiadomość zabrzmiała jak wyrok śmierci. Dobrze wiedzieliśmy, jak ogromną władzą dysponuje Castaño, stojący na czele grupy, która ścigała i zgładziła ojca.

Począwszy od tamtego dnia, aż do chwili kiedy dziewięć miesięcy później wyjechaliśmy z Kolumbii, utrzymywaliśmy z Fabiem Ochoa Restrepo dużo bliższe kontakty niż za życia ojca. Regularnie wysyłał nam jedzenie ze swojej restauracji, a moja siostra Manuela dość często odwiedzała hacjendę Margarita del 8, gdzie jeździła konno na najlepszych wierzchowcach.

Wiedząc, że Castaño również zamierza nas zgładzić, postawiliśmy wszystko na jedną kartę — wysłaliśmy do niego podpisany przez mamę list, w którym błagała o życie dla swoich dzieci, wyjaśniała mu, że sama nigdy nie brała udziału w wojnie, i zapewniała, że jest gotowa zawrzeć pokój z nieprzyjaciółmi zmarłego męża.

Mama podchodziła do tego pomysłu z optymizmem, bo pamiętała, że z Fidelem Castaño łączy ją zamiłowanie do sztuki. Dowiedziała się o tym w czasach, gdy był jeszcze bliskim przyjacielem ojca, z którym wspólnie i z powodzeniem handlowali kokainą. Castaño często jeździł do Europy, a szczególnie do Paryża, gdzie, jak twierdził, posiadał luksusowy apartament, w którym trzymał większą część swojej kolekcji. Podczas tych podróży zwiedzał muzea, oglądał najlepsze wystawy i kupował dzieła sztuki.

Przy jakiejś okazji Castaño przyszedł do budynku Mónaco w Medellín, a mama pokazała mu swoją kolekcję obrazów i rzeźb porozmieszczanych na wszystkich piętrach penthouse’u o powierzchni tysiąca pięciuset metrów. Nie było tam właściwie ani jednej ściany bez obrazu czy rzeźby. Mamę

rozpierała duma, bo pewien słynny właściciel galerii powiedział jej, że ma najlepszą kolekcję sztuki w Ameryce Łacińskiej.

Wtedy Fidel Castaño był pod wielkim wrażeniem dzieł, które mama nabyła od artystów takich jak Fernando Botero, Édgar Negret, Darío Morales, Enrique Grau, Francisco Antonio Cano, Alejandro Obregón, Débora Arango, Claudio Bravo, Oswaldo Guayasamín, Salvador Dalí, Igor Mitoraj i Auguste Rodin, a także zbioru bezcennych antyków, pośród których uwagę przykuwały chińskie wazy oraz prekolumbijskie przedmioty ze złota i gliny.

Castaño chciał się odwdzięczyć i kilka tygodni później zaprosił rodziców do swojej posiadłości Montecasino, położonej między Medellín i Envigado. Była to prawdziwa twierdza otoczona wysokimi murami. To tam narodzili się Pepes i tam decydowano o największych zbrodniach, jakich dopuściły się oddziały paramilitarne [13].

Spotkanie okazało się sztywne, bo ojciec czuł się bardzo skrępowany. Nie był przyzwyczajony do podobnego zbytku i elegancji. Peszyli go obsługujący ich kelnerzy, a nawet sam Fidel, który przyjął ich w smokingu i kazał nakryć do stołu wyrafinowaną zastawą z pięcioma widelcami. Podczas posiłku ojciec po cichu pytał mamę, jak ma się posługiwać szczypcami do raków, żeby się nie ośmieszyć przy stole.

Po kolacji Fidel pokazał rodzicom dom i swoją piwniczkę z francuskim winem, po czym oświadczył, że przygotował dla nich turecką łaźnię oraz hydromasaż w gorącej wodzie z bąbelkami.

— Musimy się trochę odprężyć, Pablo.

Ojcu pomysł z łaźnią w ogóle nie przypadł do gustu. Odrzucił zaproszenie, uciekając się do kiepskiej wymówki, że ma jeszcze ważne spotkanie.

Mam wrażenie, że mama podobała się Fidelowi Castaño i stąd właśnie brała się niechęć ojca, który w głębi serca był zazdrosny i posunął się nawet do tego, że zabronił mu odwiedzać matkę w posiadłości Mónaco.

Nasz umiarkowany optymizm po wysłaniu do Castaño listu zmienił się w spokój, gdy nadeszła jego krótka, bo złożona zaledwie z trzech akapitów odpowiedź, w której zapewniał, że nie ma nic przeciwko nam, a ponadto obiecywał, że każe nam zwrócić kilka dzieł sztuki zrabowanych przez Pepes z kryjówki, między innymi cenny obraz *Rock and Roll* pędzla hiszpańskiego artysty Salvadora Dalego.

Chwilowo pozbyliśmy się problemu z Fidelem Castaño, lecz niestety nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

Z czasem bowiem do Residencias Tequendama zaczęły ściągać żony i przyjaciółki najważniejszych przywódców ojca, którzy oddali się w ręce sprawiedliwości po ucieczce z La Catedral, takich jak Otoniel González alias „Otto”, Carlos Mario Urquijo alias „Kolczyk” i Luis Carlos Aguilar alias „Brudas”.

Kobiety te, które czasami zostawały w hotelu na kilka dni, przynosiły wiadomości w rodzaju, że *capos* z wrogich ojcu karteli domagają się pieniędzy w ramach rekompensaty za wojnę. W mafii wszyscy wiedzieli, że ojciec był szczodry dla swoich ludzi, że dawał im spore sumy pieniędzy za różne akcje, na przykład porwanie kogoś, zabicie jakiejś osoby lub dokonanie zamachu. Płacił im za wszystko, co robili, dlatego starali się jak najlepiej wypełnić zadanie.

Pośród innych kobiet wizytę złożyła nam Ángela, dziewczyna „Popeye”. Poprosiła, żebyśmy odwiedzili w więzieniu Modelo w Bogocie handlarza narkotyków Ivána Urdinolę, który miał dla nas informację od *capos* kartelu z Cali. Jego nazwisko nie było nam obce, bo tata pokazywał nam kiedyś

listy, w których Urdinola zapewniał go, że nie trzyma strony *capos* z Cali, i w ogóle dało się w nich wyczuć pewną sympatię do ojca.

Wiadomość Urdinoli przesłana przez dziewczynę „Popeye” wydawała się nam dziwna. Wtedy nie mieliśmy jeszcze pojęcia, że właśnie zaczyna się jeden z najtrudniejszych okresów w naszym życiu, nawet cięższy i bardziej niebezpieczny niż najgorsze chwile, jakie spędziliśmy, ukrywając się z ojcem, gdy wrogowie deptali mu po piętach. Właśnie wtedy zaczęliśmy żmudny proces zawierania pokoju z kartelami narkotykowymi. Wkrótce miałem skończyć siedemnaście lat i zupełnie nie wiedziałem, jak stawić czoło całej tej sytuacji, przepełniały mnie obawy. Jednak choć nie wiem, jak bardzo bym chciał, nie mogłem tego uniknąć. Ostatecznie byłem synem Pabla Escobara i po jego śmierci to na mnie skupiły się spojrzenia wszystkich.

Nim zdecydowaliśmy, czy pójdziemy na spotkanie z Urdinolą, zaczęliśmy z mamą odwiedzać więzienia Modelo i Picota upoważnieni przez Prokuraturę Generalną, która wzięła na siebie naszą ochronę oraz załatwiała nam przepustki. Chodziliśmy tam z obstawą, ale i tak woleliśmy robić to osobno, by nie stać się łatwym celem ataku. Naszym zamiarem było porozmawiać ze wszystkimi ludźmi ojca i poznać ich zdanie na temat ewentualnych negocjacji pokojowych. Nie było trudno przekonać ich do rezygnacji z wrogich działań, gdyż żaden nie miał wystarczającej siły militarnej, a powrót do wojny równał się dla nich samobójstwu. Poza tym wielu z nich z własnej woli poddało się powtórnie wymiarowi sprawiedliwości, nie pytając nawet o zdanie ojca, bo mieli już serdecznie dosyć przemocy.

Któregoś dnia poszedłem do więzienia La Picota, gdzie siedzieli „Kolczyk”, „Titi” i „Brudas”. Po raz pierwszy zobaczyłem z daleka

legendarnego *capo* Leonidasa Vargasa, którego główną strefą działania był departament Caquetá, nieopodal granicy z Ekwadorem.

Nagle podszedł do mnie jeden z ludzi ojca i powiedział, że Leonidas Vargas prosi, żebyśmy oddali milion dolarów, jakie tata był mu winien. Nie chciało mi się wierzyć, że to prawda, ale wielu osadzonych potwierdziło bliskie związki ojca z „Don Leo". Któryś z nich dorzucił:

— Juancho, lepiej już myśl, jak mu to spłacicie. To poważny gość, a ponadto bardzo niebezpieczny. Lepiej z nim nie zadzierać, bo narobicie sobie problemów.

A zatem dług istniał, jednak był pewien szkopuł: nie mieliśmy pieniędzy. W tamtym okresie dostaliśmy wiadomość, że prokuratura wydała polecenie ostatecznego zwrotu jednego z samolotów ojca, który skonfiskowano mniej więcej dziesięć lat wcześniej. Zleciliśmy rzeczoznawcy wycenę i określił on jego wartość na około milion dolarów — akurat tyle, ile byliśmy winni Leonidasowi Vargasowi. Przypadkiem dobrze na tym wyszedł, bo w jednym z opuszczonych hangarów na lotnisku Olaya Herrera w Medellín znalazły się części zamienne warte trzysta tysięcy dolarów, które nadawały się tylko do tego samolotu. Zaproponowaliśmy mu więc luksusowy samolot plus części zamienne jako bonus. Zgodził się, gdy tylko jego piloci potwierdzili, że maszyna jest w dobrym stanie i nadaje się do lotu.

Tym sposobem spłaciliśmy jeszcze jeden dług ojca i pozbyliśmy się kolejnego potencjalnego wroga. Nie mieliśmy sił na nowe wojny. Trzeba było zapobiec wszelkiej przemocy, co mogliśmy osiągnąć tylko dzięki pieniądzom lub innym dobrom.

Po długiej wędrówce po więzieniach przyszła pora na spotkanie z Urdinolą w Modelo. Mama była już wcześniej u niego, ale nalegał, żebym ja także przyszedł.

Opuściłem Residencias Tequendama blady jak ściana, co z pewnością zauważyli ochroniarze i kierowca, który tamtego ranka 1994 roku wiózł mnie w pancernej terenówce prokuratury. Dotarliśmy do więzienia w sektorze Puente Aranda w Bogocie. Gdy wysiadałem z auta przed dwupiętrowym budynkiem, w którym urzęduje dyrektor więzienia, szofer złapał mnie za ramię i wręczył mi kwadratowy, złoto-biały breloczek z wizerunkiem Dzieciątka Jezus.

— Juan Pablo, chciałbym ci go podarować, żeby cię chronił. Wiem, że przeżywasz ciężkie chwile — powiedział, a ja spojrzałem mu w oczy i podziękowałem wzruszony.

Dzięki ogromnym ciemnym okularom nie rozpoznał mnie żaden więzień. Strażnik zaprowadził mnie na blok o zaostrzonym rygorze, gdzie spotkałem „Otta” i „Popeye”, od których dowiedziałem się, że Urdinola mnie oczekuje. Na patio natknąłem się też na starych znajomych, dawnych ludzi ojca, takich jak José Fernando Posada Fierro, Sergio Alfonso Ortiz alias „Ptaku”.

— Spokojnie, Juancho, don Iván to porządny człowiek, nic ci się nie stanie… Przecież on jest ojcem chrzestnym mojego dziecka — powiedział „Popeye” na zakończenie zachwytów, jakie wygłosił pod adresem Urdinoli, a które wydały mi się przesadne.

Wszedłem do celi, gdzie zastałem Urdinolę w towarzystwie dwóch nieznanych mi mężczyzn. Potem weszło jeszcze pięciu, w tym jeden wysoki i nieco tajemniczy, który od razu zwrócił moją uwagę.

— No cóż, bracie, sam wiesz najlepiej, kto wygrał wojnę. I wiesz, że nowym szefem wszystkich szefów, który kręci interesami, jest don Gilberto (Rodríguez Orejuela). W tej sytuacji do ciebie należy wybrać się do Cali i jakoś się z nimi ułożyć, ale wcześniej musisz dać dowód dobrej woli.

Zapytałem, co powinienem zrobić, żeby zjednać sobie ich przychylność, na co usłyszałem, że mógłbym sprostować pewne zeznanie, które złożyłem w prokuraturze, a w którym oskarżyłem *capos* z Cali o podłożenie bomby pod budynkiem Mónaco 13 stycznia 1988 roku. Zrozumiałem, że nie mam wyboru, zapewniłem więc, że to żaden problem. Wtedy Urdinola zapowiedział, że w najbliższych dniach zgłosi się do mnie pani adwokat. Wycofanie dawnego zeznania w zamian za pozostanie przy życiu wydawało się prostą sprawą, kiedy jednak spojrzałem Urdinoli w oczy, ciarki przeszły mi po plecach.

— Don Iván, przykro mi ze względu na pana, ale boję się jechać do Cali. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pcha się tam, gdzie może zostać zabity. To wbrew mojemu instynktowi samozachowawczemu. Wiem, że wielu ludzi tam pojechało i wrócili cali i zdrowi, ale w moim przypadku to co innego, ja wrócę w worku; jestem przecież synem Pabla — zaoponowałem, na co Urdinola odpowiedział z irytacją:

— A za kogo ty się masz, żeby mi odmawiać? Ci twoi ochroniarze w każdej chwili gotowi są cię zabić; czekają tylko na rozkaz. Myślisz może, że twoja głowa jest tak wiele warta? Że zabójcy dużo sobie za nią życzą? Sprzątnięcie cię kosztuje trzysta milionów i jeśli chcesz, zaraz możemy zadzwonić do chłopców, żeby wzięli się do roboty. A w ogóle to wypierdalajcie stąd, pojeby, bo będę bzykał moją kobietę — zakończył przemowę Urdinola, kiedy weszła jego żona Lorena Henao.

Słowa Urdinoli wprawiły mnie w konsternację. Wyszedłem z jego celi w koszmarnym nastroju, w panice. Zdawało mi się, że spoglądam już śmierci w twarz. Miałem wtedy zaledwie siedemnaście lat.

Stałem pogrążony w myślach, gdy ktoś delikatnie poklepał mnie po plecach. To był ów wysoki i tajemniczy mężczyzna, na którego wcześniej

zwróciłem uwagę. Teraz odciągnął mnie na bok i powiedział, że chce porozmawiać.

— Juan Pablo, wiem, że bardzo się boisz jechać na to spotkanie, i rozumiem twoje obawy, są uzasadnione. Ale nie zapominaj, że ludzie z Cali też mają już dosyć wojny, dlatego powinieneś skorzystać z okazji, żeby dojść z nimi do porozumienia i na dobre załatwić sprawę. Jak słyszałeś od Urdinoli, twoja śmierć i tak jest już postanowiona, więc jeśli nie pojedziesz, tak czy inaczej zginiesz. Nie masz wielkiego wyboru. Prędzej uratujesz się, jadąc tam i stawiając czoło sytuacji — powiedział, a jego słowa zabrzmiały szczerze.

— Dziękuję za radę, ale nie wiem, kim pan jest… Jaką rolę odgrywa pan w tym wszystkim?

— Nazywam się Jairo Correa Alzate i byłem wrogiem twojego ojca od czasów Henry'ego Péreza (szefa bojówek paramilitarnych z Magdalena Medio). Jestem właścicielem hacjendy El Japón w La Dorada, w Caldas i miałem mnóstwo problemów z twoim ojcem. Teraz siedzę tutaj, czekając na decyzję w sprawie mojej ekstradycji.

Krótka rozmowa z Jairem Correą okazała się opatrznościowa. Wreszcie ujrzałem światło w tunelu i zrozumiałem, że mam szansę ujść z życiem, jeśli pojadę do Cali.

Podczas pożegnania Jairo przedstawił mi swoją żonę Claudię i jedną z młodszych córek. Zaproponował, że odwiedzą nas w domu, żeby dziewczynka mogła pobawić się z Manuelą.

„Popeye" zaofiarował się, że odprowadzi mnie do wyjścia, i kiedy szliśmy przez długi, wąski korytarz, przyznał mi się do czegoś:

— Juancho, powinienem ci coś powiedzieć. Tak wyszło, że pomogłem „Ottowi" okraść waszą posiadłość La Pesebra na skraju Loma del Chocho.

Padło na mnie, nie miałem wyboru. Musiałem pójść z „Ottem” na tę robotę, żeby mu nie podpaść.

Sytuacja wyglądała tak, że teraz nawet starzy kumple ojca byli przeciwko nam. Nie patrzyli już na nas jak na rodzinę swojego szefa, który pozwolił im zdobyć niewyobrażalne fortuny, lecz jak na łup. Z ludzi ojca, którzy przeżyli jego śmierć, tylko o jednym mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że pozostał lojalny. U innych widziałem tylko niewdzięczność i pazerność.

Zgodnie z tym, co ustaliliśmy z Urdinolą, kilka dni po wizycie w Modelo odwiedziła nas pani adwokat, z którą spotkałem się na pierwszym piętrze mieszkania w Santa Ana, gdzie nie mogli nas podsłuchiwać agenci prokuratury i Sijin, którzy mieli w budynku swój pokój.

Pani adwokat od razu przeszła do rzeczy i poprosiła, żebym oświadczył, iż ojciec zmusił mnie do wskazania *capos* kartelu z Cali jako odpowiedzialnych za wybuch w budynku Mónaco w 1988 roku i że nie miałem żadnych dowodów ani informacji, że to oni przyczynili się do tego incydentu.

Poświadczyłem wszystko, o co prosiła. Kilka minut później przyszła prowadząca sprawę prokurator i jej sekretarz, którzy na parterze zaprotokołowali moje nowe zeznanie. Pani adwokat czekała w tym czasie na pierwszym piętrze. Z reakcji obojga prawników wywnioskowałem, że zauważyli, iż zeznaję pod presją. W ich zachowaniu widać było bezradność, na ich oczach walił się przecież jeden z nielicznych udokumentowanych przypadków przestępstwa, które mogliby wykorzystać przeciwko *capos* z Cali.

Nic jednak nie dało się z tym zrobić i po zakończeniu formalności podali mi kopię zeznania, którą zaniosłem do pani adwokat. Ta, przeczytawszy

dokument, wyciągnęła komórkę z teczki, zadzwoniła do kogoś i powiedziała: „Proszę się nie martwić, wszystko jest już załatwione”.

Znalezienie doradcy w Jairo Correrze wiele dla mnie znaczyło i jeszcze trzy razy odwiedziłem go w więzieniu, by zapytać go o zdanie w różnych sprawach. Czułem, że jest ze mną szczery. Pamiętam, że spędziliśmy wiele godzin w serdecznej i pełnej szacunku atmosferze, dyskutując o życiu i o ostatnich wydarzeniach. Miałem okazję przeprosić go za krzywdy, jakie ojciec wyrządził jemu i jego rodzinie. Zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że tak dobrze się rozumiemy, a z ojcem nie mógł znaleźć wspólnego języka. Ubolewałem nad tym, że nie zdołali porozmawiać, ułożyć się i żyć w pokoju. Odparł, że ojciec zawsze otaczał się złymi doradcami.

Podczas jednej z tych wizyt spotkałem bardzo pijanego Urdinolę w towarzystwie jakiegoś Włocha, który sprzedawał mu maszyny przemysłowe. Kiedy mnie zobaczył, przywitał się miło (na co zapewne miał wpływ alkohol) i otworzył szufladę, w której było, lekko licząc, z pięćdziesiąt zegarków, a wszystkie markowe.

— Wybierz, który ci się podoba.

— Nie, don Iván, nie trzeba, bardzo dziękuję, ale naprawdę nie trzeba — powtórzyłem trzy razy, jednak on już zdecydował.

— Bierz ten, kosztował mnie sto tysięcy dolarów — wręczył mi zegarek i zmusił, żebym go natychmiast założył, mimo że był na mnie trochę za ciasny. Był to zegarek Philippe Charriol z kopertą wysadzaną diamentami wokół tarczy i ze wskazówkami z czystego złota.

Wielokrotne wizyty w więzieniu Modelo przyniosły efekty: pierwszy bezpośredni kontakt z wrogami.

Dzięki inicjatywie Urdinoli doszło do spotkania między Ángelą (dziewczyną „Popeye”), adwokatem stryja Roberta Ismaelem Mancerą

a braćmi Miguelem i Gilbertem Rodríguez Orejuela, *capos* kartelu z Cali. Urdinola wiedział, że „Popeye” nie odgrywał zbyt wielkiej roli w kartelu, dlatego zawsze chciał, żeby Vicky, żona „Otta”, jeździła do Cali zamiast Ángeli. Vicky się jednak bała, więc nie miał wyboru i musiał wysłać Ángelę.

Emisariusze pojechali do stolicy departamentu Valle, żeby przedstawić stanowisko naszej rodziny i ludzi tworzących przestępczą organizację kierowaną przez ojca, w którym na pierwszy plan wysuwała się wola doprowadzenia do ostatecznego zawieszenia broni i znalezienia rozwiązania, które pozwoli nam pozostać przy życiu. Po powrocie Ángela i Mancera powiedzieli, że choć bracia Rodríguez przyjęli ich powściągliwie, to wykazali gotowość do negocjacji.

Nasze zabiegi najwyraźniej odniosły skutek, bo kilka dni później odebraliśmy telefon — jakiś szorstki mężczyzna zażądał spotkania, oświadczając, że przynosi wiadomość od Rodriguezów. W efekcie zjedliśmy obiad z pewnym znanym czowiekiem, dawnym wrogiem ojca, którego nazwiska tu nie przytoczę ze względów bezpieczeństwa. Podczas rozmowy panowała bardzo napięta atmosfera, choć w paru punktach gość okazał zrozumienie. Przywoził proste przesłanie: pozostanie przy życiu będzie słono kosztowało, bo każdy *capo* chciał powetować sobie to, co zainwestował lub nawet więcej.

— Juan Pablo, na wojnę przeciwko twojemu ojcu wydałem ponad osiem milionów dolarów i mówię wprost, że chcę te pieniądze odzyskać — powiedział spokojnym tonem człowieka, który gotów jest wyegzekwować swój dług w taki czy inny sposób.

Byliśmy osaczeni i zdawaliśmy sobie z tego sprawę, bo nasza „ochrona” z Residencias Tequendama nawet nie zrewidowała niespodziewanego

gościa. Nie ulegało zatem wątpliwości, że możemy ujść z życiem tylko pod warunkiem, że oddamy cały majątek ojca.

Niepewność oraz wymiana wiadomości i gróźb zakończyły się wreszcie w ostatnim tygodniu stycznia 1994 roku, kiedy bez uprzedzenia zjawił się Alfredo Astado, daleki krewny matki, który właśnie przyjechał ze Stanów Zjednoczonych, by pilnie z nami porozmawiać. Od wielu lat mieszkał już za granicą, dokąd wyemigrował, by uciec przed wojną i chronić swoją rodzinę, mimo że w Kolumbii nigdy nie był zamieszany w lewe interesy ani nie miał zatargów z prawem.

Nasz gość, który wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, opowiedział nam, że kiedy siedział w domu, ktoś zadzwonił na jego komórkę, a był to sam Miguel Rodríguez Orejuela.

— Alfredo? Mówi Miguel Rodríguez… chcielibyśmy, żeby przyjechał pan do Cali; chcemy z panem pomówić — powiedział sucho *capo*, nawet się nie przywitawszy.

— Proszę pana, mam wiele spraw na głowie. Najwcześniej mogę pojechać do Kolumbii za jakieś dwa, trzy miesiące.

— Daję panu cztery dni. A jeśli gdzieś mi się pan zawieruszy, odnajdę pana, ale już w inny sposób.

Historia Alfreda była naprawdę niepokojąca, bo tylko kilka osób znało jego telefon, a od sześciu lat mieszkał w niewielkim mieście w Stanach Zjednoczonych, gdzie miał znikomy kontakt z Kolumbijczykami. Dlatego przyjechał do Kolumbii, żeby z nami porozmawiać, zanim uda się do *capos* z Cali.

Błagaliśmy go, by nie jechał na spotkanie, lecz Alfredo powiedział, że nie ma wyboru, bo skoro Rodríguezowie już go zlokalizowali, bez wątpienia znajdą go choćby na końcu świata.

Stało się jasne, że *capos* z Cali nie chcieli prowadzić rozmów przez adwokata Mancerę i dziewczynę „Popeye” i postanowili poszukać z nami bezpośredniego kontaktu.

Alfredo natychmiast pojechał do Cali i zameldował się w hotelu Intercontinental. Następnego dnia zjawił się po niego jakiś człowiek, który zawiózł go do luksusowej posiadłości na południu Cali, gdzie czekali na niego bracia Rodríguez Orejuela i jeszcze trzy inne osoby, których nigdy wcześniej nie widział.

— Panie Astado, wiele o panu wiemy, bo przeprowadziliśmy małe dochodzenie. Miał pan znaczące związki z rodziną Henao w Palmirze i dlatego uważamy, że może nam pan pomóc. Wojna z Pablem zaszła za daleko i zginęło wielu niewinnych ludzi. Chcemy raz na zawsze z tym skończyć i dlatego powinien pan porozmawiać z wdową — oświadczył Miguel Rodríguez w imieniu wszystkich obecnych.

Alfredo zrozumiał, o co chodzi, i uspokoił się, bo wyglądało na to, że nie grozi mu niebezpieczeństwo. Potem zabrał głos, by zapewnić, że zrobi, co będzie trzeba, i zaproponował, że przyjadę z matką do Cali, by się z nimi rozmówić.

Na to usłyszał jednak kategoryczną odpowiedź z ust Gilberta Rodrígueza.

— Ona tak, ale Juan Pablo nie. On je jak kaczor, chodzi jak kaczor... jest kaczorem, dokładnie tak samo jak Pablo. To dzieciuch, który powinien schować się za spódnicą mamy.

Pomimo szorstkości sformułowań i głębokiej nienawiści, jaką *capos* żywili do ojca, Alfredo wrócił do Bogoty z uspokajającymi wieściami i mocnym przekonaniem, żeby jak najszybciej wybrać się do Cali z mamą.

W zasadzie nie mieliśmy innego wyjścia, więc nie zastanawialiśmy się długo, czy należy podejmować ryzykowne negocjacje z wrogami ojca.

Musieliśmy opracowywać plan wyjścia z Residencias Tequendama w taki sposób, żeby nie zauważyli tego ludzie z prokuratury. Po przeanalizowaniu różnych możliwości postanowiliśmy użyć jako zasłony dymnej pani psycholog, która raz w tygodniu przez cały dzień prowadziła z nami terapię. Z łatwością wyjaśniliśmy jej naszą trudną sytuację i zgodziła się współpracować. W związku z tym mama udała, że zamyka się z nią na cały dzień, bo musi poddać się terapii antydepresyjnej. Nikt z ochrony niczego nie podejrzewał. Mama zeszła z dwudziestego pierwszego piętra schodami przeciwpożarowymi i w ten sposób dotarła na ulicę, gdzie czekał na nią Alfredo w wynajętym vanie.

Podróż przebiegła w miarę normalnie, choć w atmosferze niepewności z powodu spotkania z niebezpiecznymi ludźmi, którzy dysponowali ogromną siłą ekonomiczną, polityczną i militarną. Chodziło bowiem o zmierzenie się z wszechmocnymi bossami ogólnokrajowej mafii, którzy od czasu kiedy pozbyli się ojca, robili, co im się żywnie podobało, gdyż od wielu lat był on jedyną osobą zdolną im się przeciwstawić w walce na śmierć i życie.

Zaraz po przyjeździe do Cali Alfredo zadzwonił do Miguela Rodrígueza, który był zaskoczony, że mama tak szybko zdecydowała się przybyć na spotkanie na jego terytorium. *Capo* kazał im poczekać w należącym do niego hotelu w centrum miasta, póki nie zawiadomi pozostałych.

Minęło dwadzieścia godzin. Potem nastąpiło coś, w co trudno uwierzyć: sam Miguel Rodríguez przyjechał po nich samochodem i zawiózł do posiadłości w rejonie Cascajal, przy drodze do Jamundí, do siedziby klubu piłkarskiego América de Cali.

Ubrana na czarno mama weszła z Alfredem do salonu, gdzie siedziało już około czterdziestu osób stanowiących śmietankę biznesu narkotykowego w Kolumbii; innymi słowy, wierchuszka Pepes.

Mamie wskazano krzesło pośrodku stołu, po lewej stronie Miguela Rodrígueza i po skosie na prawo od Gilberta Rodrígueza, który patrzył na nią z pogardą. Kolejne miejsca zajmowali Helmer „Pacho” Herrera, José „Chepe” Santacruz, Carlos Castaño, a także trzech delegatów rodzin Gerarda „Kiko” Moncady i Fernanda Galeana, którzy zostali zabici z rozkazu ojca w więzieniu La Catedral. Alfredo usiadł w rogu stołu.

Rozmowy na szczycie przez cały czas toczyły się w ogromnym napięciu. Wszędzie było pełno uzbrojonych po zęby goryli. Mama trzymała w ręku butelkę wody mineralnej.

— Słuchamy. Co ma pani do powiedzenia? — zaczął Gilberto oschłym i prowokacyjnym tonem.

— Szanowni państwo, tę wojnę przegraliśmy. Jesteśmy tu dzisiaj, żeby dojść z wami do porozumienia i ocalić życie moje i moich dzieci, całej rodziny Escobar, naszych adwokatów, czyli ogólnie mówiąc ludzi Pabla Escobara.

Głos zabrał Miguel Rodríguez. Z miejsca wytoczył oskarżenia przeciwko ojcu, mówiąc, że okradł ich wszystkich z dużych pieniędzy. Podkreślił, że wojna kosztowała każdego z nich ponad dziesięć milionów dolarów i mają nadzieję odzyskać tę kwotę.

— I niech pani nie prosi o nic dla rodzeństwa tego skurwiela, pani męża. Dla Roberta, Alby Mariny, Argemira, Glorii czy tej jebanej zdziry, ich matki, bo to oni pierwsi wydrapaliby pani oczy. Wysłuchaliśmy kaset nagranych w czasie wojny i prawie wszyscy domagali się większej przemocy wobec nas…

Wystąpienie *capo* trwało dziesięć minut. Zakończył, wyjaśniając, że głównym celem obecnego spotkania było ustalenie, czy rodzina Escobarów rzeczywiście pragnie pokoju. Potem oddał głos swoim asystentom, którzy w plugawy sposób wyrażając się o ojcu, przedstawili coś w rodzaju

inwentarza tego, co powinniśmy im dać, by spłacić dług i by zechcieli darować nam życie.

— Ten skurwysyn zabił mi dwóch braci. Ile to warte? Już nawet pomijając pieniądze, które wywaliłem na to, żeby zginął... — odezwał się któryś.

— Mnie porwał. Dałem mu ponad dwa miliony dolarów i kilka posiadłości, żeby mnie wypuścił. A jakby tego było mało, musiałem jeszcze uciekać z rodziną — dorzucił inny, z nieskrywaną furią.

— Spalił mi dom i próbował mnie porwać. Na szczęście uciekłem, musiałem jednak wyjechać z kraju na całe lata. Na ile to wycenicie? — pytał następny.

Lista skarg i żądań zdawała się nie mieć końca.

— A mnie interesuje, i proszę na to odpowiedzieć, co by było, gdyby na tym miejscu siedziały nasze żony? Co by z nimi zrobił ten skurwiel, pani mąż? Wszystko, co najgorsze, bo on był bardzo zły. Proszę, niech pani powie! — domagał się jeden z najbardziej poszkodowanych w wyniku wojny.

Mama odparła:

— Panowie, Bóg jeden w swej mądrości wie, czemu to ja dziś jestem na tym miejscu, a nie wasze żony.

Później głos zabrał Carlos Castaño, który o ojcu wyrażał się w najgorszych słowach, a wreszcie spuentował:

— Może pani nie wie, ale pani i Manueli szukaliśmy niczym igły w stogu siana. Zamierzaliśmy pokroić was na kawałki i wysłać Pablowi w worku.

Wtedy znów odezwał się Gilberto Rodríguez i powtórzył to, co już wcześniej powiedział Alfredowi na mój temat:

— Droga pani, my tu zebrani chcemy zawrzeć pokój ze wszystkimi z wyjątkiem pani syna.

Mama wybuchnęła płaczem i odpowiedziała gwałtownie.

— Co takiego? Rozejm bez mojego syna to żaden rozejm. Odpowiadam przed wami za jego postępowanie i to nawet własnym życiem. Gwarantuję wam, że nie zejdzie na złą drogę. Jeśli chcecie, możemy wyjechać z Kolumbii na zawsze. Przysięgam, że będzie żył uczciwie.

— Musi nas pani zrozumieć: istnieje uzasadniona obawa, że jeżeli Juan Pablo zostanie z kasą, któregoś dnia mu odbije i zacznie rozrabiać, pokuma się z kimś i zacznie nam tu mącić. Dlatego przyjęliśmy zasadę, że tylko kobiety mogą pozostać przy życiu. Wobec tego zgadzamy się na rozejm, ale pani syn musi zginąć — upierał się.

Dla rozładowania napięcia Miguel Rodríguez wyjaśnił, dlaczego zgodzili się na spotkanie mamy z całą mafią:

— Siedzi tu pani dzisiaj, bo wysłuchaliśmy kaset i wiemy, że zawsze szukała pani rozwiązania problemów; nigdy nie namawiała pani męża do podsycania wojny ani do tego, żeby nas powybijał. Wręcz przeciwnie, zawsze prosiła go pani, żeby zawarł z nami pokój. Trudno mi tylko pojąć, jak to możliwe, że popierała pani bezwarunkowo taką bestię? Jak w ogóle mogła pani pisać listy miłosne do tego niewiernego skurwiela? Kazaliśmy naszym żonom posłuchać tego, co pani mówi na nagraniach, żeby brały przykład, jak kobieta powinna wspierać swojego mężczyznę.

Później, przedstawiając swego rodzaju inwentarz, Miguel Rodríguez orzekł:

— Musi pani pomówić z Robertem Escobarem i z zabójcami, którzy siedzą w więzieniach, żeby zapłacili. Na Roberta przypadają dwa lub trzy miliony dolarów, a drugie tyle na zatrzymanych. Pani jest nam wszystkim winna coś około stu dwudziestu milionów dolarów, więc proszę się

zastanowić, jak nam to pani spłaci, byle w gotówce. Oczekujemy tu pani za dziesięć dni z konkretną, uczciwą odpowiedzią.

Zapadła długa cisza. Mama z Alfredem natychmiast wyruszyli z powrotem do Bogoty. Przez całą drogę mama płakała rozpaczliwie, Alfredo prowadził. W ciągu dziesięciu godzin podróży nie odezwała się ani słowem. Była przybita, zgnębiona, bo samotnie musiała stawić czoło bandytom, którzy kilka tygodni wcześniej zabili jej męża, a teraz chcieli zabić syna i zabrać jej wszystko, co zostało.

Kręta droga powrotna do stolicy dobiegła końca. Nikt nie zauważył nieobecności mamy, która weszła do Residencias Tequendama, podobnie jak przy wyjściu, korzystając ze schodów przeciwpożarowych.

Odpocząwszy nieco, Alfredo i mama streścili to, co się wydarzyło, włącznie z postanowieniem *capos*, że mnie zabiją. Podczas tej rozmowy mama wspomniała, że zwróciło jej uwagę to, że „Pacho" Herrera, szef kartelu z Cali, nie był w czasie zebrania grubiański i nie żądał żadnego odszkodowania finansowego.

W następnych dniach podjęliśmy próbę oszacowania przybliżonej wartości majątku ojca, w tym nielicznych dzieł sztuki, które się uratowały, ich stanu fizycznego i prawnego. Z mamą, siedmioma adwokatami i innymi doradcami spędzaliśmy długie godziny na zbieraniu danych. Wypytywaliśmy więźniów i krewnych, bo sami znaliśmy nie więcej niż trzydzieści procent dóbr ojca, które były rozproszone po całym kraju. Na podstawie tych informacji sporządziliśmy listę, którą wysłaliśmy do Cali, żeby każdy *capo* mógł sobie wybrać nieruchomość, która najbardziej mu się spodoba.

Najważniejsze było przekonanie *capos*, że nie dysponujemy pieniędzmi w gotówce, bo zniknęła forsa ze skrytki, a na dobitkę stryj Roberto roztrwonił trzy miliony, które ojciec zostawił mu dla nas.

W wyznaczonym terminie mama i Alfredo ponownie udali się do Cali na spotkanie z tą samą grupą mafiosów co wcześniej. *Capos* nie upierali się przesadnie przy gotówce, bo wiedzieli aż za dobrze, że całymi latami przypuszczali ataki, których celem było osłabienie ekonomicznej potęgi ojca; wiedzieli również, że Pablo zaprzestał handlu narkotykami kilka lat wcześniej, bo wojna odciągnęła go od interesów, i zajmował się głównie wydawaniem pieniędzy na walki. Zdawali sobie sprawę, że zlecane przez niego porwania połączone z wymuszeniami wynikały właśnie z braku płynności finansowej.

Sytuacja ojca w tamtym okresie została opisana w książce *Tak właśnie zabiliśmy Patróna*, opublikowanej we wrześniu 2014 roku przez Diega Murillo Bejarano alias „Berna". „Pablo był człowiekiem samotnym, totalnie osaczonym. Z jego potęgi i majątku praktycznie nic już nie zostało. On, który w swoim czasie zaliczał się do najbogatszych ludzi globu, trafił w szeregi »Asotrapo«[14], zrzeszenia zubożałych dilerów".

Tym razem zebranie w Cali było znacznie dłuższe, bo zaczęli sprawdzać jedną po drugiej posiadłości z listy przywiezionej przez mamę. Na szczęście zdecydowali, że zaakceptują spłatę pięćdziesięciu procent długu w dobrach skonfiskowanych przez prokuraturę, a pozostałe pięćdziesiąt procent w nieruchomościach z uregulowaną sytuacją prawną, które w każdej chwili można sprzedać.

Nie dziwiło nas, że chcą dostać skonfiskowany majątek. Ktoś mógłby sądzić, że było to z ich strony głupotą, jednak walka przeciwko ojcu zdołała połączyć wielu *narcos*, licznych funkcjonariuszy i urzędników wysokiego szczebla z Kolumbii i innych krajów, dlatego mieli podstawy, by sądzić, że legalnie staną się posiadaczami owych posiadłości. Posiadłości, których nam i tak nigdy by nie zwrócono.

Cóż. Na długiej liście dóbr, którą im daliśmy, znajdowała się działka o powierzchni dziewięciu hektarów, która w tamtym czasie kosztowała fortunę, a którą zainteresował się Fidel Castaño za pośrednictwem „Aleksa” (pod tym pseudonimem znany był wśród Pepes jego brat), ponieważ sąsiadowała z posiadłością Fidela — Montecasino. Tym sposobem jeszcze bardziej powiększył swój i tak już ogromny teren.

Oddaliśmy także wiele innych bardzo cennych działek w mieście. Obecnie stoją na nich hotele i różnego rodzaju dochodowe firmy handlowe.

Spotkania, w których brała udział mama, odbywały się nie tylko w Cali. Do wielu z nich doszło w Bogocie. Za którymś razem zabrała ze sobą obrazy Fernanda Botero i kilka wcześniej wycenionych przez specjalistę rzeźb. W ten sposób spłacaliśmy nieprzyjaciół ojca za szkody i straty, jakie przez niego ponieśli. Na koniec została nam już tylko sztuka użytkowa, która ich nie interesowała.

Nie uratował się także kompleks wieżowców Miravalle w El Poblado, w pobliżu wzgórza Tesoro, wybudowany przez ojca w latach osiemdziesiątych. Wiele mieszkań sprzedano wcześniej, jednak pozostałych kilkanaście także przekazaliśmy wierzycielom. Przez długie lata babcia Hermilda mieszkała tam w penthousie.

Pamiętam, że w spisie pojawiła się posiadłość, o której nigdy wcześniej nie słyszałem. Znajdowała się w rejonie Llanos Orientales, a kiedy zobaczyłem jej rozmiary, pomyślałem, że to pomyłka w zapisie: 100 000 hektarów.

Na listę trafiły również samoloty, helikoptery, wszelkiego rodzaju samochody, mercedesy, bmw, jaguary, stare i nowe motory najlepszych marek, motorówki i skutery wodne. Wszystko to oddaliśmy. Wszystko. Nie mogliśmy ryzykować, kłamiąc i zatajając jakieś dobra. Wiedzieliśmy, że

Pepes mają dostęp do wszelkich informacji, bo trzymali z ojcem sztamę w przeszłości.

Nie ulegało wątpliwości, że przekazaliśmy znaczną część majątku, ale wiedzieliśmy dobrze, że to wciąż za mało na pokrycie kosmicznego długu, którego spłaty domagali się *capos*. Wtedy nieoczekiwanie wtrącił się Carlos Castaño, oferując mamie pomoc.

— Mam pani *Rock and Roll* Dalego. Obraz wart jest ponad trzy miliony dolarów. Oddam go pani, żebyście się jakoś dogadali — zaproponował Castaño, bez wątpienia wypełniając polecenie swojego brata Fidela, który już wcześniej obiecał zwrot obrazu.

— Nie, Carlos, niech pan nie zawraca sobie głowy zwrotem obrazu; prześlę panu oficjalne certyfikaty, proszę go sobie zatrzymać — odpowiedziała mama niemal instynktownie, wprawiając *capos* w zdumienie.

Tym razem burzliwe spotkanie miało inny charakter, bo ogromny stół bardziej przywodził na myśl kancelarię notarialną, w której nowi właściciele (wspierani poradami pięciu prawników) wybierali sobie tereny i nieruchomości, jakby grali w Monopol.

Trzy godziny później w ramach podsumowania Miguel Rodríguez powiedział:

— Cokolwiek by się działo, nigdy więcej nie narodzi się już w Kolumbii taki gigant jak Pablo Escobar.

Wracając z Cali, mama znów płakała. Tylko że tym razem w połowie drogi Miguel Rodríguez zadzwonił na komórkę do Alfreda.

— Wdowa po Pablu jest nie w ciemię bita, wie, co robi: ależ dziś strzeliła gola! Dzięki zagrywce z tym obrazem Dalego owinęła sobie wokół palca nie kogo innego jak samego Carlosa Castaño.

Dziesięć dni później, na trzecim spotkaniu odbywającym się w tym samym co poprzednio miejscu, stawiło się już mniej *capos*, ponieważ wielu uznało, że ich dług został spłacony dobrami, które im przekazaliśmy.

Jednak na tym zebraniu pojawił się nowy element — ja.

— Proszę się nie martwić, teraz nastanie pokój. Ale pani syna musimy zabić — oświadczył raz jeszcze Gilberto Rodríguez.

Mimo dramatyzmu chwili i wyroku śmierci wydanego na mnie mama powtarzała, iż gwarantuje, że nie mam najmniejszego zamiaru kontynuować wojny ojca; przytoczyła tak liczne i różnorodne argumenty, że wreszcie *capos* pozwolili jej przyprowadzić mnie na następne spotkanie, dwa tygodnie później. Wtedy miała się zdecydować moja przyszłość.

Wraz z mamą i moją dziewczyną zaczęliśmy godzić się z myślą, że wcześniej czy później będę musiał pojechać do Cali. Siostrze nie wspominaliśmy o niczym i utrzymywaliśmy ją w przekonaniu, że wszystko jest w porządku i nic złego się nie stanie.

Czy powinienem spróbować ucieczki i zginąć przy okazji? Mógłbym przetrwać jakiś czas, ukrywając się w Kolumbii, a potem za granicą, bo ostatecznie trochę się nauczyłem, obserwując, jak radził sobie ojciec, pozostając w podziemiu przez kilkanaście lat. Jednak gdybym nie stawił się na spotkanie, odbiłoby się to negatywnie na mamie i siostrze. Ponadto wiedziałem doskonale, że Pepes zdobyli ogromną władzę i byli w stanie zlokalizować mnie choćby na końcu świata.

Ukrywanie się nie miało chyba wielkiego sensu, bo jedynie przedłużało wojnę, której nie zacząłem, której nie potrzebowałem i którą nie kierowałem, a raczej cierpiałem z jej powodu i uciekałem przed nią, od kiedy sięgam pamięcią. Ostatecznie, w chwili podejmowania decyzji, zaważyły uczucia, które nosiłem głęboko w sercu, a które podpowiadały

mi, że jeśli naprawdę chcę pokoju, powinienem pójść i go zaprowadzić, uszanować i przypieczętować; uścisnąć dłonie przeciwników ojca.

Siedząc samotnie na chłodnym tarasie naszego wynajętego w dzielnicy Santa Ana apartamentu, dokąd dotarliśmy po okropnym pobycie w Residencias Tequendama, rozmyślałem o tym, że musiałem uciekać, jeszcze zanim się urodziłem i od kiedy pamiętam; odkąd byłem małym chłopcem, zawsze traktowano mnie tak, jakbym to ja był sprawcą wszystkich dokonanych przez ojca zbrodni.

Bóg jeden wie, że nigdy w modlitwach nie prosiłem o śmierć dla nikogo ani o więzienie czy ruinę, o chorobę, prześladowanie lub karę dla wrogów, których odziedziczyłem po ojcu. Bo tak naprawdę nie byli to moi wrogowie, to nie ja ich zdobyłem. Prosiłem Stwórcę jedynie o to, by zajął ich czymś innym, żebym nie stał się dla nich głównym celem, żeby nie postrzegali mnie jako zagrożenia, którym nie byłem.

Teraz znów znajdowałem się na rozdrożu. Musiałem stawić się na spotkanie w Cali, co mnie przerażało, bo z pewnością miała to być podróż bez powrotu.

Atmosfera w mieszkaniu w Santa Ana była napięta i ponura. To dziwne poczucie, że moje godziny są już policzone, skłoniło mnie na dwa dni przed wyjazdem do sporządzenia na komputerze testamentu, w którym zapisałem mojej dziewczynie i rodzinie matki dwie czy trzy rzeczy, jakie mi jeszcze zostały.

Miałem nadzieję, że jeśli stawię się dobrowolnie, zemsta wrogów ojca skupi się jedynie na mnie, a ich gniew nie dosięgnie Manueli ani mamy. Doznałem chyba jakiegoś szoku, bo nie czułem nic wobec możliwości, że niebawem moje paznokcie, zęby i oczy zostaną wyrwane z poćwiartowanego ciała, co przytrafiło się wielu znanym mi osobom podczas okrutnej wojny między kartelami.

Tak oto około czwartej rano, kiedy nasi ochroniarze jeszcze spali, zeszliśmy na dół i wyruszyliśmy do Cali z mamą i wujkiem Fernandem Henao, który prowadził toyotę. Podróż upłynęła spokojnie, przez większość drogi zastanawialiśmy się, jak zachować się podczas spotkania z narkobossami. Tak naprawdę jednak nie było nad czym dumać. Uważałem się już za martwego.

Około szóstej po południu dotarliśmy do Cali i zatrzymaliśmy się w hotelu, do którego weszliśmy wprost z podziemnego parkingu. Dysponowaliśmy dużym pokojem na ósmym piętrze. Nie musieliśmy zgłaszać się w recepcji, bo hotel należał do kartelu. W pokoju na wszelki wypadek rozmawialiśmy ściszonym głosem, zakładając, że jest tam pełno podsłuchów. Zrezygnowałem także z posiłku w obawie, że zechcą mnie otruć, i piłem jedynie wodę z kranu.

Tamtej nocy długo klęczałem, modląc się z płaczem. Błagałem Boga, by mnie ocalił, by dał mi jeszcze jedną szansę i zmiękczył serca moich katów.

Wiedzieliśmy, że nic się nie stanie aż do następnego ranka, postanowiliśmy więc pójść do Palmiry i przywitać się z krewnymi matki. Zjedliśmy u nich, a krótko po dziesiątej wieczorem mama odebrała telefon na komórkę. Dzwonił „Pacho” Herrera, który przywitawszy się, poprosił o zorganizowanie spotkania z rodziną ojca, by mogli porozmawiać o spadku i podziale majątku.

— Don Pacho — odparła mama — niech się pan tym nie martwi. Sami to załatwimy w rodzinie, bo Pablo zostawił testament. Jesteśmy tu, ponieważ don Miguel Rodríguez wezwał nas na pertraktacje pokojowe i zależało nam, żeby w spotkaniu wziął udział mój syn Juan Pablo, który przybył tu ze mną uporządkować sytuację.

Około dziesiątej rano następnego dnia przyjechał po nas wysłany przez Miguela Rodrígueza mężczyzna, siedzący za kierownicą białego renaulta

18 z przyciemnianymi szybami.

Wstałem o siódmej rano, niezwykłej dla mnie porze, bo podobnie jak ojciec przyzwyczajony byłem kłaść się spać o świcie i zaczynać dzień koło południa. Jak zwykle wziąłem długą, ponadgodzinną kąpiel, spodziewając się najgorszego. Zaczerpnąłem głęboko powietrza, odchrząknąłem i powtórzyłem sobie kilka razy: „Dziś skończy się to prześladowanie. Nie będę już musiał uciekać przed nikim ani niczym”.

Mama także nie była w stanie ukryć swego niepokoju. Cały czas milczała, choć wujek Fernando próbował podnieść ją na duchu.

— Nie denerwujcie się, nic się nie stanie — powtórzył kilka razy, ale sam też wyglądał na mocno strapionego.

Wsiedliśmy do auta i w niecałe dziesięć minut kierowca zajechał do podziemnego garażu w budynku położonym nieopodal siedziby radia Caracol. Nikt tego nie zauważył, ale w tamtej chwili ogarnął mnie straszliwy niepokój, wzburzenie kogoś, kto idzie na śmierć. Kierowca odprowadził nas na ostatnie piętro, gdzie pożegnał się, mówiąc, żebyśmy poczekali we wskazanej przez niego sali. Moją uwagę zwróciło to, że nie było tam uzbrojonych ludzi i nikt mnie nie zrewidował.

Skierowaliśmy się do wskazanego pomieszczenia i stanęliśmy jak oniemiali, gdy odkryliśmy, że w środku siedzi babcia Hermilda, ciocia Luz María z mężem Leonardem, wujek Argemiro i mój kuzyn Nicolás.

Przyciemniane szyby w oknach nadały ponury nastrój nieoczekiwanemu spotkaniu z krewnymi, którzy z pewnością zauważyli naszą konsternację, bo do tej pory sądziliśmy, że jedynie mama była w kontakcie z przeciwnikami ojca w celu wynegocjowania rozejmu dla całej rodziny.

Skąd się tu wzięli? Kto ich przywiózł? Uznaliśmy za bardzo dziwne i podejrzane, że w czasie gdy my informowaliśmy wszystkich krewnych o postępach rokowań pokojowych, oni nigdy nie powiedzieli nam, że mają

bezpośredni dostęp do *capos* z Cali. Zobaczyć, że czują się na terenie naszych wrogów swobodnie, niczym u siebie w domu, było jak cios prosto w serce. Nicolás brał tam sobie nawet jedzenie z lodówki.

Oczywiście powitanie wypadło chłodno i na dystans. Przez kilka minut, które spędziliśmy, czekając wspólnie, wymieniliśmy jedynie kilka grzecznościowych zwrotów. Oniemiały zerkałem na mamę, kontemplując obraz rodziny, jaki roztaczał się przed naszymi oczami. Nie mogłem uwierzyć, że na spotkaniu, podczas którego miano zadecydować, czy zostanę skazany na śmierć, temat ten został odłożony na później — na prośbę mojej własnej babci! — która wolała omówić najpierw sprawę spadku po swoim synu Pablu.

Ubrany na czarno kelner poprosił nas o przejście do większej sali, gdzie stały dwie trzyosobowe sofy, dwa krzesła po bokach i szklany stół pośrodku.

Ledwie usiedliśmy, wszedł Miguel Rodríguez Orejuela, a za nim Helmer „Pacho” Herrera i José Santacruz Londoño, szefowie kartelu z Cali. Gilberto Rodríguez się nie pojawił.

Usiedliśmy z mamą i Fernandem na sofie. Chwilę później weszli krewni ze strony ojca i zajęli drugą sofę. Rodzina Escobar Gaviria wbiła wzrok w ziemię. Unikali naszego spojrzenia, bo zdawali sobie sprawę, że właśnie w tym dniu wszelkie więzy między nami ulegną zerwaniu. Trudno było dłużej ukrywać, że zdradzili ojca i jego rodzinę. Na kilometr było widać, że traktowano ich inaczej. Przypomniałem sobie wtedy słowa mamy, która na jednym z wcześniejszych spotkań zaproponowała, że zapłaci, by uratować rodzinę ojca, na co Miguel Rodríguez powiedział jej:

— Niech pani nie traci pieniędzy na ten motłoch. Nie warto. Nie widzi pani, że oni jako pierwsi wydrapią oczy pani i dzieciom? Proszę pozwolić im zapłacić część, która na nich przypada, bo mają z czego. Nie zasługują

na pani wspaniałomyślność. Proszę mi wierzyć — powtarzał kilka razy mamie, która podobnie jak ja nie wiedziała wówczas o podwójnej grze ludzi, w których żyłach płynęła przecież ta sama krew.

Podczas spotkania zauważyłem dwie przeciwstawne postawy. „Pacho" Herrera trzymał wyraźnie stronę babci i stryjów, natomiast Miguel okazywał życzliwość nam.

Wzrok wszystkich spoczął na Miguelu Rodríguezie, który usiadł na jednym z krzeseł, a obok niego miejsca zajęli „Pacho" Herrera i „Chepe" Santacruz. Czekaliśmy, aż coś powie lub przynajmniej przełamie lody. Minę miał niezwykle poważną, wręcz kwaśną, sądząc po zmarszczonej brwi. Wreszcie postanowił się odezwać.

— Pomówmy o spadku po Pablu — zaczął, nie witając się. — Wysłuchałem żądań jego matki i rodzeństwa, którzy chcą, by w podziale zostały uwzględnione dobra, które za życia podarował swoim dzieciom.

Wtedy wtrąciła się babcia i rozmowa stała się jeszcze bardziej napięta.

— Tak, don Miguel, chodzi nam o nieruchomości Mónaco, Dallas i Ovni, które Pablo zapisał na Manuelę i Juana Pabla, by uchronić je przed problemami formalnymi, ale należały do niego, a nie do jego dzieci. Dlatego nalegamy, by włączyć je do masy spadkowej.

Podczas gdy mówiła, nie mogłem oprzeć się myśli, że to jakiś absurd: babcia i stryjowie przyjechali do kartelu w Cali tylko po to, żeby rozwiązać problem, który dotyczył wyłącznie rodziny Escobar Henao z Medellín. Pomyślałem, że ojciec z pewnością przewraca się w grobie, widząc, jak własna matka i rodzeństwo zwracają się przeciwko jego dzieciom.

Wtedy przyszła kolej na mamę:

— Doña Hermilda, od kiedy Pablo wybudował te domy, powiedział jasno, że daje je dzieciom, bo rodzinie zostawił wiele innych rzeczy;

doskonale pani wie, że tak było, niezależnie od tego, że przyjechaliście tutaj, by, z całym szacunkiem, opowiadać zmyślone historie.

Miguel Rodríguez wtrącił się do rozmowy:

— Ja na przykład mam spółki na nazwisko moich dzieci i już teraz za życia postanowiłem im przekazać majątek tych spółek. Dokładnie tak samo postąpił Pablo. A zatem majątek, który chciał zostawić dzieciom, zostaje dla jego dzieci i nie ma o czym mówić. To, co należy do moich dzieci, należy do moich dzieci, a to, co Pablo postanowił dać swoim, należy do dzieci Pabla. Resztę możecie podzielić między siebie zgodnie z testamentem.

Wszyscy zamilkliśmy.

Po długiej chwili ciszy, która nastąpiła po konkluzji Miguela Rodrígueza, głos zabrał mój kuzyn Nicolás, wypowiadając zdanie, które na szczęście zakończyło to dziwaczne spotkanie.

— Chwilunia, a co wobec tego zrobimy z dziesięcioma milionami dolarów, które wujek Pablo był winny tacie? Bo chyba wszyscy tu wiedzą, że to mój ojciec utrzymywał Pabla...

Absurdalna i chybiona uwaga kuzyna wzbudziła śmiech wśród *capos* kartelu z Cali, którzy popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

Nie mogłem się powstrzymać, by mu nie odpowiedzieć.

— Macie go! Ten dopiero plecie! W takie bzdury nikt ci nie uwierzy, Nicolás. Zaraz powiesz, że to ptaszki strzelają do myśliwych. Teraz się okazuje, że to twój tata utrzymywał mojego… No weź, nie pieprz.

Rodríguez, „Pacho” Herrera i „Chepe” Santacruz wymienili uśmieszki, po czym wstali z miejsc i odeszli w głąb salonu bez pożegnania.

Skonsternowany dałem mamie znak, żeby wróciła do zasadniczego powodu naszego spotkania. Przecież chodziło tu o moje życie. Zrozumiała natychmiast, wstała z miejsca, poszła za *capos* i poprosiła o pięć minut rozmowy. Zgodzili się, więc przywołała mnie gestem ręki.

Usiedli w innym pomieszczeniu, krzyżując ramiona na piersiach. Zrozumiałem, że nadeszła chwila, bym postawił wszystko na jedną kartę.

— Przyjechałem tu, bo pragnę zapewnić, że nie mam najmniejszego zamiaru mścić śmierci ojca. Chciałbym, o czym panowie już wiedzą, wyjechać z kraju i skończyć studia, by stworzyć sobie większe możliwości, niż mam tutaj. Nie planuję zostawać w Kolumbii, żeby nikomu nie wchodzić w drogę, jednak nie mam jak zrealizować tych zamiarów. Wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości znalezienia wyjścia z sytuacji. Doskonale zdaję sobie sprawę, że jeśli chcę żyć, muszę wyjechać.

— Kolego, powinieneś przede wszystkim wbić sobie do głowy, żeby nie mieszać się w żadną dilerkę czy inne szemrane interesy; domyślam się, co czujesz, ale o jednym musisz pamiętać: taki tur jak twój ojciec nie rodzi się dwa razy z rzędu — odezwał się Santacruz.

— Może pan być o to spokojny, tę lekcję już odrobiłem: wiem, że handel narkotykami to przekleństwo.

— Chwileczkę, młody człowieku — wtrącił Miguel Rodríguez, podnosząc głos — jak możesz mówić, że handel narkotykami to przekleństwo? Popatrz tylko, jak dobrze mi się wiedzie! Moja rodzina żyje w luksusie, mam duży dom, własny kort tenisowy, wychodzę sobie codziennie na przechadzkę…

— Don Miguel, proszę mnie zrozumieć, życie nauczyło mnie czegoś zupełnie innego. Przez narkobiznes straciłem ojca, krewnych, przyjaciół, wolność i spokój, cały nasz majątek. Proszę wybaczyć, jeżeli w jakiś sposób pana uraziłem, ale nie potrafię patrzeć na to z innej perspektywy. Dlatego korzystając ze sposobności, pragnę zapewnić, że z mojej strony nie dojdzie do żadnych aktów przemocy. Już zrozumiałem, że zemsta nie wróci mi ojca, i powtarzam: pomóżcie nam wyjechać z Kolumbii. Napotykam tyle przeszkód przy wyjeździe, że obawiam się, iż może to być rozumiane

jako brak chęci do opuszczenia kraju. Nawet linie lotnicze nie chcą mi sprzedać biletu.

Z rozpędu, już dużo mniej spięty, odważyłem się zaproponować:

— A może zamiast jednego stukilowego worka kokainy weźmiecie mnie do swojego samolotu? Ważę tyle samo. W ten sposób wywieźlibyście mnie z kraju...

Emocjonalna rozmowa i szczerość moich intencji przyniosły chyba jakiś skutek, bo w jednej chwili zniknął ostry ton, w jakim przemawiał wcześniej Miguel Rodríguez, który znów wziął na siebie rolę sędziego.

— Zdecydowaliśmy, że damy pani synowi szansę. Rozumiemy, że jest jeszcze dzieckiem i powinien nim pozostać. Od tej pory odpowiada pani życiem za jego czyny. Musi pani przysiąc, że nie pozwoli mu zejść na złą drogę. Zostawimy wam budynki, żebyście się z ich pomocą jakoś pozbierali. Pomożemy wam je odzyskać. W tym celu trzeba też będzie zainwestować trochę pieniędzy w wybory prezydenckie. Niezależnie od tego, kto wygra, poprosimy go, by wam pomógł, powiemy im, że wspieraliście ich sprawę.

Potem przemówił „Pacho” Herrera, który wcześniej się nie odzywał.

— Bądź spokojny, kolego, dopóki nie zaczniesz się mieszać do narkobiznesu, nic ci się nie stanie. Nie musisz się już obawiać. Chcieliśmy, żebyś tu do nas przyjechał, by upewnić się co do twoich dobrych intencji. Nie możemy jednak dopuścić, żebyś został z dużą ilością pieniędzy, bo jeszcze ci odbije, jak pozostaniesz bez naszego nadzoru.

— Nie gryźcie się tym więcej — dorzucił Miguel Rodríguez. — Możecie nawet zostać tu w Cali, jeśli chcecie, nikt wam nic nie zrobi. Pójdźcie sobie obejrzeć sklep mojej żony, która handluje odzieżą. Poczekajcie, aż nowy prezydent obejmie urząd, pomożemy wam — podsumował *capo*, uznając naszą dwudziestominutową rozmowę za skończoną.

W tamtej chwili nie zwróciłem uwagi na słowa Miguela Rodrígueza o „nowym prezydencie, który obejmie urząd”, mieliśmy je zrozumieć kilka tygodni później.

Pożegnaliśmy się dość uprzejmie, a *capo* zadzwonił po tego samego kierowcę, który zabrał nas rano z hotelu, i polecił mu zawieźć nas do sklepu jego żony Marthy Lucíi Echeverry.

Wyszliśmy. Chyba nigdy w życiu nie czułem takiej goryczy: musiałem przetrawić dwa twarde i niezaprzeczalne fakty, które miałem przed sobą. Z jednej strony potwierdziły się podejrzenia, że rodzina ojca nas zdradziła, a z drugiej — *capos* z Cali darowali mi życie. Zawsze spodziewałem się po nich wszystkiego, co najgorsze, ale teraz musiałem z wdzięcznością przyznać, że don Miguel i Pepes uszanowali integralność fizyczną mamy, siostry i moją.

Kierowca Miguela Rodrígueza szybko dotarł do ekskluzywnej dzielnicy handlowej w Cali i pokazał nam odzieżowy dom handlowy. Mama weszła do środka, ja wolałem zostać na zewnątrz. Spacerując po okolicy, zatrzymałem się przed sklepem z męską odzieżą, gdzie zobaczyłem szlafrok w szkocką kratę. Kupiłem go.

Było to dziwne uczucie: nagle znów poczułem się żywy. Przybyłem tu na spotkanie własnej śmierci, a parę chwil później cali i zdrowi przechadzaliśmy się już po włościach wszechpotężnych *capos* z Cali. Kilka godzin później szofer odstawił nas do hotelu. Tej samej nocy wróciliśmy do Bogoty.

Po raz pierwszy od dawna poczuliśmy prawdziwy spokój, bo zrzuciliśmy z siebie wielki ciężar, przekazując dużą część majątku narkobossom z Cali i Pepes. Wciąż jednak wielu innych potężnych *capos* oczekiwało na swoje pieniądze. Kiedy zdejmowałem spodnie, moja dziewczyna zapytała, czy przeczytałem wiadomość, którą włożyła mi do kieszeni na tę śmiertelną

podróż. Zapewniała mnie w niej o swojej miłości i przekonywała, że wszystko się jakoś ułoży.

Teraz trzeba było chwycić byka za rogi, dlatego też mama, nie zwlekając, spotkała się z Diegiem Murillo Bejarano, „Berną". Zrobiła to pod naciskiem Carlosa Castaño, który zaprosił ich do domu na wzgórzu zwanym Los Balsos koło Isagen, w Medellín. Jednak to pierwsze spotkanie źle wypadło, ponieważ „Berna" znieważał mamę, że wyszła za Pabla, a ona, zmęczona już pogróżkami, grubiaństwem i prześladowaniami tylu mafiosów, odpowiedziała mu ostro i w efekcie szybko się pożegnali.

— Drogi panie, jestem kobietą i nie będzie mnie pan więcej obrażał ani się nade mną znęcał. Nie widzę powodu, dla którego miałabym znosić pańskie obrzydliwe słowa, skoro zyskałam sobie szacunek pańskich przyjaciół. Więc bardzo proszę być miłym i odnosić się do mnie z szacunkiem, a nie bezczelnie i obraźliwie.

Castaño zadzwonił do niej tego dnia wieczorem i powiedział, że „Berna" jest mocno zdegustowany i trzeba go szybko ułagodzić.

— Doña Victoria, „Berna" to gwałtownik. Rozumiem, że panią sprowokował, mówiąc niemiłe rzeczy, ale proszę zrozumieć, to bardzo zły człowiek i trzeba mu dać jakiś prezent na pojednanie.

Incydent ten miał nas drogo kosztować, bo podczas następnego spotkania, również zorganizowanego przez Carlosa Castaño, mama musiała na przeprosiny podarować „Bernie" drogie mieszkanie i poprosić o wybaczenie. Tylko w ten sposób mogła kontynuować rozmowy na temat reszty majątku.

Podczas naszego pobytu w Santa Ana przyzwyczailiśmy się, że co chwilę zjawiał się ktoś, by zabrać mamę na rozmowę z różnymi *capos*, którzy mieszkali w stolicy lub właśnie byli w niej przejazdem. Czasami spotkania te odbywały się w pobliżu, w dzielnicy, w której mieszkaliśmy. Nie ulega

wątpliwości, że ludzie ci często korzystali z okazji i jej osamotnienia, by domagać się więcej pieniędzy, więcej obrazów, więcej rzeczy. Częstowali ją whisky, której ona nigdy nie chciała pić, co wcale im się nie podobało. W widoczny sposób chcieli wykorzystać sytuację. Patrzyli na nią jak na trofeum wojenne. Na szczęście wujek Fernando dotrzymywał nam towarzystwa w tych chwilach i zwykle interweniował, zapobiegając dalszym upokorzeniom.

Zapewne do najtrudniejszych negocjacji tamtego okresu zaliczały się rozmowy z *comandante* „Chaparro", potężnym szefem oddziałów narkoparamilitarnych z Magdalena Medio, śmiertelnym wrogiem ojca.

Za zgodą prokuratury Carlos Castaño zawiózł mamę pancernym mercedesem na lotnisko Guaymaral na północy Bogoty, skąd helikopterem polecieli do hacjendy na pograniczu Caldas i Antioquii.

Podczas podróży Castaño wyjawił nam szczegóły śmierci ojca, których nie znaliśmy.

— W Pepes morale nam już bardzo spadło. Zabiliśmy dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi Pabla w terenie, jednak jego samego nie zdołaliśmy dopaść. Byliśmy o krok od poddania się, bo zbliżał się grudzień, a wtedy jest trudniej. Doszło nawet do tego, że niektórzy ważniejsi Pepes mówili, że jeśli nie będziemy mieli efektów w grudniu, zrezygnują z dalszego polowania. I jakby tego było mało, pułkownicy z Działu Śledczego Policji dostali już ultimatum.

Mama w milczeniu słuchała zwierzeń Castaño.

— Żeby go zlokalizować, musieliśmy sprowadzić z Francji najbardziej nowoczesny sprzęt do namierzania rozmów telefonicznych, bo ten amerykański źle działał.

— Kto właściwie zabił Pabla? — zapytała mama.

— Byłem osobiście obecny przy końcowej akcji. Policja zawsze puszczała nas przodem podczas takich operacji. Tym razem czekali koło Obelisco. Kiedy zabiliśmy Pabla, zadzwoniliśmy po nich. Pablo usłyszał pierwsze uderzenie młota, którym chcieliśmy rozbić drzwi, i pobiegł na bosaka po schodach na piętro. Strzelił kilka razy z pistoletu sig sauer, dwa z tych strzałów trafiły mnie w kamizelkę kuloodporną i upadłem na plecy. W tym momencie „Limón” leżał już zabity w ogródku przed domem. Pablo skorzystał z chwili, kiedy nikogo nie było w pobliżu, otworzył okno, zszedł po metalowych schodkach, które zainstalował tam zawczasu na wypadek ucieczki, i dotarł na dach sąsiedniego domu. Nie spodziewał się jednak, że paru moich ludzi już się tam wcześniej dostało, i próbował zawrócić. W tym momencie dostał w bark z karabinu, od tyłu. Druga kula trafiła go w nogę. Gdy wyjrzałem przez okno, przez które wyskoczył, zobaczyłem, że jest już martwy.

Mama nie miała czasu zareagować na relację, której właśnie wysłuchała, bo w tym momencie helikopter wylądował na pustym terenie, gdzie oczekiwał ich *comandante* „Chaparro” w asyście dwustu uzbrojonych ludzi. Przywitał się serdecznie z Castaño, po czym podszedł do mamy.

— Dzień dobry, jestem *comandante* „Chaparro”. Przedstawiam pani mojego syna. Pani mąż zabił mi drugiego i zorganizował na mnie trzynaście zamachów, z których cudem się uratowałem.

— Rozumiem sytuację, ale pragnę pana zapewnić, że ja nie miałam nic wspólnego z tą wojną. Byłam jedynie żoną Pabla i matką jego dzieci. Proszę powiedzieć, co mogę zrobić, żeby zawrzeć z panem pokój? — odparła mama.

Konflikt z *comandante* „Chaparro” był nie byle jaki. Pamiętam, że tata na koniec wręcz się śmiał, kiedy jego ludzie donosili mu, że znów im się wymknął. Dwa razy podłożyli mu potężną bombę, rozwalając jego auto

i motorówkę w drobny mak, ale on sam nie zginął. Ojciec, zrezygnowany, stwierdził, że ten człowiek ma więcej żyć niż kot.

Działo się to pod koniec lat siedemdziesiątych. „Chaparro” pochodził ze wsi, pokłócili się z tatą z nieznanych mi powodów, a wtedy on zgadał się się z Henrym Pérezem, jednym z pierwszych przywódców paramilitarnych w Magdalena Medio, do którego ojciec miał żal, że nie chciał dać kasy na walkę z ekstradycją. W odpowiedzi na sojusz z Pérezem tata wypowiedział wojnę „Chaparro”. Ostatecznie Pérez został zabity przez płatnych zabójców ojca, któremu aż do śmierci nie udało się wyeliminować „Chaparro”.

Po kilku godzinach intensywnych negocjacji mama i *comandante* „Chaparro” doszli do porozumienia. Przekazaliśmy mu kilka majątków, w tym folwarki o powierzchni czterystu hektarów, odpowiednie na hodowlę bydła lub dla górnictwa. Zostawiliśmy mu także agregat prądotwórczy z hacjendy Nápoles, tak potężny, że mógł oświetlić całe miasteczko, który zresztą przywłaszczył sobie już wcześniej. Mama powiedziała mu, żeby wziął sobie z hacjendy, co zechce. I tak nie uważaliśmy jej już za naszą własność.

Mama poprosiła Carlosa Castaño, by oddał jej przysługę i pomógł zlokalizować ciała przynajmniej pięciu spośród naszych pracowników zabitych przez Pepes, łącznie z nauczycielką i nianią Manueli. Ciała te zaginęły pod koniec wojny, gdy ojciec był już praktycznie sam, a my siedzieliśmy zamknięci w mieszkaniu w budynku Altos w Medellín. Castaño odparł, że nie będzie łatwo je odnaleźć, bo Pepes zabili ponad sto osób, i nie pamięta, gdzie dokładnie je pochowali.

— Proszę pani, przekazanie tych ciał jest praktycznie niemożliwe, bo wiele z nich zostało pochowanych jako bezimienne zwłoki na różnych cmentarzach, na przykład w San Pedro.

Na zakończenie spotkania uścisnęli sobie dłonie, a *comandante* „Chaparro” upoważnił ją do przyjazdu, kiedy tylko zechce, do znajdującej się nadal w posiadaniu prokuratury hacjendy Nápoles.

Mama raz jeszcze udała się w drogę powrotną do Bogoty. Ubył jej kolejny wróg.

Minęło kilka spokojnych dni, przerywanych tylko od czasu do czasu niespodziewanymi wizytami, na przykład pewnego adwokata, który przyszedł do budynku w Santa Ana i oświadczył, że przysyłają go bracia Rodríguez Orejuela.

Po wysłuchaniu jego wyjaśnień zrozumieliśmy, że *capos* z Cali właśnie włączyli nas (nie troszcząc się o to, czy nam się to podoba, czy nie) do swojej strategii obliczonej na uzyskanie drogą przekupstwa legalnych korzyści. Zażądał od nas pięćdziesięciu tysięcy dolarów składki na wprowadzenie jednego (zredagowanego przez nich) podpunktu do prawa, które miało być dyskutowane w Kongresie, a którego celem była ochrona dóbr mafii w procesach o konfiskatę majątku. Brzmiące jak pogróżka żądanie adwokata nie pozostawiało nam wielkiego wyboru. Musieliśmy poprosić kogoś o pożyczkę, by zdobyć potrzebne pieniądze.

Ale na tym sprawa się nie skończyła. W maju 1994 roku przyjęliśmy kolejnego wysłannika z Cali. Tym razem nie był to adwokat, lecz pewien człowiek znany w kręgach mafii. Przyjęliśmy go niechętnie. Poinformował nas, że duża grupa baronów narkotykowych z południowo-zachodniej części kraju zamierza wpłacić znaczącą kwotę na poparcie kampanii prezydenckiej Ernesta Sampera. Zasugerował, że my także skorzystamy na pomocy przyszłemu rządowi, zarówno poprzez odzyskanie naszych posiadłości, jak i przy wyjeździe za granicę. W tym momencie zrozumieliśmy, że kiedy Miguel Rodríguez wspomniał w rozmowie z nami

o „następnym prezydencie, który obejmie urząd”, miał na myśli zjednanie sobie następcy Césara Gavirii.

W tym wypadku także nie mogliśmy odmówić i zobowiązaliśmy się przed wysłannikiem z Cali do przekazania tej kwoty w kilku ratach gotówką, nie wiedząc w ogóle, jakie jest rzeczywiste przeznaczenie tych pieniędzy. Wręczyliśmy nasz udział, jednak nigdy nie odzyskaliśmy majątków ani nie otrzymaliśmy żadnego wsparcia przy wyjeździe z Kolumbii. Innymi słowy, o tej obietnicy zapomniano.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że mafia nadal postrzegała nas jako źródło dochodu. Wciąż pojawiały się nowe żądania finansowe i to pod najbardziej niewiarygodnymi pretekstami. Tylko kto ośmieliłby się odmówić im pieniędzy w takich okolicznościach? Nie miało sensu zawiadamiać o tym prokuratury, gdyż w tamtym okresie doszło do takiej ostentacji, że *capos* z Cali mieli własne biuro w jej siedzibie, w tym samym budynku, w którym urzędował prokurator De Greiff.

Tam właśnie przychodzili wszyscy, którzy chcieli załatwić jakąś sprawę z kartelem z Cali. Prokuratura była pierwszym etapem. Nie zmyślam. Codziennie można było tam zobaczyć wchodzących i wychodzących Pepes, którzy czuli się jak u siebie w domu. Ilekroć przychodziliśmy do prokuratora generalnego w jakiejś sprawie, musieliśmy pytać o zdanie ludzi z Cali. By je poznać, nie trzeba było nawet wychodzić z budynku.

Nie sposób zamykać oczu na fakt, że w tamtym okresie stosunki między kartelem z Cali a Prokuraturą Generalną stały się niemal braterskie. Do tego stopnia, że któregoś dnia prokurator De Greiff oświadczył publicznie, że kartel z Cali nie istnieje. Dla niego nie istniał, bo był bardzo zajęty swoją nową i piękną sekretarką (wyznaczoną przez ludzi z Cali), dla której nawet pofarbował sobie włosy na czarno.

De Greiff wiedział o potajemnych podróżach mamy, bo choć ochrona nie zdawała sobie sprawy z jej wyjazdów, z Cali dostawał wiadomość, że przyjechała na spotkanie z *capos*. Wiele razy, kiedy odwiedzaliśmy go w jego gabinecie, robił żartobliwe uwagi na ten temat.

W połowie sierpnia 1994 roku przyjęliśmy zaproszenie *comandante* „Chaparro” i pojechaliśmy do hacjendy Nápoles w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy prokuratury i jednego policjanta z Sijin. Mama zawiadomiła *comandante*, który odpowiedział, żebyśmy o nic się nie martwili, bo gwarantuje nam bezpieczeństwo na swoim terenie. Było to coś w rodzaju miniwakacji. Przyjechaliśmy z Bogoty całą grupą: mama, Andrea, Manuela, Fernando Henao i ja. Żeby się z nami zobaczyć, zjawiła się też część rodziny z Medellín, w tym babcia Nora.

Dotarliśmy do hacjendy nocą, czekał tam na nas nasz dawny zarządca Octavio, który pościelił nam łóżka w czterech niewielkich domkach z łazienkami, z których tylko w jednym działała klimatyzacja. Tę część Nápoles nazywaliśmy „drugą stroną”, bo był tam jedynie ośrodek zdrowia, sala operacyjna, apteka zaopatrzona we wszelkiego rodzaju leki i bar El Tablazo, gdzie ojciec przechowywał pokaźną kolekcję płyt winylowych i staroci porozwieszanych na ścianach, co nadawało mu styl porządnego rockowego baru.

Jednak tym razem podczas krótkiego pobytu w Nápoles czuliśmy się jak obcy. Od kilku lat już tu nie przyjeżdżaliśmy. Prawie nic nie zostało z luksusów i przepychu lat osiemdziesiątych, kiedy lista pracowników wzrosła do tysiąca sześciuset osób. Przejechaliśmy się autem po posiadłości i z przykrością uświadomiliśmy sobie, że selwa wkroczyła do głównego domu, tak że nawet nie było widać ścian. Z jezior spoglądały na nas oczy kilku znudzonych hipopotamów.

Podczas drugiej nocy w Nápoles obudziłem się z powodu gorąca i ku mojemu zdumieniu odkryłem w pobliżu dwóch mężczyzn uzbrojonych w karabiny AK-47. Ich zachowanie nie wydało mi się wrogie, dlatego wyszedłem do nich zagadać. Rzeczywiście, okazało się, że wysłał ich *comandante* „Chaparro", żeby nas ochraniali, bo parę dni wcześniej doszło do starcia z ELN[15] w części Nápoles znanej jako Pandería, gdzie ojciec miał jedną ze swoich skrytek. Powiedzieli, żebyśmy się nie przejmowali, bo okolicę patroluje wielu ludzi.

Poczęstowałem ich *guarapo* (mieszanką wody z cytryną i cukrem trzcinowym), bo chciało im się pić i byli zlani potem. Paradoksy życia: dawna nienawiść znikła dzięki szczerej rozmowie między mamą a *comandante* „Chaparro".

Pod koniec sierpnia 1994 roku przekazaliśmy już wszystkie majątki, jakie zostawił nam ojciec, z wyjątkiem budynków Dallas, Mónaco i Ovni, które zgodnie z ustaleniami należały do mojej siostry Manueli i do mnie.

Mimo to pojawiły się jeszcze wątpliwości co do oficjalnej własności jednego samolotu i helikoptera należących do ojca, dlatego *capos* z Cali ponownie wezwali do siebie mamę na rozmowę. Pojechała natychmiast i przekonała się, że atmosfera wokół nas zmieniła się diametralnie.

Na spotkanie przybyło około trzydziestu osób, niemal tych samych, co na pierwszy szczyt na początku roku. Na koniec, kiedy rozstrzygnięto już kwestię samolotów, Miguel Rodríguez zapytał mamę, czemu nie spróbowała się z nimi wcześniej dogadać, w ten sposób można było uniknąć wojny z ojcem.

— Ależ chciałam to zrobić, ale Pablo ani myślał mnie słuchać. Przypominam wam, panowie, że kiedyś znalazłam szwagra mojego kuzyna w Palmirze, który pracował jako wasz ochroniarz, i poprosiłam go o zorganizowanie spotkania. Odpowiedź była pozytywna. Wtedy

zawiadomiłam o tym Pabla, powiedziałam mu, że od pewnego czasu szukałam kontaktu z ludźmi z Cali i że już wstępnie było zaplanowane spotkanie, bo bardzo się boję o dzieci. Ale on mi na to odrzekł, że zwariowałam, że w życiu nie pozwoli mi jechać do Cali. Żebyś ty mogła pojechać do Cali, najpierw ja muszę być martwy, oświadczył i dodał, że jestem bardzo naiwna, że brak mi przebiegłości, że nie znam życia, a jego wrogowie odeślą mnie ze spotkania owiniętą w drut kolczasty.

Ostatecznie w jednym ojciec się nie mylił: musiał umrzeć, żeby mama mogła porozmawiać z jego wrogami i pozostać przy życiu, by o tym opowiedzieć.

---

10 *Bandeja paisa* (hiszp.) — popularne w Antioquii danie regionalne serwowane na tacach.

11 *Paisa* (hiszp.) — pochodzący z rejonu Antioquii, Caldas, Risaralda, Quindío w Kolumbii.

12 *Arepa* (hiszp.) — typowy dla kuchni kolumbijskiej i wenezuelskiej niewielki placuszek z mąki kukurydzianej, substytut chleba.

13 Paramilitaryzm — ruch, w ramach którego od lat siedemdziesiątych na terenie Kolumbii działały skrajnie prawicowe nielegalne oddziały zbrojne, stworzone w celu zwalczania lewicowej *guerrilli*.

14 Asotrapo (Asociación de Traqueteros Pobres) — nieoficjalne stowarzyszenie samopomocowe zubożałych dilerów.

15 ELN (Ejército de Liberación Nacional) — Armia Wyzwolenia Narodowego, działająca w Kolumbii skrajnie lewicowa formacja partyzancka.

# Rozdział 4

# BEZBRZEŻNA AMBICJA

Krótko przed południem w czwartek 20 marca 2014 roku Alba Marina i Gloria Escobar Gaviria nieoczekiwanie zapukały do drzwi mieszkania mojej ciotki Isabel w budynku Altos w Medellín.

Żadna z nich nie zorientowała się, że moja żona Andrea zobaczyła je, wychodząc z mieszkania naprzeciw, gdzie ja w tym momencie przeglądałem dziesiątki zdjęć i listów na potrzeby niniejszej książki.

— Przypadkiem nie wychodź, twoje ciotki Gloria i Alba Marina właśnie weszły do budynku; chyba mnie nie widziały — zaalarmowała mnie żona, która natychmiast zawróciła.

— Dobrze, zobaczymy, z czym teraz wyskoczą te dwie. Nie widzieliśmy się od dwudziestu lat i zjawiają się akurat dziś. Bardzo ciekawe.

Przybycie ciotek tego ranka było zaskakujące, bo nie zapowiedziały swojej wizyty, mimo trwającego od wielu lat ochłodzenia w stosunkach pomiędzy rodzinami ojca i matki.

Dziesięć minut później, upewniwszy się, że sobie poszły, poszedłem naprzeciw zasięgnąć języka.

— Szukały cię. Wiedzą, że jesteś w mieście. Uważają, że wyrządziłeś im szkodę oskarżeniem, które złożyłeś pięć lat temu. Chcą się z tobą spotkać i jakoś dojść do porozumienia.

— Nie mam nic do powiedzenia tym paniom. Co niby chcą negocjować? Moje żądania są uczciwe, domagam się jedynie, żeby oddały to, co zabrały

mnie i mojej siostrze, a co prawnie nam się należy jako spadkobiercom dziadka Abla. Jego majątek został prewencyjnie zamrożony. Lepiej niech o tej sprawie zadecyduje sąd — odpowiedziałem.

— Przyjmij je, człowieku, nie masz nic do stracenia. Porozmawiaj z nimi, skorzystaj z tego, że jesteś tutaj i możesz to zrobić.

Ciocia Isabel wtrąciła się do rozmowy, mówiąc, że zauważyła u pań Escobar dobrą wolę i chęć ułożenia się. Wobec tego zadzwoniłem do mamy, która także przebywała w Medellín, opowiedziałem jej o wszystkim, a ona, podobnie jak jej siostra, uznała, że powinienem się z nimi spotkać.

Zapytałem jeszcze o zdanie mojego nowego adwokata Alejandra Beníteza i on także doradził mi, żebym spróbował dojść z nimi do porozumienia, bo czekał nas długi i zawiły etap procesu, który wytoczyłem we wrześniu 2009 roku niemal wszystkim moim stryjom i stryjenkom — Albie Marinie, Glorii, Argemirowi i Robertowi — w związku z tym, że w samozwańczy i nielegalny sposób weszli w posiadanie majątku zostawionego przez dziadka Abla po jego śmierci 26 października 2001 roku.

W tamtym momencie proces skupiał się na spuściźnie po dziadku, ale tak naprawdę była to już trzecia sprawa, jaką mieliśmy z naszymi krewnymi ze strony ojca w związku z dziedziczeniem majątku. Pierwsza dotyczyła podziału spadku po ojcu, druga testamentu babci Hermildy, a trzecia dziedziczenia po dziadku Ablu. Ten ostatni konflikt ciągnął się już od trzynastu lat i dlatego musiałem zobaczyć się z ciotkami.

Spór z rodziną Escobar Gaviria o majątek po ojcu wyglądał następująco: któregoś dnia we wrześniu 1983 roku, dziesięć lat przed śmiercią, tata wyjawił nam, że sporządził testament i zdeponował go w Czwartej Kancelarii Notarialnej w Medellín. Dokument pozostawał tam przez cały czas, póki nie odebraliśmy go bez przeszkód, gdy tylko skończyło się

zamieszanie z powodu gwałtownej śmierci ojca. Nie znałem jego treści, jednak niezależnie od tego, co tata zadysponował w swoim testamencie, byłem pewien, że dziadkom i stryjom niczego nie zabraknie.

Zgodnie z testamentem pewna część majątku należała się rodzinie Escobar Gaviria, o czym natychmiast ich poinformowaliśmy. Byliśmy gotowi wypełnić co do joty wolę ojca, zgodnie z którą 50 procent przypadło na mamę jako jego małżonkę, 37,5 dla mnie, a pozostałe 12,5 procent, tak zwana ćwiartka, do dyspozycji spadkodawcy[16], dla dziadków Hermildy i Abla, dla stryjów i jednej ciotki.

Dokument określał jasno zasady podziału procentowego, ale stanowił formalne wyzwanie, bo ojciec miał na swoje nazwisko jedynie trzydzieści tysięcy dolarów w akcjach i samochód marki Mercedes Benz model 1977, które zresztą zostały skonfiskowane, dlatego nie było sensu wszczynać sprawy spadkowej.

Już na wstępie wynikł poważny problem, bo tata nabył ogromną liczbę nieruchomości i innych dóbr, ale nie na własne nazwisko. Trzeba było je odzyskać. Kilka rzeczy zapisał na mnie i Manuelę, ale proces ich wywłaszczenia już się toczył w prokuraturze.

Pierwszy sygnał, że podział spadku po ojcu z krewnymi nie przebiegnie gładko, pojawił się w 1994 roku, kiedy Argemiro Escobar odwiedził nas w dzielnicy Santa Ana i oświadczył, że według testamentu przysługuje im 25 procent. Wyjaśniłem mu, że tak naprawdę należy im się tylko połowa tego, a on się wściekł. Na koniec uzgodniliśmy, że nasz adwokat i pewna kobieta specjalizująca się w sprawach spadkowych zgłoszą się do nich, żeby popchnąć sprawę do przodu.

Po kilku spotkaniach krewni zrozumieli, że ojciec zapisał im 12,5 procent majątku, i na tej podstawie oparliśmy prywatne porozumienia podczas wypełniania testamentu.

Dzięki temu rodzina Escobar Gaviria otrzymała liczne posiadłości wolne od obciążeń prawnych. W większości były to majątki wiejskie i działki w Medellín, ale znalazł się wśród nich także niebieski dom w Las Palmas, mieszkanie w pobliżu koszar Czwartej Brygady Wojska i dom w dzielnicy Los Colores, który ojciec kupił zaraz po ślubie, a którego domagała się ciocia Gloria, twierdząc, że należy do niej, gdyż dostała go od ojca w prezencie.

Dla nas zostały budynki Mónaco, Dallas i Ovni, hacjenda Nápoles, które były wtedy zajęte przez prokuraturę, ale mieliśmy nadzieję, że je odzyskamy.

Dziadkowie i stryjowie zaakceptowali wówczas taki podział majątku, lecz nie podpisaliśmy w tej sprawie żadnych dokumentów. Innymi słowy, podzieliliśmy się spadkiem po ojcu, mimo że formalnie proces ten nawet się nie zaczął.

Choć krewni ojca otrzymali już swoją część, uważali, że to, co przypadło im w udziale, było niewystarczające, i próbowali wydrzeć nam trzy budynki, argumentując, że wybudował je Pablo, a nie jego dzieci, dlatego też powinny zostać podzielone jak cała reszta masy spadkowej. Zabiegi mające na celu wejście w posiadanie tych kosztownych nieruchomości przybrały skrajną postać, gdy usiłowali wciągnąć do sprawy kartel z Cali.

Urazy, jakie pozostały po podziale majątku po ojcu, zeszły na dalszy plan pod koniec 1994 roku, kiedy wyjechaliśmy z kraju i znaleźliśmy schronienie w Argentynie, gdzie zaczęliśmy życie na nowo.

Na długi czas zostawiliśmy za sobą sprawy związane z krewnymi z rodziny Escobar, aż w październiku 2001 roku, siedem lat po naszym wyjeździe do Buenos Aires, odebraliśmy telefon z Medellín i dowiedzieliśmy się, że dziadek Abel zmarł.

Głęboko ubolewaliśmy nad jego śmiercią, bo zawsze zachowywał spokój wobec histerii, jakiej ulegała rodzina od początków lat siedemdziesiątych, kiedy to ojciec zaczął się ukrywać.

Pamiętam dyskrecję cechującą dziadka Abla i jego radykalną decyzję, by nie porzucać życia na wsi. Nawet w najgorszych okresach, kiedy uciekaliśmy przed władzami z jednej kryjówki do drugiej, on tak to załatwiał, że co miesiąc docierał do nas worek ziemniaków z jego uprawy. W ten milczący sposób okazywał nam swą miłość.

Dziadek zmarł i w świetle prawa byliśmy z Manuelą spadkobiercami przypadającej na ojca części jego majątku. Składało się na nią kilka posiadłości położonych na wschodzie Antioquii w okolicach La Ceja, Uchuval i Tablazo.

Udzieliliśmy pełnomocnictwa adwokatowi nazwiskiem Francisco Salazar Pérez, polecając mu, by popchnął do przodu sprawy spadkowe w Kolumbii. Wcześniej już prowadził procesy, w których staraliśmy się odzyskać majątek zajęty przez prokuraturę.

Zgodnie z raportami, jakie w następnych miesiącach otrzymywaliśmy od adwokata Salazara, sprawa spadkowa dziadka posuwała się powoli, ale bez większych trudności.

Jakiś czas później, w listopadzie 2005 roku, dostałem maila od dziennikarki Pauli López z gazety „La Chiva” z Medellín. Pytała o mój punkt widzenia, bo zamierzała opublikować artykuł, w którym ujawniała istnienie testamentu babci Hermildy.

Paula dodała, że dokument taki został zarejestrowany w kancelarii notarialnej w La Estrella. Zgodnie z jego treścią babcia zapisywała majątek swoim pięciorgu dzieciom (Pablo i Fernando już nie żyli), siostrze, szesnaściorgu wnukom, jakich wówczas miała, i czworgu prawnukom.

Podobnie jak ojciec, babcia Hermilda postanowiła spisać swój testament przed śmiercią.

Po przeczytaniu dokumentu, który Paula przesłała mi pocztą elektroniczną, przekonaliśmy się, że babcia pominęła swojego syna Pabla w testamencie. Po raz kolejny okazało się, że nie jesteśmy bliscy sercu rodziny ojca. Codzienne sprawy w Buenos Aires pochłonęły nas i z czasem zapomnieliśmy o tej przykrości.

Czekał nas jednak jeszcze jeden, ostatni już kontakt z babcią we wrześniu 2007 roku. Mama znajdowała się w Medellín, załatwiając osobiste sprawy, kiedy powiedziano jej, że zdrowie Hermildy bardzo się pogorszyło w ostatnich tygodniach w związku z cukrzycą, na którą cierpiała. Poszła więc ją odwiedzić w budynku Abedules w El Poblado, a spotkanie to okazało się nieoczekiwanie serdeczne. Niemal pod koniec rozmowy, kiedy mama już się żegnała, babcia wypowiedziała pewne słowa, które zabrzmiały jak skrucha.

— Zanim umrę, proszę was, żebyście uszanowali zobowiązania i przekazali dzieciom Pabla ich część — powiedziała w obecności stryjów, którzy dotrzymywali jej wówczas towarzystwa.

Ostatecznie, w październiku 2007 roku, cukrzyca doprowadziła babcię Hermildę do śmierci. Została pochowana na cmentarzu Jardines Montesacro obok grobu ojca. Kilka dni później dostaliśmy w Buenos Aires maila od Luz Maríi Escobar. Prosiła w nim o wyznaczenie adwokata, który będzie reprezentował nasze interesy w sprawie spadkowej babci.

Tak też zrobiliśmy. Z budki telefonicznej w pobliżu domu zadzwoniłem do Salazara i poprosiłem go, żeby zajął się sprawą spadkową. Tym sposobem nadzorowałby podział majątku po obojgu dziadkach.

Ustaliliśmy, że jego honorarium wyniesie 15 procent tego, co przypadnie nam w udziale, choć z góry wiedzieliśmy, że nie będzie tego dużo, bo

byliśmy pewni, że rodzina ojca zrobi co w jej mocy, by uniknąć przekazania nam naszej części.

Istotnie, dobre chęci babci wyrażone przed śmiercią nie na wiele się zdały, bo wkrótce dowiedzieliśmy się, że stryjowie rozlosowali pomiędzy sobą wiele samochodów, mebli, dzieł sztuki i różnych przedmiotów. Ponadto rozdzielili najcenniejsze rzeczy, których nie uwzględniono w testamencie: całą fortunę w biżuterii i milionowe certyfikaty depozytowe [17], które babcia wystawiała na nazwiska innych osób.

Dla nikogo w rodzinie nie stanowiło tajemnicy to, że w tłustych czasach ojciec przychodził z reklamówkami pełnymi biżuterii, którą rozdzielał pomiędzy ciotki, a w szczególności dawał w prezencie babci. Czasami, dla zabawy, brał mnie na kolana i losował je, prosząc, żebym wskazywał zwycięski numer. Dostawał brosze, bransolety, naszyjniki i zegarki w ramach spłaty długów od ludzi, którzy stracili ładunki kokainy lub chcieli wkupić się w interesy.

Faktem pozostaje, że w ciągu siedmiu lat od śmierci babci nie otrzymaliśmy wszystkiego, co prawnie nam się należało z jej spadku. Majątek Hermildy praktycznie zniknął, jeśli wierzyć słowom jej dzieci, w rękach wierzycieli, których naszym zdaniem sobie wymyślili. Stryjowie tak to wszystko załatwili, żeby pozbawić nas tego, co powinniśmy dostać, nawet jeśli nie było tego wiele.

Wciąż pozostała do rozstrzygnięcia kwestia mieszkania babci w budynku Abedules, dziś pustego i obciążonego długami, a jednak z grupą około dwudziestu spadkobierców ostrzących sobie na nie zęby.

Spadek po babci Hermildzie otworzył nam oczy na postępowanie naszego adwokata Salazara, bo odkryliśmy, że nie zajmował się w ogóle sprawą spuścizny po dziadku Ablu, a tymczasem proces wszedł

w decydującą fazę. Jeśli nic byśmy nie zrobili, zapewne stracilibyśmy wszystko.

Do tego czasu w pełni ufaliśmy naszemu adwokatowi, który mydlił nam oczy, informując nas przez telefon, że proces posuwa się normalnie.

Jednak nasze podejrzenia rosły i któregoś dnia w największej tajemnicy pojechałem do Kolumbii, gdzie przekonałem się, że Salazar okłamywał nas przez cały czas. Są na to liczne dowody w wielu aktach, w których występuje jako nasz przedstawiciel, a jednak nie podjął żadnego działania w naszym interesie.

Rozgoryczony udałem się do sądu rodzinnego prowadzącego sprawę dziadka. Uczyniłem to w wyjątkowo dobrym momencie, bo wyszło na jaw, że brakowało jedynie czterdziestu ośmiu godzin do ostatecznego terminu. Wtedy właśnie cofnąłem mu nasze pełnomocnictwo.

Gdy Salazar zrozumiał, że wszystko się wydało, przyznał mi się przez telefon, że popełnił błędy podczas prowadzenia naszej sprawy, i zapytał, ile jest mi za nie winien.

— To już jest szczyt wszystkiego, mecenasie! Nie chodzi o to, żeby ustalać, ile jest mi pan winien. Zna pan lepiej niż ktokolwiek inny naszą sytuację finansową, wie pan, jak bardzo potrzebujemy tych pieniędzy, by zapłacić za nasze utrzymanie w Argentynie. Mnie z siostrą raz już okradziono podczas sprawy spadkowej ojca, a teraz z powodu pańskiej niedbałości uda im się to powtórnie.

Bez Salazara byliśmy zdani tylko na siebie. Wiedzieliśmy, że musimy znaleźć kancelarię adwokacką specjalizującą się w kwestiach spadkowych, by nie zaprzepaścić całkiem naszej sprawy. Wówczas trafiliśmy na Daría Gavirię, który był zainteresowany poprowadzeniem obu przypadków, ale za pośrednictwem innego adwokata, który występowałby w jego imieniu, bo nie chciał bezpośrednio mieszać się w rodzinne spory.

Również ta współpraca skończyłaby się bardzo źle, gdyż nowy obrońca nie dość, że popełnił wiele błędów w naszych sprawach, to jeszcze odkryliśmy, że jest w zmowie ze stryjem Robertem i przeciąga niektóre kwestie poza ich dopuszczalny termin prawny.

Oburzony zadzwoniłem do Gavirii, żeby zażądać wyjaśnień, bo zgodnie z naszą umową miał kierować adwokatem, ale uchylił się od odpowiedzialności, mówiąc, że nie ma nic wspólnego z tymi sprawami. Po kilku dniach dyskusji, podczas których zagroziłem wytoczeniem mu procesu, zerwałem współpracę z kancelarią Gavirii i zatrudniłem adwokata Alejandra Beníteza, który wreszcie skierował naszą sprawę na właściwy tor.

Gdy tylko Benítez zajął się sprawą spadkową dziadka, zwróciliśmy się do Dziewiątego Sądu Rodzinnego w Medellín, gdzie złożyliśmy pismo z prośbą o prewencyjne zabezpieczenie całego majątku dziadka Abla, ponieważ dostaliśmy informację, że stryjowie wyprzedawali go bez naszej wiedzy.

Parę dni później dowiedziałem się, że stryjowie przeżyli niemiłe zaskoczenie, kiedy zdali sobie sprawę, że posiadłości wchodzące w skład spadku zostały zamrożone.

Po raz pierwszy od wielu lat udało nam się wziąć sprawy we własne ręce.

Wkrótce miały dobiec końca lata udręki. Pamiętam, że najbardziej szokująca swoją arbitralnością decyzja w czasie tych procesów została wydana przez sędziego z wybrzeża, który przechadzał się po swoim biurze w japonkach, kładł nogi na stole i nieustannie szukał sposobu na pogwałcenie naszych praw.

Jak na przykład w owym dniu, gdy wezwał mnie i mamę na przesłuchanie, ale za nic w świecie nie chciał się zgodzić, by odbyło się ono w konsulacie w Buenos Aires. Nie było rady, musieliśmy pojechać do Medellín. Zaniepokoiło mnie, że po tylu latach konfliktu rodzina ojca miała

znać z takim wyprzedzeniem i dokładnością godzinę i miejsce naszego spotkania w sądzie. Przestraszony poprosiłem o pomoc i ochronę krewnych i przyjaciół, którzy pożyczyli mi pancerny samochód i czterech ochroniarzy. Podjęliśmy wówczas wiele środków ostrożności, żeby nic nam się nie stało.

Przesłuchanie zaczęło się z dużym poślizgiem co do wyznaczonej godziny, bo sędzia się spóźnił. Niektórych spośród stryjów reprezentowała adwokat Magdalena Vallejo. Prawniczka zabrała głos i zaczęła zadawać pytania, które najwyraźniej miały na celu zbicie mnie z tropu. Wyszedłem jednak z opałów z pomocą jednego zdania, które przygotowałem sobie zawczasu. Dzięki niemu udało mi się wyprowadzić ją z równowagi:

— Niezależnie od tego, o co pyta mnie pani mecenas, jedynym faktem pewnym i rzeczywistym jest ten, że żaden z moich stryjów nie dopełnił tego, co należało. Wzięli sobie cały majątek, nam nie zostawiając nic.

Pani adwokat, widocznie poirytowana, poddała się po piątym pytaniu, na które odpowiedziałem w ten sam sposób.

Przed zakończeniem spotkania sekretarz zapytał, czy chcę dodać coś jeszcze, a ja potwierdziłem. Spojrzałem na Magdalenę i powiedziałem, że nie rozumiem, czemu tak się na mnie złości, skoro wie, że popełniane jest przestępstwo wobec mnie i mojej siostry.

— Drogi panie, to nie są już lata osiemdziesiąte i teraz to nie wy tu rządzicie. Mam wielu wpływowych przyjaciół i znajomych, którzy mnie chronią.

Wtedy powiedziałem sekretarzowi, że chcę coś dodać i proszę, żeby zostało to zapisane w protokole: „Pragnę stanowczo oświadczyć, że wstyd mi, iż muszę uciekać się do pomocy sądu, by przypomnieć rodzeństwu ojca, że istniał ktoś taki jak Pablo Emilio Escobar Gaviria, który w dodatku był ich bratem i jedynym dobroczyńcą. Nikt w rodzinie ojca nigdy nie

pracował na własny rachunek, wszyscy bez wyjątku nawet jeszcze dziś ubierają się i chodzą do kawiarni na koszt mojego ojca, nie na swój. Kolumbia nie potrafi zapomnieć, kim był Pablo Escobar. Ale jego rodzina owszem".

Po zamrożeniu majątku stało się jasne, że racja jest po naszej stronie, a arbitralne sądy odejdą w przeszłość. Rodzina Escobar zmuszona była podjąć z nami negocjacje i oddać nam wreszcie to, co nam się należało.

Właśnie te nowe okoliczności skłoniły ciotki Albę Marinę i Glorię do odszukania mnie w budynku Altos w marcu 2014 roku. Choć tamtego dnia owa wizyta popsuła mi humor, po wysłuchaniu opinii mamy, ciotki i adwokata zgodziłem się z nimi porozmawiać wieczorem w sobotę 22 tego samego miesiąca.

Jako pierwszy zjawił się mój adwokat, z którym uzgodniliśmy dwie rzeczy: że my będziemy mówić po ciotkach i że pod żadnym pozorem nie będziemy wracać do starych problemów, by nie ugrzęznąć w jałowej dyskusji.

Pięć minut później rozległ się sygnał domofonu i kobieta z obsługi wprowadziła ciotki. Wyszedłem je powitać do holu, pozdrowiły mnie z właściwym sobie fałszywym uśmiechem.

— Cześć, jak się masz? — odezwały się niemal jednocześnie.

Wyciągnąłem rękę, żeby odczuły dystans w moim powitaniu, ale Alba Marina podeszła do mnie, złapała mnie za dłoń, gwałtownie pociągnęła ku sobie i ucałowała w policzek. Ona nie była już moją ciotką. Żadna z nich dwóch.

Poprosiłem, żebyśmy przeszli do rzeczy i nie tracili czasu, bo wciąż miałem gulę w żołądku. Zaprowadziłem je do jadalni. Potem usiadłem u szczytu stołu i powiedziałem, że słucham, co mają do powiedzenia.

— Juanie Pablo, wiele ucierpiałyśmy przez twoje postępowanie. Nie było potrzeby wytaczania nam sprawy o spadek, bo zawsze byłyśmy gotowe przekazać wam waszą część po dziadku — powiedziała Marina.

„Nieźle zaczyna", pomyślałem sobie w duchu. „Nie ma to jak kłamstwo rozmiarów stadionu, by rozpocząć pojednawcze spotkanie". Przypomniało mi się, jak kilka lat wcześniej, gdy upominaliśmy się o spadek, odpowiadały beznamiętnie: „Z wielką chęcią damy wam waszą część, jak tylko opłacicie wszystkie koszty, obsługę prawną i podatki za te posiadłości". Przez naszych adwokatów odpowiadaliśmy, że sprawiedliwie byłoby ponieść te opłaty w sposób proporcjonalny. Nigdy jednak nie chciały tego słuchać.

— Chcemy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Czego chcecie? O co wam chodzi? Jaki macie cel? — drążyła Marina.

Odpowiedziałem, że chcemy odebrać naszą część w jednym kawałku, żeby potem nie okazało się, że mamy wiele skrawków ziemi rozsianych po całym kraju. Takie rozwiązanie pozwoliłoby przy tym zaoszczędzić na kosztach notarialnych. Wyjaśniłem, że ubiegamy się o czternaście *cuadras*[18], czyli około dziewięciu hektarów z hacjendy La Marina w La Ceja.

— A czemu akurat czternaście *cuadras*? Nie przypada na was aż tyle! W najlepszym razie dziesięć — obruszyła się Marina, podnosząc głos.

— Zgodnie z prawem przysługuje nam dziesięć *cuadras*, ale uważamy, że za poniesione straty należą nam się dodatkowe cztery — wyjaśniłem.

— Proszę docenić, że mimo wszystko nie rozmawiamy tu o procesie karnym, a doszło przecież do sfałszowania dokumentów i podjęto wiele niezgodnych z prawem działań, za które powinni państwo odpowiedzieć wraz ze swoimi prawnikami, jak również za poważne uchybienia, do jakich

doszło podczas procesu. Jednak nie o to nam chodzi, naszym pragnieniem jest znalezienie polubownego rozwiązania — wtrącił mój adwokat.

— Powiem wam prawdę: Roberto jest właścicielem 25 procent tej posiadłości, ale ponieważ miał długi, sprzedał ją w całości pewnemu bardzo niebezpiecznemu człowiekowi, który przebywa w więzieniu — zabrała głos Marina.

— Komu? — zapytałem.

— Och, boję się to wyjawić. Zapytaj Roberta. Adwokatka tego człowieka zajęła część, którą sprzedał jej Roberto, ale ona dobrze wie, że nie może zrobić wiele więcej, póki nie cofniecie zakazu dysponowania tym majątkiem. On się wścieka, chce przejąć już folwark, wziąć go w posiadanie. No i nie wiemy, co robić. Któregoś dnia Roberto tam był i my przyjechałyśmy… wtedy dostał szału, zwyzywał nas, nagadał nam różnych rzeczy i wyrzucił, mówiąc, że teraz on jest właścicielem i żebyśmy tam więcej nie wracali. Jeśli nie ustąpisz, Roberto zacznie sprzedawać posiadłości mojego ojca, a wtedy wszyscy zostaniemy z niczym.

Niewzruszony odpowiedziałem, że moje żądanie jest zgodne z prawem, a jeśli uważają je za wygórowane, nie będziemy już szukać innego wyjścia i zostawimy wszystko w rękach sędziego, nawet jeśli miałby wydać werdykt na korzyść Roberta. Dodałem, że będę mógł złożyć apelację w sądzie wyższej instancji, a wtedy z pewnością wygram.

— Juanie Pablo, posłuchaj swojego serca. Spuść trochę z tonu, żebyśmy mogły pójść z jakąś sensowną propozycją do tego człowieka w więzieniu. Z Robertem to niemożliwe, bo nie pozwala nam wejść za próg swojego domu, niebieskiego domu, który należał do twojego ojca i którego część nam przysługuje — zaproponowała Marina.

— Posłuchaj, Marina, moim największym pragnieniem jest położenie kresu temu sporowi, który szkodzi nam wszystkim. Porozmawiam

z mecenasem Benítezem i poprzez niego przedstawię wam naszą ostateczną propozycję. Wtedy zdecydujecie, czy jest ona dla was do przyjęcia, czy nie.

Dwa dni po spotkaniu z ciotkami zadzwonił adwokat i poinformował mnie, że ostatecznie doszli do porozumienia. Jeszcze tego samego dnia wycofaliśmy zakaz dysponowania majątkiem dziadka Abla i sprawa została załatwiona. Wreszcie. Po trzynastu latach zakończyliśmy długi spór, w którym domagaliśmy się jedynie tego, co nam się prawnie należało.

Przezwyciężywszy tę przeszkodę, przypomniałem sobie list, który napisałem do stryjów któregoś wieczoru, kiedy wydawało się, że naszego konfliktu nigdy nie uda się rozwiązać. Oto kilka jego akapitów:

*Do rodziny, której nie miałem:*

*To zapewne ostatni list, jaki otrzymają bracia i siostry mojego ojca.*

*(…) Tak głęboko pragnę się z Wami pogodzić, że chwilami wręcz zapominam, że mam pełne prawo wyrzucać Wam Wasze postępowanie lub też powstrzymanie się od działania, brak lojalności względem postaci i pamięci ojca, człowieka, który wręcz oddał za nas swoje życie, poświęcił się, by inni mogli dalej żyć. (…) Nie będę pisał o pieniądzach, nie przytoczę długiej, ale już starej i zużytej listy poniesionych szkód. Nie wiem, na ile jeszcze sposobów bogacicie się na historii ojca, ale mniejsza już o to. Pragnę jedynie zachować dobre wspomnienia o nim, a z czasem, przy Bożej pomocy i dzięki mądrości losu, być może uda mi się jako architektowi odbudować i zaprojektować na ruinach tej rodziny przyszłość szlachetną i godną.*

---

16 *Cuarta de Libre Disposición* — część spadku (nieprzekraczająca jednej czwartej wartości masy spadkowej), którą spadkodawca może przeznaczyć dla osób niebędących spadkobiercami ustawowymi.

[17] Ceryfikat depozytowy — w Kolumbii dokument poświadczający prawo własności do zdeponowanych dóbr lub towarów.

[18] *Cuadra* (hiszp.) — zwyczajowa jednostka powierzchni; w Kolumbii *cuadra* ma 6400 metrów kwadratowych.

# Rozdział 5

# KORZENIE OJCA

Córuś, czy jesteś gotowa przez całe życie nosić Pablowi paczki z jedzeniem do więzienia?

— Tak, mamo, jestem gotowa.

Ta krótka rozmowa, do której doszło między Victorią Eugenią Henao Vallejo a jej matką Leonor w 1973 roku, miała odcisnąć ślad na losach dziewczyny, która kilka lat później została moją mamą.

Leonor, na którą w domu mówiono Nora, zadała to pytanie swojej trzynastoletniej córce, bo w pewnym sensie czuła się pokonana, nie mogąc doprowadzić do zerwania jej związku z Pablem Emiliem Escobarem Gavirią, mężczyzną jedenaście lat starszym, źle ubranym, kobieciarzem, niskiego wzrostu i bez sprecyzowanego zajęcia, który ponadto nie ukrywał swoich przestępczych skłonności.

Tak naprawdę babcia Nora wolałaby, żeby jej córka Victoria, ładna, wysoka i zgrabna dziewczyna, a przy tym dobra uczennica, zeszła się z kimś wpływowym z jakiejś szanowanej rodziny, a nie z Pablem, pretendentem pod każdym względem dla niej niewłaściwym.

***

Rodziny Escobar i Henao osiedliły się w nowo powstałej dzielnicy La Paz w 1964 roku, ale poznać się miały dopiero kilka lat później. W tamtym

okresie do wiejskiej części gminy Envigado docierało się, jadąc długą i wąską szosą gruntową.

W styczniu owego roku Instytut Gospodarki Terenowej (ICT) — urząd państwowy odpowiedzialny za opracowanie planów mieszkań dla ubogich rodzin — przyznał Escobarom dom w ostatnim z trzech etapów budowy nowego osiedla złożonego z identycznych parterowych budynków o szarych dachach i z niewielkimi ogródkami obsadzonymi kolorowymi kwiatami, jednak bez wody i elektryczności.

Przybycie Hermildy i Abla z siedmiorgiem dzieci do tej dzielnicy położyło kres ich długiej tułaczce rozpoczętej dwadzieścia lat wcześniej, kiedy ona pracowała jeszcze jako nauczycielka w szkole podstawowej przy drodze do El Tablazo, niewielkiego, zimnego i mglistego osiedla w gminie Rionegro, na wschodzie Antioquii, gdzie na rozległych terenach uprawiano jeżyny, pomidory drzewiaste i wiele różnorodnych kwiatów.

Po kilku miesiącach Ablowi, który mieszkał z rodzicami w folwarku w górnej części El Tablazo, o sześć kilometrów od szkoły, wpadła w oko nauczycielka Hermilda. Jego uwagę zwrócił sposób bycia młodej kobiety, jej ogłada i przedsiębiorczy charakter. Wówczas on, w gorącej wodzie kąpany samotny rolnik, zaproponował jej małżeństwo, na które od razu się zgodziła. Ślub wzięli 4 marca 1946 roku. Hermilda zgodnie z przyjętymi wówczas obyczajami zrezygnowała z pracy i zamieszkała z mężem w domu teściów.

Dziesięć miesięcy później, 13 stycznia 1947 roku, urodził się mój stryj Roberto, a 1 grudnia 1949 roku — ojciec, któremu nadano imiona po dziadku: Pablo Emilio.

W kwietniu 2014 roku wybrałem się do El Tablazo, żeby odtworzyć niektóre szczegóły potrzebne do niniejszej książki, i przespacerowałem się po majątku dziadka Abla, który nadal istnieje, choć bardzo podupadł. Mimo

to upływ czasu nie zdołał zatrzeć wszystkich śladów, jakie w tym miejscu pozostawiła po sobie moja rodzina. Na zewnątrz po prawej stronie, obok wejścia znajduje się zajmowany przez ojca pokój o powierzchni dwa na dwa metry. Wciąż są w nim te same drewniane drzwi, jednak moją uwagę zwrócił przede wszystkim kolor ścian, bo pomimo brudu i upływu lat można było jeszcze dojrzeć błękitny odcień — jego ulubiony przez całe życie kolor.

Babcia z poświęceniem oddała się wychowaniu Roberta i Pabla, jednak Abel nie mógł ich utrzymać, bo jego gospodarstwo przynosiło zbyt małe dochody. Nie miał zatem wyboru i musiał poszukać sobie pracy. Zdobył ją u sąsiada, znanego przywódcy politycznego z Antioquii, Joaquína Valleja Arbeláeza, który zatrudnił go jako majordomusa w swojej hacjendzie El Tesoro.

Dziadkowie z dwójką dzieci przeprowadzili się do majątku Arbeláeza, który stał się ich duchem opiekuńczym. Babcia Hermilda lubiła wspominać historie z przeszłości i opowiedziała kiedyś, że gdy tylko zamieszkali u Arbeláeza, wyjaśniła mu, że Abel jest tam majordomusem, lecz ona nie będzie jego służącą. Według opowieści babci Arbeláez traktował ich bardzo dobrze i dlatego poprosili go na ojca chrzestnego dla Pabla. Zgodził się chętnie i 4 grudnia 1949 roku razem ze swoją żoną Nelly wziął udział w ceremonii w parafii świętego Mikołaja w Rionegro, w Antioquii.

Jednak babcia nie zamierzała pogodzić się z codziennymi niedostatkami i finansowymi ograniczeniami. Pewnego pięknego dnia, wbrew woli dziadka Abla, poprosiła o ponowne przyjęcie do szkoły w dowolnym miejscu departamentu. Urzędnicy rozpatrzyli pozytywnie jej podanie, ale ukarali ją za to, że chciała pracować, będąc kobietą zamężną — dostała skierowanie do szkoły w gminie Titiribi w południowo-zachodniej Antioquii.

Tam też wylądowali, a ponieważ było wówczas w zwyczaju, że nauczyciele mieszkali w placówkach edukacyjnych, rodzina Escobar Gaviria ulokowała się w małym mieszkaniu przy szkole. W czasie gdy Hermilda uczyła, Abel bezskutecznie próbował znaleźć sobie pracę w charakterze rolnika, malarza lub ogrodnika.

Fala politycznej przemocy, która rozszalała się w kraju po śmierci liberalnego przywódcy Jorge Eliécera Gaitána w kwietniu 1948 roku, miała ich dosięgnąć nawet w tych niegościnnych stronach.

Był rok 1952. Konflikt między liberałami i konserwatystami kilkakrotnie zmusił dziadków do ukrywania się, bo uzbrojeni w maczety bandyci szukali ich i próbowali zabić. W tamtym okresie co najmniej cztery razy zmieniali szkołę, by ujść przed „awanturnikami". Po Titiribi przenieśli się do Girardoty i innych wsi, a zagrożenie stało się ich chlebem powszednim.

Wiele lat później podczas któregoś weekendu w hacjendzie Nápoles babcia zebrała wnuki koło basenu i opowiedziała nam szczegółowo o tamtym strasznym okresie, w którym o mało nie zginęli. Wciąż jeszcze poruszona wspominała, jak pewnej zimnej deszczowej nocy czterech bandytów przyszło po nich z maczetami i musieli schować się w jednej ze szkolnych sal, zamykając wcześniej drzwi na klucz, by nie ucięli im głów, co w tamtym okresie było powszechną praktyką zarówno wśród liberałów, jak i konserwatystów. Śmiertelnie przerażona babcia powiedziała dziadkowi i dzieciom, żeby zachowali absolutną ciszę, nie ruszali się z podłogi, nie wyglądali przez okna, bo na ścianach widziała cienie morderców. W tamtym momencie, kiedy wydawało jej się, że już wszystko stracone, oddała życie pod opiekę osoby z jedynego obrazka świętego, jaki znajdował się w sali: Dzieciątka Jezus z Atocha. Szeptem przysięgła, że jeśli ocali ich tamtej nocy, wybuduje kościół na jego cześć.

Wszyscy uszli z życiem i od tego czasu babcia szczególnym kultem otaczała Dzieciątko Jezus z Atocha, którego wizerunek nosiła ze sobą zawsze na najróżniejszych obrazkach, a nawet kazała mu zrobić ołtarzyk w swoim pokoju. Obietnica wybudowania na jego cześć kościoła miała zostać spełniona wiele lat później, na jednym z terenów zakupionych przez ojca w celu realizacji projektu bezpłatnych mieszkań socjalnych zwanego Medellin sin Tugurios[19]. To on sfinansował wszystkie prace, a babcia odetchnęła z ulgą, widząc, że spełniła obietnicę, która uratowała jej życie.

Gehenna skończyła się dopiero wtedy, gdy Ministerstwo Edukacji w Antioquii przeniosło babcię do szkoły przy drodze do Guayabito w Rionegro mieszczącej się w starym budynku z dwiema klasami, łazienką i dużym pokojem, w którym musieli pomieścić się dziadkowie z dziećmi. Mieli ich wówczas już sześcioro, bowiem podczas tułaczki po wiejskich szkołach całego departamentu urodzili się Gloria, Argemiro, Alba Marina i Luz María, którzy dołączyli do starszych Roberta i Pabla.

W Guayabito stryj Roberto i ojciec zaliczyli ze swoją matką dwa pierwsze lata nauki, ale ponieważ w podstawówce tej były tylko cztery klasy, przenieśli się do drugiej, większej w mieście Rionegro. Bracia Escobar zapisali się do szkoły Julio Sanín, która jednak znajdowała się daleko, tak że codziennie szli pieszo gruntową drogą przez dwie godziny w jedną stronę i kolejne dwie z powrotem, bardzo często na bosaka.

Babcia z bólem serca patrzyła na udrękę synów. Zaczęła oszczędzać, aż wreszcie kupiła rower dla Roberta. Odczuli wielką ulgę. Rano, kiedy wychodzili do szkoły, Roberto się rozpędzał, a Pablo wskakiwał na bagażnik. Niedługo potem, wobec ciągłego narzekania Roberta, któremu ciężko było wozić Pabla, babcia zdołała kupić drugi rower, który rozwiązał problem.

Z czasem Roberto zaczął uprawiać kolarstwo i pojawiła się między nimi silna rywalizacja. Starszy brat strasznie się wściekał, ponieważ codziennie ciężko trenował, a Pablo, któremu nie chciało się przykładać do jazdy na rowerze, i tak zawsze go wyprzedzał, gdy się ścigali.

Ta pozornie niewinna zabawa pogłębiła niechęć Roberta do mojego ojca, co potem jeszcze się nasiliło, kiedy ten znów przegonił Roberta i jako pierwszy został milionerem. Pablo coraz częściej spotykał się ze swoim kuzynem Gustavem Gavirią, który regularnie spędzał u nich weekendy.

W życiu rodziny Escobar Gaviria miał nastąpić nieoczekiwany zwrot, kiedy babcia Hermilda (znów wbrew woli Abla, który chciał zostać na wsi) załatwiła sobie przeniesienie do szkoły w Medellín. Było dla niej jasne, że jej siedmioro dzieci (zdążył się już urodzić najmłodszy, Fernando) nie zdoła zdobyć wykształcenia poza stolicą Antioquii. Wykorzystała więc swoje kontakty i znajomości, zabiegając wokół sprawy tak długo, aż jej się to udało.

Zatrzymali się w dzielnicy Francisco Antonio Zea w Medellín w dużym i wygodnym domu prababci Inés (matki Hermildy), która była właścicielką dobrze prosperującej wytwórni barwników. Babcia zaczęła udzielać lekcji w szkole położonej na wzgórzu i zamieszkałej przez biedotę dzielnicy Enciso.

Rodzina Escobar Gaviria dotarła wreszcie do Medellín, ale ich tułaczka bynajmniej nie dobiegła końca. W ciągu następnych dwóch lat babcia została przeniesiona do szkół Caracas i San Bernardita, przy czym kilkakrotnie się przeprowadzali.

Wreszcie w połowie lat sześćdziesiątych udało im się zapuścić korzenie w dzielnicy La Paz. Dom miał trzy pokoje, łazienkę, salon-jadalnię, kuchnię i patio. Rozlokowali się, jak najlepiej umieli, w dwóch pierwszych

pokojach, a w trzecim, wychodzącym na ulicę, dziadek Abel otworzył sklep, który z braku klientów zbankrutował kilka miesięcy później.

Wtedy, jak zawsze obrotny, Pablo przeniósł się do zwolnionego pomieszczenia, pomalował je na błękitno (podobnie jak swój pokój w El Tablazo), a z dwóch drewnianych regałów, które zostały po zamknięciu sklepu dziadka, zbudował małą biblioteczkę. Ustawił na niej w idealnym porządku kilka książek o polityce, zbiór czasopism „Reader's Digest" i teksty o komunistycznych przywódcach Włodzimierzu Iljiczu Uljanowie Leninie i Mao Tse-tungu. W kącie zaimprowizowanej biblioteczki położył prawdziwą czaszkę.

— Grégory, postanowiłem kiedyś sprawdzić własną odwagę i uznałem, że najlepszy sposób to pójść w nocy na cmentarz i wyciągnąć czaszkę z grobu. Nikt mnie tam nie nastraszył ani nic złego mi się nie stało. Potem wyczyściłem ją, pomalowałem i postawiłem na biurku jako przycisk do papieru — opowiadał mi któregoś dnia ojciec.

Gdy zamieszkali w dzielnicy La Paz, ojciec miał prawie piętnaście lat. Kilka tygodni później uczył się już wieczorowo w Liceo de Antioquia, dokąd dojazd zajmował mu ponad pół godziny autobusem.

Wieczorami spotykał się w lodziarni La Iguana z „Rasputinem", braćmi Toro i Maya oraz „Rodriguitem". Pili czerwone wino i notowali w zeszycie pomysły, które przychodziły im do głowy.

Byli tak zżyci, że założyli osiedlową drużynę harcerską, organizowali kwesty na odbywających się w okolicy domowych potańcówkach, w soboty przycinali sąsiadom trawniki, a w weekendy jeździli na biwaki na skałę położoną w górnej części dzielnicy.

Zostali także wiernymi widzami kina Colombia w Envigado, gdzie chodzili dwa lub trzy razy w tygodniu oglądać filmy meksykańskie, z Jamesem Bondem lub westerny.

Koledzy z paczki mieli szczególny zwyczaj robienia sobie złośliwych żartów, ale układ był taki, że musieli je znosić. Ojciec postawił tylko jeden warunek: żeby nie przezywali go konusem, kurduplem czy pigmejem. Bardzo źle znosił uwagi na temat swojego niskiego wzrostu, a fakt, że mierzył jedynie sto sześćdziesiąt siedem centymetrów, zawsze był dla niego dopustem losu.

Polityka zapukała do drzwi grupy przyjaciół, dla których (a w szczególności dla ojca) w tamtym okresie punktem odniesienia był proces rewolucyjny Fidela Castro na pobliskiej Kubie i morderstwo antykolonialnego kongijskiego lidera Patrice'a Lumumby w styczniu 1961 roku. Ojciec interesował się biografią tego ostatniego i stale przywoływał cechy jego charakteru.

Ogólnoświatowe niepokoje znajdowały wyraz na uniwersytetach publicznych dużej części kraju, a studenci zostali wciągnięci w wir wielkich manifestacji ulicznych. Ojciec uczestniczył w jednej z nich na Uniwersytecie Antioqueńskim, po czym jeszcze tej samej nocy powiedział do przyjaciół w lodziarni La Iguana: „Niebawem zrobię rewolucję, ale własną".

Od tamtej pory ojciec czuł niechęć do policji, bo zobaczył, w jaki sposób tłumiła studenckie protesty. Do tego stopnia, że ilekroć przejeżdżał przez naszą dzielnicę jakiś radiowóz (potocznie zwany „suką"), ciskał za nim kamieniami, sarkając pod nosem: „jebana psiarnia".

Ojciec cały czas trzymał się z kuzynem Gustavem Gavirią, z którym zresztą uczyli się w jednej szkole. Stryj Roberto natomiast poświęcił się wyścigom kolarskim i brał udział w Tour de Colombia i innych lokalnych zawodach. Startował także z dobrymi wynikami we Włoszech i na Kostaryce. Mimo to nie miał dość pieniędzy na pokrycie kosztów

zawodów. Na szczęście udało mu się zdobyć sponsora w postaci sklepu ze sprzętem AGD Mora Hermanos.

Ojciec unikał tego tematu, jednak z wielu rozmów, jakie przeprowadziliśmy, ukrywając się, mogłem wywnioskować, że jego przestępcza kariera zaczęła się w dniu, kiedy odkrył sposób na fałszowanie świadectw maturalnych wydawanych przez Liceo, które uczniowie otrzymywali na zakończenie nauki w szkole.

By wprowadzić oszustwo w czyn, ojciec z Gustavem pożyczyli klucze do pokoju nauczycielskiego i w tajemnicy zrobili ich odcisk w plastelinie. Potem ukradli dyplomy, które wówczas wydawane były na specjalnych formularzach, i zamówili pieczęcie szkoły. Nauczyli się naśladować charakter pisma nauczycieli, by uzupełniać oceny na świadectwach i je podpisywać. Tym sposobem dziesiątki młodych ludzi zrobiły maturę w Liceo de Antioquia, mimo że nigdy nie przestąpili progu tej placówki.

Posiadanie kluczy pozwalało im także przez jakiś czas sprzedawać innym uczniom odpowiedzi na najtrudniejsze pytania egzaminacyjne z takich przedmiotów jak matematyka czy chemia. Ktoś jednak w końcu nabrał podejrzeń, widząc, że uczniowie uzyskują zaskakująco dobre oceny z tych przedmiotów, i nauczyciele z Liceo zmienili pytania oraz formułę egzaminu.

Trochę pieniędzy wpadło już do kieszeni Pabla Escobara, co zachęciło go do kontynuowania tych póki co „niewielkich” kantów.

Równolegle z pozyskiwaniem dochodu z fałszywych dokumentów ojciec z Gustavem kradli pomarańcze z plantacji znanej jako „plantacja czarnych” (położonej kilka przecznic w górę od osiedla La Paz) i sprzedawali je na rynku lub po domach w sąsiedztwie. Innym znów razem wchodzili do sklepu w górnej części osiedla i udawali, że się potknęli, powodując przewrócenie skrzynek z pomarańczami, które spadały na ziemię i turlały

się w dół ulicy, gdzie zbierali je, by nocą na nowo sprzedać właścicielowi sklepu.

W tym czasie kolekcja „Reader’s Digest” zaczęła szybko rosnąć na półce w pokoju ojca. Jakim cudem? Prosił dzieci z osiedla, żeby wynosiły je potajemnie z domu i dawały mu w prezencie. Tym sposobem zdobywał najnowsze numery, a był przy tym tak przekonujący, gdy o nich opowiadał, że sąsiedzi wypożyczali je od niego na weekend, a potem oddawali.

Ojciec i jego kumple czuli się coraz pewniej w przekraczaniu prawa i pewnego dnia, gdy biskup Medellín brał udział w inauguracji pobliskiej budowy, ukradli mu cadillaca. Jeden z nich uczył się w SENA [20] i wiedział, jak uruchomić auto bez kluczyków. Samochód ruszył, a oni udali się na przejażdżkę po okolicy Medellín. Po powrocie okazało się, że osiedle jest pełne policji szukającej samochodu. Wówczas pojechali w miejsce pomiędzy La Paz a dzielnicą El Dorado, na drodze do Envigado, i tam porzucili auto.

Dzięki pieniądzom zaoszczędzonym w tym czasie Pablo zrobił krok naprzód, kupując sobie włoski skuter marki Vespa, w kolorze szarym, model z 1961 roku, na którym z dnia na dzień przeistoczył się w osiedlowego „podrywacza”. Dziewczyny odkryły w nim kochliwego szarmanckiego kawalera i dowcipnisia, ale też postać dość folklorystyczną w ubiorze, bo nie przejmował się specjalnie tym, czy jedna część ubrania pasuje do drugiej; poza tym lubił chodzić z podwiniętymi rękawami i koszulą wypuszczoną ze spodni. Niekiedy pojawiał się na ulicy odziany w ponczo z białej wełny, podobne do tego, w którym wiele lat później pokazał się świeżo po przybyciu do więzienia La Catedral.

Motor pochłaniał całą jego uwagę, ale pieniędzy wciąż było mało, dlatego w szufladzie z ubraniami miał jedynie cztery koszule, dwie pary dżinsów i parę mokasynów.

Mimo różnych ograniczeń Pablo miał cztery zwyczaje, które towarzyszyły mu do końca życia: jeden, że pierwszy zapięty guzik koszuli miał na środku klatki piersiowej. Ani wyżej, ani niżej. To dziwne, ale przez wszystkie te lata widziałem dziesiątki zdjęć ojca i na wszystkich bez wyjątku widać go z tym guzikiem dokładnie w miejscu, które lubił.

Drugi zwyczaj: sam skracał sobie włosy. Nie lubił fryzjerów i własnoręcznie przycinał sobie włosy nożyczkami. Nigdy nie poszedł do zakładu i jedynie mamie pozwolił kilka razy się ostrzyc. Ona upierała się, że trzeba wezwać fryzjera, lecz on nigdy się na to nie zgodził.

Trzeci zwyczaj to używanie tylko jednego typu grzebyka do włosów. Był to mały szylkretowy grzebień, który zawsze miał pod ręką w kieszonce koszuli. Wielokrotne poprawianie sobie fryzury w ciągu dnia należało do nielicznych przejawów próżności u ojca. Nie przesadzę, mówiąc, że wyciągał grzebień i przeczesywał sobie włosy przynajmniej dziesięć razy dziennie. Obsesja na punkcie tych szylkretowych grzebieni osiągnęła takie rozmiary, że wiele lat później w czasach dostatku sprowadzał nawet po pięćset sztuk ze Stanów Zjednoczonych.

I czwarty: długie kąpiele. Robiło to duże wrażenie. Ponieważ uczył się wieczorami i do późnych godzin nocnych siedział z przyjaciółmi, nabrał zwyczaju wstawania po dziesiątej rano. Potrafił spędzić pod prysznicem choćby i trzy godziny. Nie zmienił tego zwyczaju nawet w najtrudniejszym okresie, kiedy żył w ukryciu nękany widmem wrogów. Prosta czynność umycia zębów zabierała mu nie mniej niż czterdzieści pięć minut, przy czym zawsze używał do tego celu szczoteczki Pro dla dzieci.

Wiele lat później narzekałem, że traci tyle czasu na mycie zębów, ale on odpowiadał:

— Synu, ty, kiedy zechcesz, pójdziesz sobie do dentysty. Ja, żyjąc w ukryciu, nie mogę sobie pozwolić na taki luksus.

Mimo że ojciec z Gustavem coraz bardziej wikłali się w ciemne sprawy, babcia Hermilda przekonała go, żeby złożył egzamin wstępny na wydział rachunkowości na Uniwersytecie Autonomicznym w Medellín. Zdał go bez problemu, ale wytrzymał tam tylko do połowy pierwszego semestru. Potem zrezygnował, bo znużyły go trudności finansowe rodziny i ciągły brak pieniedzy w portfelu.

Po przerwaniu studiów ojciec całkowicie poświęcił się grupie swoich kumpli, z którymi spędzał długie godziny w lodziarni La Iguana. Woleli jednak przyglądać się przechodzącym dziewczętom, niż dyskutować o polityce.

Muzyka zajmowała ważne miejsce w jego codziennym życiu. Był rok 1970 i Pablo chętnie słuchał wesołych, wpadających w ucho rytmów takich orkiestr, jak Billos Caracas Boy's, Los Graduados i nowo powstałego zespołu Fruko y sus tesos. Do lubianych przez niego wykonawców należeli także Piero, Joan Manuel Serrat, Camilo Sesto, Julio Iglesias, Miguel Bosé, Raphael, Sandro, Elio Roca, Nino Bravo i jego wielki idol, Leonardo Fabio. Szczególne upodobanie żywił do pewnej piosenki, którą usłyszał któregoś wieczoru w La Iguana. Chodzi o *En casa de Irene*, temat pop w wykonaniu Włocha Gian Franco Pagliaro.

La Paz rozrastało się z każdym dniem, a garażowe imprezy w weekendy zyskały rozgłos. Młodzież z Medellín przychodziła tam, żeby zwieńczyć swoje imprezy. Przyciągał ją także fakt, że lodziarni nie zamykano przez całą noc.

Jednak rumba szybko przekształcała się w zadymę, bo Pabla wkurzali dobrze ubrani młodzieńcy przyjeżdżający w luksusowych wozach, którzy prosili do tańca miejscowe dziewczyny. Nawet jeśli z żadną z nich akurat nie chodził, irytowało go, że „lalusie" z Medellín podprowadzali im dziewczyny z La Paz. Kumple z paczki Pabla ciskali kamieniami

w samochody przybyszów, a kłótnie niemal zawsze przeradzały się w bójki, podczas których każda banda stawała na swoim rogu i stamtąd rzucała w przeciwników czym popadnie, łącznie z krzesłami i butelkami.

W wielu z tych burd brała udział sławetna banda jedenastu, Barra de los 11, grupa, na której czele stał Jorge Tulio Garcés, zamożny młodzieniec, który zjawiał się niczym prawdziwy Don Juan i uwoził dziewczęta swoim kabrioletem. Wreszcie pewnego dnia miarka się przebrała, gdy Jorge Tulio przyjechał bez zaproszenia na przyjęcie z okazji piętnastych urodzin. Wściekły Pablo podszedł do niego i powiedział:

— Jebany paniczyku, uważasz, że jak masz auto, to możesz wywozić nam laski z osiedla?

W tym momencie rozpętała się nowa wojna trojańska. Wywiązała się straszliwa bijatyka, która skończyła się, gdy Jorge Tulio uderzył Pabla w nos, po czym ten osunął się na ziemię.

Niedługo potem Pablo wdał się w spór z Juliem Gavirią, facetem, który zachodził czasem na osiedle potańczyć, ale z reguły przesadzał z trunkami. Pewnej nocy Gaviria przyszedł na imprezę i wywołał skandal, bo jakaś dziewczyna nie chciała z nim zatańczyć. Pablo, który stał w pobliżu, nie namyślając się długo, wyciągnął malutki pistolet na pięć naboi i strzelił mu w nogę. Gaviria złożył doniesienie na policji. Wtedy po raz pierwszy wydano na ojca nakaz aresztowania, a potem uwięziono go, ale tylko na kilka dni, bo Gaviria ostatecznie wycofał zarzuty i Pablo wyszedł na wolność.

Chcąc się upewnić, czy incydent ten nie zostawił śladów w jego aktach, 3 czerwca 1970 roku Pablo poszedł do siedziby DAS w Medellín i poprosił o zaświadczenie o niekaralności, które wydano mu niemal natychmiast. Gdy tylko je dostał, napisał na ostatniej stronie: „Gdyby dokument ten zaginął, bardzo proszę zadzwonić do Pabla Escobara pod numer 762976”.

Tymczasem życie Pabla upływało u boku Gustava, na ciągłym poszukiwaniu jakiegoś interesu do ubicia lub numeru do wycięcia. Ciągle brakowało im pieniędzy. Któregoś dnia okradli ciężarówkę z transportem mydła kąpielowego Rexona y Sanit, które sprzedali w detalu i za pół ceny w osiedlowych sklepikach. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży mydła natychmiast wymienili vespę na inny włoski motor marki Lambretta, model 1962, tablice A-1653, dzięki któremu przejażdżki z miejscowymi dziewczynami stały się częstsze.

Ich potrzeby finansowe sprawiły, że zajęli się sprzedażą nagrobków. Biznes był atrakcyjny, bo ojciec Gustava miał zakład kamieniarski i dawał im dobrą prowizję.

Obaj wspólnicy jeździli lambrettą do klientów w miejscowościach w pobliżu Medellín, zabierając ze sobą przykładowe nagrobki. Oczywiście szybko odkryli, że pójdzie im jeszcze lepiej, jeśli zaczną skupować płyty od grabarzy po wsiach. Ci z kolei bez wątpienia kradli je po nocach i tak obrabiali, żeby wyglądały na nowe.

Kiedy byli pochłonięci transportem płyt z zakładu kamieniarskiego i tych już używanych, które przywozili do wygrawerowania imion nowych zmarłych, w La Paz szybko rozeszła się pogłoska, że Pablo i Gustavo kradną nagrobki na cmentarzach, odświeżają je i ponownie sprzedają.

Plotka tak się rozpowszechniła, że w dniu, w którym zmarł ojciec bliskiej sąsiadki rodziny Henao i Pablo zaofiarował jej płytę w prezencie, wdowa odrzuciła propozycję i choć nic mu wtedy nie powiedziała, zapewniała później, że nigdy w życiu nie położyłaby kradzionej płyty na grobie męża.

W końcu Pablo z Gustavem porzucili handel płytami, bo okazał się dla nich zbyt mało dochodowy. Ojciec nieustannie poszukiwał nowych możliwości. Którejś nocy wypowiedział zdanie, które jego przyjaciele mieli zapamiętać na zawsze. Wychodzili właśnie z lodziarni La Iguana. Pablo

z całą powagą oświadczył: „Jeśli w wieku trzydziestu lat nie będę miał miliona pesos, zabiję się”.

Zdecydowany jak najszybciej osiągnąć ten cel, wraz z Gustavem zaczął okradać kasy w kinach w centrum Medellín. El Cid, La Playa, Teatro Avenida, Odeón i Lido padły ofiarą dwóch wspólników, którzy z pistoletem w ręku zabierali utarg.

Kolejnym krokiem były kradzieże aut. Na różne sposoby. Jeden z nich polegał na zabieraniu nowych aut, które dopiero co opuściły salon. Ich wspólnikiem był sprzedawca, który wydawał im legalne dokumenty oraz robił kopię kluczyków, przekazując je tacie. Kiedy niczego nieświadomy nowy właściciel odbierał auto, jechali za nim do domu, czekali, aż zaparkuje, i kilka minut później dokonywali kradzieży.

Inna metoda polegała na podmienianiu nowych aut na stare, które towarzystwo ubezpieczeniowe uważało za całkowicie zniszczone. Ojciec z Gustavem kupowali samochody „skasowane”, to znaczy po wypadkach, i zabierali je do warsztatu, gdzie zdejmowali tablice rejestracyjne. Potem kradli nowy wóz i zakładali mu oznakowania starego auta.

Czasem jednak przy kradzieżach uciekali się do najprostszych sposobów, z których można by się śmiać, gdyby nie to, że były przestępstwem. Któregoś razu, na przykład, ojciec zobaczył jakiegoś człowieka stojącego na drodze przy zepsutym samochodzie, zapytał go, na czym polega awaria, i zaproponował, że dokona naprawy. Potem powiedział mu, że siądzie za kierownicą, żeby zobaczyć, jak zapala, i poprosił naiwnego właściciela, żeby go popchnął. W tym momencie silnik zaskoczył, a ojciec odjechał.

Za pieniądze uzyskane z kradzieży aut ojciec z Gustavem kupili sobie hałaśliwy ciemnoniebieski studebaker z białym dachem z 1955 roku, dzięki któremu powiększyli klub swoich fanów w dzielnicy. Weekendowe

przejażdżki z dziewczynami i długie wypady z paczką przyjaciół stały się ich zwyczajem.

Rozmawiałem z wieloma kumplami ojca. Wspominają wycieczkę do gminy Piendamó w departamencie Cauca, która miała na celu sprawdzenie, czy to prawda, że pewnej dziewczynce ukazała się Najświętsza Panienka. Było to w maju 1971 roku i cały kraj był poruszony tym domniemanym cudem. Babcia Hermilda, podekscytowana planem podróży, zleciła mu przywiezienie święconej wody.

Okazało się, że do Piendamó pielgrzymowały całe tłumy. Ojciec napełnił butelkę wodą w pobliżu miejsca, gdzie podobno ukazała się Matka Boska. Jednak w drodze powrotnej, przy podjeździe koło Minas, już bardzo blisko Medellín, studebaker się przegrzał i musieli dolać wody do chłodnicy. Ojciec nie chciał podpaść matce, więc jeszcze raz napełnił butelkę w rzece, a potem wręczył ją babci, która była głęboko przekonana, że to święcona woda.

Kilka dni po powrocie z Cauca ojciec i Gustavo dostali w Carvajal SA pracę czasową, która polegała na rozdzieleniu trzech tysięcy książek telefonicznych i odebraniu tych z zeszłego roku. Natychmiast wyróżnili się jako przodownicy pracy, bo zrealizowali zlecenie w imponującym tempie. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że wręczali książki jak popadnie, nawet nie patrząc na adres.

Zarabianie pieniędzy stanowiło ich priorytet, dlatego szybko wpadli na pomysł, żeby ze starych książek telefonicznych wyrwać połowę kartek i sprzedać je potem w skupie makulatury. Ten pomysł przyniósł im większy dochód niż rozdzielanie nowych książek, ale fucha skończyła się po dwunastu dniach, bo w Carvajal odkryto, że stosy książek telefonicznych przewracały się na podłogę, gdyż brakowało im połowy kartek. Wtedy zerwano z nimi umowę.

Przestępstwa stały się chlebem powszednim ojca i jego kuzyna Gustava. Po krótkim czasie posiadali już nie tylko studebakera, lecz także dwa motory marki Lambretta.

Powodzenie finansowe stawało się coraz bardziej odczuwalne i wreszcie ojcu starczyło pieniędzy na otwarcie konta oszczędnościowego w Kolumbijskim Banku Przemysłowym (BIC). W lutym 1973 roku zdeponował pierwszą kwotę w wysokości tysiąca stu sześćdziesięciu pesos, co wówczas odpowiadało pięćdziesięciu dolarom. W listopadzie miał już sto czternaście tysięcy sześćdziesiąt dwa pesos, czyli cztery tysiące siedemset czterdzieści dolarów oszczędności. Powoli stawał się zamożnym człowiekiem.

Pod koniec owego roku ojciec zobaczył na ulicy wysoką, szczupłą i ładną dziewczynę o długich nogach, która szła w krótkich spodenkach (nazywano je także szortami lub „gorącymi porteczkami"). Jej rodzina osiedliła się w dzielnicy kilka lat wcześniej. Miała trzynaście lat, nazywała się Victoria Eugenia Henao Vallejo. Uczyła się w szkole El Carmelo w sąsiedniej gminie Sabaneta. Była szóstym dzieckiem z ośmiorga rodzeństwa, pięciu dziewczynek i trzech chłopców.

Rodzina Henao należała do najzamożniejszych w dzielnicy La Paz. Matka Victorii, Nora, miała dobrze prosperujący sklep. Sprzedawała w nim materiały na mundurki szkolne, a także koszule, spodnie, artykuły AGD, przybory szkolne i kosmetyki, które przywoziła ze strefy wolnocłowej w dalekim Maicao na granicy z Wenezuelą. Ojciec, Carlos Emilio, rozwoził kanapki zadbaną furgonetką forda z końca lat pięćdziesiątych. Słodycze były produkowane w firmie La Piñata, dlatego w dzielnicy na dziewczyny z rodziny Henao wołano *piñatas*.

Pablo miał dwadzieścia cztery lata, o jedenaście więcej od niej, ale zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że kilka dni później wiedział już, że

najlepszą przyjaciółką Victorii jest Yolanda. Odszukał ją i poprosił o pomoc w zaproszeniu dziewczyny na spacer. Żadne z nich nie wiedziało jeszcze, że właśnie zaczyna się intensywny związek, pełen dobrych i złych momentów (póki co częściej złych niż dobrych), który zakończy się dopiero dwadzieścia lat później wraz ze śmiercią Pabla.

Jego strategia przyniosła efekty. Moi przyszli rodzice zaczęli się potajemnie spotykać, choć wyraźnie się różnili. Victoria była wyższa i miała zgrabną sylwetkę, bo raz w tygodniu na olimpijskich stadionach uprawiała pływanie na dystansie tysiąca metrów i często jeździła na wrotkach.

Z początku spotykali się w soboty, od siódmej do dziewiątej wieczorem, mając za wspólników Yolandę i kumpli z paczki taty. W tygodniu się nie widywali. Pablo wyjaśnił dziewczynie, że musi często wyjeżdżać w związku ze swoją pracą. Victoria jeszcze nie podejrzewała, że jej ukochany prowadzi działalność przestępczą.

Yolanda wspierała zakochanych, jak mogła, ale bardzo szybko natknęła się na twardą przeciwniczkę w osobie mamy Victorii, Nory, która wpadła w furię, dowiedziawszy się, że jej córka umawia się z niejakim Pablem Escobarem, starszym od niej kobieciarzem o niesprecyzowanym zajęciu, obracającym się w złym towarzystwie i w dodatku z zadatkami na przestępcę. Związek nie spodobał się także ojcu dziewczyny i jej bratu Mariowi, który zresztą znał już Pabla i to całkiem dobrze.

Para spotykała się nadal, mimo stanowczego sprzeciwu babci Nory, która piętrzyła przeszkody, pozwalając wychodzić Victorii na zabawy w dzielnicy tylko do pewnej godziny i w towarzystwie rodzeństwa. Jednak Pablo nie zamierzał tak łatwo się poddać. Zaczął zasypywać dziewczynę prezentami, które otrzymywała za pośrednictwem Yolandy. Pierwszym z nich był jego markowy zegarek, a potem pierścionek z perłami i turkusami zakupiony

w zakładzie jubilerskim w Medellín za tysiąc sześćset pesos, co jak na tamte czasy stanowiło prawdziwą fortunę.

Mimo to Nora nie ustępowała. Miała coraz więcej wątpliwości co do pretendenta córki.

— Córuś, nie musisz tak się stroić, bo tak czy inaczej wyglądasz, jakbyś spacerowała z własnym szoferem — powiedziała jej kiedyś.

— Powiedz mu, żeby zostawił to ponczo u siebie w domu, bo tutaj tak nie chodzimy — zawyrokował dziadek Carlos.

— Pamiętaj, że masz szanować moją córkę, bo za ten próg i tak nie wejdziesz — powiedziała mu Nora, kiedy miał już pozwolenie na odprowadzanie jej wieczorem do domu po sobotnim wyjściu.

Związek zacieśniał się, a spotkania stawały coraz częstsze. Pablo zaproponował, że nauczy ją prowadzić swojego musztardowożółtego renaulta 4 (którego później zamienił na studebakera). I, jak to on, zabierał ją potem wielokrotnie w bardzo niebezpieczne miejsca, łącznie z drogami wiodącymi nad przepaściami. Na zakończenie zawsze wjeżdżał drogą Las Palmas do El Peñasco, skąd roztaczał się imponujący, a zarazem romantyczny widok na Medellín.

Nigdy (aż do teraz, kiedy już kończyłem pisać książkę) nie przyszło mi do głowy, by zapytać mamę, dlaczego zakochała się w ojcu, i to do tego stopnia, że była gotowa wybaczyć mu wszystko, co zrobił. Po krótkim namyśle powiedziała mi:

— Pokochałam go za jego złośliwy uśmiech, za spojrzenie. Poza tym był bardzo romantyczny. Przy mnie robił się z niego prawdziwy pisarz i poeta, otaczał mnie wielkimi względami, uwodził sentymentalną muzyką, ciągle dawał mi płyty w prezencie. Uwielbiał mnie przytulać, zwracał się do mnie niezwykle czule. Był z niego wielki uwodziciel. Miał to we krwi. Zakochałam się, bo chciał pomagać innym i współczuł ludziom

przeżywającym dramaty. Już jako para jeździliśmy autem w różne miejsca, a on marzył, że wybuduje tam uniwersytety i szkoły dla ubogich. Od pierwszego po ostatni dzień nigdy nie powiedział mi złego słowa ani źle nie potraktował. Do samego końca był wobec mnie bardzo rycerski.

Rodząca się miłość została przerwana w drugim półroczu 1974 roku, kiedy policja zatrzymała ojca w skradzionym przez niego sprzed baru samochodzie marki Renault 4. Trafił do więzienia La Ladera, gdzie miał poznać kluczową dla swojej przestępczej kariery postać: Alberta Prieto, wielkiego *capo* kontrabandy tamtego okresu, znanego pod pseudonimem „Padrino" — ojciec chrzestny.

Pablo zetknął się z wpływowym człowiekiem, posiadaczem wielkiej fortuny zbitej na przemycie whisky, papierosów, artykułów AGD i innych towarów, które przywoził ze strefy przygranicznej Urabá i sprzedawał potem w Medellín oraz innych rejonach kraju. Dodatkowo odkrył, że jego towarzysz celi ma szerokie kontakty pośród polityków w Antioquii. Szczycił się swoimi stosunkami z kongresmenami i sędziami z Bogoty.

Przez krótkie dwa miesiące więzienia (bo potem sędzia wypuścił go na wolność) ojciec zaprzyjaźnił się z „Padrino" i nauczył zasad rzemiosła. Nigdy o tym ze mną nie rozmawiał, ale podczas zbierania materiałów do tej książki dowiedziałem się, że tak to załatwił, iż wszelkie dowody na kradzież renaulta 4 znikły. Sędzia nie miał wyboru i musiał zamknąć proces.

Kilka tygodni później ojciec ponownie spotkał się z „Padrino" (który zdążył już wyjść z więzienia), a ten zaproponował mu, żeby ochraniał transporty ciężarówek przewożących towar z Urabá. Ojciec się zgodził, pod warunkiem że będzie z nim pracował jego kuzyn Gustavo. Obaj bardzo szybko zyskali renomę w środowisku przemytników ze względu na brawurę i zimną krew w trudnych sytuacjach. Kiedyś, na przykład, policja

zatrzymała pięć ciężarówek załadowanych papierosami Marlboro przy wyjeździe z Urabá, a ojciec z Gustavem pojechali tam i odzyskali je w niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Za pośrednictwem „Padrino” ojciec i Gustavo znaleźli się nagle w środowisku, w którym nie istniała drobna przestępczość, a śmierć była sprawą powszednią i częstą. To mroczne i coraz bardziej ponure otoczenie doprowadziło ojca do popełnienia pierwszego w życiu morderstwa. Słyszałem wiele wersji tego zdarzenia, jednak ci, którzy znali sprawę z bliska, opowiedzieli mi, że pewien człowiek nazwiskiem Sanín sfingował własne porwanie w majątku w pobliżu Envigado, licząc na to, że jego brat, przemytnik i właściciel nie lada fortuny, zapłaci za niego okup.

Ojciec i wujek Mario znali ten plan i zgodzili się wziąć w nim udział. Pablo miał odebrać pieniądze za okup. W tym czasie Mario towarzyszył fałszywemu porwanemu. Jednak pech chciał, że zjawiła się policja zaalarmowana przez sąsiadów, którzy zaobserwowali dziwne poruszenie. Wtedy Sanín oświadczył, że został porwany i wskazał na obecnego przy tym Maria jako na jednego z porywaczy. Tym sposobem mój wujek trafił na dziewięć miesięcy do więzienia. Ojciec nie wybaczył zdrady i pewnej nocy pojechał za Sanínem, a kiedy ten wchodził do garażu w jakimś budynku, zabił go kilkoma strzałami. Było to zapewne jedno z pierwszych zabójstw dokonanych z motocykla w historii Medellín.

W tym czasie zadowolony z pracy ojca i Gustava przy ochronie jego szlaków przerzutowych „Padrino” powierzył im nowe zadanie: prowadzenie karawan od trzydziestu do pięćdziesięciu ciężarówek załadowanych towarem z portu Turbo w Urabá do Medellín. Dzięki sprytowi Pabla i Gustava transport „Padrino” dotarł na miejsce, przejeżdżając bez najmniejszego problemu przez kontrole policyjne, portowe i celne w Antioquii.

W tym czasie mamie zaczęły doskwierać ciągłe wyjazdy ojca, który znikał na wiele dni, by wrócić z jakimś prezentem, ale bez żadnych wyjaśnień. Zauważyła, że zaczął przywozić wełniane koce znakowane czterema tygrysami, wyrabiane ręcznie przez ekwadorskich Indian.

Moja przyszła matka nie wiedziała wówczas, że Pablo odkrył w końcu interes, który miał uczynić go milionerem w krótkim czasie: kokainę.

Istotnie, zgodnie z tym, co opowiadały mi różne osoby, które go wtedy znały, zażyłość z „Padrino" uświadomiła mu, że w niektórych domach czy folwarkach w gminach Caldas, La Estrella, Guarne i San Cristóbal w pobliżu Medellín istniały miejsca, gdzie przetwarzano pastę przywiezioną z Ekwadoru, Peru i Boliwii, która na koniec zmieniała się w biały proszek zwany kokainą.

Nie zwlekając, ojciec odnalazł człowieka w podeszłym już wieku nazwiskiem Atelio González i zapytał go, jak mógłby się wkręcić do tego biznesu. Ten opowiedział mu, że ma pod opieką jedno z miejsc zwanych „kuchniami", gdzie mieszano produkt przywieziony z zagranicy z określonymi substancjami chemicznymi, między innymi eterem i acetonem. Potem podgrzewano to wszystko do wysokiej temperatury w celu wysuszenia. W ten sposób powstawała kokaina.

Ojciec dalej interesował się tematem i wkrótce odkrył, że właścicielami „kuchni" były trzy nieznane mu osoby, które sprzedawały narkotyk kupcom przylatującym samolotem ze Stanów Zjednoczonych.

Zorientowawszy się, na czym w ogólnym zarysie polega ten biznes, ojciec nie wahał się ani chwili i podjął z Gustavem podróż samochodem do portu Guayaquil w Ekwadorze. Tam kupili pierwsze pięć *cosos*, czyli pięć kilogramów masy kokainowej. By uniknąć kontroli granicznej na moście Internacional Rumichaca, zawczasu skonstruowali skrytkę na zbiorniku z benzyną w renaulcie 4 ojca.

Atelio González przetworzył pięć kilogramów masy, uzyskując z nich kilogram kokainy, który sprzedali kupcowi za sześć tysięcy dolarów.

Od tej chwili odeszły w przeszłość kradzieże samochodów, roznoszenie książek telefonicznych i ciężkie podróże na potrzeby przemytu z Urabá. Ojciec z Gustavem zadebiutowali jako handlarze narkotyków.

Jak można się było spodziewać, nie zwlekając, założyli własną „kuchnię” w pobliskim majątku. Powierzyli ją wujowi Mariowi (który jeszcze nie pogodził się ze związkiem Pabla z Victorią) i znaleźli dostawców odczynników chemicznych, które czasami chowali w laboratoriach szkoły w La Paz, z pomocą siostry ojca Alby Mariny, która pracowała tam jako nauczycielka.

Podróże na południe kraju stały się bardzo częste. W końcu dotarli do ekwadorskiej prowincji La Loja przy granicy z Peru, gdzie poznali wielu dystrybutorów pasty kokainowej i weszli w spółkę z Jorge Galeano, nowym w tym biznesie antioqueńczykiem. Razem z nim zaczęli sprowadzać większe ilości pasty, ale zawsze samochodami i ryzykując podczas przekraczania granicy, na której czasami konfiskowano im niewielkie ilości towaru.

Ojciec powoli robił postępy w handlu kokainą. Równocześnie, choć nie bez przeszkód, jego związek z mamą rozkwitał. Ona złościła się z powodu jego nagłych podróży i dlatego, że zawsze miał jakąś wymówkę, by ukryć swoje prawdziwe intencje. Gdy mama skończyła piętnaście lat, we wrześniu 1975 roku, okropnie się pokłócili, bo ojciec zniknął na tydzień. Popsuł w ten sposób bardzo ważną dla niej uroczystość. Potem dowiedziała się, że pojechał do Ekwadoru.

W tamtym roku, po przetworzeniu i sprzedaniu pokaźnej ilości kokainy, ojciec spełnił swoje dawne marzenie: stał się zamożnym człowiekiem przed trzydziestką. Miał dwadzieścia sześć lat, kiedy poprosił kumpli ze swojej

paczki, żeby poszli z nim do Kolumbijskiego Banku Przemysłowego BIC w gminie Sabaneta w celu zdeponowania nie jednego, a pięciu milionów pesos (tj. trzech milionów dwustu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów).

Sytuacja finansowa ojca poprawiała się z dnia na dzień, jednak większa część rodziny mamy stanowczo sprzeciwiała się ich związkowi. Babcia Nora nadal uważała Pabla za nieodpowiedniego mężczyznę dla swojej córki i zabraniała jej się z nim spotykać. Na wszelkie sposoby próbowała przekonać Victorię, by go rzuciła.

Aż wreszcie jedno zakazane spotkanie przesądziło o dalszych losach tej znajomości.

Pewnego sobotniego wieczoru pod koniec marca 1976 roku ojciec zawiadomił Victorię, że wyjeżdża w podróż i chciał, żeby przyszła się pożegnać do lodziarni El Paso, niedaleko domu. Mama poprosiła babcię o pozwolenie na wyjście, ale ta zabroniła jej opuszczać dom. Powiedziała, że Pablo może jechać bez pożegnania. Victoria bardzo chciała się z nim zobaczyć, więc wymknęła się potajemnie i wszystko mu opowiedziała. Ojciec bardzo się oburzył na swoją nieprzejednaną „teściową", która nie pozwalała mamie choćby pożegnać się przed wyjazdem na kilka miesięcy. Wobec tego postawił wszystko na jedną kartę. Oświadczył, że w ten sposób nie mogą cieszyć się swoją miłością, i zaproponował wspólną ucieczkę do Pasto, gdzie mogliby wziąć ślub. Mama bez chwili wahania się zgodziła. Spędzili razem noc w domu Gustava Gavirii i jego żony, którzy nie widzieli przeszkód, by udzielić im gościny.

Ukrywając się wspólnie u kuzyna Gustava, dowiedzieli się, że wujek Mario się wściekł i szuka wszędzie ojca, żeby go zabić za to, że porwał „małą", jak nazywał siostrę. Wtedy postanowili wyjechać do Pasto. W tym celu trzeba było polecieć samolotem do Cali i tam zaczekać na przesiadkę.

W dzielnicy La Paz zapanowało wielkie poruszenie. Zrozpaczeni członkowie rodziny Henao rozpytywali wszędzie, aż wreszcie ktoś im powiedział, że uciekinierzy pojechali do Cali, gdzie muszą czekać przez sześć godzin na samolot do Pasto. Babcia Nora zadzwoniła do swojej mamy Loli, która mieszkała w pobliżu katedry w Palmirze i poprosiła ją, żeby się tam udała i nie pozwoliła im wyjechać.

Alfredo i Rigoberto, dwaj bliscy przyjaciele ojca, wyruszyli vanem w kierunku Cali w nadziei, że ich znajdą. Tak też się stało: kiedy dotarli na lotnisko, spotkali zakochaną parę wraz z prababcią. Przybyli akurat na czas, by zostać świadkami chwili, w której Pablo przekonał starszą panią, że powinni wziąć ślub.

Słowa ojca były tak przekonujące, że prababcia kazała im pojechać do Palmiry, bo była pewna, że zdoła namówić biskupa, by udzielił im ślubu. Znała wielu duchownych, gdyż od lat mieszkała w pobliżu katedry, a ponadto miała w zwyczaju odwiedzać więźniów i ubogich, oferując im pomoc. Dlatego z łatwością uzyskała potrzebną zgodę i tym sposobem Victoria i Pablo wzięli cichy ślub. Mama musiała przez wiele dni nosić te same spodnie w kolorze khaki z *terlete* (elastycznej tkaniny syntetycznej niewymagającej prasowania) i pomarańczowo-beżowy sweter, czyli ubranie, które miała na sobie, wymykając się z domu. Zgodnie ze swym ciężkim poczuciem humoru Alfredo i Rigoberto dali im jedyny prezent ślubny na tym weselu: wróżbę z kondolencjami „Z okazji fałszywego kroku, jaki właśnie zrobiliście”.

Nowożeńcy spędzili miesiąc miodowy w domu prababci, a tydzień później wrócili do La Paz i rozlokowali się na kilka miesięcy w małym pokoiku, który ojciec pożyczył ciotce Albie Marinie.

Mama wiedziała, że tata uwielbiał dojrzałe smażone banany i kiedy tylko mogła, przyrządzała mu je tak, jak lubił: pokrojone w kosteczkę i obtoczone

w jajku z czosnkiem. Dania dopełniały biały ryż, pieczone mięso i jego ulubiona sałatka z buraka. Wszystko to ze szklanką zimnego mleka oraz okrągłym grubym placuszkiem *arepa*.

Mama nie lubi mówić na ten temat, ale trudno pominąć liczne przygody ojca z kobietami, które wznowił kilka tygodni po ślubie. Plotki o jego słabości do kobiet docierały do jej uszu, przez co bardzo cierpiała i płakała po cichu, ale on zawsze ją uspokajał, zapewniając, że to ona jest kobietą jego życia, że ich małżeństwo przetrwa wszystko, i prosząc, by nie słuchała gadania zazdrosnych i podłych ludzi, którzy chcą ich rozdzielić. W pewnym sensie mówił prawdę: rodzice byli razem, póki śmierć ich nie rozłączyła, choć on nawet nie próbował być jej wierny.

Jednym z jego pierwszych sekretnych romansów był związek z dyrektorką miejscowej szkoły. Potem przez wiele miesięcy interesował się pewną ładną, młodą brunetką, wdową po słynnym złodzieju. Zdobywanie kobiet stanowiło dla ojca coś w rodzaju wyzwania, które podejmował przy każdej okazji. Tak też się stało pewnej nocy, gdy znana firma z Medellín zorganizowała uroczystość w salonie Antioquia w hotelu Intercontinental, w której udział wzięli rodzice i ciotki. O północy tak to załatwił, żeby mama wróciła do domu, a sam został potańczyć. Godzinę później już ściskał się z żoną jednego z pracowników, co wywołało gniew ciotki, która nie zawahała się uderzyć go w twarz.

Spokój panujący w domu ojca został w końcu zakłócony 7 czerwca 1976 roku, kiedy odebrał telefon i jeden z jego ludzi poinformował go, że agenci DAS odkryli ładunek kokainy, wieziony ciężarówką z Ekwadoru. Zarazem uspokoił go, mówiąc, że jego zdaniem detektywi są skłonni przyjąć pieniądze za przepuszczenie transportu do Medellín. Ojciec zaakceptował taki układ i czekał, aż przyjadą do miasta, żeby zapłacić im łapówkę.

O piątej rano następnego dnia Pablo dowiedział się, że agenci DAS oczekują go w lodziarni w hurtowni La Mayorista w Medellín, gdzie mieli przyjąć pieniądze. Tata zadzwonił do wujka Maria, żeby dotrzymał mu towarzystwa, a ten z kolei ściągnął Gustava. Przed wejściem ojciec przeliczył w aucie pięć tysięcy dolarów, którymi zamierzał kupić milczenie śledczych.

Była to jednak pułapka, bo agenci wcale nie zamierzali dać się przekupić i zorganizowali zasadzkę, chcąc schwytać całą bandę i skonfiskować dziewiętnaście funtów pasty kokainowej ukrytych w zapasowym kole ciężarówki. Poczekali tylko, aż ojciec zaproponuje im dolary i w tym momencie powiedzieli mu, że on, Mario, Gustavo i dwaj kierowcy ciężarówki zostają zatrzymani za handel narkotykami i próbę przekupstwa.

Natychmiast zostali przewiezieni do więzienia DAS w Medellín, gdzie spędzili noc, a następnego ranka przetransportowano ich do więzienia Bellavista, w gminie Bello, na północy Medellín. W karcie przyjęcia do więzienia ojciec został zarejestrowany pod numerem 128482 i zrobiono mu zdjęcie, na którym stoi uśmiechnięty. Zapewne sądził, iż jego pobyt tam nie będzie długi.

Pierwsze dni w więzieniu okazały się dla Pabla, Maria i Gustava bardzo ciężkie, bo rozeszła się plotka, że są informatorami policji, którzy zbierają dane o różnych bandach lub małych szajkach rządzących w więzieniu wedle własnych zasad. Plotka osiągnęła takie rozmiary, że ktoś ich ostrzegł, że wkrótce w nocy zostaną zaatakowani.

Sytuacja zmieniła się nagle, kiedy do więzienia trafił człowiek, którego ojciec nie znał, a który zapewnił innych zatrzymanych, że to żadne „wtyczki”, i kazał zostawić ich w spokoju. Tak też się stało i niebezpieczeństwo minęło. Nieoczekiwanym dobroczyńcą okazał się Jorge „Czarny” Pabón, przestępca odsiadujący krótki wyrok, który dobrze

wiedział, kim jest ojciec. Od tamtej pory przyjaźnili się, a wiele lat później Pabón miał odegrać kluczową rolę w kartelach Cali i Medellín.

Choć dzięki interwencji „Czarnego" Pabóna nastąpiła poprawa warunków pobytu ojca, Maria i Gustava w więzieniu, nie da się zaprzeczyć, że Bellavista była bardzo niebezpiecznym miejscem. To właśnie tam, w przeludnionym otoczeniu przesyconym smrodem, mama dowiedziała się, że jest w ciąży. Stało się to, kiedy wraz z żoną Gustava i ciotką Albą Mariną przyszła odwiedzić męża i nagle zaczęła wymiotować w kolejce przed wejściem.

Tata przyjął z radością wiadomość o ciąży żony, lecz wskutek jego uwięzienia, które zapowiadało się na dłużej, i kłopotów finansowych mama musiała opuścić dom w dzielnicy Los Colores i wrócić do rodziców, bo nie miała wystarczających środków na utrzymanie.

Zdesperowany z powodu izolacji oraz twardego reżimu więzienia Bellavista ojciec poprosił adwokata, żeby zrobił, co trzeba (łącznie z łapówkami), by przeniesiono go do innego zakładu karnego. Zabiegi obrońcy przyniosły efekt. Już kilka dni później Pablo i Gustavo zostali wysłani do więzienia departamentu Yarumito, w gminie Iragüí. Tam sytuacja była dużo lepsza, bo mama z babcią odwiedzały ich codziennie, przynosiły im śniadanie i obiad. Mimo to ojciec nie pogodził się z tym, że ma siedzieć w więzieniu. Wreszcie któregoś dnia odważył się uciec. Ukrył się w domu jednego z sąsiadów w dzielnicy La Paz. Zbiegł podczas meczu piłki nożnej przy współudziale kilku graczy, których poprosił, by wybijali piłkę coraz mocniej i dalej, żeby mógł po nią chodzić.

W tamtym okresie rzeczywistość w Kolumbii wyglądała zupełnie inaczej niż obecnie: dyrektor więzienia zadzwonił natychmiast do babci i poinformował ją, że Pablo uciekł. Następnie poprosił, by przekonała zbiega, że powinien wrócić. Na zakończenie obiecał, że nie zostanie

ukarany. Kilka godzin później Pablo zadzwonił do babci Hermildy, która poprosiła go, by nie przysparzał więcej cierpień mojej mamie, która była w trzecim miesiącu i ważyła ledwo czterdzieści kilogramów. Potem tata zadzwonił do mamy, która błagała go, by przez wzgląd na ciążę natychmiast wrócił. Zgodził się na to i jeszcze tego samego wieczoru zgłosił się do więzienia, gdzie przyjął go dyrektor.

Mimo dobrych warunków w więzieniu Yarumito ojciec bardzo się martwił, bo pani sędzia prowadząca jego sprawę, Mariela Espinosa, zamierzała skazać wszystkich trzech, ponieważ dowody były niepodważalne.

Wtedy zdecydowali z adwokatem zagrać kartą, która miała okazać się kluczowa: poprosili o przeniesienie procesu do miasta Pasto przy granicy z Ekwadorem, gdzie DAS przechwyciło ciężarówkę z pastą kokainową. Sąd wyższej instancji departamentu Narino przyznał rację obrońcy ojca, który uzasadniał, że kokaina została kupiona właśnie w tym mieście na południu kraju i dlatego tam powinna toczyć się sprawa. Prawnicy zlecili więc natychmiastowe przeniesienie osadzonych do więzienia w Pasto, co nastąpiło akurat w momencie, gdy mama przyszła odwiedzić ich w Yarumito. Ojciec szedł skuty i ucieszył się na jej widok. Radość na jego twarzy zmieniła się w furię, gdy jeden z policjantów uderzył ją karabinem, żeby odsunęła się na bok.

W następnych tygodniach mama z babcią jeździły dość często do Pasto, gdzie odwiedzały ojca, wujka Maria i Gustava Gavirię. Z łatwością przekupili strażników, żeby zapewnić sobie dobre traktowanie. Ojcu pozwalano nawet chodzić do najbardziej znanego w mieście hotelu Morasurco, gdzie spędzał z mamą weekendy.

Sytuacja prawna zatrzymanych zaczęła się wyjaśniać w sierpniu 1976 roku, kiedy sędzia z Pasto zwolnił wujka Maria i Gustava Gavirię.

W listopadzie następnego roku, po pięciu miesiącach więzienia, proces ojca został umorzony. Wówczas natychmiast wrócił w rodzinne strony.

Uwięzienie miało jednak odcisnąć trwały ślad na jego przyszłości. Po raz pierwszy był notowany, a ponadto w dzienniku „El Espectador” w Bogocie ujawniono jego tożsamość. Nie było już odwrotu od przestępczej kariery i ojciec dobrze o tym wiedział.

---

19 Medellín bez Slumsów.

20 SENA (Servicio Nacional de Aprendizaje) — państwowe szkoły oferujące kształcenie zawodowe i uzupełniające.

# Rozdział 6

## NÁPOLES: PIĘKNE SNY I KOSZMARY

Pochowajcie mnie tutaj, a na mogile posadźcie puchowiec. I pamiętajcie, nie chcę, żebyście odwiedzali ten grób. Ciało to jedynie powłoka, w której chodzimy po ziemi.

Po raz trzeci i ostatni ojciec powiedział nam z mamą, co powinniśmy zrobić z jego szczątkami po śmierci. Zdawał sobie sprawę, że nastąpi ona raczej szybciej niż później.

Był spokojny sobotni wieczór, terenowym nissanem patrol ze składanym dachem wybraliśmy się na przejażdżkę po okolicy ogrodu zoologicznego w hacjendzie. W pewnej chwili tata zatrzymał się, żeby pokazać mi, w którym miejscu chce być pochowany. Do dziś nie mogliśmy spełnić jego woli — obecnie spoczywa na cmentarzu w Medellín. Ojciec bez wątpienia darzył Nápoles szczególnym sentymentem.

W te gorące rejony antioqueńskiego Magdalena Medio przybył na początku 1978 roku. Wcześniej od ponad roku szukał okolicy łączącej w sobie selwę, wodę i góry. Gdy tylko dzięki handlowi kokainą stał się bogatym człowiekiem, kupił helikopter, z którego spenetrował sporą część Antioquii, Caucasia, Santa Fe de Antioquia i Bolombolo, ale nie znalazł miejsca spełniającego te trzy warunki.

Wreszcie któregoś dnia do jego biura zajrzał Alfredo Astado i wspomniał, że w dzienniku „El Colombiano” ukazało się ogłoszenie: wystawiono na sprzedaż posiadłość w gminie Puerto Triunfo, w pobliżu przyszłej

autostrady Medellín–Bogota. Alfredo przekonywał ojca o walorach tego rejonu w centrum kraju, który ponadto miał zapewnioną przyszłość, bo rozpoczęto już budowę wspomnianej drogi.

Ojciec zgodził się, żeby Alfredo zadzwonił do sprzedającego i umówił się na obejrzenie oferowanej posiadłości. Ustalono, że podróż odbędzie się w następny weekend, była jednak odkładana jeszcze przez trzy miesiące, bo ojcu i Gustavowi Gavirii ciągle coś wypadało.

Ostatecznie umówili się pewnej soboty o drugiej po południu w Piedras Blancas przy wyjeździe z gminy Guarne. W tamtym czasie fascynowali się motorami i często brali udział w wyścigach, dlatego wpadli na pomysł, by odbyć podróż w taki właśnie sposób.

Miłośnicy przygód stawili się punktualnie na spotkanie z walizeczką zawierającą tylko ubranie na weekend, ale nie przewidzieli, że o tej porze roku opady w tym rejonie są bardzo obfite, i nie wzięli ze sobą płaszczy przeciwdeszczowych. Ledwo wyjechali, zerwała się wielka ulewa, która przemoczyła ich do suchej nitki. Mimo to zdecydowali się jechać dalej, by noc nie złapała ich na drodze.

Po wielu upadkach, zadrapaniach i przystankach na jointa niemal o północy dotarli do gminy San Carlos. Byli w połowie drogi. Miasteczko tonęło w ciemnościach, ale ojciec i jego koledzy postanowili chodzić od domu do domu w nadziei, że znajdą właściciela sklepu odzieżowego, restauracji i hotelu.

Po chwili otworzono dla nich sklep, restaurację i hotel. O pierwszej w nocy, po kupieniu nowych ubrań i zjedzeniu obfitej kolacji, poszli spać. W niedzielę znów ruszyli w drogę. Spotkało ich jeszcze kilka przygód, ale w końcu dotarli do majątku Hezzen w Puerto Triunfo, gdzie pośrednik przedstawił ich właścicielowi. Okazało się, że jest nim Jorge Tulio Garcés,

stary wróg ojca, ten sam, z którym wiele lat wcześniej wdał się w bójkę w dzielnicy La Paz.

Przywitali się, nie wspominając o starych historiach, i wyruszyli konno na objazd terenu. Po powrocie ojciec zaproponował, że kupi także rezydencję Jorge Tulia, ale ten powiedział, że nie jest na sprzedaż, bo to rodzinna spuścizna.

Następnego dnia oglądali kolejne majątki, aż ojciec zwrócił uwagę na śliczną hacjendę o nazwie Valledupar. Obok była druga, mniejsza: Nápoles.

Ostatecznie, po długich negocjacjach, podczas których Jorge Tulio żądał szalonych cen, jakby chciał odstraszyć nabywców, ojciec z Gustavem kupili hacjendę Valledupar za trzydzieści pięć milionów pesos, czyli dziewięćset piętnaście tysięcy dolarów.

Tata uważał jednak, że to zbyt mały teren, i przez kolejne cztery miesiące kontynuował zakupy: nabył Nápoles i dziewięć innych majątków, które ogółem zajmowały powierzchnię tysiąca dziewięciuset dwudziestu hektarów, a kosztowały dziewięćset milionów pesos (dwa miliony trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów). Tego właśnie potrzebował: ogromnego terenu z rzekami, selwą, górami i przyjemnym klimatem, ciepłym, lecz suchym.

Miałem wtedy rok. Ojciec poświęcił się całkowicie projektowi, o którym od dawna myślał. By go zrealizować, co weekend latał swoim helikopterem do Puerto Triunfo. W pierwszej kolejności przebudował i powiększył główny dom w hacjendzie Valledupar. Wkrótce postanowił zmienić jej nazwę na Nápoles, na cześć Ala Capone, słynnego amerykańskiego gangstera z lat dwudziestych zeszłego wieku, którego ojciec, Gabrielle, urodził się w Neapolu, we Włoszech. Ojciec podziwiał Ala Capone i czytał wszystko, co napisano w prasie czy książkach na temat jego przestępczej kariery. Kiedyś, podczas jednego z nielicznych wywiadów, jakich udzielił,

japoński dziennikarz zapytał go, czy uważa się za większego od Ala Capone. Odpowiedział: „Nie wiem, ile wzrostu miał Al Capone, ale sądzę, że jestem od niego o kilka centymetrów wyższy”.

W nowym Nápoles stu robotników zbudowało w rekordowym czasie dom, do którego wkrótce przylgnęła nazwa La Mayoría. Był to dwupiętrowy budynek o dość chaotycznej architekturze, ale posiadający wiele udogodnień i bardzo komfortowy.

Pokój ojca wyglądał dziwnie: mierzył jedynie pięć metrów kwadratowych, co kontrastowało z ogromną powierzchnią rezydencji.

Na parterze znajdowało się osiem prawie identycznych sypialni, z których każda mogła pomieścić nawet osiem osób. W tylnej części umieszczono trzy duże garaże, przewidziane na pięć samochodów każdy, ale przyjeżdżało do nas tak wielu ludzi, że w końcu rodzice wstawili do nich piętrowe łóżka i dobudowali nowe łazienki.

Obok basenu dla dzieci i dorosłych, częściowo schowanego pod zadaszeniem krytym hiszpańską dachówką, znajdował się salon telewizyjny na trzydzieści osób; dalej ogromny bar z dziesięcioma czteroosobowymi stolikami, przyozdobiony gigantycznymi butlami whisky i pełen gier elektronicznych z lat osiemdziesiątych, takich jak Pac-Man, Galaxian czy Donkey Kong.

Któregoś dnia jeden z robotników przywiózł już wyrośnięte drzewko *mamoncillo* i ojciec postanowił posadzić je koło basenu. Kiedy drzewo urosło, zadowolony wspinał się na nie i zrywał dla wszystkich obecnych owoce.

Potem wpadł na pomysł, by zakupić największy dźwig, jaki był wtedy dostępny w Kolumbii, i ściągnął go do Nápoles, żeby sadzić duże rośliny. Sprowadził wiele sadzonek drzew owocowych, takich jak mango,

pomarańcza, *guama* czy cytryna. Marzył, by wjeżdżać do hacjendy i nie wysiadając z auta, zrywać owoce wprost z gałęzi.

Spiżarnie, w których przechowywano jedzenie, wyglądały jak sklepy, a każda z trzech chłodni w kuchni mogła pomieścić nawet osiem osób. Po rezydencji kręciło się wielu służących, zawsze gotowych przynieść wszystko, „czego pan sobie zażyczy”: począwszy od strojów kąpielowych dla osób w dowolnym wieku, pieluch dla dziecka, jeśli ktoś o nich zapomniał, butów, czapek, bermudów i koszulek, a skończywszy na importowanych słodyczach. Gdy ktoś prosił o kieliszek wódki, dostawał całą butelkę. Nápoles pomyślane było jako miejsce, gdzie każda potrzeba nasza lub naszych gości miała zostać natychmiast zaspokojona.

Mama i jej przyjaciółki bardzo często korzystały z kortu tenisowego i nawet organizowały sobie turnieje. Jeśli któraś nie umiała grać, znajdowały dla niej prywatnego instruktora, którego przywoziły helikopterem z Medellín.

Nigdy nie odwiedziłem w Stanach Zjednoczonych rancza Neverland należącego do Michaela Jacksona, ale sądzę, że Nápoles w niczym mu nie ustępowało. Od chwili przybycia aż do wyjazdu wszystko tam było jedną wielką przygodą.

Nie wiem, jak ojciec wpadł na pomysł postawienia figur kilku dinozaurów i mamuta rzeczywistych rozmiarów, ale rzeźby te zostały wykonane przez znanego artystę z Magdalena Medio o pseudonimie „Diablo” na długo przed tym, zanim Steven Spielberg nakręcił *Park Jurajski*. Ogromne zwierzęta z cementu w żywych kolorach wciąż jeszcze tam stoją. Potem, podczas rewizji, władze podziurawiły je, sądząc, że w środku znajdą dolary.

Rodziny Escobar i Henao z przyjemnością spędzały czas w Nápoles. Jeździły tam prawie co weekend. W czasach największej świetności

hacjendy mama dzwoniła do gości, żeby zapytać, czy wolą przybyć helikopterem, prywatnym samolotem, vanem czy motorem, po czym prosiła o podanie godziny przyjazdu i wyjazdu.

Tata uwielbiał sporty ekstremalne. Znalazł na rzece Claro miejsce, które niezwykle przypadło mu do gustu. Żeby zapewnić wszystkim atrakcje, zadzwonił do przyjaciela w Miami, rajdowca Ricarda Londoño alias „Brzytewka", i zamówił u niego łodzie śmigłowe, *rolligona*[21], *buggies*[22] i ultralekkie samoloty.

Do jego ulubionych zajęć podczas weekendów należało pływanie hałaśliwymi łodziami śmigłowymi, które czasami wpadały na kamienie, kiedy pruł w górę lub w dół rzeki. Każdy uszkodzony pojazd natychmiast zastępowano nowym, który przywożono z Nápoles. Czasem pływaliśmy razem wpław lub w oponach w dół rzeki, przy czym raz o mało się nie utopiłem.

Ciągłe loty helikopterem nad rzekami otaczającymi hacjendę, do których zaliczała się dość zasobna w wodę Doradal, podsunęły ojcu pomysł zbudowania tamy, która byłaby źródłem energii i doskonałym miejscem do uprawiania sportów wodnych. Do realizacji tego przedsięwzięcia ściągnął siedmiuset robotników, ale rok później wstrzymał budowę, bo koszty były ogromne, a projektowi brakowało solidnego przygotowania technicznego. Kilku specjalistów ostrzegało nawet ojca, że kontynuacja prac grozi zalaniem nowo powstającej miejscowości Doradal i pobliskich wsi, czego konsekwencje są trudne do oszacowania.

Pewnego dnia ojciec wrócił z hacjendy Veracruz, stanowiącej własność braci Ochoa Vásquez, z pomysłem, że założy własny ogród zoologiczny. Bracia stworzyli wspaniały zakątek w gminie Repelón w departamencie Atlántico, dokąd sprowadzili wielką liczbę egzotycznych zwierząt, które urzekły ojca. Wielokrotnie ich odwiedzał, by poznać szczegóły dotyczące

założenia zoo, aż zrozumiał, że dobre samopoczucie zwierząt zależy od ekosystemu, w jakim zostaną ulokowane. Pragnąc zgłębić ten temat, kupił sobie encyklopedię National Geographic, z pomocą której przestudiował lokalny klimat i wybrał odpowiednie do niego gatunki.

Idea założenia prywatnego ogrodu zoologicznego nabrała kształtu w 1981 roku, kiedy ojciec zabrał nas po raz drugi lub trzeci do Stanów Zjednoczonych. Jak przystało na szanujących się *paisas*, wybraliśmy się całą bandą: wszyscy bracia i siostry ojca, z małżonkami i dziećmi, kilku kuzynów, dziadek Abel i babcia Hermilda.

Mama opowiadała mi, że wszyscy szastali pieniędzmi bez umiaru. Kupowali, co tylko wpadło im w oko. Przywieźli ze sobą dziesiątki waliz pełnych ubrań i słodyczy. Każda część rodziny miała własnego przewodnika, który towarzyszył jej w zakupach i spacerach, oraz kierowcę z samochodem do przejazdów. W czasie tej podróży spełniali wszelkie swoje zachcianki.

Ich rozrzutność osiągnęła takie rozmiary, że któregoś dnia krewni weszli do sklepu jubilerskiego Mayor’s w Miami i zostali tam do późna, kupując różnego rodzaju zegarki i biżuterię. W końcu sprzedawcy zamknęli sklep, by zająć się wyłącznie ich obsługą.

Nikt nie chodził uzbrojony ani z obstawą, bo nie było jeszcze takiej konieczności. To jedyny okres prawdziwej pomyślności i rozrzutności w życiu ojca.

Przed powrotem do Kolumbii tata polecił Alfredowi sprawdzić w Stanach Zjednoczonych, czy w którymś ogrodzie zoologicznym można kupić słonie, zebry, żyrafy, dromadery, hipopotamy, bawoły, kangury, flamingi, strusie i inne gatunki egzotycznych ptaków. Wykreślił ze swojej listy tygrysy i lwy, bo po pierwsze, chciał, aby zwierzęta żyły na wolności, a po drugie, uznał to za niebezpieczne.

Kilka tygodni później Alfredo powiadomił go, że skontaktował się z właścicielami hodowli zwierząt egzotycznych w Dallas w Teksasie, którzy chwytali zwierzęta w Afryce i przywozili je do Stanów Zjednoczonych.

Tata, pełen entuzjazmu, zorganizował kolejną rodzinną ekspedycję, żeby dobić targu. Po wylądowaniu na lotnisku w Dallas czekała nas niespodzianka, bo na pasie startowym stało osiem lub dziesięć luksusowych limuzyn. Było ich tyle, że jechałem sam w jednym z tych ogromnych pojazdów, oglądając w telewizji przygody Toma i Jerry'ego, z ogromną szklanką czekolady w dłoni.

Ojciec całkiem stracił głowę oszołomiony różnorodnością zwierząt, jakie zobaczył. Nie zawahał się nawet wdrapać na kilka minut na grzbiet słonia. Niezwłocznie zaczął negocjacje z właścicielami zoo — dwoma wielkimi braćmi nazwiskiem Hunt. Zapłacił dwa miliony dolarów gotówką i powiedział, że wkrótce przyśle po zwierzęta.

Po powrocie do hotelu ojciec kupił mi balon z helem. Gdy poszliśmy do pokoju się nim pobawić, nieoczekiwanie zaproponował:

— Grégory, chcesz zobaczyć, jak twoja butelka ze smoczkiem podróżuje balonem? — zapytał z uśmiechem.

— Tak, tato, super — odparłem naiwnie, z wielkim entuzjazmem.

— Dobrze, w takim razie chodź i pomóż mi. Przywiążemy ją mocno, żeby się nie odczepiła od balonika.

Uszczęśliwiła mnie myśl, że moja butelka wkrótce pofrunie. Tata przywiązał sznurek i razem wypuściliśmy balonik. Zrobiliśmy mu nawet zdjęcie polaroidem. W pewnym momencie uświadomiłem sobie jednak, że butelka odleciała na dobre, zacząłem się o nią dopytywać i domagać jej powrotu.

— Synku, mam wrażenie, że butelka nieprędko tu wróci. Zobacz tylko, jak wysoko do nieba poleciała! Już czas, żebyś zaczął pić z kubka, jak dorosły mężczyzna.

Pierwsza duża grupa zwierząt do ogrodu zoologicznego w Nápoles została przywieziona wynajętym statkiem, który zacumował na Morzu Karaibskim w antioqueńskim porcie Necoclí, w odległości czterystu kilometrów od Medellín.

Podróż statkiem trwała długo, przez co zwierzęta wystawione były na większe ryzyko, dlatego ojciec postanowił sprowadzać je tajnymi lotami, organizując ekspresowe wyładunki. Wybrał do tego zadania swojego przyjaciela Fernanda Arbeláeza. Ten wynajął kilka samolotów Hercules, które po zakończeniu lotu miały lądować na lotnisku Olaya Herrera w Medellín. Realizacji tego planu sprzyjało to, że zasady bezpieczeństwa na lotnisku były jeszcze słabo rozwinięte, a tata posiadał kilka hangarów przylegających do głównego pasa startowego.

Arbeláez opracował tak precyzyjny system, że samoloty przylatywały kilka minut po szóstej wieczorem, kiedy wieża kontroli lotów i światła na pasie startowym gasły. W tym momencie na horyzoncie ukazywał się hercules. W czasie gdy ogromna maszyna lądowała, nie wyłączając silników, z hangarów taty wyjeżdżały liczne ciężarówki i rozmaite dźwigi, które z niezwykłą szybkością wyładowywały skrzynie ze zwierzętami. Potem samolot ponownie startował. Kiedy zjawiały się zaalarmowane zamieszaniem władze, znajdowały jedynie kilka pustych drewnianych skrzyń, pióra i kłęby sierści na ziemi. Od tamtej pory Fernanda nazywali „Pogromcą Zwierząt”. Ekspresowe wyładunki pozwoliły szybko wypełnić zwierzętami ogród zoologiczny w Nápoles, akurat gdy autostrada Medellín–Bogota była już na ukończeniu.

Wciąż jednak brakowało pary nosorożców. Aby sprowadzić je ze Stanów Zjednoczonych, ojciec wynajął stary samolot DC-3. Za sterami usiadł zaprawiony w bojach lotnik, który zgodził się wylądować, mimo że potrzebował pasa długości tysiąca dwustu metrów, czyli o trzysta metrów dłuższego niż ten, którym dysponowaliśmy w Nápoles.

Po wymierzeniu odległości i określeniu czasu lądowania samolot zniżył lot nad Nápoles i z hukiem dotknął ziemi. Dokładnie w tym momencie pilot umiejętnie obrócił go co najmniej dziesięć razy na tylnym kole i w końcu zahamował na skraju pasa, w ostatniej chwili unikając runięcia do rzeki Doradal. Na dziobie samolotu widniał wizerunek ogromnej ryby o zawadiackim spojrzeniu, która w ostrych zębach trzymała zapalonego papierosa.

Ogród zoologiczny był już właściwie gotowy, ale ojciec wciąż chciał nowych zwierząt. Często były to kosztowne zachcianki, jak choćby para czarnych papug, które kupił w Miami, dokąd pojechał odebrać dług w wysokości siedmiu milionów dolarów od dystrybutora kokainy. Choć był umówiony z dłużnikiem o drugiej po południu, wolał pojechać na spotkanie z właścicielem zwierząt, które miało się odbyć o tej samej godzinie na drugim końcu miasta. Papugi były najdroższymi okazami w całym zoo, bo kupił je za czterysta tysięcy dolarów. Kilka tygodni później wściekły ojciec zadzwonił się poskarżyć, ponieważ weterynarz odkrył, że zwierzęta zostały wcześniej wykastrowane.

Tata spędzał całe godziny, patrząc na ogromne klatki, w których umieszczone były najbardziej egzotyczne ptaki świata. Papugi zaliczały się do jego ulubionych gatunków; miał je we wszystkich możliwych kolorach, łącznie z czarnymi. Ale nawet tego było mu mało: podczas podróży do Brazylii w marcu 1982 roku, zorganizowanej dla uczczenia jego wyboru do Izby Reprezentantów, odkrył niebieską papugę o żółtych oczach, unikatowy

gatunek pozostający pod ochroną. Dla niego jednak granice i zakazy nie istniały, więc postanowił przemycić ptaka do Kolumbii. Papuga została przywieziona sama pustym prywatnym samolotem ojca. Koszt? Sto tysięcy dolarów.

Ostatnimi zwierzętami, jakie przybyły do zoo, była para pięknych różowych delfinów, które ojciec kazał kupić w Amazonas i wypuścił potem do jednego z jezior utworzonych w hacjendzie Honduras, o dziesięć minut od Nápoles. Wieczorami często chodziłem bawić się z delfinami, chociaż strasznie śmierdziały.

Wreszcie ojciec uznał, że jego ogród zoologiczny, do którego sprowadził około tysiąca dwustu egzotycznych zwierząt, jest gotowy otworzyć podwoje dla zwiedzających. Wtedy uzmysłowił sobie, że brakuje mu wejścia. Kazał więc wybudować wielką białą bramę z dużym napisem Nápoles na dwóch kolumnach. Na górze umieścił awionetkę jednosilnikową model PA 18 Piper z numerem HK-671, również pomalowaną na biało i z niebieskim pasem na boku.

Historia tego samolotu długo stanowiła przedmiot spekulacji. Mówiono na przykład, że to w nim ojciec przemycił swój pierwszy ładunek kokainy. Prawda wyglądała inaczej. Mały jednosilnikowy samolot należał do przyjaciela ojca do czasu, aż uległ uszkodzeniu podczas nieszczęśliwego lądowania na poboczu pasa na lotnisku Olaya Herrera w Medellín. Awionetka stała porzucona przez kilka miesięcy, póki ojciec nie zobaczył jej szczątków i nie poprosił znajomego, żeby mu ją podarował. Potem kazał ją przewieźć do Nápoles, gdzie została rozmontowana i odnowiona, ale już bez silnika. Cechą szczególną tego samolotu było to, że jego zewnętrzne pokrycie wykonano z tkaniny.

Wymyślono także mnóstwo historii o starym, podziurawionym samochodzie, który ojciec kazał umieścić w pierwszej z trzech głównych

części ogrodu zoologicznego, o kilometr od wejścia do hacjendy. Najczęściej powtarzana wersja głosi, że w aucie tym w maju 1934 roku zginęli Bonnie i Clyde, których ojciec uwielbiał. Wspólnie obejrzeliśmy wszystkie filmy o nich nakręcone w Hollywood.

Samochód stanowił tak naprawdę połączenie dwóch pojazdów i został wykonany przez Alfreda Astado. Podwozie pochodziło z terenowej toyoty i było jedynym elementem nadającym się do użycia po wypadku drogowym, w którym zginął młodszy brat ojca, Fernando. Do kraksy doszło, kiedy zabrał swoją dziewczynę na próbną przejażdżkę nowym autem. Resztę Alfredo wziął ze starego forda z 1936 roku, którego ktoś mu podarował. Z podwozia toyoty i karoserii forda zbudował jedno auto.

Któregoś dnia, kiedy Alfredo załatwiał sprawy na mieście, ojciec przyszedł do niego i odkrył przerobionego forda. Nie zapytawszy go nawet o zdanie, kazał zabrać samochód do Nápoles i tam wystawić. W następny weekend wziął karabin maszynowy i poszedł sprawdzić, jak prezentuje się auto. Kazał swoim ludziom wyciągnąć broń i strzelać w karoserię, tak by powstało 167 otworów, jak w oryginalnym samochodzie Bonnie i Clyde'a. Strzelanina o mało nie skończyła się tragedią. W ostatniej chwili usłyszeli przeraźliwe wołanie o ratunek robotnika z hacjendy, który zdrzemnął się w środku.

Z awionetką nad wejściem, samochodem podziurawionym kulami i dziesiątkami wspaniałych egzotycznych zwierząt w ogrodzie zoologicznym ojciec otworzył Nápoles dla zwiedzających. Sukces przyszedł natychmiast, bo wstęp był bezpłatny, a turyści mogli przemierzać rozległy teren samochodami. Podczas świątecznego weekendu przewijało się tam nawet dwadzieścia pięć tysięcy aut. Całe rodziny z najdalszych zakątków Kolumbii przyjeżdżały nacieszyć się tym miejscem. Ojciec był

szczęśliwy. Kiedyś zapytałem go, dlaczego nie pobiera opłat za wjazd. Mógł przecież zrobić na tym niezły interes.

— Synu, to zoo należy do narodu. Póki żyję, nie będę na tym zarabiał. Cieszę się, że biedni ludzie mogą podziwiać piękno natury.

Najazd turystów osiągnął takie rozmiary, że ojciec kazał zbudować dodatkową drogę, bo sam miał problem z dotarciem do hacjendy. Przejazd od bramy do głównego domu, który wcześniej zajmował siedem minut, teraz trwał nawet dwie godziny.

Tylko jeden gatunek zwierząt nie zaadaptował się do warunków w Nápoles: żyrafy. Tata kupił w ogrodzie zoologicznym w Teksasie sześć sztuk (trzy samice i trzy samce). Żyrafy nie chciały jeść ani nie potrafiły się przyzwyczaić do paśników, które ojciec kazał powiesić wysoko na drzewach. W końcu wszystkie zdechły i zostały pochowane na obrzeżach posiadłości.

Otwarciu zoo towarzyszyło bardzo intensywne życie. Zabawy stały się bardzo częste. Brały w nich udział nasze rodziny i znajomi ojca, choć w tym drugim wypadku atmosfera była bardziej oficjalna. Naszego pierwszego sylwestra w Nápoles świętowaliśmy przez miesiąc: pół grudnia i pół stycznia. Wśród gości znalazł się wenezuelski wokalista Pastor López ze swoją orkiestrą, która zaczynała grać o dziewiątej wieczorem, a kończyła o dziewiątej rano następnego dnia. W niektóre noce przychodziło nawet tysiąc osób, żeby potańczyć rumbę. Wielu z nich nie znaliśmy.

Pas startowy w Nápoles przypominał port lotniczy. W czasie weekendów można tam było zobaczyć nawet kilkanaście zaparkowanych samolotów i helikopterów. W tamtym okresie ojciec miał sporo przyjaciół, nikt go nie ścigał, a wielu gości przyjeżdżało z prezentami, z całymi skrzynkami alkoholi.

Luksus był wszechobecny, a pieniędzy starczało na wszystko. Wujek Mario Henao także miał swój samolot i często można było rano zobaczyć, jak wylatuje z Nápoles: „Zjem śniadanie w Bogocie, ale wrócę na obiad. Przywiozę dla Pabla ser z nadzieniem z gujawy, z tych, które sprzedają na lotnisku”.

Pewnego razu mojego kuzyna Nicolása (który ważył wówczas około stu trzydziestu kilogramów) naszła ochota na pewien rodzaj hamburgera, który sprzedawano tylko w centrum handlowym Oviedo w Medellín. Wysłał więc po niego helikopter i po dwóch godzinach miał już na talerzu swoje wymarzone podwójne mięso z ogromną porcją frytek.

Ogród zoologiczny nigdy nie przestał być ukochanym dziełem ojca. Dbał w nim o każdy szczegół. Kiedyś na przykład przejeżdżał przez hacjendę terenówką i zauważył, że flamingi straciły swój piękny różowy kolor, a ich pióra stały się niemal białe. Przekonany, że odbarwienie wynika z nieodpowiedniej diety, poradził się niedoświadczonego weterynarza i za jego radą przez sześć miesięcy karmił je langustami, co oczywiście nie przyniosło skutku.

Innym razem zauważył, że słonie nie są zainteresowane swoimi posiłkami. Nie wiedział za bardzo, czym je karmić. Robiono próby z różnego rodzaju ciętą trawą, a nawet z trzciną cukrową, jednak gruboskóre zwierzęta przez długi czas nie miały apetytu. Oprócz innych eksperymentów któregoś dnia ojciec kazał dla nich kupić trzy tony marchewki, licząc na to, że się ożywią. Nie przyniosło to jednak oczekiwanego rezultatu.

Pewnego dnia wybraliśmy się z ojcem na przejażdżkę po ogrodzie zoologicznym niebieskim terenowym kabrioletem marki Nissan. Ojciec objeżdżał teren, by sprawdzić, jak czują się zwierzęta, a ja w tym czasie na jego prośbę trzymałem na kolanach karabin maszynowy.

Godzinę po wyjeździe znaleźliśmy jelenia leżącego przy szosie ze złamaną nogą. Zwierzę o długich białych nogach i kawowym grzbiecie w żółte cętki skręcało się z bólu, bo złamana kość przebiła skórę. Widząc, że kontuzja jest poważna, tata powiedział, że nie ma wyjścia i trzeba go dobić. Poszedł do auta po swój legendarny dziewięciomilimetrowy czarny pistolet Sig Sauer P-226, który bardzo lubił, bo był celny i nie wypalał zbyt łatwo. Poza tym, jako chyba jedyna z jego licznych broni, nigdy się nie zacinał.

— Zabijesz go, Grégory? — zapytał i nie dając mi czasu na odpowiedź, kazał wycelować w głowę jelenia i strzelić, by oszczędzić mu dalszych cierpień.

Musiałem mieć przerażoną minę, bo powiedział, żebym poczekał na niego w aucie, ale odpowiedziałem, że potrafię to zrobić. Wystraszony wziąłem do ręki broń. Żeby odwieść kurek, potrzebowałem obu rąk. Choć stałem bardzo blisko, w odległości niecałego metra, spudłowałem i strzeliłem w ziemię. Za drugim razem sytuacja się powtórzyła, dopiero za trzecim podejściem trafiłem.

Nápoles zdobyło sobie sławę w całym kraju. Do tego stopnia, że 31 maja 1983 roku tata użyczył terenów hacjendy na potrzeby trwającej minutę reklamy firmy Naranja Postobón produkującej napoje gazowane dla Ardila Lülle. W nagraniu użyto awionetki Twin Otter należącej do ojca, pływających pojazdów, *buggies*, a ponadto sfilmowano zebry, słonie, żyrafy, łabędzie, kangury, łosie i strusie. Nie mogło, rzecz jasna, zabraknąć tam i mnie. Niemal pod sam koniec nagrania widać, jak stoję bokiem i filmuję mojego kolegę Juana Carlosa Rendóna (syna Luisa Carlosa Rendóna, wspólnika ojca w jego mętnych interesach w Stanach Zjednoczonych). Mam na sobie żółty kombinezon i zieloną koszulkę.

Kilka dni później do naszego domu w dzielnicy Santa María de los Ángeles przysłano ogromny kosz kwiatów z wykwintnymi czekoladkami, orzechami, migdałami, fistaszkami i butelką likieru. Był to prezent dla ojca od wytwórni napojów gazowanych.

Nasz dostatek można było ocenić nie tylko po luksusach i kaprysach. Póki trwała dobra passa, tata starał się pomagać ludziom. Pamiętam, że przez kilka lat z rzędu dzieci ze wszystkich okolicznych wsi i miasteczek dostawały na Boże Narodzenie prezenty. Jeździłem z nim po wsiach, by rozdawać te upominki. Były one dobrej jakości, nie żadna tandeta. Spędzaliśmy całe popołudnia z tyłu ciężarówki, wręczając po dwie lub trzy zabawki każdemu dziecku.

Zresztą nie tylko w Antioquii rozdawał prezenty. Wybierał najuboższe gminy i osobiście wręczał ich mieszkańcom podarki. Pamiętam też cztery helikoptery, które wyleciały z Nápoles załadowane lekarstwami i upominkami dla mieszkających w selwie indiańskich wspólnot w departamencie Chocó.

Największą wdzięczność ojciec zaskarbił sobie u mieszkańców Puerto Triunfo, którym Nápoles zapewniło miejsca pracy i bezpłatny wstęp do ogrodu zoologicznego. Znalazło to wyraz pewnego poranka w Nowy Rok, kiedy całą rodziną poszliśmy na mszę w kościele wybudowanym dzięki pomocy ojca i Gustava Gavirii.

Pod koniec nabożeństwa proboszcz zwrócił się do ojca i wręczył mu kartonowy klucz, który miał symbolizować przepustkę do nieba dla osób pomagających innym. Podniosły moment został jednak zakłócony przez jakiegoś pijaka.

— Ojczulku, a nie ma ksiądz dla mnie duplikatu?

Wierni wybuchnęli śmiechem.

Dotychczas opowiadałem o różowej stronie hacjendy Nápoles. Znając ją, łatwo zrozumieć, dlaczego ojciec czuł się tak szczęśliwy w okolicy, którą sam wyszukał i ukształtował wedle własnego gustu. Nietrudno pojąć, dlaczego trzykrotnie powtórzył nam, że życzy sobie być pochowanym właśnie tam, w cieniu posadzonego na grobie puchowca.

Historia ta nie byłaby jednak kompletna, gdybym nie opowiedział, że w Nápoles działy się także złe rzeczy. I to wiele złych rzeczy.

Od samego początku budowy ojciec zakładał, że hacjenda posłuży mu w przyszłości jako schronienie przed wrogami, a także ośrodek handlu kokainą. Był już wtedy potężnym baronem narkotykowym, miał na swoich usługach niebezpieczny aparat przestępczy i chciał wywierać wpływ na życie polityczne kraju.

Tata wolałby, żebym zajmował się w hacjendzie zabawą, jednak okrucieństwo wojny coraz trudniej było ukryć, a jego centrum operacyjnym było właśnie Nápoles, gdzie spędziłem dużą część dzieciństwa.

Projektując główny budynek, w pierwszej kolejności pomyślał o schowku, w którym mógłby się ukryć w razie konieczności. Wybudował go w garderobie salonu. Umieścił tam średniej wielkości kasę pancerną. Trzymał w niej trochę pieniędzy i krótki rewolwer kaliber .38, który przez długi czas nosił przywiązany do łydki. Po lewej stronie przygotował kryjówkę wysoką i szeroką na dwa metry, a głęboką na trzy. Na pierwszy rzut oka nie było jej widać, bo wchodziło się do niej przez niewielkie sekretne drzwi.

Kiedy po raz pierwszy tam wszedłem, zobaczyłem przynajmniej sto karabinów Colt AR-15, AUG, pistoletów i karabinów maszynowych UZI i MP-5, a wśród nich cenny pistolet maszynowy Thompson, oryginał z 1930 roku, na trzysta naboi, z okrągłym magazynkiem. Tamtego dnia

ojciec wyciągnął go ze skrytki, by pokazać swoim ludziom, na których zrobiło to wielkie wrażenie.

Od dziecka byłem przyzwyczajony do widoku broni, bo w Nápoles jej użycie było na porządku dziennym. Nawet obok basenu stało bardzo stare działko przeciwlotnicze z krzesełkiem, czterema wielkimi nogami i działami z amortyzatorami. Po śmierci ministra Lary, spodziewając się szturmu na Nápoles, ojciec kazał je ukryć w dżungli. Do tej pory nie wiadomo, gdzie zostało schowane.

Oprócz kryjówki w głównym domu tata kazał wybudować kolejne dwie w innych częściach hacjendy: w Panadería i Marionetas. Panadería był to mały nowoczesny budynek, jednopiętrowy, zbudowany z wielkich drewnianych belek i położony w selwie na krańcu posiadłości o sześć lub siedem kilometrów od głównego domu. Upodobały go sobie żmije, które wyłaziły dosłownie z każdej szpary, dlatego musieliśmy odymiać pomieszczenie i zaglądać pod wszystkie poduszki, ilekroć zamierzaliśmy tam nocować. Pod nazwą Marionetas krył się surowy dom z czterema pokojami. Żeby tam dotrzeć, trzeba było jechać cztery kilometry pełnymi serpentyn szosami, co pozwalało zmylić tych, którzy odważyliby się tam zapuścić.

Oczywiście do hacjendy przyjeżdżali również wspólnicy ojca w jego przestępczej działalności. Poznałem tam niemal wszystkich członków kartelu, od najmniej znaczących po kluczowych. Z reguły lubili przechwalać się przed swoimi dziewczynami, zapraszając je do „rezydencji *patróna*”.

„Meksykanin” wielokrotnie odwiedzał Nápoles, choć tata wolał zabierać nas do jego majątku, gdzie spędzaliśmy czasem kilka dni. Był to człowiek małomówny, nieśmiały, ale operatywny i inteligentny. Przez większość czasu siedział zamyślony, w milczeniu.

Dość często wpadał również z wizytą Carlos Lehder, zawsze w spodniach moro, oliwkowozielonej koszuli i czapce z daszkiem. Nosił przy sobie nóż jak, nie przymierzając, Rambo, kompas, race sygnalizacyjne, wodoodporne zapałki, pistolet Colt kaliber .45 i swoją ulubioną broń, czyli kuszę. Miał w zwyczaju chodzić z kilkoma granatami przytroczonymi do piersi i karabinem G-3 w ręku. Uzbrojony po zęby, muskularny i w sumie przystojny, wyglądał jak postać z gry wideo. Wciąż mam w pamięci jego bladość i zielonkawy odcień cery, który przykuwał moją uwagę. Sprawiał wrażenie, jakby w wyniku ciągłych podróży przez selwę zapadł na jakąś dziwną tropikalną chorobę.

Pod koniec 1986 roku Lehder stał się bohaterem skandalu, który doprowadził ojca do furii. Pewnego ranka wszedł po cichu do niewielkiego pokoju koło basenu i zabił strzałem z karabinu „Rolla", wysokiego faceta, który stał na czele bandy płatnych zabójców ojca. Lehder nie mógł znieść myśli, że „Rollo" miał romans z kobietą, która i jemu się podobała. Wybuchł skandal, ojciec wściekł się na niego i kazał mu opuścić hacjendę. *Capo* nie miał wyjścia i musiał natychmiast się wynieść. Wtedy widzieli się po raz ostatni. W Nápoles przebywał wówczas dziennikarz Germán Castro Caycedo, który przeprowadzał z ojcem jeden ze swoich nocnych wywiadów, kiedy nagle usłyszeli strzał. Tata kazał wszystkim schować się pod autami, póki nie wyjaśni, co się dzieje. Wtedy zza domu wyłonił się Lehder z karabinem G-3 w garści i oświadczył:

— Wykończyłem skurwiela.

Raz przyjechał bardzo szczególny gość, o którym tata zawsze wyrażał się z wielkim szacunkiem. Był to mężczyzna siedemdziesięcioletni, którego ojciec darzył niezwykłą estymą.

— Grégory, chodź tu, przedstawiam ci don Alberta Prieto, jedynego *patróna*, jakiego miałem w życiu — powiedział, dając mi zarazem znak,

bym podszedł, podał mu rękę i okazał szacunek.

Ojciec tak bardzo poważał don Prieto, że poprosił go o pozwolenie na opowiedzenie kilku historii z przeszłości, z okresu gdy zajmował się przemytem artykułów AGD, papierosów i alkoholu. Na twarzy ojca malowała się ogromna wdzięczność dla dawnego *patróna*, który dał mu szansę wybicia się i rozwinięcia skrzydeł w przestępczym biznesie.

Tamtej nocy po raz pierwszy i ostatni w życiu tata zdobył się na gest, który nas zaskoczył — odstąpił gościowi swój pokój. My przenieśliśmy się do innego na parterze hacjendy.

Muszę też powiedzieć, że Nápoles służyło jako ośrodek szkoleniowy dla armii *sicarios*[23], którzy towarzyszyli ojcu w jego przestępczej karierze.

— Wszyscy tutaj są wielkimi specami. A potem okazuje się, że nie umieją strzelać ani nawet porządnie chwycić za broń — narzekał ojciec, bo jego ludzie ciągle odnosili rany, a czasem także ginęli wskutek niewystarczających umiejętności strzeleckich.

Poza tym stale musiał poprawiać swoich ochroniarzy, bo strzelali niecelnie i nie potrafili sprawnie obsłużyć broni ciężkiej lub dalekosiężnej.

Wreszcie któregoś dnia w 1988 roku, kiedy zaczęła się już wojna z kartelem z Cali, oświadczył podczas śniadania w jadalni w Nápoles:

— Tych „chłopców” trzeba przeszkolić. Sprowadzę tu pewnego cudzoziemca, który ćwiczył ludzi „Meksykanina” i ponoć zna się na rzeczy. To Izraelczyk. „Carlitos” (Castaño) poznał go za granicą na kursie z kolumbijskimi wojskowymi. Nauczy ich technik bezpieczeństwa i asekurowania się, strzelania z auta do ruchomych celów. Pokaże, jak wchodzić do domów w stylu komando, żeby się nawzajem nie pozabijali na jakiejś robocie lub kiedy ktoś ich napadnie.

Ojciec był zachwycony pomysłem szkolenia.

— Musieliśmy ukraść parę samochodów do ćwiczeń. Znaleźliśmy na wpół zrujnowany dom, w którym będziemy przeprowadzać symulacje brania zakładników i trenować wchodzenie i zgarnianie kogoś lub wypuszczanie go na wolność.

Na koniec zaśmiał się złośliwie i powiedział:

— I co o tym sądzisz? Teraz okazuje się, że ktoś musi przyjeżdżać z daleka, by uczyć moich chłopców, jak się wchodzi do domu… a przecież oni przez całe życie nie robią nic innego.

Trzy dni później zjawił się zapowiadany cudzoziemiec. Z samego rana zabrali go do majątku położonego w tym samym rejonie, ale z dala od Nápoles, dokąd można było dostać się tylko ścieżką. Jeden z ludzi ojca powiedział mi, że cudzoziemiec nazywa się Yair.

Rzecz jasna, to imię nic dla mnie wtedy nie znaczyło, a mój ojciec też nie zawracał sobie głowy pochodzeniem szkoleniowca, ale jakiś czas później mieliśmy się dowiedzieć, że Yair tak naprawdę był płatnym zabójcą z Izraela, który przyjechał do Kolumbii, by szkolić oddziały „Meksykanina”. Wkrótce stały się one fundamentem zbrodniczej struktury, która przerodziła się potem w formacje paramilitarne z Magdalena Medio.

Spośród dziesiątek osób szkolonych przez Yaira wyróżniali się bracia Brances i Paul Muñoz Mosquera alias „Tyson” i „Tilton”, dwaj najbardziej niebezpieczni zabójcy pracujący dla ojca, wywodzący się z licznej rodziny ewangelickiej.

W pierwszych dniach stawaliśmy z tatą koło pasa startowego, przyglądając się, jak strzelają do butelek i puszek ustawionych na beczkach z piaskiem. Okazało się, że żaden nie umiał w nie trafić. Celowali tak źle, że pociski uderzały w ziemię.

Kilka dni później, po zakończonym szkoleniu, ojciec zapytał ich, czy dużo na nim skorzystali. Odpowiedzieli, że ćwiczenia były bardzo

użyteczne, bo nauczyli się nowatorskiej techniki: strzelać, jednocześnie przeładowując pistolet, manewr bardzo trudny i do tej pory im nieznany. Resztę, wedle ich słów, już wcześniej potrafili.

Zastosowanie samochodów pułapek w atakach terrorystycznych również miało swój początek w Nápoles.

Zaczęło się od tego, że ojciec skorzystał z usług „Chucha", specjalisty od ładunków wybuchowych, który przeszedł w Cali szkolenie pod okiem członka hiszpańskiej grupy terrorystycznej poznanym przez Gilberta Rodrígueza Orejuelę w madryckim areszcie.

Tak naprawdę nigdy nie zrozumieliśmy, po co *capo* kartelu z Cali ściągnął Hiszpana, skoro w tamtym czasie bracia Rodríguez żyli z ojcem w przyjaźni i nie mieli rywali. Rynek kokainowy w Stanach Zjednoczonych był ogromny, każdy mógł działać na swoim terytorium.

„Chucho" stał się zaufanym człowiekiem ojca, który zapewnił mu wszelkie środki bezpieczeństwa. Nie mógł pozwolić sobie na utratę kogoś, kto stanowił strategiczną przewagę wobec każdego zagrożenia. Ufał mu tak bardzo, że kilka razy ukrywał się wraz z nim.

„Chucho" znał różne techniki odpalania samochodów załadowanych dynamitem i wiedział, jak wysłać detonujący sygnał w określone miejsce.

„Chłopcy" znów ćwiczyli na pasie startowym w Nápoles (z użyciem kradzionych samochodów oczywiście). Próby trzeba było przeprowadzać bardzo ostrożnie z uwagi na ryzyko wybuchu.

Wybrano na ten cel końcową część pasa, bo w pobliżu był parów, który służył niczym tarcza pozwalająca uniknąć wypadków. Podczas jednej z prób doszło do tak silnego wybuchu, że auto zawisło na drzewie w górnej części wzgórza.

Kiedy ojciec wypowiedział wojnę państwu, a ucieczka stała się jego codziennością, pierwszym działaniem władz było przeprowadzenie rewizji

w hacjendzie Nápoles. Szukano tam dowodów, by wytoczyć mu proces pod jakimkolwiek zarzutem, jednak ojciec miał informatorów w każdym organie bezpieczeństwa. Płacił im wysokie pensje uzależnione od rangi i zajmowanego stanowiska, by powiadamiali go o przygotowywanych przeciw niemu operacjach. Kiedy więc przyjeżdżała policja, nie znajdowała ani jednego pocisku, a jednak władze wmawiały wszystkim, że hacjenda jest składem broni, materiałów wybuchowych i narkotyków. W istocie znajdowało się tam to wszystko i wiele innych rzeczy, a także niejedno się tam wydarzyło, ale nic z tego, co pokazywano w mediach, nie należało tak naprawdę do ojca. Tym bardziej go to rozwścieczało.

Nawet kiedy się ukrywał, nie umiał pogodzić się z faktem, że państwo czepiało się zwierząt z ogrodu zoologicznego, twierdząc, że zostały nielegalnie sprowadzone do kraju. Zawsze powtarzał, że konfiskowanie ich nie ma sensu, jeśli potem wywożone są w nieodpowiednie dla nich miejsca. Nie ulegało też wątpliwości, że w hacjendzie każdy gatunek miał wszystko, czego potrzebował, a inne ogrody zoologiczne w kraju w porównaniu z Nápoles były ośrodkami piątej kategorii.

Podczas jednej z coraz częstszych rewizji funkcjonariusze Indereny[24] skonfiskowali i wywieźli z ogrodu zoologicznego dwanaście zebr. Kiedy przebywający w kryjówce tata dowiedział się o tym, natychmiast rozkazał, by jego ludzie zdobyli taką samą liczbę osłów i podmienili je za zebry.

— Zaproponuj strażnikowi roczną pensję — polecił zaufanemu człowiekowi.

Tak też się stało: strażnik zgodził się na podmianę i nocą pomalowali osły w czarno-białe pasy, a zebry wróciły do Nápoles.

Podobnie uczynił przy innej okazji, kiedy skonfiskowano pokaźną liczbę egzotycznych ptaków i wywieziono je do ogrodu zoologicznego Santa Fe w Medellín. Gdy tylko się o tym dowiedział, kazał kupić kaczki, gęsi i kury

i nocą dokonano podmiany. W ten sposób egzotyczne ptaki trafiły z powrotem do Nápoles.

---

[21] *Rolligon* (ang.) — pojazd umożliwiający transport dużych ładunków w bardzo trudnym terenie.

[22] *Buggy* (ang.) — typ lekkiego samochodu rekreacyjnego o dużych kołach, wytrzymałym zawieszeniu i otwartym nadwoziu.

[23] *Sicario* (hiszp.) — płatny zabójca, siepacz.

[24] Inderena (Instituto Nacional de los Recursos Naturales Renovables y del Medio Ambiente) — Państwowy Instytut Ochrony Środowiska i Odnawialnych Zasobów Naturalnych.

# Rozdział 7

## KOKA RENAULT

„Pośród amatorów wyróżniają się Lucio Bernal z Bogoty; Pablo Escobar, Gustavo Gaviria i Juan Yepes, wszyscy ze stolicy Antioquii”.

„Kierowcy tacy jak Pablo Escobar pną się do góry w tabeli. Escobar znajduje się na drugiej pozycji w klasyfikacji generalnej ze stratą trzynastu punktów do prowadzącego”.

W tych dwóch akapitach dziennik „El Tiempo” w oszczędny sposób informował w pierwszej połowie 1979 roku o wynikach ojca i Gustava Gavirii w wyścigu Pucharu Renault rozgrywanego na Autodromie Międzynarodowym, na północ od stolicy kraju.

Zamiłowanie do wyścigów samochodowych zrodziło się rok wcześniej, kiedy zgromadzili już pokaźną sumę pieniędzy z handlu narkotykami i niecierpliwie szukali zajęć, żeby się trochę rozerwać.

Z początku tata brał udział w zawodach motocrossowych na torze Furesa, na terenie przyległym do Sofasy, montowni Renault w Envigado i okolicach. Szło mu dobrze i zajmował pierwsze miejsca, ale w wyniku poważnego wypadku miał liczne obrażenia na całym ciele, które goiły się potem przez kilka miesięcy.

Ojciec zawsze pasjonował się samochodami, bo lubił szybkość, a kiedy ogłoszono, że w tradycyjnym Pucharze Renault (Copa Renault), odbywającym się co roku na Autodromie, mogą brać udział nie tylko

zawodowcy, ale także amatorzy, natychmiast zainteresował się tematem. Gustavo nie pozostał w tyle.

W nowej kategorii nie stawiano zbyt wysokich wymagań — do udziału dopuszczano oryginalne Renault 4, w których można było wprowadzić pewne zmiany w silniku i w zawieszeniu. Dalsze modyfikacje pozostawiono decyzji uczestników.

Ojciec z Gustavem pełni entuzjazmu kupili dziesięć R-4 z silnikami o pojemności tysiąca centymetrów sześciennych i oddali je w ręce inżyniera pracującego w Sofasie (fabryce składającej te samochody w Envigado), żeby dokonał koniecznych przeróbek. I tak zainstalowano im w kokpicie klatkę bezpieczeństwa, specjalną amortyzację na duże szybkości, zrobiono tuning silnika i poprawiono parametry wałka rozrządu.

Z samochodami gotowymi do wyścigów ojciec z Gustavem zgłosili się do rywalizacji jako członkowie drużyny Rowerów Ossito i Magazynów Cundimarca. Razem z nimi zamierzał się ścigać także Juan Yepes. Samochód ojca miał numer 70, a Gustava 71.

Jorge Luis Ochoa sponsorował drużynę Las Margaritas dysponującą czterema samochodami, ale sam nie brał udziału. Jako kierowca zgłosił się natomiast jego młodszy brat Fabio.

Ojciec i Gustavo byli tak przejęci Pucharem, że przed pierwszym startem wysłali dwóch ludzi, by dopilnowali w Bogocie wszystkich szczegółów: kupili furgon i załadowali go częściami zapasowymi do R-4, zatrudnili na rok inżyniera i pięciu mechaników, którzy mieli opiekować się autami, i zapłacili mnóstwo pieniędzy za dużo miejsca w pit stopach, gdzie oprócz mechaników i samochodów mogła pomieścić się też spora część rodziny.

Do kompletu brakowało jeszcze jednego — ojciec wynajął całe ostatnie piętro w hotelu Hilton i zapłacił za rok z góry. To oczywiście przesada, bo pokoje były zajęte jedynie przez sześć weekendów.

W zamieszaniu wywołanym nowym zajęciem — udziałem w wyścigach samochodowych — ojciec żartował sobie, że właściwa nazwa zawodów powinna brzmieć nie Copa Renault, a Koka Renault. Miał rację, bo w owym roku prócz niego i Gustava brali w nich także udział inni handlarze narkotyków z Medellín i Cali.

Pierwszy start zaplanowany był na niedzielę 25 lutego 1979 roku, jednak ojciec z Gustavem polecieli helikopterem tydzień wcześniej, żeby zgłosić swoje auta i poddać się badaniom lekarskim. Tata zabrał ze sobą w walizeczce dwieście milionów pesos na pokrycie wszelkich kosztów.

Badanie lekarskie przyniosło nieoczekiwany rezultat — z encefalogramu ojca wynikało, że nie powinien prowadzić samochodów wyścigowych. Ale ponieważ on przyzwyczaił się już rozwiązywać każdy problem za pomocą pieniędzy, po prostu przekupił lekarzy, żeby zmienili wyniki badania i podpisali zgodę na wydanie legitymacji koniecznej do zawodów.

Na otwarciu zawodów Copa Renault panowała świąteczna atmosfera, a aerodrom wypełnił się miłośnikami wyścigów. Drużyna Las Margaritas wzbudziła ciekawość, bo przyjechała nowym autobusem, w którego tylnej części znajdował się warsztat samochodowy, a z przodu duże, dobrze wyposażone biuro. Nigdy wcześniej nie widziano czegoś podobnego na zawodach samochodowych w Kolumbii, jak zgodnie stwierdzili dziennikarze relacjonujący wydarzenie.

Ojciec wyjechał na tor w rzucającym się w oczy pomarańczowym kombinezonie, a Gustavo Gaviria w czerwonym. W wyścigu inauguracyjnym obaj amatorzy pokazali się z dobrej strony, jednak ukończyli jazdę odpowiednio na trzecim i czwartym miejscu. Mimo to w gazetach następnego dnia pojawiły się pozytywne komentarze, a specjaliści uznali, że Antioquia wysłała dobrych kierowców, którzy wprowadzą ożywienie do twardego współzawodnictwa.

Tata, Gustavo i cała rodzina poszli tego wieczoru na kolację do położonej niedaleko autodromu restauracji Las Margaritas, własności Fabia Ochoa ojca. Tam zauważyli siedzącego samotnie na krześle mężczyznę w kapeluszu, którego nigdy wcześniej nie widzieli. Wyglądał na wieśniaka: był to Gonzalo Rodríguez Gacha, który przyjeżdżał tu w weekendy sprzedawać konie.

Na kolejne wyścigi Copa Renault, które czasem odbywały się w Cali, a czasem w Medellín, ojciec z Gustavem przylatywali helikopterem w sobotę i wracali w poniedziałek rano.

Przez cały Puchar zajmowali dobre pozycje w zestawieniu, a raz nawet tata znalazł się na drugim miejscu w tabeli, lecz ich przeciwnikami byli dwaj świetni kierowcy, którzy nie pozwolili sobie odebrać pozycji lidera. Mam tu na myśli Álvara Mejíę, sponsorowanego przez firmę Roldanautos z Cali, i Lucia Bernala pozostającego wówczas pod opieką Supercar-Hertz z Bogoty.

Pojedynek między Mejią i Bernalem o pierwsze miejsce trwał aż do końca zawodów w listopadzie 1979 roku i nie zmieniły tego różne przemyślne strategie wprowadzane w życie przez tatę w celu ich pokonania. Najpierw wydał dużo pieniędzy, zatrudniając dwóch inżynierów samochodowych, którzy bezskutecznie próbowali ulepszyć jego wóz. Obiecał im nawet dodatkowe pieniądze za każdy kilogram wagi, jaki ujmą samochodowi. Potem ktoś mu powiedział, że pewien inżynier z fabryki Renault we Francji skonstruował kilka silników przeznaczonych do udziału w zawodach takich jak te w Kolumbii, więc natychmiast kazał zakupić trzy sztuki. Nic to jednak nie pomogło.

Ostatecznie ojciec zakończył zawody na czwartym miejscu, a Gustavo na dziewiątym. Bardzo ich to rozczarowało i żaden z nich nie chciał już słyszeć o wyścigach.

Jak można się było spodziewać, udział ojca i Gustava nie obył się bez barwnych historii i anegdot. Dla przykładu: ponieważ rozsadzał ich entuzjazm, a z pieniędzmi się nie liczyli, zakupili dwa luksusowe i szybkie porsche SC-911, z których jedno należało do wybitnego kierowcy brazylijskiego Emersona Fittipaldiego. Kazali pomalować samochody na biało-czerwono i oznakowali wóz ojca numerem 21, a Gustava 23.

Druga anegdota: pewnego niedzielnego wieczoru, wracając z zawodów do Hiltona, weszli do swoich pokojów na ostatnim piętrze. Mechanik z ekipy wyrzucił przez okno pustą butelkę, która spadła, uderzając w rękę ochroniarza z obstawy prezydenta Julia Césara Turbaya Ayali. Ludzie z jego ochrony wbiegli natychmiast na górę, aby sprawdzić, co się dzieje, i natknęli się na ożywione spotkanie ponad czterdziestu osób. By nie zwiększać skandalu, ochroniarze Turbaya wyciągnęli z budynku tych, którzy nie byli gośćmi hotelowymi.

Trzecia historyjka: pewnego wieczoru odwiedzili ojca w hotelu słynny muzyk i pianista Jimmy Salcedo oraz tancerka z grupy Las Supernotas. Piękna kobieta wyznała, że marzy o tym, by się pościgać na autodromie i poprosiła go o sponsoring. Jednak sprawa utknęła, bo ojciec wkrótce potem wycofał się z zawodów.

Czwarta: Copa Renault na jeden weekend przeniesiono do Cali i ojciec wraz z ekipą zakwaterował się w hotelu Intercontinental, gdzie akurat przebywał hiszpański piosenkarz Julio Iglesias, który tej nocy miał wystąpić w dyskotece Los Años Locos. Ojciec kupił więc ponad sto biletów i zaprosił tam wszystkich swoich rywali.

Podczas swej krótkiej kariery kierowcy rajdowego ojciec poznał wiele osób, które później miały odegrać kluczową rolę w jego życiu, interesach i wojnie.

Samotny sprzedawca koni Gonzalo Rodríguez Gacha alias „Meksykanin” kilka miesięcy później stał się głównym wspólnikiem ojca w handlu kokainą. Razem rzucili wyzwanie państwowemu aparatowi władzy.

Doświadczony kierowca Ricardo „Brzytewka” Londoño, który w owym roku ścigał się samochodem marki Dodge Alpine (i który był ponadto pierwszym Kolumbijczykiem startującym w Formule 1) jakiś czas później miał zaspokajać wszelkie kaprysy mego ojca dzięki firmie importowo-eksportowej, którą założył w Miami.

Sponsor drużyny Roldanautos Héctor Roldán (którego główny kierowca Álvaro Mejía wygrał w 1979 roku Copa Renault dla amatorów) podczas zawodów w Bogocie bardzo się z ojcem zaprzyjaźnił. Był właścicielem salonu samochodowego w Cali i według tego, co opowiadali mi bliscy znajomi taty, potężnym handlarzem narkotyków na wschodzie kraju.

Kiedy tylko mama nie przyjeżdżała do Bogoty oglądać wyścigu, Roldán przywoził ojcu do Hiltona piękne kobiety. To samo robił nieco później w hacjendzie Nápoles, gdzie był częstym gościem.

Wiele lat potem tata chciał poprosić Roldána, by został ojcem chrzestnym mojej siostry Manueli, ale mama oburzona tym pomysłem nie chciała się zgodzić, bo doskonale wiedziała, że razem chodzili na kobiety, kiedy tylko mogli.

— Jeśli poprosisz tego Roldána, mała w ogóle nie będzie miała chrztu i jak dorośnie, sama sobie wybierze ojca chrzestnego.

Ojciec ustąpił i zamiast Roldána poprosił o przysługę Juana Yepesa Floresa, wojskowego, który wystąpił z armii, młodego, przystojnego, dobrze wychowanego, uprzejmego dla wszystkich i zawsze uśmiechniętego. Z nim także tata ścigał się w Pucharze Renault. Nadali mu tam przezwisko John Lada, bo był jednym z pierwszych importerów

rosyjskich terenówek marki Łada, wprowadzonych na kolumbijski rynek w 1977 roku.

# Rozdział 8

# KAPRYSY

Poniższa lista ma na celu ukazać epokę, która dobiegła końca ponad dwadzieścia lat temu. Oszołomieni bogactwem wpadliśmy w wir szalonych zakupów, zbytków, kosztownych kaprysów i lekkomyślnej rozrzutności. Nie zamierzam się przechwalać, chcę jedynie pokazać rzeczywistość, w jakiej przyszło mi dorastać.

- Na dziewiąte urodziny w 1986 roku dostałem jedyny w swoim rodzaju prezent, na który w związku z moją niedojrzałością nie zwróciłem większej uwagi: była to szkatułka z oryginalnymi listami miłosnymi napisanymi przez Manuelitę Sáenz do Wyzwoliciela Simóna Bolivara. Dostałem też wiele należących do niego medali.
- Kilka faktów dotyczących Nápoles: hacjenda miała własną stację benzynową, warsztat samochodowy i lakiernię; dwadzieścia siedem sztucznych jezior; sto tysięcy drzew owocowych; największy w Ameryce Łacińskiej tor do motocrossu; park jurajski z dinozaurami naturalnych rozmiarów; dwa lądowiska dla helikopterów i pas startowy długości około tysiąca metrów; tysiąc sześciuset pracowników; trzy tysiące hektarów; trzy ogrody zoologiczne i dziesięć domów rozrzuconych po całym terenie.
- Na Boże Narodzenie rozwożono helikopterem pączki, desery takie jak *natilla* [25], a nawet kaszankę. Bez wątpienia dość szczególny

sposób na zbliżenie rodziny.

- Czekolady i zaproszenia na moją pierwszą komunię zostały sprowadzone ze Szwajcarii prywatnym samolotem taty. Szef kuchni w budynku Mónaco nazywał się Gregorio Cabezas. Mama wysłała go do Europy, żeby wybrał czekoladki i wzór na zaproszenia, a przy okazji opłaciła mu najlepszy kurs cukierniczy z zakresu produkcji pralinek. Po powrocie samolot miał międzylądowanie w Paryżu, aby zabrać dwadzieścia butelek Petrus Pomerol z 1971 roku, jednego z najdroższych win świata. Dziewiętnaście z tych butelek skończyło parę lat później na śmietniku, bo nikt ich nie pił. Podobno ktoś je wyrzucił, twierdząc, że były stare.
- Kwiaty do penthouse'u o powierzchni tysiąca sześciuset metrów kwadratowych i dwóch poziomach znajdującego się w budynku Mónaco przywożone były dwa razy w tygodniu z Bogoty samolotem ojca. Pewnego razu mama zapytała, czy sama może się tym zająć, a tata odpowiedział: „Kochanie, skoro Onasis posyłał po ciepły chleb dla Jacqueline do Paryża, to ja mogę posłać do Bogoty po kwiaty dla ciebie".
- Na rodzinnych uroczystościach często odbywały się loterie obrazów słynnych malarzy, a także rzeźb i antyków.
- Miałem trzynaście lat, gdy postanowiono, że dla większego bezpieczeństwa dostanę własne kawalerskie mieszkanie; były tam dwa duże pokoje, sypialnia z lustrami na suficie, bar w futurystycznym stylu, skóra zebry w salonie i ergonomiczne krzesło Venus.
- W renomowanym zakładzie w Wenecji mama zlecała haftowanie lnianych obrusów na dwadzieścia cztery osoby do jadalni w budynku Mónaco. Ze względu na ich rozmiary oraz wysoką jakość

wykończenia praca zajmowała hafciarkom od trzech do czterech lat. Poza tym słynna pracownia kowalska George’a Jensena specjalizująca się w obróbce duńskiego srebra zaprojektowała i wykonała zastawę srebrną z monogramem z połączonych nazwisk Escobar i Henao. Kiedy mama zleciła tę pracę, powiedziano jej, że od czasów dynastycznych nie dostali tak dużego zamówienia. Rachunek: czterysta tysięcy dolarów. Zastawa ta została skradziona z Medellín w 1993 roku.

- Na jednej z najlepszych działek w dzielnicy El Poblado rodzice postanowili wybudować dom swoich marzeń. Zatrudnili w tym celu uznanych architektów z Kalifornii, którzy przysłali plany i makietę domu o powierzchni czterech tysięcy sześciuset metrów kwadratowych. Dekoratorka mamy złapała się za głowę: „Ci architekci powariowali, hol tego domu jest większy niż w hotelu Intercontinental, a po korytarzach można jeździć autem”.
- W kolekcji pojazdów ojca znajdowała się limuzyna Mercedens Benz w kolorze khaki. Samochód należał przedtem do Carlosa Lehdera, a wcześniej do wysokiego funkcjonariusza niemieckiego z czasów drugiej wojny światowej. Ponadto tata posiadał włoski motocykl Moto Guzzi, własność generała będącego bliskim współpracownikiem Benita Mussoliniego; czarny samochód Mercedes Benz z otwieranym dachem, model z 1977 roku; dyliżans z Dzikiego Zachodu sprowadzony ze Stanów Zjednoczonych z wnętrzem wyścielanym skórą, z zasłonami i wykończeniami z drewna; samochód Porsche Carrera GT w kolorze kawowym, pierwszy model sportowy.
- W 1988 roku, kiedy skończyłem jedenaście lat, miałem już własną kolekcję składającą się z blisko trzydziestu szybkich motorów,

a także motocykli motocrossowych, tricyklów, quadów, gokartów i *buggies* najlepszych marek. Do tego jeszcze trzydzieści motorów wodnych.

- Mama uwielbiała zabawy tematyczne. Do tego stopnia, że do domu każdej zaproszonej rodziny przychodził krawiec z poleceniem przygotowania po kolei wszystkich przebrań na nasz koszt. W ten sposób uczciliśmy pięćsetlecie odkrycia Ameryki: z trzema karawelami w skali pływającymi w basenie i strojami z epoki. Była też zabawa tematyczna poświęcona Robin Hoodowi, ze strzałami, łukami, szablami i końmi. Na wszystkich uroczystościach organizowanych przez mamę obecny był nasz osobisty fotograf, który pojawił się potem także na czuwaniu przy zwłokach ojca. Zabawa z okazji Halloween była szczególna i nagradzano najlepsze kreacje.
- Podczas sześciu czy siedmiu sylwestrów, jakie spędziliśmy w Nápoles, ojciec sprowadzał z Chin kontenery wypełnione prochem. Płacił za każdy pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Połowę dawał w prezencie swoim ludziom, a reszta zostawała dla nas.
  W pierwszych dniach stycznia mieliśmy tak dużo prochu, że niektórych skrzyń w ogóle nie otwieraliśmy.
- Będąc w ciąży z Manuelą, mama wielokrotnie latała jetem ojca do Barranquillii, gdzie słynna projektantka szyła dla niej ubrania ciążowe.
- Główną nagrodą w prywatnym turnieju tenisowym w budynku Mónaco był samochód z czystym licznikiem. Udział brali jedynie członkowie rodziny i przyjaciele, a jeśli zwycięzca był bogaty, dawał auto w prezencie biednej rodzinie.

## INNE KAPRYSY

- Prywatny makijażysta i fryzjer codziennie byli na usługi mamy; ręczniki miały wyhaftowaną nazwę posiadłości: La Manuela, Nápoles… Służące chodziły w specjalnych mundurkach, fundowano im szkolenie z robienia makijażu, a mama opłacała im manikiurzystkę; do kolacji w budynku Mónaco przygrywali skrzypkowie.

---

25 *Natilla* (hiszp.) — deser serwowany w Kolumbii w okresie Bożego Narodzenia, rodzaj budyniu na bazie mąki kukurydzianej z dodatkiem cynamonu, kokosa i skondensowanego mleka.

# Rozdział 9

# DLA PRZYJACIÓŁ WSZYSTKO

W lipcu 1981 roku pułkownik Czwartej Brygady Wojska w Medellín przekazał znajomemu ojca kasetę z nagraniami, na których bojownicy M-19[26] mówili o porwaniu jakiegoś mafiosa w celu zdobycia wielkiego okupu.

Taśma trafiła do ojca, który w tamtym czasie stworzył już potężny aparat militarny złożony z młodych mężczyzn rekrutowanych w najuboższych rejonach miasta. Pracowali dla niego jako ochroniarze, najemni zabójcy, nadzorcy narkotykowych szlaków przemytniczych, a także jako moja obstawa, chociaż miałem dopiero cztery lata.

Po dokładnym przesłuchaniu nagrań, które nie pozostawiały wątpliwości co do intencji bojowników, ojciec szybko ustalił, że komórka M-19 z Medellín wydała rozkaz porwania, i postanowił znaleźć odpowiedzialnych.

Nie brakowało mu kontaktów w przestępczym świecie ani w organach policji śledczej, dlatego w ciągu tygodnia ludzie ojca zidentyfikowali czternastu bojowników, a wśród nich Marthę Elenę Correa, Luisa Gabriela Bernala, Elvencia Ruiza (którego „Pinina” znalazł w jakimś marnym hotelu w Bogocie) i Jorge Torresa Victorię alias „Pabla Catatumbę”.

Ojciec nie raz powtarzał mi, że podziwia M-19 za ich spektakularne akcje, jak na przykład przejęcie Ambasady Dominikany i kradzież szpady Wyzwoliciela Simóna Bolivara lub czterech tysięcy sztuk broni z garnizonu

wojskowego, ale przede wszystkim za to, że w początkach swojej działalności napadali na ciężarówki z mlekiem, by rozdawać je potem mieszkańcom ubogich dzielnic Bogoty.

Ale M-19 organizujące akcje przeciwko państwu to coś zupełnie innego niż M-19 zadzierające z mafiosami.

Correa, Bernal, Ruiz i Catatumbo zostali grzecznie odprowadzeni do siedziby Antioquia Al Día, lokalnej stacji telewizyjnej z własnym serwisem informacyjnym, którą tata kupił, chcąc wejść do mediów i dziennikarstwa, co bardzo go interesowało.

Rzecz jasna, była to jedynie fasada, bo na tyłach budynku działało przestępcze biuro ojca. W tym miejscu rozmówił się z bojownikami na temat porwania, które zamierzali przeprowadzić, i oznajmił, że mafia narkotykowa jest bardzo potężna, dysponuje silnym ramieniem zbrojnym, które nie pozwoli nikomu z siebie kpić; innymi słowy, dał im do zrozumienia, że to on rządzi w Medellín.

Ojciec opowiadał mi o spotkaniu z ludźmi z M-19. Wziął wtedy osiemdziesięciu spośród swoich ludzi, dał im nową broń i kazał ją trzymać na widoku, bo jego zamiarem było zastraszenie gości, a nie zamordowanie ich. Mimo to nakazał, by byli czujni na wypadek, gdyby jednak doszło do jakiegoś starcia.

Czterech członków M-19 przyjechało punktualnie o umówionej godzinie nierzucającym się w oczy samochodem, z którego wysiedli wyraźnie zdenerwowani. Elvencio Ruiz trzymał w ręce odbezpieczony granat.

Mimo zagrożenia, jakie stanowił granat, który mógł w każdej chwili wybuchnąć, i groźnych spojrzeń ludzi ojca spotkanie przebiegło w dość serdecznej atmosferze i na koniec bojownicy obiecali nie zadzierać z mafią ani rodzinami jej członków.

— Sprawa ze mną jest bardzo prosta, drodzy państwo. Wy nie wchodzicie mi w drogę, a ja nie wchodzę wam. Nie dajcie się zwieść pozorom. Jeszcze nie ruszyliście palcem, a ja już znam wasze plany. Niech wam więc przypadkiem nie przyjdzie do głowy zlekceważyć moje słowa, bo mam dość środków, by zlikwidować was wszystkich. Jeśli macie co do tego wątpliwości, to powiedzcie mi, czy mylę się choćby co do jednego nazwiska, adresu lub telefonu członków waszej komórki — rzekł ojciec, patrząc w oczy Elvenciowi Ruizowi.

Potem, żeby całkiem ich zmiażdżyć, wyciągnął notes i przeczytał jedno po drugim nazwiska czternastu *guerrilleros*[27] wchodzących w skład lokalnej komórki M-19 z Medellín, jak również adresy ich kryjówek i miejsc, w których bywali. Na koniec, jak słyszałem od ludzi taty, podarował czterem bojownikom od dziesięciu do piętnastu tysięcy dolarów.

Porozumienie ojca z ludźmi z M-19 posunęło się tak daleko, że powierzył Pablowi Catatumbo obsługę dyspozytora benzyny położonego w pobliżu Miami Beach. W tamtym czasie w Stanach Zjednoczonych brakowało paliwa i trudno było zdobyć benzynę na stacjach. Wobec tego władze postanowiły rozdzielać ją według parzystych lub nieparzystych numerów rejestracyjnych samochodów. Kupując dystrybutor, ojciec rozwiązał problem logistyczny, bo zaopatrywały się tam w paliwo pojazdy rozwożące kokainę do różnych punktów w mieście. Catatumbo spędził w Stanach pięć miesięcy, po czym wrócił do Kolumbii.

Jednak pakt z M-19 został nagle zerwany w czwartek 12 listopada 1981 roku wraz z porwaniem Marthy Nieves Ochoa. Ojciec uznał to posunięcie za zdradę i osobistą zniewagę.

Gdy tylko José Luis zadzwonił do niego, by powiedzieć, że trzech uzbrojonych mężczyzn porwało jego siostrę, tata pojechał do domu

w dzielnicy Prado, gdzie mieszkał don Fabio, i stanął na czele śledztwa, które miało wykazać, kto stoi za uprowadzeniem.

Bardzo szybko odkrył, że chodzi o grupę M-19. Przekonał się o tym, przeglądając zdjęcia maturzystów. Rozpoznał na nich dwie osoby, z którymi spotkał się cztery miesiące wcześniej: Marthę Elenę Correa i Luisa Gabriela Bernala.

Ojciec dobrze przemyślał dalszą strategię, bo można się było spodziewać, że *guerrilleros* zażądają dwunastu milionów dolarów okupu za Marthę Nieves. Natychmiast zorientował się, że bojownicy uznali, iż w baronach narkotykowych i ich rodzinach znaleźli łatwe i pewne źródło finansowania. Doszedł do takiego wniosku, ponieważ oprócz próby porwania, której zapobiegł ojciec, o mało co nie uprowadzili w Medellín kobiety nazwiskiem Molina, a w Armenii Carlosa Lehdera, któremu mimo postrzału udało się uciec i uniknąć próby porwania z własnego domu.

Kilka dni później ojciec zwołał w Nápoles wielkie spotkanie najważniejszych handlarzy narkotyków, w którym udział wzięło co najmniej dwustu narkobossów z całego kraju i kilku oficerów z armii. Wspólnie doszli do wniosku, że nie należy płacić okupu za Marthę Nieves, lecz odbić ją zbrojnie.

Do poszukiwań przyłączyli się „Meksykanin”, Lehder i Fidel Castaño, który wyznał, że jego ojciec też został porwany i zabity przez FARC[28], dlatego popierał siłowe rozwiązanie sprawy. Osobista historia Fidela poruszyła ojca; od tego momentu stali się sobie bliscy.

Kiedy decyzja zapadła, ojciec wziął na siebie rolę koordynatora i szefa grupy operacyjnej, która stawiała sobie za cel odbicie porwanej. Nazwali grupę Śmierć Porywaczom, MAS[29]. By ułatwić operację, Gerardo „Kiko” Moncada użyczył ogromnej hali magazynowej położonej obok parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy przy ulicy Palacé. W tym

czasie ze względów bezpieczeństwa tata zabronił cioci Albie Marinie chodzić na Uniwersytet Antioqueński, bo ustalił, że Martha Ochoa została porwana przy udziale pewnej studentki, z którą wcześniej uczęszczała na te same zajęcia.

Używając terminologii wojskowej: ojciec się skoszarował i wprowadził godzinę policyjną. Nasz dom w dzielnicy Santa María de los Ángeles wypełnił się ochroniarzami, którzy pilnowali nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a wszelkie wyjścia na zewnątrz zostały w 95 procentach ograniczone, bo nikt nie wiedział, jak zareaguje M-19.

Tata wracał zwykle do domu około ósmej lub dziewiątej rano po nieprzespanej nocy, podczas której niemal cały czas zajmował się poszukiwaniami i rewizjami. On, „Pinina", „Paskin", „Pukawa", „Yuca" i „Otto" używali wojskowych mundurów i wyjeżdżali wojskowymi samochodami z budynków Batalionu w Villa Hermosa, gdzie często spotykało się kierownictwo MAS.

W tym czasie osobista obstawa ojca zwiększyła się z czterech do dziesięciu osób i zaczęli wozić mnie do przedszkola opancerzonym samochodem terenowym Toyota Land Cruiser. Pamiętam, że wokół Montessori School cały czas stali uzbrojeni ochroniarze.

— Pablo, zabiją cię. Nie możesz tak ryzykować dla przyjaciół, miej wzgląd na syna… Ciągle to samo. Nie pokazałeś się tu przez cały grudzień, a my to co? Nie przyjdziesz nawet na Boże Narodzenie? — skarżyła się mama.

— Zrozum, kochanie, jeśli nie współpracujesz z innymi, jak możesz potem prosić ich o pomoc? W tej sprawie musimy działać wspólnie, żeby nie zdarzyło się to ponownie — odpowiadał ojciec, który zaangażował się w odbicie Marthy Nieves, jakby to była jego własna siostra.

W udostępnionym przez Moncadę magazynie ruch trwał dzień i noc. Przychodzili tam Fidel Castaño, Lehder, mafiosi z innych części kraju i zainteresowani postępami akcji oficerowie wojska i policji. Cała rodzina Ochoa siedziała kamieniem w domu, praktycznie uwięziona i oblężona przez chroniących ich ludzi. Nie wychodzili ze swojej posiadłości w Envigado, gdzie odbierali telefony z żądaniami i nagrywali rozmowy z porywaczami.

Jednocześnie najważniejsi ochroniarze ojca werbowali na informatorów dziesiątki młodych ludzi z ubogich dzielnic Medellín. W ciągu kilku dni co najmniej tysiąc osób przyłączyło się do poszukiwań Marthy Nieves.

W czasie gdy ojciec i jego ludzie prowadzili polowanie na porywaczy, w lokalnych gazetach pojawiły się duże ogłoszenia, w których MAS informowało o swoim powstaniu i uprowadzeniu Marthy Nieves Ochoa, a zarazem stanowczo oświadczało, że nie zapłaci M-19 żadnego okupu.

Wkrótce potem Lehder opłacił kilka artykułów, w których wyjaśniał powody powstania MAS i przyczyny jego walki z porwaniami. Poza tym w drugą niedzielę grudnia z awionetki taty zrzucono tysiące ulotek nad stadionami Atanasio Girardot w Medellín i Pascual Guerrero w Cali, z informacją, że M-19 nie otrzyma za porwaną ani jednego peso.

Z upływem dni, dzięki skutecznej współpracy między ojcem, jego ludźmi, wojskiem i policją, militarna siła MAS stawała się coraz bardziej widoczna. Przeprowadzono dziesiątki rewizji w różnych punktach miasta i Valle del Aburrá. Ujęto wielu podejrzanych, którzy zostali odstawieni do koszar MAS, gdzie poddawano ich brutalnym przesłuchaniom.

Jednocześnie ojciec polecił kupić ponad sto pięćdziesiąt radiotelefonów o dużym zasięgu, które rozdano chłopakom z ubogich dzielnic. Ich zadaniem było prowadzenie nasłuchu w pobliżu budek telefonicznych w określonych punktach miasta w nadziei, że zjawi się ktoś, by

przeprowadzić rozmowę dotyczącą porwania. Nieopodal, w autach, inni młodzi ludzie czekali na znak, gotowi zatrzymać podejrzanych.

Taktyka ta przyniosła rezultaty, bo bojownicy wielokrotnie kontaktowali się z krewnymi porwanej, by negocjować warunki uwolnienia. Ponieważ telefon rodziny Ochoa był na podsłuchu, policja sprawdzała, skąd wykonano połączenie, i natychmiast dawała znać ojcu; tym sposobem zatrzymano wielu *guerrilleros*.

Zatrzymania i przesłuchania doprowadziły do domu w dzielnicy La América w Medellín, gdzie ludzie ojca i żołnierze wdali się w strzelaninę z trzema bojownikami M-19, którzy zginęli na miejscu. W domu tym znaleziono dowód osobisty Marthy Nieves, jednak jej samej już tam nie było.

Intensywne poszukiwania wykazały, że przewieziono ją na pobliskie osiedle San Antonio de Prado w południowo-wschodniej części Medellín, gdzie przypadkiem skonfiskowano furgonetkę, z której M-19 przechwytywała sygnał telewizji publicznej. Stamtąd porwana została przeniesiona do gmin Estrella, a następnie Montebello. Mimo to wciąż nie mogli jej namierzyć. Wobec tego, by dać bojownikom do zrozumienia, że depczą im po piętach, nocą 30 grudnia MAS zostawiło przed wejściem do redakcji gazety „El Colombiano” skutą Marthę Correa z napisem wskazującym na nią jako porywaczkę.

Koniec grudnia ojciec spędził wraz z rodziną Ochoa, ale postanowił przypuścić kontratak w pierwszych dniach stycznia 1982 roku. Krewni Marthy Nieves opublikowali w kilku gazetach ogłoszenie. Treść była krótka i jasna: „Rodzina Ochoa Vásquez zawiadamia, że nie zamierza negocjować z porywaczami z M-19, którzy pozbawili wolności Marthę Nieves Ochoa de Yepes. Informuje także, że nie zapłaci okupu, natomiast ustanawia

nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu milionów pesos dla każdego, kto dostarczy informacji o miejscu jej pobytu”.

Mimo wszystko ogłoszenie nie przyniosło efektów, za to MAS zgubiło trop porywaczy. Z jednej strony *guerrilleros* przetrzymywani w magazynie (w liczbie około dwudziestu pięciu) przedstawili przekonujące dowody, że nie mają pojęcia, gdzie przebywa Martha Nieves, z drugiej — niektórzy liderzy M-19, odbywający wtedy karę w więzieniu La Picota w Bogocie, wysłali list, w którym oświadczyli, że nie wiedzą, gdzie znajduje się porwana.

Zgubiwszy trop, rodzina Ochoa błyskawicznie się zmobilizowała i uzyskała pomoc byłego prezydenta Wenezueli Carlosa Andrésa Péreza, który skontaktował się z wpływową osobistością z Panamy, generałem Omarem Torrijosem.

Torrijos polecił szefowi wywiadu wojskowego, pułkownikowi Manuelowi Antonio Noriedze, nawiązać kontakt z liderami M-19, wiedząc, że przez długi czas przebywali oni w Panamie.

Zabiegi te okazały się skuteczne, bo dwa tygodnie później, po trudnych negocjacjach, M-19 zgodziło się przyjąć milion dwieście tysięcy dolarów za uwolnienie Marthy Nieves. Układ obejmował także wypuszczenie dwudziestu pięciu osób uwięzionych przez ojca w kwaterze MAS. Elvencia Ruiza porzucono w worku, ale przy życiu, w okolicach lotniska Guaymaral na północy Bogoty, gdyż był zatrzymany w Wojskowej Szkole Kawaleryjskiej.

Tak oto po stu dwudziestu trzech dniach Martha Nieves znalazła się cała i zdrowa w gminie Genova w departamencie Quindío i natychmiast pojechała do swojego domu w Medellín.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać, nie wybuchła wojna pomiędzy ojcem a M-19. Wręcz przeciwnie, w następnych miesiącach

doszło między nimi do sojuszu, który miał spowodować w kraju wielkie szkody.

---

[26] M-19 — kolumbijska centrolewicowa grupa partyzantki miejskiej powstała w odpowiedzi na nieprawidłowości w wyborach prezydenckich w 1970 roku.

[27] *Guerillero* (hiszp.) — uczestnik *guerilli*, lewicowej partyzantki w Ameryce Łacińskiej.

[28] FARC (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia) — Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii, partyzancka formacja zbrojna utworzona w 1964 roku, pierwotnie jako militarne skrzydło Kolumbijskiej Partii Komunistycznej.

[29] *Muerte a Secuestradores* (hiszp.).

# Rozdział 10

# TATA MAFIOSO

Wiele razy pytałem ojca o wielkość jego fortuny, bo często słyszałem, że należy do najbogatszych ludzi na świecie. Zawsze odpowiadał mi to samo:

— Któregoś dnia stałem się tak bogaty, że straciłem rachubę. Kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem maszyną do robienia pieniędzy, przestałem je liczyć.

Przyzwyczaiłem się do spekulacji na temat astronomicznej wielkości domniemanej fortuny ojca. Czasopismo „Forbes” napisało, że ma trzy miliardy dolarów, ale nikt z tego środowiska nie próbował się nigdy kontaktować, by potwierdzić te dane. Gdzie indziej podano szaloną kwotę dwudziestu pięciu miliardów. Dobrze wiem, że gdybym sam próbował dokonać takiej kalkulacji i podał jakąś liczbę, także bym się pomylił.

Handel narkotykami dał ojcu wszystko, ale też wszystkiego go pozbawił. Łącznie z życiem. Dlatego osobiście mam poważne wątpliwości co do opłacalności na dłuższą metę tego biznesu, który w nieunikniony sposób staje się narzędziem władzy, a zarazem przemocy. Jest to dla mnie wystarczająca lekcja.

Ten rozdział nie stawia sobie za cel dokładnego przedstawienia, w jaki sposób ojciec handlował kokainą. Chciałbym tylko pokazać, że wraz z garstką handlarzy wykorzystał on być może jedyny moment, gdy można było prowadzić ten biznes bez większego ryzyka, bo nikt w Stanach

Zjednoczonych, a tym bardziej w Kolumbii czy jakimkolwiek innym kraju nie zdawał sobie sprawy z potencjału tkwiącego w handlu kokainą.

Nie znam szczegółów działań mojego ojca jako handlarza narkotyków, ale przygotowując się do napisania tej książki, zrobiłem co w mojej mocy, by dowiedzieć się na ten temat jak najwięcej.

***

Po wyjściu z więzienia w pierwszych dniach września 1976 roku i powrocie z odległego miasta Pasto ojciec wysiadł z autobusu w tych samych butach, które miał na sobie w dniu, gdy po raz pierwszy i ostatni w życiu aresztowano go za handel kokainą.

W drodze do domu babci Hermildy w dzielnicy La Paz spotkał się z Alfredem Astado, którego uściskał na powitanie i poprosił o monetę, żeby zadzwonić z telefonu publicznego. Rozmawiał z kimś, używając kodu, a dwie minuty później zakończył połączenie.

Kiedy już znalazł się w domu mamy, odłożył chlebak na sofę i usiadł, by chwilę odpocząć. Wyglądał na zmęczonego długą podróżą z południa kraju, jednak moi stryjowie i starzy kumple z osiedla, którzy przyszli się przywitać, zauważyli na jego twarzy dziwną determinację.

Dwie godziny później zjawił się jakiś człowiek, który zostawił mu nową terenową toyotę i dwieście tysięcy dolarów w gotówce. Nigdy nie dowiedzieli się, kto go przysłał, ale uznali, że samochód i pieniądze miały związek z przeprowadzoną wcześniej rozmową telefoniczną. W tym momencie wszyscy obecni mogli się przekonać, że trzy miesiące spędzone w więzieniu nie odwiodły go od planu zostania milionerem w nielegalny sposób.

Wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że znów nabrał animuszu i jeszcze tego samego wieczoru, po skontaktowaniu się z kimś w Loja, w Ekwadorze, wsadził jednego ze swoich pracowników do toyoty i wysłał z pieniędzmi po pastę kokainową. Jednak następnego dnia dostał informację, że policja w gminie La Virginia, w sąsiednim departamencie Risaralda, zatrzymała samochód podczas kontroli drogowej i znalazła dolary ukryte w filtrze klimatyzacji. Zmartwiony ojciec pojechał tam z Gustavem Gavirią, zapłacili dużą łapówkę i wrócili z autem i pieniędzmi.

Bynajmniej niezniechęceni postanowili osobiście pojechać do Ekwadoru. Tym razem nie napotkali przeszkód. Wręcz przeciwnie, podróż ta okazała się bardzo ważna, bo skontaktowali się z kilkoma handlarzami poznanymi przez tatę w więzieniu w Pasto, a ci pomogli im znaleźć lepszych dostawców i nowe szlaki transportu pasty do Kolumbii.

W wyniku ciągłego jeżdżenia do Ekwadoru i z powrotem opracowali system, który pozwalał im w rutynowy sposób przyjmować coraz większe ładunki pasty kokainowej. W tym celu zatrudnili pułkownika z ekwadorskiego wojska, którego sowicie opłacali. Człowiek ten był ich łącznikiem pomiędzy sprzedawcami w Loja a kilkunastoma tragarzami, którzy dostawali do przeniesienia nawet po dwadzieścia kilogramów alkaloidu ukrytych w drewnianych klocach wydrążonych w środku.

Z ładunkiem na ramieniu wyruszali w długą drogę przez selwę. Pieszy przemarsz aż nad rzekę San Miguel, na granicy kolumbijsko-ekwadorskiej, gdzie towar przejmowali ludzie ojca, trwał od piętnastu do dwudziestu godzin. Drewniane kloce były przewożone niewielkimi ciężarówkami, które przemierzały dystans około tysiąca kilometrów, aż do laboratoriów, które ojciec z Gustavem założyli w skromnych domach na wsi w gminach Guarne, Marinilla i El Santuario na wschodzie Antioquii.

W przeszłość odeszła już epoka, gdy ojciec posunął się nawet do tego, że odczynniki chemiczne potrzebne do przetwarzania pasty kokainowej ukrywał w szkole w dzielnicy La Paz.

Brakowało im jeszcze jednego ogniwa w łańcuchu handlu narkotykami: konsumenta. Ten nadal znajdował się daleko, bo ojciec z Gustavem póki co wciąż sprzedawali przetworzoną kokę handlarzom przyjeżdżającym po nią do Medellín ze Stanów Zjednoczonych.

Zmęczony spaniem na zmianę u babci Hermildy i w domu teściowej, a także małą ilością czasu spędzanego z mamą, która lada moment miała urodzić, wynajął mieszkanie o kilka kroków od Candelaria, znanej sieci supermarketów w części Medellín o nazwie Castropol. Tak oto z dnia na dzień ojciec wyprowadził się z dzielnicy La Paz, do której przybył trzynaście lat wcześniej jako niemający grosza przy duszy biedak.

W tamtym czasie pieniędzy nadal brakowało, bo narkobiznes to ryzykowny interes, w którym jednego dnia jesteś bogaty, a następnego wpadasz w długi. Tak właśnie układało się wówczas ojcu, bo nie zdążył jeszcze obrosnąć w piórka, to znaczy przeskoczyć na wyższy poziom. Jednak, choć często nie starczało mu pieniędzy nawet na czynsz, był pewien, że znalazł już swoją drogę życiową.

W końcu któryś z kokainowych biznesów wypalił i kilka tygodni później przyjechał niezwykle drogim kabrioletem marki Porsche Carrera GT. Mama nie miała jeszcze auta, chociaż czasami pożyczała czerwoną toyotę.

W tych okolicznościach 24 lutego 1977 roku urodziłem się w klinice Rosario, w dzielnicy Boston w Medellín. Mama miała zaledwie piętnaście lat, toteż moją opiekunką została Sofía.

Sukces stał się faktem, kiedy ojciec kupił wreszcie wielki dom w dzielnicy Provenza, w luksusowej części El Poblado. Potem sprzedał go

zresztą bogatemu przedsiębiorcy z Medellín, który zapłacił mu osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów.

Kilka miesięcy później tata zabrał swoją rodzinę z La Paz: babci Hermildzie podarował dom w dzielnicy Estadio. Siostry umieścił w mieszkaniach w pobliżu, a potem także w El Poblado, jednej z najbardziej przyszłościowych części Medellín. Dziadek Abel wrócił już do swojego majątku w El Tablazo, a stryjowie Roberto i Fernando mieszkali w Manizales, pracując w fabryce rowerów Ossito.

Innymi słowy, cała rodzina Escobar Gaviria opuściła La Paz, kiedy tata zaczął wreszcie dużo zarabiać.

Nielegalne interesy szły tak dobrze, że ojciec i Gustavo zawiesili swoje tradycyjne spotkania w lodziarniach na osiedlu. Tata postanowił urządzić sobie biuro w domu, ale wujek Mario Henao poradził mu nie mieszać życia rodzinnego z interesami. Posłuchał jego rady i przeniósł się do pomieszczenia niedaleko kościoła w El Poblado. Potem mieli ulokować się w innym, dużo większym miejscu, o sto metrów od centrum handlowego Oviedo, w nowo wybudowanym budynku Torre La Vega, w którym kupili z Gustavem czwarte piętro, żeby doglądać swoich interesów.

Zakup nieruchomości w najlepszym rejonie Medellín był niezaprzeczalnym znakiem, że ojciec zaczyna gromadzić wielką fortunę. Ale nie tylko on, bo także wielu innych handlarzy korzystało z tego, że w Stanach Zjednoczonych i Kolumbii mało wiedziano wtedy na temat handlu kokainą. Tamtejsze władze i rządy nie miały pojęcia, że na odległych ziemiach Ameryki Południowej zaczyna rozkwitać lukratywny biznes, który nie zniknie przez kolejne czterdzieści lat, wręcz przeciwnie: dzięki wzrostowi w tempie wykładniczym będzie generował ogromne dochody.

Trudno zignorować fakt, że w owym czasie w wielu kręgach społecznych w Stanach Zjednoczonych patrzono na kokainę życzliwie. Tak właśnie napisał w jednym z artykułów szacowny „Newsweek” w numerze z maja 1977 roku (a więc trzy miesiące po moim urodzeniu): na wielkich przyjęciach artystycznej bohemy w Los Angeles i Nowym Jorku do dobrego tonu należało roznoszenie kokainy na srebrnych tacach wraz z kawiorem Beluga i szampanem Dom Perignon.

Jedno jest pewne: dysponując strukturą, którą zdążyli stworzyć do połowy 1977 roku, w krótkim czasie ojciec z Gustavem wytyczyli własne szlaki przerzutu kokainy do Stanów Zjednoczonych, gdzie kontrole na lotniskach i w portach były, łagodnie mówiąc, niewystarczające. Naiwność ówczesnych władz niesamowicie ułatwiała im pracę, bo nie musieli się specjalnie wysilać, żeby ukryć narkotyki. W tamtym okresie nie używano jeszcze promieni rentgenowskich na lotniskach ani psów szkolonych do szukania narkotyków, nie było też wyspecjalizowanych agentów czy drobiazgowych kontroli. Zwykła walizka z podwójnym dnem wystarczała aż nadto do tego, aby przewieźć dużą ilość narkotyku bez ryzyka wykrycia.

Nie istniały też szczegółowe przepisy prawne dotyczące tego zagadnienia. Handel kokainą traktowano jak każdy inny przemyt. Demonizacja i kryminalizacja tego biznesu miały przyjść później.

Ojciec opowiadał mi kiedyś, jak wysłali z Gustavem na próbę pierwsze sto kilogramów koki w dwusilnikowym samolocie Piper Seneca, który dotarł bez żadnych przeszkód na lotnisko Opa Locka, w sercu Miami, na prywatny terminal, gdzie lądują jedynie kosztowne samoloty bogatych Amerykanów. Kiedy dostali informację, że nowy szlak „wypalił”, ojciec z Gustavem urządzili z tej okazji wielką imprezę w dyskotece Kevins w Medellín, na której nie brakowało alkoholu i pięknych kobiet.

To była kopalnia złota, bo kilogram już przetworzonej koki kosztował dwieście tysięcy pesos w Kolumbii (około pięciu tysięcy ówczesnych dolarów), a ten sam kilogram w Miami, odliczając koszty transportu i ubezpieczenia, osiągał ostatecznie cenę około sześciu tysięcy dolarów. Sprzedając go w detalu na ulicach, dystrybutor hurtowy taki jak mój ojciec mógł na nim zarobić dwadzieścia tysięcy za kilogram na południu Florydy lub dwadzieścia pięć, a nawet trzydzieści tysięcy dolarów w Nowym Jorku.

Mimo wysokiej rentowności prawda była taka, że ojcu zostawało dziesięć procent wartości każdego kilograma, bo reszta dochodu trafiała do rąk osób rozprowadzających towar w Stanach Zjednoczonych, które w dodatku dosypywały do niego wapna, aspiryny, tłuczonego szkła, talku lub jakiegokolwiek innego białego proszku. Z kilograma czystej koki dobrej jakości dilerzy uzyskiwali trzy lub cztery, które sprzedawane na gramy mogły dać zysk sięgający nawet dwustu tysięcy dolarów za kilogram.

Biznes rósł jak na drożdżach. Ojciec i Gustavo znaleźli potężnych dostawców w dolinie Alto Huallaga na północy Peru, gdzie rodził się właśnie jeden z największych ośrodków dostawczych pasty kokainowej na kontynencie.

W biznesie pojawili się nowi gracze, stopniowo odchodziła w przeszłość epoka tragarzy idących długie godziny, by przenieść kilka kilogramów towaru. Wkrótce zastąpili ich sprytni piloci, którzy na zawsze zmienili dynamikę handlu narkotykami. To w nich ojciec i Gustavo dostrzegli brakujący element, dzięki któremu mogli stać się numerem jeden narkobiznesu.

Ustanowili wówczas coś w rodzaju mostu powietrznego między tajnymi pasami startowymi w rejonach Monzón i Campanilla (w Alto Huallaga) a tymi, które sami wybudowali na wschodzie, w Magdalena Medio

i Antioquii. Ogromne transporty pasty kokainowej zaczęły docierać dwa, trzy razy w tygodniu, pokonując bez przeszkód przestrzeń powietrzną przynajmniej czterech krajów.

Sukces ojca i Gustava przyciągnął uwagę innych drobnych i dużych handlarzy narkotyków, którzy szukali ich, by wspólnie ubijać interesy. Był pośród nich Fidel Castaño, który pewnego dnia przyszedł do biura ojca w towarzystwie swojego brata Carlosa, młodzieńca średniego wzrostu i o żywym spojrzeniu.

Fidel powiedział ojcu i Gustavowi, że ma kontakty na rozległych plantacjach kokainy w Santa Cruz de la Sierra w Boliwii, gdzie wytwarza się wielkie ilości pasty kokainowej. Szybko się dogadali i niemal natychmiast zaczęli ściągać transporty od trzystu do pięciuset kilogramów w każdym samolocie, na pas startowy w pewnej posiadłości w gminie Obando, na północ od Valle del Cauca. Narkotyki były tam przeładowywane na jeden lub kilka samochodów i przewożone do Antioquii.

Tak zaczęły się kontakty ojca z braćmi Castaño, z którymi przez długi czas pozostawał w wielkiej zażyłości. Fidel zwierzył mu się nawet kiedyś ze swego pilnie strzeżonego sekretu: jednym z jego głównych kontaktów w Stanach Zjednoczonych przy sprzedaży narkotyków był znany piosenkarz Frank Sinatra.

Jak już wcześniej wspominałem, w tamtym okresie prawodawstwo amerykańskie pełne było luk. Nie opracowano jeszcze na lotniskach, drogach i w portach systemów kontroli pozwalających wykrywać biały proszek, który płynął do kraju strumieniami. Te braki były wykorzystywane przez handlarzy narkotyków z Kolumbii i innych krajów. Wedle własnego uznania podzielili oni między siebie ogromne terytorium Stanów Zjednoczonych, by w krótkim czasie zalać je kokainą.

Mafiosi z Medellín z moim ojcem na czele (ale do grupy tej należeli też Gonzalo Rodríguez Gacha „Meksykanin”, Gerardo „Kiko” Moncada, Fernando Galeano, Elkin Correa i wielu innych) zawłaszczyli sobie południe Florydy i okoliczne stany. Ludzie z Cali (przede wszystkim bracia Rodríguez, „Pacho” Herrera i „Chepe” Santacruz) zajęli się Nowym Jorkiem. Rynek był tak duży i obiecujący, że nigdy nie wchodzili sobie w drogę, wręcz przeciwnie — przez wiele lat blisko współpracowali, co skończyło się później z powodów niezwiązanych z interesami.

Skoro pierwszy transport „wypalił”, przez ponad rok lotnisko Opa Locka było ulubionym miejscem handlu mojego ojca. Małe szybkie samoloty (przewożące początkowo ładunki o wadze stu lub stu dwudziestu, a potem także trzystu i czterystu kilogramów) lądowały tam dwa, trzy razy w tygodniu, po międzylądowaniu w Barranquili, na północy Kolumbii, i w Port-au-Prince, nisko położonej stolicy Haiti. Piloci samolotów przedstawiali plany lotu, z których wynikało, że przewożą spragnionych słońca turystów na zakupy do centrów handlowych.

Nieco później do lukratywnego interesu przyłączył się Carlos Lehder posiadający prywatną wyspę na Bahamach z własnym pasem startowym.

Wielkie ilości kokainy w tamtej złotej epoce docierały do Stanów statkami, które wypływały z portów Necoclí i Turbo na Morzu Karaibskim, po czym przybijały wyładowane bananami do portu w Miami. Nikt ich nie kontrolował, bo owoce były doskonale zapakowane i nie budziły podejrzeń, a w rzeczywistości w lukach często znajdowało się nawet do ośmiuset kilogramów alkaloidu. Był to słynny szlak znany w kręgach mafijnych jako Platanal [30].

Docierająca samolotami i statkami kokaina była następnie transportowana do domów w dzielnicach mieszkaniowych, takich jak Kendall czy Boca Ratón, gdzie ludzie ojca chowali ją w podziemnych

skrytkach, póki nie zgłosili się po nią płacący gotówką lokalni dystrybutorzy.

Dilerzy w prosty sposób rozprowadzali kokę po całym Miami i jego najbliższej okolicy, takiej jak Fort Lauderdale, Pompano Beach czy West Palm Beach: dzwonili do swoich klientów i umawiali się w jakimś niezbyt uczęszczanym publicznym miejscu. Interesy nie mogły iść lepiej. Narkotyki rozchodziły się jak ciepłe bułeczki.

W tamtym okresie ojciec podróżował często do Miami samolotami kursowymi i zatrzymywał się w luksusowym hotelu Omni, podając się za menedżera firmy Fredonian Petroleum Company, co było żartem, bo w tym miasteczku na południowym zachodzie Antioquii nie było ani kropli ropy.

W drogim hotelu wynajmował całe piętro, by przyjmować różnych handlarzy ze Stanów, którym dogadzał, organizując ciągnące się do białego rana przyjęcia w towarzystwie trzydziestu lub czterdziestu pięknych kobiet z najlepszych klubów nocnych w mieście.

Następnego ranka, po nocy pełnej ekscesów, klienci ojca płacili za kokainę i dostawali kluczyki do nowych samochodów, zaparkowanych na hotelowym parkingu. W bagażniku znajdowali doskonale zapakowany towar.

*Diamante* (diament), *Esmeralda* (szmaragd) — nazwami kamieni szlachetnych ojciec z Gustavem oznaczali swoje ładunki kokainy. Pieczęć z wyobrażeniem tych minerałów odciśnięta była na każdej kilogramowej paczce. „Meksykanin” wybrał sobie markę *Reina* (królowa), którą kupcy ze Stanów bardzo cenili ze względu na jej wysoką jakość.

Przez dość długi czas *Diamante*, *Esmeralda* i *Reina* były gwarancją jakości, lecz potem kokaina ojca zyskała złą sławę, bo była gorszej jakości, a paczki wyglądały jak bezkształtne, zapakowane na poczekaniu zawiniątka. Raz nawet pewien diler (niebezpieczny amerykański mafioso)

zwrócił mu cały ładunek. Epizod ten był szeroko komentowany w środowisku, bo po raz pierwszy od czasów „inauguracji” jakiś towar wrócił do kraju pochodzenia.

W związku z tym zwrotem tata opowiedział mi kiedyś, że faktycznie wysyłał kokę kiepskiej jakości, ponieważ (o czym wiedział jako rasowy cwaniak) konsumenci i tak byli uzależnieni i nie potrafili odróżnić „dobrego” towaru od „złego”.

„Kiko” Moncada dbał o to, by jego towar miał dobrą jakość, a paczki były ładnie zapakowane i dobrze się prezentowały, tak jakby chodziło o produkt sprzedawany w supermarkecie.

W tamtym czasie kontrole przekazów pocztowych praktycznie nie istniały i za pośrednictwem „słupów”, którzy otwierali sobie fikcyjne konta w banku, ojciec otrzymywał setki milionów dolarów oficjalnymi kanałami. Wystarczy przypomnieć słynną scenę z filmu *Człowiek z blizną*, w której gangsterzy wchodzą do banku, by przy udziale uprzejmych urzędników zdeponować gotówkę przyniesioną w workach wypchanych dolarami.

Rosnące obroty zmusiły ojca do wysyłania zaufanych ludzi po część pieniędzy. Następnie mieli oni znaleźć sposób, by nielegalnie sprowadzić je do Kolumbii. Przez jakiś czas zajmował się tym Otoniel González alias „Otto”. Bardzo często te same samoloty, które wywoziły kokę, wracały z wielkimi workami pełnymi dolarów, ale kiedy nie było to możliwe, ojciec chwytał się innych sposobów: importował pralki, którym wyjmowano duże części, zostawiano obudowę i napełniano je zwitkami banknotów. Ukrywano też pieniądze w maszynach przemysłowych, w nowych autach sprowadzanych przez znane salony samochodowe, w motorach, telewizorach, wieżach audio i wszelkiego rodzaju sprzęcie AGD.

Z czasem ojciec nie wwoził już samych dolarów, lecz także broń, wszystkich modeli i kalibrów, bo konieczna była ochrona transportów. Nie

było to dla niego trudne, gdyż na głównych lotniskach kraju istniała wówczas tzw. poczta czarownic — równoległa kontrola celna, pozwalająca na wwiezienie dowolnej rzeczy bez pozostawiania żadnego śladu w zamian za wysoką łapówkę.

Posiadanie takich pieniędzy szybko doprowadziło do różnego rodzaju ekscesów, takich jak rumba, która w pewnym momencie stała się codzienną rozrywką. Dyskoteki Acuarios i Kevins zaliczały się do najchętniej odwiedzanych przez ojca lokali, w okresie kiedy kupił luksusowy penthouse w budynku obok stadionu El Diamante de Béisbol, po przekątnej od koszar Czwartej Brygady Wojska.

Nocami przychodził do jednej z tych sal, gdzie niemal natychmiast otaczały go piękne kobiety, które zabawiały go rozmową i raczyły się drinkami. Ojciec pił jedynie wodę i wypalał swojego skręta z marihuany. Około drugiej nad ranem płacił rachunek i zapraszał do siebie tych, którzy jeszcze byli w dyskotece. Oczywiście bardzo wielu chciało z nim iść. Tata wychodził, a za nim ciągnęła cała karawana złożona z przynajmniej pięciu samochodów pełnych pięknych kobiet, gotowych szaleć do upadłego.

Ogromny wzrost popytu na kokę na rynku amerykańskim szybko doprowadził do zwiększenia kreatywności narkohandlarzy, którzy potrzebowali nowych szlaków, co ułatwiłoby wysyłkę towaru. Każda mafia robiła swoje, ale ojciec znalazł chyba najbardziej rentowny sposób, o jakim kiedykolwiek słyszano w narkobiznesie. Władze ochrzciły go mianem „La Fania”, ale ojciec powtarzał, że tak naprawdę nazwał go „Fanny”. Chodziło o statek o tej nazwie zakotwiczony na otwartym morzu niedaleko wybrzeży Ekwadoru i załadowany mączką rybną. W jego ogromnych chłodniach kryły się często nawet cztery tony kokainy, która zawsze docierała do portu w Miami bez najmniejszych przeszkód. Niektórzy bliscy współpracownicy ojca zapewniali mnie, że to ten szlak uczynił go prawdziwym bogaczem.

Sukces finansowy taty oparty na handlu kokainą był tak oszałamiający, że zaczął on wydawać pieniądze bez umiaru. Z ogromnego domu w dzielnicy Provenza (gdzie na siedemnaste urodziny mamy ojciec sprowadził grających serenady muzyków z argentyńskiego zespołu Los Chalchaleros) przeprowadziliśmy się do rezydencji w dzielnicy Santa María de los Ángeles, o półtorej przecznicy od Club Campestre w Medellín.

Któregoś dnia tata wpadł na pomysł, że się tam zapisze, jednak zarząd odmówił przyjęcia go, bo choć miał dużo pieniędzy, nie mógł wykazać się odpowiednio dobrym pochodzeniem, oczekiwanym przez śmietankę towarzyską z Medellín.

Ojciec się wkurzył, a ponieważ był przyzwyczajony spełniać wszystkie swoje zachcianki, skontaktował się z kilkoma pracownikami i zapłacił im fortunę, by zaczęli strajk, domagając się podwyżki. Tak też się stało i po raz pierwszy i być może ostatni w swojej historii dumny klub zamknął podwoje na wiele dni.

W niecały tydzień później ojciec poszedł tam, by pogadać z pracownikami.

— Szefie, niech nam pan powie, jak długo mamy ciągnąć ten strajk?

— Jeszcze jakieś dwa tygodnie, zapłacę wam, ile trzeba, niczego wam nie zabraknie. Ach, i chciałem was prosić o jedną przysługę: weźcie wywrotkę, napełnijcie ją ziemią, żeby była porządnie obciążona, i pojeździjcie nią trochę po polu golfowym. Potem wysypcie całą zawartość do basenu.

Tak też zrobili.

W naszym domu w dzielnicy Santa María de los Ángeles już w wieku czterech lat miałem pierwszy własny motor, małe żółte Suzuki, któremu tata kazał doczepić dodatkowe kółka jak przy rowerkach dla małych dzieci.

Pamiętam, jak uczył mnie na nim jeździć w południe, zanim poszedł do pracy. Odczepiał mu boczne kółka i biegał za mną, przytrzymując siodełko, aż nadszedł moment, kiedy mnie puścił. Od tamtego czasu kocham motory i to trudne do opisania poczucie wolności, jakie dają.

Powodzenie narkobiznesu skłoniło ojca do zakupu dwóch pierwszych statków powietrznych: helikoptera Hughes 500 w kolorze biało-musztardowo-czerwonym, o numerze HK-2196 i samolotu model Aereo Commander z dwoma silnikami. Kiedyś, podczas rozmowy o tych dwóch nabytkach, ojciec wspominał, że w pierwszą podróż tym helikopterem poleciał do kogoś bardzo dla niego ważnego — don Fabia Ochoa Restrepo, którego odwiedził w jego hacjendzie La Clara w gminie Angelópolis, na południowym wschodzie Antioquii.

Potem zabrał kilku kumpli z osiedla na przejażdżkę nad zaporą Peñol, a po godzinie lotu wylądowali, by napić się kawy w sklepie. Pilot obawiał się, że ciekawość zgubi któregoś z gapiów podchodzących zbyt blisko, by lepiej obejrzeć maszynę.

Tymczasem popyt na kokainę rósł tak szybko, że wciąż powstawały nowe szlaki handlowe, na przykład do Meksyku, dokąd ojciec zaczął wysyłać ładunki po mniej więcej tysiąc kilogramów w samolotach startujących z tajnych pasów w Urabá, La Guajira, Fredonia, Frontino i La Danta.

Szlak meksykański znany pod nazwą „Cebulka” polegał na tym, że kokaina jechała ukryta w ciężarówkach załadowanych workami z cebulą, które przekraczały granice w Laredo, a potem kierowały się do Miami. Każdy samochód wiózł od ośmiuset do tysiąca kilogramów. W Kolumbii wspólnikiem ojca na tym szlaku był Leonidas Vargas, a w Meksyku Amado Carrillo Fuentes, który pilnował, by kokaina wjechała do Stanów Zjednoczonych.

Innym sposobem przemytu było „bombardowanie”, czyli zrzucanie wprost do morza niedaleko wybrzeża Miami ładunków z awionetek lecących na małej wysokości. W tym samym czasie szybkie motorówki i małe jachty zbierały paczki. „Bombardowano” także bagna w Everglades, na południe od Miami. Z początku dużo narkotyków się przez to marnowało, bo paczki nie były hermetycznie zamknięte i kokaina zamakała.

Ojciec rzadko chwalił się swoimi dokonaniami w ramach przestępczej działalności. Kiedyś jednak nie wytrzymał. Oglądaliśmy właśnie wiadomości w telewizji, gdzie władze informowały o odkryciu nowego sposobu przemytu kokainy — dżinsów nasączonych koką.

Ojciec uśmiechnął się pod wąsem, a po chwili powiedział, że to był jego pomysł: nasączali spodnie alkaloidem i eksportowali je legalnie do wielu miast w Stanach Zjednoczonych. Tam, wyjaśnił, kupcy prali spodnie w specjalnym płynie, uzyskując tym sposobem płynną kokainę, którą potem odparowywali. Choć nie były to wielkie transporty, przez wiele miesięcy szlak funkcjonował bez zarzutu, bo władze nie były w stanie wykryć podobnej bezczelności. Dodał, że w celu uniknięcia problemów z przeszkolonymi psami zraszali dżinsy specjalnym sprayem, który je odstraszał. Jednak szlak dżinsowy z koką się skończył, bo ktoś w Stanach doniósł o tym władzom.

Kilka dni później ojciec, znów z szerokim uśmiechem, oświadczył:

— Chłopcy, pamiętacie, że „spalił” mi się szlak dżinsowy?

— Tak, szefie.

— No to wyobraźcie sobie, że dalej wysyłam te dżinsy, a agenci z DEA dostają szału, bo piorą je i piorą, a tam nic nie ma. Teraz impregnujemy kartony, w które są zapakowane spodnie, i odzyskujemy narkotyk, kiedy oni wywalają je do śmieci.

Przy takich „osiągnięciach” w roli mafiosa ojciec cieszył się już opinią wielkiego *capo*. Z każdym dniem coraz więcej osób rozumiało, że to dochodowy biznes, i zaczynało się w to angażować, łącznie ze sporą grupą „porządnych ludzi” z Medellín.

Często wpadałem odwiedzić tatę w jego biurze i zwykle na terenie kryjówki zwanej Lagos stało zaparkowanych co najmniej sto samochodów, a ja nie widziałem w tym nic szczególnego. Pracownicy ojca opowiadali mi później, że w przeciętny dzień przyjeżdżało około trzystu osób z propozycją jakiegoś interesu. Duża część z nich chciała, by ojciec włączył do swojego transportu dziesięć czy piętnaście kilogramów ich towaru, bo wiedzieli, że dochód jest pewny.

Przewijali się tam czyścibuty, kolarze, dziennikarze, przedsiębiorcy, politycy, policjanci i żołnierze różnych rang, a nawet pragnący się wkręcić do narkobiznesu cudzoziemcy. Niemal wszyscy prosili, by ich towar został przesłany szlakiem Fanny. Często można tam było również zobaczyć młodego Carlosa Castaño w charakterze posłańca przenoszącego wiadomości od swoich braci lub innych mafiosów.

Na kilometr czuło się niecierpliwość setek osób liczących na swą biznesową szansę. Ludzie czekali tam po dwa, trzy dni z rzędu, w tym samym ubraniu, bez kąpieli, w nadziei na „minutkę u Don Pabla”.

Jednak nie wszystkie składane przez nich propozycje były nielegalne. Pewnego dnia znany urzędnik miejski zaszedł do biura taty i zaproponował mu inwestycję we właśnie powstającą spółkę, która miała założyć pierwszy w Medellín gazociąg na użytek gospodarstw domowych. Ojciec z całą powagą odparł:

— Bardzo mi przykro, ale ja nie zajmuję się legalnymi interesami.

Kilka razy porządnie się przestraszyłem na widok policjantów wchodzących do biura taty. Myślałem, że zrobią mu rewizję, lecz oni

chwilę później oddalali się jak gdyby nigdy nic. Wpadali jedynie po swoje „zaskórniaki”, po pieniądze.

Ojciec powtarzał mi aż do przesady, że jego szlaki są pewne, praktycznie niezawodne. Zaczął wręcz oferować ubezpieczenie transportów, to znaczy zaręczał swoim osobistym majątkiem zwrócenie się inwestycji i zarobek, nawet w sytuacji gdyby przypadkiem ładunek został odkryty. Ponadto ojciec z Gustavem mieli w zwyczaju robić jeszcze jedną szczególną rzecz: wozili na gapę najbliższych i najbardziej lojalnych. Nierzadko ojciec mówił tym szczęściarzom, że zabiera dla nich na gapę pięć lub dziesięć kilogramów, to znaczy dawał im w prezencie pieniądze odpowiadające takiej ilości narkotyku, mimo że nie zainwestowali ani grosza ani nie brali udziału w biznesie.

Ale tak samo jak gotów był pomagać tym, którzy jego zdaniem na to zasługiwali, potrafił się też posunąć do skrajnej przemocy. Słyszałem na przykład, że kiedyś, na oczach wielu osób, którym chciał dać lekcję, kazał utopić w basenie jednego ze swoich pracowników.

Ojciec zatrudnił jako strażnika w biurze zaprzyjaźnionego wojskowego, któremu kilka lat wcześniej pomógł uciec z wyspy-więzienia Gorgona, gdzie tamten odsiadywał długi wyrok za zabójstwo.

Jednak pewnego dnia znikło dwieście milionów pesos, które tata ukrył w skrytce w biurze, i wojskowy natychmiast znalazł się w kręgu podejrzanych, bo poprzedniego dnia trzymał tam wartę.

Jego los został przesądzony kilka godzin później, bo ludzie taty znaleźli w domu strażnika zaginione pieniądze. Przyprowadzono go do biura. Ojciec polecił, żeby wszyscy pracownicy ustawili się koło basenu. Wojskowego związano i wrzucono do wody.

— Zabiję każdego, kto ukradnie mi choćby jedno peso — oświadczył ojciec, gdy żołnierz utopił się na oczach przerażonych obserwatorów.

Kilka tygodni później ojciec postanowił zainwestować niewielką część swoich pieniędzy w Miami. W 1981 roku kupił tam dom w luksusowej części Alton Road, w Miami Beach. Zapłacił za niego sześćset tysięcy dolarów, które przywiózł z Kolumbii i zadeklarował na odprawie celnej.

Była to ogromna jednopiętrowa posiadłość z imponującym holem, pięcioma pokojami i basenem z widokiem na zatokę. Należała do nielicznych domów w tej części miasta dysponujących prywatnym molo. Gustavo Gaviria nie chciał zostać w tyle i nabył gigantyczne mieszkanie za milion dolarów.

Ojciec postanowił zainwestować więcej w nieruchomości. Wkrótce potem za pieniądze w gotówce przywiezione w dwóch walizeczkach, które zadeklarował na odprawie celnej, nabył kompleks mieszkalny na północy Miami złożony z dwustu apartamentów. Na amerykańskim lotnisku czuł się tak swobodnie jak we własnym domu.

Zarządzanie tymi nieruchomościami miało stać się źródłem ciągłych problemów, bo często dzwoniono stamtąd do niego, skarżąc się, że po ścieżkach między domami spacerują krokodyle z pobliskich jezior.

W końcu, wbrew radzie ojca, Gustavo sprzedał swój apartament, przeczuwając, że ich sytuacja w Stanach jeszcze się skomplikuje. Jednak tata upierał się przy swoim; sądził, że nie będzie miał kłopotów, bo zadeklarował środki, za które nabył te nieruchomości.

Coraz częstsze podróże ojca do Stanów Zjednoczonych w związku z jego interesami zawiodły nas do Waszyngtonu, gdzie postanowił zmierzyć się z surowymi kontrolami przy wejściu do budynku Federalnego Biura Śledczego, FBI. Nie zważając na ryzyko, przedstawił w recepcji fałszywe dokumenty, a mama w tym czasie okazała pozostałe dwa paszporty. Na szczęście bez najmniejszego problemu wszyscy troje zwiedziliśmy

budynek. Stamtąd udaliśmy się do Białego Domu, gdzie mama zrobiła nam słynne zdjęcie.

Pod koniec 1981 roku w efekcie szalonego rozrostu nielegalnych interesów ojciec i Gustavo skompletowali własną eskadrę samolotów i helikopterów: kupili trzy aero commandery, po jednym egzemplarzu z modeli Cheyenne, Twin Otter i Learjet; poza tym dwa helikoptery, jeden nowocześniejszy hughes 500 i jeden bell ranger. Pośrednikiem przy tych transakcjach była firma eksportowo-importowa z Miami należąca do byłego kierowcy wyścigowego Ricarda Londoño alias „Brzytewka". Słyszałem też, że „Brzytewka" był doświadczonym pilotem. Potrafił wejść nocą na małe lotnisko w okolicach Miami i ukraść na zlecenie samolot, za który potem płacono mu bardzo dobrze w Medellín.

Dużo spekulowano na temat domniemanych związków ojca z byłym prezydentem Republiki Álvarem Uribe Vélezem.

Całymi latami uporczywie oskarżano Uribe o to, że piastując stanowisko dyrektora lotnictwa cywilnego, od stycznia 1980 do sierpnia 1982 roku przyznawał nielegalne licencje oraz sprzyjał rozwojowi handlu narkotykami w Medellín.

Książka ta nie stawia sobie żadnych ukrytych celów, nie zamierza nikogo oczerniać ani wybielać, dlatego zbadałem szczegółowo ten temat, by zyskać pewność, jakie rzeczywiście łączyły ich stosunki, o ile w ogóle jakieś istniały.

Rozmawiałem z bliskimi współpracownikami i zaufanymi przyjaciółmi taty. Ich wypowiedzi mnie zaskoczyły, bo wyjawili, że tak naprawdę ojciec oferował pięćset milionów pesos za głowę Uribe. Powód? Pełniąc funkcję dyrektora lotnictwa cywilnego, Uribe utrudniał mu życie na lotnisku Olaya Herrera, zwiększając liczbę kontroli, rewizji i formalności w czasie przyjmowania i odprawiania samolotów.

Zamiar skończenia z Uribe nie ograniczył się jedynie do przedstawienia finansowej oferty — ludzie ojca podjęli przynajmniej trzy nieudane próby zamachu na jego życie.

Osoby, z którymi rozmawiałem na ten temat, zapewniały, że mimo wszystko łapówki robiły na funkcjonariuszach lotniska większe wrażenie niż rozkazy wydawane przez Uribe z dalekiej Bogoty.

Wylano rzeki atramentu, pisząc na temat konszachtów ojca z jego kuzynem José Obduliem Gavirią.

Takim informacjom brak jednak jakichkolwiek podstaw. Osobiście byłem nieraz świadkiem, jak ojciec odcinał się od kuzyna José Obdulia, gdyż tamten uważał, że pochodzi z lepszej rodziny. Tata mówił o nim „ten odpicowany kuzyn, którego mam gdzieś". Generalnie rzadko o nim wspominał, bo też nie było po temu powodów, a sam José Obdulio nigdy nie zachowywał się jak krewny Pabla Escobara.

Trudno nie zauważyć, że na setkach rodzinnych zdjęć, które sięgają lat sześćdziesiątych, José Obdulio w ogóle się nie pojawia.

W tamtym okresie ojciec nie miał jeszcze wrogów ani zatargów z prawem, ale jego rosnąca potęga finansowa sprawiła, że musiał zatrudnić pierwszych ochroniarzy. Byli nimi młody przestępca z gminy La Estrella, Rubén Darío Londoño alias „Yuca" i Guillermo Zuluaga alias „Pasarela".

Wkrótce potem doszedł do wniosku, że potrzebuje kogoś, kto będzie za nim wszędzie jeździł na motorze, zawsze od strony kierowcy. Szukał długo, rozmawiał z licznymi kandydatami i wielu wypróbował, ale żaden nie mógł za nim nadążyć. Udało się to tylko jednemu: Luisowi Carlosowi Aguilarowi alias „Brudas", który wyszedł zwycięsko z ciężkiej próby, jakiej poddał go tata, jeżdżąc pod prąd ulicami, przecinając z wielką prędkością ronda (*round point*) i bez oporów pakując się na każdy chodnik, jaki miał po

drodze. „Brudas” zaczął pracować z ojcem w 1981 roku i od razu dostał wielki motocykl marki Honda XR-200 i broń.

Ojciec zjawił się w domu ze swoimi pierwszymi trzema ochroniarzami i powiedział, że będą z nami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W późniejszym czasie nasza czteroosobowa rodzina miała być zawsze chroniona przez całą armię przestępców.

Ze względu na życie, jakie przypadło mi w udziale, dużą część dzieciństwa spędziłem wśród najgroźniejszych przestępców w kraju. Za towarzyszy zabaw w kryjówkach lub podczas podróży miałem ludzi, których znałem jedynie z pseudonimów, takich jak „Palillo”, „Archivaldo”, „Agonia”, „Kolczyk”, „Otto”, „Brudas”, „Pinina”, „Pasarela”, „Chudy Czacha”, „Pukawa”, „Chicha”, „Maluszek”, „Séforo”, „Monín”, „Smerf”, „Orejitas”, „Cejitas”, „Mistrzu” i wielu innych. Stali się oni dla mnie bliskimi osobami. Wrogowie ojca mówili, że ma na swoich usługach armię płatnych zabójców, ale on odpowiadał żartem, że jest to raczej banda „ciot”.

Do grupy przestępców otaczających ojca przyłączył się jeden, o którym warto wspomnieć: „Paskin”, chłopak dość szczególny ze względu na swoją mafijną kulturę, sposób chodzenia, doskonałe opanowanie lunfardo (języka plebsu z ubogich dzielnic Buenos Aires), upodobanie do „dupeczek” lub „narkosuczy”, jak zwykł określać swoje liczne podboje. Sprowadzał niekiedy rzeźbiarzy i kazał pozować dziewczynom nago, w biżuterii z ciężkiego złota, łańcuchach, pierścionkach, bransoletach i zegarkach. Był wierny swojemu rewolwerowi kaliber .38 Smith & Wesson i karabinowi AK-47, którego nie wypuszczał z ręki.

W kryjówkach ojca nie miałem kolegów, z którymi mógłbym się bawić, dlatego grałem w piłkę albo w Nintendo z ochroniarzami. Kiedy było nas niewielu, graliśmy w „dziadka”, grę, w której jeden zawodnik próbuje

zabrać piłkę innym ośmiu lub dziesięciu. Wciąż przypadała mi w udziale rola „dziadka” i strasznie się wkurzałem, że nie mogę się dorwać do piłki.

Tak naprawdę nie miałem wielu przyjaciół pośród rówieśników, bo w tamtym okresie rodzice moich kolegów ze szkoły San José de la Salle często zabraniali swoim dzieciom (moim kolegom z klasy) zadawać się ze mną. To nie to samo być synem Garcíi Márqueza co synem Escobara Gavirii. Pociągało to za sobą wiele form dyskryminacji.

Nie wychowywałem się w Club Campestre, choćbym nie wiem jak blisko niego mieszkał. Nie mogę powiedzieć, że przyjaźniłem się z wybitnymi osobistościami naszego kraju, bo ten typ ludzi zbliżał się do mego ojca tylko po to, by zaoferować mu sprzedaż swoich majątków lub dzieł sztuki albo żeby ubić z nim jakiś interes, nie po to, żeby się przyjaźnić. Ojciec żył za to otoczony osobami niezwykle odważnymi, które od dziecka przyzwyczaiłem się traktować jak wielką rodzinę. To oni stanowili moje środowisko i mój świat, moją jedyną namacalną rzeczywistość.

Wracając do tematu handlu narkotykami, muszę przyznać, że budowa hacjendy Nápoles i ryzykowny pomysł z założeniem ogrodu zoologicznego w Magdalena Medio zasadniczo zmieniły życie codzienne naszej rodziny.

Hacjenda stała się swego rodzaju centrum zarządzania, z którego dniem i nocą wylatywały na Karaiby, do Meksyku, Ameryki Środkowej i Stanów Zjednoczonych samoloty pełne koki.

Jeżeli transport wylatywał nocą, na początku i końcu pasa robotnicy ustawiali dwa wielkie koła podobne do tych, jakich używa się w cyrku, i oświetlali je przy użyciu paliwa Diesla, które płonie stosunkowo długo. Potem zapalali dziesiątki reflektorów i pochodni, a te wyznaczały przebieg pasa o długości dziewięciuset metrów.

Pamiętam naszego pierwszego sylwestra w Nápoles. Orkiestra Pastora Lópeza przygrywała nam wtedy przez cały miesiąc. Którejś nocy, podczas koncertu, ojciec wziął terenówkę marki Nissan Patrol i pojechał na pas, bo — jak usłyszałem od jego „chłopców” — miał przylecieć samolot z Meksyku. Była jedenasta w nocy 31 grudnia. Niebo bezchmurne. Ustawili ogniste kręgi, reflektory i pochodnie. Samolot wylądował bez problemu. W ciągu nie więcej niż dziesięciu minut załadowali kokainę, zmienili rejestrację i banderę na samolocie, który ponownie wystartował. Potem zgasili pochodnie i ogniste koła, schowali reflektory do worków i wrócili kontynuować zabawę.

Ojciec starał się nie wciągać mnie w swoje interesy, czasem jednak jego wysiłki szły na marne, bo wiele rzeczy doskonale było widać z boiska do piłki nożnej przy hacjendzie, na którym spalaliśmy grudniowy proch.

Na potrzeby tej książki rozmawiałem z wieloma osobami. Moją uwagę zwróciło to, że wszyscy zgadzali się co do jednego: ojciec miał wielki talent do zwodzenia władz. Gdy tylko jeden pas zostawał odkryty i zniszczony, on natychmiast znajdował inny; jeśli zdemaskowano jakieś laboratorium, kilka dni później zakładał nowe.

Niemal wszyscy wspominali jeden z jego pomysłów: pas startowy położony na równinie o godzinę drogi od hacjendy, w pobliżu miejsca zwanego Lechería. Kiedy przyjeżdżało się tam, widać było jedynie serpentynę szosy i wiejski domek na środku pola. Okazuje się, że teren był idealnie równy i miał prawie kilometr długości. Ojciec kazał tam zasiać trawę w taki sposób, żeby z powietrza widać było krętą szosę ze skromną chałupą pośrodku.

Trik polegał na tym, że domniemany wiejski domek znajdował się na podwoziu przyczepy dołączonej do ciężarówki, która w razie potrzeby

odjeżdżała kilka metrów, zwalniając miejsce dla lądujących i startujących samolotów.

Ojciec zaprojektował to i kazał wykonać, żeby zmylić samoloty zwiadowcze Kolumbijskich Sił Powietrznych i helikoptery policyjnych służb antynarkotykowych, które przelatując nad tym miejscem, widziały jedynie kawałek ładnego pejzażu. Jednak kiedy miał nadlecieć transport koki, ktoś odjeżdżał kawałek przyczepą z domem i ukazywał się pas startowy długości tysiąca metrów.

Niepewna codzienność typowa dla handlu narkotykami, wynikająca z faktu, że wszystkie etapy sprzedaży były tajne, tak czy inaczej zmuszała ojca i Gustava do nieustannego poszukiwania nowych, lepszych szlaków wysyłki koki do Stanów Zjednoczonych. Warto w tym miejscu także wspomnieć o przerzucie narkotyków przez Kubę. Wielu ludzi pracujących z ojcem potwierdziło, że faktycznie wysyłał stamtąd wiele transportów przy współudziale wysokich rangą oficerów kubańskiego reżimu.

W tym celu wysłali na Kubę człowieka nazwiskiem Jorge Avedaño alias „Krokodyl”, który przyjmował samoloty przylatujące z Kolumbii na pasie startowym na wschodnim wybrzeżu Kuby, a potem wysyłał dalej kokę szybkimi motorówkami na Islamorada, na południe od Miami, na szlaku do Cayo Hueso.

Ten skomplikowany manewr funkcjonował bez przeszkód przez dwa lata, do czasu gdy w 1989 roku pozostający w zmowie z ojcem wojskowi zostali zdemaskowani, oskarżeni o zdradę ojczyzny i rozstrzelani po długim procesie karnym. Nie rozmawiałem z tatą na ten temat, ale żywe wówczas zainteresowanie jego ludzi wiadomościami z Kuby na temat narkoskandalu pozwoliło mi się domyślić, że byli w jakiś sposób zamieszani w te wydarzenia.

Zgromadziwszy bogate doświadczenie w codziennych zmaganiach na różnych etapach handlu kokainą, pewnego pięknego dnia ojciec przestał przetwarzać pastę kokainową. Miał dosyć ciągłych problemów z laboratoriami, które coraz częściej padały ofiarą nalotów władz. Zmęczyły go także błędy w obchodzeniu się z odczynnikami chemicznymi, które nieustannie prowadziły do wybuchów, z ofiarami śmiertelnymi i rannymi.

Zaczął się więc zajmować wyłącznie transportem alkaloidu swoimi szlakami, które nadal były bezpieczne, szczególnie Fanny i Platanal. W krótkim czasie stał się najlepszym przewoźnikiem kokainy, mimo że bardzo dużo inkasował od narkoproducentów wysyłających towar za granicę.

Pod koniec 1981 roku ojciec umocnił się na pierwszej pozycji w handlu kokainą. Nie zamierzał jednak być jednym z wielu handlarzy, co Gustavo zrozumiał pewnego dnia, gdy przyszedł do niego szeroko uśmiechnięty z informacją, że trzy samoloty załadowane kokainą dotarły do celu.

— Pablo, wszystkie trzy maleństwa wylądowały szczęśliwie.

— Świetnie, mamy już władzę ekonomiczną, teraz zajmiemy się polityczną.

Ojciec zdecydował właśnie wkroczyć na ruchome piaski polityki, które miały przynieść mu zgubę.

---

30 Gra słów: *platanal* (hiszp.) — bananowy; *plata* (hiszp.) — srebro, forsa.

# Rozdział 11

# NAJWIĘKSZY BŁĄD: POLITYKA

Moja babcia Nora, Josefina (blisko zaprzyjaźniona z rodziną Henao) i burmistrz Envigado Jorge Mesa rozmawiali z ożywieniem w porze obiadu, kiedy nagle zjawił się ojciec z Carlosem Lehderem.

Siedli do stołu, a po kilku minutach rozmowa skierowała się na politykę, temat bardzo burzliwy w tamtych dniach lutego 1982 roku, ponieważ zbliżały się wybory parlamentarne i prezydenckie.

Wywodzący się z rodziny lokalnych kacyków politycznych Mesa, rozważając możliwe kandydatury do Kongresu i na fotel prezydencki, bez owijania w bawełnę zaproponował ojcu, żeby wszedł w politykę, bo jego zdaniem wielu ludzi by go poparło.

Ojciec wysłuchał go z uwagą. Po jego reakcji można było sądzić, że pomysł przypadł mu do gustu. Temat polityki nie był mu obcy. Już w 1979 roku zdobył mandat w radzie miejskiej Envigado, z listy przedstawionej przez ugrupowanie polityczne antioqueńskiego przywódcy Williama Véleza. Objął wówczas funkcję radnego, ale wziął udział jedynie w dwóch posiedzeniach i odstąpił swoje miejsce zastępcy.

Nim jednak zaszli dalej w tej rozmowie, poderwała się wyraźnie wzburzona babcia Nora i zawołała:

— Pablo, czyżbyś zapomniał, kim jesteś i czym się zajmujesz? Jeśli wejdziesz w politykę, na całym Bożym świecie nie znajdziesz ani jednej

szpary czy kanału, w którym mógłbyś się ukryć. Będziemy musieli uciekać, zniszczysz życie nam wszystkim. Pomyśl o swoim synu, o rodzinie!

Usłyszawszy ten szorstki komentarz, ojciec także podniósł się od stołu, obszedł jadalnię wokół, a na koniec odpowiedział z typową dla niego pewnością siebie:

— O nic się nie martw, mamo. Wiem, jak się zabrać do rzeczy. Na początek zapłaciłem już w F-2, żeby znikły akta, w których coś na mnie było.

Lehder się nie odzywał, a Mesa z Josefiną upierali się, że ojciec ma zapewnione rzesze wyborców, bo ludzie są wdzięczni, że opłacił budowę i oświetlenie ośrodków zdrowia oraz obiektów sportowych, takich jak boiska do piłki nożnej, koszykówki i siatkówki, a w mniejszej liczbie także tory kolarskie i wrotkarskie. Wyborcy pamiętają również, że obsadził tysiącami drzew nisko położone tereny w Medellín, Envigado i innych gminach Valle de Aburrá.

Cały projekt zakładał wybudowanie w krótkim czasie czterdziestu obiektów. Zadanie to zlecił Gustavowi Upegui (na którego wołali Major, bo był wcześniej oficerem w policji) i Fernandowi „Pogromcy Zwierząt”. Do tamtej pory otworzył już kilkanaście boisk piłkarskich w gminach La Estrella, Caldas, Itagüí i Bello i w dzielnicach Campo Valdés, Moravia, El Dorado, Manrique i Castilla w Medellín. Ojciec chciał pomóc mieszkańcom tych rejonów. Paradoksalnie zależało mu na tym, żeby dzieciaki zajęły się sportem, a nie narkotykami czy przestępczością.

Chodziliśmy czasem z mamą na te boiska na inauguracyjne mecze, podczas których proszono tatę o oddanie pierwszego strzału. Zauważyliśmy, że na trybunach zawsze było pełno ludzi, którzy wiwatowali na cześć ojca z wdzięczności za tego rodzaju inwestycje przynoszące korzyść lokalnym społecznościom.

Obstawa starała się chronić nas przed nawałem entuzjastów, których trudno było kontrolować, bo wielu ludzi chciało podejść i przywitać się z tatą. Ja byłem jeszcze bardzo mały i niekiedy takie tłumy wprawiały mnie w przerażenie.

W tamtym okresie ojciec poznał kapelana kościoła Świętej Teresy od Dzieciątka Jezus w Medellín, Elíasa Loperę. Bardzo się zaprzyjaźnili. Duchownemu podobało się pełne współczucia podejście ojca do ludzi, jeździł z nim potem we wszystkie zakątki Antoquii. Przez długi czas współpracowali w ramach działalności dobroczynnej i politycznej.

Dwudziestego szóstego czerwca 1981 roku podczas akcji sadzenia drzew w dzielnicy Moravia tata wygłosił przemówienie, po którym ojciec Elías podziękował mu za szczodrość i poprosił o oklaski. Wtedy po raz pierwszy tata zaatakował ostro dziennik „El Espectador” z Bogoty:

„W gazecie «El Colombiano» widziałem ładne kampanie społeczne i obywatelskie, których próżno by szukać w takich mediach jak «El Espectador». Pismo to jest rzecznikiem oligarchii kolumbijskiej, której hasło przewodnie i filozofia sprowadzają się do nieuczciwego i cynicznego ataku na osoby. Najbardziej godny ubolewania jest fakt, że to dziennikarska przetwórnia, która przekręca informacje, zaprawiając je chorobliwym jadem i atakując uczciwych ludzi. To przewrotna dziennikarska firma, która nie bierze pod uwagę, że ludzie mają pewne wartości, która nie bierze pod uwagę, że ludzie mają rodziny i która nie bierze pod uwagę, że ludzie mogą niekiedy liczyć na poparcie i pomoc społeczeństwa”.

Poza wspomnianymi działaniami ojciec brał już od ponad roku udział w publicznej kampanii przeciwko umowie o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi podpisanej w marcu 1979 roku przez prezydenta Julia Césara Turbaya, ponieważ uważał za upokarzające, by państwo kolumbijskie przekazywało swoich obywateli wymiarowi sprawiedliwości

innego kraju. Zdążył dogłębnie przestudiować ten temat, a przecież nikt wówczas nie domagał się jeszcze jego ekstradycji, nie ciążyły też na nim żadne oskarżenia.

Ojciec uczynił więc ze sprawy ekstradycji swoje sztandarowe hasło i zaczął organizować spotkania na ten temat w dyskotece Kevins i w restauracji La Rinconada, w gminie Copacabana. Te nieoficjalne zebrania, które bardzo szybko straciły luźny charakter, ochrzcił dźwięcznym mianem Narodowego Forum Zagrożonych Ekstradycją (Foro Nacional de Extraditables).

Walka z ekstradycją stopniowo zyskiwała pewien oddźwięk, co zachęciło ojca do zwołania mafijnej wierchuszki kraju na spotkaniu w La Rinconada. W zjeździe udział wzięło około pięćdziesięciu mafiosów z Valle, Bogoty, Antioquii i wybrzeża Atlantyku, a wśród nich bracia Miguel i Gilberto Rodríguez Orejuela i José „Chepe” Santacruz. Jeśli ktoś się wymawiał, było to źle widziane, bo chodziło o dojście do porozumienia mafii z całego kraju w jednym celu: zwalczenia ekstradycji. Trzeba tu wyjaśnić, że żaden z obecnych nie był jeszcze oficjalnie uznany za handlarza narkotyków, nie miał kryminalnej przeszłości ani wytoczonego procesu. Byli „dobrze prosperującymi przedsiębiorcami”, jak nazywano ich w kręgach społecznej elity. Ludźmi, z którymi ubijało się interesy, ale z którymi nie pozowało się do zdjęć.

Aby przydać wydarzeniu splendoru, ojciec postarał się poznać i zaprosić Virginię Vallejo, prezenterkę telewizyjną, która zrobiła na nim duże wrażenie pewnością siebie i sposobem bycia. Mianował ją moderatorką zjazdu. Wywiązał się między nimi burzliwy romans, który z czasem nabrał handlowego charakteru.

Tamtej nocy przy głównym stole zasiadł ojciec, Virginia Vallejo i były sędzia Sądu Najwyższego Humberto Barerra Domínguez, który wygłosił

długą mowę o powadze sytuacji i konsekwencjach, jakim będzie musiało stawić czoło mafijne gremium w efekcie porozumienia podpisanego przez Turbaya.

W tym czasie w mieszkaniu babci Nory od dwóch godzin trwała dyskusja, czy ojciec powinien zajmować się polityką. Ostatecznie uległ pokusie i zgodził się kandydować do Izby Reprezentantów z drugiego miejsca listy Ruchu Odnowy Liberalnej (MRL[31]), na której czele stał adwokat Jairo Ortega. Okazało się, że w wyborach prezydenckich MRL zdecydował się już poprzeć kandydaturę Luisa Carlosa Galána z partii Nowy Liberalizm[32]. Tata nie miał nic przeciwko temu, bo znał przebieg kariery politycznej Galána i doceniał jego talent oratorski, a także, co ważniejsze, jego przekonania polityczne.

Ojciec tak bardzo wziął sobie do serca nowe zadanie, że już trzy dni później zorganizował pierwsze wystąpienie publiczne w dzielnicy La Paz, gdzie wygłosił przemówienie z dachu mercedesa. W obecności tysiąca osób, pośród których znajdowali się także jego dawni kompani zabaw i przekrętów, zapowiedział, że zawsze będzie nosił w sercu tę dzielnicę, oraz zobowiązał się pracować w Kongresie na rzecz biednych z Envigado i Antioquii.

Błyskawiczna kampania nabrała rozpędu, a ojciec przyspieszył otwieranie boisk futbolowych i sadzenie drzew w górach Valle de Aburrá.

Podczas jednego z wielu wieców, jakie zorganizował w ciągu ośmiu tygodni trwania kampanii, pewien człowiek, prawdopodobnie pijany, zaczął ubliżać politykom, zarzucając im, że nie wypełniają swoich obietnic, przy czym wskazał palcem na tatę, który wpadł w furię. Jak dowiedziałem się od ochroniarzy, dwaj policjanci siłą wywlekli krzykacza z wiecu, zaciągnęli do dzielnicy La Aguacatala i przekazali ludziom ojca, którzy podziurawili nieszczęśnika kulami.

Z czasem tata poczynał sobie coraz śmielej, występując publicznie, i podczas pewnej manifestacji w głównym parku w gminie Caldas, w Antioquii, zaatakował ekstradycję, domagając się od rządu, by anulował podpisane ze Stanami Zjednoczonymi porozumienie. Jego wystąpienie miało charakter nacjonalistyczny, prosty język i było wyraźnie skierowane do wyborców pochodzących z nizin społecznych.

Jednak rozpęd, jakiego nabrała kampania, został gwałtownie zahamowany pewnej nocy, kiedy Galán stanął na czele manifestacji w parku Berrio w centrum Medellín i odrzucił sojusz partii Nowy Liberalizm z MRL w kampanii do Kongresu. Innymi słowy, wyautował Ortegę i ojca. Kilka godzin później rozkazał zamknąć biuro partii w Envigado i zniszczyć plakaty wyborcze. Jego postępowanie doprowadziło ojca do wściekłości. Natychmiast zlikwidował siedzibę swojej kampanii.

Ortega dostał od Galána wiadomość, w której ten wyjaśnił swoją decyzję: „Nie możemy zgodzić się na powiązanie z osobami, których działalność pozostaje w sprzeczności z naszą tezą o moralnej i politycznej odnowie kraju. Jeśli nie akceptuje pan tych warunków, nie mogę dopuścić, by pański ruch miał jakikolwiek związek z moją kandydaturą na prezydenta”.

Mimo to dwa dni później Ortega spotkał się z ojcem i przedstawił go politykowi z Tolimy, Albertowi Santofimio Botero, liderowi niewielkiego ruchu znanego pod nazwą Alternatywa Liberalna, który także miał swoją listę kandydatów do Kongresu. Po krótkiej rozmowie ustalili, że Ortega i ojciec przyłączą się do ugrupowania Santofimio i nie wycofają swoich kandydatur. Tak też się stało. Nowy sojusz przypieczętowano podczas publicznej uroczystości w Medellín. Santofimio i Ortega weszli na podium ubrani we fraki i krawaty z czerwonymi goździkami w klapie. Ojciec (który

nie cierpiał oficjalnego stylu) wystąpił w czarnej koszuli z krótkim rękawem, również z obowiązkowym goździkiem.

Następnego dnia Ruch Odnowy Liberalnej opublikował w regionalnych dziennikach ogłoszenie, w którym powitał ojca. „Popieramy kandydaturę Pabla Escobara do Izby Reprezentantów. Koktajlowi politycy elit mogą mu pozazdrościć młodości, inteligencji i szczerej troski o ludzi opuszczonych i zmarginalizowanych. Jego kandydaturę popierają wszyscy liberałowie i konserwatyści z Magdalena Medio, bo uważają go za Mesjasza tego regionu".

Kampania złapała nowy wiatr w żagle. Ojciec dalej jeździł po wszystkich zakątkach Medellín i Valle de Aburrá, aż pewnego razu dotarł do dzielnicy Moravia akurat w momencie, gdy dogaszano tam potężny pożar, który strawił dziesiątki baraków z kartonu zbudowanych na smrodliwym śmietnisku. Gdy już się tam znalazł, przeszedł trasą przemierzaną zwykle przez śmieciarki i obejrzał szkody wyrządzone przez płomienie. Jeszcze tego samego dnia podarował pogorzelcom materace, koce i wszelkiego rodzaju pomoc materialną pierwszej potrzeby.

Nędza mieszkańców Moravii poruszyła ojca tak bardzo, że postanowił wyciągnąć ich stamtąd i zapewnić im bezpłatne domy. Tak narodziło się osiedle Medellín sin Tugurios. Plan zakładał wybudowanie pięciuset mieszkań, a w ciągu kolejnych dwudziestu czterech miesięcy osiągnięcie liczby pięciu tysięcy budynków.

Ojciec postanowił następnie przeprowadzić zbiórkę środków na sfinansowanie budowy mieszkań. W tym celu zorganizował korridę na arenie Macarena. Już po samym afiszu tego wydarzenia widać, że ojciec zrobił, co mógł, żeby zapełnić scenę: byki sprowadził samolotem z Madrytu, z hodowli Los Gauteles; zatrudnił słynnych toreadorów Pepe Cáceresa i Césara Rincóna oraz pikadorów Dayra Chicę, Fabia Ochoę,

Andrésa Véleza i Alberta Uribe; zaprosił także miss i wicemiss Kolumbii z 1982 roku, Julię Paulinę Sáenz i Rocío Lunę, nie licząc innych ślicznotek wybranych w krajowym konkursie piękności w Cartagenie.

Toreadorzy, pikadorzy i królowe piękności zgodzili się wystąpić bezinteresownie, bo wszyscy dostrzegli, że Medellín sin Tugurios mogło rozwiązać problemy ludzi, którzy stracili wszystko w Moravii.

Prócz tych działań mających na celu zgromadzenie środków, ojciec znalazł doskonałe źródło finansowania swojego ambitnego projektu w handlarzach narkotyków. W tamtym okresie jego biuro cieszyło się już wielką renomą w środowisku, bo było najbardziej wydajne w wysyłce kokainy. Nie zawahał się więc wykorzystać powodzenia interesu, na którym wielu się bogaciło, żeby poprosić ich o jakiś wkład. Każdego mafiosa wchodzącego do biura w interesach witał tym samym zdaniem:

— Ile domów wybudujesz mi dla biednych? Ile mam zanotować? Mów!

Pragnąc zapewnić sobie przychylność ojca, niemal wszyscy handlarze godzili się coś wpłacić, bo jego szlaki gwarantowały im przyszłość finansową. Oczywiście do szczodrości przy składkach skłaniał ich także lęk. Kiedyś tata powiedział mi, że dzięki mafii zdobył środki na wybudowanie trzystu domów.

Ojciec nigdy nie zapominał twarzy i nazwiska człowieka, który z nim zadarł. W przypadku Galána, który postanowił pozbyć się go z kampanii do Izby Reprezentantów, kazał swoim ludziom zbadać, czemu tak postąpił. Dowiedział się tego w pierwszym tygodniu marca, na kilka dni przed głosowaniem. Wyglądało na to, że to lekarz René Mesa powiedział Galánowi, że mój ojciec tak naprawdę jest potężnym handlarzem kokainą.

Ojciec nie wiedział, co myśleć, bo znał Mesę od wielu lat, był to bliski przyjaciel rodziny. To właśnie on przeprowadził autopsję brata ojca,

Fernanda, i jego dziewczyny Piedad, gdy 25 grudnia 1977 roku o świcie zginęli w wypadku samochodowym w wąwozie La Ayura w Envigado.

Nie darował jednak zniewagi i zlecił „Pukawie”, jednemu ze swoich najgroźniejszych *sicarios*, zabójstwo Mesy w jego gabinecie lekarskim w Envigado.

Ostatecznie, po wyczerpującej kampanii, 14 marca 1982 roku ojciec został wybrany na deputowanego do Izby Reprezentantów. Tego dnia spotkał się z Ortegą i Santofimio w siedzibie Ruchu Odnowy Liberalnej. Mama spędziła tam trochę czasu, ale w końcu wróciła do domu, bo podliczanie głosów trwało zbyt długo. Przez telefon ojciec parę razy informował ją o postępach prac.

Gdy tylko komisja wyborcza potwierdziła, że ojciec został wybrany na posła zastępczego do Izby, mama zaczęła się zastanawiać, w co się ubierze w dniu objęcia funkcji, czyli 20 lipca.

Tej nocy ojciec wrócił w doskonałym humorze do domu i powiedział jej:

— Przygotuj się, bo będziesz pierwszą damą narodu.

Był w euforii i do późna w nocy opowiadał o swoich projektach, takich jak stworzenie nowych uniwersytetów, budowanie szpitali, ale tym razem bezpłatnych. W czasie tej rozmowy ojciec stwierdził, że pierwszego dnia w Kongresie nie zamierza zakładać wełnianego garnituru i pójdzie tam w koszuli.

Gdy tylko Państwowa Komisja Wyborcza potwierdziła legalność wyborów, ówczesny marszałek Kongresu, Jorge Mario Eastman, wydał ojcu legitymację posła zastępczego do Izby Reprezentantów. Dokument ten miał pewien dodatkowy skutek — zapewniał mu immunitet poselski.

Po wygranej w wyborach ojciec uznał, że nim zadebiutuje jako kongresman, musi to z pompą uczcić. A co nadaje się do tego lepiej niż wycieczka do Brazylii, słynnej z kobiet, rumby i pięknych widoków?

Dwunastego kwietnia polecieliśmy samolotem liniowym do Rio de Janeiro grupą liczącą ponad dwadzieścia osób. W jej skład wchodzili: tata, mama, ja, ciotki ze strony mamy z mężami i dziećmi, babcia Hermilda, stryjowie, Gustavo Gaviria, jego żona, dzieci i rodzice, Anita i Gustavo. Nasza grupa była tak duża, że aby się gdzieś wybrać, potrzebowaliśmy autobusu i było to dosyć niewygodne, bo zdobycie stolika w restauracji lub biletów na występy (na przykład Roberta Carlosa) stanowiło nie lada wyzwanie. Mamie nie podobało się podróżowanie taką wielką bandą.

Po tej wyprawie pozostał pewien żart, który do dziś wspominany jest w gronie rodziny. Chodzi o to, że niemal wszystkie małżeństwa (łącznie z moimi rodzicami oczywiście) wróciły z tej podróży pokłócone, bo mężczyźni wymykali się, żeby obejrzeć na żywo występy tancerek i prostytutek.

Wróciliśmy do Kolumbii. Handel kokainą przebiegał bez przeszkód, a ojciec mocno zaangażował się w sprawy polityczne. I, jak to on, wziął się ostro do roboty w związku ze zbliżającymi się wyborami.

Brakowało jedynie czterdziestu pięciu dni do wyborów nowego prezydenta Republiki. Pośród kandydatów mieliśmy liberała Alfonsa Lópeza Michelsena (który chciał powtórzyć kadencję, bo był już prezydentem w latach 1974–1978), konserwatystę Belisaria Betancura Cuartasa, opozycyjnego Luisa Carlosa Galána wystawionego przez partię Nowy Liberalizm i Gerarda Molinę (o lewicowych poglądach) z Frontu Demokratycznego.

Wierni zasadzie kupowania lojalności pieniędzmi przemycanymi pod pozorem bezinteresownej pomocy, ojciec wraz z innymi mafiosami postanowili zainteresować się kampaniami Lópeza i Betancura. Ojciec zaproponował, że on opłaci liberałów, a Gustavo Gaviria i „Meksykanin” konserwatystów.

Tak więc za pośrednictwem wpływowego inżyniera Santiaga Londoño White’a, koordynatora kampanii liberałów w Antioquii, ojciec, bracia Ochoa, Carlos Lehder i „Meksykanin” spotkali się w apartamencie hotelu Intercontinental w Medellín z krajowym szefem kampanii Lópezem Ernestem Samperem, a także z Londoño i innymi przywódcami liberałów w Antioquii.

Londoño przedstawił *capos* jako dobrze prosperujących przedsiębiorców gotowych zaoferować szybką pomoc. Zaproponował im, żeby przekazali środki potrzebne na kampanię, kupując losy w loterii na samochód. Kandydat López wyszedł ze spotkania już po dziesięciu minutach, bo musiał wziąć udział w innej akcji wyborczej na mieście. Zostawił jednak jako swojego przedstawiciela Sampera. Ostatecznie ojciec i jego wspólnicy kupili losy o wartości około pięćdziesięciu milionów pesos.

Jakiś czas potem, kiedy wyszło na jaw, że liberałowie sfinansowali kampanię z mafijnych pieniędzy, López i Samper tłumaczyli się każdy na swój sposób. Jednak wszystko przebiegło właśnie tak, jak napisałem, ojciec opowiedział mi o tym ze szczegółami.

Dowodem na współpracę ojca przy kampanii liberałów jest pewien tekst, który napisał, kiedy dojrzewał w nim pomysł założenia własnej gazety, opozycyjnej wobec dzienników z Bogoty i Antioquii.

Gazeta nazywała się „Fuerza”, a jej numer zerowy krążył wśród znajomych. Zamieszczono w nim kolumnę z plotkami politycznymi zatytułowaną „Sztych”, w której nawiązano do pewnej wypowiedzi ojca w dyskusji dotyczącej ekstradycji: „Ernesto Samper Pizano zaatakował doktora Santofimio, zarzucając mu rzekome przyjęcie «gorących» pieniędzy. Jednak Pablo Escobar odpowiedział Samperowi Pizano na forum przeciwko ekstradycji, by raczej uważał na własne ręce, które mogą się poparzyć od dwudziestu sześciu milionów pesos, jakie przyjął

w apartamencie Medellín w hotelu Intercontinental na swoją kampanię polityczną. I żeby nie przesadzał z robieniem porządku z marihuaną (której zalegalizowanie popiera). Nic się nie martw, bracie «samperjuszku», marihuana tak czy inaczej jest w porządku".

W tym samym czasie innemu członkowi rodziny Londoño White, imieniem Diego, pełniącemu funkcję skarbnika kampanii konserwatystów w Antioquii, powierzono organizację kampanii Betancura. Bliscy współpracownicy ojca opowiadali mi, że „Meksykanin" pomalował na niebiesko swój samolot cheyenne II i wypożyczył go kandydatowi, żeby mógł jeździć na swoje wiece wyborcze.

Jednak pomoc nie ograniczała się tylko do pieniędzy. Ojciec i Gustavo wynajęli kilka autobusów do przewiezienia wyborców popierających liberałów w dniu głosowania, które nastąpiło 30 maja 1982 roku. W tamtym okresie komisja wyborcza zamykała granice między gminami, by uniknąć wielokrotnego oddawania głosów, ale tata z wujkiem postanowili dowieźć wyborców do okręgu wyborczego w Envigado i w centrum handlowym Oviedo w Medellín.

Ostatecznie sojusz konserwatystów okazał się decydujący dla zwycięstwa Betancura, którego wybrano przewagą czterystu tysięcy głosów nad Lópezem. Ten ostatni przegrał między innymi wskutek opozycji Galána, która zabrała mu wielu wyborców.

Dwa miesiące później, 20 lipca, ojciec rozpoczął karierę kongresmana. Pojechali z mamą do Kapitolu luksusową limuzyną marki Mercedes Benz w kolorze khaki, wypożyczoną od Carlosa Lehdera. Samochód należał niegdyś do włoskiego dyktatora Benita Mussoliniego.

Mama włożyła na siebie wełnianą czerwono-czarną sukienkę od słynnego włoskiego projektanta Valentino, ale martwiła się, bo tata postanowił zlekceważyć zasady protokołu obowiązującego w Kongresie.

On jednak sądził, że wszystko mu wolno. Mimo to nie zdołał pokonać poważnego i wymagającego odźwiernego, który nie pozwolił mu wejść do Kongresu bez krawata, choć próbował go przekonać na wszelkie sposoby. Po półgodzinnej dyskusji nie miał wyboru i musiał założyć krawat wypożyczony od odźwiernego.

Z zaprzysiężenia pozostało zdjęcie, które zawsze zwracało uwagę, bo ojciec podniósł prawą rękę, układając palce w symbol zwycięstwa. Pozostali wznieśli dłonie jak do ślubowania.

Tamtej nocy odbyła się uroczysta kolacja rodzinna, na którą przybyli także Santofimio, Ortega i Virginia Vallejo.

Siódmego sierpnia 1982 roku ojciec uczestniczył w zaprzysiężeniu Belisaria Betancura na prezydenta. Tamtego dnia on i cała mafia odetchnęli z ulgą, kiedy nowy szef państwa nie wspomniał ani słowem o ekstradycji w długim przemówieniu inauguracyjnym, mimo że już wtedy sądownictwo amerykańskie domagało się kilku handlarzy narkotyków, wśród których nie było jeszcze mojego ojca ani innych wielkich *capos*.

Z władzą polityczną w zasięgu ręki i prezydentem zdecydowanym poprzeć ułaskawienie i amnestię dla grup *guerrilleros* — M-19, FARC, EPL [33] i ELN — ojciec zorganizował nową wycieczkę do Brazylii. Tym razem, w odróżnieniu od poprzedniej, kwietniowej wyprawy, postanowił zaprosić jedynie najbliższych przyjaciół, bez żon.

Organizując ten wypad, Gustavo Gaviria zadzwonił do Rio de Janeiro do chirurga Tomása Zapaty, którego wysłał tam wcześniej, żeby zrobił kurs w zakresie przeszczepu włosów i chirurgii plastycznej, bo bardzo zależało mu na odzyskaniu bujnej czupryny.

Tak więc w drugim tygodniu sierpnia w podróż wybrało się dwunastu mężczyzn, w dwóch samolotach Learjet (jednym należącym do ojca i drugim wynajętym). W kolejnym, Cheyenne Turbohelice (także

stanowiącym własność taty), poleciały bagaże. W skład grupy wchodzili Jorge Luis i Fabio Ochoa, Pablo Correa, Diego Londoño White, Mario Henao, „Pukawa”, „Otto”, „Yuca”, Álvaro Luján, Jaime Cardona, Gustavo Gaviria i ojciec.

W Rio ulokowali się w najlepszym hotelu przy plaży Copacabana, każdy w luksusowym apartamencie na tym samym piętrze. Ostatni z nich przypadł Jaime Cardonie — mafiosowi, który wszedł do biznesu kokainowego wcześniej niż ojciec. Już pierwszej nocy zrobili z niego miejsce rozrywki i chaosu — do tego apartamentu przychodziły piękne kobiety z najlepszych burdeli w mieście. Jeden z uczestników tej wyprawy powiedział mi, że codziennie przewijało się tam od trzydziestu do czterdziestu kobiet. Za każdą usługę w pokojach kelnerzy dostawali po banknocie studolarowym, dlatego bili się między sobą o możliwość obsługiwania szczodrych kolumbijskich turystów.

Ich rozrzutność nie znała granic. Każdy zabrał po sto tysięcy dolarów, z zamiarem wydania ich co do centa. Wynajęli wszystkie sześć samochodów marki Rolls-Royce, jakie tylko były w mieście, i wybrali się nimi na stadion Maracana, gdzie wjechali samochodami aż na murawę przez tunel, którym wbiegają piłkarze. Tamtego dnia grali Fluminense i Flamengo w ramach miejscowego turnieju. Następnego dnia lokalny dziennik opublikował na środkowych stronach relację z wizyty delegacji polityków i ważnych przedsiębiorców z Kolumbii, którzy przyjechali poznać Brazylię. To właśnie z tej podróży ojciec nielegalnie przywiózł przepiękną i bardzo kosztowną niebieską papugę do hacjendy Nápoles.

Kilka tygodni po powrocie z Brazylii ojciec dostał zadanie z Izby Reprezentantów — miał wejść w skład oficjalnej delegacji uczestniczącej w wyborach nowego szefa rządu w Hiszpanii. Wyleciał do Madrytu 25 października z Albertem Santofimio i Jairem Ortegą lotem pierwszej

klasy linii Avianca przez Bogotę i San Juan. Trzy dni później zostali świadkami miażdżącego tryumfu Felipe Gonzáleza, kandydata z ramienia Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE)[34], który miał sprawować urząd przez kolejne dwanaście lat, do 1996 roku.

Ojciec był zadowolony. Spakował z mamą te same ubrania co zwykle, ale włączył jeden nowy element — przywiezione z Nowego Jorku buty z ukrytym obcasem, który sprawiał, że wydawał się wyższy.

Nie znam szczegółów, bo nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, ale związek ojca z Virginią Vallejo miał się źle skończyć. Pamiętam, że widziałem ją kiedyś przy bramie do hacjendy Nápoles, ale nie pozwolono jej wejść, bo ojciec dowiedział się, że prezenterka nie była mu wierna. Spędziła wtedy kilka godzin, płacząc przy wejściu i błagając o wpuszczenie do środka. Jednak rozkaz był już wydany. Wtedy po raz ostatni znalazła się w pobliżu ojca.

Pod koniec 1982 roku tata sądził, że zagwarantował sobie już pozycję w kolumbijskiej polityce. Głęboko się mylił. Zakładał błędnie, że może handlować kokainą i jednocześnie uczestniczyć w życiu politycznym kraju. Następny rok miał mu pokazać, że aparat państwowy jest silniejszy od niego. A z tym ojciec nie potrafił się pogodzić.

---

31 Movimiento de Renovación Liberal.

32 Nuevo Liberalismo.

33 EPL (Ejército Popular de Liberación), Armia Wyzwolenia Ludowego — powstała w 1967 roku kolumbijska grupa partyzancka, ramię zbrojne marksistowsko-leninowskiej Kolumbijskiej Partii Komunistycznej.

34 PSOE (Partido Socialista Obrero Español) — Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza.

# Rozdział 12

# WOLIMY GRÓB W KOLUMBII

„Kim jest don Pablo, ten antioqueński Robin Hood, który budzi takie emocje pośród setek biedaków i przywołuje na ich twarze nagłą nadzieję, którą niełatwo wyjaśnić w tym ponurym środowisku?”

„Samo wspomnienie jego nazwiska powoduje całą serię sprzecznych reakcji, od żywiołowej radości po głęboki strach, od ogromnego podziwu po ostrożną pogardę. Dla nikogo jednak nazwisko Pabla Escobara nie pozostaje obojętne”.

Ten opis ojca został opublikowany 19 kwietnia 1983 roku na pierwszej stronie czasopisma „Semana”, które w tamtym czasie zdobywało pozycję najbardziej wpływowego w Kolumbii. Artykuł przedstawiał Pabla Escobara jako dobroczyńcę ubogich, a zarazem posiadacza trudnej do oszacowania fortuny o nieustalonym pochodzeniu.

— Kochanie, widzisz teraz, jak media kreują legendy? Obym rzeczywiście był Robin Hoodem i mógł zrobić więcej dobrego dla ubogich — stwierdził ojciec, komentując artykuł, który przez całe lata miał stanowić istotny punkt odniesienia, gdy o nim mówiono.

Następnego dnia, udzielając wywiadu dla lokalnego dziennika, tata odniósł się do artykułu i stwierdził, że „to dość interesujące porównanie, bo kto zna historię Robin Hooda, ten wie, że walczył w obronie ludu”.

W istocie artykuł w „Semanie” objawił światu istnienie mojego ojca akurat w momencie jego największej chwały. Był już multimilionerem.

Hacjenda Nápoles przybrała wymarzony przez niego kształt. Handel kokainą szedł pełną parą. Nie toczyły się przeciw niemu żadne procesy, którymi musiałby się martwić, a po sprawie z 1976 roku nie został już żaden ślad. Ponadto był kongresmanem i znał całą śmietankę polityczną kraju.

By dopełnić szczęścia, ukazały się wyniki ankiety, mówiące, że do najbardziej znanych publicznie osób zaliczają się: papież Jan Paweł II, prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan i on. Kiedy zasiadał do oglądania wiadomości telewizyjnych, pytał nas, co mówili o Reaganie, papieżu i o nim.

Pragnąc dobrze wywiązać się z parlamentarnych obowiązków, zabrał się za lekturę podręczników z ekonomii i pochłonął kilka dzieł laureata literackiej Nagrody Nobla Gabriela Garcíi Márqueza, na wypadek gdyby dziennikarze go o to pytali. Żeby być na bieżąco z wydarzeniami, zatrudnił osobę, która miała nagrywać wszystkie radiowe i telewizyjne wiadomości, a potem streszczać mu najważniejsze z nich.

Każdy inny byłby zadowolony, mając takie perspektywy. Ale nie ojciec, który akurat w dniu, gdy „Semana” przedstawiła go jako Robin Hooda, powziął straszliwy plan, którego celem była zemsta na partii Nowy Liberalizm za odsunięcie go od kampanii wyborczej do Kongresu.

Luis Carlos Galán miał życiorys bez zarzutu i niełatwo było zastawić na niego pułapkę, ale ojciec dowiedział się, że druga osoba w partii, senator z Huila Rodrigo Lara Bonilla, stanowi łatwiejszy cel.

I tak oto, zgodnie z instrukcjami ojca, jego stary znajomy, oskarżony niegdyś o handel narkotykami Evaristo Porras, miał udawać przedsiębiorcę zainteresowanego współpracą z ugrupowaniem Galána i wystarał się o prywatną audiencję u Lary. Dla pewniejszego efektu zasadzki ojciec kazał

Porrasowi położyć w jakimś dyskretnym miejscu dyktafon i zarejestrować przebieg spotkania.

Lara i Porras spotkali się w pokoju hotelu Hilton w Bogocie, tym samym, gdzie wiele lat wcześniej ojciec zatrzymał się jako uczestnik Copa Renault. Był wtorek 20 kwietnia 1983 roku. Rozmawiali przez ponad pół godziny. Na zakończenie mafioso zaproponował obiecaną pomoc finansową i wypisał na nazwisko Lary czek na milion pesos.

Zaraz po spotkaniu Porras poszedł do ojca i przedstawił mu szczegóły rozmowy z Larą. Mieli czek, ale kiedy chcieli odsłuchać nagranie, okazało się, że Porras źle nastawił dyktafon i nic nie było słychać.

Z takim asem w rękawie ojciec dalej brał udział w obradach Izby Reprezentantów, ale nie ulegało wątpliwości, że Galán i Lara są dla niego przeszkodą i że wcześniej czy później musi dojść do konfrontacji.

Przez następne tygodnie ojciec nie spoczął na laurach, lecz intensywnie działał, otwierając w Medellín boiska do piłki nożnej i inne obiekty sportowe zbudowane za jego pieniądze. 15 maja oddał inicjujący strzał podczas pierwszego meczu rozegranego na oczach dwunastu tysięcy widzów na boisku w dzielnicy Tejelo, na północnym wschodzie miasta. W czerwcu meczem pomiędzy rezerwowymi klubu Atlético Nacional a piłkarzami z dzielnicy otworzył w Moravii kolejne boisko.

Na wszystko w końcu przychodzi pora i tak oto na początku sierpnia 1983 roku prezydent Betancur wywołał pierwsze trzęsienie ziemi w środowisku ministerialnym swojego rządu, mianując Rodriga Larę Bonillę ministrem sprawiedliwości. Jak można się było spodziewać, energiczny urzędnik zaczął od wystąpień przeciwko kartelom narkotykowym, a w szczególności przeciwko ojcu i kilku innym *narcos*, nawet jeżeli nigdy nie wspominał, że to Medellín jest kolebką mafiosów

o ogromnej potędze ekonomicznej. Utrzymywał także, że w futbolu krąży dużo „gorącej” kasy zarobionej na handlu narkotykami.

Wobec takich oskarżeń ojciec zdecydował się przypuścić kontratak i poprzez Jairę Ortegę oraz innego deputowanego Ernesta Lucenę Quevedo (politycznego sprzymierzeńca Alberta Santofimio) wezwał ministra Larę do zorganizowania debaty na temat „gorących” pieniędzy.

Tak naprawdę zamierzali jednak ujawnić czek na milion pesos, który Lara dostał od Porrasa. Kilka minut po tym, jak minister wszedł do sali obrad, porozkładali kopie czeku na pulpitach posłów. Carlos Lehder przybył w większym towarzystwie i rozsiadł się w sektorze przeznaczonym dla prasy. Ojciec ulokował się z boku owalnej sali.

Zasadzka wpędziła Larę w niemałe tarapaty. Przez całą debatę robił wrażenie skonsternowanego i ostatecznie musiał przyznać, że przyjął czek.

W drodze powrotnej do Medellín, w czasie gdy rząd dokładał starań, by utrzymać na stanowisku swojego ministra, ojciec spotkał się w naszym domu z babcią Norą, która jak zwykle nie owijała w bawełnę.

— Synku, jak ktoś ma ogon ze słomy, nie powinien grzać się przy kominku.

— Niech się mama nie martwi, nic mi się nie stanie.

— Masz zakuty łeb i w ogóle nie myślisz o swojej rodzinie.

Tacie minister okropnie działał na nerwy, wściekał się, słuchając w wiadomościach telewizyjnych jego wypowiedzi skierowanych przeciw kartelom. Na każde zdanie Lary odpowiadał na głos, uderzając zarazem ręką w ekran.

Kilka razy po przyjściu do domu tata zastał mamę oglądającą wiadomości z przerażeniem na twarzy.

— Nie oglądaj tego — powiedział i wyłączył telewizor.

Pomimo pozornego sukcesu strategii pogrążenia ministra sprawiedliwości Lary, który z trudem utrzymał się na stanowisku, 25 sierpnia, tydzień po debacie, dziennik „El Espectador” miał zadać ojcu miażdżący cios.

Na pierwszej stronie podano do wiadomości, że w marcu 1976 roku ojciec został wraz z czterema innymi osobami zatrzymany z dziewiętnastoma funtami pasty kokainowej. Na nic się zdało to, że zapłacił za zniszczenie akt sprawy i kazał zabić agentów DAS, którzy prowadzili śledztwo. Archiwum bogotańskiej gazety ujawniło, że deputowany Escobar jest handlarzem narkotyków.

Ojciec wpadł w furię. Właśnie runął jego zamek z kart, poczuł się zdemaskowany. Był przekonany, że nie ma już akt jego sprawy karnej, ale zapomniał wyczyścić archiwum dziennika.

Od tego momentu zaczął knuć plan zabicia szefa gazety, najpierw jednak wysłał wszystkich swoich ludzi, żeby wykupili nakład, zanim dotrze do sprzedawców w Medellín. Udało mu się to. Ale mleko już się rozlało, bo inne media podjęły wiadomość z „El Espectadora” i nic nie przyniosło stanowcze oświadczenie taty, że jego pieniądze „nie są w żaden sposób powiązane z handlem narkotykami”. Przeciwnie niż sądził, próba wycofania numeru gazety z obiegu w Valle de Aburrá tylko podsyciła zainteresowanie opinii publicznej i mediów całego kraju.

Jeden z jego zaufanych ludzi opowiadał mi, że kiedy ojciec zobaczył swoje zdjęcie w gazecie, wściekłość wykrzywiła mu twarz i wyrzucał sobie, że bardzo rozczarował wyborców, którzy w niego uwierzyli.

Zazwyczaj tata działał z wielkim opanowaniem, spokojnie obmyślał przestępstwa i nigdy nie widziano, by tracił nad sobą kontrolę, nawet w najgorszych momentach nie przeklinał. Jednak tamtego dnia obarczył Guillerma Cano odpowiedzialnością za swoją polityczną klęskę.

Po raz pierwszy znalazł się na rozdrożu. W odruchu obronnym oskarżył Larę o pomówienie i zażądał dowodów świadczących o jego powiązaniach z narkobiznesem. Ponadto wezwał dziennikarzy do Kongresu, gdzie pokazał im, że ma ważną wizę do Stanów Zjednoczonych.

W pierwszych dniach września, w czasie gdy opinia publiczna zajmowała się debatą dotyczącą „gorących" pieniędzy, mama przekazała nam dobrą wiadomość: po sześciu latach starań, trzech poronieniach i jednej ciąży pozamacicznej oczekiwała dziecka.

W tym samym czasie kilka brukowców zamieściło artykuły, w których pisano o związku ojca z prezenterką Virginią Vallejo. W którymś tekście zapewniali nawet, że para wkrótce weźmie ślub. Rozwścieczyło to mamę, która pokłóciła się z ojcem. Tata wyprowadził się z domu na dwadzieścia dni. Potem jednak znów do niej zadzwonił.

— Kochanie, chcę, żebyś wiedziała, że jesteś dla mnie bardzo ważna, tylko ciebie kocham. Problem w tym, że dziennikarze, gazety i różni ludzie nam zazdroszczą. Chcą zniszczyć nasze małżeństwo. Pozwól mi wrócić i na zawsze zostać u twego boku — powtórzył kilka razy i zaraz wysłał jej kwiaty z bilecikiem, na którym widniało jedno zdanie: „Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie, nie zamienię cię na nikogo innego".

Mama odbierała jego telefony, ale niezmiennie odpowiadała, żeby się o nią nie martwił, ostatecznie nie będzie przecież pierwszą samotną matką. I prosiła go, żeby poszedł swoją drogą, a ona swoją. Jednak on się nie poddawał i pewnego niedzielnego wieczoru zjawił się niespodziewanie ze zgnębioną miną, a mama nie miała serca go wyrzucić. Pozwoliła mu wrócić do domu.

Jednak raz puszczona w ruch karuzela złych wiadomości nie chciała się zatrzymać. Skandal wokół ojca, zamiast słabnąć, rozrastał się coraz bardziej. Sędzia okręgowy w Medellín Gustavo Zuluaga ponownie

rozpoczął dochodzenie w sprawie śmierci agentów DAS, którzy zatrzymali tatę pięć lat wcześniej, a Ambasada Stanów Zjednoczonych cofnęła mu wizę. Jakby tego było mało, 26 października na posiedzeniu plenarnym Izby Reprezentantów pozbawiono go immunitetu poselskiego.

Choć konstrukcja wzniesiona przez ojca chwiała się w posadach, dokładał wszelkich starań, by utrzymać spokój i porządek wewnątrz rodziny. Nie ciążyły na nim jeszcze żadne sądowe zarzuty, więc na sylwestra w 1983 roku pojechaliśmy wszyscy do Nápoles.

Z powodu zszarganej reputacji i utraty miejsca w Izbie 20 stycznia 1984 roku ojciec postanowił na zawsze wycofać się z polityki. W tym celu napisał list otwarty, w którym ostro skrytykował polityków: „Nie ustanę w szczerej walce przeciw niesprawiedliwości i oligarchom, przeciwko pozostającym na ich usługach politykom, których działania są jedną wielką kpiną z narodu, przeciw politykierom nieczułym na cierpienie ludu i karierowiczom zawsze pierwszym przy podziale biurokratycznych łupów”.

Ojciec samodzielnie napisał list, a potem dał go do przejrzenia zaufanemu przyjacielowi o ksywce „Neruda”, który pomagał mu redagować przemówienia i oświadczenia dla prasy.

Opuszczenie polityki tylnymi drzwiami bardzo bolało tatę, bo zawsze był przekonany, że miejsce w Kongresie pozwoli mu pomóc ubogim. Następne tygodnie spędziliśmy w Nápoles, gdzie wrócił do swoich dawnych zajęć związanych z handlem narkotykami.

Nie wziął jednak pod uwagę tego, że minister sprawiedliwości, teraz ramię w ramię z Policją ds. Zwalczania Narkotyków i DEA, robił, co mógł, by zaszkodzić mafijnej strukturze, która stała się tak potężna, że mogła przejąć władzę nad krajem.

W poniedziałek 12 marca 1984 roku rano ojciec usłyszał w radio wiadomość o potężnym ciosie zadanym narkobiznesowi w dżungli Yarí, na południu departamentu Caquetá, gdzie przypuszczono szturm na ośrodek produkcji kokainy znany jako Tranquilandia.

Minister Lara i kierujący operacją pułkownik policji Jaime Ramírez poinformowali, że kartel w Medellín wybudował w tym miejscu liczne laboratoria, w których na dużą skalę poddawał obróbce pastę kokainową. Chodziło zatem o to, że mafia zdołała skupić w jednym miejscu wszystkie fazy produkcji.

Tranquilandia miała własny pas startowy długości tysiąca pięciuset metrów, na którym panował ruch dwadzieścia cztery godziny na dobę, i agregat prądotwórczy zapewniający energię elektryczną „kuchniom", gdzie obróbce poddawano pastę kokainową. W praktyce istniał tam most powietrzny — duże samoloty dowoziły surowce, a inne w tym samym czasie wylatywały załadowane po brzegi już zapakowaną kokainą. W Tranquilandii mieszkało około pięćdziesięciu osób, z których dwadzieścia siedem zatrzymano i przewieziono do miasta Villavicencio.

Nigdy nie rozmawiałem z ojcem na ten temat i całe lata sądziłem, że to on, Gustavo Gaviria i „Meksykanin" wybudowali kompleks laboratoriów w selwie. Nawet w 2009 roku w filmie dokumentalnym *Grzechy mojego ojca*, w którym wystąpiłem, pokazano materiały dotyczące przejęcia Tranquilandii, wskazując na ojca i „Meksykanina" jako właścicieli tej narkofortecy.

W wyniku rozmów, jakie przeprowadziłem z wieloma osobami, które współpracowały wtedy z ojcem, doszedłem do wniosku, że ani on, ani Gustavo czy „Meksykanin" nie mieli nic wspólnego z Tranquilandią. Dlaczego? Tata miał już dosyć laboratoriów i „kuchni", w których przetwarzano pastę kokainową, ponieważ dochodziło w nich do wypadków,

a sprowadzanie surowców stawało się coraz droższe. Ośrodek w dżungli należał zatem do innych *narcos.* Ci mieli jakieś interesy z ojcem, dlatego rząd ogłosił, że Tranquilandia stanowiła własność kartelu z Medellín.

Wytwórnia ta została zlikwidowana, natomiast pewien epizod, do którego doszło w innym laboratorium wytwarzającym kokainę w Magdalena Medio (należącym do „Meksykanina"), stał się przyczyną długiej i krwawej wojny — wojny pomiędzy „Meksykaninem" i FARC, która potem przekształciła się w prześladowania ze strony grup paramilitarnych wymierzone w Unię Patriotyczną (UP) — formację polityczną powstałą w czasie rokowań pokojowych między rządem Betancura a FARC.

Historia konfliktu zaczęła się od tego, że oddział bojowników FARC ukradł trzydzieści kilogramów już przetworzonej kokainy i zamordował strażnika, prostego człowieka, który, jak się okazało, był kuzynem „Meksykanina". *Capo* przywiózł krewniaka do pracy z jego rodzinnych stron, z miejscowości Pacho na północy departamentu Cundinamarca. Ojciec kiedyś wspomniał, że tam gdzie Gonzalo Rodríguez ma choćby kilogram koki, na straży stoi z pewnością jakiś jego ziomek z Pacho.

„Meksykanin" nie darował zniewagi i wypowiedział wojnę FARC. W całym kraju. Tam, gdzie tylko działała *guerrilla*, organizował niewielkie oddziały zbrojne. Nie miało dla niego znaczenia, ile pieniędzy na to wyda. W ten sposób narodził się ruch paramilitarny finansowany przez kartele, do których później przyłączyli się przedsiębiorcy i hodowcy zmęczeni wymuszeniami i porwaniami.

Ojciec kilka razy próbował przekonać „Meksykanina", żeby zakończył konfrontację z FARC, argumentując, że lepiej skupić się na interesach. Uważał, że *narcos* i *guerrilleros* mogą funkcjonować obok siebie, nie

wchodząc sobie w drogę i szanując swoje terytoria. Ale Rodríguez Gacha, podobnie jak ojciec, nie miał w zwyczaju słuchać niczyich rad.

— Powiedz im, że jesteś panem terenu odtąd dotąd, i uprzedź, żeby się tam nie pokazywali. A gdzie indziej niech sobie robią, co im się spodoba — powiedział kiedyś do „Meksykanina", ale ten nie zwrócił na niego uwagi.

W późniejszym czasie Carlos Castaño miał stać się dla „Meksykanina" idealnym kompanem w wielu akcjach, bo obaj przyjęli za cel zlikwidowanie kolumbijskiej lewicy, nieważne jakim sposobem.

Militarna potęga „Meksykanina" była imponująca. Osiągnęła takie rozmiary, że ojciec wolał odwiedzać go w jego posiadłości w Pacho, bo ilekroć tamten przyjeżdżał z wizytą do Nápoles, towarzyszyło mu przynajmniej dwustu uzbrojonych ludzi. Ich przemieszczanie się było dość skomplikowane i tata czuł, że ściąga to niepotrzebną uwagę na naszą hacjendę. Raz zaprosił Gachę, prosząc go, by nie zabierał ze sobą tak wielkiej obstawy. W odpowiedzi usłyszał:

— Bracie, nie proś o to, bo ja bez nich nigdzie się nie ruszam.

W czasie gdy „Meksykanina" zajmowała walka z FARC, ojciec zdecydował, że powinien położyć kres prowokacjom ministra sprawiedliwości, który coraz bardziej wzmagał swoje oskarżenia i ataki. Podobno, gdy zrozumiał, że urzędnik nie przestanie go nękać, rozkazał go zlikwidować.

Wpadł na pomysł, by zamachu dokonać z karetki. Wykonanie akcji powierzył „Pininie", „Pukawie", „Yuce", „Ottowi" i „Rondlowi". Znaleźli odpowiedni samochód, który przerobili na swoje potrzeby w blacharni, montując dodatkowe warstwy metalu dla ochrony przed kulami. Ponadto z każdego boku zrobili po cztery otwory strzelnicze. Na koniec pomalowali auto barwami Czerwonego Krzyża.

— Ściągniemy burzę na swoją głowę, ale trudno. Nie odpuszczę mu — oświadczył ojciec swoim ludziom, kiedy plan ataku na Larę był już gotowy.

Rodzina Lary uparcie twierdziła, że Pablo Escobar wielokrotnie groził ministrowi przez telefon i posyłał za nim ludzi, którzy go śledzili, ale ojciec był przeciwnikiem ostrzeżeń. Uważał, że zastraszanie przełoży się na wzmożenie procedur bezpieczeństwa. Minister podpadł także wielu innym *narcos* i każdy groził mu na własną odpowiedzialność, nie pytając innych o pozwolenie.

*Sicarios* pojechali do Bogoty, zakwaterowali się osobno w obskurnych hotelach w centrum i zaczęli śledzić urzędnika. Po kilku dniach wiedzieli już, że Lara jeździ nieopancerzonym mercedesem w eskorcie dwóch furgonetek, z których w każdej znajduje się po czterech funkcjonariuszy DAS. Ustalili również trasy, jakimi porusza się kierowca, żeby przejechać z ministerstwa do domu urzędnika na północy Bogoty i z powrotem.

W połowie kwietnia 1984 roku plan zabójstwa był gotowy, a mordercy czekali tylko na sposobność, by wprowadzić go w czyn. Podjęli trzy próby zamachu, jednak wszystkie zakończyły się fiaskiem, bo mieli słabego kierowcę. Dowiedziawszy się o tym, ojciec uznał, że operacja jest zagrożona, i nakazał przemalować samochód na auto dostawcy kwiatów. Udoskonalił plan i polecił zasilić grupę dwoma zabójcami na motorze.

„Pinina” wziął na siebie znalezienie dwóch „chłopców”. Wybrał się w tym celu do swojej dawnej dzielnicy Lovaina, na północnym wschodzie Medellín, ówczesnej wylęgarni zabójców i jednego z najbardziej niebezpiecznych rejonów miasta. Tam zatrudnił Byrona Velásqueza Arenasa i Ivána Daría Guisao, jednak nie powiedział im, że zlecenie polega na zabiciu ministra, a jedynie że chodzi o ważną osobistość poruszającą się białym samochodem.

— Kolego, jeśli chcesz zgarnąć dobrą kasę, to jest większa robótka do wzięcia. W Bogocie. — Tak podobno wyglądała rekrutacja w wykonaniu „Pininy”, który wówczas cieszył się już reputacją jednego z najgroźniejszych bandytów ojca.

Któregoś dnia, w oczekiwaniu na wyjście Lary, zabójcy zaparkowali furgonetkę z kwiaciarni tuż obok ministerstwa. W pewnym momencie niczego niepodejrzewający ochroniarze urzędnika oparli się o bok ich samochodu, nie mając pojęcia, że w środku siedzą *sicarios* uzbrojeni w karabiny AR-15.

Wreszcie, wieczorem 30 kwietnia 1984 roku, fałszywa furgonetka kwiaciarza z czterema osobami w środku, nie licząc kierowcy i pomocnika oraz Velásqueza i Guisao na motocyklu, wyjechała na spotkanie Lary, który jak zwykle wyszedł ze swojego biura i kierował się do domu na północy Bogoty. Wiele lat później zabójcy opowiadali, że według ich planu furgonetka miała zajechać drogę samochodowi ministra i ostrzelać go przez otwory w bokach auta. Zakładali, że motor zostanie z tyłu, żeby zająć się ministerialną obstawą.

Jednak natężony ruch uliczny zmusił ich do zmiany planu, bo nagle furgonetka utknęła w korku i tylko motor utrzymał się za ściganym pojazdem.

Nie zastanawiając się długo, Guisao, który jechał na tylnym siedzeniu uzbrojony w karabin maszynowy mini uzi kaliber .45 powiedział do Byrona, by nie przerywali akcji, bo we dwóch mogą bez problemu wypełnić zlecenie i zabić mężczyznę z białego mercedesa.

Tak też się stało. Na wysokości 127 ulicy motocykl zdołał podjechać do prawego okna pojazdu i w tym momencie Guisao oddał serię, która zabiła wysokiego urzędnika państwowego. Była godzina siódma trzydzieści pięć po południu.

Zgodnie z zaleceniem ojca po zakończeniu „roboty” żaden z zabójców nie powinien się kontaktować z innymi. Wiedzieli, w jakim punkcie Bogoty mają się spotkać, by natychmiast wyjechać do Medellín.

Tego wieczoru przebywałem w Altos u babci Nory. Podszedłem zobaczyć, co się dzieje, bo babcia z mamą siedziały przed telewizorem, obejmując się i płacząc. Powtarzały, że właśnie stało się coś bardzo smutnego i poważnego.

Po zbrodni nastąpiła zaimprowizowana ucieczka. Po raz pierwszy rząd wypowiedział wojnę handlarzom narkotyków: zaczął ścigać *capos*, konfiskować ich majątki i poddawać ekstradycji do Stanów Zjednoczonych.

Po obejrzeniu wiadomości postanowiliśmy z mamą (w ósmym miesiącu ciąży) ukryć się w domu dalekiego krewnego, gdzie zostaliśmy przez dwa tygodnie, póki tata po nas nie przysłał.

W tym czasie ojciec i kilku *sicarios* biorących udział w zabójstwie Lary (pośród nich „Pinina” i „Otto”) udali się wcześnie rano do La Tablaza w gminie La Estrella, skąd zabrał ich helikopter, którym polecieli do Panamy. W tym samym czasie z miejsca znanego jako „skrót do Caldas” inny helikopter zabrał rodzinę Gustava Gavirii. Jednak tej maszynie podczas lotu pękł zbiornik z benzyną i musiała awaryjnie wylądować w dżungli daleko od granicy z Panamą. Błąkali się zagubieni przez kilka dni, póki wreszcie nie trafili na jakieś domostwo, gdzie udzielono im pomocy.

Wkrótce zjawił się u nas posłaniec od taty i zapowiedział, że następnego dnia z odległej plantacji trzciny cukrowej w gminie La Estrella zabierze nas helikopter. Tamtej nocy mama spakowała małą walizkę, do której włożyła parę sztuk odzieży dla siebie i dla mnie. Zabrała także ubrania dla braciszka, bo byli z tatą przekonani, że urodzi się kolejny chłopiec. Następnego dnia, po przybyciu w wyznaczone miejsce, przedstawiono nam

lekarza, który miał lecieć z nami. Zabrał ze sobą sprzęt chirurgiczny na wypadek, gdyby poród mamy nastąpił przed czasem.

Dwie i pół godziny później pilot wylądował bez przeszkód na polanie w selwie, gdzie czekała na nas furgonetka. Byliśmy na granicy z Panamą. Przebraliśmy się tam w odzież plażową, by nie budzić podejrzeń, i natychmiast skierowaliśmy się do stolicy Panamy, do mieszkania przyjaciela ojca, gdzie przez pierwsze trzy noce spaliśmy na materacach.

Tam dowiedzieliśmy się, że morderstwo Lary spowodowało chaotyczną ucieczkę najważniejszych *capos* narkobiznesu z Kolumbii i że w Panamie znajdowali się już prócz ojca i Gustava Gavirii Carlos Lehder, bracia Ochoa i bracia Rodríguez Orejuela — szefowie kartelu z Cali.

Z mieszkania, w którym początkowo się zatrzymaliśmy, przenieśliśmy się do wiekowego, wilgotnego i gorącego domu na starym mieście. Panowały w nim straszne warunki: kabinę prysznicową porastał grzyb, woda nie chciała spływać z brodzika i trzeba było się kąpać w klapkach. Ponadto z ostrożności przez pierwszy tydzień na wszelki wypadek jedliśmy tylko kurczaka z KFC, którego ojciec kazał przynosić jednemu z chłopaków.

Któregoś dnia mama skontaktowała się z ginekologiem z Panamy, który przyszedł do domu ją zbadać. Po rutynowym badaniu specjalista zaskoczył nas wiadomością, że urodzi się dziewczynka. Mimo to mama pozostała pełna wątpliwości, bo wcześniej w Medellín mówiono jej, że nosi chłopca. Tatę uszczęśliwiła ta niespodzianka.

Zaczęliśmy się zastanawiać nad imieniem dla siostry. Zaproponowałem Manuelę na pamiątkę mojej pierwszej dziewczyny, koleżanki ze szkoły Montessori, gdzie uczyłem się przez jakiś czas, zanim musiałem z tego zrezygnować z powodu konieczności życia w ukryciu.

— Będziesz się tłumaczył przed siostrą, jak dorośnie, jeśli nie spodoba jej się to imię — stwierdził ojciec, zgadzając się na moją propozycję.

Dwudziestego drugiego maja, trzy dni przed narodzinami siostry, przenieśliśmy się do innego domu, tym razem wygodnego i luksusowego, należącego do bardzo wpływowego człowieka, generała Manuela Antonia Noriegi.

Choć bardzo rzadko widywaliśmy ojca, wyglądało na to, że sytuacja się poprawia, bo Noriega wysłał paru policjantów, żeby na zmianę pełnili wartę, i mogliśmy mieć nieco więcej swobody.

W tamtym okresie tata podarował mi hondę 50 ccm, ale ponieważ nie miał mi kto dotrzymywać towarzystwa, kiedy na niej jeździłem, wezwał „Kolczyka” (jednego ze swoich ludzi, którzy znajdowali się w Medellín), żeby przyjechał do miasta Panama. Od tej pory „Kolczyk” w białym stroju codziennie rano uprawiał jogging, a ja obok jeździłem na motorze.

Kilka lat później podczas długiej rozmowy zapytałem ojca, na czym tak naprawdę polegały związki kartelu z Medellín z generałem Noriegą.

Powiedział mi, że to długa historia, która zaczęła się w 1981 roku, kiedy poznał Noriegę i dał mu pięć milionów dolarów w gotówce w zamian za pozwolenie założenia kilku „kuchni” do przetwarzania pasty kokainowej w panamskim Darién i ułatwienie prania dolarów w bankach. Noriega obiecał, że „pozwoli mu pracować” bez przeszkód, zaznaczając, że nie będzie wspólnikiem w handlu kokainą.

Nie dotrzymał jednak tej obietnicy i kilka miesięcy po otrzymaniu pieniędzy, gdy działało już kilka laboratoriów, zorganizował akcję wojskową, podczas której zniszczył „kuchnie”, zatrzymał około trzydziestu osób, a na koniec skonfiskował learjeta i helikopter ojca.

Tata wpadł wtedy we wściekłość i wysłał do Noriegi list z pogróżkami, żądając zwrotu pieniędzy i grożąc w przeciwnym razie śmiercią. Generał

chyba się przestraszył, bo niemal natychmiast oddał dwa miliony dolarów, zostawiając sobie trzy.

Choć stosunki między nimi się ochłodziły, w ramach rekompensaty za wcześniejsze szkody po śmierci Lary Noriega zgodził się przyjąć ojca i pozostałych mafiosów w Panamie. W ten sposób znaleźliśmy się w jednym z jego domów. Tata jednak nie miał zaufania do panamskiego wojskowego, dlatego nasz pobyt tam nie mógł trwać zbyt długo.

Ojciec liczył na to, że zaplanowane na maj tego roku wybory w Panamie dadzą mu sposobność rozwiązania kryzysu rozpętanego w Kolumbii w wyniku zabójstwa ministra sprawiedliwości. Wtedy media podały do wiadomości, że funkcję zewnętrznych inspektorów nadzorujących przebieg wyborów prezydenckich powierzono byłemu prezydentowi Alfonsowi Lópezowi Michelsenowi i byłym ministrom Jaime Castro, Faliowi Andrade i Gustavowi Balcázarowi.

Tata zadzwonił do Medellín do Santiaga Londoño White'a, który dwa lata wcześniej był skarbnikiem kampanii wyborczej Lópeza, i poprosił go, by zaaranżował spotkanie z politykiem w czasie jego pobytu w stolicy Panamy. Zasugerował mu, by dla ułatwienia skorzystał z pośrednictwa Felipe, syna byłego prezydenta i właściciela czasopisma „Semana", prosząc go, aby skontaktował się z ojcem i przekazał mu propozycję. Londoño wykonał kilka telefonów i krótko potem były prezydent López zgodził się na spotkanie z tatą i Jorge Luisem Ochoą w hotelu Marriot.

Na kilka godzin przed wyjściem ojciec zawiadomił mamę, dokąd się wybiera, ale nie wdawał się w szczegóły.

— Tata — tak zwracaliśmy się do mamy — jedziemy na rozmowę z byłym prezydentem Lópezem. Zobaczymy, co da się zrobić.

Podczas spotkania z Lópezem Michelsenem w 1984 roku ojciec i Jorge Luis oświadczyli, że handlarze narkotyków gotowi są przekazać pasy

startowe, laboratoria, park samolotowy, ujawnić szlaki do Stanów Zjednoczonych i wykarczować nielegalne uprawy, innymi słowy, skończyć z narkobiznesem w zamian za złagodzenie kar więzienia (jeżeli wymiar sprawiedliwości uzna ich za winnych), a co najważniejsze — zakaz ekstradycji od chwili podpisania porozumienia. López wysłuchał propozycji i zobowiązał się, że znajdzie sposób, aby przekazać ją rządowi.

Po powrocie do domu tata ograniczył się do stwierdzenia:

— Były prezydent López porozmawia z rządem. Są szanse na negocjacje.

Wkrótce ojciec dowiedział się, że były prezydent pojechał z Panamy do Miami na rozmowę z byłym ministrem komunikacji Bernardem Ramírezem, bliskim przyjacielem prezydenta Betancura, i przekazał mu wszystkie szczegóły spotkania. Propozycja nie trafiła w próżnię, bo rząd poprosił prokuratora generalnego, Carlosa Jiméneza Gómeza, by wysłuchał mafiosów w mieście Panama.

W czasie gdy prokurator ustalał datę przyjazdu, 25 maja urodziła się moja siostra Manuela. Tata, Gustavo Gaviria i ja byliśmy w domu Noriegi, gdy odebraliśmy telefon z wiadomością, że poród się zaczął. Ojciec wskoczył do auta i gnał na złamanie karku do szpitala, gdzie kazano nam zostać w poczekalni. Tata się denerwował, a Gustavo podnosił go na duchu. Czas dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie wyszedł lekarz, pogratulował ojcu wspaniałej córki, powiedział, że obie czują się dobrze, i pozwolił nam do nich zajrzeć. Udaliśmy się do windy. Pamiętam nasze zaskoczenie na widok pielęgniarki niosącej noworodka z bransoletką podpisaną: Manuela Escobar. Tacie twarz się rozjaśniła na widok córki. Potem poszliśmy uściskać bardzo bladą i obolałą mamę. Korzystając z okazji, Gustavo zrobił zdjęcie wszystkim czterem członkom rodziny.

Następnego dnia, 26 maja, przyjechał prokurator Jiménez Gómez i doszło do spotkania w hotelu Marriot. Ojciec i Jorge Luis Ochoa powtórzyli propozycję złożoną Lópezowi. Na zakończenie rozmowy wysoki urzędnik zobowiązał się przekazać ją prezydentowi Betancurowi. Jednak plan spalił na panewce, bo kilka dni później dziennik „El Tiempo" ujawnił, że w Panamie doszło do spotkania.

Tak naprawdę po raz pierwszy i ostatni Kolumbia miała wtedy w zasięgu ręki możliwość zlikwidowania dziewięćdziesięciu pięciu procent narkobiznesu. Jednak przeciek dotyczący kontaktów na linii rząd–mafia zniweczył tę szansę.

Parę dni później, w pierwszym tygodniu czerwca, gdy stało się jasne, że nie ma najmniejszej nadziei na pertraktacje z rządem, ojciec przyszedł zdenerwowany i powiedział, że musimy natychmiast opuścić dom, w którym mieszkamy.

— Nie damy rady uciekać z małą. Tata, ty nie możesz ani zostać tutaj, ani wrócić do Kolumbii. Jedyne wyjście to wysłać Manuelę do Medellín. Tam się nią zajmą. Nam być może przyjdzie nocować w selwie albo nad jeziorem. Nie wiadomo, czy będziemy mieli dostęp do jedzenia dla dziecka. Nie mamy wyboru, nie zdołamy uciekać z niemowlęciem na ręku, jeśli trzeba będzie szybko przenieść się w inne miejsce.

Dla mamy porzucenie maleńkiej córeczki, która urodziła się ledwie dwa tygodnie wcześniej, stanowiło prawdziwy cios. Ja byłem już starszy (miałem siedem lat), więc rodzice nie rozważali możliwości wysłania mnie z powrotem do Kolumbii, bo ojciec uznał, że przy nim będę bezpieczniejszy.

Zgnębiona mama rzewnie płakała, przekazując córeczkę w ręce Olgi, pielęgniarki, która miała pojechać do Medellín z zaufanym człowiekiem ojca.

Skąd wzięła się nagła determinacja ojca, żebyśmy natychmiast wyjechali z Panamy, i to tak silna, że zdecydował się odesłać swoją dwutygodniową córkę do Kolumbii? Kiedy zapytałem go o to, powiedział mi, że przeciek dotyczący spotkania z Lópezem i prokuratorem zdemaskował ich w Kolumbii i Stanach Zjednoczonych. Obawiał się, że zaczną ich szukać i aresztują. Poza tym nie chciał ryzykować, że Noriega znów go zdradzi.

Nowa sytuacja skłoniła ojca do opracowania planu B. Odnowił dawne kontakty z M-19 w Medellín, z czasów porwania Marthy Nieves Ochoa. Ojciec wiedział, że grupa kolumbijskiej lewicowej *guerrilli* ma podobną linię ideologiczną i polityczną jak nowy reżim sandinistowski w Nikaragui, dlatego poprosił ich, by zbadali, czy istnieje dla niego szansa na osiedlenie się w tym kraju.

Po kilku dniach otrzymał wiadomość od M-19. Wynikało z niej, że pewni członkowie junty rządowej w Nikaragui gotowi są przyjąć jego, a także innych *capos* wraz z rodzinami w zamian za pomoc finansową pozwalającą stawić czoło embargu narzuconemu przez Stany Zjednoczone. Porozumienie obejmowało możliwość korzystania z określonych rejonów kraju jako platformy do dalszego handlu kokainą.

Tata wspomniał, że Daniel Ortega, ówczesny kandydat na prezydenta Nikaragui z ramienia Sandinistowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FSLN), wysłał kilku ludzi, żeby pomogli im się urządzić w stolicy kraju, Managui.

W Nikaragui tata znalazł możliwość zmiany miejsca pracy i zamieszkania. Upewniwszy się więc, że Manuela jest bezpieczna w Medellín, mama, ojciec i ja polecieliśmy tam liniowym samolotem. Na lotnisku powitali nas urzędnicy wysokiego szczebla reżimu sandinistowskiego, którzy zawieźli nas służbowym mercedesem do ogromnego starego domu. Przebywał w nim już „Meksykanin”, jego żona

Gladys i czterech ochroniarzy. Niedługo potem dojechała babcia Hermilda z ciocią Albą Mariną. Niemal natychmiast ojciec sprowadził nam do ochrony „Pininę”, „Paskina” i tuzin innych zbirów, których pseudonimów już nie pamiętam.

W pierwszej chwili dom zrobił na nas nieprzyjemne wrażenie. Był mroczny i ponury. Murowane ściany miały po trzy metry wysokości, a na każdym rogu wznosiły się wieże strażnicze z nieustannie czuwającymi w nich uzbrojonymi wartownikami. Znaleźliśmy książkę opowiadającą o historii tego miejsca i jeśli jej wierzyć, w przeszłości rozegrały się w tych murach liczne masakry. Jedzenia nie brakowało, lecz nie wiedzieliśmy, kto uzupełnia zapasy, choć można się było domyślić, że rząd powierzył komuś dbanie o to, by nasze lodówki były pełne.

Codzienność w tym kraju wydawała nam się nieznośna, Managua nie nadawała się do normalnego życia. Panowała tam wojna domowa w związku z atakami *contras* wysyłanych przez Stany Zjednoczone przez granice z Kostaryką i Hondurasem, by walczyli przeciw sandinistom, którzy w 1979 roku obalili rząd wojskowy Anastasia Somozy. Miasto było oblężone, a ślady konfrontacji widoczne w zrujnowanych budynkach, pozamykanych sklepach i firmach. Próżno by tam szukać targu czy drogerii. Często było słychać odgłosy wystrzałów.

Ojciec miał miliardy dolarów, ale nie było na co ich wydawać.

Pamiętam, że przez większą część czasu w ogóle się nie odzywałem, często płakałem. Błagałem rodziców, żebyśmy wrócili przynajmniej do Panamy. W Managui nie było żadnych sklepów z zabawkami, a podczas pospiesznego wyjazdu zostawiłem w poprzednim domu motor i inne rzeczy, którymi się bawiłem.

Moją jedyną rozrywką było dotrzymywanie towarzystwa mamie i żonie „Meksykanina” w salonie masażu koło domu, słuchanie z „Pininą”

transmisji meczów piłki nożnej w Kolumbii, które puszczali nam przez radiotelefon z Medellín, i zakłady o to, kto zabije więcej much w ciągu pięciu minut w jednym pokoju pełnym tych owadów. Nic ponadto.

— Przez trzy miesiące zobaczyłam tylko jedną fotografię córki — ubolewała mama, bo choć wujek Mario codziennie robił Manueli zdjęcia, nie mógł ich wysyłać ze względu na presję ze strony władz.

Męczyła nas ta codzienność, a tymczasem ojciec, „Meksykanin", dwóch miejscowych wojskowych i Barry Seal (który przyłączył się już do grupy) podróżowali w różne rejony Nikaragui, opracowując nowe szlaki przerzutu kokainy. Przez wiele dni oblatywali helikopterem nikaraguańskiej armii jeziora i zatoki oraz przecinające kraj wzgórza wulkaniczne, próbując znaleźć odpowiednie miejsca do budowy laboratoriów i pasów startowych.

Ponieważ mogło to zająć trochę czasu, zdecydowali się wykorzystać małe lotnisko Los Brasiles, położone w pobliżu Managui, które miało posłużyć do wysłania pierwszych partii kokainy bezpośrednimi lotami na południe Florydy.

Pierwszy transport złożony z sześciuset kilogramów kokainy zapakowanej w duże brezentowe worki przewidziany był na noc w poniedziałek 25 czerwca 1984 roku, a polecieć miał samolotem pilotowanym przez samego Seala. Ani ojciec, ani „Meksykanin" nie zorientowali się, że wpadli w zasadzkę, bo w czasie gdy oni z funkcjonariuszem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Nikaragui Federikiem Vaughanem czekali, aż towar trafi na pokład, Seal robił im zdjęcia. Można na nich zobaczyć nikaraguańskich żołnierzy pomagających w załadunku.

Samolot wystartował bez przeszkód, a w czasie gdy donosiciel leciał, żeby przekazać towar i zdjęcia, ojciec z „Meksykaninem" kontynuowali swą zwykłą działalność, nie przeczuwając nawet, że zbliża się katastrofa.

Wciąż skarżyłem się na nudę, ale tata nie zgadzał się na powrót, bo uważał, że nas zabiją. Wreszcie któregoś dnia ubłagałem go i bardzo niechętnie przystał na mój wyjazd z mamą. Miał już powyżej uszu mojego biadolenia. Mama obiecała mu, że w Medellín nie wyjdzie ani razu na ulicę, że będzie cały czas siedziała zamknięta w domu.

— Nie, Tata. Obiecamy mu, że z nim pojedziesz, żeby nie histeryzował. Ale potem na lotnisku powiemy mu, że musi lecieć sam. Towarzystwa dotrzyma mu mój zaufany człowiek, „Tibu”.

Tak właśnie zrobili. Gdy tuż przed odlotem dowiedziałem się, że mama ze mną nie jedzie, wpadłem w rozpacz, poczułem się opuszczony. Przytuliłem się do nich i nie chciałem puścić.

— Nie chcę jechać bez mamy — zawołałem z płaczem, ale tata, niewzruszony, obiecał, że ona dojedzie do mnie za parę dni.

Wiem od mamy, że po moim wyjeździe płakała przez cały dzień i całą noc. Czuła się fatalnie pozbawiona obojga dzieci, otoczona bandą uzbrojonych ludzi, zostawiona na pastwę losu w Nikaragui.

Pewnego dnia powiedziała w rozpaczy do taty:

— Pozwól mi spotkać się z siostrą w Panamie. Mogłaby nam przywieźć zdjęcia dzieci i opowiedzieć, co u nich.

— Dobrze, kochanie. Mam jeden warunek: obiecasz mi, że wrócisz tutaj po tej rozmowie.

Mama wyznała mi, że już w chwili, gdy składała tę obietnicę, była zdecydowana pojechać z Panamy do Medellín.

Ojciec zaczął do niej wydzwaniać do Panamy, by wypytać ją o Manuelę i o mnie. Wreszcie, na czwarty dzień, mama zebrała się na odwagę i powiedziała mu, że wraca do Kolumbii, by zająć się dziećmi.

— Wykluczone! Co ci przyszło do głowy!? Nawet o tym nie myśl. Wiesz przecież, że zaraz cię zabiją. Nie możesz popełnić takiego błędu.

— Nie, przysięgam, że zamknę się z mamą i w ogóle nie będę wychodzić. Mam przecież córeczkę, która mnie potrzebuje, a która od trzech miesięcy jest bez mamy.

Ostatecznie przestraszona przyleciała na lotnisko Olaya Herrera i pojechała prosto do budynku Altos, gdzie spotkała babcię Norę o trzydzieści kilogramów chudszą i pogrążoną w głębokiej depresji.

Spotkanie ze mną i Manuelą było bardzo wzruszające, nieustannie ją przytulałem. Jednak moja siostrzyczka prawie nie poznawała mamy i wybuchała płaczem, kiedy ta brała ją na ręce, bo była przyzwyczajona do pielęgniarki i babci.

Nasze życie w Medellín nie było proste, ale i tata w Managui otrzymał kolejny mocny cios.

W połowie lipca kilka gazet w Stanach Zjednoczonych opublikowało serię zdjęć, na których widać było ojca i „Meksykanina” wysyłających transport kokainy z Nikaragui. Ten dowód był bezsporny. Po raz pierwszy, a zarazem ostatni, przyłapano ojca na gorącym uczynku. Barry Seal go zdradził. Tata nigdy mu tego nie zapomniał.

Wyciek zdjęć do prasy wyrządził podwójną szkodę, demaskując działania ojca oraz obciążając lewicowy sandinistowski reżim winą za sprzymierzanie się z kolumbijską mafią. Wybuchł skandal, po którym tata nie mógł już dłużej przebywać w Nikaragui, i dwa tygodnie później wrócił wraz z „Meksykaninem” i całą swoją eskortą do Kolumbii.

Natychmiast po przyjeździe ojciec zaczął się ukrywać, co miało potrwać jeszcze długo. My dalej mieszkaliśmy z babcią Norą, a on czasami przysyłał po nas i spędzaliśmy wspólnie weekend.

Zdjęcia zrobione w Nikaragui wywarły piorunujący efekt, bo 19 lipca, zaledwie trzy tygodnie później, Herbert Shapiro, sędzia z Florydy na

południu Stanów Zjednoczonych, wystawił list gończy za tatą za współudział w imporcie kokainy do tego kraju.

Choć struktura stworzona przez ojca w celu przerzutu kokainy do Stanów Zjednoczonych ciągle działała, a on nadal był królem tego biznesu, nie mógł nie wiedzieć, że z prawnego punktu widzenia jego sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Czuł, że zapędzają go w ślepy zaułek, z którego nie ma wyjścia, i wcześniej czy później przyjdą go rozliczyć, zmuszając do samoobrony. Widmo ekstradycji zawisło nad nim, szargając mu nerwy.

Względny spokój, jaki zapanował przez chwilę, został nagle zakłócony telefonem od babci Hermildy, która zawiadomiła tatę, że kilku uzbrojonych mężczyzn porwało dziadka Abla z jego hacjendy w gminie La Ceja, na wschodzie Antioquii. Był 20 września 1984 roku.

Ojciec uspokoił rodzinę i dzięki doświadczeniu zdobytemu podczas porwania Marthy Nieves Ochoa rozpoczął ogromną akcję poszukiwawczą. Tym razem nie osiągnęła ona równie wielkiej skali, bo bardzo szybko ustalił, że dziadek został uprowadzony przez czterech pospolitych przestępców skuszonych pogłoskami o kolosalnej fortunie naszej rodziny.

Dwa dni później ojciec opłacił ogłoszenie w gazetach w Medellín, oferując nagrodę osobie, która dostarczy informacji o miejscu pobytu dziadka, i ujawnił, że porwania dokonano przy użyciu dwóch terenówek: czerwonej toyoty z brezentową plandeką i drewnianą skrzynią, o tablicach KD 9964, i drugiej z beżową kabiną, o numerze rejestracyjnym 0218. W ten sposób zamierzał uświadomić porywaczom, że depcze im po piętach.

Podobnie jak podczas poszukiwań Marthy Nieves Ochoa, ojciec wysłał setki osób do pilnowania budek telefonicznych w Medellín i zainstalował sprzęt do nagrywania rozmów telefonicznych w domu babci Hermildy. Strategia ta przyniosła efekty, bo dziesięć dni później znał już tożsamość porywaczy i miejsce, w którym trzymali dziadka przywiązanego do łóżka:

było to w gminie Liborina, na wschodzie Antioquii, o dziewięćdziesiąt kilometrów od Medellín. Wolał jednak poczekać, aż porywacze zażądają okupu i zapłacić go, by mieć pewność, że nie zrobią dziadkowi krzywdy.

Podczas pierwszej rozmowy telefonicznej przestępcy zażądali dziesięciu milionów dolarów. Ojciec odpowiedział:

— Porwaliście nieodpowiednią osobę, bo to ja mam kasę, a nie mój ojciec, który jest tylko ubogim rolnikiem. Negocjacje muszą więc przebiegać zupełnie inaczej. Pomyślcie nad jakąś realną kwotą, zadzwońcie, a wtedy pogadamy — oświadczył kategorycznie podniesionym głosem i rzucił słuchawką na znak, że choć mają jego ojca, to i tak on dyktuje warunki.

Minęło kilka dni, a ponieważ wiedzieli, że ojciec nie spoczął na laurach, woleli spuścić z tonu, poprzestając na czterdziestu milionach pesos, z których potem ostatecznie dostali trzydzieści.

Za pośrednictwem Johna Lady, ojca chrzestnego Manueli, ojciec przekazał tę kwotę w gotówce, a dziadek wrócił cały i zdrowy do domu. Porwanie trwało szesnaście dni. Czterej przestępcy na rozkaz ojca zostali odnalezieni kilka dni później.

Tymczasem teczka w prokuraturze dotycząca ojca coraz bardziej puchła: zatrzymano dziesięć osób, które w ten czy inny sposób zamieszane były w zabójstwo Lary. Sześciu innym, w tym „Pininie”, udało się uciec i ukrywali się razem z ojcem. W związku z tym właśnie przestępstwem sędzia Sądu Najwyższego w Bogocie, Tulio Manuel Castro Gil, wezwał tatę do sądu.

Te sądowe decyzje uruchomiły pod koniec grudnia 1984 roku pierwszą dużą akcję poszukiwawczą przeciw ojcu. Tamtego dnia znajdowaliśmy się w domku letniskowym w rejonie Guarne, w Antioquii, skąd cudem udało mu się zbiec. Miałem siedem lat i spałem, kiedy obudził mnie

funkcjonariusz F-2, wbijając mi lufę karabinu w żołądek. Pamiętam, że miałem założony na głowę eksperymentalny elastyczny aparat z plastiku, który obejmował głowę i żuchwę, zalecony przez lekarzy w celu korekty skrzywienia żuchwy, co sprawiało, że wyglądałem jak osoba z dziwacznymi problemami zdrowotnymi.

Zapytałem, gdzie jest tata. W tym momencie nadszedł policjant z jego białym ponchem.

— Patrzcie, co zgubili ci, którzy nam zwiali — powiedział tajny agent.

Z łatwością uciekł przed pierwszą obławą, ale niestety z czasem prześladowania miały się nasilać.

Sobota 5 stycznia 1985 roku okazała się dla ojca fatalnym dniem. Na początek zadzwonili z informacją, że tego ranka samolot Hercules należący do Kolumbijskich Sił Powietrznych wywiózł do Miami cztery osoby, na których ekstradycję zgodzili się prezydent Betancur i minister sprawiedliwości Enrique Parejo, który zastąpił Rodriga Larę. Chodziło o Hernána Botero Moreno (prezydenta klubu piłkarskiego Atlético Nacional), braci Nayiba i Saida Pabón Jatter i Marca Fidela Cadavida.

Ojciec wpadł w szał. Znał Botero z mediów, a także jako prezydenta Atlético Nacional. Uznał, że w tym wypadku ekstradycja jest niesprawiedliwa, ponieważ oskarżenie nie dotyczyło handlu narkotykami, lecz prania brudnych pieniędzy.

Bardziej jednak niż niesprawiedliwość zbulwersowało ojca to, co uznał za akt zdrady ze strony prezydenta Betancura, który zabrał się do wprowadzania w życie postanowień układu ze Stanami Zjednoczonymi. Choć w kampanii prezydenckiej nie zobowiązał się anulować paktu o ekstradycji, ojciec uważał, że polityk nie powinien zapominać, kto pomógł mu w dojściu do władzy.

Kierując się radykalizmem, który coraz częściej dochodził do głosu w jego postępowaniu, zadzwonił do Juana Carlosa Ospiny, „Wtyki”, oraz bandyty znanego jako „Ptaku” i zlecił im zamach na prezydenta Betancura z pomocą auta pułapki. Wielu bliskich współpracowników ojca opowiadało, że prezydent uratował się przynajmniej cztery razy, bo jego ochrona bardzo często zmieniała trasę przejazdu i nie zjawiali się w miejscu, gdzie czekały gotowe do odpalenia ładunki wybuchowe. Innym znów razem konwój przejechał koło bomby, ale stary detonator akurat się zaciął.

Zaczął się luty 1985 roku, a ojciec miał w głowie tylko widmo ekstradycji. Na nic zdały się dotychczasowe publiczne debaty i tajne zebrania mafiosów mające przestrzec wszystkich przed upokorzeniem, jakie stanowi poddanie się systemowi sądowniczemu innego kraju. Nie wątpił, że w Kolumbii zawsze jakoś zdoła wybrnąć ze swoich prawnych kłopotów, ale w Stanach Zjednoczonych za wszystko trzeba było zapłacić inną cenę.

W tamtym okresie ojciec utrzymywał kontakty z kilkoma liderami M-19, w tym z ich głównym komendantem Iványem Marino Ospiną, z którym dość często się spotykał i rozmawiał na różne tematy. Rozumieli się tak dobrze, że pewnego dnia *guerrillero* podarował mu całkiem nowy karabin AK-47 pochodzący z właśnie przybyłego transportu broni z Rosji. Karabin ten stał się nieodłącznym towarzyszem „Paskina”.

Po licznych dyskusjach prowadzonych przy różnych okazjach ojciec z Ospiną zgadzali się w wielu sprawach, a w szczególności byli głęboko przekonani, że pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić do ekstradycji.

Ospina niebawem miał zapłacić za tę zbieżność poglądów, gdyż pod koniec lutego na dziewiątym zjeździe lewicowych partyzantów w Los Robles, w gminie Corinto, w departamencie Cauca, pozbawiono go funkcji, zarzucając mu nadmierną skłonność do militarnych rozwiązań oraz

polityczną krótkowzroczność, w chwili gdy M-19 prowadziła trudne negocjacje z rządem Betancura, a ustalony w sierpniu 1984 roku rozejm wisiał na włosku.

Na decyzję wpłynęła także wypowiedź Ospiny podczas podróży do Meksyku, w której poparł represje kolumbijskich mafiosów przeciw obywatelom Stanów Zjednoczonych w sytuacji, gdy rząd zdecyduje się na ekstradycję Kolumbijczyków.

Dla ojca było jasne, że przez odsunięcie Ospiny liderzy M-19 chcieli wysłać publiczny przekaz skierowany przeciw narkobiznesowi, mimo że prywatnie utrzymywali z nim dobre relacje.

Pod koniec zjazdu w Los Robles M-19 zdecydowało o powrocie Ospiny na stanowisko zastępcy komendanta, a na jego poprzednie miejsce mianowano Fayada. Ten kontynuował dialog z rządem aż do czwartku 23 maja, kiedy to w Cali doszło do zamachu, który spowodował poważne obrażenia u członka kierownictwa powstańczej grupy, Antonia Navarro Wolffa.

Wiele powiedziano o tym ataku. Doszło do niego w kawiarni w dzielnicy El Peñón. Ktoś rzucił granatem w kierunku stolika, przy którym siedział Navarro, Alonso Lucio i ciężarna bojowniczka. Akurat dyskutowali nad kwestią, czy M-19 powinno utrzymać zawieszenie broni.

Odpowiedzialnością za zamach obarczono działającą w odwecie armię, bo tego samego dnia rano kilku *guerrilleros* cisnęło granatem w wojskowy autobus, raniąc poważnie kilku żołnierzy. W zamieszaniu uznano, że sprawcami byli członkowie M-19, choć potem się okazało, że napastnicy należeli do innej grupy zbrojnej, Ruchu Samoobrony Robotniczej (ADO) [35].

Nawet Navarro powiedział kiedyś, że zna nazwiska oficerów, którzy wydali rozkaz ataku, jak również tożsamość żołnierza, który rzucił granatem.

Ja znam inną wersję. Ojciec powiedział mi, że autorem zamachu był Héctor Roldán, handlarz narkotyków i właściciel salonu samochodowego Roldanautos w Cali, ten sam, którego poznał podczas Copa Renault w Bogocie w 1979 roku i który zostałby ojcem chrzestnym Manueli, gdyby mama się nie sprzeciwiła.

Roldán utrzymywał bliskie kontakty z wysokimi rangą oficerami z El Valle i zaatakował Navarrę w odwecie za atak na żołnierzy tego dnia rano, ale także wskutek niezadowolenia szerzącego się w tamtym czasie wśród wojskowych i przedsiębiorców w związku z przebiegiem rokowań między rządem a M-19.

Jednak historia ojca i Roldána nie kończy się w tym miejscu.

Ostatecznie 19 czerwca 1985 roku, trzy tygodnie po zamachu na Navarro, Carlos Pizarro, jeden z liderów i delegatów M-19, podczas rokowań ogłosił zerwanie rozejmu i powrót do konfrontacji zbrojnej.

Kilka dni później Iván Marino Ospina opowiedział ojcu, że Álvaro Fayad zaproponował M-19 pokojowe przejęcie budynku publicznego w celu osądzenia prezydenta Betancura za niewywiązanie się z podpisanego z nimi porozumienia. Wstępnie rozważali zajęcie Kapitolu Narodowego, ale zrezygnowali z tego projektu, ponieważ siedziba władzy ustawodawczej była bardzo duża i utrzymanie jej pod kontrolą zbrojną wymagało zbyt wielu ludzi. Po przeanalizowaniu innych możliwości uzgodnili, że najlepiej do ich celów nadaje się Pałac Sprawiedliwości o bardziej zamkniętej architekturze, a ponadto dysponujący jedynie dwoma wejściami: głównym i z podziemnych garaży.

Poznawszy szczegóły planu, ojciec, który z każdej zadymy umiał wynieść korzyść, zobaczył, że może na tym coś ugrać i zaoferował, że poniesie większość kosztów operacji. Dobrze wiedział, że dziewięciu sędziów Izby Konstytucyjnej Sądu Najwyższego pracuje nad pismami

złożonymi przez prawników gremium mafiosów, którzy za wszelką cenę pragnęli doprowadzić do anulowania traktatu podpisanego ze Stanami Zjednoczonymi. Każdy narkoboss ze swojej strony wywierał naciski na sędziów, grożąc im śmiercią, co miało ich skłonić do anulowania porozumienia podpisanego w 1979 roku.

Potem dowiedziałem się, że gdy plan nabrał rozpędu, ojciec postanowił zemścić się na sędzim Tuliu Manuelu Castro, który kilka miesięcy wcześniej wydał za nim list gończy, a następnie oskarżył w związku z morderstwem ministra Lary. Jego ludzie ostrzelali sędziego w centrum Bogoty w chwili, kiedy robił inwentarz swojego biura w związku z nominacją na stanowisko w Trybunale w Santa Rosa de Viterbo, w Boyacá. W ten sposób ojciec raz jeszcze postąpił według swojej straszliwej zasady odpowiadania agresją na ataki innych.

Elvencio Ruiz (ten sam *querrillero,* który rozmawiał z ojcem podczas porwania Marthy Nieves Ochoa) został mianowany wojskowym dowódcą operacji przejęcia budynku i zaangażował się całym sercem w szkolenie grupy, która miała napaść na Pałac. W tym samym czasie tata regularnie spotykał się z Iványem Marino Ospiną i innymi przywódcami M-19 w kryjówce położonej w pobliżu hacjendy Nápoles, by dopracować szczegóły wsparcia militarnego i finansowego, które miał im zapewnić na potrzeby akcji przewidzianej początkowo na 17 października 1985 roku.

Ojciec poważnie zainteresował się powodzeniem operacji, bo też mógł odnieść z niej korzyść, gdyby *guerrilleros* zniszczyli akta dotyczące ekstradycji (łącznie z jego teczką), którymi zajmowano się w Sądzie Najwyższym. Dlatego bez wahania dał im milion dolarów w gotówce i zaoferował dodatkową gratyfikację, jeżeli zniszczą interesujące go dokumenty. Posunął się zresztą jeszcze dalej. Zgodnie z relacjami osób towarzyszących ojcu na spotkaniach z M-19 zaproponował sprowadzenie

potrzebnej broni z Nikaragui i zasugerował, żeby wdarli się do budynku przez garaże i w pierwszej kolejności skierowali do kawiarni, skąd powinni stopniowo zajmować Pałac piętro po piętrze. Doradził im też wyposażenie ludzi w krótkofalówki, żeby zachować łączność wewnątrz i na zewnątrz oraz podsunął pomysł, by *guerrilleros* mieli na sobie mundury obrony cywilnej na wypadek ewentualnego odwrotu.

Jednak 28 sierpnia 1985 roku, kiedy przygotowania do ataku weszły w decydującą fazę, M-19 otrzymało poważny cios. Podczas konfrontacji w jego domu w dzielnicy Cristales w Cali wojskowi zabili Ivána Marino Ospinę. Ojciec ubolewał nad śmiercią człowieka, którego uważał za prawdziwego bojownika, i sądził nawet, że szturm na Pałac Sprawiedliwości zostanie zawieszony. Stało się jednak inaczej. M-19 przystąpiło do działania z jeszcze większą determinacją, pragnąc publicznie dokonać sądu nad prezydentem Betancurem.

Niewiele brakowało, a z powodu pewnego błędu ojca cały plan spaliłby na panewce. W pierwszym tygodniu października wyjawił on bowiem Héctorowi Roldánowi wszystkie szczegóły przejęcia Pałacu Sprawiedliwości, a ten, przyjaciel ważnych generałów, poszedł z tym do nich i wszystko wygadał.

M-19 zawiesiło operację, a wszyscy członkowie grupy musieli się ukryć na kilka dni, bo wojsko wzmocniło patrole w okolicach placu Bolivara w Bogocie, a policja opracowała nowe procedury bezpieczeństwa dla budynku i przebywających w nim sędziów. Jednak czas płynął i nic się nie działo, życie w centrum miasta toczyło się na pozór normalnie, więc zrezygnowano z nadzwyczajnych środków ostrożności. Wtedy *guerrilleros* wyznaczyli nową datę szturmu na Pałac Sprawiedliwości: środę 6 listopada.

Doszło do ataku, który doprowadził do ubolewania godnych skutków znanych nam wszystkim. Podczas dwóch dni operacji w Pałacu ojciec

przebywał w kryjówce w Magdalena Medio znanej pod nazwą Las Mercedes. Wiem od „Pininy”, że tata bardzo się ucieszył, widząc, iż w budynku wybuchł pożar, bo stało się jasne, że akta dotyczące ekstradycji ulegną zniszczeniu.

W drugim tygodniu stycznia 1986 roku na wakacjach w hacjendzie Nápoles (formalnie zajętej na rozkaz rządu) przechadzałem się brzegiem basenu przy głównym budynku, kiedy zawołał mnie tata siedzący koło klatki z egzotycznymi ptakami. Podszedłem do niego, a moją uwagę przykuła szpada, którą trzymał między nogami.

— Grégory, chodź, coś ci pokażę. No chodź, synu.

— Co tam masz, tato?

— To szpada Simóna Bolivara.

— Co z nią zrobisz? Powiesisz w Tawernie razem z innymi? — zapytałem, nie przywiązując do sprawy specjalnej wagi.

— Podaruję ci ją. Możesz ją sobie powiesić w twoim pokoju. Pilnuj jej dobrze, bo ma długą historię. Weź, tylko obchodź się z nią ostrożnie. Nie baw się nią tutaj przypadkiem.

Brakowało miesiąca do moich dziewiątych urodzin. Muszę przyznać, że prezent ojca nie zrobił na mnie większego wrażenia, bo w tym wieku wolałem motory i inne zabawki. No cóż, uśmiechnąłem się najładniej, jak umiałem, i poszedłem wypróbować ostrze na ściernisku.

Szczerze mówiąc, słynna szabla Simóna Bolivara okazała się ciężka i tępa, a w dodatku nie ścinała krzaków tak, jak bym sobie życzył. Słabo pamiętam szczegóły tej broni, bo otaczały mnie dziesiątki zabawek. W rezultacie szybko odłożyłem szpadę do mojego pokoju w hacjendzie Nápoles.

Ze szpadą Bolivara stało się to, czego można się było spodziewać w przypadku takiego prezentu ofiarowanego małolatowi: zawieruszyła się

w jakimś miejscu, w jednym z wielu mieszkań czy posiadłości. Zgubiła się, bo nie przykładałem do niej większej wagi.

Pięć lat później, w połowie stycznia 1991 roku, na polecenie taty przyszli do mnie „Otto” i „Kolczyk”, prosząc, żebym oddał im szpadę. Z początku odmówiłem, wyjaśniając, że nie odbiera się rzeczy, którą dało się wcześniej w prezencie. Cierpliwie poprosili, żebym zadzwonił do taty i go zapytał.

— Synu, oddaj szpadę, bo muszę ją zwrócić ludziom, którzy mi ją podarowali. Potrzebują jej, gdyż zamierzają ją przekazać na znak dobrej woli. Gdzie ją masz?

— Muszę się rozejrzeć, nie pamiętam, gdzie ją położyłem. Ale wiem, że gdzieś tu jest. Zaraz jej poszukam i dziś lub jutro dam ci znać, żebyś po nią przysłał.

— Dobrze, ale pospiesz się, to pilne. Oni już obiecali, że ją oddadzą, i nie chcę ich postawić w głupiej sytuacji.

Natychmiast poszedłem szukać szpady. Jednocześnie wysłałem paru ochroniarzy, żeby sprawdzili po różnych posiadłościach, domach i apartamentach, w których mieszkaliśmy.

Następnego dnia ochroniarze zjawili się ze szpadą, a „Otto”, który był z ojcem, natychmiast po nią przyjechał. Zanim ją oddałem, poprosiłem, by zrobili mi z nią kilka zdjęć, które wyszły dość chaotycznie. Proszę o wybaczenie za moje zachowanie w tamtym momencie i brak szacunku dla tak ważnego symbolu naszej historii.

Wiele lat później miałem zrozumieć wagę tego momentu i pojąć, dlaczego ojciec tak naglącym tonem domagał się ode mnie zwrotu szpady Bolivara. M-19 właśnie złożyło broń, *guerrilleros* wracali do cywila i w akcie dobrej woli zobowiązali się oddać szpadę.

Ostatecznie 31 stycznia 1991 roku Antonio Navarro Wolff i inni już zdemobilizowani bojownicy M-19 zwrócili szpadę podczas specjalnej

uroczystości, na której obecny był ówczesny prezydent César Gaviria.

Po zakończeniu skomplikowanego okresu rządów Belisaria Betancura w sierpniu 1986 roku ojciec bynajmniej nie porzucił myśli o zemście na prezydencie. Wręcz przeciwnie. Uknuł okrutny plan, którego na szczęście nigdy nie udało mu się zrealizować.

Postanowił uprowadzić Betancura i uwięzić go w dżungli. W tym celu kazał człowiekowi znanemu pod pseudonimem „Godoy" polecieć helikopterem w głąb selwy między Chocó i Urabá, wytrzebić tam polankę i postawić na niej małą chatę bez okien. „Godoy" znalazł odpowiednie miejsce i przez kilka tygodni pracował tam z dwoma pomocnikami. Z helikoptera zrzucano im zaopatrzenie. Kiedy skończył budowę i zamierzał spotkać się z ojcem, by zawiadomić go, że dom-więzienie jest już gotowy, nagle pojawiła się w tym miejscu grupa Indian, którzy ze zdumieniem odkryli osadników na swoim terenie.

Dowiedziawszy się o tym, ojciec polecił mu, by zagłębił się jeszcze dalej w dżunglę i upewnił się, że nikogo nie ma w okolicy. Zlecenie zostało zrealizowane dwa miesiące później. Podjęto wiele prób, ale „Wtyce" i „Ptakowi" nie udało się porwać byłego polityka.

---

35 Movimiento de Autodefensa Obrera.

# Rozdział 13

# BARBARZYŃSTWO

Wyobrażasz sobie gościa, który siada do maszyny i pisze „dokonano ekstradycji Pabla Escobara Gavirii do Stanów Zjednoczonych”? Nie pozwolę się tam wywieźć. Jestem za bogaty i za młody na to, żeby wsadzili mnie do więzienia w Gringolandii. Nie mają bladego pojęcia, w co się pakują.

Mama nie wiedziała, co tak naprawdę ojciec miał na myśli, gdy wypowiadał te znamienne słowa, ale wolała nie pytać. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że był zamknięty w sobie.

Pierwsze tygodnie stycznia 1986 roku upłynęły dość spokojnie. Były wytchnieniem, które zawdzięczaliśmy ulubionej strategii ojca polegającej na eliminowaniu wszelkich przeszkód pojawiających się na drodze. Dwa miesiące wcześniej (po śmierci wielu sędziów, zwłaszcza z Sądu Najwyższego, i zniszczeniu akt związanych z ekstradycją) zniknęły jego troski.

Poza tym kraj był zbyt zajęty pomocą tysiącom osób poszkodowanych w wyniku wybuchu wulkanu Nevado del Ruiz (do którego doszło tydzień po tragedii w Pałacu Sprawiedliwości) i przywróceniem do normalnego funkcjonowania aparatu sądowniczego, by jeszcze zajmować się ściganiem mafii.

Rząd i służby mundurowe były na tym tak skoncentrowane, iż przeoczyły fakt, że ojciec pożyczył na dziesięć dni dwa helikoptery do

przewozu rannych i dostarczania artykułów pierwszej potrzeby do miejsca katastrofy naturalnej w rejonie Armero. Nakazał pilotom, żeby wstrzymali na ten czas transporty kokainy i współpracowali gdzie będzie trzeba ze służbami ratowniczymi. W wiadomościach telewizyjnych z tamtych dni często widzieliśmy jego dwie maszyny.

Wkrótce jednak ojciec miał w brutalny sposób pokazać, że w jednej chwili potrafi zniweczyć wrażenie wywołane swoim szlachetnym odruchem.

Zrozumieliśmy to po raz kolejny 19 lutego 1986 roku, kiedy jego ludzie wykonali wydany kilka miesięcy wcześniej bezwarunkowy wyrok śmierci na pilota Barry'ego Seala (Adlera Barrimana Seala), szpiega amerykańskiej agencji DEA do walki z narkotykami, który w 1984 roku zrobił zdjęcia przedstawiające ojca i „Meksykanina", jak ładują kokainę do samolotu w Nikaragui.

Gdy rozkaz został wypełniony, dowiedziałem się, że ojciec powierzył to zadanie „Brzytewce" (niebezpiecznemu przestępcy z gminy La Estrella), polecając mu zorganizowanie zamachu, niezależnie od tego, jak bardzo kosztowne miałoby się to okazać. Morderca ulokował się w Miami na dłuższy czas, żeby zebrać informacje na temat Seala.

— Zapłaci mi za to… Nie ujdzie z życiem — zapowiedział ojciec „Brzytewce".

Zadanie nie było łatwe, bo amerykański pilot został objęty programem ochrony świadków DEA, prawdopodobnie zmieniono mu tożsamość i mógł znajdować się w dowolnym miejscu kraju.

Ostatecznie dzięki mafijnym kontaktom ojca w Miami „Brzytewka" dowiedział się, że Seal odrzucił amerykańskie procedury bezpieczeństwa i wolał żyć dalej jak gdyby nigdy nic. Otrzymał także informację na temat miejsca jego pobytu: znajdował się w Baton Rouge w Luizjanie.

„Brzytewka” wysłał tam trzech zabójców, którzy poczęstowali Seala serią z karabinu, gdy wsiadał do swojego białego cadillaca na parkingu ośrodka zdrowia należącego do Armii Zbawienia.

Ojciec niemal natychmiast dowiedział się, że jego ludzie zabili Seala. Dwa dni później „Brzytewka” zawiadomił go, że zabójcy zostali zatrzymani, gdy kierowali się na lotnisko w Miami, by wrócić do Kolumbii. Czekał ich długi wyrok do odsiedzenia.

Od dnia, w którym ojciec postanowił wejść na przestępczą ścieżkę życia, dbał o to, byśmy nigdy nie widzieli, jak wydaje polecenie, by kogoś zabić lub popełnić inne przestępstwo. Teraz zginął świadek amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Ojciec wiedział doskonale, że poniesie poważne konsekwencje tego czynu, ale jego żądza zemsty była silniejsza. Najważniejsze było dla niego, że Seal go zdradził.

Potrafił oddzielać interesy i przestępstwa od życia rodzinnego i tego systemu trzymał się aż do śmierci. Niech za dowód posłuży to, iż w ogóle nie mieliśmy pojęcia, że wydał wyrok na Barry’ego Seala, a tym bardziej że został on wykonany. Zawsze potrafił zachować niewzruszony spokój w obecności innych osób.

Na moje dziewiąte urodziny 24 lutego (pięć dni po śmierci Seala) napisał dwustronicowy list, w którym dał mi lekcję życia:

> *Dziś kończysz dziewięć lat, jesteś już mężczyzną, a to oznacza dużą odpowiedzialność. Chcę Ci w tym dniu powiedzieć, że w życiu zdarza się wiele pięknych chwil, ale są też momenty trudne i ciężkie. To właśnie te ciężkie i trudne chwile kształtują człowieka. Wiem dobrze, że zawsze umiałeś z godnością i odwagą stawić czoło trudnym sytuacjom w Twoim życiu...*

Taki był ojciec. Potrafił napisać piękny list i poświęcić wszystko dla swojej rodziny, a jednocześnie wyrządzał wiele zła. Obie strony osobowości przejawiały się w nim równie mocno. W jakiś sposób zawsze nas chronił i wspierał, lecz wybrał terror jako najlepszy sposób pokazania swoim przeciwnikom, że gotów jest posunąć się bardzo daleko.

Powodem jego irracjonalnego postępowania było zawsze widmo ekstradycji, z którą zawzięcie walczył, póki wraz z innymi kartelami narkotykowymi nie zdołał wyeliminować jej z Konstytucji państwowej.

Nim jednak do tego doszło, ojciec musiał stworzyć armię przestępców do swojej dyspozycji. Potem nie miał już odwrotu.

Na tydzień przed przekazaniem władzy prezydenckiej przez Belisaria Betancura na rzecz Virgilia Barco na północy Bogoty ludzie taty zabili sędziego Izby Karnej Sądu Najwyższego, wiernego orędownika ekstradycji. Ponadto zastrzelili w Medellín sędziego Sądu Okręgowego w Antioquii, który wydał za nim list gończy w związku ze śmiercią śledczych DAS.

Poprzez te dwa zabójstwa ojciec wysłał podwójny przekaz: nie będzie litości dla sędziów popierających ekstradycję ani dla osób wszczynających postępowanie przeciw niemu.

A jeżeli już mowa o przekazach, to 6 listopada 1986 roku, rok po szturmie na Pałac Sprawiedliwości, tata podał do wiadomości istnienie grupy Extraditables — tajnego stowarzyszenia, którego celem była walka przeciw ekstradycji. Tak naprawdę jednak Extraditables sprowadzało się do niego. To on ukuł hasło „Wolimy grób w Kolumbii od więzienia w Stanach”. Nigdy nie stała za tym żadna organizacja.

Mimo że ojciec sam mianował się liderem Extraditables i nie konsultował z nikim publicznych oświadczeń ani militarnych działań tej grupy, na wszystkich *narcos* nałożył comiesięczny podatek na potrzeby jej działalności. Niektórzy, jak „Meksykanin” czy Fidel Castaño, nie szczędzili

pieniędzy na składki, ale inni wykręcali się od opłaty, a wówczas ojciec dzwonił do nich, ostrym tonem przypominając o konieczności uregulowania należności.

Począwszy od pierwszego komunikatu Extraditables, tata korzystał ze słownika Larousse'a, dobierając w nim jak najtrafniejsze sformułowania. Zależało mu, by teksty były poprawne gramatycznie i dobrze zredagowane.

Ekstradycja zajmowała tak ważne miejsce wśród codziennych zajęć ojca, że pewnego dnia przyśniło mu się, iż został schwytany podczas szturmu i poddany ekstradycji w trybie natychmiastowym. Opracował nawet plan na taką ewentualność: porwanie w Waszyngtonie autobusu szkolnego i zagrożenie wysadzeniem go oraz spełnienie tej groźby, jeśli okaże się to konieczne.

Siedemnastego listopada 1986 roku „Meksykanin" zrealizował swój zamiar (o którym wcześniej uprzedzał ojca) zemsty na pułkowniku policji Jaime Ramírezie stojącym na czele akcji przejmowania i niszczenia laboratoriów w różnych częściach kraju.

Po kilku tygodniach zabójstwa, zastraszenia i obecność Extraditables miały przynieść mafii pierwszy sukces w walce z ekstradycją. 12 grudnia 1986 roku dwudziestu czterech sędziów Sądu Najwyższego zdecydowało, że ustawa zatwierdzająca umowę zawartą ze Stanami Zjednoczonymi w 1979 roku obarczona była wadą prawną, ponieważ nie została podpisana przez prezydenta Julia César Turbaya, lecz przez marszałka Kongresu Germána Zeę Hernándeza, który wtedy go zastępował.

Ojciec i inni *narcos* świętowali tę decyzję, bo automatycznie unieważniała ona wydane za nimi listy gończe. Nie spodziewali się, że prezydent Barco odwoła się do starej umowy ze Stanami Zjednoczonymi pozwalającej na ekstradycję w trybie administracyjnym, to znaczy

bezpośrednią i niewymagającą zgody sądu jako koniecznego warunku wstępnego.

Wystarczył jeden komentarz redakcyjny w gazecie „El Espectador”, w którym napisano, że decyzja prezydenta o wznowieniu ekstradycji zepsuła mafiosom święto, by wywołać u ojca furię, w wyniku której powróciła irytacja, jaką od dawna wzbudzały w nim publikacje bogotańskiej gazety. Wspomniany dziennik w takich oto słowach przedstawił to zdarzenie: „O siódmej piętnaście wieczorem doszło do zbrodni. Don Guillermo Cano, prowadząc samochód, zwolnił na skrzyżowaniu szosy 68 z ulicą 22 z zamiarem wykonania skrętu na północ. Nieoczekiwanie został zaatakowany przez mężczyznę, który zasadził się tam na niego przy końcu bariery rozdzielającej pasy ruchu na zakorkowanej trasie. Napastnik wystrzelił przez lewe okno w stronę kierowcy”.

Kiedy artysta rzeźbiarz Rodrigo Arenas Betancourt podarował miastu popiersie Cano, które urząd Medellín postawił w parku Bolivara, ojciec uznał ten hołd za afront.

— Przecież nie pozwolimy, żeby ustawili pomnik Guillerma Cano w Antioquii — oświadczył ojciec, wypalając swoją wieczorną dawkę marihuany. Tamtego dnia towarzystwa dotrzymywał mu „Pukawa”, który zaproponował, że podłoży dynamit i wysadzi posąg całkiem za darmo.

Rodzina redaktora zrekonstruowała posąg i ustawiła go z powrotem w parku, ale „Pukawa” znów postanowił go zniszczyć, tym razem z użyciem większej ilości środków wybuchowych. Wtedy rzeźbę na zawsze usunięto z parku.

Wojna z dziennikiem „El Espectador” osiągnęła taki poziom, że ojciec kazał podpalić ich samochody dostawcze w Medellín i nastraszyć ulicznych roznosicieli gazet. W końcu „El Espectador” zniknął z miasta.

Po zabójstwie Guillerma Cano na kilka tygodni schroniliśmy się w kryjówce La Isla, koło zapory El Peñol. Któregoś dnia rano zobaczyłem, że ojciec siedzi przy stole z Carlosem Lehderem, Fidelem Castaño i Gerardem „Kiko” Moncadą, z zainteresowaniem przeglądając książkę, obok której leży zeszyt pełen notatek. Choć w tamtej chwili nie zorientowałem się ani nie zapytałem, o co chodzi, udało mi się dostrzec tytuł: *Człowiek, który sprawił, że z nieba padała kokaina*.

Kilka lat później miałem się dowiedzieć, że w tamtym momencie ojciec, Lehder, Castaño i Moncada byli nie tyle zainteresowani lekturą, ile zaniepokojeni treścią książki, której autor Max Mermelstein (amerykański Żyd, który zmarł w 2008 roku) opisywał swoje doświadczenia z okresu, gdy pracował dla taty i innych *capos* kartelu z Medellín.

Pisał, że w ciągu sześciu lat wwiózł do Miami i na południe Florydy pięćdziesiąt sześć ton kokainy, którą wysłał ojciec i jego wspólnicy. Jej wartość odpowiadała trzydziestu milionom dolarów. Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy w 1985 roku został zatrzymany w Miami przez policję i liczył, że szefowie zapłacą za niego kaucję. Jednak łącznik taty na Florydzie się wystraszył i zamiast pomóc, zaczął grozić jego rodzinie, co zmusiło go do przejścia na drugą stronę barykady i podjęcia współpracy z amerykańskimi władzami.

Na początku 1987 roku zabójcza machina ojca pokazała, że nie istnieją dla niej żadne granice, i to w jeszcze bardziej złożonych okolicznościach. Nie wszystko jednak kończyło się sukcesem.

Przykładem może być nieudany zamach na ambasadora Kolumbii w Budapeszcie, Enrique Parejo. Jego zabójstwo zostało, jak słyszałem, zlecone przez ojca, ponieważ Parejo jako minister sprawiedliwości w rządzie Virgilia Barco podpisał decyzję o ekstradycji trzynastu osób. Realizacja planu wymagała pokonania wielu trudności, bo policyjny reżim

na Węgrzech wprowadził surowe przepisy przy wjeździe turystów i przewiezienie nielegalnej broni okazało się praktycznie niemożliwe. Innymi słowy, ambasador był dobrze chroniony, dlatego zabójca powiedział w końcu tacie, że z Kolumbii nie da się zorganizować takiego zamachu.

Nie znam szczegółów spisku, bo nigdy ojca nie zapytałem o to zdarzenie. Ostatecznie, rankiem 13 stycznia 1987 roku, zabójca oddał pięć strzałów do ambasadora, który został ciężko ranny. Każda tego typu akcja ojca powodowała bezpośrednie konsekwencje dla nas, dlatego nigdy nie popieraliśmy takich działań.

Kilka dni później pojechaliśmy na weekend do hacjendy Nápoles, która była już co prawda skonfiskowana, ale korzystaliśmy z niej właściwie bez ograniczeń. Tata prowadził terenową toyotę, obok niego siedziała mama z Manuelą, z tyłu ja z Carlosem Lehderem.

Ojciec wysłał dwa samochody przodem. Kierowcy wiedzieli, że powinni zachowywać dystans nieprzekraczający dwóch kilometrów, by utrzymać łączność radiową w górzystym terenie.

Zbliżała się pora obiadowa, dzień był pogodny, niebo prawie bezchmurne. Tata zwykle pokonywał tę trasę o drugiej w nocy, ale tym razem ochota na rodzinny wypad do Medellín skłoniła go do prowadzenia w dzień. Czuł się bezpiecznie, bo wiedział, że o ewentualnej obecności sił porządkowych dowie się z sześciokilometrowym wyprzedzeniem, co stanowiło więcej niż wystarczający dystans do ucieczki.

Nagle przez radiotelefon usłyszeliśmy głos Luigiego, chłopaka z Envigado, który od niedawna pracował dla ojca. Należał do osób jadących przed nami nierzucającym się w oczy samochodem. Spokojnie poinformował, że właśnie minął punkt opłat w Cocorná, prawie w połowie drogi między Nápoles a Medellín, i zobaczył, że stoi tam rutynowa kontrola policyjna złożona z czterech lub pięciu mundurowych.

— Jest paru „psów”, ale niewielu — zapewnił uspokajającym tonem.

Ojciec prowadził dalej, nie zmniejszając prędkości. Zachodziłem w głowę, dlaczego się nie zatrzymuje, ale nic nie powiedziałem.

— Pablo, czy nie podjeżdżamy za blisko do blokady? Jak chcesz tamtędy przejechać? Chyba nie ma co pakować się tam z całą rodziną, nie sądzisz? — zapytał Lehder.

— Wiem, Carlos. Ale poczekaj, przed punktem kontrolnym jest zakręt na górce. Stamtąd ich sobie dyskretnie obejrzymy.

Istotnie, wkrótce dotarliśmy do zakrętu. Po lewej stronie była restauracja. Z jej parkingu mogliśmy zobaczyć blokadę, nie wysiadając nawet z samochodu.

Tata postanowił posłuchać rady Lehdera i przez radiotelefon polecił „Ottowi” (który jechał za nami renaultem 18 z „Brudasem”’ i „Paskinem”) zaparkować obok nas, bo wolał się przesiąść, żeby mama ze mną i Manuelą pojechała sama do Medellín samochodem, który do tej pory prowadził.

„Otto” pomógł przepakować do swojego auta sportową torbę taty, worek Lehdera i jedzenie w półmiskach, które mama przygotowała na wieczór. Plan był taki, że my wrócimy do Medellín, a on będzie dalej ukrywał się w różnych domach w okolicy.

Lehder wysiadł z terenówki z karabinem w ręku i schował kuszę do bagażnika wozu. Ojciec miał za paskiem swój pistolet sig sauer, a przez ramię przewieszony automatyczny karabin maszynowy heckler. Doskonale pamiętam tę „pukawkę” (jak mówił o nim ojciec), bo wszędzie ją ze sobą zabierał, a na noc kładł koło swoich butów, przywiązując je do niej sznurówkami na wypadek, gdyby trzeba było szybko uciekać.

Mama siadła za kierownicą i ruszyła do punktu poboru opłat, a tata zajął w tym czasie miejsce na tylnym siedzeniu renaulta, między „Paskinem” a Lehderem. Nikt nie zauważył, że w restauracji obiad jadło dwóch

agentów DAS ubranych po cywilnemu, którzy widzieli wszystkie ich manewry. Detektywi zapłacili za posiłek, oddalili się w kierunku szosy, a potem pędem rzucili się w kierunku punktu opłat, wymachując białymi chusteczkami i krzycząc, że za nimi jadą uzbrojeni ludzie.

W tym momencie mama stała już za dwoma innymi samochodami, które czekały w kolejce, żeby zapłacić za przejazd.

Nagle zobaczyłem, jak nasze renault nadjeżdża pod prąd drugim pasem i dociera do punktu na kilka sekund przed agentami w cywilu. Lehder wychylił głowę przez okno, trzymając na widoku karabin ojca, i krzyknął: „Jesteśmy agentami z F-2… Nie strzelajcie". Oczywiście nie uwierzyli mu i zaczęła się straszliwa wymiana ognia. Mama nie przejechała jeszcze punktu kontrolnego i znaleźliśmy się w samym środku pola bitwy.

Jeden z policjantów wyciągnął pistolet i wystrzelił, a kula trafiła w tylną wycieraczkę, akurat w miejsce, gdzie ojciec opierał głowę. Z miejsca koło kierowcy „Otto" strzelił do policjanta, który zdołał schronić się w kanale. „Paskin" oddał serię w powietrze z karabinu AK-47. Przestraszyłem się, że trafi nas jakaś zbłąkana kula i rzuciłem się na Manuelę, by ją osłonić. W końcu usłyszałem pisk opon i charakterystyczny odgłos silnika renaulta 18, który odjeżdżał z miejsca strzelaniny.

Krzyki ludzi w punkcie poboru opłat i wołania o pomoc policjanta, który utknął w ponadtrzymetrowej głębokości kanale, sprawiły, że na miejscu zapanował totalny chaos. Po chwili nadjechała policja i kazano nam się oddalić, mówiąc, że nie musimy już płacić za przejazd. Wtedy jeden z agentów w cywilu sprzeciwił się, ponieważ widział, że sprawcy strzelaniny wysiedli z naszego auta.

W związku z tym kazali nam opuścić samochód, przy czym cały czas mierzyli do nas z broni. Zostaliśmy zrewidowani w bardzo nieprzyjemny sposób. Około dwudziestu osób znajdujących się przy punkcie poboru opłat

stłoczono w małym budynku, gdzie mogliśmy się zmieścić jedynie na stojąco. Manuela rozpaczliwie płakała.

Upływały minuty, a potem godziny, a my słyszeliśmy jedynie krzyki i pogróżki policjantów.

— Zaraz zobaczycie, skurwysyny, co z wami zrobimy. Nie wyjdziecie z tego cało, mordercy, narkościerwa! — wołali przez okna.

W tym czasie mama kilka razy prosiła o podanie torby z pieluchami i mlekiem dla dziecka, żeby mogła przewinąć i nakarmić Manuelę, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Czekaliśmy tak około pięciu godzin. Wreszcie przyjechał jakiś policjant i powiedział, że zabierze nas na komendę policji w Medellín. Z mamą i siostrą pojechaliśmy z tyłu w furgonetce, którą wcześniej prowadził tata. Przez większą część drogi policjant wypominał mamie, że urodziła dzieci bandycie.

Na parterze w siedzibie policji czekał na nas pułkownik Valdemar Franklin Quintero. Wysiedliśmy z auta ze śpiącą Manuelą owiniętą w kocyk. Mama chciała wziąć torbę z rzeczami dziecka, ale oficer wyrwał jej ją, to samo zresztą zrobił z kocykiem małej, którą obudził tak gwałtownym szarpnięciem, że niewiele brakowało, a spadłaby na ziemię.

— Dajcie tę starą kurwę i pomiot tego skurwiela do celi! — krzyknął pułkownik, a jego ludzie pospiesznie wypełnili rozkaz.

— Błagam, zostawcie mi przynajmniej kocyk dla dziecka i torbę z jej rzeczami, żebym mogła ją nakarmić. Nie jadła już od wielu godzin, a w punkcie poboru opłat nie dali nam nawet szklanki wody. Czy tu będzie tak samo? — zapytała mama, szlochając, nim straciła z oczu pułkownika, który nie krył głębokiej nienawiści do ojca.

Kiedy na komendzie trochę się uspokoiło, do mamy podeszła policjantka i podała jej butelkę mleka. Było już około wpół do drugiej w nocy.

— Proszę, to dla małej. Nic więcej nie mogę zrobić.

Nagle usłyszeliśmy jakieś kroki i krzyki kogoś, kto najwyraźniej nie pozostawał w dobrych stosunkach z policją. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, ale jasne było, że ma to jakiś związek z nami. Wreszcie przedarł się do środka człowiek w garniturze i pod krawatem. Okazało się, że to wysłany przez ojca adwokat. Nazywał się José Aristizábal.

— Proszę pani, przychodzę od męża. Nic mu się nie stało. Proszę się nie martwić, jutro panią stąd wyciągnę. Teraz najważniejsze, że mogę zabrać dzieci do domu.

— Mecenasie, bardzo dziękuję za pomoc. Proszę je zawieźć do babci Nory — odpowiedziała mama, przekazując adwokatowi Manuelę, którą ten wziął na ręce z niejakim trudem, bo niósł także swoją teczkę.

Wyszedłem za nim. Pamiętam, że posuwał się szybkim krokiem, a po drodze powiedział do mnie:

— Spokojnie, nie martw się, już dobrze. Wyjdziemy stąd szybko, zanim zmienią zdanie. Pojedziemy do waszego taty, który nie może się już doczekać, żeby was zobaczyć.

Wkrótce potem przyjechaliśmy do domu przy alei Transversal Superior, gdzie ojciec przez całe lata miał swoje główne biuro. Był tam z Lehderem, „Ottem”, „Brudasem” i „Paskinem”. Manuela spała. Tata podszedł, pocałował ją w czoło i kazał zawieźć do babci Nory.

— Grégory, zostań ze mną, to coś zjemy. Jesteś głodny? A może wolisz jechać do babci? Nic się nie martw, jutro wyciągniemy mamę z aresztu. Ten skurwiel, który nie chciał dać małej butelki, zapłaci mi za to. Idź coś zjeść do kuchni, a ja cię potem zawiozę do babci.

Gdy sytuacja się uspokoiła, Aristizábal powtórzył mi ze szczegółami rozmowę, jaką odbył z ojcem, zanim pojechał po nas na komendę.

— Nie zapomnę wyrazu twarzy twojego taty w tamtej chwili. To był jedyny raz, kiedy widziałem, jak płacze. Powiedział mi: „Mecenasie, kto

jest większym bandytą? Ja, który wybrałem taką drogę życia, czy ci, którzy w swoich policyjnych mundurach, w majestacie władzy, poniżają moje niewinne dzieci i żonę? Proszę mi powiedzieć: kto jest gorszym bandytą?”.

Kilka dni później ujęto Carlosa Lehdera w gminie El Retiro, we wschodniej Antioquii, bo sąsiedzi poskarżyli się na hałasy w pobliskim mieszkaniu. Policjanci, którzy go aresztowali, zaproponowali, że zostanie on wypuszczony w zamian za piętnaście milionów pesos, które ojciec gotowy był im wypłacić, ale Lehder nie chciał.

Rząd skorzystał z niespodziewanego ciosu zadanego kartelowi z Medellín i w ciągu zaledwie dziewięciu godzin, bez żadnych dodatkowych formalności, poddał Lehdera tak zwanej ekstradycji administracyjnej do Stanów Zjednoczonych.

Groźba ekstradycji znów zajrzała im w oczy, dlatego ojciec wraz z innymi narkobossami zintensyfikowali wysiłki mające na celu podważenie interpretacji, jaką rząd nadał przepisom dopuszczającym ekstradycję. Udało im się to 25 czerwca 1987 roku, kiedy Sąd Najwyższy zdelegalizował zasadę stosowaną przez rząd przy natychmiastowej ekstradycji.

Nowy minister sprawiedliwości José Manuel Arias nie miał wyjścia i musiał anulować około stu nakazów aresztowania, wydanych z zamiarem przeprowadzenia ekstradycji, w tym nakaz aresztowania ojca, który znów miał czyste konto.

Dzięki tej chwili wytchnienia drugie półrocze 1987 roku spędziliśmy całą rodziną, co nie zdarzyło się już dawno. I to w dodatku w najlepszym miejscu, jakie mogłem sobie wymarzyć: w budynku Mónaco, gdzie ojciec bez większych przerw dotrzymywał nam towarzystwa przez ponad trzy miesiące.

Przez kilka tygodni ojciec spokojnie poruszał się po Medellín dziesięcioma toyotami land cruiser, z czterema lub pięcioma ludźmi uzbrojonymi w karabiny AR-15 w każdej. Raz zdarzyło się, że czterech policjantów na motorach zatrzymało konwój, by sprawdzić dokumenty i pozwolenia na przejazd[36]. Ojciec prowadził jeden z samochodów, a obok niego siedział wujek Mario Henao z karabinem maszynowym.

Pasażerowie terenówek wysiedli i zaczęli oddawać broń, ale kiedy przyszła kolej na wujka Maria, wymierzył w policjantów.

— Pablo, czy ta banda pedałów to ma być twoja obstawa? Przychodzi czterech policjantów, a pięćdziesięciu ochroniarzy grzecznie oddaje broń? To takie tygrysy cię chronią, Pablo? Masz przejebane. Proszę mi zrobić tę grzeczność, panowie policjanci, i zwrócić broń. W ten sposób unikniemy większych kłopotów.

Wystraszeni funkcjonariusze pozwolili konwojowi pojechać dalej.

Jednak spokojny czas nie trwał zbyt długo, bo pod koniec października 1987 roku siepacze „Meksykanina” zabili w pobliżu Bogoty Jaime Pardo Leala, byłego kandydata na prezydenta i lidera Unii Patriotycznej.

Zabójstwo znanego lewicowego polityka ponownie rozpoczęło nagonkę na narkobossów i ojciec znów musiał się ukrywać. Zabunkrował się w kryjówce znanej jako La Isla w El Peñol, skąd dalej prowadził swoje interesy.

W tamtych dniach złożył mu niespodziewaną wizytę Jorge Pabón (alias „Czarny”), który właśnie wrócił do Kolumbii po odsiedzeniu kilku lat w więzieniu w Nowym Jorku pod zarzutem handlu narkotykami.

Pabón zaczął odwiedzać ojca dość często, dużo rozmawiali. Tata szczerze go cenił. Zbliżyli się do tego stopnia, że zaproponował mu mieszkanie na trzecim piętrze w budynku Mónaco, dopóki nie znajdzie sobie innego lokum.

„Czarny” podziękował ojcu za ten gest i kilka tygodni później przeniósł się do mieszkania, które ojciec urządził włoskimi meblami wziętymi z innych części gmachu.

Pabón swobodnie wchodził i wychodził z budynku i bardzo często odwiedzał ojca w miejscach, gdzie ten się ukrywał. Właśnie podczas jednej z takich wizyt wyszła na jaw drobna sprawa — zatarg o kobietę, który miał się przerodzić w wojnę. W tamtym momencie ani ojciec, ani Pabón nie zdawali sobie sprawy, że są o krok od krwawej konfrontacji z kartelem z Cali.

Historię, o której mowa, opowiedział mi kiedyś sam ojciec. Kilka lat później tę wersję potwierdził Miguel Rodríguez podczas negocjacji pokojowych, kiedy powiedziałem mu, że nie mam pewności co do przyczyn wojny, ponieważ na przestrzeni lat słyszałem wiele teorii na ten temat. Oto ta historia.

W czasie jednego ze spotkań, paląc marihuanę, Pabón zwierzył się tacie, iż bardzo zabolało go odkrycie, że kiedy był w więzieniu w Nowym Jorku, jego dziewczyna miała romans z „Ananasem”, człowiekiem Helmera „Pacho” Herrery. Po długiej i pełnej detali relacji Pabón wyznał w końcu, że pragnie pomścić tę zdradę.

Tata ciągle mieszał się w konflikty, nawet jeśli nie dotyczyły go bezpośrednio. Tym razem także poczuł solidarność z Pabónem i zobowiązał się, że porozmawia z *capos* z Cali i poprosi ich o wydanie im „Ananasa”.

Tak też zrobił. Skontaktował się z Gilbertem Rodríguezem Orejuelą i opowiedział mu całą historię.

— To nie może tak zostać. Podeślij mi go — poprosił ojciec, dając do zrozumienia, że uzależnia od tego dobre stosunki między nimi.

Kilka godzin później otrzymał od Rodrígueza odmowną odpowiedź. Herrera nie chciał poświęcić „Ananasa”, który był jego zaufanym

człowiekiem. Rozmowa przerodziła się w kłótnię, a ta zakończyła się sławetnym zdaniem ojca: „Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie”.

Pozornie nadal panował spokój, ale atmosfera zgęstniała i ojciec w dyskretny sposób zwiększył nasze środki bezpieczeństwa.

W takich okolicznościach pod koniec 1987 roku odbyła się moja pierwsza komunia w budynku Mónaco. Organizację uroczystości mama rozpoczęła z rocznym wyprzedzeniem. Tata wziął w niej udział wraz z Fidelem Castaño i Gerardem „Kiko” Moncadą, ale obecni byli tylko przez godzinę. Potem wycofali się do Paraíso, kryjówki na wzgórzach San Lucas, w Medellín.

Rok 1988 zaczął się bardzo burzliwie, bo nowy minister sprawiedliwości Enrique Low Murtra wznowił nakazy aresztowania dotyczące ojca, „Meksykanina” i trzech braci Ochoa z zamiarem przeprowadzenia ekstradycji.

Tata po raz kolejny znalazł się na celowniku prokuratury. Odwiedzał nas w budynku Mónaco bez zapowiedzi, najchętniej o świcie. Pamiętam, jak kiedyś zobaczyliśmy go przelotnie, bo mama chciała mu pokazać swój nowy nabytek — ogromny obraz olejny chilijskiego artysty Claudia Bravo. Ciekawostką dotyczącą tego zakupu jest fakt, że galeria Quintana z Bogoty oferowała obraz za bardzo wysoką cenę, a kiedy się dowiedzieli, że mama go kupiła, zadzwonili do niej, żeby zwrócić wpłatę, bo zdążyli już sprzedać dzieło innemu narkobossowi za jeszcze większą kwotę.

— Oj, kochanie, zostaw go sobie. Nie sprzedawaj, jest śliczny. Nie oddawaj go — doradził tata, kiedy opowiedziała mu historię transakcji.

Ojciec znów żył w ukryciu, tym razem już na stałe, bo postanowił zacząć nowy etap swojej batalii o zniesienie ekstradycji, co oznaczało kolejną konfrontację z państwem. Teraz zamierzał wywrzeć nacisk na rząd, uciekając się do porwań polityków i osób związanych z mediami.

W swoich kryjówkach przez długie godziny oglądał telewizję i to doprowadziło go do wniosku, że idealnym kandydatem jest Andrés Pastrana Arango, który spełniał wszystkie warunki, bo nie dość, że był dziennikarzem, to jeszcze właścicielem i dawnym szefem wiadomości telewizyjnych *TV hoy*, kandydatem na burmistrza Bogoty i synem byłego prezydenta Misaela Pastrany Borrero. Wobec tego postanowił go porwać. W tym celu nakazał „Pininie" pojechać do Bogoty i jak najszybciej wziąć się do roboty.

Do grupy, na czele której stał „Pinina", należeli Giovanni, „Popeye" i zabójcy z dzielnic Lovaina, Campo Valdés i Manrique. Wszyscy udali się do Bogoty, a ojciec śledził z uwagą rozwój wypadków.

Tymczasem o świcie w środę 13 stycznia 1988 roku w naszym budynku nieoczekiwanie doszło do wybuchu auta pułapki. Ojciec ukrywał się w tym czasie w Bizcocho, w górnej części wzgórza Los Balsos, skąd widać było nasz ośmiopiętrowy budynek. Rozmawiał właśnie z „Brudasem" oraz wujkami Robertem i Mariem, kiedy nagle poczuli wstrząs, a na horyzoncie dostrzegli ogromny słup dymu w kształcie grzyba.

My natomiast nie usłyszeliśmy żadnego hałasu, żadnego wybuchu. Siła eksplozji przygniotła nas z mamą do łóżka w pokoju gościnnym, gdzie spaliśmy owej nocy, bo główna sypialnia była remontowana. Od sufitu oderwała się gipsowa płyta, ale uratowaliśmy się, gdyż jeden z jej rogów spadł na niewielką rzeźbę Fernanda Botero, stojącą na szafce nocnej.

Obudziłem się z braku powietrza i stwierdziłem, że nie jestem w stanie się poruszyć. Mama odpowiedziała na moje krzyki, prosząc mnie o chwilę cierpliwości, bo właśnie próbowała wydostać się spod gruzów, które na nią spadły. Kilka minut później udało jej się spod nich wygrzebać i poszła szukać latarki. Ja w tym czasie próbowałem obrócić twarz w kierunku okna.

Mama usłyszała płacz Manueli i poprosiła, żebym poczekał, aż po nią pójdzie. Znalazła ją całą i zdrową w ramionach piastunki, więc natychmiast wróciła, by pomóc mi się wydostać, bo wciąż leżałem przygnieciony do łóżka gipsowym sufitem i prawie nie mogłem oddychać. Wreszcie udało jej się stanąć w rogu i nadludzkim wysiłkiem unieść ciężki kawał cementu. Płacząc i jęcząc, znalazłem w końcu jakąś dziurę, przez którą wyczołgałem się na zewnątrz.

Doznałem szoku, kiedy stanąłem na szczątkach sufitu, a nad głową ujrzałem rozgwieżdżone niebo. To był surrealistyczny widok.

— Co się stało, mamo? Było trzęsienie ziemi?

— Nie wiem, synku.

Gdy zebraliśmy się razem z Manuelą i piastunką, mama oświetliła korytarz. Znaleźliśmy schody, ale nie dało się nimi zejść, bo góra gruzów zagradzała drogę. Wołaliśmy o pomoc i kilka minut później zjawiło się kilku ochroniarzy, którzy zdołali zrobić niewielkie przejście pośród zwaliska.

W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu. To dzwonił tata. Mama w rozpaczy wołała do słuchawki:

— Pablo, zabiją nas, zabiją!

— Nie denerwuj się, zaraz po was przyślę.

Służąca zdobyła dla mamy jakieś buty, ale dla mnie nie było żadnych i musiałem zejść siedem pięter na bosaka, stąpając po odłamkach gruzu, szkle, gwoździach, kawałkach metalu, cegieł i innych ostrych szczątkach.

Na parterze wsiedliśmy do furgonetki, którą ochroniarz ojca podstawił na parking dla gości budynku i szybko stamtąd odjechaliśmy. Postanowiliśmy zatrzymać się u babci Nory, ale woleliśmy najpierw zboczyć do kryjówki, gdzie znajdował się ojciec, bo na pewno bardzo się martwił. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wyszedł nam na spotkanie i mocno uściskał.

W końcu jakoś doszliśmy do siebie po przeżytym szoku, a tata podjął rozmowę z Mariem i Robertem. Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Po pięciominutowej rozmowie ojciec podziękował za telefon i przerwał połączenie.

— Ci skurwiele dzwonią do mnie, żeby się przekonać, czy przeżyłem. Podziękowałem im za zaofiarowaną pomoc, wiedząc doskonale, że to oni podłożyli bombę — powiedział, mając na myśli prawdopodobnych autorów zamachu. Nie wymienił nikogo konkretnie, ale potem dowiedzieliśmy się, że samochód pułapka był wypowiedzeniem wojny przez kartel z Cali.

Z kryjówki Bizcocho pojechaliśmy do małego mieszkania jednej z ciotek ze strony mamy, która udzieliła nam czasowego schronienia. Trauma wywołana zamachem była tak duża, że przez kolejnych sześć miesięcy spaliśmy przy zapalonym świetle.

Jakiś czas później jeden z „chłopców” ojca, biorący udział w namierzaniu osób odpowiedzialnych za odpalenie samochodu pułapki, powiedział mi, że to „Pacho” Herrera zatrudnił dwóch ludzi. Jeden z nich nazywał się Germán Espinosa alias „Indianin” i mieszkał w Cali. Odnalezienie ich na tamtym terenie nie było takie proste, więc tata zaoferował trzy miliony dolarów nagrody za informację o miejscu jego pobytu.

Podobno przez kilka tygodni bandyci najróżniejszej maści schodzili się do biura ojca w hacjendzie Nápoles, by zasięgnąć informacji o podejrzanych. Wreszcie któregoś dnia zjawiło się dwóch chłopaków o dobrotliwym wyglądzie, którzy poprosili o namiary na „Indianina”. Ojciec ostrzegł ich, by uważali, bo to bardzo niebezpieczny przestępca.

Wrócili po miesiącu, przywożąc ze sobą serię zdjęć, na których widać było martwego „Indianina”. Ojca zdumiała skuteczność tych dwóch młodzików. Wyjaśnili mu, że „Indianin” zajmował się obrotem

nieruchomościami i właśnie sprzedawał pewien dom. Wobec tego postanowili udawać parę homoseksualistów, którzy chcą kupić nieruchomość. „Indianin” wpadł w pułapkę i przy drugim spotkaniu, mającym na celu negocjowanie ceny domu, zabili go.

— Całe szczęście, że ci chłopcy, w których nie wierzyliśmy, załatwili „Indianina”, bo mógł nam wyrządzić wiele szkody — stwierdził ojciec po tych zdarzeniach.

Parę tygodni później usłyszałem, że „Pinina” schwytał wspólnika „Indianina”, kierowcę samochodu pułapki, który wyjawił, że w Cali załadowali do auta sześćset kilogramów dynamitu. Ta ilość wyjaśnia rozmiary szkód wywołanych wybuchem w budynku i jego sąsiedztwie. Najbardziej niewiarygodny w tej historii jest fakt, że „Indianin” na cztery dni przed zamachem zostawił auto pułapkę w Montecasino (posiadłości Castaño). Trzeba tu wyjaśnić, że Fidel i Carlos zostali przez niego oszukani, o czym powiadomili ojca, oferując zarazem swoją pomoc w znalezieniu go, ponieważ w przeszłości dla nich pracował.

Pomimo intensywnego prześladowania ze strony władz tata pozostał jeszcze dłuższy czas w Bizcocho. Nocami obserwował przez teleskop ruiny swojego budynku, knując plan zemsty na *capos* z Cali. Uznał, że w pierwszej kolejności należy pozbyć się ich z Medellín, atakując ich sieć drogerii La Rebaja i kilka rozgłośni radiowych należących do braci Rodríguez Orejuela. Potem przyszłaby pora, by złożyć im wizytę na ich terytorium w El Valle.

W ferworze przygotowań do właśnie rozpoczętej wojny do taty zadzwonił „Pinina” z informacją, że dopadł Andrésa Pastranę i że następnego dnia przywiezie go helikopterem „Kiko” Moncady do posiadłości Horizontes, w gminie El Retiro w Antioquii.

Tata i wujek Mario Henao pojechali tam natychmiast, żeby porozmawiać z Pastraną, bo planowali więzić go przez dłuższy czas. Początkowo nie zamierzali wyjawiać mu, kto go porwał, dlatego założyli na głowy kaptury, zanim weszli do pomieszczenia, w którym przywiązany do łóżka siedział polityk-dziennikarz. Jednak wujek przez nieuwagę zwrócił się do ojca imieniem Pablo i Pastrana natychmiast pojął, w czyje ręce wpadł, mimo że „Popeye", który na rozkaz „Pininy" wyciągnął go z siedziby partii, cały czas wmawiał mu, że to akcja M-19.

Społeczne i polityczne znaczenie Pastrany naprowadziło ojca na myśl, że gdyby miał w swoich rękach więcej tego typu osób, to państwo byłoby zmuszone zrezygnować z ekstradycji.

Równolegle do porwań mających na celu zastraszenie wszelkimi sposobami próbował zdobyć pieniądze na sfinansowanie wojny z państwem i kartelem z Cali, która wymagała coraz większych nakładów. „Chłopcy" opowiadali mi później, że ojciec zorganizował dwie grupy: jedna miała porwać w Miami Chavelly Iglesias (córkę piosenkarza Julia Iglesiasa), a druga w Nowym Jorku — syna magnata przemysłowego Julia Maria Santodomingo. Plan zakładał przewiezienie porwanych prywatnym samolotem z Miami do Kolumbii, nie został jednak zrealizowany.

Pastrana przebywał uwięziony w El Retiro, a ojciec w tym czasie powziął kolejny plan mający wywrzeć jeszcze większą presję na państwo: porwanie prokuratora generalnego, antioqueńczyka Carlosa Maura Hoyosa, który miał w zwyczaju prawie co weekend odwiedzać swoją matkę w Medellín. Wysoki rangą urzędnik objął stanowisko we wrześniu 1987 roku i od tamtej pory ojciec oczekiwał od niego jakiejś deklaracji przeciw ekstradycji, co Hoyos obiecał mu kiedyś podczas prywatnej rozmowy. Tata zlecił kolejne porwanie „Pininie", który wziął sobie do pomocy sześciu najlepszych *sicarios*.

Porwanie zostało zaplanowane na poniedziałek 25 stycznia rano, kiedy prokurator miał się pojawić na lotnisku José Marii Córdovy w Rionegro, w Antioquii, żeby polecieć do Bogoty. Wszystko jednak poszło inaczej, bo dwóch funkcjonariuszy DAS z obstawy urzędnika odpowiedziało ogniem, gdy *sicarios* zatrzymali ich na rondzie przed lotniskiem. Podczas strzelaniny ciężko ranny został „Smerf", jeden z ludzi „Pininy". Nie był odpowiednio zabezpieczony, bo tego samego dnia rano oddał swoją kamizelkę kuloodporną „Pukawie", który potrzebował jej na inną „robótkę". Podczas wymiany ognia „Smerf" postrzelił prokuratora w lewą kostkę. Kilka minut później zginęli obaj ochroniarze i „Pinina" przejął kontrolę nad sytuacją.

Ale na tym kłopoty się nie skończyły, bo rana uniemożliwiała prokuratorowi chodzenie, a odgłosy wystrzałów zaalarmowały władze lotniska. Z tego powodu został zabrany do posiadłości San Gerardo w gminie El Retiro, zaledwie dziesięć kilometrów od miejsca uwięzienia Andrésa Pastrany.

Po kilku godzinach ludzie ojca zostali otoczeni w wyniku wielkiej akcji, którą zorganizowały władze, żeby odbić prokuratora.

Dowiedziawszy się przez radiotelefon o rozwoju wypadków, ojciec poinstruował swoich ludzi: „Nie ma wyboru: trzeba zabić prokuratora. Trzymamy gościa akurat w środku militarnego oblężenia, które się zacieśnia, w tym samym rejonie co Andrésa Pastranę. Nie możemy pozwolić na to, żeby rząd dostał od nas w prezencie podwójne zwycięstwo. Odbiją Pastranę i prokuratora… Nie… Nie będziemy czekali z założonymi rękami jak jakieś cioty. Utrzemy trochę rogów rządowi".

Pierwotny plan, który miał doprowadzić do wynegocjowania większego okupu, nie mógł skończyć się gorzej: Pastrana został uwolniony, bo jego

strażnicy uciekli, widząc nadciągającą policję, a Hoyosa zabił „Pininę”, oddając do niego jedenaście strzałów.

Tego samego wieczoru zgodnie z instrukcjami ojca „Popeye” zadzwonił do rozgłośni radiowej Todelar w Medellín i złożył oświadczenie w imieniu Extraditables: „Wydaliśmy wyrok na prokuratora Carlosa Maura Hoyosa, ponieważ był zdrajcą i sprzedawczykiem ojczyzny. Nasza wojna wciąż trwa”.

Pod koniec tragicznego dnia, w którym zaliczył wpadkę, ojciec doszedł do wniosku, że powinien sięgnąć po nowe, jeszcze bardziej brutalne metody w walce z ekstradycją. Nie zdawał sobie sprawy, że sprowokował tym samym do działania swoich przeciwników. Jako syn czułem się bezradny wobec gwałtownych poczynań ojca, który nie słuchał niczyich rad ani błagań. Nie było sposobu, by coś mu wytłumaczyć lub przed czymś powstrzymać.

Jednocześnie *capos* kartelu z Cali uznali chyba, że ojciec walczy na zbyt wielu frontach, postanowili więc uderzyć w jego najsłabszy punkt: we mnie.

Miesiąc po ataku na budynek Mónaco ojciec kazał zniszczyć źródła dochodów swoich nowych nieprzyjaciół, ale ci oczywiście nie zamierzali do tego dopuścić. To być może jedyne wytłumaczenie zdarzenia, do jakiego doszło 21 lutego 1988 roku, kiedy przygotowywałem się do wyścigów motorowych po ulicach nieudanego projektu urbanistycznego Bello Niquía na północy Medellín.

Byłem już prawie gotowy do startu, z kaskiem na głowie, gdy nagle nadjechało dziesięć furgonetek z uzbrojonymi ludźmi, które zatrzymały się wprost na torze. Z jednego z samochodów wysiadł ojciec, przywitał się i zmierzwił mi włosy na oczach setek widzów.

— Nic się nie martw, synu. Paru gości chciało cię porwać. Planowali to zrobić podczas zawodów, doprowadzając do upadku motoru. Potem mieli cię zabrać, bo to jedyny moment, gdy nie masz przy sobie obstawy. Zostawiam ci tu „Pininę” i paru innych „chłopaków”, będą cię pilnowali. Jedź bez obaw — pocałował mnie w policzek, jeszcze raz pogładził po głowie i życzył powodzenia w wyścigu, radząc, bym jechał z wyczuciem i dobrze zapiął kask.

Kilka tygodni później wysoki rangą oficer wojska miał trafić na długą listę wrogów ojca. Generał Jaime Ruiz Barrera, który objął stanowisko komendanta Czwartej Brygady, pełnienie funkcji rozpoczął od przeprowadzonej w Medellín bezprecedensowej próby schwytania mego ojca. Operacja odbyła się tuż po piątej rano we wtorek 22 marca 1988 roku. Dwa tysiące żołnierzy, trzy helikoptery bojowe i kilka czołgów wojennych zajęło posiadłość Bizcocho, którą w rodzinie określaliśmy mianem „Staruszki”.

Tata nocował tam wówczas wraz z dziesięcioma swoimi ludźmi, ale stojąca na straży para wieśniaków zawiadomiła go przez radiotelefon, że zbliżają się wojskowi. Podobnie zachowało się dwóch wartowników ukrytych w górnej części szosy Las Palmas, którzy dojrzeli żołnierzy schodzących z gór.

Ojcu udało się zbiec z „Ottem”, Albeirem Areizą, „Mistrzem” i siedmioma innymi ochroniarzami, ale w drodze do następnej kryjówki przeżył dwie chwile grozy. Pierwsza z nich nastąpiła, kiedy szli przez góry i nagle z zarośli wyłonił się żołnierz, wymierzył do nich z karabinu, oparł lufę na piersi ojca, kazał podnieść ręce do góry i stać bez ruchu.

Tata zareagował z zimną krwią — zatrzymał się, żeby porozmawiać z żołnierzem:

— Spokojnie, bracie, spokojnie, zaraz się poddamy. Patrz tylko, jest tu ze mną jeden, dwóch, trzech — wyjaśniał w czasie gdy trzech z jego ludzi poszło do przodu, żeby ubezpieczać ucieczkę ojca z „Ottem” i „Mistrzem”.

Żołnierz nabrał podejrzeń i oddał kilka strzałów, które o mały włos trafiłyby ojca. Powiedział mi potem, że w tym momencie poczuł tchnienie śmierci, pociski niemal go musnęły, wzbijając w górę ziemię, która na niego prysnęła.

Czterysta metrów niżej, gdy ich grupa zbliżała się do szosy Las Palmas, pojawił się kolejny żołnierz, który próbował ich zatrzymać, ale ojciec wymierzył do niego z pistoletu i krzyknął:

— F-2, jesteśmy z F-2 (tajna policja)! Człowieku, daj mi pracować, prowadzę dwóch zatrzymanych. Zejdź mi z drogi.

Zdezorientowany żołnierz posłusznie ich przepuścił, jakby dostał rozkaz od samego generała. Ojciec, „Otto”, „Mistrzu” i jeszcze dwóch ludzi natychmiast ruszyło gęsiego w dół stoku. Ten właśnie moment został uchwycony przez fotografa dziennika „El Colombiano”, który przyjechał tam zaalarmowany ruchami wojska. Na zdjęciu widać idącego przodem ojca, a za nim dwóch uzbrojonych ludzi.

Tacie udało się wymknąć, ale generał Ruiz Barrera miał plany względem jego rodziny. Tego samego dnia rano wojskowi zajęli budynek Torres del Castillo, przy skrzyżowaniu Transversal Inferior z Loma de los Balsos, gdzie zatrzymali mamę. Jedna z ciotek niepokoiła się o nią i w rezultacie ją także zabrano do koszar Czwartej Brygady, gdzie przebywały cały dzień, nie mogąc się ze sobą kontaktować. Niemal jednocześnie, nie zważając na to, że miałem tylko jedenaście lat, żołnierze przyszli po mnie do szkoły San José de la Salle. Wtedy jeden z dozorców zobaczył nadciągający oddział i zaalarmował mojego ochroniarza. Pobiegliśmy do gabinetu dyrektora.

Dyrektor ukrył mnie pod swoim biurkiem, skąd słyszałem odgłosy kroków szukających mnie żołnierzy.

Wojsko zgarnęło także Carlosa, siedemdziesięcioszścioletniego dziadka mamy, w chwili gdy prowadził swoje volvo ulicą Medellín. Zarekwirowano mu samochód i odstawiono do bazy wojskowej w Envigado.

Pamiętam, że „Popeye”, dyżurny żartowniś grupy, kpił sobie z tej sytuacji.

— Dzięki Bogu zabrali brykę don Carlosowi, wreszcie skończą się korki w Medellín.

Po nieudanej operacji wojskowej ojciec wydał rozkaz zlikwidowania generała Ruiza. „Pinina” i siedmiu jego ludzi wynajęli mieszkanie w pobliżu koszar Czwartej Brygady, skąd obserwowali wszelkie jego ruchy. Potem przygotowali samochód pułapkę z potężnym ładunkiem, który zamierzali zdetonować w momencie przejazdu konwoju towarzyszącego wysokiemu rangą wojskowemu. Miał to być jeden z pierwszych zamachów z użyciem samochodu załadowanego materiałami wybuchowymi, ale nie udało się doprowadzić do eksplozji, bo zdalny detonator zawiódł co najmniej pięć razy. Jeździli za generałem Ruizem autem pułapką gotowym do wybuchu po całym Medellín, lecz oficer wykazywał wielki spryt, poruszając się po mieście.

Zemsta dosięgła natomiast sekretarkę generała odpowiedzialną za poufne informacje. Po wielu dniach śledzenia tej kobiety „Pinina” powiedział ojcu, że kończy ona pracę wieczorem i zawsze bierze taksówkę przed bramą koszar. Wobec tego postanowili wysłać na miasto o tej porze wiele taksówek ojca. W końcu wsiadła do jednej z nich.

Kilka tygodni później wojsko po raz pierwszy zaproponowało nagrodę za głowę ojca i zwróciło się z apelem do obywateli, by wysyłali informacje na jego temat na adres skrytki pocztowej. Tata wpadł więc na pomysł zalania

wojskowych skrytek fałszywymi informacjami, tak by uniemożliwić im poszukiwania. Wysłał jednego ze swoich ludzi do dzielnicy La Paz i zapłacił wielu rodzinom, żeby pisały listy, podając najróżniejsze tropy domniemanego miejsca jego pobytu. Każdy list powinien zostać nadany w zupełnie innym miejscu, opowiadać inną historię, być napisany innym charakterem pisma i na innym papierze. W listach trafiały się na przykład szczegóły tego rodzaju, że Pablo zapuścił brodę i ukrywa się w pewnym domu, w którym widywani są uzbrojeni mężczyźni. Albo też w posesji z wiecznie opuszczonymi żaluzjami widziano podejrzanych ludzi z długą bronią. Aby listy wyglądały autentycznie, ojciec płacił za wysyłanie ich z miejsc, gdzie zostały napisane. Chodziło mu o to, żeby wojsko nie było w stanie odróżnić i potraktować poważnie prawdziwej informacji, gdyby taka faktycznie nadeszła. Strategia ta przyniosła chyba dobre rezultaty, bo przez kilka miesięcy ojciec nie miał żadnych kłopotów.

Tak oto nadszedł rok 1989, który miał się okazać bardzo trudny dla kraju i dla nas. Podczas tych dwunastu miesięcy ojciec zintensyfikował wojnę z państwem, pragnąc za wszelką cenę doprowadzić do tego, by przestano traktować ekstradycję jako narzędzie, za pomocą którego Stany Zjednoczone i Kolumbia zwalczą narkobiznes.

Dowiedziawszy się, że wymiar sprawiedliwości dysponuje licznymi dowodami wiążącymi go z zabójstwem redaktora naczelnego pisma „El Espectador”, Guillerma Cano, ojciec wydał rozkaz zabicia adwokata, który w Bogocie reprezentował rodzinę Cano podczas śledztwa. Rankiem 29 marca 1989 roku dwóch *sicarios* zastrzeliło prawnika w jego samochodzie.

„Pukawa” opowiedział mi w sierpniu, że miesiąc wcześniej zgodnie z instrukcjami ojca (po wcześniejszym uzgodnieniu sprawy z „Meksykaninem”) przywódca paramilitarnych oddziałów Carlos Castaño

zorganizował na północy Bogoty zamach na szefa DAS, generała Miguela Mazę Márqueza z użyciem auta pułapki. Jednak oficer wyszedł z tego cało, bo ludzie Castaño aktywowali ładunek w nieodpowiednim momencie i siła wybuchu uderzyła jedynie w samochód z jego eskorty.

W związku z tym zdarzeniem „Pukawa” powiedział mi kiedyś, że Castaño dostał zadanie zlikwidowania oficera, bo miał informatorów w jednostce. Poza tym sam był informatorem DAS, współpracował z nimi przez wiele miesięcy, przekazując ważne informacje, co doprowadziło do zadania licznych ciosów przestępcom. Dało mu to dostęp do Mazy, z którym spotkał się kilka razy. Innymi słowy, Castaño był podwójnym agentem, dzięki czemu miał cenne informacje pochodzące z obu stron barykady.

Później dowiedziałem się, że ojciec i „Meksykanin” mieli swoje powody, by zaatakować Mazę. Tata wiedział doskonale, że szef DAS utrzymuje jakieś podejrzane kontakty z braćmi Rodríguez, jego wrogami z kartelu z Cali. „Meksykanin” natomiast, że Maza nagłośnił problem paramilitaryzmu, który Rodríguez Gacha wspierał z Magdalena Medio.

Pomimo niepowodzenia operacji przeciwko Mazie ojciec nakazał Castaño nie rozwiązywać grupy, żeby przypuścić kolejny atak. Nowa okazja miała się nadarzyć kilka tygodni później, kiedy Maza zachorował i potrzebował opieki pielęgniarki. Ludzie ojca zaproponowali jej ogromną kwotę w zamian za otrucie go, ale z jakichś przyczyn ten plan się nie powiódł.

W połowie czerwca ojciec przebywał w kryjówce Marionetas w hacjendzie Nápoles. Z wiadomości o siódmej wieczorem dowiedział się, że na zjeździe partii Nowy Liberalizm, odbywającym się tego dnia w Cartagenie, Luis Carlos Galán zdecydował się wrócić do Partii Liberalnej, pod warunkiem że w drodze wewnętrznego głosowania

wybrany zostanie kandydat, który wystartuje w wyborach prezydenckich w maju 1990 roku. Podczas wystąpienia na zjeździe Galán znów podjął kwestię ekstradycji, przekonując, że to jedyne skuteczne narzędzie walki z narkobiznesem.

Choć ojciec nie podniósł głosu, wszyscy obecni usłyszeli zdanie, które zabrzmiało jak wyrok:

— Póki ja żyję, nigdy nie zostaniesz prezydentem. Trup nie może być prezydentem.

Natychmiast skontaktował się z „Meksykaninem” i umówili się na spotkanie za kilka dni u niego, w Magdalena Medio.

Po długiej naradzie, w czasie której ocenili prawne i polityczne konsekwencje zbrodni, ustalili, że ojciec stanie na czele zamachu i zlikwiduje Galána, kiedy ten przyjedzie do Medellín prowadzić kampanię polityczną. Tata polecił Ricardowi Prisco Loperze, żeby pojechał do Armenii, kupił samochód i przepisał go na nazwisko Helmera „Pacho” Herrery. Miał nadzieję, że z tego powodu władze obciążą *capo* z Cali odpowiedzialnością za zamach, kiedy do niego dojdzie.

W czasie gdy Prisco pracował nad tym planem, w początkach lipca doszło do fatalnej pomyłki, bo siepacze ojca zdetonowali samochód pułapkę podczas przejazdu konwoju gubernatora Antioquii Antonia Roldána Betancura, sądząc, że to pułkownik Valdemar Franklin Quintero, komendant antioqueńskiej policji.

Ojciec wściekł się na wieść, że ofiarą zamachu padł Roldán, a nie pułkownik. Dowiedziałem się potem, że za aktywację zdalnego detonatora odpowiadał „Mame”, który czekał, aż „Paskin” zawiadomi go, że cel znajduje się w pobliżu bomby. Jednak „Paskin” pomylił samochód (niebieskiego mercedesa) i eskortę Roldána z konwojem Valdemara Franklina Quintero i przez radiotelefon dał znak, który doprowadził do

silnego wybuchu, a w konsekwencji do śmierci gubernatora i pięciu innych osób.

Rozpoczęta przez ojca fala terroru, mająca zastraszyć sędziów, przybrała na sile w następnych miesiącach, kiedy jego ludzie zabili w Medellín sędzię Sądu Rejonowego, a także sędzię Sądu Okręgowego. W Bogocie z kolei został zamordowany sędzia Sądu Okręgowego. Lista Kolumbijczyków poległych w tej smutnej wojnie stawała się coraz dłuższa, bo ojciec przestał dbać o konsekwencje swoich działań.

Pierwszego sierpnia tata dowiedział się z wiadomości, że Luis Carlos Galán przyjedzie na Uniwersytet w Medellín z wykładem. Uznał to za dobrą okazję do ataku i wydał braciom Prisco rozkaz, żeby przygotowali zamach, który miał zostać przeprowadzony z użyciem dwóch pocisków rakietowych Rocket wystrzelonych w kierunku miejsca pobytu ofiary.

Rano 3 sierpnia wszystko było gotowe i Prisco kazał ustawić zakupioną w Armenii furgonetkę marki Mazda Station Wagon na porzuconej działce położonej o dwie przecznice od uniwersytetu. Stamtąd planowano wystrzelić rakiety, ale plan się nie powiódł, gdyż z drugiego piętra, z okien swojego mieszkania jakaś kobieta zauważyła podejrzane ruchy i zaalarmowała policję, która wysłała kilku mundurowych, by sprawdzili doniesienie. Kiedy ich odkryto, ludzie odpowiedzialni za zamach porzucili samochód z pociskami i uciekli.

Ojciec zadzwonił do „Meksykanina”, opowiedział mu, co zaszło w Medellín, i ustalili, że spotkają się ponownie. W jakiś czas po tych wydarzeniach dowiedziałem się, iż podczas tej rozmowy uzgodnili, że do następnego zamachu dojdzie w Bogocie, ale tym razem sprawą zajmie się „Meksykanin”. Wówczas padło nazwisko Carlosa Castaño, który cały czas trzymał w gotowości ludzi mających dokonać ataku na generała Mazę Márqueza.

Castaño, któremu powierzono to zadanie, uciekł się do swoich kontaktów w DAS i zaczął gromadzić szczegółowe informacje na temat procedur bezpieczeństwa Galána, jak również jego prywatnego rozkładu dnia.

W połowie sierpnia Castaño skontaktował się z ojcem i zawiadomił go, że wszystko gotowe. Poza tym poprosił go o pomoc, bo nie udało mu się znaleźć w Bogocie karabinu maszynowego mini-atlanta, który wybrał do tego zadania ze względu na jego zwrotność i rozmiar. W ciągu dwóch dni „Pinina" zdobył karabin i przekazał go przysłanemu przez Castaño człowiekowi.

Od swoich informatorów w DAS Castaño dowiedział się z dwudniowym wyprzedzeniem, że wieczorem w piątek 18 sierpnia 1989 roku Galán weźmie udział w wiecu na głównym placu w gminie Soacha, na południu Bogoty. Poznawszy najważniejsze szczegóły, ojciec i „Meksykanin" dali zielone światło dla przeprowadzenia planu, który według pomysłodawcy miał być niezawodny, bo Castaño zamierzał wprowadzić kilku swoich ludzi do obstawy Galána, gdy tylko ten dotrze na miejsce mityngu.

Ojciec wiedział, że zabójstwo Galána będzie miało poważne konsekwencje, ponieważ państwo skupi się na walce z mafią, a w szczególności z nim i „Meksykaninem", uchodzącymi za jego głównych wrogów. Dlatego też polecił zwiększyć środki ostrożności wokół kryjówki zwanej La Rojita, czerwonego domu przy szosie między Medellín a gminą La Ceja, na wschodzie Antioquii, gdzie ukrywał się w tamtym okresie. My dotychczas mieszkaliśmy w Altos, ale przenieśliśmy się do penthouse'u Cero Cero w budynku Ceiba del Castillo w Medellín.

W piątek 18 sierpnia ojciec jak zwykle spał niemal do południa. Gdy się obudził, został poinformowany, że wcześnie rano, przed siódmą, komando złożone z sześciu ludzi, na czele których stał John Jairo Posada alias „Titi", podziurawiło kulami pułkownika Valdemara Franklina Quintero, kiedy jego

samochód zatrzymał się na światłach między dzielnicami Calazans i La Floresta w Medellín.

Zbrodnię popełniono w stylu sycylijskiej mafii: mordercy ustawili się naprzeciw auta pułkownika i strzelali bez przerwy, póki nie opróżnili magazynków swoich karabinów. Z tego, co powiedziano ojcu, oficer dostał około stu pięćdziesięciu kul. W tamtych dniach tata często wspominał Salvatore „Toto" Riinę, jednego z najsłynniejszych członków sycylijskiej mafii, od którego zapożyczył terrorystyczne metody z samochodami pułapkami, a który wypowiedział wojnę państwu włoskiemu za pomocą zabójstw ważnych osób.

Po zamordowaniu pułkownika policji prezydent Barco zapowiedział nowe, bardziej stanowcze metody zwalczania terroryzmu i kartelu z Medellín, lecz tego dnia histeria w kraju się nasiliła, gdy wieczorem okazało się, że Luis Carlos Galán zmarł w wyniku ciężkich obrażeń odniesionych na placu w Soacha. Plan Carlosa Castaño przyniósł oczekiwany skutek.

Potem dowiedziałem się, że w sobotę 19 sierpnia o świcie Fidel i Carlos Castaño przyjechali do kryjówki La Rojita, by porozmawiać z ojcem. Nie było nas tam wówczas, ale potem powiedzieli mi, że mowa była o skuteczności osób biorących udział w zamachu i o fali ataków i prześladowań, które zapewne nastąpią w odwecie. Na koniec ojciec powiedział braciom Castaño, że bierze na siebie szacowane na dwieście pięćdziesiąt milionów pesos koszty operacji, które przekaże im w gotówce w przyszłym tygodniu.

Ale Fidel się nie zgodził:

— Spokojnie, Pablo, nic nam nie jesteś winien. Ja wyłożę tę kasę jako mój wkład w wojnę [37].

Zgodnie z zasadą, by nie przebywać zbyt długo w jednym miejscu, szczególnie istotną w sytuacji gdy wymierzone przeciw niemu działania się nasilały, ojciec przeniósł się z kryjówki La Roja do El Oro, o kilka kilometrów od portu Cocorná, w Magdalena Medio.

Tam właśnie znajdował się 23 listopada z wujkiem Mariem Henao i Jorge Luisem Ochoą, kiedy o szóstej rano zawiadomiono ich, że z bazy w Palanquero wyruszyło w ich stronę kilka helikopterów i ludzie z Elitarnej Antyterrorystycznej Jednostki Policji.

Ojciec sądził, że akcja nie jest skierowana przeciwko niemu, i spokojnie czekał. Pomylił się jednak, bo kilka minut później pojawił się helikopter bojowy, który zmusił ich do ucieczki. Maszyna nie mogła wylądować, ponieważ tata kazał porozkładać dziesiątki długich belek powiązanych stalowym drutem.

Pośród chaosu wywołanego zaimprowizowaną ucieczką otworzono do nich ogień z powietrza. Tak zginął wujek Mario, który nie zdążył się ukryć.

Ojciec z Jorge Luisem zdołali zbiec, jednak w wyniku tej operacji zginął najlepszy przyjaciel taty, jedyny, z którego zdaniem się liczył i którego się obawiał: wujek Mario. „Będę bratem twoich braci”, napisał potem w pośmiertnym liście do serdecznego druha.

Obława prowadzona przez wszystkie państwowe siły bezpieczeństwa wciąż trwała. Pewnej nocy w kolejnej kryjówce tatę odwiedził jego adwokat, prosząc o powstrzymanie fali terroru. Ojciec jednak uważał inaczej:

— Mecenasie, podczas drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone rzuciły Japonię na kolana z pomocą bomb. Zamierzam zrobić to samo: rzucę ten kraj na kolana moimi bombami.

I tak właśnie zrobił.

O wpół do siódmej rano w sobotę 2 września don Germán (sześćdziesięcioletni członek bandy „Pininy”) na stacji benzynowej położonej naprzeciw wejścia do redakcji dziennika „El Espectador” w Bogocie wysadził furgonetkę załadowaną ponad stu kilogramami dynamitu. Kilka godzin później wysłani przez ojca ludzie zniszczyli letni dom rodziny Cano na wyspach Rosario.

Po upływie kilku dni „Pinina” wpadł na chwilę do kryjówki i przedstawił nam szczegóły zamachu na „El Espectadora”.

W kolejnych tygodniach ojciec siał chaos: jego ludzie (coraz sprawniej radzący sobie z detonacją aut pułapek i ładunków wybuchowych) spowodowali poważne zniszczenia w dziesiątkach lokali partyjnych w Bogocie, w hotelu Hilton w Cartagenie, w siedzibie dziennika „Vanguardia Liberal” w Bucaramanga i w wielu innych miejscach.

Uznawszy wreszcie, że rząd dojrzał już do negocjacji podobnych do tych, których spróbował w 1984 roku po zabójstwie ministra Rodriga Lary, ojciec poprosił adwokata Guida Parrę[38] o zorganizowanie spotkania z jego ojcem chrzestnym, byłym ministrem Joaquínem Vallejo Arbeláezem, przez którego zamierzał przekazać wiadomość rządowi.

W różnych częściach kraju nadal wybuchały bomby, przygotowując grunt do wykonania następnego kroku przewidzianego w strategii ojca, który spotkał się potajemnie z Vallejo i Parrą. Wspólnie przygotowali propozycję ze strony Extraditables, którzy godzili się oddać w ręce władz w zamian za szereg prawnych przywilejów, wśród których na pierwszym miejscu znalazł się zakaz ekstradycji. Niemal natychmiast Vallejo spotkał się w Bogocie z głównym sekretarzem prezydenta, Germánem Montoyą Velézem i poinformował go o inicjatywie ojca.

Jednak, podobnie jak miało to miejsce wcześniej, wiadomość o spotkaniu wyciekła (tym razem w dzienniku „La Prensa”, własności rodziny

Pastrana). Rząd nie miał wyboru i musiał publicznie ujawnić, że otrzymał propozycję ze strony mafii, którą zdecydowanie odrzucił.

„Pukawa” opowiedział mi, że gdy znów została zaprzepaszczona szansa na negocjacje z rządem Barco, ojciec z „Meksykaninem” postanowili zorganizować zamach na najpopularniejszego kandydata na prezydenta — Césara Gavirię.

Jak było do przewidzenia, kandydat liberalny podtrzymał hasła głoszone przez zamordowanego lidera co do ekstradycji, dlatego znów zwrócili się do Carlosa Castaño w sprawie organizacji kolejnego zamachu. Bardzo szybko jednak zdali sobie sprawę, że Gaviria jest pilnie strzeżony i zaatakowanie go tradycyjnymi metodami będzie dość trudne.

W końcu Castaño doszedł do wniosku, że jedyny sposób na zlikwidowanie Gavirii to zamach w samolocie. „Pukawa”, ojciec i „Meksykanin” opowiadali mi potem, że dali zielone światło dla tej akcji i „Kolczyk” (o czym informowała prokuratura, kiedy oddał się już w ręce wymiaru sprawiedliwości) zobowiązał się przygotować bombę z silnym ładunkiem wybuchowym i umieścić ją w teczce. W tym czasie Castaño zwerbował ubogiego chłopaka z problemami zdrowotnymi, praktycznie w beznadziejnej sytuacji, który miał wziąć bombę i zdetonować ją po starcie samolotu. W zamian zaoferował mu pokaźną sumę dla jego rodziny. W środowisku mafii antioqueńskiej chłopak ten znany był jako „kamyk”, co stanowiło skrót od słowa „kamikadze”.

„Pukawa” opowiadał dalej, że Castaño oszukał „kamyka”, a przy okazji „Kolczyka”, i podmienił bombę, żeby wybuchła nie wtedy, kiedy zostanie zdetonowana, lecz kiedy samolot osiągnie wysokość dziesięciu tysięcy stóp.

Nie było sposobu poznania rozkładu spotkań Gavirii w ramach kampanii ani szans na wydobycie informacji od jego ochrony. Ale Castaño uzyskał

z państwowej kontroli lotów informację, że kandydat ma bilet na poniedziałek 27 listopada na lot 1803 liniami Avianca w samolocie wylatującym o siódmej trzynaście rano z Bogoty do Cali [39].

Po fakcie okazało się, że informacja zdobyta przez Castaño była błędna. Samolot wybuchł w chwili, gdy przelatywał nad gminą Soacha, tą samą, gdzie zamordowano Galána. Jednak Gavirii nie było na pokładzie.

Destabilizująca kraj brutalna siła na usługach mego ojca zdawała się nie mieć granic. Państwo nie było w stanie poradzić sobie z wszechobecną armią zabójców. Mimo tej ogromnej potęgi, którą demonstrował, wiedzieliśmy, że skutki działań ojca muszą w końcu dotknąć osób z jego otoczenia.

Mroczna siła doszła ponownie do głosu 6 grudnia, kiedy Carlos Castaño posłał busa załadowanego dynamitem prosto na siedzibę DAS w Paloquemao w centrum Bogoty. Po raz kolejny chodziło o pozbycie się generała Mazy.

Jakiś czas później dowiedziałem się od „Pukawy”, że ojciec polecił Castaño zrównać siedzibę DAS z ziemią. W tym celu kazał wzmocnić podwozie busa tak, by wytrzymało ciężar jedenastu ton dynamitu, które jego zdaniem powinny wystarczyć do zniszczenia budynku. Ludzie Castaño zaczęli rozmieszczać ogromne ilości ładunku wybuchowego wzdłuż karoserii auta, ale tylko do wysokości okien, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Jednak w związku z takim zamocowaniem zmieściło się tam tylko siedem ton dynamitu. Pozostałe cztery wróciły do magazynu. Bus wybuchł bardzo blisko głównego wejścia do budynku, co przyniosło setki ofiar i rannych oraz straty materialne trudne do oszacowania. Generał Maza raz jeszcze uszedł z życiem.

Tamtej nocy ojciec oglądał wiadomości telewizyjne, w których oficjalne źródła podawały, że bus miał w środku około siedmiuset kilogramów

materiałów wybuchowych. Usłyszawszy tę wiadomość, nie potrafił się powstrzymać od komentarza: „Te cipy nie mają o niczym pojęcia, zawsze podają dziesięć razy mniej dynamitu, niż rzeczywiście użyłem”.

W piątek 15 grudnia 1989 roku w konfrontacji między państwem a mafią nastąpił radykalny zwrot: w wiadomościach podano, że podczas policyjnego szturmu w porcie Coveñas nad Morzem Karaibskim zginął „Meksykanin”.

Ojciec ubolewał nad jego śmiercią. Od dawna się przyjaźnili. Nigdy się nie kłócili. Uważał go za walecznego człowieka, na którego można liczyć zarówno w dobrych, jak i w złych okolicznościach. Niemal zawsze pozdrawiali się serdecznym „witaj, kumie”, bo tata był ojcem chrzestnym jednego z dzieci „Meksykanina”. Zawsze się dziwił, że mimo plebejskiego wyglądu Gonzalo Rodríguez pozwalał sobie na wielkopańskie kaprysy. Życzył sobie na przykład, by dezynfekowano toaletę spirytusem, ilekroć miał z niej skorzystać, kilka razy w tygodniu chodził na manicure, a papier toaletowy sprowadzał z Włoch.

„Meksykanin” zwierzył się kiedyś ojcu, że lęka się o swoje życie. Ukrywał się w El Peñol, w kryjówce La Isla, skąd zawiadomił ojca, że policja i kartel z Cali mają go na oku, bo znaleźli wśród jego ludzi jakąś wtyczkę.

Jego podejrzliwość osiągnęła w końcu takie rozmiary, że w jednej chwili opuścił wyspę ścieżką prowadzącą do domu położonego w gminie Barbosa, w Antioquii, a dwa tygodnie później uciekł także stamtąd, bo znów był przekonany, że depczą mu po piętach.

Ojciec zaproponował mu pobyt w kryjówce, w której sam przebywał, ale „Meksykanin” wolał pojechać na wybrzeże.

— Andrés, człowieku — tak tata zwracał się do „Meksykanina” — przyjedź do mnie, na wybrzeżu jest bardzo niebezpiecznie. Nie ma tam

selwy, a *gringos* wyciągną człowieka z każdej dziury… Nad morzem jest gorzej.

Po śmierci „Meksykanina”, z braku perspektyw na negocjacje z rządem w bliskim czasie, ojciec znów skupił się na sianiu terroru i szantażach, pragnąc, by państwo ani na chwilę nie zapomniało o wyzwaniu, które mu rzucił.

Pięć dni po operacji przeciw Rodríguezowi Gacha, kiedy w kraju panowała jeszcze radość z powodu ciosu zadanego kartelowi z Medellín, w wiadomościach podano, że ludzie ojca porwali w Bogocie Álvara Diega Montoyę, syna sekretarza stanu, Germána Montoyi. W Medellín uprowadzono zaś Patricię Echevarríę de Velásquez i jej córkę Dinę, córkę i wnuczkę przemysłowca Elkina Echevarríi, spokrewnionego z prezydentem Barco.

Porwania doprowadziły do szybkiego wznowienia rozmów z rządem i powrotu do koncepcji, żeby ojciec oddał się w ręce sprawiedliwości. Rodzina Montoya poprosiła o pośrednictwo przemysłowców J. Maria Aristizábala i Santiaga Londoña, którzy skontaktowali się z adwokatem Guidem Parrą w nadziei, że uda mu się nakłonić ojca do uwolnienia porwanych.

Przez Aristizábala i Londoña dotarły do ojca sygnały ze strony wysoko postawionych osób w rządzie, że istnieje szansa na uzyskanie specjalnego traktowania prawnego. Skłoniło go to w połowie stycznia 1990 roku do wypuszczenia na wolność trzech zakładników i wydania oświadczenia w imieniu Extraditables, w którym uznawał zwycięstwo instytucji i ogłaszał jednostronne zawieszenie broni. Na znak dobrej woli (akurat kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush przybył do Cartageny z oficjalną wizytą) przekazał władzom ośrodek produkcji kokainy w Urabá, autobus szkolny z toną dynamitu i helikopter.

Tajne rozmowy pomiędzy ojcem a wysłannikami rządu doprowadziły do sporządzenia dokumentu, w którym określono warunki jego oddania się w ręce władz. Rząd zaczął zarazem powoli przeciągać procedurę ekstradycji w niektórych przypadkach. W tamtych dniach prezydent Barco powiedział nawet, że „jeśli handlarze narkotyków skapitulują i oddadzą się w nasze ręce, możemy rozważyć możliwość porozumienia". Nieraz prosiłem ojca, żeby znalazł pokojowe rozwiązanie swoich problemów, oraz zachęcałem go do skończenia z przemocą i poświęcenia się rodzinie.

Jednak zamordowanie lewicowego lidera, a zarazem kandydata na prezydenta z ramienia Unii Patriotycznej, Bernarda Jaramillo Ossy, do którego doszło 22 marca 1990 roku, oraz natychmiastowa rezygnacja ministra rządu Carlosa Lemosa Simmondsa (który oskarżał go o związki z FARC) po raz kolejny zaprzepaściły szansę wynegocjowanego z ojcem rozwiązania. Oznaczało to początek nowej fali terroru, jakiej Kolumbia wcześniej nie zaznała.

Niemal natychmiast po śmierci Jaramillo władze obciążyły odpowiedzialnością za nią ojca, który w odpowiedzi napisał list otwarty. Odrzucił w nim to oskarżenie i oświadczył, że darzył szacunkiem zmarłego polityka, ponieważ sprzeciwiał się on ekstradycji i popierał ideę negocjacji z mafią. Na końcu listu ojciec przypomniał wywiad udzielony przez Jaramillo czasopismu „Cromos", w którym ten powiedział, że „teraz wszystko co złe przypisuje się Pablowi Escobarowi. On będzie kozłem ofiarnym, obarczonym odpowiedzialnością za wszystkie strzelaniny, do jakich doszło w tym kraju w ostatnich latach. Ale są tu wysoko postawieni urzędnicy powiązani z grupami paramilitarnymi, którzy powinni odpowiedzieć przed narodem za popełnione przez siebie zbrodnie". Mówiąc o tej śmierci, ojciec wspominał zwykle, że Jaramillo Ossa prosił go

o wstawienie się za nim u braci Castaño, ze strony których obawiał się ataku.

— To byli Fidel i „Carlitos”. Ale przyjaźnimy się, więc nie mogę nic powiedzieć ani niczego wyjaśnić [40].

Dymisja ministra Lemosa wyciągnęła na światło dzienne fakt, że po porwaniu Álvara Diega Montoyi w grudniu poprzedniego roku rząd Barco uchylił furtkę dla negocjacji z ojcem, o których społeczeństwo nie wiedziało. Wówczas funkcjonariusze, którzy brali udział w rozmowach (a wśród nich Germán Montoya), oświadczyli publicznie, że nigdy nie było mowy o rezygnacji z ekstradycji, a jedyna możliwa opcja to bezwarunkowa kapitulacja karteli.

Co do Lemosa, to pamiętam pewną wypowiedź ojca:

— Popatrz tylko, z czym mi tu wyskakuje ten Lemos. Wszystko mi schrzanił, a teraz kiedy go wyrzucili i nie ma nic do gadania, każe mi przekazać, że jest na moje rozkazy, i pyta, w czym mógłby mi pomóc.

Nieudane negocjacje w połączeniu z oszustwem, którego poczuł się ofiarą, doprowadziły ojca do tego, że 30 marca 1990 roku ogłosił ustami Extraditables wznowienie wojny z państwem.

W kolejnych tygodniach jego aparat kryminalny rozpoczął nową falę terroru. Słyszałem, jak ludzie ojca mówili, że zdetonowali bomby w dzielnicach Quirigua i Niza w Bogocie, w centrum Cali i w hotelu Intercontinental w Medellín. Jednocześnie polecił zaatakować frontalnie Elitarną Jednostkę Policji, stworzoną specjalnie w celu schwytania Pabla Escobara. Wynik: dwa samochody pułapki wybuchły obok ciężarówek wiozących członków tej jednostki.

Ojciec dostawał też dokładne informacje o atakach dokonywanych na mieście przez próbujące go ująć władze. W tamtym czasie często dochodziło do masakr na ulicach ubogich dzielnic Medellín,

przeprowadzanych przez rewolwerowców, którzy usiłowali zdziesiątkować prywatną armię ojca. Raz wspomniano nawet w wiadomościach, że patrol wojskowy przeszkodził w strzelaninie i zatrzymał kilku funkcjonariuszy Dijin[41].

W odwecie tata postanowił zadać policji z Medellín mocny cios, uciekając się do dwóch brutalnych metod.

Pierwsza, zgodnie z tym, co opowiadał mi potem „Pinina", polegała na atakach dynamitowych z udziałem „kamikadze" czy też straceńców, to znaczy osób, które najpierw zatrudniano przy handlu małymi ilościami koki, płacąc im skrupulatnie za te usługi, żeby zdobyć ich zaufanie. Następnie wysyłano nieszczęśników z „towarem", jednak tym razem w paczce zapakowanej tak samo jak biały proszek nieśli ładunek wybuchowy. Kiedy przechodzili przez policyjne kontrole lub obok blokad, strategicznie ustawione osoby zdalnie aktywowały detonator. Ojciec doszedł do wniosku, że detonatory zakupione za radą hiszpańskiego terrorysty nie działały jak należy, i polecił nabyć zdalne sterowniki, jakich używają modelarze przy obsłudze swoich samolotów.

Drugą metodę określano jako „plan pistolet". Była ona wymierzona przeciw miejskim policjantom. W tym celu ojciec kazał wyjąć ze skrytek dziesiątki sztuk broni, które przechowywał w wielu częściach miasta, i rozdać je bandom z różnych dzielnic, by ich członkowie mogli się bronić, a przy okazji strzelali do każdego policjanta, jaki się tam pokaże. Zabójcy otrzymywali nagrody, których wysokość zależała od rangi zabitego funkcjonariusza. W krótkim czasie zginęło w mieście ponad trzystu policjantów. Kiedy zakończył się ten straszny okres, mówiono, że wystarczyło, by zabójca przyszedł po zapłatę do biura ojca z wycinkiem z gazety informującym o zdarzeniu.

— Nie będą z nami negocjować, dopóki nie spowodujemy koszmarnego chaosu. A więc tak właśnie się stanie — powiedział w tych dniach ojciec do swojego adwokata Aristizábala, który przyszedł omówić z nim kilka kwestii prawnych.

Tak oto na początku czerwca 1990 roku, wobec ciężkiej atmosfery w Medellín, po którym krążyły dziesiątki uzbrojonych ludzi z obu stron barykady i które w gruncie rzeczy przeżywało wojnę domową, ojciec zdecydował się wywieźć mnie z kraju pod pretekstem kibicowania kolumbijskiej reprezentacji piłki nożnej na mundialu we Włoszech.

Wysłał mnie z naszym krewnym Alfredem Astado oraz z „Pitą” i „Juanem” w charakterze obstawy. Ponieważ tata obawiał się, że jego wrogowie mnie tam namierzą, zapłacił pewnemu człowiekowi za nowe dokumenty dla mnie, wysłał mu moje zdjęcia i odciski palców. Bardzo się chełpił tym pomysłem, bo był pewien, że przejdę wszystkie kontrole celne i policyjne w dowolnej części świata.

Tak też się stało i 9 czerwca obejrzeliśmy mecz inauguracyjny między Włochami i Austrią na Stadionie Olimpijskim w Rzymie, a w następnych dniach kibicowałem reprezentacji Kolumbii na meczach z Jugosławią i Niemcami. Za każdym razem przychodziłem z twarzą pomalowaną w barwy narodowe, na żółto-niebiesko-czerwono, i przykrywałem głowę flagą oraz nosiłem ciemne okulary, więc praktycznie byłem nie do rozpoznania.

A jednak nasz pobyt w Europie miał się okazać skomplikowany, bo nie byłem w stanie oderwać się od dzienników i czasopism, które docierały do nas z ośmiodniowym poślizgiem. Usiłowałem choćby trochę zorientować się, co się dzieje w Kolumbii i z moim ojcem.

Tą właśnie drogą dowiedziałem się, że 14 czerwca ojcu zadano poważny cios — policja zabiła „Pininę”, szefa militarnego organizacji [42].

Włoskie hotele były przepełnione, pojechaliśmy więc pociągiem do Lozanny w Szwajcarii i zatrzymaliśmy się w hotelu De La Paix. Nie miałem ochoty na zwiedzanie, wolałem grać w karty z „Pitą” i „Juanem”, ale przebywanie przez dłuższy czas w pokoju zagranicznych gości musiało wydać się podejrzane właścicielowi hotelu, który zawiadomił miejscowe władze.

W południe wyszliśmy, żeby się przewietrzyć i zjeść coś w chińskiej restauracji. Wtedy zjawiło się nagle dziesięciu policjantów, którzy nas zrewidowali i wyprowadzili zakutych w kajdanki. Na zewnątrz czekało jeszcze więcej policji i co najmniej dziesięć radiowozów z włączonymi syrenami, a cały kwartał został wydzielony żółtymi taśmami, które zamykały dostęp przechodniom.

Rozdzielono nas i zaprowadzono mnie do budynku tajnej policji, gdzie znajdowała się cela z czerwonymi drzwiami i szybami kuloodpornymi. Tam kazali mi się rozebrać i zrewidowali mnie jeszcze raz. Pięć godzin później mężczyzna z kobietą zabrali mnie do auta i przewieźli do innego tajnego lokum, gdzie poddano mnie dwugodzinnemu przesłuchaniu.

Powiedzieli, że nie rozumieją, dlaczego trzynastoletni chłopiec nosi zegarek Cartiera wart dziesięć tysięcy dolarów, a ja im na to, że mój tata jest w Kolumbii hodowcą bydła i kiedy sprzedał część krów, których miał ponad trzy i pół tysiąca, podarował mi zegarek.

Ostatecznie nie znaleźli żadnego powodu, by nas dłużej przetrzymywać, i wkrótce spotkałem się znów z Alfredem i moimi ochroniarzami, którzy także odzyskali już wolność. Policjanci zapytali, dokąd mają nas odwieźć, bo chyba byli zawstydzeni całą sytuacją, a my odpowiedzieliśmy, że do tej samej chińskiej restauracji, z której nas zabrali.

Kataklizm, przez który w tamtym czasie przechodziło Medellín w wyniku wojny toczącej się między ojcem, władzami i kartelem z Cali,

miał osiągnąć apogeum w straszliwej masakrze, do której doszło akurat w dniu, w którym reprezentacja Kolumbii odpadła z mundialu, przegrywając z Kamerunem.

Stało się to nocą w sobotę 23 czerwca 1990 roku. Uzbrojone komando wtargnęło do dyskoteki Oporto w El Poblado, znanego miejsca rozrywki bogatych ludzi z Medellín. Około dwudziestu ubranych na czarno mężczyzn w skórzanych czapkach i wyposażonych w karabiny maszynowe przyjechało czarnymi furgonetkami z przyciemnianymi szybami. Zastraszyli ochroniarzy i kazali im zejść gęsiego na parking dyskoteki. Potem otworzyli ogień do gości. Zabili dziewiętnaście młodych osób w wieku od dwudziestu do dwudziestu czterech lat i ranili pół setki innych.

Władze natychmiast obciążyły winą ojca, argumentując, że nienawidzi bogaczy z Medellín. Ale potem, kiedy się razem ukrywaliśmy, rozmawiałem z nim o tamtej masakrze i powiedział mi, że nie miał z nią nic wspólnego.

— Grégory, gdyby tak było, powiedziałbym ci. Mam już tyle rzeczy na sumieniu, że nie robi mi różnicy przyznać się do jednej więcej. W pobliżu była blokada Jednostki Elitarnej. Zabójcy przejechali koło niej bez problemu. Sądzę, że to właśnie oni zorganizowali tę masakrę, bo w to miejsce często chodzili ochroniarze „Otta”. Zginął tam tylko jeden mój człowiek… Reszta nie miała nic wspólnego z przestępczością.

Mimo wygód w podróży bardzo się niepokoiłem i chciałem poznać prawdziwą sytuację ojca oraz jego perspektywy na najbliższą przyszłość, dlatego często do niego pisałem. Odpowiedział mi długim listem z 30 czerwca, który dotarł do mnie tydzień później, akurat gdy za chwilę do Europy miała przylecieć mama z Manuelą, żeby przyłączyć się do nas, bo ojciec uważał, że powinniśmy uczyć się języków obcych.

*Kochany Synku*,

*Przesyłam ci mocne uściski i szczególne pozdrowienia.*

*Tęsknię za Tobą i bardzo Cię kocham, ale zarazem cieszę się, bo wiem, że jesteś bezpieczny i masz więcej wolności niż tutaj. Powinieneś wiedzieć, że postanowiłem wysłać do Ciebie mamę i siostrzyczkę. Sam przecież pisałeś mi w liście, że nie chcesz, by okazało się po Twoim powrocie, że kogoś brakuje, a na pewno zdajesz sobie sprawę, że sytuacja tutaj zrobiła się dość skomplikowana.*

*Nie zapominaj nigdy, co Ci powiedziałem: trzeba wierzyć w przeznaczenie, nie zmienimy tego, co nam pisane.*

*Czytałem ostatnio w gazecie list, który do prezydenta Carlosa Menema z Argentyny napisał jego syn, zarzucając mu, że wyrzucił z Pałacu Prezydenckiego swoją rodzinę i że brakuje mu honoru, a władza uderzyła mu do głowy.*

*Bardzo mnie to zszokowało i zdumiało. Od razu poszedłem przeczytać ponownie Twój wcześniejszy list. Ta lektura uspokoiła mnie i przepełniła dumą. Chciałbym tylko, żebyś mógł żyć w spokoju i dobrze się czuł. Żebyś zrozumiał, że czasem rodziny muszą się na jakiś czas rozdzielać w związku z różnymi rzeczami, które im się przytrafiają.*

*Przyjmuj to wszystko z pogodą ducha. Wyobraź sobie, że rozdzieliliśmy się nie dlatego, że doszło do tak nieprzyjemnej sytuacji, lecz dlatego, że jesteśmy bardzo kochającą się rodziną, a ja jako ojciec zrobiłem wielki wysiłek, pozwalając Ci wyjechać, żebyś mógł tam przez jakiś czas się uczyć i w ten sposób zapewnił sobie lepszą i jaśniejszą przyszłość.*

*Wyobraźmy sobie, że musiałem w tym celu wiele poświęcić. Że musieliśmy sprzedać dom, żebyście mogli przez kilka miesięcy uczyć się w obcych krajach. Jakże smutne byłoby dla nas, gdyby przytrafiło nam się to co prezydentowi Argentyny.*

*Nie ma dla mnie większego poświęcenia niż Wasza nieobecność. Jeśli Ty zachowasz pogodę ducha i spokój w obecności mamy i siostrzyczki, one także będą spokojniejsze, a jeśli Ty będziesz się śmiał, my pójdziemy w Twoje ślady. Ciesz się wszystkim, bo kiedy ja miałem 13 lat jak Ty, nie miałem niczego, ale nie znalazłbyś na świecie człowieka szczęśliwszego ode mnie.*

*Nie zmarnuj tej okazji do nauki języka, poznania innych kultur i nauczenia się pożytecznych rzeczy.*

*Pamiętaj tylko o jednym: nie jesteś u siebie i dlatego nie powinieneś robić nic sprzecznego z prawem. Nie słuchaj złych rad. Postępuj zgodnie z własnym sumieniem.*

*Nie próbuj rzeczy zakazanych. Pamiętaj, że nie tylko jestem Twoim ojcem, ale też zawsze chciałem być Twoim najlepszym przyjacielem.*

*Odważni to nie ci, którzy piją z przyjaciółmi. To ci, którzy potrafią odmówić.*

*Wybacz to filozofowanie i tak długi list, ale jest sobota i chciałbym poświęcić Ci trochę czasu, tak jak gdybyś przyszedł mnie odwiedzić. Jeżeli o mnie chodzi, to czuję się dobrze. Mam mnóstwo pracy, zwłaszcza organizacyjnej, ale wszystko jest w porządku.*

*Rośniemy w siłę. Robimy coś dużego. Mama Ci o wszystkim opowie. Poza tym bardzo się cieszę, bo odsunięto już tych, którzy mieli na sumieniu tortury. Najważniejsi z nich zostali już pozbawieni munduru, a to bardzo dobrze.*

*Chciałbym, żebyś przysłał mi więcej zdjęć i żebyś opowiedział mi, czym się zajmujesz, co robisz.*

*Nie trać ani minuty, ciesz się życiem i chodź na spacery lub uprawiaj jakiś sport.*

*Jeśli poświęcisz się sportowi, bardzo możliwe, że odnajdziesz w tym szczęście. Będę do Ciebie dalej pisał i czekał na Twoje odpowiedzi.*

*Kocham Cię bardzo, bardzo mocno,*

*30 czerwca 1990 roku*

Gdy tylko skończył się mundial, pojechaliśmy do Frankfurtu w Niemczech, gdzie spotkaliśmy się z mamą, Manuelą i innymi krewnymi. Zwiedziliśmy kilka miast, a potem wróciliśmy do Lozanny i zapisaliśmy się z mamą do szkoły języka angielskiego aż do końca roku.

Mieliśmy za sobą pierwsze lekcje, kiedy otrzymaliśmy kolejny list od taty z 17 lipca. Po raz pierwszy od długiego czasu w optymistycznych słowach przedstawiał w nim swoją sytuację.

*Zdecydowałem się zmienić strategię: wojna zostanie wstrzymana wraz z objęciem władzy przez nowy rząd. Ponieważ prezydent elekt powiedział, że nie uważa ekstradycji za konieczność, bo wszystko zależy od sytuacji i stanu porządku publicznego, wobec tego stan porządku publicznego będzie dobry. Wkrótce zostanie powołane Ustawodawcze Zgromadzenie Narodowe, już zakończyły się wybory i jestem głęboko przekonany, że pierwsza decyzja, jaka zapadnie, będzie dotyczyć zakazu ekstradycji dla Kolumbijczyków. A najlepsza ze wszystkich wiadomość jest taka, że kiedy już dojdzie do zmiany ekipy rządzącej, skończy się także problem z Waszym bezpieczeństwem i będziecie mogli wrócić.*

Mimo nadziei, której ojciec dał wyraz w liście, 12 sierpnia 1990 roku, ledwie pięć dni po objęciu władzy przez Césara Gavirię, policja zabiła w Medellín Gustava Gavirię, kuzyna taty, jego towarzysza i przyjaciela od dziecka, lojalnego jak nikt inny.

Wdowa po nim opowiadała, że sześciu agentów Sekcji Poszukiwawczej przypuściło szturm na dom Gustava, którego chcieli aresztować, ale on uczepił się prętów ogrodzenia, a ponieważ nie dali rady go oderwać, został zastrzelony. Gustavo nie miał przy sobie broni, ale zdążył zadzwonić na numer alarmowy w Medellín i poprosić o pomoc, mówiąc, że chcą go zabić.

W dalekiej Szwajcarii usłyszeliśmy w pierwszych dniach września, że ojciec uciekł się ponownie do starej strategii porywania ważnych osób, tym razem z zamiarem zapędzenia w kozi róg nowo powstającego rządu Gavirii. Dowiedzieliśmy się, że oddział z „Komanczem" na czele, używając podstępu, porwał dziennikarzy: Dianę Turbay, córkę byłego prezydenta Julia Césara Turbaya i redaktorkę naczelną czasopisma „Hoy × Hoy", a także Azucenę Lievano, Juana Vittę, Hera Bussa i kamerzystów z wiadomości „Criptón", Richarda Becerrę i Orlanda Acevedo.

Próbowano także uprowadzić ówczesnego redaktora naczelnego gazety „El Colombiano", Juana Gómeza Martíneza, ale ten plan się nie powiódł, bo dziennikarz zabarykadował się w kącie swojego domu z rewolwerem w ręku i nie udało się go stamtąd wyciągnąć.

Diana Turbay i jej grupa zostali umieszczeni w domu w gminie Copacabana. Od chwili gdy dowiedziała się, że znajduje się w rękach ojca, komunikowali się pisemnie. „Komancz" był pośrednikiem między nimi. Tata wielokrotnie obiecywał Dianie, że niezależnie od okoliczności zamierza zachować ją przy życiu.

Strategia szantażowania elity społecznej odniosła skutek, bo 5 września prezydent Gaviria radykalnie zmienił front w walce z kartelami, wydając dekret 1047, w którym zaproponował obniżenie kar członkom karteli w zamian za oddanie się w ręce wymiaru sprawiedliwości oraz rezygnację z ekstradycji dla przestępców, którzy zdecydują się przyznać do winy.

Ojciec przeanalizował dekret i powiedział swoim trzem adwokatom, w tym Santiagowi i Robertowi Uribe, by porozmawiali z rządem, bo treść nie była dla niego korzystna i należało ją zmodyfikować.

Dla zwiększenia presji, dwa tygodnie później, 19 września, ludzie ojca porwali Marinę Montoyę i Francisca Santosa Calderóna, szefa redakcji dziennika „El Tiempo".

Dysponując grupą zakładników wystarczającą do prowadzenia negocjacji, tata wydał rozkaz przypuszczenia ostrego ataku na kartel z Cali, który ostatnio poniósł porażkę w kilku wymierzonych w niego akcjach, by nie wspomnieć o dwóch sytuacjach, kiedy to próbowano mnie porwać. To zresztą było jednym z powodów, dla których ojciec chciał, żebyśmy wyjechali z kraju.

I tak oto 25 września dwudziestu *sicarios* pod przewodnictwem „Tysona" i „Pukawy" przypuściło szturm na posiadłość Villa de Legua między gminami Candelaria i Puerto Tejada, na południu Valle del Cauca, bo wiedzieli, że tego wieczoru *capos* mieli w planach mecz piłki nożnej.

Podczas ostrej wymiany ognia siepacze ojca zastrzelili dziewiętnaście osób, w tym czternastu piłkarzy, jednak Helmerowi „Pacho" Herrerze (właścicielowi posiadłości) i innym szefom kartelu udało się uciec przez pobliskie pole trzciny cukrowej. Po powrocie do Medellín „Pukawa" przekazał ojcu osobisty notatnik Herrery, który ten porzucił podczas ucieczki. Tata przejrzał go i roześmiał się w głos, bo zapiski ukazywały jego głównego wroga jako wielkiego skąpca: notował żałośnie niskie pensje, jakie wypłacał swoim ludziom i nawet najdrobniejsze wydatki.

Faktem pozostaje, że w ciągu niecałych trzech lat trwania wojny między kartelami ludzie ojca zdążyli zniszczyć dziesiątki narkotykowych „punktów sprzedaży" w sieci drogerii La Rebaja w Medellín, Pereira, Manizales, Cali i innych mniejszych miejscowościach.

Ojciec miał w pamięci atak z helikoptera, którego padł ofiarą, przebywając w hacjendzie Nápoles. Tamta akcja nie powiodła się, bo maszyna braci Rodríguez spadła na ziemię, ale tata i tak wysłał „Otta” do Stanów Zjednoczonych, żeby nauczył się pilotować helikoptery Bell Ranger z zamiarem zrzucenia na wrogów bomby. Kurs kosztował dwieście siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów i odbył się przy lotnisku w Miami. Instruktaż prowadził były *guerrillero* z Nikaragui.

Ponadto tata zatrudnił trzy osoby, by sprawdzały tysiące rozmów telefonicznych pomiędzy Medellín, Cali i Valle del Cauca. Gigantyczne listy połączeń dostarczali mu pracownicy lokalnego operatora telefonicznego. Ludzie ojca siedzieli więc z linijką, lupą i markerem w dłoni, porównując wybierane numery z drugą listą zawierającą numery *capos* z Cali. Jeśli któryś się zgadzał, przekazywali go ojcu, a ten wysyłał swoich ludzi, by przeszukać to miejsce i wziąć jeńców. To samo działo się z autami, które jeździły po Medellín na rejestracjach z Cali lub południowego wschodu kraju.

Kolejna wiadomość, jaką dostaliśmy od taty pod koniec listopada, uświadomiła nam, że koniec wojny w Kolumbii wciąż jest odległy. 4 listopada napisał list, w którym powątpiewał w możliwość znalezienia dla siebie prawnego wyjścia z sytuacji.

> *Kiedy wyjeżdżaliście, byłem dobrej myśli, bo wpływowe osoby kazały mnie wezwać, obiecując mi gwiazdkę z nieba. Mojego wysłannika przyjmował osobiście bardzo ważny urzędnik i poświęcił mu dwie lub trzy godziny. Ważna pani pisała do mnie, ale potem sprawa skomplikowała się przez jakieś bzdety. Nie mogłem na to przystać po tym, co zrobili z moim kuzynem (Gustavem Gavirią). Myślę, że jego śmierć bardzo nam zaszkodziła, bo oni sądzili, że po tym ciosie jestem*

*skończony. Teraz są bardzo wystraszeni i wiem, że wszystko pójdzie dobrze.*

Tymczasem wojna z kartelem z Cali miała wymusić nasz powrót z Europy w pierwszym tygodniu grudnia 1990 roku, bo odkryliśmy, że snuje się za nami wszędzie dwóch ludzi, nawet kiedy wchodziłem do kilku sklepów po kolei w poszukiwaniu bananów. Natychmiast zawiadomiłem o tym ojca, który kazał nam jak najszybciej wrócić do Kolumbii.

Pełni niepewności dotarliśmy do kryjówki, gdzie przebywał tata. Było to obszerne mieszkanie na siódmym piętrze budynku położonego przy alei Oriental w Medellín, nieopodal kliniki Soma.

Ojcu towarzyszył „Gruby" z żoną, „Popeye" i „Hinduska", zmysłowa brunetka, którą „Pukawa" ściągnął, by pomagała mu w pracy i nie tylko. Pobyt w tym miejscu okazał się bardzo nudny, bo w ponurym mieszkaniu nie było czym się zająć, a nie mogliśmy nawet wyglądać przez okna, gdyż stale były zaciągnięte zasłony. Z braku telewizji kablowej graliśmy w gry planszowe lub czytaliśmy książki. Zamieniliśmy szwajcarskie odosobnienie na inne, jeszcze gorsze.

Ojciec opowiedział nam wtedy ze szczegółami, w jaki sposób zamierza zmusić rząd, by zgodził się na nadzwyczajne złagodzenie kar i zrezygnował z ekstradycji. Wiedział oczywiście, że ma w ręku potężne narzędzie wywierania presji w postaci porwanych: Diany Turbay, Francisca Santosa, Mariny Montoyi, dziennikarzy i kamerzystów „Criptóna", a także Beatriz Villamizar i Marujy Pachón de Villamizar (szwagierki Luisa Carlosa Galána) uprowadzonych w listopadzie przez komando pod dowództwem „Wtyki".

W tamtych grudniowych dniach tata dostał od rządu zapewnienie, że do wydanego trzy miesiące wcześniej dekretu 2047 zostaną wprowadzone poprawki, bo on i jego prawnicy sądzili, że ekstradycja powinna być

wstrzymana, gdy podejrzany stawi się przed sędzią. Powiedział nam, że kilka tygodni wcześniej zaproponował tekst w innym brzmieniu i przekazał go przez prawników do Ministerstwa Sprawiedliwości.

Sugestie dotarły do Casa de Nariño[43], bo prezydent Gaviria nawiązał do tematu akurat podczas wizyty w Medellín w pierwszym tygodniu grudnia 1990 roku: „Jesteśmy gotowi zmienić dekret 2047, bo zależy nam na zaprowadzeniu pokoju w kraju. Pragniemy, by Kolumbijczycy, którzy dopuścili się przestępstw, oddali się w ręce naszego wymiaru sprawiedliwości. Dlatego też w tym tygodniu wyjaśnimy wszelkie sporne punkty i wprowadzimy ewentualne poprawki”.

W kolejnych dniach ojciec cały czas siedział przed telewizorem. Oglądał wiadomości w południe, o siódmej i o dziewiątej wieczorem oraz o północy. Do rozpaczy doprowadzało nas patrzenie, jak skacze z kanału na kanał, żeby sprawdzić, co powiedzieli w kolejnym bloku informacyjnym. Zaczęliśmy narzekać. Wtedy wreszcie posłuchał moich próśb i kupił telewizor, którego ekran można było podzielić na dwie części. Tym sposobem mógł oglądać jednocześnie dwa kanały, nastawiając dźwięk tego, który bardziej go interesował.

Choć sprawa dekretu pochłaniała uwagę ojca, zdaliśmy sobie sprawę, że jak zawsze miał w zanadrzu plan B. Dowiedzieliśmy się o tym, gdy w niedzielę wieczorem 9 grudnia 1990 roku w napięciu obserwował wyniki wyborów siedemdziesięciu posłów do Konstytuanty, przed którymi stało zadanie zmiany Konstytucji obowiązującej od 1886 roku.

Wreszcie Państwowa Komisja Wyborcza podała ostateczny skład Narodowego Zgromadzenia Ustawodawczego, które miało rozpocząć prace w lutym 1991 roku, a my zauważyliśmy, że na twarzy ojca błąka się przebiegły uśmiech.

— Nie bardzo wierzę w te dekrety. Tak jak dziś ogłosili, że zmienią je według moich sugestii, tak jutro zmienią je sobie znowu, gdy już będę w więzieniu. Ale jeżeli wprowadzą zmianę w Konstytucji, wtedy będą mi mogli naskoczyć.

Zaraz potem ojciec opowiedział nam, że w październiku (kiedy byliśmy w Europie), podczas kampanii wyborczej do Konstytuanty, dostał wiadomość od *capos* z Cali, że zapraszają go, by przyłączył się do nich i poparł kandydatów, którzy zagwarantują wycofanie ekstradycji z nowej Konstytucji.

— Kazałem im przekazać, żeby robili, co uważają za słuszne, a ja też zrobię, co do mnie należy; powiedziałem im, żeby przekupili, kogo uznają za stosowne — dodał w charakterze podsumowania i dorzucił, że załatwił sobie wystarczającą liczbę głosów na moment, kiedy Konstytuanta zajmie się kwestią ekstradycji.

Piętnastego grudnia ojciec jak zwykle wstał w południe i przeczytał w prasie, że rząd wydał nowy dekret, numer 3030. Gazety podawały go w pełnym brzmieniu, co ułatwiło mu lekturę. Po śniadanioobiedzie, złożonym jak zwykle ze smażonego banana pokrojonego w kostkę i obtoczonego w jajku oraz ryżu i mięsa, został w jadalni i oddał się lekturze nowego dekretu, którym rząd zamierzał go skłonić do oddania się w ręce wymiaru sprawiedliwości.

— Zobaczmy, czy dali mi to, o co prosiłem — powiedział i pogrążył się w głębokim milczeniu. Trwało ono pięć godzin, w czasie których podkreślił prawie cały tekst długopisem i zapełnił kilka kartek swoimi komentarzami.

Po piątej po południu, zmęczony, powiedział nam, że nie zgadza się z wieloma punktami dokumentu i zamierza wysłać swoje sugestie do rządu, żądając wydania nowego dekretu.

W atmosferze nadziei jeszcze tego samego wieczoru ojciec zasiadł do pisania długiego listu, który przekazał swoim adwokatom, prosząc o dostarczenie go do Casa de Nariño. Przekazał im także wskazówki, co powinni mówić nieoficjalnie mediom w imieniu Extraditables.

Zgodnie z jego zaleceniami media podały, że Extraditables oświadczyli rządowi, iż dekret 3030 brzmi jak wypowiedzenie wojny, i nie zgadzają się z większą częścią jego treści. Ojciec poprzez swoich adwokatów upierał się przy usunięciu zapisu o „spowiedzi", która w nowym dekrecie pojawiała się jako warunek konieczny, pozwalający skorzystać ze specjalnych przywilejów prawnych. Tata uważał ten paragraf za nie do przyjęcia.

Trzy dni później, ku swojemu zaskoczeniu, dowiedział się, że młodszy z braci Ochoa, Fabio, oddał się w ręce sprawiedliwości i już znajduje się w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Itagüí. Trzy tygodnie później to samo zrobili Jorge Luis i Juan David Ochoa. Ojciec nie rozumiał, jakie pobudki kierowały jego przyjaciółmi, gdy godzili się przyjąć warunki złagodzonej kary. Uznał ich decyzję za pochopną, a sam postanowił czekać dalej.

Rozpoczął się rok 1991. Powróciliśmy do przygnębiającego zamknięcia w kryjówce przy alei Oriental w Medellín, gdzie spędziliśmy sylwestra ze stryjem Robertem. Ojciec uznał, że tak będzie bezpieczniej.

Tak jak się spodziewaliśmy, tata zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę, bo wiedział, że będzie to decydujący dla naszych dalszych losów rok.

„Pukawa" powiedział nam potem (co bardzo nas poruszyło), że ojciec postanowił zabić Marinę Montoyę, by wywrzeć większą presję na rząd, który nie odpowiedział na jego memorandum w sprawie zmian w dekrecie 3030 z minionego grudnia.

Złamanie przez rząd złożonej publicznie rodzinom ofiar obietnicy, że nie będzie próbował siłą uwolnić porwanych, doprowadziło pod koniec

stycznia 1991 roku do głębokiego kryzysu. Podczas nieudanej próby odbicia zakładników w gminie Copacabana Diana Turbay zginęła podziurawiona kulami, gdy uciekała wraz z kamerzystą Richardem Becerrym.

Choć rząd i policja zapewniali, że to porywacze otworzyli do uwięzionych ogień na widok policji, ojciec zawsze mi powtarzał, że wydał swoim ludziom jasny rozkaz, by chronili życie zakładników, tak jak obiecał to dziennikarce Turbay.

Upłynęło kilka tygodni. Emocje wywołane skandalem nieco opadły, a ojciec nadal publikował komunikaty, w których zapewniał, że jest gotowy oddać się w ręce sprawiedliwości. Któregoś dnia dostał wiadomość, że w ciężarówce zaparkowanej pod wiaduktem Avenida San Juan, pięćdziesiąt metrów od areny walki byków La Macarena, znajduje się duża grupa tajnych agentów policji Dijin.

Jakiś czas później usłyszałem rozmowę Giovanniego, w której wspominał, że ojciec wysłał go w (zawczasu przygotowanym) białym renaultem 9 z ładunkiem stu pięćdziesięciu kilogramów dynamitu. Pojazd wybuchł i zginęło osiemnaście osób: trzech podoficerów, sześciu agentów Dijin i dziewięciu cywili.

Ojciec był pewien, że członkowie Dijin należeli do tajnej organizacji pochodzącej z Bogoty znanej pod nazwą Los Rojos, która dokonywała zabójstw VIP-ów w Medellín.

Mimo argumentów taty oboje z mamą uważaliśmy, że posuwa się za daleko w swojej walce z państwem. Dlatego po wydarzeniach przy arenie La Macarena, gdzie oprócz ofiar śmiertelnych było też kilkudziesięciu rannych, poprosiłem go, żeby przestał.

— Co z tobą, synu?

— Mam już dosyć tej przemocy, tato. Jestem tym bardzo zmęczony i smutny z powodu śmierci tylu niewinnych osób. Do La Macarena często chodzą nasi krewni i przyjaciele, a przy wybuchu bomby, która nie wybiera ofiar, równie dobrze mógł zginąć któryś z nich, nawet babcia Hermilda. To nie jest właściwy sposób rozwiązywania problemów, a raczej wpędzanie nas wszystkich w jeszcze większe kłopoty.

Pamiętam, że byliśmy wtedy sami w jadalni. Mama przytuliła mnie i powiedziała:

— Pablo, na Boga, co ty robisz? Posłuchaj błagań własnego syna i nas wszystkich. Proszę, przerwij ten koszmar.

— Posłuchaj, kochanie. I ty synu też. Zginęło tam paru niewinnych, ale zarazem zlikwidowałem wielu sprawców morderstw w mieście. Wojna to wojna, ginie w niej ten, na kogo przyszła pora. Ludzki los i tak jest z góry przesądzony.

Mimo to do ojca dotarły chyba nasze argumenty i w następnych tygodniach skupił się na podtrzymaniu kontaktu z rządem poprzez swoich adwokatów i śledzeniu na bieżąco obrad Konstytuanty, która na początku lipca powinna przegłosować nową Konstytucję. Wiedział, że ekstradycja będzie dyskutowana w pierwszych dniach czerwca i liczył na rozwiązanie sprawy na poziomie ustawy zasadniczej. Wydawało się to proste — rzecz miała dojść do skutku dzięki głosom posłów Zgromadzenia Ustawodawczego, których on i inne kartele wsparły w grudniowych wyborach. Krążyły wówczas plotki, że w celu usunięcia zapisu o ekstradycji z nowej Konstytucji kartel z Cali zapłacił piętnaście milionów dolarów, a ojciec pięć.

Kilka dni później pojechałem na urodziny najmłodszej z moich ciotek ze strony mamy w miejsce zwane El Vivero, w pobliżu posiadłości Fidela

Castaño Montecasino. Po raz pierwszy od powrotu ze Szwajcarii w grudniu zeszłego roku widziałem tyle osób naraz zebranych w celach towarzyskich.

Uważaliśmy się z jubilatką niemal za rodzeństwo. Zaprosiła kilka swoich szkolnych koleżanek, a wśród nich także Andreę, śliczną siedemnastoletnią dziewczynę, której nie miałem odwagi zaprosić do tańca, ale namówiłem ciocię, by nas sobie przedstawiła. Od tego momentu bez przerwy rozmawialiśmy.

Traf chciał, że podczas tych rodzinnych miniwakacji nastąpił cały cykl pierwszych komunii, urodzin i uroczystości. Ciocia zawsze zapraszała na nie swoją przyjaciółkę Andreę, a ja z nią flirtowałem.

Po półtora miesiąca telefonów, kwiatów i listów z wierszami pocałowaliśmy się w kryjówce przy alei Las Palmas, z której rozciągał się widok na Medellín. Od tamtej pory (a upłynęły już dwadzieścia trzy lata) łączy mnie z Andreą mocne i piękne uczucie.

Nasz związek trwał zaledwie kilka dni, gdy na horyzoncie pojawił się ksiądz Rafael García Herreros, człowiek będący ponad dobrem i złem, wieloletni prezenter programu *Minuta dla Boga* emitowanego codziennie o siódmej wieczorem. W kolejnych tygodniach miał odegrać kluczową rolę w oddaniu się ojca w ręce wymiaru sprawiedliwości.

Don Fabio Ochoa Restrepo wpadł na pomysł, że jego stary znajomy ojciec García Herreros mógłby w jakiś sposób wpłynąć na tatę, by zaprzestał swoich brutalnych akcji, wypuścił na wolność zakładników i oddał się w ręce sprawiedliwości w zamian za gwarancję bezpieczeństwa i zapewnienie, że nie dojdzie do jego ekstradycji.

Don Fabio poinformował ojca o tym pomyśle, a ten natychmiast się zgodził. Potem skontaktował się z księdzem, który nie tylko obiecał zrobić wszystko, co będzie trzeba, ale któregoś wieczoru wysłał do ojca pierwszą wiadomość za pośrednictwem swojego programu *Minuta dla Boga*:

„Słyszałem, że pragniesz dobrowolnie poddać się karze. Powiedziano mi, że chcesz ze mną porozmawiać. O, morze w Coveñas o zachodzie słońca, powiedzże mi morze, cóż mam uczynić?”.

Od tej chwili ojciec zaczął wymieniać listy z duchownym, w których obaj potwierdzili gotowość do spotkania i na całe tygodnie *Minuta dla Boga* zmieniła się w kanał komunikacji między nimi. „Chciałbym stanowić dla ciebie gwarancję, że zostaną uszanowane wszystkie twoje prawa, a także prawa twojej rodziny i przyjaciół. Pomóż mi i powiedz, co powinienem zrobić?”, zapytał ojca ksiądz w jednym ze swoich wystąpień.

Zdanie „O, morze w Coveñas!” stało się sławne. W istocie było czymś w rodzaju hasła i odzewu między ojcem i duchownym. „Lekarz”, który tak naprawdę nazywał się Omar i w tamtym okresie ukrywał się wraz z tatą, miał pojechać po księdza do posiadłości Fabia Ochoa i przywieźć go na spotkanie z ojcem.

Cały kraj śledził działania Garcíi Herrerosa, a my tymczasem dowiedzieliśmy się z wiadomości telewizyjnych, że ojciec znów pokazał, że nie wybacza ludziom, którzy kiedyś ośmielili się podjąć niekorzystne dla niego decyzje. Tym razem śmierć poniósł były minister sprawiedliwości Enrique Low Murtra. Zginął, wychodząc na ulicę po wygłoszeniu wykładu na Uniwersytecie de la Salle w Bogocie.

Tata uznał za konieczne, byśmy wyjechali z Manuelą do Stanów Zjednoczonych. Chciał w ten sposób zabezpieczyć się przed ewentualnym atakiem, bo choć mocno wierzył we własną siłę, obawiał się, że użyją nas, by wywrzeć na niego nacisk w decydującym momencie walki.

Wyruszyliśmy zatem w nową podróż, podczas której zwiedziliśmy dużą część Stanów Zjednoczonych. Tymczasem ojciec ustalił w końcu z księdzem Garcią Herrerosem, że spotkają się 18 maja, gdzieś w Medellín.

Dużo później tata opowiedział mi, że duchowny bardzo się obawiał tego spotkania i wymyślał różne przeszkody, by odwołać podróż. Oświadczył na przykład, że zapodział gdzieś okulary i nic nie widzi. Żeby rozwiązać problem, natychmiast zaprowadzono go do okulisty. Każda przeszkoda, o jakiej wspominał, była natychmiast usuwana.

Mimo wszystko „Lekarz" pojechał po niego do domu Fabia Ochoa. Oberwanie chmury ułatwiło sprawę, bo przegoniło policjantów, którzy powinni pilnować licznych na tym szlaku blokad.

Ostatecznie tata spotkał się z ojcem Garcią Herrerosem w pewnym mieszkaniu w mieście. Wcześniej jednak gość kilkakrotnie przesiadał się do innego samochodu na wypadek, gdyby ktoś ich śledził.

Efekty tego spotkania mogły przyprawić o zawrót głowy: 20 maja ojciec wypuścił na wolność Maruję Pachón i Francisca Santosa, ostatnich zakładników, jacy mu pozostali. Dwa dni później rząd wydał dekret 1303, w którym zgadzał się na prawie wszystkie jego żądania prawne. Przystał nawet na to, by sam wybudował dla siebie więzienie.

Ojciec miał zatem wszystko pod kontrolą. Było jasne, że postawił na swoim. My tymczasem 18 czerwca 1991 roku przyjechaliśmy do Miami na Florydzie, po wcześniejszym spędzeniu kilku dni w Las Vegas, Los Angeles i San Francisco. Gdy rozlokowaliśmy się w hotelu w Miami, poprosiliśmy naszych ochroniarzy, by pozwolili nam zadzwonić z budki do taty. Przebywał wówczas w kryjówce nieopodal Medellín i można go było łatwo namierzyć na częstotliwości UHF.

Opowiadaliśmy mu przez dłuższą chwilę, co zwiedziliśmy w ostatnich dniach. Potem ojciec zawiadomił nas, że nazajutrz, 19 czerwca, dobrowolnie podda się karze, bo wie już, że zapis o ekstradycji z całą pewnością zostanie usunięty z nowej Konstytucji.

— Tato, nie rób tego! Zabiją cię, jeśli się poddasz — prosiłem, nie pamiętając już, że całkiem niedawno naciskaliśmy na niego, by to zrobił.

— Spokojnie, Grégory. Wszystko jest ustalone i teraz nie mogą już wydać mnie Amerykanom, bo Konstytucja na to nie pozwala.

Pożegnaliśmy się. Przekazałem słuchawkę Manueli, która miała wówczas siedem lat. Rozmawiali jeszcze dość długo. Nim się rozłączył, tata wyjaśnił jej, żeby się nie przestraszyła, jeśli zobaczy go w wiadomościach w więzieniu, bo sam zdecydował, że chce tam być. Gdy się pożegnali i odwiesiliśmy słuchawkę, Manuela zapytała mnie:

— Braciszku, czy teraz tata będzie już mógł odprowadzać mnie do szkoły?

---

36 W niektórych rejonach Kolumbii (szczególnie przygranicznych lub o zwiększonej przestępczości) oprócz prawa jazdy wymagane jest dodatkowe zezwolenie na prowadzenie pojazdów na określonym terytorium.

37 W dniu, gdy oddaję tę książkę do druku, kontrowersyjny polityk z Tolimy, Alberto Santofimio, odsiaduje jeszcze karę więzienia za domniemany współudział sprawczy w zabójstwie Galána. Uznano go za winnego, gdyż ponoć doradził ojcu zlikwidowanie polityka. Jak już nieraz wspominałem, nie próbuję nikogo oskarżać, oczyszczać z zarzutów ani nie szukam z nikim konfrontacji. Z tego, co mi wiadomo, ojciec nie pozwalał, by ktokolwiek nim kierował, a już tym bardziej nie słuchałby rad człowieka, którego wcześniej uznał za wroga, bo wszedł w konszachty z kartelem z Cali. Galán miał wielu wrogów zarówno wśród polityków, jak i wśród handlarzy narkotyków, bo ludzie tak prawi jak on, którzy nie wchodzą w układy z przestępczością zorganizowaną ani nie ulegają korupcji, okazują się ze wszech miar niewygodni dla wszystkich. Wskazanie tylko jednego człowieka odpowiedzialnego za jego śmierć budzi poważne wątpliwości co do rzetelności kolumbijskiego wymiaru sprawiedliwości, który powinien świecić przykładem, dociekać prawdy i rekompensować szkody, ale niestety często dzieje się inaczej. Ojciec podejmował swoje decyzje samodzielnie, nikogo się nie radząc. Pamiętam powiedzonko ukute na jego temat przez najbliższych przyjaciół, które doskonale go opisuje: „Pablo jest człowiekiem na wskroś demokratycznym, bo demokratycznie i po równo lekceważy zdanie wszystkich i robi to, co sam uzna za stosowne” (przyp. aut.).

38 Podczas straszliwej nagonki na ojca, 16 kwietnia 1993 roku, został on wraz z synem zamordowany przez Pepes (przyp. aut.).

39 Nigdy nie zapomnę tego aktu terroru mojego ojca. Z czasem miałem możność poznać wielu krewnych ofiar tamtego zamachu, które publicznie prosiłem o wybaczenie — w imieniu taty — przy

okazji prezentacji filmu dokumentalnego *Grzechy mojego ojca* (przyp. aut.).

[40] Bracia Fidel i Carlos Castaño byli także sprawcami zabójstwa Carlosa Pizarro Leongómeza, kandydata w wyborach prezydenckich z ramienia Alianzy Demokratycznej M-19. Do zbrodni doszło 26 kwietnia 1990 roku, kiedy polityk podróżował samolotem linii Avianca z Bogoty do Barranquilli. To morderstwo także przypisano ojcu, ale on powiedział mi, że przyjaźnił się z Pizarrem i miał dla niego wiele sympatii. Wobec tego nie miał powodu, by go atakować. Powtórzył mi też, że nie było mu na rękę dementowanie tych oskarżeń, bo nie chciał wchodzić w konflikt z braćmi Castaño (przyp. aut.).

[41] W 1998 roku państwo kolumbijskie przed Międzyamerykańską Komisją Praw Człowieka (CIDH — Comición Interamericana de Derechos Humanos), stanowiącą organ Organizacji Państw Amerykańskich (OEA — Organización de los Estados Americanos), uznało swoją odpowiedzialność za masakrę w Villatina (nisko położonym rejonie we wschodniej części Medellín) przeprowadzoną przez uzbrojonych ludzi, których potem zidentyfikowano jako funkcjonariuszy policji. Podczas masakry zginęło siedem osób w wieku od piętnastu do dwudziestu dwóch lat (przyp. aut.).

[42] Policja ogłosiła szumnie wiadomość o jego śmierci, do której — jeśli wierzyć oficjalnemu raportowi — doszło, kiedy „Pinina” stawiał czynny opór Jednostce Elitarnej. Jednak ojciec dostał anonimową przesyłkę ze zdjęciami zrobionymi z sąsiedniego budynku, na których widać „Pininę”, który złamał nogę, skacząc przez okno swojego mieszkania. Na kolejnych ujęciach można go dojrzeć prowadzonego do szarej mazdy przez ubranych po cywilnemu uzbrojonych mężczyzn (przyp. aut.).

[43] Casa de Nariño — oficjalna rezydencja prezydenta Kolumbii.

# Rozdział 14

# OPOWIEŚCI Z KATEDRY

Synu, nic się nie martw, czuję się dobrze, wręcz świetnie. Chciałem cię prosić o przysługę: kup mi dwadzieścia pięć albo trzydzieści grubych kurtek i wyślij kogoś z nimi bezpośrednim lotem, są nam pilnie potrzebne. Tutaj wszystko jest w porządku, pilnują mnie ci co zawsze, więc luz.

Spokojny ton głosu ojca w trzy dni po przenosinach do więzienia La Catedral w czerwcu 1991 roku przekonał mnie ostatecznie, że jego oddanie się w ręce władz jest dobre dla niego, dla nas i dla kraju.

Umówiliśmy się, że zadzwonię, jak już będę miał kurtki, co okazało się trudniejsze, niż sądziłem, bo w Stanach Zjednoczonych panowało właśnie lato.

Do Nowego Jorku dotarliśmy w trzecim tygodniu czerwca. Nasza rodzinna podróż trwała już czterdzieści pięć dni. Andrea po raz trzeci poprosiła o pozwolenie na przedłużenie swojego pobytu ze mną, co przysporzyło jej kłopotów z rodzicami i w szkole (a była akurat w klasie maturalnej). Obiecałem, że znajdę dla niej bezpośredni lot do Medellín, pod warunkiem że najpierw spędzimy razem kilka dni w słynnym „Wielkim Jabłku”.

Mieliśmy zawczasu zarezerwowane pokoje w St. Regis, jednym z najlepszych nowojorskich hoteli, perle architektury z 1904 roku. Ja jednak nie byłem pewien, czy chcę tam nocować, i poprosiłem, żeby pokazano mi to miejsce. Hotel nie wydał mi się ani luksusowy, ani nawet na poziomie.

Wręcz przeciwnie: uznałem go za stary i brzydki. Poprosiłem więc naszych kierowców, by zabrali mnie z tego przygnębiającego budynku. W ten sposób stałem się chyba jednym z niewielu klientów w historii hotelu St. Regis, który obejrzał go wzdłuż i wszerz, by po piętnastu minutach opuścić jego progi z całym bagażem. Oczywiście nie chciano nam zwrócić pieniędzy, które zapłaciliśmy za pięć pokoi.

— Chłopcy, chciałbym jakiś nowoczesny hotel, na przykład w drapaczu chmur, skąd zobaczymy panoramę miasta. Wolę Holiday Inn od tego zmurszalca.

W ten sposób trafiliśmy do Hyatt, dokładnie takiego hotelu, jakiego szukałem. Nowoczesny wystrój i pokój na tak wysokim piętrze, że aby tam dotrzeć, trzeba było przesiadać się do drugiej windy. Widok był imponujący. Panowało upalne lato. Bardzo szybko zrozumiałem, że to miasto wcale mi się nie podoba. Czułem, że nawet promienie słońca z trudem docierają do ziemi pomiędzy ogromnymi cieniami rzucanymi przez budynki, które zdawały się wspinać na siebie nawzajem.

Nieustanne spacery bez określonego celu zaczęły mnie męczyć i nudzić. Ożywiłem się dopiero, kiedy odkryłem obok naszego hotelu ogromny sklep z elektroniką. Wszedłem tam z wujkiem Fernandem i bez opamiętania zacząłem kupować prezenty dla krewnych i przyjaciół z Medellín: trzydzieści najnowszych wodoodpornych discmanów marki Sony, pięć aparatów fotograficznych i pięć kamer.

Tego wieczoru wujek przyszedł do mojego pokoju i powiedział, że właściciele sklepu z elektroniką prosili, byśmy zeszli do nich z rana, bo chcieli pokazać nam na osobności kilka produktów, które mogą nas zainteresować. Ciekawość okazała się tak silna, że i o dziewiątej rano ponownie ich odwiedziliśmy. Na nasz widok sprzedawcy spuścili żaluzje, by uniemożliwić wejście innym klientom. Poprzedniego dnia z pewnością

zauważyli, że nie ograniczamy się w wydatkach i dlatego pokazali nam wszystkie swoje „zabawki”.

Zaprowadzili nas w kąt sklepu i położyli na ladzie czarną skórzaną walizeczkę. W środku znajdowały się małe pudełka z różnego rodzaju i kształtu mikrofonami, poza tym długopisy, kalkulatory, breloczki i krawaty, a wszystko z mikroskopijnymi mikrofonami; do tego miniaturowy aparat fotograficzny do dokumentów wyposażony w mikrofilm.

Zafascynowało mnie to, czułem się niczym James Bond, kiedy w laboratorium prezentowano mu najnowsze wynalazki technologiczne stworzone dla niego przez pana Q.

Pomyślałem, że wszystkie te gadżety idealnie nadają się na prezent dla siedzącego w więzieniu ojca. Niełatwo było go zaskoczyć jakimś upominkiem, nie interesowały go bowiem ani krzykliwe zegarki, ani biżuteria, nie nosił też sygnetów ani łańcuchów.

Wobec tego zamówiłem cztery mikrofony z modulowaną częstotliwością, których bateria wystarczała na miesiąc używania bez przerwy; kilkanaście długopisów i breloczków z mikrofonem; dwa kalkulatory i jeden aparat z mikrofilmem.

Potem zapytałem sprzedawców, czy nie mają jeszcze czegoś poza tym, co nam pokazali. Zaproponowali, żebyśmy wrócili nazajutrz, a oni w tym czasie sprawdzą w magazynie.

Następnego dnia rano pokazali mi kolejne mikrofony o zasięgu dwustu metrów i automatyczny dyktafon aktywowany głosem. Dorzuciłem cztery takie aparaty do zamówienia. Na koniec zademonstrowali walizeczkę z odbiornikiem dla wszystkich mikrofonów o zasięgu pięciuset metrów. To urządzenie również zamówiłem i poleciłem ochroniarzowi zapłacić rachunek.

Niespodzianka dla taty była gotowa. Akurat wtedy zadzwonił z prośbą o kurtki, których potrzebował ze względu na chłód panujący w La Catedral. Kupowanie latem zimowych ubrań okazało się prawdziwym wyzwaniem i zaprowadziło nas w rejony, których nie ma na mapie, ale ostatecznie znaleźliśmy to, czego potrzebowaliśmy. Andrea i Claudia pomogły nam wybrać fasony. Wypełniliśmy cztery walizki okryciami wierzchnimi i wysłaliśmy z jednym z ochroniarzy bezpośrednim lotem Nowy Jork–Medellín.

Dwa dni później odebrałem kolejny telefon od ojca, w którym dziękował mi za kurtki, ale powiedział, że potrzeba mu ich jeszcze więcej i to znacznie grubszych, bo panowało u nich potworne, wprost nieznośne zimno.

Wobec tego wróciliśmy do tego samego sklepu, co wcześniej. Przeszukując go, natknąłem się na czarną puszystą czapę w rosyjskim stylu, w której później zrobiono ojcu zdjęcie w więzieniu. Tym razem kupiłem najcieplejsze ubrania, jakie tylko znalazłem, łącznie z rękawiczkami i kurtkami górskimi. Posłałem do Kolumbii kolejnego ochroniarza z pięcioma wypchanymi po brzegi walizami.

Gdy bagaż dotarł na miejsce, ojciec zadzwonił do mnie i powiedział, że bardzo mu się spodobała czarna czapa i że cały czas w niej chodzi, bo jest wyjątkowo ciepła.

Wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych, zostawiałem za sobą Kolumbię w stanie wojny, a po powrocie zobaczyłem kraj, w którym panował pokój, przynajmniej jeśli chodzi o konfrontację między państwem a Pablem Escobarem. Było to dziwne wrażenie.

Na lotnisku czekali na nas „Nochal”, „Parówa” i dziesięciu innych ochroniarzy. Gdy wjechaliśmy do miasta, zauważyłem, że zmienili trasę. Tym razem nie udaliśmy się już do Cero Cero mieszkania w budynku Ceiba

de Castilla, tylko do budynku Torres de Saint Michel, w Loma de Los Balsos.

Wszystko się zmieniło. Wyglądało na to, że nie trzeba się już ukrywać przed nikim ani niczym. Nie musiałem dla niepoznaki wkładać czapki i ciemnych okularów. Weszliśmy do niedawno ukończonego budynku, gdzie czekała na mnie mama z siostrą, które zgotowały mi serdeczne powitanie, w czasie gdy „Nochal” i „Parówa” wnosili walizki. Nasz nowy dom był obszerny i wygodny, a z okien roztaczały się niesamowite widoki na miasto.

Zapytałem mamę o ojca. Sądziłem, że skoro przyjechałem w środę, to będę mógł mu złożyć kilkugodzinną wizytę w sobotę lub niedzielę, jak we wszystkich innych więzieniach. Ale mama powiedziała, że jeśli zechcę, mogę u taty przenocować, a nawet spędzić cały weekend.

— Tam nie ma porządku wizyt, kochanie, tata wszystko sobie zorganizował. Zawożą nas do niego ciężarówką, a potem siedzimy tam, jak długo chcemy. Całkiem jak w hacjendzie — zapewniła mama.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia, jak dobrze tata urządził się w swoim nowym życiu.

„Limón” przyjechał po mnie wcześnie i skierowaliśmy się w rejon zwany El Salado, w dolnej, podmiejskiej części Envigado.

Dobrze znałem drogę, bo zanim powstało więzienie, chodziłem tam czasem na spacery, klucząc pomiędzy ukrytymi w górach jeziorkami. Robiliśmy sobie *sancocho* i kąpaliśmy się w strumieniu lodowatej wody spadającej z wodospadu dwudziestometrowej wysokości. W tamtym czasie poznałem również kupione przez ojca w tej okolicy tereny, na których urządził trzy kryjówki. Do pierwszej z nich dojeżdżało się szosą, do drugiej na mule lub motorze, a do trzeciej tylko na mule lub pieszo, bo nie dało się tam inaczej dostać. Dojazd na wierzchowcu zajmował co najmniej dwie

godziny. Na koniec docierało się do trzyizbowej chaty zagubionej pośród jezior, przepaści i omszałych, wilgotnych kamieni.

Nie zajechaliśmy jednak tak daleko, bo wcześniej „Limón” zjechał z szosy w kierunku niewielkich zabudowań obok krętej, błotnistej drogi i zatrzymał się przed tablicą z napisem Estadero. Na ogromnym parkingu stało mnóstwo luksusowych samochodów. Ponadto był tam niewielki, dość przypadkowy bar ze stołami bilardowymi i szafą grającą, która pracowała za darmo, oraz wiele krzeseł i stołów obok dwóch wielkich lodówek wypełnionych po brzegi piwem i napojami orzeźwiającymi. Nigdy wcześniej tam nie byłem, ale ta dolna część La Catedral także należała do taty.

Innymi słowy, zobaczyłem fasadę urządzoną przez ojca. Tu goście mogli zostawić auta i czekali na przyjazd ciężarówki. Wstęp miały jedynie osoby przybywające w odwiedziny do osadzonych. Nikt inny zresztą nie znał drogi do Estadero, gdzie nie było telefonu, a jedynie swego rodzaju domofon, którego kabel biegł pod ziemią przez całą górę aż do głównego budynku. Jeszcze zanim dotarłem do celu, odkryłem, że ojciec założył pozostający poza zasięgiem podsłuchów telefon, który w następnych miesiącach miał się okazać bardzo użyteczny.

Do Estadero przyjeżdżali bandyci, którzy nie musieli wchodzić do więzienia, aby otrzymać rozkazy od taty, wydawał je bowiem z całym spokojem przez domofon. Nie używał przy tym żadnego szyfru, gdyż uważał swój system za niezawodny. Taka komunikacja przydawała się także przy ustalaniu składu pasażerów w ciężarówce, której pojemność była ograniczona.

Mowa tu o granatowym japońskim aucie z czarną plandeką i skrzynią o podwójnym dnie, w którym mieściło się od dziesięciu do piętnastu mniej lub bardziej stłoczonych osób.

Nasz postój w Estadero był krótki. Niemal natychmiast usłyszałem, że wjadę samochodem osobowym, bo jestem synem Pabla i nie muszę ukrywać swojej wizyty. Około południa wsiadłem więc do starej terenówki marki Toyota Land-Cruiser z czerwoną karoserią i białym kokpitem.

Ojciec miał na sobie białe poncho i wyszedł mi na spotkanie z zawadiackim uśmiechem na ustach, jakby chciał powiedzieć „popatrz tylko, jak się tu urządziłem”. Zawsze witałem go uściskiem i pocałunkiem w policzek, tym razem stało się podobnie.

W więzieniu zastałem także babcię Hermildę, bo zwykle przywoził ją jej starszy syn Roberto, który wstawał trochę wcześniej niż ojciec.

Wkrótce ujrzałem kolejne swojskie twarze i to w znacznie większej liczbie, niż się spodziewałem, bo w mundurach więziennych strażników chodzili doskonale mi znani ludzie, ci sami, którzy od zawsze towarzyszyli ojcu i go chronili.

Poczułem się więc jak na przedstawieniu teatralnym, gdzie strażnicy i więźniowie odgrywają swoje role.

Wraz z ojcem 19 czerwca oddało się w ręce wymiaru sprawiedliwości wiele osób, które tak naprawdę nie miały z nim nic wspólnego i nie należały do grupy jego płatnych zabójców. Ludzie ci wkręcili się „przy okazji”. Przykładem może być John Jairo Betancur, „Styropian”; Juan Urquijo, próżniak z dzielnicy Aranjuez; Alfonso León Puerta, „Aniołek”, który był bezrobotnym z Cucuta i poprosił „Brudasa”, żeby go zabrał do La Catedral; José Fernando Ospina; „Gruby Lambas”, który po raz trzeci trafiał do więzienia, żeby wyświadczyć przysługę „Brudasowi”; Carlos Díaz, „Szpon”, pracownik z rzeźni w La Estrella, i Jorge Eduardo, „Tato” Avedaño, z dzielnicy La Paz.

Były to postacie na tyle nieznaczące, że w dniu, w którym się poddali, przez ponad pięć godzin czekali w centrum handlowym Oviedo na

przybycie funkcjonariuszy CTI z prokuratury. Musieli dzwonić kilka razy i prosić o zabranie, bo nie mieli pieniędzy na transport.

Pięciu strażnikom przysłanym z Bogoty ojciec od razu zapowiedział, że będzie im co miesiąc wypłacał pensję w zamian za milczenie.

— Tutaj nic nie słychać ani nie widać. Uważajcie, co mówicie i nie róbcie żadnych głupich numerów — powiedział im na powitanie, a potem odesłał ich w odosobnioną część więzienia, gdzie nie miał z nimi większego kontaktu.

Naiwnie sądziłem, że tata zaprzestanie przestępczej działalności, odbędzie kilkuletnią karę, a potem wróci do domu, już na zawsze. Myliłem się, bo z upływem czasu stawało się oczywiste, że w La Catedral ojciec kontynuował zwykłą aktywność, choć musiał oczywiście zreorganizować swoją armię i szlaki przemytu narkotyków. Nadal traktował porwania i wymuszenia jako pewne źródło dochodów. A wszystko to pod nosem państwa, które chyba odetchnęło z ulgą, zamykając wreszcie swojego wroga numer jeden.

Napiliśmy się czerwonego wina, a potem ojciec wziął mnie na obchód po więzieniu. Zaraz przy wejściu stały trzy stoły bilardowe i jeden do ping-ponga, na podłodze leżały porozrzucane gry planszowe. W głębi znajdowała się jadalnia, a dalej kuchnia z oknem w ścianie do wydawania posiłków. Jednak prawie nigdy nie korzystali z jadalni, bo było tam bardzo zimno. Rozwiązali ten problem, zatrudniając trzech kucharzy, u których zamawiali jedzenie przez domofon.

Potem przeszliśmy do ambulatorium, gdzie ze zdumieniem ujrzałem Eugenia, lekarza z hacjendy Nápoles, który powiedział, że jest do moich usług, gdybym czegoś potrzebował. Na prośbę ojca opisał objawy i sposób podania pilnie strzeżonego antidotum na objawy zatrucia cyjankiem.

Ojciec już dawno wprowadził pewne środki ostrożności w obawie, że wrogowie z kartelu z Cali spróbują go otruć. Dlatego przybywając do La Catedral, zabrał ze sobą dwie kobiety, które miały zajmować się wyłącznie przygotowywaniem mu posiłków, co robiły w osobnej kuchni.

Zeszliśmy piętnaście stopni w dół i znaleźliśmy się na ogromnym podłużnym i na wpół zadaszonym tarasie, który był doskonałym punktem widokowym. Stamtąd wchodziło się do wszystkich cel-apartamentów. Z tarasu rozciągał się widok na miasto. Stały tam teleskopy różnych rozmiarów, a wśród nich jeden gruby w kolorze pomarańczowym, który od razu przykuł moją uwagę.

— Dzięki temu przyrządowi udało nam się odczytać nawet numery rejestracyjne aut przejeżdżających przez Pueblito Paisa… Jak ci się to podoba? Spójrz tylko, a sam się przekonasz, jak daleko widać.

Teleskop wywarł na mnie ogromne wrażenie, bo faktycznie uwaga o tablicach rejestracyjnych wcale nie była przesadzona. Przyrząd pozwalał na dokładne obserwacje na dystansie wielu kilometrów.

Na prawo od tarasu znajdowała się cela ojca, lodowato zimna, jak cała reszta zakładu karnego. Nic nie pomogło to, że położyli drewniane podłogi i boazerie. Panował tam przenikliwy chłód i od razu zrozumiałem, czemu potrzebowali górskich kurtek. „Cela” ojca zaczynała się od salonu o powierzchni dwudziestu pięciu metrów, potem były drzwi, którymi przechodziło się do pokoju z wielką wanną. Jego powierzchnia również wynosiła dwadzieścia pięć metrów. W tamtym okresie nie było jeszcze wielkich luksusów, bo mieszkali tam od niedawna. Tata powiedział, że odstąpi swoją celę „Ottowi”, bo mama zabrała się już do budowy nowej, położonej na rogu więzienia, większej i z lepszym widokiem.

Nie wziąłem ze sobą ubrania na zmianę, bo wciąż nie wierzyłem, że będę mógł przenocować w więzieniu, zresztą ta myśl budziła we mnie lęk, bo

wydawało mi się, że będziemy mieli kłopoty, kiedy ktoś mnie tam odkryje. Ale ojciec nalegał, żebym został. Chciał, żebym pokazał jemu i wszystkim „chłopcom” prezenty, które przywiozłem.

Kilku strażników wniosło do środka moje dziesięć walizek. Zebraliśmy się w salonie należącym do celi ojca. Wraz ze wszystkimi „chłopcami” rozsiedliśmy się wokół na krzesełkach z białego plastiku.

Wyciągałem jedną kurtkę po drugiej, a oni mierzyli je i żartowali, jakby to był pokaz mody. Ojciec zawołał strażników, którzy również nie mieli wystarczającej ochrony przed chłodem, i podarował im kilka z przywiezionych przeze mnie okryć.

Długopisy uznał za bardzo przydatne i schował cztery dla swoich adwokatów. Stwierdził, że powinni używać ich podczas spotkań z politykami w Bogocie.

— Może w ten sposób nie zapominaliby tak szybko o kasie, którą ode mnie dostali, i o przysługach, jakie im wyświadczyłem.

W Nowym Jorku kupiłem też dla ojca kilka bardziej osobistych prezentów. Kiedy byłem mały, przez wiele weekendów oglądaliśmy wspólnie filmy z Jamesem Bondem i Charliem Chaplinem. Przywiozłem mu zatem całą kolekcję o słynnym angielskim szpiegu na kasetach VHS, co bardzo go ucieszyło. Dałem mu też podręczny odtwarzacz wideo, który czytał zarówno europejskie filmy nagrane w systemie Pal, jak i NTSC ze Stanów.

— Grégory, a nie widziałeś tam przypadkiem jakiegoś filmu z Johnem Dillingerem? Wiesz, że bardzo mnie interesuje jego historia. — Ojciec miał na myśli słynnego złodzieja napadającego na banki, który całymi latami trzymał w szachu amerykańskie władze.

— Nie, żadnego.

Tamtego wieczoru poszliśmy zobaczyć, jak postępują prace przy nowej celi taty zaprojektowanej przez mamę. Weszliśmy tam z latarkami, bo jeszcze nie podłączono prądu, a gdy wyjaśniał mi, gdzie co będzie, zauważyłem, że jest przekonany, iż to miejsce spełni jego oczekiwania. „Chłopcy” nie omieszkali jednak skrytykować małej ściany, którą zbudowano tego dnia.

— Ta ściana jest tu niepotrzebna — uznał tata i dwoma kopniakami obalił trzecią część cegieł. Ochroniarze zajęli się resztą, dopełniając dzieła zniszczenia.

Ktoś podarował ojcu podgrzewany materac wodny. Z początku falujące ruchy wydawały się zabawne, ale potem miałem wrażenie, że spędzam noc na żaglowcu na pełnym morzu. Każdy ruch (ojca lub mój) wywoływał wewnętrzne fale, od których kręciło mi się w głowie. Było to bardzo nieprzyjemne. Obudziłem się z bólem kręgosłupa i zziębnięty na kość.

Następnego dnia do La Catedral przyjechała mama z ubraniami dla mnie. Przywiozła Manuelę, która chciała zobaczyć się z tatą. Czekał nas wspólny weekend, co stwierdziłem po bagażach. Nie miałem tego w planach, bo po naszej idyllicznej podróży po Stanach Zjednoczonych bardzo tęskniłem za Andreą. Nie widziałem jej od prawie trzech tygodni. Cały czas siedziałem przy telefonie i z nią gadałem.

Upierałem się, że muszę pojechać do Medellín i się z nią zobaczyć, co wcale nie przypadło ojcu do gustu.

Rodzice odwołali mnie na bok, by porozmawiać na osobności.

— Synu, wiesz dobrze, że ja nikomu nie żałuję pieniędzy, ale nie powinieneś tak dużo wydawać w podróży. Przepuściłeś kupę kasy w krótkim czasie, a chyba zdajesz sobie sprawę, że nie jesteśmy w najlepszej sytuacji, od dawna już muszę pożyczać od „Kika” Moncady na prowadzenie wojny. Wiem, że wkrótce stanę na nogi, bo nic w życiu nie

idzie mi tak dobrze jak robienie pieniędzy, ale teraz przyszła chwila, że trzeba się miarkować. A więc uważaj i żeby mi się to nie powtórzyło — powiedział tata, mierzwiąc mi włosy.

Nie chciałem się kłócić, mieli całkowitą rację. Na swoją obronę powiedziałem, że na własne potrzeby nie wydałem aż tak dużo, ale było nas piętnaścioro i zatrzymywaliśmy się w najlepszych hotelach, jedliśmy w najdroższych restauracjach i podróżowaliśmy wyłącznie pierwszą klasą.

Ów weekend rodzinny miał swoje lepsze i gorsze momenty. Kiedy mama zobaczyła, że z nowej ściany w celi została kupka gruzu, zaczęła krzyczeć i robić tacie wymówki. Zarzuciła mu kompletny brak szacunku dla jej pracy, a krytykę uznała za przedwczesną, bo przecież ojciec nie wiedział, jak będzie to wszystko wyglądało, kiedy skończą.

— Skoro ty z twoimi „chłopcami” tak świetnie znacie się na projektowaniu wnętrz, to może dokończ to z nimi, bo na mnie nie masz już co liczyć. Sam sobie zbuduj, co chcesz.

Kiedy tylko mogłem, prowadziłem długie rozmowy telefoniczne z Andreą, aż tata nie wytrzymał dłużej, odwołał mnie na bok i zaczął o nią wypytywać, bo zauważył, że się zakochałem.

— Grégory, co to za historia z tą dziewczyną, dla której tracisz głowę? Jesteś jeszcze za młody na takie rzeczy. Musisz najpierw dużo przeżyć, poznać wiele kobiet. Chyba nie zamierzasz się zakochać w pierwszej, którą poznałeś? Przecież po świecie chodzi mnóstwo ślicznych dziewczyn. Powinieneś umawiać się z wieloma, bawić się… Jeszcze nie pora, byś wiązał się na poważnie z jedną.

— Ale tato, ja nie potrzebuję innych kobiet. Bardzo dobrze mi z Andreą i nie muszę niczego próbować z innymi. To wcale nie jest moja pierwsza dziewczyna. Wiesz przecież, że już z kimś chodziłem, miałem różne

przyjaciółki. Nigdy nie było mi jednak z nikim tak dobrze. Dlatego nie zamierzam szukać w innych tego, co już znalazłem w niej.

— Nie podoba mi się to, synu. To nie jest normalne, żebyś siedział przez cały dzień przyklejony do telefonu, myśląc tylko o jednej osobie. Ona nie jest ani nie powinna być dla ciebie wszystkim. Zastanów się więc, co zrobić, by poznać inne dziewczyny, a jeśli wolisz, sam ci ich poszukam.

Rozmowa odbyła się w jego pokoju, kiedy Manuela już spała. Mama weszła zobaczyć, co się dzieje, bo zorientowała się, że się spieramy, i spytała, o co chodzi. Nie chciałem nic powiedzieć. Z trudem powstrzymywałem łzy wściekłości. Dlaczego ojciec wbił sobie do głowy, że powinienem być niewierny?

— Jego zapytaj — fuknąłem.

Na opinię taty na pewno źle wpłynęły rozmowy z krewnymi, którzy wzbudzili w nim wątpliwości co do Andrei. Wmówili mu, że ona jest ze mną tylko dla pieniędzy, a różnica wieku między nami przemawia na jej niekorzyść. Jednak wszyscy się mylili, łącznie z ojcem.

W następny weekend znów przyjechaliśmy na dwa dni. Byłem w celi „Brudasa”, gdy nagle przez jeden z odbiorników usłyszeliśmy krzyki Dory, żony stryja Roberta, w czasie gwałtownej kłótni ocierającej się o skandal, bo znalazła pod prysznicem męża damską bieliznę.

„Brudas” skręcał się ze śmiechu, wręcz osunął się na ziemię z radości, bo to on podrzucił damskie figi do kabiny prysznicowej i zainstalował tam mikrofon w nadziei, że pozwoli mu to zostać świadkiem małżeńskiej katastrofy. Ojciec wiedział o tym ciężkim żarcie i przyszedł do jego celi posłuchać, co się dzieje.

— Niee… Na rany Boga, „Brudas”, co za paskudny numer wyciąłeś Robertowi, zabije cię, jak się dowie. Ale nic się nie martw, ja to z nimi załatwię — powiedział tata, zanosząc się śmiechem.

Niewiele brakowało, a skandal zakończyłby się dla Roberta separacją, dlatego w końcu ojciec i „Brudas” ujawnili, gdzie jest zamontowany mikrofon, i przyznali się, że to ich sprawka. Było dużo śmiechu i piorunujących spojrzeń, ale tak właśnie się żartowało w La Catedral, gdzie ciężkie poczucie humoru należało do tradycji.

Przy tak dużej ilości wolnego czasu ojciec zabawiał się, wymyślając różne dowcipy, a „Brudas” chętnie mu w tym sekundował. Któregoś dnia postanowili zakpić sobie z „Grubego Lambasa”.

Gdy wszystko było gotowe, ojciec zebrał kilku swoich ludzi i poprosił „Lambasa”, żeby był tak miły i przyniósł mu *periquito* (ciepły napój, w którym jest więcej mleka niż kawy). „Lambas” poszedł do kuchni i po chwili wrócił z filiżanką, a ponieważ nie było to żadne ważne zebranie, tata zaprosił go, by usiadł z nimi i pogadał.

Po wypiciu *periquito* zaczął udawać, że kręci mu się w głowie, a usta wypełniła mu piana. Zawołał:

— „Gruby”, czego dosypałeś do kawy? Związcie go, bo mnie otruł! Wezwijcie Eugenia, dajcie mi antidotum na cyjanek… Szybko, ja umieram!

„Brudas” złapał za karabin maszynowy ojca i wymierzył w „Grubego”. W tym czasie dwaj inni wspólnicy rzucili się na niego, by go związać.

— Zabiłeś mnie! Zabiłeś mnie, „Gruby”! Jeżeli umrę, to on zaraz po mnie. Słyszeliście chłopaki?

— Otrułeś szefa, jebany syfie! Co zrobiłeś, „Gruby”? Przyznaj się! — wołali chłopcy w ogólnym zamieszaniu, a ojciec cały czas się ślinił.

— *Patrón*, przysięgam na Boga, że niczego panu nie wsypałem do kawy. Na miłość boską, na wszystko, co pan kocha, nie róbcie mi krzywdy! Nie jestem zdrajcą! Jak może pan tak myśleć, szefie? Widziałem, jak robili dla pana kawę w kuchni i niczego dziwnego tam nie wrzucali. Niech pan zapyta dziewczyn. Błagam, nie zabijajcie mnie!

„Gruby” płakał przez dziesięć minut, gdy trwało całe to przedstawienie wymyślone przez ojca, który po upływie tego czasu wstał, otarł ślinę i pokazał mu papierek po alka-seltzerze, który wsypał sobie do ust. Gdy tylko go rozwiązali, „Gruby” uściskał ojca i wyznał, że naprawdę sądził, iż obaj umrą tego wieczoru.

W La Catedral budowano boisko do piłki nożnej, które, podobnie jak całą resztę, finansował ojciec. Zainwestował w to bez wątpienia fortunę, bo konieczny był system drenażu gwarantujący wsiąkanie wody i zabezpieczający pole gry przed powstawaniem kałuż. Nie mogło też zabraknąć oświetlenia, tak potężnego, że było je widać z daleka z dużej części miasta.

Gdy tylko ukończono boisko, ojciec zaczął organizować mecze ze specjalnymi gośćmi, którzy przyjeżdżali z Medellín. Bramkarz René Higuita, piłkarze Luis Alfonso, „Błogosławiony” Fajardo, Leonel Álvarez, Víctor Hugo Aristizábal, Faustino Aspilla i trener Francisco Maturana parę razy uświetnili rozgrywki swoim udziałem.

Podczas jednego z tych spotkań moją uwagę zwróciła agresywna gra Leonela przeciw ojcu. Atakował go dużo ostrzej niż innych, ale tata nic na to nie mówił. Bez wątpienia był to bardzo odważny zawodnik, w końcu jednak „Brudas” zawołał go na chwilę z boiska i ostrzegł:

— Nie graj z nim tak ostro. Szef nic nie mówi, ale już na ciebie brzydko patrzy.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, że mecze piłkarskie w La Catedral trwały, póki na prowadzenie nie wysunęła się drużyna, w której grał tata. Ciągnęły się czasem nawet po trzy godziny. Spragniony zwycięstwa ojciec nie wahał się zmieniać składu drużyn, tak by najlepsi byli po jego stronie. I chociaż był tam ubrany w regulaminową czerń sędzia, czas trwania meczu zależał od tego, czy drużyna taty zdołała zapewnić sobie korzystny wynik.

Często spekulowano, że ojciec był właścicielem drużyn piłkarskich takich jak Medellín, Atlético Nacional, Envigado, a nawet niektórych piłkarzy. Wszystko to wymysły. Futbol zawsze go pasjonował, ale nigdy nie próbował traktować go jako biznesu ani sponsorować.

Tymczasem więzienie obrastało w luksusy. Byliśmy przyzwyczajeni mieszkać w środku nieustającego remontu, który ciągnął się całymi dniami, i La Catedral nie była tu wyjątkiem.

Tata nalegał i wreszcie wymógł na mamie, by ukończyła nową celę. Był tam salon z włoską sofą z wikliny i dwoma wygodnymi fotelami do kompletu. Dalej jadalnia na sześć osób i kompletnie wyposażona kuchnia z piekarnikiem i lodówką pod drewnianym blatem, na który, jak zapewniał tata, codziennie przylatywał żółty ptaszek w nadziei, że dostanie coś do jedzenia.

Sądziłem, że to tylko bajki, aż któregoś dnia ptaszek przyleciał przy mnie i wielu innych świadkach. Zdumiała mnie wielka zażyłość między ojcem i malutkim gościem, który najwyraźniej miał do niego pełne zaufanie. Spacerował spokojnie po blacie, a tata dawał mu okruchy chleba lub kawałki banana. Ptaszek pozwalał mu się głaskać, niemal omdlewał, kładąc mu się na ramieniu w oczekiwaniu na pieszczotę. Potem wskakiwał mu na bark i siedział tam zadowolony, a tata w tym czasie rozmawiał jak gdyby nigdy nic. Nie dziwiło mnie, że zdołał nawiązać kontakt z ptaszkiem, bo w Nápoles zawsze dbał o to, by zwierzęta te miały zapewnione wszystko, co najlepsze, a kiedy dowiedział się, że zostaną skonfiskowane, polecił Pastorowi (ich opiekunowi), by zostawił otwarte drzwi klatek i pozwolił wszystkim uciec na wolność. W każdej kryjówce, do której się udawaliśmy, ojciec zawsze wychodził na balkon, na podwórze czy inne tego rodzaju miejsce i zostawiał na widoku jedzenie dla ptaków.

W „celi” mama zawiesiła kilka obrazów olejnych i postawiła niewielką rzeźbę miejscowego artysty, który malował i rzeźbił scenki z ubogich dzielnic Medellín. Znalazło się tam też miejsce dla oprawionych w ramki afiszy z serii „Poszukiwany...”, rozklejanych przez władze w celu schwytania przestępców z Medellín. Na innej ścianie wisiała słynna fotografia ojca z jego wspólnikiem Gustavem Gavirią w strojach włoskich mafiosów. Obok biurka tata postawił mało znane zdjęcie Ernesta „Che” Guevary.

Do pokoju ojca wchodziło się drewnianymi drzwiami. Po lewej w rogu stało łóżko na betonowym postumencie z zagłówkiem zdobionym wizerunkiem Matki Boskiej Miłosiernej, patronki więźniów. Była tam tylko jedna szafka nocna, a na niej śliczna kolorowa lampka Tiffany.

Łóżko miało dwudziestocentymetrowy stopień, dzięki czemu można było obserwować miasto, leżąc na poduszce. Obok stała drewniana biblioteczka z dwudziestodziewięciocalowym telewizorem Sony i kolekcją filmów z Jamesem Bondem, którą zaczęliśmy wspólnie oglądać od nowa.

Obok okna stało biurko i jeszcze jedna sofa. Tam właśnie znajdowało się „biuro” ojca. Na podłodze przed kominkiem stanowiącym ratunek przed chłodem, leżała skóra zebry. Dalej znajdowała się łazienka z wanną i łaźnią, szafa z ubraniami i skrytka, której nie mogło przecież zabraknąć. Tata trzymał w niej pieniądze i broń.

Wkrótce potem został wybudowany bar z ogromnym jacuzzi dla dwudziestu osób, umiejscowiony poniżej cel i z tym samym pięknym widokiem na Medellín. „Brudas” uzyskał od taty pozwolenie na ozdobienie go i zapełnił pomieszczenie malowanymi na lustrach obrazami przedstawiającymi marki napojów i papierosów. Zainstalował ponadto ogromną wieżę. Jednak przenikliwe zimno sprawiało, że miejsce to wciąż

świeciło pustkami. Tylko kilka razy skorzystali z jacuzzi, tak wielkiego, że schodził cały dzień, nim się napełniło i nagrzało.

Podczas krótkiej wyprawy do Stanów Zjednoczonych nabyłem kilka zdalnie sterowanych samochodzików, których zakup zlecił mi „Brudas". Zamierzał bawić się nimi w więzieniu. Miał już kilka helikopterów i samolotów, które puszczał na boisku futbolowym. Obaj byliśmy miłośnikami motorów i technologii i w zamknięciu wspólnie oddawaliśmy się tym upodobaniom. Za pomocą łopaty i kilofa pomogłem mu zbudować tor dla samochodzików z wieloma rampami do skoków i ostrymi zakrętami. Siedzieliśmy tam godzinami, bawiąc się z dziećmi, które przychodziły do więzienia w odwiedziny.

Obok toru powstał staw o średnicy trzech metrów, w którym tata założył hodowlę pstrągów. Któregoś dnia ojciec wściekł się na Juana Urquijo, który złowił dwadzieścia sztuk za jednym zamachem. Kazał wtedy „Brudasowi" postawić tablicę z następującym ostrzeżeniem: „Opłata za wyłowienie więcej niż jednego pstrąga: kulka w łeb".

Wreszcie nadszedł dzień przesłuchania przed prokuratorem z zasłoniętą twarzą, który miał wypytać ojca o prawdziwe pochodzenie jego fortuny i jego przestępstwa jako handlarza narkotyków. Aby zachować w tajemnicy tożsamość funkcjonariuszy prokuratury, na potrzeby procesu przystosowano specjalny budynek w niewielkiej odległości od więzienia.

Ojciec poszedł na przesłuchanie w towarzystwie swojego prawnika, z którym umówił się, że zaprzeczy wszystkim oskarżeniom i zmusi państwo, by udowodniło mu winę. Ustalili także, iż ojciec będzie zeznawał w sprawie najmniej poważnego z ciążących na nim oskarżeń, czyli handlu narkotykami, i w ten sposób wypełni zobowiązanie przyznania się do winy, które było warunkiem szczególnego złagodzenia kary. Tata jednak zastanawiał się: „Niby czemu miałbym im ułatwiać skazanie mnie?".

— Proszę podać swoje pełne nazwisko, datę urodzenia i numer wezwania sądowego. — Zaczął prokurator bez twarzy.

— Nazywam się Pablo Emilio Escobar Gaviria, urodziłem się 1 grudnia 1949 roku, wezwanie numer 8345766, z zawodu hodowca bydła.

— Jeśli z zawodu jest pan hodowcą, proszę być tak uprzejmym i powiedzieć, jaka jest w tym tygodniu przybliżona cena żywca wołowego na targu?

— Proszę o przełożenie przesłuchania na później, bo bardzo boli mnie głowa i nie jestem w stanie kontynuować — odparł ojciec, wstając, i wyszedł bez dalszych wyjaśnień.

Po powrocie do celi opowiedział tę scenę swoim ludziom i zaśmiewali się do łez, bo wymóg przyznania się do winy był kpiną z wymiaru sprawiedliwości.

W grudniu 1991 roku w La Catedral odbyło się kilka zabaw, jednak w wieczór wigilijny zrezygnowano ze sztucznych ogni, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Mimo to był szampan Cristal w wielkich ilościach i wystawne prezenty, jak na przykład ten od stryja Roberta, który dał mi zegarek Cartiera. Mama z Manuelą powiedziały mi, że muszę znaleźć swój upominek na terenie więzienia, bo to niespodzianka.

Szukałem wszędzie bez wielkiego zaangażowania, aż w końcu wszedłem do pokoju rodziców i znalazłem ukryty za zasłonami ostatni model hondy CR-125, idealny do motocrossu, jednego z moich ulubionych sportów. Nie mogłem uwierzyć, że przemycili motor do La Catedral.

Kilka miesięcy później przyszedłem z wizytą, trzymając w dłoni wycinek z gazety, w którym donoszono o mojej wygranej na wyścigach motorowych w kategorii dowolnej. Tata bardzo się ucieszył z moich osiągnięć na otrzymanym od niego motorze.

Niedługo potem Antioqueńska Liga Motorowa zorganizowała zawody samochodowe znane jako „ćwierćmilówka”. Wyścig ten odbywa się na jednej prostej i przy maksymalnych prędkościach. Zacząłem przygotowania w kilku pożyczonych samochodach, były to między innymi bmw M3, toyota celica, porsche 911 i ford mustang 1991 kabriolet. W dniach poprzedzających imprezę poszedłem zgłosić auta do konkursu i zastałem na miejscu dziesiątki ciekawskich, którzy podchodzili, by obejrzeć auta i wypytać o wyścigi.

Pośród tłumu ludzi dostrzegłem dwóch, których wyraźnie nie interesowały wyścigi, tylko ja i moja obstawa. Postanowiłem oddalić się stamtąd, bo wolałem uniknąć problemów. Zarazem poleciłem ochroniarzom, żeby zbadali temat.

Kiedy wyjeżdżałem, zza kierownicy toyoty celica zobaczyłem coś jeszcze dziwniejszego: karetkę zaparkowaną przed głównym wejściem do siedziby Ligi Motorowej. Następnego dnia uciekłem przed tą samą karetką w drodze na prywatne lekcje przygotowujące do matury. Tym razem uznałem za dziwny widok karetki o siódmej rano na stosunkowo pustym terenie. Z czystej ostrożności wolałem uniknąć spotkania z nią i zawróciłem gwałtownie.

Ojciec wiedział, kiedy brałem udział w zawodach, i w takich sytuacjach polecał wzmocnić moją obstawę, bo miałem wystawiać się na widok publiczny, gdzie zagrożenie było większe.

Tata często powtarzał, że ma już dosyć ciągłego chronienia mnie przed próbami porwania ze strony kartelu z Cali. Był przekonany, że jeśli wpadnę w ręce jego wrogów, zażądają od niego gigantycznego okupu, a potem mnie zamordują. Zapewniał, że sam przestrzega starej zasady, zgodnie z którą pod żadnym pozorem nie tyka się członków mafijnych rodzin. Doskonale znał każdy ruch synów, córek, ojców, matek, wujków, kuzynów i przyjaciół

*capos*. Nigdy jednak nie wyrządziłby im krzywdy, chyba że zaatakowaliby mnie lub Manuelę.

Ze wzmocnioną obstawą kontynuowałem przygotowania do wyścigu, aż nagle ojciec poprosił, żebym natychmiast przyjechał do La Catedral.

„Natychmiast” nie należało do słów, których używaliśmy na co dzień. Dlatego o nic więcej nie pytając, pojechałem do więzienia, gdzie czekał na mnie ojciec ze stertą kaset i dokumentów opatrzonych policyjnymi pieczęciami na biurku. Nie wiedziałem, co się dzieje. Przywitał mnie pospiesznie i kazał chwilę poczekać.

— Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość, kolego — powiedział, patrząc mi w oczy i dając do zrozumienia, że przykro mu z powodu tego, co za chwilę powie. — Zła jest taka, że chcieli cię porwać podczas tego wyścigu… Dobra, że dowiedziałem się o tym na czas i namierzyłem grupę, która się do tego przygotowuje.

Pobladłem. Właśnie runął zamek z kart, który pieczołowicie budowaliśmy od dnia, gdy ojciec zamieszkał w La Catedral.

— Musisz zostać w więzieniu. Poślij po rzeczy, bo nie możesz pokazać się w Medellín, póki osobiście nie załatwię tej sprawy. Mam już nagrania tych gości, którzy uważają się za bardziej żywych ode mnie. Zdobyłem wszystkie dane ich operacji. Problem w tym, że tym razem w celu porwania połączyły się różne siły. W pierwszy etap akcji zamieszani są wojskowi, a w drugi policja.

— Och, tato, ale w jaki sposób się o tym dowiedziałeś? Nie będę mógł wystartować? To okropne. Myślałem, że wreszcie będziemy mogli żyć w spokoju, ale nie, dalej jestem łakomym kąskiem dla twoich wrogów. Co zrobisz? Komu to zgłosisz?

— Nikomu, synu. Te cioty zapłacą własnymi głowami za to, co chcieli ci zrobić. Właśnie dlatego prosiłem, żebyś tu przyjechał. Nie możemy

stwarzać im okazji. Poczekaj minutkę, bo muszą mi jeszcze potwierdzić ostatnie dane dotyczące tych ludzi. Przejrzę ich nazwiska i zapamiętam je sobie na wypadek, gdyby któregoś dnia cię złapali i chcieli zrobić ci krzywdę.

Poszedłem coś zjeść i zadzwoniłem do mamy, prosząc, by przysłała mi ubrania na kilka dni. Wtedy usłyszałem za plecami głos taty, który mówił, że będzie ich potrzeba więcej, co najmniej na dziesięć dni. To jeszcze bardziej zepsuło mi nastrój. Mama nie rozumiała, co się dzieje, a ja powiedziałem jej tylko, żeby się nie martwiła, że wszyscy mamy się dobrze, a tata jej wszystko wyjaśni, jak przyjedzie do La Catedral.

Wróciłem do pokoju ojca i zobaczyłem, że z wielką uwagą przegląda informacje, jakie dostał na temat mojego porwania. Obok niego byli tylko „Otto" i „Brudas". „Popeye" zajrzał przez drzwi i zaofiarował pomoc, ale tata odmówił mu i podziękował za dobre chęci, wyjaśniając, że to delikatna sprawa.

— Albo wiesz co, dobra, pomóż nam i przynieś wszystkim po *periquito*.

— Już się robi, *patrón*, zaraz powiem dziewczynom, żeby zaparzyły. — „Popeye" obrócił się na pięcie i odszedł, mrucząc coś pod nosem.

— „Otto", podaj mi, proszę, komórkę. Synu, chodź tu, usiądź koło mnie na łóżku. Nie denerwuj się. Porozmawiam teraz z twoimi porywaczami i ostrzegę ich, co się z nimi stanie, jeśli nie porzucą swojego pomysłu.

— Mówi Pablo Emilio Escobar Gaviria, numer sprawy 8345766. Lepiej, żebyś wiedział, że znam twoje plany. Wiem, że zamierzasz porwać mojego syna Juana Pabla podczas wyścigów samochodowych na ćwierć mili w Medellín, przy udziale wojska, które prewencyjnie rozbroi jego obstawę, a potem go zabierze. Pamiętaj jednak, że wiem, gdzie mieszka twoja matka i cała twoja rodzina. Jeśli coś stanie się mojemu synowi, odpowiesz mi za to ty i wszyscy twoi bliscy. Dlatego dobrze ci radzę, żebyś zniknął

z Antioquii, bo wydałem już rozkaz, że jeśli gdzieś tu cię zobaczą, to możesz się domyślić, co z tobą będzie. Spaprała się wam ta „robótka”, bo chcieliście ruszyć moją rodzinę, a w takich sprawach nie ręczę za siebie, rozumiesz? Masz dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie miasta, w przeciwnym razie wydam na ciebie wyrok, a chyba nie wątpisz, że cię znajdę. Bądź mi wdzięczny, że zostawiam cię przy życiu. Chyba nie myślisz, że boję się ciebie, bo jesteś policjantem, a ja siedzę w więzieniu?

Łącznie z tą sytuacją była to już piąta próba porwania mnie. Ostatecznie nie mogłem wziąć udziału w wyścigu i zostałem w La Catedral przez prawie dwadzieścia dni, póki ojciec nie upewnił się, że wszyscy spiskowcy zostali przeniesieni w inne miejsca.

W tym czasie w La Catedral odbył się ślub „Taty” Avedaño z jego dziewczyną Ivonne. Spędzili razem dwa tygodnie (ich miesiąc miodowy), testując obrotowe łóżko w kształcie serca, które on zamówił specjalnie na tę okazję. Była to uroczystość w pełnym tego słowa znaczeniu, w której udział wzięły dziesiątki gości, jak gdyby wszystko odbywało się w najlepszym hotelu.

Fidel Castaño skorzystał z przyjaźni z ojcem, by skryć się w La Catedral. Spędził tam nawet dwa lub trzy tygodnie. Fidel spał w pokoju koło celi ojca, kapał się w jego wannie, jadł przy jego stole, był jakby jednym przyjacielem więcej. Aż do dnia, gdy tata nabrał podejrzeń, bo przyłapano go na szpiegowaniu w więzieniu. Od tego momentu istniał rozdźwięk między ojcem a braćmi Castaño, który z czasem miał doprowadzić ich do wojny na śmierć i życie.

W tym czasie jeden z przywódców w bandzie braci Prisco, niejaki „Komancz”, też miał u taty swój apartamencik, w którym ukrywał się, ilekroć sytuacja na mieście robiła się „gorąca”.

Przyjechałem kiedyś do ojca na weekend i postanowiłem zostać do połowy tygodnia, bo więzienie było wygodne, miało ładne widoki i tak dobrze nas obsługiwano, że nikt nie chciał stamtąd wyjeżdżać.

Pojawił się wtedy także „Kiko" Moncada, który jak zawsze bardzo uprzejmie mnie przywitał. Spotkaliśmy się już wcześniej trzy czy cztery razy. Po raz pierwszy zdarzyło się to w hacjendzie koło Yerbabuena, w El Poblado, gdy opowiadał nam, że czasami ma problemy z kupieniem samochodu marki Ferrari, bo w salonie nie sprzedawano ich byle komu. W końcu nabył auto za pośrednictwem podstawionej osoby. Po raz drugi spotkałem Moncadę w wieżowcu koło budynku Mónaco, kiedy tata już wypowiedział wojnę państwu. Wtedy zapewnił ojca:

— Pablo, człowieku, to także moja wojna. Damy popalić tym dupkom. Wiesz przecież, już to nieraz mówiłem i teraz znów powtórzę, żebyś nie myślał, że to jakieś bajki. Mam na ten cel odłożone sto milionów dolarów. Możesz liczyć na tę forsę, bo ja już zabezpieczyłem swoją rodzinę. Wiesz, o co chodzi, tę kwotę mam wolną, możesz nią rozporządzać wedle uznania. Oddasz mi, kiedy zechcesz, kiedy będziesz mógł i bez żadnych odsetek. To mój wkład. Powiedz swoim ludziom, żeby przyszli po kasę do mojego biura w centrum, tam będziemy notować i przekazywać pieniądze, jak będą potrzebne. Albo powiedz, gdzie mam ci je podrzucić, to zaraz kogoś wyślę.

— Spokojnie, bracie, rozumiem i dziękuję. Jak tylko skończą mi się własne zapasy, zgłoszę się do ciebie, bo wojna kosztuje masę pieniędzy. Niebawem się odezwę w tej sprawie. Wielkie dzięki za twoje wsparcie, „Kiko".

Widziałem go też wtedy w kryjówce La Isla, w El Peñol, kiedy on, Lehder, Fidel Castaño i ojciec czytali książkę *Człowiek, który sprawił, że z nieba padała kokaina*, napisaną przez Maxa Mermelsteina, który pracował wcześniej dla taty i innych członków kartelu z Medellín.

Ojciec bardzo rzadko wspominał przy mnie o Moncadzie, ale ilekroć to robił, mówił o nim z sympatią, od razu było widać, że się lubią, nie tylko z powodu wspólnych interesów. Zawsze miał go za człowieka poważnego i szybkiego w działaniu. Łączyła ich przyjaźń.

Teraz w La Catedral ojciec streścił Moncadzie postępy wojny z kartelem z Cali, bo ostatni etap konfrontacji finansowany był z pieniędzy „Kika".

Kilka godzin później, kiedy leżałem na łóżku ojca, oglądając film, weszli i siedli przy biurku w głębi pokoju. Odruchowo wstałem, by zostawić ich samych, ale tata powiedział, żebym spokojnie oglądał sobie dalej. Jednak ciekawość zwyciężyła i większość uwagi poświęcałem ich rozmowie, zwłaszcza kiedy ojciec zapytał:

— A więc, „Kiko", podsumuj mi teraz, ile jestem ci winien.

— Daj mi chwilkę, Pablo, zawołam mojego sekretarza, który jest tam na zewnątrz.

Do środka wszedł nieznany mi człowiek, przywitał się i położył na stole dyrektorską teczkę, z której „Kiko" wyjął wielką kartkę z wydrukiem komputerowym, ale tata nie chciał jej wziąć.

— Nie no, człowieku, nie pokazuj mi tu rachunków. Wyluzuj, bracie, powiedz mi, ile ogółem ci wiszę, to się rozliczymy.

— Pablo, do tej pory jesteś mi winien dwadzieścia trzy i pół miliona dolarów. Pamiętaj, że wcale się ich nie domagam. Wiesz dobrze, że jestem tu, bo prosiłeś mnie, żebym przedstawił ci rachunki, ale mam u siebie gotowe pozostałe siedemdziesiąt sześć milionów, z których możesz skorzystać, kiedy tylko będziesz potrzebował.

— Dzięki za wszystko, „Kiko". Mam nadzieję, że nie będę musiał zawracać ci tym głowy, bo jeśli dobrze nam pójdzie w meksykańskim biznesie, zwrócę ci od razu wszystko, co jestem ci winien.

— Miło mi to słyszeć, bracie. Super. Sądzę, że szybko załatwimy ten interes, a wtedy się rozliczymy. To są właśnie plusy „koksu”, który daje kaskę na wszystko, nieprawdaż? — Zaśmiał się.

Zerkałem na nich kątem oka, udając, że oglądam film. Trudno mi było nie zwrócić uwagi na tego rodzaju rozmowę.

— Załatwione bracie, umowa stoi. A teraz nie chcę cię wypraszać, jeśli chcesz, możesz zostać, nie ma problemu, mamy tu wszystko, czego potrzeba, ale ostatnia ciężarówka zjeżdża na dół o ósmej wieczorem, czyli za piętnaście minut. To już jak wolisz.

— Dobrze, Pablo, w takim razie lepiej pojadę i skorzystam z okazji, bo czeka na mnie jedna panienka. Będziemy w kontakcie.

Tata powiedział, że odprowadzi go do ciężarówki, i wyszli z pokoju. Ja oglądałem dalej Jamesa Bonda.

W następnych dniach zaszło coś ze wszech miar niewiarygodnego: dyrektor więzienia kazał strażnikom poćwiczyć strzelanie na zaimprowizowanym poligonie za górą. Jednak nie tylko strażnicy skorzystali z treningu. Przyłączyli się do nich także żołnierze, ich przełożeni i, oczywiście, tata ze swoimi ludźmi.

Jak łatwo się domyślić, najlepszą i najbardziej nowoczesną bronią dysponowała banda ojca. Mieli błyszczące karabiny Colt AR-15 z laserowym celownikiem, karabiny maszynowe Heckler i pistolety Pietro Berreta i Sig Sauer. Natomiast żołnierze ćwiczyli ze swoimi zardzewiałymi i ciężkimi, lecz o dużej mocy karabinami G-3. Strażnicy używali starych rewolwerów kalibru .48.

Militarne show ojca było spektakularne, ale ani funkcjonariusze więzienni, ani żołnierze nic nie powiedzieli, wszystko przebiegło bardzo zwyczajnie.

Podczas pobytu ojca w La Catedral więzienie odwiedzały liczne królowe piękności. Mowa tu o okresie, kiedy złagodził nieco swój surowy pogląd na mój związek z Andreą, a nawet zapragnął ją poznać i zaprosił do siebie, ale ona wymówiła się studiami na uniwersytecie na kierunku reklamy, gdzie dawała wyraz swojemu talentowi artystycznemu. Nigdy nie odwiedziła go w La Catedral.

Tata, stary spryciarz, celowo wzywał mnie akurat wtedy, gdy przyjeżdżały z wizytą owe dziewczęta, i to tak pechowo, że przy dwóch okazjach odprowadzająca mnie do Estadero Andrea natknęła się na ponad dziesięć wyperfumowanych miss na wysokich obcasach.

Niebieska ciężarówka z podwójnym dnem wyruszyła w kierunku La Catedral wypełniona pięknymi dziewczynami, a ja pośród nich. Pamiętam ciekawą scenę, do której doszło, gdy samochód zatrzymał się przy drugim wojskowym punkcie kontrolnym, bezpośrednio przed wjazdem do więzienia. Przy pierwszym punkcie kontrolnym podnoszono jedynie szlaban, przepuszczając auto, ale przy drugim zapisywano typ pojazdu, numery rejestracyjne, dane kierowcy i ładunek, który oczywiście był zmyślony. W plandece ciężarówki znajdowały się małe otworki, przez które można było patrzeć ze środka na zewnątrz, ale nie na odwrót.

Dyżurny oficer zatrzymał pojazd dłużej niż zwykle i zaczął wokół niego chodzić. Wojskowy zwykle przepuszczał ciężarówkę, nie zaglądając do środka ani o nic nie pytając, ale wyglądało na to, że tego dnia jego ciekawość weźmie górę. Wreszcie spojrzał na plandekę i krzyknął:

— Następnym razem bądźcie tak miłe i nie wylewajcie przynajmniej na siebie tyle perfum, do cholery!

Ślicznotki wybuchnęły śmiechem. Ja także nie potrafiłem powstrzymać chichotu. Żołnierze poszli w nasze ślady.

Na górze czekali więźniowie, wystrojeni, wyperfumowani, z prezentami i kwiatami, którymi zamierzali uwieść piękności. Ich obecność była ulotna, niemniej sowicie opłacona.

O niecałe dziesięć metrów od swojego pokoju ojciec kazał zbudować dla Manueli dom dla lalek. Pomalowano go na biało-różowo. Bawiły się tam córki różnych więźniów, w tym także „Brudasa".

Pewnego razu moja siostra się poskarżyła, bo domek należał do niej, a korzystały z niego wszystkie dziewczynki. Chcąc sprawić jej przyjemność, tata kazał ogrodzić placyk siatką, na której zawisła tabliczka z napisem „Własność prywatna" oraz kłódka, do której jedynie Manuela miała klucz. Brakowało tylko, by podłączyć napięcie do ogrodzenia.

Córki „Brudasa" też zaprotestowały, co doprowadziło do zabawnej rywalizacji między ojcami. Donośnym głosem, tak żeby na pewno moja siostra i tata usłyszeli, „Brudas" obiecał swoim córkom, że postawi dla nich ładniejszy i większy domek.

Dotrzymał słowa i zbudował miniaturową chatkę w środku drzewa. Udało mu się do tego stopnia rozbudzić zazdrość mojej siostry, że zdjęła kłódkę ze swojego domku, by móc korzystać z nowej chatki razem ze wszystkimi dziewczynkami.

Pamiętam, że korzystając ze swoich ogólnie znanych zdolności stolarskich, „Brudas", który wiedział o wielkim zamiłowaniu ojca do ptaków, wybudował ogromny gołębnik. Z początku zaskoczył mnie pomysł tej hodowli (i to w liczbie dwustu sztuk) w tak zimnym miejscu, potem jednak odkryłem, że chodziło o gołębie pocztowe.

W krótkim czasie mieliśmy już kilka przeszkolonych gołębi. Ptaki trenował Juan Carlos, przyjaciel „Brudasa". Wywoził je w odległe miejsca i wypuszczał. To niewiarygodne, ale gołębie całe i zdrowe przylatywały z powrotem do La Catedral.

— I co powiesz, synu, na pomysł z gołębiami-posłańcami? *Gringos* krążą nam tu nad głowami swoimi latającymi spodkami, a nasze gołębie fruwają im pod nosem bez przeszkód. Kto je złapie? Nikt, nawet największy cwaniak.

Pewnego dnia wysłał Juana Carlosa z gołębiami do „trzynastki”, jak w kodzie nazywaliśmy mieszkanie w Torres de Saint Michel. Poprosił Manuelę, żeby napisała do niego krótki list. Zaproponował, że gołębie przeniosą go do La Catedral, a potem przeczytają go wspólnie, gdy ona przyjedzie do niego w odwiedziny.

Krótki pobyt ojca w La Catedral przysłużył się wzmocnieniu więzi z nami, jego dziećmi. Manueli na przykład podarował pager, żeby przez cały dzień do niego pisała. On oczywiście miał drugi, na którym odbierał wiadomości wyłącznie od niej. Nosił go przez cały czas w kieszeni spodni.

W La Catedral ojciec nie chodził uzbrojony, bo w pobliżu zawsze stał jakiś strażnik gotów podać mu karabin maszynowy lub telefon komórkowy.

Spokój zakłóciły doniesienia medialne ujawniające, że kartel z Cali nosi się z zamiarem zbombardowania La Catedral z samolotu. Wobec tego ojciec podjął specjalne środki zaradcze.

Kilka dni później pojechałem do więzienia, które robiło wrażenie porzuconego. Nie było nikogo w całym głównym pawilonie, spotkałem jedynie kilku wystraszonych strażników. „Gdzie też się wszyscy podziali?”, zastanawiałem się, w czasie gdy jeden z wartowników dał mi znak, bym poszedł za nim gruntową drogą prowadzącą do boiska piłki nożnej. Gdy tam dotarliśmy, pokazał gestem na las, gdzie pośród krzaków dojrzałem drewniane chaty.

Wtedy zrozumiałem, że ojciec i jego kompani przenieśli się do kryjówek, które zbudowali tuż przy ogrodzeniu otaczającym zakład karny. Ojciec wybrał chyba najgorsze z możliwych miejsc na swoją chatę. Nie byłem

w stanie jej dojrzeć, póki nie wyłonił się spomiędzy zarośli i nie wskazał mi drogi. Przywitałem go i zapytałem, co się dzieje, a on wyjaśnił mi, że zdecydował się na opuszczenie głównego pawilonu więzienia, bo bez wątpienia tam właśnie zamierzano zrzucić bomby.

— Wszyscy dostali rozkaz, żeby strzelać, jeśli ktoś przeleci nad więzieniem. Każdemu, kto pojawi się nad tym terenem, poślemy kulkę, taki wydałem rozkaz. To zastrzeżona przestrzeń powietrzna. Pomyślę jeszcze, jak zainstalować działa przeciwlotnicze. Grégory, wybrałem ten wykop w górach, bo dzięki temu nie będą mogli zobaczyć nas z góry. Nawet tobie nie udało się mnie znaleźć, więc jestem spokojny, tyle że marzniemy tu dwa razy bardziej, bo pod spodem przepływa lodowate źródełko, a słońce tam nie dociera.

— I co? Tutaj będziesz odbywał swoją karę? W tej pieprzonej chłodni?

— To rozwiązanie tymczasowe. Powiedziałem mamie, żeby poprosiła architekta o projekt schronu przeciwlotniczego, jutro go dostanę. Bądź tak dobry i nie chodź do tej części, w której byliśmy wcześniej, bo to niebezpieczne.

Projekt schronu był futurystyczny i spodobał mi się. Wszystkie sektory miały owalny kształt. Plan zakładał przykrycie ich ogromną ilością stali i betonu oraz zamaskowanie ziemią, żeby konstrukcja nie była widoczna z powietrza ani możliwa do wykrycia przez satelitę. Jednak projekt architekta nie został zrealizowany, bo ojciec uznał, że drewniane chaty są wystarczająco dyskretne… i znacznie tańsze. Kilka dni później przeniósł się do lepiej położonego i nie tak zimnego, ale równie dobrze ukrytego domku.

Bardzo popularną rozrywką tam na górze stały się zakłady karciane lub w bilardzie amerykańskim. W pięciominutowych partiach jeden na jednego ojciec i jego wspólnicy stawiali po tysiąc pięćset dolarów w okresie, który

nazywali epoką chudych krów, a piętnaście tysięcy dolarów lub więcej w czasach obfitości. Ojciec grał całymi godzinami z „Kolczykiem”, „Ottem”, „Komanczem” i „Brudasem”, a i tak uchodził za umiarkowanego gracza. Wielu innych potrafiło postawić w kościach nawet milion dolarów. „Popeye” nigdy nie brał w tym udziału, bo twierdził, że nie zamierza tracić ciężko zarobionych pieniędzy na hazard. Powtarzał też „chłopcom”, że powinni zakupić sztabki złota i ukryć je w ścianach, bo w wilgoci nie niszczeją tak łatwo jak banknoty dolarowe.

Jakiś czas potem niektóre media zaczęły podawać niepotwierdzone wiadomości, z których wynikało, że „Kiko” Moncada i Fernando Galeano zostali zamordowani w La Catedral.

Zapanowała wtedy wielka konsternacja i nieoczekiwanie ojciec zabronił wstępu wszystkim, łącznie z rodziną. Najwyraźniej coś działo się tam na górze, więc zadzwoniłem do niego, by zapytać, dlaczego nie mogę wejść, jednak nie udzielił mi żadnego wyjaśnienia, powiedział tylko, że wkrótce wszystko wróci do normy.

Zauważyłem, że nikt nie chce rozmawiać na ten temat, dlatego wolałem poczekać z dociekaniami. W środowisku taty nie lubiano zbyt wielu pytań. Jednak zagadka zaczęła się wyjaśniać, gdy media podały, że więźniowie w La Catedral nie zgodzili się wpuścić do środka komisji śledczych CTI z prokuratury, które miały przeprowadzić kontrolę, by potwierdzić lub obalić plotki o zniknięciu dwóch wspólników ojca.

Gdy w końcu upubliczniono oskarżenia przeciw niemu jako przypuszczalnemu sprawcy śmierci wspólników w czasie ich wizyty w więzieniu, przypomniały mi się doskonałe relacje, jakie łączyły tatę z Moncadą. Zaledwie kilka dni przed pojawieniem się wiadomości o prawdopodobnej śmierci „Kika” spacerowałem z rodzicami po więzieniu i zauważyłem, że na ustach ojca błąka się zawadiacki uśmiech, ten sam,

który zwykle pojawiał się na jego twarzy, gdy jakiś „interes” wypalił. W końcu nie wytrzymał i oświadczył:

— Jestem bardzo zadowolony. Mam dla was dobre nowiny. Właśnie spłaciłem Moncadzie cały dług. Zachował się naprawdę w porządku jako przyjaciel, poza tym bardzo pomógł naszej sprawie. Zgarnąłem wraz z nim trochę kasy w Meksyku, ale najlepsza wiadomość jest taka, że mnie przypadły w udziale trzydzieści dwa miliony dolarów… minus dwadzieścia cztery, które byłem mu winien, więc zostało mi jeszcze osiem milionów.

Przypomniałem sobie te sceny poświadczające zażyłość ojca z Moncadą i wszystkie zarzuty uznałem za bardzo dziwne i mało prawdopodobne. Byłem przekonany, że dziennikarze się mylą. Na razie jednak trzeba było czekać.

Kilka dni później ojciec znów pozwolił na wizyty. Przyjechałem do Estadero później niż zwykle i od razu zorientowałem się, że zbyt wielu ludzi naraz chciało wejść do La Catedral. Choć dali mi pierwszeństwo, i tak musiałem poczekać dłuższą chwilę. Wtedy właśnie podeszli do mnie „Pukawa” i „Titi”.

— Co tam? Co nowego, Juancho? Wszystko w porządku? — zagadnął „Pukawa”.

— Wszystko dobrze. A co u ciebie i twojej czarnulki? — odparłem.

— Okej. A jak ci się spodobał ten zamach stanu? — zapytał z nerwowym chichotem.

W tym momencie zawołali mnie do ciężarówki i zdążyłem tylko dać mu do zrozumienia, że nie wiem, co ma na myśli. Słowa „Pukawy” zapadły mi w pamięć i wkrótce doszedłem do wniosku, że musiały pozostawać w związku z tym, co w wiadomościach mówiono o Moncadzie i Galeano. W pewnym sensie stanowiły dla mnie poszlakę, że rozkaz zabicia wspólników mógł wyjść od ojca.

Nie potrafiłem uwolnić się od myśli o tym, co usłyszałem od „Pukawy”. Nie mogłem uwierzyć, by tata okazał się tak złym przyjacielem. Zawsze powtarzał mi, jak ważna jest lojalność. Nie ulegało wątpliwości, że duża część jego problemów wynikała z chęci niesienia pomocy przyjaciołom w potrzebie.

O Fernandzie Galeano nie mam nic do powiedzenia, bo nigdy go nie poznałem. Usłyszałem to nazwisko dopiero po wybuchu skandalu związanego z jego śmiercią.

Przy pierwszej sposobności powiedziałem ojcu, że jestem bardzo zaniepokojony i nie wiem, co się dzieje.

— Tato, co to za historia? Martwię się. Wszyscy mówią, że „Kiko” nie żyje. To prawda? Co się z nim stało? Przecież byliście przyjaciółmi...

— Synu, wszystko ci wyjaśnię, żeby nie wciskali ci kitu. Dowiedziałem się, że „Kiko” i Galeano wpadli w łapy kartelu z Cali. Wypuścili ich żywych, pod warunkiem że przestaną opłacać wojnę przeciwko ich kartelowi, że całkowicie odetną mi pomoc finansową i będą im przekazywać informacje. Nie wierzyłem w to, bo sam wiesz, że bardzo się z „Kikiem” przyjaźniłem. Do czasu, aż usłyszałem nagrania, na których ktoś z kartelu z Cali wyrzucał mu, że dalej daje mi kasę.

— Ale co ostatecznie zrobił ci „Kiko”? — zdecydowałem się zapytać, widząc, że jest skłonny rozmawiać na ten temat.

— Wyobraź sobie, że ja, cały zadowolony, wzywałem go, żeby mu przedstawić postępy w działaniach przeciwko kartelowi z Cali. Przy okazji opowiedziałem mu o kilku operacjach, które miałem już gotowe przeciw Gilbertowi Rodríguezowi i „Pachowi” Herrerze, a potem w jednej chwili cały plan się spieprzył, przyjechała policja, a bandyci z Cali ostrzelali moich ludzi. Za pierwszym razem gdy tak się stało, pomyślałem, że po prostu mieliśmy pecha, ale po drugim i trzecim razie zacząłem bliżej badać

sprawę i odkryłem, że „Kiko” przekazuje im informacje. Z pewnością zrobił to ze strachu, bo nigdy nie należał do intrygantów. Ale cóż, wszyscy dobrze wiedzą, co czeka tych, którzy wycinają mi takie numery. Bardzo go kochałem, przyjaźniliśmy się i robiłem, co mogłem, by uniknąć tej decyzji, ale fakty są takie, że zamiast przyjść i opowiedzieć mi, co mu się przytrafiło, skumał się z tamtymi. To samo stało się z Galeano, do którego posłałem po pieniądze, a on kazał mi odpowiedzieć, że jest bez grosza, że już nie może dłużej współpracować, a parę dni później przyszedł „Titi” i powiedział mi, że odkrył jego kryjówkę, w której były co najmniej dwadzieścia trzy miliony dolarów. Więc nie pytaj mnie o nic więcej, bo to już wszystko. „Kiko” i Galeano zdradzili mnie, przechodząc na stronę kartelu z Cali.

Nic nie powiedziałem, a tata poszedł do innych, którzy na niego czekali. Na odchodnym odwrócił się jeszcze i dorzucił:

— Uważaj na Fidela Castaño, jeśli gdzieś go tu spotkasz, bo odkryłem, że to kolejny zdrajca, który jest w zmowie z Cali i rozpowiada wszędzie, że niby to zabijam przyjaciół dla kasy. Nie ufaj mu, bądź bardzo ostrożny w kontaktach z nim i jego bratem „Carlitem”.

Dowiedziałem się potem, że ojciec próbował się pozbyć braci Castaño w podobny sposób jak Moncady i Galeano. Zaprosił ich obu do La Catedral, ale Fidel, nieufny, poszedł sam, a Carlosa zostawił na dole. To była ich ostatnia rozmowa z tatą, potem bracia Castaño stworzyli formację, która ostatecznie doprowadziła do śmierci ojca.

Wieczorem we wtorek 21 lipca 1992 roku moi ochroniarze, kilku przyjaciół, kuzyn Nicolás (syn stryja Roberta) i ja rozegraliśmy mecz piłki nożnej w miejscu zwanym 20, na wzgórzu Chocho, w górnej części gminy Envigado.

Nicolás zaprosił mnie i kolegę, który z nami grał, na grilla do siebie, w penthousie budynku oddalonego o cztery przecznice od galerii handlowej Oviedo.

Około szóstej wieczorem zadzwoniła komórka Nicolása. Był to Roberto, mówił mocno wzburzonym głosem.

— Bądź pod telefonem, coś dziwnego dzieje się w pobliżu La Catedral.

Potem podał słuchawkę ojcu:

— Grégory, jest tu więcej żołnierzy niż zwykle i kursują wojskowe ciężarówki. Pojawiły się też helikoptery. Coś się kroi, ale jeszcze nie wiemy co.

— Tato, co mam robić?

— Zadzwoń do Giovanniego i powiedz mu, żeby do ciebie przyjechał, na wypadek gdybym musiał z nim porozmawiać.

Niespodziewany telefon bardzo nas zaniepokoił. Szczególnie Nicolása, który odniósł wrażenie, że jego ojciec chciał się pożegnać. W głosie mojego taty nie było czuć aż takiego napięcia, ale to niewiele znaczyło, bo przyzwyczaił nas już do swojego zdumiewającego spokoju, który zachowywał nawet w najgorszych momentach.

Godzinę później Roberto zadzwonił po raz kolejny, tym razem ja odebrałem.

— Juan Pablo, zawołaj moje dzieci, chcę je usłyszeć. Chyba przyszli nas zabić, muszę się z nimi pożegnać.

— Stryjku, daj mi tatę. Co mamy zrobić? Powinniśmy zawiadomić jakieś władze?

Tata wziął słuchawkę i poprosił, żebym zawołał do telefonu Giovanniego, który właśnie przyszedł.

— Giovanni, wyślij ludzi na lotniska Olaya i Rionegro, niech sprawdzą, czy są tam amerykańskie samoloty. Przygotuj wszystko. Jeśli pokaże się

jakiś podejrzany samolot, czekaj na moje instrukcje, żeby go zniszczyć.

Nad miastem zapadał zmierzch, a my czekaliśmy pogrążeni w niepokoju, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Na szczęście kilka minut później zadzwonił Roberto i od tej chwili byliśmy już z nim w stałej łączności.

W trakcie krótkich rozmów z Nicolásem Roberto zawiadomił nas, że wojsko przyszło pod bramę więzienia, ale strażnicy (czyli tak naprawdę ochroniarze ojca) nikogo nie wpuścili, mierzyli do żołnierzy z broni, bo pogwałcili autonomiczne terytorium Państwowego Zakładu Karnego i porozumienie z rządem, zgodnie z którym wojskowi mogli przebywać jedynie w strefie zewnętrznej.

Parę minut później donosił, że sytuacja się komplikuje i obawiają się starcia zbrojnego z żołnierzami. Tata kazał wyciągnąć całą broń i ustawić się na strategicznych pozycjach.

W tym momencie Giovanni zdołał ustalić już, że żaden zagraniczny samolot nie wylądował tego dnia na pobliskich lotniskach i zawiadomił o tym ojca. Powiedział mu też, że wielu z jego ludzi zostało zaalarmowanych i jest w stałym kontakcie telefonicznym.

Z tej niepewności postawiłem wszystko na jedną kartę i powiedziałem Giovanniemu, żeby poszedł ze mną do gubernatora Antioquii Juana Gómeza Martíneza, przedstawiciela władzy cywilnej, który mógł wiedzieć, co właściwie dzieje się w La Catedral.

Ochroniarz się zgodził i pojechaliśmy do El Poblado, gdzie mieszkał polityk. Po drodze Giovanni opowiedział mi historię, o której nie miałem pojęcia: kiedy Gómez Martínez był redaktorem naczelnym gazety „El Colombiano”, ojciec kazał go porwać, ale ten zabarykadował się u siebie w domu z małym rewolwerem kaliber .38 i zdołał odeprzeć atak dwudziestu osób z karabinami.

Po takiej nowinie nastawiłem się pesymistycznie, ale Giovanni wpadł na pomysł, że aby dotrzeć do gubernatora, pokaże legitymację dziennikarską rozgłośni radiowej z Medellín. Pomysł się sprawdził. Dotarliśmy do kompleksu budynków, gdzie mieszkał urzędnik, a policjanci stojący na straży w recepcji bez problemu przepuścili nas dalej.

Dzwoniliśmy długo, wreszcie Gómez Martínez otworzył drzwi. Wyglądał na zaspanego, miał na sobie szlafrok i włosy w nieładzie. Jako pierwszy głos zabrał Giovanni:

— Panie gubernatorze, jestem dziennikarzem. Przychodzimy do pana, bo coś podejrzanego dzieje się w La Catedral. Dochodzi tam do dziwnych przemieszczeń wojsk, dlatego przyjechałem tu z Juanem Pablem, synem Pabla Escobara.

— Tak, panie gubernatorze, wszyscy w zakładzie są bardzo zaniepokojeni, a pan przecież wie, kto tam siedzi. Rząd zobowiązał się nie przenosić gdzie indziej tych więźniów.

Gómez Martinez nie krył swojego zdumienia oraz niezadowolenia spowodowanego moją obecnością w jego domu, ale powiedział, żebyśmy dali mu chwilę, a on zorientuje się, o co chodzi. Zamknął za sobą drzwi, ryglując je na podwójny zamek.

Dziesięć minut później otworzył je i powiedział, że zadzwonił do Casa de Nariño w Bogocie, do Czwartej Brygady w Medellín i kilku generałów, ale nie uzyskał żadnych informacji. Natomiast pewien zaprzyjaźniony generał wyjawił mu, że celem operacji jest przeniesienie ojca do bazy wojskowej.

Wróciliśmy do mieszkania Nicolása, gdzie czekało na nas kilka nowin, a wszystkie bardzo niepokojące. Rzeczywiście wojsko otoczyło więzienie, a wiceminister sprawiedliwości, Eduardo Mendoza, i dyrektor

więziennictwa, pułkownik Hernando Navas Rubio, przyjechali z Bogoty powiedzieć ojcu, że rząd postanowił przenieść go do innego więzienia.

Tata wdał się w dyskusję z wiceministrem i oświadczył, że pod żadnym pozorem się na to nie zgodzi. Sytuacja stała się tak napięta, że Mendoza i Navas zostali skrępowani sznurem, a „Aniołek", „Otto" i „Brudas"' trzymali ich na muszce. Innymi słowy, funkcjonariusze zostali porwani w La Catedral, a wojsko zamierzało zająć więzienie siłą. Ojciec uznał, że Mendoza i Navas stanowią dla nich coś w rodzaju polisy na życie.

W tym momencie nadeszła Dora, żona stryja Roberta, której udało się do niego dodzwonić. Rozmawiali przez chwilę. Oboje płakali rozpaczliwie, a na koniec się pożegnali.

Jedna z obecnych przy tym osób opowiadała mi potem, że nerwowe napięcie pośród więźniów i strażników od razu rzucało się w oczy. Wtedy odezwał się ojciec:

— Chłopcy, jeszcze się nie denerwujcie. Zacznijcie się martwić, gdy zawiążę tenisówki.

Ludzie towarzyszący mu owego wieczoru zrozumieli, że gotów jest do ucieczki z La Catedral, gdy oparł lewą stopę o ścianę i zawiązał but. Potem to samo zrobił z prawą nogą.

Wiadomość, że tata nie zostanie w La Catedral, miała się potwierdzić kilka minut później, kiedy zadzwonił raz jeszcze.

— Grégory, słuchaj no… Pamiętasz domek Álvara?

— Jasne, tato.

— Jesteś pewien, że nikomu go nie pokazałeś?

— Byłem tam z paroma osobami, ale i tak jestem przekonany, że to bezpieczne miejsce.

— Przygotuj go zatem.

Chwilę po zakończeniu rozmowy z salonu w mieszkaniu Nicolása zobaczyliśmy, jak w jednej chwili światła La Catedral zgasły. Na polecenie ojca, który w tym momencie dotarł już z innymi uciekinierami do zewnętrznego ogrodzenia więzienia, jeden ze strażników wyłączył korki w całym więzieniu.

Gdy wszędzie zapadły ciemności, zrobili wyłom w zbudowanym z cegieł murze ogrodzenia i wyszli tamtędy na zewnątrz. Tak naprawdę tata zawsze liczył się z tym, że taki moment może nadejść i dlatego już podczas budowy więzienia przewidział tę drogę ucieczki. Z tego powodu wystarczyło wymierzyć dwa kopniaki w ścianę, bo od początku zbudowano ją z użyciem słabego cementu.

Przez jakiś czas nic nie wiedzieliśmy o dalszych losach zbiegów, dlatego też postanowiliśmy z Nicolásem czekać na ojca w domku Álvara. Tata jednak nigdy tam nie dotarł.

O tej porze zażywał już kąpieli w posiadłości Memo Trino, w rejonie El Salado, dokąd udał się z dziewięcioma osobami, które towarzyszyły mu w ucieczce. Stamtąd nasłuchiwali wybuchów i działań wojska, które wkroczyło do zakładu karnego i próbowało go odnaleźć.

Stwierdzenie, że uciekł, zajęło im dwanaście godzin.

# Rozdział 15

# ZACZNIJCIE SIĘ MARTWIĆ, KIEDY ZAWIĄŻĘ TENISÓWKI

Siedzieliśmy w jadalni, gdy rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi. Podskoczyliśmy z mamą i Manuelą jak na sprężynach. Strażnicy nie zawiadomili nas przez domofon, że ktoś przyszedł, a to było niezwykłe.

Podbiegłem do antywybuchowych pancernych drzwi, by upewnić się, czy zasuwy są dobrze zamknięte.

— Kto tam? — zapytałem, zmieniając głos.

— To ja — odpowiedział zza drzwi dziwnie zmieniony, jakby kobiecy głos, który wydał mi się znajomy.

Istotnie, był to „Popeye”. Przyjechał, żeby zabrać nas do kryjówki, w której przebywał ojciec. Od czasu ucieczki z La Catedral 21 lipca 1992 roku nie mieliśmy od niego żadnych wieści.

Spakowaliśmy się na kilka dni. Tradycyjnie nie zabrakło licznych domowych potraw i deserów, które w takich sytuacjach mama błyskawicznie przyrządzała.

— Zawieziemy to tacie — oświadczyła w odpowiedzi na moje obiekcje, że się spieszymy, a takie ilości jedzenia i tak się nie zmieszczą w małym renaulcie 4, którym przyjechał „Popeye”. Nie zwróciła na mnie uwagi.

W końcu wyruszyliśmy. Mama jechała z przodu, my z Manuelą z tyłu, ściśnięci pośród walizek i półmisków zagrożonych stłuczeniem podczas

podskoków na wyboistej drodze.

Znów wracaliśmy do życia w ukryciu. Żadne z nas wtedy nie wiedziało, że wyruszamy w podróż bez drogi powrotnej. Tym razem sytuacja była inna niż kiedyś. Uciekając z La Catedral, tata zaprzepaścił największą szansę, by ułożyć swoje, a przy okazji także nasze życie na nowo. Nie był w stanie zaprzestać wyrządzania krzywdy.

Kierowaliśmy się do domku Álvara, w którym daremnie czekałem na ojca po jego ucieczce. Po drodze zapytałem „Popeye", czemu aż cztery dni nie dawali znaku życia, a on odparł, że tata postanowił poczekać, aż stryj Roberto znajdzie odpowiednią kryjówkę.

Po obowiązkowym krążeniu i kluczeniu, gdy upewniliśmy się już, że nikt za nami nie jedzie, dotarliśmy do naszego nowego miejsca pobytu. Tata wybiegł nam na spotkanie, wziął w objęcia Manuelę, potem cmoknął mnie wesoło w policzek i złączył się w długim uścisku z mamą, która nie umiała powstrzymać łez.

Zgodnie ze swoim zwyczajem „Popeye" uciekł się do żartu, by rozładować emocje.

— Bez nerw, *patrona*, „don Groźniacha" — mówił niekiedy w ten sposób na ojca — obiecuje, że od tej pory nigdy więcej nie doprowadzi pani do łez.

Podczas posiłku ojciec opowiedział nam o szczegółach ucieczki. Jak przystało na prawdziwego *macho*, irytowała go rozpowszechniana przez wojsko wersja, którą chętnie podjęły media, że uciekł w przebraniu kobiety. Powiedział nam, że chce poinformować rząd o swoich zamiarach za pośrednictwem dyrektora RCN Radio, Juana Gossaina. Potem poprosił „Popeye", żeby zadzwonił do rozgłośni radiowej i przekazał, że Pablo Escobar chce rozmawiać z popularnym dziennikarzem.

Niebawem, około jedenastej w nocy, ojciec był już w kontakcie z Gossainem, który przypadkowo przebywał akurat w towarzystwie swoich kolegów: współwydawcy dziennika „El Tiempo” Enrique Santosa Calderóna i szefowej wiadomości telewizyjnych QAP Maríi Isabel Ruedy.

Wsparłszy łokcie na stole do bilardu amerykańskiego, ojciec przywitał się i powiedział, że pragnie sprostować fałszywe informacje rozpowszechniane przez wojsko, w szczególności przez Czwartą Brygadę, na temat jego ucieczki z La Catedral. Wersja, jakoby uciekł w stroju kobiety, była dla niego nie do przyjęcia.

Po tym oświadczeniu rozmowa przerodziła się w serię pytań, w której udział wzięło także dwoje pozostałych dziennikarzy. Padło obowiązkowe pytanie, czy ojciec jest gotów ponownie podjąć pertraktacje z rządem i prokuraturą i raz jeszcze oddać się w ręce władz. Potwierdził, ale zastrzegł, że uczyni to pod kilkoma warunkami, takimi na przykład jak gwarancja, że nie zostanie przeniesiony, że osadzony będzie w dowolnym więzieniu w Antioquii i że rząd całkowicie odsunie policję od tego procesu.

Dziennikarze zapytali, czy mogą przekazać jego słowa rządowi, na co ojciec się zgodził. Od tego momentu aż do przeszło czwartej rano kontaktowali się kilkakrotnie, ale nie udało im się dojść do porozumienia ani wówczas, ani w ciągu następnych miesięcy.

Spędziłem z ojcem kilka nocy na czuwaniu. Kładliśmy się po szóstej rano. Tata od dawna miał teorię, że policja raczej nie przypuszcza szturmu po tej godzinie.

Jednej z owych nocy, patrząc z domku Álvara na panoramę Medellín, ojciec rozmawiał z „Popeye” o trudnych czasach, jakie nadejdą, jeśli przyjdzie im się ukrywać przez dłuższy czas. Przeżyli to już kiedyś, ale teraz miało być inaczej.

Tata zakładał oczywiście, że „Popeye” będzie ukrywał się razem z nim, ale tamtej nocy zauważyłem, że *sicario* jest niezadowolony. Po wyrazie jego twarzy znać było, że nie podoba mu się pomysł ponownego ukrywania się.

Nie myliłem się, „Popeye” nagle poczerwieniał na twarzy i wybuchnął:

— Szefie, bardzo mi przykro ze względu na pana, ale ja nie zniosę kolejnego zapuszkowania. Dobrze pan wie, że dostanę tu świra. Tym razem więc nie dotrzymam panu towarzystwa — wyrzucił z siebie gwałtownie, stojąc cały czas ze spuszczonym wzrokiem, jakby obawiał się napotkać milczenie i przenikliwe spojrzenie *patróna*. — He he… tylko niech mnie pan teraz nie zaciuka, szefie… he he — ciągnął „Popeye” drżącym głosem, cały blady, przestępując nerwowo z nogi na nogę, jak gdyby chciał jak najszybciej stamtąd uciec.

— Nie. Spokojnie, człowieku, dobrze wiem, że takie zamknięcie to podła rzecz. Już raz to przeżyłeś. Ja nie mam wyboru, muszę tak zrobić. Proszę cię tylko, żebyś wytrzymał jeszcze parę dni, zanim się nie zorganizuję i nie znajdę sobie jakiegoś chłopaka na twoje miejsce, żeby mi pomagał przy zmianie kryjówek i aut. A potem, jeśli zechcesz, możesz w spokoju odejść.

— Załatwione, szefie, może pan na to liczyć. Dziękuję bardzo. Chciałbym wyjechać z kraju na jakiś czas incognito, na lewych papierach, i poczekać, aż trochę się tu uspokoi. Potem wrócę i stawię się na pańskie rozkazy, *patrón*. Będę robił, czego tylko pan sobie zażyczy.

Ojciec nie powiedział nic więcej i wyszedł porozmawiać w cztery oczy z mamą. Celowo przerwał rozmowę. Kilka minut później poszedłem do nich do pokoju.

— Słyszałeś, tato, co się wyrwało „Popeye”? Nie uważasz, że to brzydko z jego strony, że tak cię po prostu zostawia?

— Spokojnie synu, to nic takiego. Trzeba go dobrze traktować, niech spokojnie odejdzie. Jeśli go zaraz gdzieś tu nie ukatrupią na ulicy, ani się obejrzymy, jak odda się w ręce policji.

Wkrótce, jeszcze podczas naszego pobytu w domku Álvara, ojciec znalazł zastępcę „Popeye” w osobie „Aniołka”.

Tymczasem na ulicach Medellín ruszyła do akcji niedawno utworzona Sekcja Poszukiwawcza, która postawiła sobie za cel dopaść za wszelką cenę Pabla Escobara. Formacja ta przeprowadzała dziesiątki rewizji i ataków w całym mieście. Prześladowania dotknęły oczywiście ludzi ojca, którzy musieli uciekać z jednej kryjówki do drugiej. Z czasem wielu z nich doszło do wniosku, że najbezpieczniejszym miejscem jest więzienie.

Tak więc, zgodnie z przepowiednią ojca, jego ludzie poszli w rozsypkę. „Popeye” i „Otto” znów oddali się w ręce władz. Stryj Roberto uczynił podobnie, ale uprzedził o tym tatę, który się na to zgodził.

Polowanie się nasilało. Od października do listopada tata stracił kolejnych dwóch *sicarios* i ochroniarzy: „Tysona” i „Palomo”.

W mediach spekulowano, że ojciec został całkiem sam. Nic dalszego od prawdy. Wciąż miał na swoich usługach dziesiątki *sicarios* gotowych na wszystko za stosowną opłatą. Niebawem wszyscy mogli się o tym przekonać.

Czterdzieste trzecie urodziny ojca obchodziliśmy w domku Álvara. Dyskretnej uroczystości towarzyszyły kolacja, tort i długie rozmowy, jednak bardzo brakowało nam spokoju minionych lat. W przeszłość odeszły wielkie przegrupowania ochrony, karawany aut, dziesiątki uzbrojonych po zęby ludzi i zebranej razem całej rodziny.

Choć kryjówka wydawała się pewna, uzgodniliśmy, że będziemy na zmianę trzymać wartę. Álvaro (strażnik), „Aniołek”, ojciec i ja staliśmy na czatach, zmieniając się co cztery godziny.

Trzeciego grudnia w pobliżu stadionu Atanasio Girardot wybuchło auto pułapka. W wyniku eksplozji zginęło kilku policjantów, którzy przejeżdżali obok, patrolując teren. Było jasne, że ojciec postanowił nasilić swoją wojnę przeciw państwu, przekonany, że podobnie jak kiedyś wymusi w ten sposób więcej ustępstw i przywilejów więziennych, których wciąż się domagał.

W następnych tygodniach na ulicach Medellín wybuchło kolejnych kilkanaście aut, a wymierzony w tajnych agentów policji „plan pistolet” na przestrzeni dwóch miesięcy przyniósł ponury plon w postaci około sześćdziesięciu zabitych.

W napiętej i przygnębiającej atmosferze nadszedł 7 grudnia, zwany „dniem płomyczków”[44], święto od lat obchodzone w naszej rodzinie. Wieczorem zebraliśmy się na tylnym patio. Mieliśmy jedynie pięć świeczek, gdyż więcej nie udało nam się zdobyć. „Aniołek” wolał zamknąć się w swoim pokoju, mimo że mama go zapraszała. Álvaro pełnił wartę w pobliżu.

Zebraliśmy się wokół niewielkiej figury Matki Boskiej, zaraz obok sznurów do suszenia bielizny. Mama zaczęła się modlić na głos. My z tatą spuściliśmy głowy i poszliśmy za jej przykładem. Manuela biegała w tym czasie po podwórku. Później zapaliliśmy świece, jedną dla Najświętszej Panienki, a pozostałe cztery w naszej intencji, po jednej dla każdego.

W pewnym momencie zauważyłem, że ojciec pogrążył się w niezwykłym milczeniu, które wydało mi się połączeniem wiary z niepewnością. Nie było to jednak aż tak dla niego niezwykłe, zdarzały mu się niekiedy chwile takiej zadumy. Przeniknięcie do sfery jego wierzeń religijnych nigdy nie było proste. Raz tylko zapytałem go, czy wierzy w Boga.

— Bóg to bardzo osobista sprawa — odpowiedział z przekonaniem.

Któregoś dnia babcia Hermilda opowiedziała mi, że Pablo od dziecka chował się podczas modlitwy pod kołdrę, bo nie lubił, gdy ktoś na niego wtedy patrzył. Dzięki temu zrozumiałem, co właściwie robił, kiedy ściągałem z niego nagle koc, a on leżał tam z otwartymi oczyma i dłońmi splecionymi na piersi. Modlił się.

Izolacja rodziny i nasilające się pogłoski, że krewni mamy zostaną zaatakowani, zmusiły ojca do podjęcia decyzji, byśmy na jakiś czas się rozdzielili. Zgodziliśmy się na to niechętnie. Wraz z mamą i Manuelą przenieśliśmy się do budynku Altos. Ojciec natomiast wyprowadził się do kryjówki, której położenia wolał nam nie ujawniać.

— Powiedz swoim braciom i siostrom, żeby się przeprowadzili albo wyjechali za granicę, bo za chwilę zrobi się tu dla nich naprawdę niebezpiecznie — radził tata, żegnając się z mamą.

Znów miał rację. Mieliśmy się o tym przekonać nocą 18 grudnia podczas obchodów *novena de aguinaldos*[45] w Altos. Dla rodziny Henao było to pożegnanie roku. Mama zaprosiła ich na wspólną modlitwę i kolację. Goście przybyli elegancko ubrani.

Nagle jeden z ochroniarzy zawiadomił, że przyjechała „Elita” (tak nazywaliśmy policjantów z Sekcji Poszukiwawczej). Chciałem uciec i pobiegłem na tyły, na ścieżkę prowadzącą do sąsiedniego budynku, ale wpadłem na kilku policjantów, którzy wymierzyli do mnie z karabinów.

*Novena de aguinaldos* zostało przerwane. Mężczyzn, kobiety i dzieci (około trzydziestu) podzielono na grupy. Po drobiazgowej rewizji poproszono nas o dokumenty i uznałem, że lepiej będzie podać swoją tożsamość.

— Nazywam się Juan Pablo Escobar Henao, mam piętnaście lat, a mój tata to Pablo Escobar. Dokumenty mam na górze w tym budynku, bo tu mieszkam.

Policjant, który odbierał moją deklarację, natychmiast zawołał pułkownika, swojego przełożonego, i przekazał mu, kim jestem.

Oficer odprowadził mnie na bok, zawołał dwóch ludzi i powiedział:

— Jeśli się poruszy albo choćby mrugnie, strzelajcie.

Potem zadzwonił przez radiotelefon do szkoły Carlosa Holguína (gdzie znajdowało się centrum dowodzenia Sekcji Poszukiwawczej) i powiedział, że mnie ujęli i przyprowadzą na przesłuchanie.

Na szczęście w uroczystości brała udział żona i jeden z synów byłego gubernatora Antioquii, Álvara Villegasa Moreno, którzy mieszkali w tym samym budynku.

Gdy polityk dowiedział się o naszych kłopotach, natychmiast zszedł w piżamie i pantoflach na dół, by porozmawiać z pułkownikiem i upewnić się, że akcja policji jest przeprowadzana zgodnie z przepisami prawa. Wówczas minęły już dwie godziny, a ponad stu uczestników uroczystości wciąż pozostawało pod czujnym okiem „Elity”.

Korzystając z obecności polityka na dole, rodzice i inni dorośli poskarżyli mu się na to, jak potraktowano ich dzieci. Zażądali, by przynajmniej pozwolono im zjeść. Policjanci wyrazili na to zgodę.

Jednak mężczyźni nie mogli liczyć na ulgowe traktowanie, przy czym bez znaczenia było to, że miałem dopiero piętnaście lat.

— Jutro zjawią się twoi kumple, z którymi widziałeś się parę dni temu — powiedział oficer do mnie. Nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

— Idziesz ze mną — krzyknął.

— Dokąd mnie pan prowadzi, pułkowniku?

— O nic mnie nie pytaj, bo i tak ci nie powiem. Chodź ze mną albo zmuszę cię do tego siłą. No już, idziemy.

Dwaj policjanci, którzy trzymali mnie na muszce, natychmiast pchnęli mnie lufami karabinów w brzuch, dając znak, żebym się ruszył. Nigdy nie

zapomnę przerażenia w oczach mamy i krewnych, którzy wiedzieli, że tak naprawdę wszystko może się zdarzyć.

Skierowaliśmy się do holu budynku. Pułkownik, który szedł przodem, kazał mi się tam zatrzymać. W tym momencie nadeszło przynajmniej trzydziestu zakapturzonych mężczyzn, którzy wymierzyli we mnie karabiny. Sądziłem, że mnie rozstrzelają.

— Dwa kroki w przód! W prawo zwrot, w lewo zwrot, stań tyłem, powiedz swoje imię i nazwisko na głos… głośniej! — komenderował jeden z zakapturzonych o ochrypłym głosie i niskim wzroście [46].

Potem odsunęli mnie na bok, a zakapturzony mężczyzna powtórzył swoje pytania wobec wszystkich mężczyzn biorących udział w uroczystości. Tylko dwie kobiety zostały poddane podobnej procedurze: mama i Manuela.

Kilka minut później pułkownik wydał rozkaz przewiezienia mnie do szkoły Carlosa Holguína. Zapytałem go, z jakiego powodu jestem zatrzymany, skoro nie stwierdzili niczego niezgodnego z prawem, ale odpowiedział jedynie, że w siedzibie Sekcji Poszukiwawczej planują imprezkę z „synalkiem Pabla”.

O trzeciej nad ranem prowadzili mnie właśnie do samochodu „Elity”, kiedy pojawił się przedstawiciel prokuratury, który oświadczył, że uwięzienie małoletniego jest niezgodne z prawem, i kazał zdjąć mi kajdanki.

Przybycie urzędnika było prawdziwym zrządzeniem losu, bo po pełnej krzyków dyskusji z dowódcą operacji „Elita” opuściła budynek. Była siódma rano 19 grudnia. Policjanci poszli, ale my z mamą nie potrafiliśmy otrząsnąć się z przerażenia. Staliśmy się głównym celem wrogów ojca.

Dwa dni później, 21 grudnia, ochroniarz ojca przyszedł do Altos zapytać, jak się czujemy. Przy okazji powiedział nam o czymś niewiarygodnym: tata

przeprowadził osobiście szereg akcji zbrojnych. Ich cel był dwojaki. Z jednej strony chciał udowodnić, że nie został jeszcze pokonany, a z drugiej — dodać animuszu ludziom stanowiącym jego wojsko.

Opowiadał, że ojciec stanął na czele pięćdziesięciu ludzi i zorganizował dwie blokady na szosie Las Palmas z zamiarem przyciągnięcia Sekcji Poszukiwawczej i wysadzenia jej ciężarówek przy użyciu aut załadowanych dynamitem, które czekały zaparkowane po obu stronach drogi. Podczas akcji użyli naszywek DAS i zatrzymali dziesiątki aut jadących z lotniska José Maríi Córdovy. Po sprawdzeniu dokumentów przepuszczali podróżnych dalej.

Przy okazji dowiedzieliśmy się, że tata stał na czele grupy zbrojnej, która 20 grudnia o świcie wysadziła tajne mieszkanie używane przez szefa wywiadu policji w Medellín, kapitana Fernanda Posadę Hoyosa, podczas operacji przeciwko ojcu.

Karawana samochodów otoczyła wówczas mieszkanie w dzielnicy Las Acacias — ciągnął opowieść ochroniarz — a jeden z siepaczy zdetonował potężny ładunek dynamitu akurat naprzeciw sypialni oficera. Po eksplozji odszukali go wśród gruzów i dobili[47].

Dwudziestego trzeciego grudnia ojciec wysłał po nas, bo chciał spędzić Boże Narodzenie i Nowy Rok z rodziną. Pojechaliśmy do majątku w Belén i ulokowaliśmy się w budynku, który wyglądał na dom majordomusa. Tata kazał przywieźć proch, my z Manuelą puszczaliśmy baloniki, a mama na zaimprowizowanym palenisku zrobiła deser *natilla* i pączki. Tam, w towarzystwie pewnej rodziny i „Aniołka”, upłynął nam 24 i 31 grudnia.

Spędziliśmy wiele godzin na werandzie wiejskiego domu zbudowanego na stoku. W pewnym momencie zauważyłem, że ziemia poniżej jest świeżo rozkopana, i zapytałem ojca dlaczego. Wykręcił się od odpowiedzi, ale zauważyłem na jego ustach złośliwy uśmieszek. Potem usłyszałem, jak

prosi „Aniołka”, żeby przeniósł środki wybuchowe w jakieś inne, bezpieczniejsze miejsce.

Początek 1993 roku, ostatniego w życiu ojca, był burzliwy i bardzo intensywny, a także pełen przemocy. Spędziliśmy z tatą Nowy Rok, a potem pojechaliśmy do przepięknej hacjendy w gminie San Jerónimo, o dwie godziny na zachód od Medellín, którą mama przebudowała i dała mi w prezencie. Z wielką przykrością musieliśmy powiedzieć tacie, że nie może jechać z nami, bo nie było to bezpieczne miejsce.

Stamtąd, oglądając wiadomości, śledziliśmy kolejne posunięcia ojca. Właśnie zaczął wprowadzać w życie strategię, o której już nam kiedyś wspominał: planował uzyskać status przestępcy politycznego. Pomysł ten chodził mu po głowie od dawna w wyniku licznych kontaktów z grupą M-19. Wydał więc oświadczenie skierowane do prokuratora De Greiffa, w którym poinformował go o utworzeniu formacji Zbuntowana Antioquia, a także zgłosił napady, morderstwa i tortury, których dopuściła się Sekcja Poszukiwawcza. Na zakończenie dodał, że wobec aresztowań i ataków na biura jego prawników „nie pozostaje mu nic innego, jak zrezygnować z walki prawnej na rzecz zorganizowanej konfrontacji zbrojnej”.

Propozycja ta stała się przedmiotem dyskusji w mediach, tymczasem wczesnym popołudniem odwiedziły nas nieoczekiwanie ciocia Luz Marina i Martha Ligia, stara przyjaciółka rodziny i żona znanego w mieście *narco*.

Załamana Luzma opowiedziała, że koło południa rozmawiała z przyjaciółką w swoim sklepie El Vivero, gdy nagle zjawił się Carlos Castaño uzbrojony po zęby, w asyście dwudziestu mężczyzn w kilku furgonetkach. Chciał ją porwać, ale zatrzymał się zaskoczony na widok Marthy Ligii. W tej sytuacji przywitał się tylko, a po chwili odszedł.

Jeszcze nie otrząsnęły się z przerażenia wywołanego tym zdarzeniem, gdy zobaczyły słup dymu unoszący się nieopodal. Był to dom cioci

w dzielnicy El Diamante, ale ona nie wiedziała o tym w owej chwili, bo w panice udały się do nas, do San Jerónimo.

Tego wieczoru ciocia z dwójką małych dzieci została bez dachu nad głową i pracy, bo nie miała odwagi wrócić do El Vivero, a dom strawiły płomienie.

Zanim podłożyli ogień pod jej mieszkanie, ludzie Castaño wynieśli jedno z cenniejszych dzieł sztuki mamy: obraz *Rock and Roll* hiszpańskiego geniusza Salvadora Dalego. Płótno nie było duże, ale jego wartość owszem. Mowa o tym samym obrazie, który Castaño chciał zwrócić mamie po śmierci ojca podczas naszych prób zawarcia pokoju z kartelami narkotykowymi.

Na ścianach i w ruinach domu ciotki Luz Mariny pozostały szczątki licznych dzieł sztuki, które nie uratowały się z pożaru: bezcenne płótno Claudia Bravo, rzeźby Igora Mitoraja, Botero, Édgara Negreta zostały strawione przez ogień.

— Straciłam wszystko, nie została mi nawet para majtek, synku — podsumowała swój dramat, gdy bezskutecznie próbowałem ją pocieszyć.

— Uważajcie na siebie, ten człowiek jest zdolny do wszystkiego — przestrzegała Martha Ligia, żegnając się przed powrotem do Medellín. Miała oczywiście na myśli Carlosa Castaño.

Tego dnia po raz pierwszy wrogowie ojca odważyli się podnieść rękę na jego rodzinę. Przyszłość malowała się w mrocznych barwach.

Siły militarne także otrzymały cios, gdy zginął Juan Carlos Ospina, „Wtyka”, i Victor Granada, „Biała Gała”.

Wojna przybierała na sile. W odpowiedzi ojciec kazał zdetonować auta pułapki w trzech różnych częściach Bogoty. Te straszliwe zamachy dały impuls społecznej inicjatywie. Powstała grupa, która miała przynieść ojcu zgubę — Pepes.

Swą działalność rozpoczęła od dwóch akcji, których przekaz był jasny — od tej pory rodzina Pabla Escobara stała się celem ataku. 31 stycznia podłożono bombę w wiejskim domu babci Hermildy w gminie El Peñol i zdetonowano auta pułapki przed wejściem do budynków Abedules i Altos, w których mieszkała duża część rodzin Escobar Gaviria i Escobar Henao.

Zamachy po raz kolejny zmusiły nas do ucieczki, a ojca do znalezienia nam nowego schronienia. Poszło to szybko, bo „Aniołek" zaprowadził nas do mieszkania przy alei La Playa, o kilka przecznic od centralnie przebiegającej alei Oriental w Medellín. Ojciec był tam już i bez większych wstępów po raz pierwszy powiedział, że będziemy musieli opuścić kraj, by uchronić się przed falą przemocy, która zbliżała się wielkimi krokami.

Zaproponował, żebym pojechał do Stanów Zjednoczonych wraz z Manuelą, Martą, żoną wujka Fernanda i ich dwiema córkami. Oraz oczywiście ze Śnieżkiem i Kuleczką, parą francuskich pudelków Manueli, która za nic w świecie nie chciała się z nimi rozstać. Tata dodał, że mogę zabrać swoją dziewczynę, pod warunkiem że zgodzą się na to jej rodzice.

— Jutro w nocy pojedziesz po Andreę, żebym mógł ją poznać, i porozmawiamy tu z nią. Tylko cały czas sprawdzaj, czy nikt za tobą nie jedzie — powiedział tata.

W towarzystwie „Aniołka" poszedłem szybko do domu Andrei, nie uprzedzając jej o tym. Po raz pierwszy zjawiłem się tam tylko z jednym ochroniarzem, zajechaliśmy mazdą, której nie znała. Zaproszenie ojca przyjęła ze stoickim spokojem. W drodze do kryjówki poprosiłem ją, by przez całą drogę miała zamknięte oczy.

— Dziewczyno, coś ty zrobiła moim dzieciom? — tata przywitał Andreę, zbijając ją z tropu tym pytaniem.

— Żadne z nich nie chce jechać do Stanów Zjednoczonych bez ciebie — dodał dla rozładowania atmosfery.

— Zależy mi tylko na możliwości kontynuowania nauki. Dopiero co zaczęłam studia na wydziale reklamy — odpowiedziała moja dziewczyna.

Nie było czasu na długie dyskusje ani zwłokę. Jeszcze tego samego wieczoru poszedłem z mamą do Trinidad, mamy Andrei, i po dwudziestominutowej rozmowie moja przyszła teściowa zgodziła się na wyjazd.

Na pożegnanie wygłosiła prorocze zdanie:

— Wiele wycierpisz, córeczko.

Wieczorem 18 lutego mieliśmy wszystko gotowe do podróży do Miami zaplanowanej na dziesiątą rano następnego dnia. Tata zaproponował, żebyśmy wyjechali pięć godzin wcześniej, ale pojawiły się dwa pytania. Jeżeli przyjedziemy z tak dużym zapasem czasu, to gdzie się schowamy, by nikt nas nie zobaczył? Druga sprawa: jak dotrzeć na lotnisko dyskretnie, nie zwracając niczyjej uwagi?

Pierwszy dylemat rozwiązaliśmy, wysyłając natychmiast mazdę, której nikt nie znał. Chcieliśmy zostawić ją na parkingu przy lotnisku. Miała tam poczekać aż do momentu odprawy. Tym sposobem załatwiliśmy także kwestię bagażu. Zadzwoniliśmy do naszego człowieka na lotnisku, który zobowiązał się go przyjąć i przechować do naszego przyjazdu.

Rozstrzygnięcie drugiego problemu nie było proste. Istniało realne zagrożenie, że Pepes będą za nami jechać i coś wydarzy się na szosie, nawet jeśli pojedziemy z obstawą.

Wobec tego zdecydowaliśmy się na inne rozwiązanie, które się sprawdziło: złapaliśmy z Andreą taksówkę na ulicy, pojechaliśmy na tyły hotelu Nutibara w centrum miasta i wsiedliśmy do busa, który w godzinę dojeżdża na lotnisko autostradą Medellín–Bogota. Manuela, jej dwie kuzynki i Marta wyszły później z dwoma ochroniarzami.

Do busa wsiadło niewielu pasażerów, ale przejazd upłynął nam dość nerwowo, bo kierowca gazował na całego, niespecjalnie dbając o życie własne i swoich bezbronnych pasażerów. Wkurzyło mnie to tym bardziej, że nic nie mogłem mu powiedzieć, by nie zwracać na siebie uwagi. Za busem w bezpiecznej odległości jechali „Nochal” i „Japoniec”.

Zgodnie z naszymi przewidywaniami przyjechaliśmy na miejsce sporo przed czasem. Od razu udaliśmy się do auta zaparkowanego tam poprzedniego dnia.

W ramach dodatkowych środków bezpieczeństwa wręczyłem „Japońcowi” listę nazwisk i bezpośrednich telefonów do Prokuratury Okręgowej, lokalnych i krajowych mediów oraz prywatne numery kilku znanych dziennikarzy. Ochroniarz miał tam zadzwonić, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Ustaliliśmy, że przez cały czas będzie się rozglądał, zważając na wszelkie niepokojące sygnały. To był nasz plan B.

Zamknąłem oczy, ale nie udało mi się zdrzemnąć. Zresztą baliśmy się, że zaśpimy. W ten sposób upłynęły trzy godziny. W końcu nadeszła pora wejścia na lotnisko. Przetarliśmy oczy, przeciągnęliśmy się i wysiedliśmy z auta. Natychmiast poczułem, że coś jest nie tak.

— Nic z tego. Coś się spieprzyło! Spieprzyło się! — powtórzyłem kilka razy Andrei, która patrzyła na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi. Nie wychowała się w ciągłym poczuciu zagrożenia, więc dla niej był to zwykły poranek na lotnisku Rionegro.

Nie zmyślałem. Zobaczyłem jakieś dziwne poruszenie, ludzi, którzy na pewno nie czekali na żadnego krewniaka ani nie byli ubrani stosownie do takiej okazji. Obok dwóch policjantów lotniskowych, na zastrzeżonym miejscu parkingowym, stała biała furgonetka Chevrolet Luv z podwójną kabiną. Wiedziałem od ojca, że Pepes dysponowali takim autem.

— Kochanie, wejdźmy szybko do środka. Nie podobają mi się ci ludzie. Jeżeli uda nam się przejść kontrolę, znajdziemy się w nieco bezpieczniejszej strefie, więc chodź szybko, pospiesz się. — Poganiałem Andreę.

Nie bacząc na ludzi stojących w kolejce, którzy zaczęli protestować, przepchnęliśmy się do pierwszej bramki. Funkcjonariusz DAS przejrzał mój paszport strona po stronie, dokładnie przeanalizował podpis i odcisk palca, obejrzał raz i drugi turystyczną wizę do USA i pozwolenie ojca na wyjazd z kraju podpisane i poświadczone notarialnie parę dni wcześniej (tata zarejestrował swój podpis w kancelarii notarialnej).

Urzędnik imigracyjny patrzył na mnie z nieskrywaną odrazą. Starał się jak mógł znaleźć jakiś powód, by mnie nie przepuścić, ale go nie znalazł. W końcu zacisnął zęby i podstemplował oba paszporty.

Na zewnątrz terminalu międzynarodowego, na publicznie dostępnym korytarzu lotniska, za lekko przyciemnianą szybą zobaczyłem ubranych po cywilnemu, lecz zakapturzonych ludzi uzbrojonych w karabiny zwykłe i maszynowe. Patrolowali przejście w grupach po sześć osób, jak gdyby pracowali w ochronie lotniska. Naliczyłem ich w pobliżu ponad dwudziestu. Wszyscy spoglądali po sobie zdezorientowani: podróżni, pracownicy linii lotniczych czy kawiarni, a nawet sprzątaczki. Nikt nie wiedział, co to za jedni ani po co się tam zjawili. Nie mieli oficjalnych identyfikatorów, a jednak służby lotniskowe się nimi nie interesowały. Na terminalu panowała grobowa cisza.

Po kontroli dokumentów udaliśmy się do wykrywacza metali, skanera rtg, przeszliśmy obok psów, policjantów, cały pakiet. Widziałem, że siostra z ciocią i jej córkami posuwają się do przodu w kolejce. Przetrzymano je trochę, ale wszystkie zdołały przejść, co bardzo mnie uspokoiło.

Jednak niemal zaraz potem zjawili się policjanci z Elitarnej Jednostki, a za nimi kilku młodych ludzi niosących nasze bagaże. Zamierzali otworzyć je wszystkie naraz.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę. Proszę zrobić mi tę grzeczność i się wstrzymać. Nie będziecie panowie w ten sposób sprawdzali bagaży mojej rodziny. Oczywiście zgadzam się, żebyście je skontrolowali, ale po kolei. I bardzo proszę się pospieszyć, bo zaraz odlatuje nasz samolot — powiedziałem zaniepokojony.

W tym momencie przyglądał nam się już cały tłumek pasażerów. Policjanci celowo przeciągali sprawdzanie walizek, które wcześniej były już kilkakrotnie kontrolowane. Nie ulegało wątpliwości: robili, co mogli, żebyśmy stracili lot.

Zrozumiałem, że sytuacja staje się nieciekawa. Wobec tego zacząłem się drapać po uchu, szukając wzrokiem pośród tłumu za szybą „Japońca". Chciałem dać mu umówiony znak, żeby uruchomił plan B. Wkrótce go dojrzałem i wykonałem lekki ruch palcami, układając dłoń, jakbym trzymał telefon. Zrozumiał przesłanie i odszedł na bok.

Policjant jednak zauważył, że daję komuś znaki, i natychmiast zaczął się rozglądać, próbując zidentyfikować w tłumie odbiorcę mojej wiadomości. Na szczęście mu się to nie udało, więc zapytał mnie z wściekłością:

— Z kim, kuźwa, gadasz?

— Z nikim, po prostu swędzi mnie ucho — skłamałem, co zresztą wcale go nie przekonało.

Potem straciłem cierpliwość i wydarłem się na policjantów. Powiedziałem, że traktują nas w sposób oburzający, że musimy natychmiast wsiąść do samolotu. Pokazałem im mój paszport ze wszystkimi potrzebnymi stempelkami i ważną wizą. Jednak oficer odpowiedział mi krótko, że przeprowadzają kontrolę. Ostatecznie osiągnęli swój cel. Nasz

samolot odleciał, a innych nie było. W tym momencie poczułem się całkiem sam, odpowiedzialny za życie i bezpieczeństwo trzech dziewczynek i kobiety.

Kilka minut później nadszedł szef policji lotniskowej.

— No dobrze, proszę dłużej nie blokować miejsca, państwa samolot i tak już odleciał. Proszę wreszcie opuścić lotnisko.

— Przykro mi ze względu na pana, ale nie ruszymy się stąd na krok. Specjalnie doprowadziliście do tego, że nie zdążyliśmy na samolot, a tam na zewnątrz Pepes tylko czekają, żeby nas porwać. Widzi pan ich stąd, prawda? (wskazałem ręką). Uważa pan, że powinniśmy wyjść i pozwolić się zabić? Bardzo mi przykro, drogi panie, ale teraz to pan jest odpowiedzialny za nasze bezpieczeństwo i życie. Będzie pan odpowiadał przed moim ojcem za wszystko, co się z nami stanie od tej pory.

Nikt nie miał pojęcia, co dalej. W końcu przybyło kilku dziennikarzy. Widok reflektorów, kamer telewizyjnych i fleszy z trudem przenikających przez przyciemniane szyby stanowił prawdziwą ulgę. Nadejście reporterów spłoszyło zakapturzonych, którzy zniknęli z głównego holu. Nie oznaczało to jednak, że na dobre odeszli.

W samym środku katastrofy nagle wydarzył się cud, zmaterializowany w osobie pięćdziesięcioletniego mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Pracował dla lokalnych linii lotniczych i nazywał się Dionisio.

— Wiem, że ma pan kłopoty. Niewiele jestem w stanie zdziałać, ale może pan na mnie liczyć.

Zastanowiłem się chwilę i wpadłem na pewien pomysł. Po cichu poprosiłem go, żeby zaprowadził mnie do jakiegoś pomieszczenia na lotnisku z telefonem i książką telefoniczną.

— Załatwione, nie ma sprawy. Zaraz pójdę po klucze. Kiedy dam panu znak, tam w głębi korytarza, proszę powiedzieć policjantom, że idzie pan

do toalety. Ostatecznie oni i tak wiedzą, że się pan stąd nie ruszy.

Tak też się stało. Dobry człowiek spełnił obietnicę i po chwili znalazłem się na osobności, nie wiedząc za bardzo, co począć. Szczegółowo zaplanowaliśmy, jak dostać się na lotnisko, ale nie, jak z niego uciec.

W pierwszej kolejności poszukałem numeru należących do ojca linii lotniczych Aeroes, ale nie znalazłem go. Miałem nadzieję, że trafię na jakieś nazwisko lub numer, pod którym będę mógł poprosić o pomoc. „Niech przyślą helikopter taty, nieważne, jeżeli zostanie nagrany i potem go skonfiskują… przecież walczymy tu o życie”, pomyślałem.

Chciałem się już poddać, gdy przez małe okienko zobaczyłem, że właśnie ląduje śmigłowiec firmy Helicol.

— Dla kogo jest ten helikopter, z którego wysiada pilot? Potrzebuję go — powiedziałem do Dionisia.

— To niemożliwe, proszę pana, to dla urzędników, którzy czekają na niego i mają już plan lotu.

Natychmiast otworzyłem książkę telefoniczną i wybrałem numer Helicolu. Poprosiłem Dionisia, żeby zamówił w swoim imieniu helikopter. Zgodzili się go przysłać, gdy tylko znajdą jakąś wolną maszynę.

Śmigłowiec miał nadlecieć lada chwila, skierowaliśmy się więc na odpowiedni terminal, lecz strażnicy jeszcze raz zagrodzili nam drogę. Sprawa znowu mogła się skomplikować, ale na szczęście w tej chwili nadszedł funkcjonariusz prokuratury, po którego zadzwonił „Japoniec”. W tej sytuacji nie mieli wyboru i pozwolili nam odejść.

Oczekiwanie na helikopter dłużyło się niemiłosiernie. Okazało się, że musimy zostawić bagaże, bo są za ciężkie. Kiedy szykowaliśmy się, by wsiąść na pokład, zjawił się pułkownik, który bez wątpienia należał do Sekcji Poszukiwawczej.

— Szukamy tego skurwiela, twojego tatusia, żeby go rozjebać.

— Powodzenia, pułkowniku.

— Następnym razem tak łatwo nam się nie wywiniecie — odgryzł się oficer, który ze złości zacisnął pięść i chyba chciał mi przyłożyć. Powstrzymał się jednak, uświadomiwszy sobie, że w pobliżu, za barierą bezpieczeństwa odgradzającą ten sektor, stoi kilku operatorów z kamerami.

Oficer odszedł, a Manuela, Nubia, Andrea, Catalina, Marcela, Marta i ja wsiedliśmy do helikoptera i odlecieliśmy na lotnisko Olaya Herrera w Medellín. Ze Śnieżkiem i Kuleczką, rzecz jasna. Na miejscu czekał na nas funkcjonariusz prokuratury, któremu zapłaciłem za taksówkę, bo nie miał przy sobie pieniędzy. Chwilę później zjawił się dziennikarz z regionalnego kanału Teleantioquia.

Wszystkim kazałem poczekać, a sam zamknąłem się na chwilę w jakimś pokoju, by zastanowić się, co dalej, bo czas płynął i było jasne, że Pepes wkrótce po nas przyjadą. Wreszcie wpadłem na pewien pomysł.

— Słuchajcie, sprawy mają się tak: chcieli nas zabić na lotnisku, ale udało nam się z rodziną uciec. Obiecuję, że udzielę wam wywiadu, najpierw jednak potrzebuję pomocy.

— Co możemy dla pana zrobić? — zapytali w odpowiedzi.

— Odjedziemy stąd, a wy ruszycie za nami, ale musicie przez cały czas filmować na wypadek, gdyby coś nam się przytrafiło.

Zgodzili się i wyruszyliśmy w pośpiechu do Altos. Ktoś mógłby pomyśleć, że upadłem na głowę, bo przecież w budynku tym dopiero co przeprowadzono zamach i stanowiliśmy tam łatwy łup dla Pepes. Ja jednak wiedziałem, co robię. Musiałem znaleźć się w miejscu, które znałem od podszewki.

Gdy zajechaliśmy na parking pod budynkiem, dałem taksówkarzowi siedemset dolarów napiwku za „wyprucie” z lotniska. Zanim wprowadziłem w życie mój plan ewakuacji, odbyłem rozmowę

z dziennikarzem. Udzieliłem wówczas pierwszego w życiu wywiadu: powiedziałem o tym, co się właśnie wydarzyło, o możliwości ponownego poddania się ojca. Krótko mówiąc, odpowiedziałem najlepiej jak umiałem na wszystkie pytania, a zaraz potem popędziłem do schodów prowadzących na basen w budynku. Z boku znajdował się tam niewielki kanał. Zawsze dbaliśmy o to, by utrzymać go w dobrym stanie, bo można się było nim przedostać do ogrodu przy sąsiedniej posesji, w której mieliśmy mieszkanie, a w garażu zawsze gotowy do jazdy samochód z kluczykami w stacyjce i pełnym bakiem.

Siostra i kuzynki już tam przeszły i czekały na mnie koło terenowego mitsubishi. To była właśnie nasza droga ucieczki. Wkrótce potem pod budynek Altos zajechało pięć furgonetek pełnych zakapturzonych ludzi, którzy zajęli gmach i szukając nas, wywrócili go do góry nogami. W tym momencie znajdowaliśmy się już w Cero Cero, w Ceiba del Castillo, gdzie przebraliśmy się w czyste ubrania, by kontynuować ucieczkę, bo wiedzieliśmy, że Pepes znają także i to miejsce.

Zeszliśmy do garażu i znów zmieniliśmy samochód. Tym razem wzięliśmy renaulta 4 i skierowaliśmy się do mieszkania przy alei La Playa, tego samego, z którego rano wyruszyliśmy na lotnisko. Tam spotkaliśmy zapłakaną mamę, która załamała się po wysłuchaniu w radiu wiadomości relacjonujących naszą nieudaną próbę wyjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Uściskaliśmy się mocno, a potem powiedziałem jej, że to mieszkanie nie jest już pewne, bo w telewizji pokazano Śnieżka i Kuleczkę. Sąsiedzi mogli skojarzyć fakty i zawiadomić policję, że mieszka tu rodzina Pabla. Ledwo skończyłem mówić, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. To był „Aniołek”.

— Dzień dobry. *Patrón* wysłał mnie po was. Musimy stąd zniknąć, bo nie jest tu już bezpiecznie. Juancho, szef powiedział, żebyśmy wzięli kasę ze skrytki, to mieszkanie jest spalone.

— Okej. Chodź, pomóż mi. Do otworzenia szafy z forsą potrzebny nam będzie śrubokręt krzyżowy — odpowiedziałem, wskazując na kredens, w którym schowane były pieniądze.

Przez dłuższą chwilę mocowaliśmy się z meblem, nie mogąc go otworzyć. Śruby ani drgnęły.

— „Ramón” — tak też zwracaliśmy się do „Aniołka” — nie ma rady, trzeba to rozwalić.

— A nie narobimy za dużo hałasu?

— Lepsze to niż porzucenie kasy lub dalsze tracenie czasu na wydobycie jej w cywilizowany sposób. Kiedy sąsiedzi się poskarżą, powinniśmy już być daleko, żeby więcej nas nie zobaczyli.

Zaczęliśmy kopać w mebel. Nie przyniosło to większego skutku, za to wywołało okropny hałas. Potem przynieśliśmy z kuchni wielki młot. Z jego pomocą udało nam się w końcu włamać do środka. Narobiliśmy koszmarnego łoskotu. Przy każdym uderzeniu czuliśmy, że lada chwila może się tu zjawić policja.

W końcu przełożyliśmy pieniądze do teczki i rzuciliśmy się do ucieczki. Tego samego wieczoru doszło do szturmu na mieszkanie przy La Playa. Deptali nam po piętach.

W drodze musieliśmy mieć zamknięte oczy, „Aniołek” pokluczył nieco, nim zajechał do kolejnej, niedaleko położonej kryjówki, w domu, który według moich szacunków znajdował się w pobliżu teatru Pablo Tobón Uribe.

Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi garażu i mogliśmy wreszcie otworzyć oczy, ujrzeliśmy tatę.

Manuela wyskoczyła z auta i pocałowała go w policzek, a mama chwyciła ich w objęcia. My z Andreą wysiedliśmy na końcu. Pomogłem wypakować nasz niewielki bagaż.

— Cześć, tato. Nie sądziłem, że zobaczymy się tak szybko. Dobrze, że już tu jesteśmy. Nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy. Cudem się uratowaliśmy — powiedziałem, ściskając go na powitanie i całując w policzek.

— Spokojnie, synu, najważniejsze, że nikomu nic się nie stało i jesteście teraz ze mną. Co nieco wiem z radia i telewizji. Miałeś dobry pomysł z tym helikopterem, dzięki temu wystawiłeś ich wszystkich do wiatru — uśmiechnął się, klepiąc mnie po ramieniu.

Spędziliśmy z Andreą noc, mając do dyspozycji tylko pojedyncze łóżko. Nie było więcej materaców. W ten sposób nauczyliśmy się spać we dwoje na jednoosobowym łóżku. Tak właśnie, mocno w siebie wtuleni, sypiamy odtąd zawsze. Dużo się modliłem przed snem, uspokajało mnie to i pozwalało zasnąć. Moje lęki zawierzałem Bogu.

W sobotę 20 lutego 1993 roku po szóstej wieczorem włączyliśmy telewizor w niewielkim saloniku nowego domu. Oglądaliśmy przez kablówkę kanał Univision, kiedy poinformowano, że ambasador Stanów Zjednoczonych Moris Busby cofnął nam wizy.

— Nic się nie martwcie, świat jest duży, jest jeszcze Europa i Azja… Australia byłaby dla was dobrym miejscem. Zdajcie się na mnie, a zobaczycie, że załatwię wam te wizy. Albo pojedziecie z fałszywymi dokumentami, a ja potem do was dołączę, wsiądę na jakiś statek i nagle się tam zjawię — marzył na głos tata, chcąc podnieść nas na duchu.

Zamilkł na chwilę, by zaraz przedstawić inną propozycję:

— Jest jeszcze jedna możliwość… moglibyśmy ukrywać się razem. Zostaniecie ze mną, schronimy się na jakiś czas w selwie. Przy wsparciu „elenów” (partyzanckiej grupy ELN) szybko stanę na nogi.

Rozmowa utknęła. Mama nie wychodziła ze swojego pokoju, gdzie leżała na łóżku i płakała. Była gotowa towarzyszyć ojcu, ale nie chciała

kolejny raz narażać życia dzieci. Selwa nie wydawała się realną opcją.

Przez cały ten tydzień mama, Andrea i ja korzystaliśmy z ubrań taty, bo nie mieliśmy pod ręką nic innego.

— Uważajcie! Jeszcze was pomylą ze mną — żartował sobie ojciec, widząc nas w swoich rzeczach.

Tak właśnie, w ubraniach taty, 24 lutego obchodziliśmy moje szesnaste urodziny. Nie było robienia zdjęć ani filmowania, jedynie domowy deser. Bez porównania z piętnastymi urodzinami w Altos, z ponad stu dwudziestoma gośćmi, trzema orkiestrami, bufetem, smokingami, sztuczną wyspą na środku basenu, nie wspominając o innych przejawach zbytku.

Następnego dnia wiadomości o siódmej wieczorem przyniosły kolejną bardzo złą dla taty informację. Tego dnia, nikogo nie uprzedzając, Giovanni Lopera „Modelka” oddał się w ręce Prokuratury Okręgowej w Antioquii. Ojciec zamarł, bo właśnie stracił ni mniej, ni więcej, tylko następcę „Pininy”.

Wkrótce potem Pepes uderzyli w ludzi, którzy dawniej, na płaszczyźnie prawnej i politycznej, trzymali stronę ojca: 27 lutego zniszczyli hacjendę Corona, własność Diega Londoño White’a; 1 marca zabili jego brata, Luisa Guillerma; 2 marca zamordowali Hernána Daría Henao, „HH”, zarządcę hacjendy Nápoles, którego władze i media powiązały z rodziną mamy (choć tak naprawdę nie byli ze sobą spokrewnieni); 4 marca zginął adwokat ojca, Raúl Zapata Vergara.

Także z wiadomości dowiedzieliśmy się o śmierci „Pukawy”. Wtedy zrozumieliśmy, że zadano ojcu ostateczny cios. Do zdarzenia doszło w mieszkaniu w budynku Antioqueńskiego Banku Handlowego, w ścisłym centrum Medellín, gdzie zaledwie kilka dni wcześniej „Pukawa” spotkał się z ojcem.

Gdy podano tę informację, ojciec wiedział już, w jaki sposób doszło do śmierci „Pukawy”.

— Wsypał go „Juan Caca”, który wpadł w łapy policji. Poddano go torturom i oddał klucze do mieszkania. Dlatego tak łatwo schwytali „Pukawę”, który spał sobie spokojnie, myśląc, że „Juan Caca” nie wyśpiewa, gdzie jest. Ten błąd kosztował go życie — opowiadał tata, w czasie gdy w wiadomościach pokazywano zdjęcia z mieszkania jednego z ostatnich wiernych mu bandytów, nielicznych, z którymi był po imieniu, który nie porzucił go ani nie oddał się w ręce władz. „Pukawa” był odważnym gościem, kpił sobie z prawa i miał z tego frajdę.

— Tato, co teraz zrobisz? Nie masz już nikogo, kto by cię chronił. Co teraz będzie? Zostałeś praktycznie sam, bez żadnego wsparcia na zewnątrz — zapytałem zgnębiony.

— Jeszcze zobaczymy, synu — odpowiedział mi w zadumie.

— Nie masz żadnej obstawy. Chyba powinniśmy się rozdzielić: mężczyźni w jednej kryjówce, a kobiety w drugiej, dla ich bezpieczeństwa. Jeśli przyjdą po ciebie, a one będą obok... możesz sobie wyobrazić, do jakiej masakry dojdzie. Musimy je chronić, nie możemy dopuścić, by coś im się stało. Ja zostanę z tobą, będzie co ma być — powiedziałem, drżąc ze strachu. Ojciec spojrzał na mnie.

— To chyba najlepsze, co możemy teraz zrobić, potem się zobaczy. „Aniołek” jest teraz bardziej potrzebny na zewnątrz, w terenie, a nie może robić wszystkiego naraz — odpowiedział po chwili.

Po raz pierwszy ojciec zgodził się na moją propozycję. Przyznał, że dla bezpieczeństwa powinienem z nim zostać, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że staczamy się po równi pochyłej. Nie miał już nikogo innego do dyspozycji. Decyzja, że „Aniołek” zostanie łącznikiem między ojcem a światem zewnętrznym, wiązała się z ogromnym ryzykiem, bo

ochroniarz musiał wychodzić na długo, a tata nie miał nad nim w tym czasie żadnej kontroli.

„Aniołek” został zatem wysłany na spotkanie. Ojciec dał mu trzy godziny na powrót: całą wieczność, zważywszy na sytuację, w jakiej się znajdowaliśmy. Czekanie na niego w domu oznaczało wielkie ryzyko, ale ryzykiem było także przeniesienie się do innej kryjówki i wykorzystanie jej bez prawdziwego powodu. Ledwo „Aniołek” zdążył wyjść, tata zapytał:

— Grégory, ile czasu zajmie ci kąpiel? Przypuszczam, że około godziny, a ja nie mogę tyle czekać. Zrobimy sobie przejażdżkę, zanim „Aniołek” wróci. Albo lepiej nie kąp się i po prostu chodź ze mną. Czy mam jechać sam?

— Tato, obiecuję, że w dziesięć minut będę gotowy do wyjścia, a potem pójdziemy, dokąd zechcesz. Ale pozwól mi się wykąpać, chcę być świeży.

— No dobra, w takim razie pospiesz się.

Piętnaście minut później wsiedliśmy do renaulta 4 stojącego w garażu. Tata założył koszulkę polo, dżinsy i ciemną czapkę z daszkiem. Miał sporą brodę.

Na jego prośbę zamknąłem oczy. Reszta rodziny została sama. Gdzieś w sercu dręczył mnie niepokój: co się stanie, jeśli złapią „Aniołka” i zmuszą go do zdradzenia kryjówki ojca? Nigdy nie popierałem przemocy, ale nawet przez chwilę nie brałem pod uwagę zostawienia ojca samego.

— Tato, myślisz, że to dobry pomysł, byśmy zostawiali tu kobiety bez opieki? — zapytałem go pełen wątpliwości.

— Musimy wyjść na zewnątrz dla bezpieczeństwa. Nic się nie martw, przejedziemy się trochę po mieście dla zabicia czasu. Powinniśmy być w ciągłym ruchu. Powiem ci, jak będziesz mógł otworzyć oczy.

Przejażdżka? Ojciec, będąc najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie, tak po prostu wyjeżdżał na ulice miasta pełnego policji i blokad?

To była ta mniej ryzykowna opcja.

Wreszcie pozwolił mi otworzyć oczy. Pierwszym, co zobaczyłem, był dworzec autobusowy w dzielnicy La Milagrosa. Przejeżdżałem tamtędy codziennie, kiedy chodziłem do szkoły San José de la Salle.

Tata prowadził spokojnie, zatrzymywał się na światłach i respektował znaki drogowe. Nie chciał wyróżniać się spośród innych aut. Przejażdżka z nim po północno-wschodniej części Medellín równała się grze w rosyjską ruletkę. Jeździliśmy tak przez jakieś dwie i pół godziny, po czym znów poprosił mnie o zamknięcie oczu.

Żebym się nie denerwował, opowiadał mi, co widzi na ulicy: że przejeżdża w pobliżu kryjówki i nie widzi tam żadnych dziwnych poruszeń, że chyba wszystko jest w porządku. Na koniec zapowiedział, że jeszcze trochę pokrążymy po dzielnicy, a potem pojedziemy do domu. Tak właśnie zrobiliśmy. „Aniołek” już wrócił. Odetchnąłem z ulgą.

Kobieta imieniem Doralba, która prowadziła nam dom, była dobrą krawcową i sama szyła sobie ubrania. Ojcu kończyły się jego ulubione dżinsy marki New Man, więc zaofiarowała się, że uszyje mu na zapas kilka sztuk o podobnym kroju. Był zachwycony tą propozycją.

— Doskonały pomysł, to wielka pomoc. A przy okazji chciałbym panią zapytać o coś jeszcze: potrafiłaby mi pani uszyć kilka mundurów policyjnych? — zapytał. Bez wątpienia obmyślał już jakiś nowy plan.

Kilka dni później tata oświadczył, że skoro poszukiwania trwają w centrum miasta, powinniśmy przenieść się do kolejnego mieszkania. Miał na nas czekać pod nowym adresem. Od tego czasu przez kilka miesięcy zmienialiśmy kryjówki bardzo często.

„Aniołek” zawiózł go w nowe miejsce. Po nas wrócił dwa dni później. Tym razem trafiliśmy do dwóch domków położonych w Belén Aguas Frías, które tata zdążył już ochrzcić jako „Nudziarnię”. Dokładnie tak właśnie,

bardzo nudno, upłynął nam Wielki Tydzień. Siedzieliśmy bezczynnie, żeby ktoś nas nie odkrył.

Piętnastego kwietnia tata dodatkowo skomplikował naszą i tak już koszmarnie trudną sytuację. Z wiadomości dowiedzieliśmy się o kolejnych zamachach z użyciem samochodów pułapek. Miały one na celu zmuszenie rządu do spełnienia jego żądań.

Tamtego dnia auto wybuchło na skrzyżowaniu ulicy 93 z szosą 15 w Bogocie. Eksplozja spowodowała wiele ofiar śmiertelnych i ogromne zniszczenia. Jednak zamiast rzucić tym zamachem państwo na kolana, ojciec uzyskał tylko tyle, że Pepes nasilili swoją ofensywę przeciw niemu.

Dramatyczne zdjęcia poszkodowanych i rozległych zniszczeń w centrum miasta skłoniły mnie pewnego wieczoru do powiedzenia ojcu, że nie zgadzam się z jego aktami przemocy, w których ginie tylu niewinnych ludzi.

— Nie zapominaj, że pierwszymi ofiarami narkoterroryzmu w Kolumbii byliście ty, twoja mama i siostra podczas zamachu na budynek Mónaco. Nie wymyśliłem sobie tego. Ktoś postanowił zaatakować moją rodzinę, a ja tylko stosuję tę samą broń, której użyto z zamiarem zniszczenia tego, co kocham najbardziej w świecie, czyli was.

— Nie podobają mi się takie rzeczy, tato. To tylko pogarsza sytuację, coraz bardziej oddala nas od rozwiązania. Jak można zgodzić się na zamachy, w których giną niewinne dzieci? Nie uważam, by przemoc była jedynym wyjściem. Musisz poszukać innego.

— Myślisz, że ty i twoja siostrzyczka nie byliście niewinnymi dziećmi, kiedy podłożono bombę pod nasz dom? Jak, twoim zdaniem, mam wygrać wojnę z państwem, które jest takim samym jak ja, a może i większym terrorystą? Jak mam pokonać skorumpowaną policję i rząd działające ramię w ramię z Pepes? Czy nie widzisz, że jestem jedynym *narco*, którego

atakują? Przynajmniej nikogo nie oszukuję: postanowiłem zostać bandytą i nim jestem. Nie tak jak oni, co to za dnia chodzą w mundurach, a w nocy zakładają kaptury.

— Tato, nikt nie może wygrać wojny z instytucjami. Wszyscy przegramy.

Niedługo potem ojciec uznał, że nadeszła pora, by opuścić „Nudziarnię". Przenieśliśmy się nieco dalej, do większego i wygodniejszego domu w dzielnicy Belén z imponującym widokiem na Medellín. Był to ostatni budynek w tej okolicy, publiczna droga nie biegła już dalej. Dom miał obszerną werandę, z której ojciec godzinami patrzył na miasto.

Na tyłach posesji znajdowały się stajnie i porzucony chlewik. Z niektórych miejsc posiadłości widać było całą szosę. Domem opiekował się człowiek o pseudonimie „Mono". To właśnie on kontaktował się z sąsiadami.

Wziął też na siebie karmienie czterech krów, które ojciec kazał kupić, by stworzyć pozory normalności. Zwierzęta te stanowiły dla nas źródło prawdziwej rozrywki. Tata przynosił nam świeże, jeszcze ciepłe mleko wprost z udoju. W takich chwilach zapominaliśmy na jakiś czas o naszej niepewnej przyszłości i wiszących nad nami problemach.

Mimo wszystko staraliśmy się znajdować sobie jakieś zajęcia. Pewnego dnia postanowiliśmy wyremontować zrujnowany wiejski domek, któremu ojciec nadał nazwę „Nora". By do niego dotrzeć, trzeba było iść pieszo przez piętnaście minut od głównego domu, bo nie było drogi.

„Aniołek" zaofiarował się, że naprawi liczne dziury w dachu. Ja zabrałem się za malowanie domu. Wkrótce przyłączyła się do mnie Manuela z tatą. W ten sposób spędziliśmy wiele dni, zadowoleni, że znaleźliśmy zajęcie, które pozwalało nam jakoś wypełnić sobie czas.

Pozostawał jeszcze do rozwiązania problem elektryczności, bo napięcie w domku było tak słabe, że aby uruchomić maleńki telewizor, trzeba było gasić wszystkie światła. Pewnego dnia telewizor wyłączył się nam w środku wiadomości, bo Andrea poszła do ubikacji.

— Zgaś światło, oglądamy wiadomości! — zawołaliśmy z tatą jednocześnie.

— Przepraszam, zapomniałam. Kochanie, przynieś mi, proszę, latarkę — odkrzyknęła.

Pewnego dnia zaginął Śnieżek, nasz mały biały piesek. Szukaliśmy go wszędzie, ale bez skutku. Wkrótce zobaczyliśmy, że biega po osiedlu, bratając się z innymi psami. Zadowolony z siebie hasał pośród krzaków. Wrócił dopiero, kiedy przyszła mu na to ochota. Siostra patrzyła na niego, modląc się, by nikt go nie ukradł, bo my nie mogliśmy po niego pójść.

Ojciec miał swoją pocztę, mama także komunikowała się z rodziną i nielicznymi przyjaciółkami. Listy ojca zabierał „Aniołek”, a listy mamy Andrea. Na ogół schodzili razem do wsi, potem się rozdzielali i spotykali na powrót o umówionej godzinie, by wspólnie wrócić. Z dokładnością co do minuty. Zasada była ścisła: dopuszczaliśmy tylko jedną minutę tolerancji, bo istniało ryzyko, że któreś z nich zostało porwane i ujawniło ogniwa pocztowego łańcucha wiodące wprost do ojca.

Dwudziestego piątego maja 1993 roku moja siostra skończyła dziewięć lat. Tego dnia rano Manuela, Andrea i „Mono” wybrali się na konną przejażdżkę po okolicy, ale podeszło do nich kilku ludzi w mundurach przypominających urzędników gminnych, którzy zapytali Andreę, czy jest „panią Ochoa”. Mieli na myśli żonę Fabia Ochoa Vásqueza. Zaprzeczyła. Zaraz potem wrócili do domu, by poinformować tatę o tym incydencie.

— Spakujcie najpotrzebniejsze rzeczy, wyjeżdżamy. Urodziny Manueli są odwołane. Osiodłamy wszystkie zwierzęta i objuczymy je bagażem.

Pójdziemy przez góry do „Nudziarni”, która jest za tym szczytem. Znam drogę dla koni — powiedział ojciec, starając się, by moja siostra go nie usłyszała.

— Córeczko, mam dla ciebie niespodziankę urodzinową: pojedziemy na przejażdżkę konną w pewne miejsce w lesie, gdzie jest dużo kwiatów. Na pewno ci się spodoba — zaimprowizował na poczekaniu tata, w jednej chwili zmieniając ucieczkę w wycieczkę.

„Mono” i „Aniołek” objuczyli białego konia workiem z żywnością, dużą torbą z pieniędzmi w gotówce, trzema pistoletami i trzema karabinami AK-47 z dodatkową amunicją.

Mama koniecznie chciała zabrać tort. Za nic nie zgadzała się go zostawić.

— Nie, mój panie, przecież nie zostawimy tortu po tych wszystkich kombinacjach, żeby go zdobyć — upierała się mama tak długo, aż ciasto nie zostało przytroczone do jednego z siodeł.

Pół godziny po przygotowaniu nagłej przeprowadzki ruszyliśmy pod górę i straciliśmy z oczu ojca, który powiedział „Mono”, że poczeka na nas dalej z Manuelą, Śnieżkiem i Kuleczką. Posuwaliśmy się do przodu mimo mżawki, która kilka minut później przerodziła się w ulewę. Ścieżka dla koni stawała się coraz bardziej śliska.

Mama szła w odległości jakiegoś metra za koniem, za nią ja, a potem Andrea, gdy nagle usłyszeliśmy głośny zgrzyt podków ślizgających się po kamieniach dróżki. Biały koń stracił równowagę i stanął na tylnych nogach. Ciężar worka i torby z bronią pociągnął go do tyłu. Nagle zobaczyliśmy, że zwierzę leci na nas.

Andrea rzuciła się w dół stoku, a my poszliśmy w jej ślady. Mama z krzykiem popychała mnie od tyłu. Ścieżka miała mały występ, przy którym biegło ogrodzenie z drutu kolczastego. Andrea wcisnęła się tam,

choć ledwo starczyło dla niej miejsca. W tych tarapatach pomyślałem w duchu, że „gdzie zmieści się jeden, zmieści się też dwóch”, i ustawiłem się najlepiej jak umiałem koło niej, próbując zachować równowagę, by nie wpaść na druty. Mama stwierdziła chyba, że „gdzie zmieści się dwóch, zmieści się i trzech”, i rzuciła się do nas, upatrując w tym szansy na uniknięcie poważnych obrażeń.

Sytuacja została jako tako opanowana. Szliśmy przez cały dzień. Na jakieś dziesięć minut przed dotarciem do celu zobaczyliśmy tatę, który jak gdyby nigdy nic bawił się z Manuelą.

— Daleko jeszcze? — zapytałem wyczerpany.

— Już prawie jesteśmy na miejscu, najgorsze, czyli podejście, mamy za sobą. Patrz tam! Widzisz ten biały domek na dole? Tam gdzie jest dach i parę krów.

Ściągnęliśmy przemoczoną odzież, bo byliśmy na granicy wyziębienia, i wzięliśmy jeszcze bardziej lodowatą kąpiel. Ale gdy z powrotem się ubraliśmy, od razu poczuliśmy się lepiej. Mama pierwsza się ogarnęła i zabrała się za przygotowanie czegoś do jedzenia. W tym czasie my usiłowaliśmy rozpalić drewnem w piecu.

Nastała pora spoczynku i weszliśmy do nieukończonego domku z prefabrykatów. Niestety „Mono” zostawił tam zapalone światło i w środku aż roiło się od najróżniejszych owadów. W żaden sposób nie mogliśmy się ich pozbyć. Kiedy wreszcie położyliśmy się z Andreą, straszny chłód nie pozwolił nam zasnąć. Nie udało nam się rozgrzać, mimo że mieliśmy na sobie podwójną warstwę ubrań. Pieski spały z nami i przez cały czas trzęsły się z zimna. Użyliśmy suszarki do włosów Andrei, żeby trochę nagrzać łóżko, ale i tak wciąż szczękaliśmy zębami.

Nie dało się ukryć pogorszenia naszych warunków życia, dlatego tata powiedział nam, że nie porzucił swojego starego pomysłu przyłączenia się

do bojowników ELN.

— Jestem już z nimi w kontakcie. Powierzą mi front, za który będę odpowiedzialny. Kupię go za milion dolarów. W selwie nikt mnie nie złapie. Tam was ukryję na jakiś czas, zajmę się odbudowaniem interesów, wzmocnię się i ruszę do przodu z projektem Zbuntowanej Antioquii, bo nie widzę obecnie innego wyjścia z sytuacji. Rząd jasno powiedział, że nie będzie ze mną negocjował, chcą mojej śmierci.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć wobec tak nierealnej wizji, jaką snuł tata. Nieraz udowodnił, że jest w stanie sprostać najgorszym zagrożeniom, ale teraz sytuacja się zmieniła.

Nuda i niewygoda nowej kryjówki sprawiły, że któregoś dnia ojciec zarządził powrót do „Nory". Z radością porzuciliśmy „Nudziarnię". Był 3 czerwca 1993 roku. Tej nocy przypadała moja kolej na wartę i włączyłem wiadomości w radio. W pewnym momencie podano informację o śmierci wujka Carlosa Artura Henao.

Zrobiło mi się bardzo smutno. Natychmiast poszedłem zawiadomić ojca. Zastałem go przed telewizorem, gdzie także podano tę wiadomość. Tulił w ramionach mamę, która szlochała rozpaczliwie.

Pepes zabili brata mamy tylko po to, by uderzyć w ojca. Wujek nigdy nie brał udziału w żadnych działaniach przestępczych. Zajmował się sprzedażą odkurzaczy w Cartagenie. Jednak popełnił błąd i przyjechał w odwiedziny do swojej żony i dzieci w Medellín akurat w momencie, gdy Pepes kontrolowali lotnisko w Rionegro.

Tej nocy mama straciła drugiego brata. Mario i Carlos padli ofiarą przemocy, a Fernando też zaczynał się pogrążać wskutek nadużywania papierosów i narkotyków oraz sercowych rozterek.

Żyliśmy w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego i być może dlatego tygodniami nie odczuwaliśmy obecności „władzy". Jednak zbyt

długie pozostawanie w jednym miejscu tata uważał za błąd, dlatego znów postanowił się ruszyć.

W kolejnych miesiącach nieustannie zmienialiśmy kryjówki. Z „Nory” przenieśliśmy się do chaty w wąwozie La Cristalina, przepięknym miejscu w antioqueńskim Magdalena Medio. Stamtąd do mieszkania w pobliżu koszar Czwartej Brygady w Medellín, a następnie do kompleksu budynków Suramericana niedaleko areny walki byków La Macarena.

Kiedy teraz próbuję odtworzyć to wszystko, co przeżyliśmy w tamtym okresie, trudno mi dokładnie określić, ile czasu spędziliśmy w poszczególnych kryjówkach. Był to rok, w którym nie liczyliśmy dni, nie miało dla nas znaczenia, czy jest niedziela, poniedziałek, czy piątek. Dbaliśmy jedynie o własne bezpieczeństwo. Nauczyliśmy się, że najlepiej przemieszczać się, kiedy pada.

— Policjanci nie lubią moknąć. Dlatego deszcz to idealna pora na przeprowadzkę. Podczas deszczu nie ma blokad — przekonywał tata.

Mieliśmy własną definicję deszczu. Była to zasłona ochronna pozwalająca nam się poruszać po mieście. Podczas ulewy podróżowaliśmy dużo spokojniejsi. Dlatego nierzadko to ona wyznaczała moment na kolejną przeprowadzkę.

Tak też właśnie, podczas oberwania chmury, dotarliśmy do kompleksu mieszkalnego Suramericana. Przez garaż weszliśmy do mieszkania na dziesiątym piętrze, złożonego z trzech pokojów i służbówki, w której zainstalował się „Aniołek”. Z okien rozciągała się piękna panorama miasta. W mieszkaniu czekała na nas młoda para z noworodkiem.

Opiekunowie kryjówki — wyjaśnił ojciec — to ubogie młode małżeństwo, które zostało bez pracy, są świeżo po ślubie, z malutkim dzieckiem na ręku, bez dachu nad głową i z niepewną przyszłością.

— Obiecałem, że podaruję im to mieszkanie i auto, kiedy nie będą mi więcej potrzebne. Właściwie już do nich należą, zapisałem je na ich nazwisko. Są zatem bardzo zadowoleni, bo wiedzą, że choć w zamknięciu żyje się ciężko, to otrzymują za to sowite wynagrodzenie.

Najlepszym miejscem w mieszkaniu był malutki balkon, skąd rozciągał się widok na miasto i przejazdy konwojów Sekcji Poszukiwawczej lub wojska. Spędzaliśmy tam długie godziny.

Któregoś wieczoru tatę naszła ochota na skręta. Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak pali. Mama z dezaprobatą machnęła ręką i zamknęła się w pokoju, gdzie Manuela leżała pogrążona w głębokim śnie. Andrea spojrzała na nas z salonu, ale nie odezwała się słowem, próbowała wypełnić sobie czas, przeglądając czasopisma.

Siedziałem pośrodku między ojcem i „Aniołkiem”, który również palił, co akurat mnie nie dziwiło, bo nigdy nie ukrywał przede mną swojego nałogu; dlatego nie miałem mu tego za złe.

W hacjendzie Nápoles miał w zwyczaju przechadzać się po okolicy. Potem przyznał mi się, że wychodził wtedy zapalić sobie trawkę. Przy tej okazji udzielił mi wyczerpującej lekcji o zagrożeniach wynikających z brania narkotyków, ich rodzajach, wywoływanych przez nie skutkach i sile uzależnienia. Poprosił mnie, żebym zgłosił się do niego, gdybym któregoś dnia chciał czegoś spróbować. Żebym nie robił tego z kumplami, tylko z nim.

W większości kryjówek Andrea przyjmowała na siebie nauczycielki Manueli. Mama tak to załatwiała, żeby ze szkoły przysyłano dla mojej siostry materiał do przerobienia. Lekcje należały do codziennych zajęć Manueli, niezależnie od tego, czy przebywaliśmy w dżungli, czy w mieście. Stanowiło to dla niej swego rodzaju rozrywkę, dla Andrei w pewnym sensie też. Nuda w zamknięciu pojawia się znacznie szybciej, jeśli człowiek nie

znajdzie sobie czegoś, czym mógłby zająć myśli i ręce. Mama także udzielała córce lekcji, wspierając Andreę w tej szkole jednego ucznia. Mnie również przysyłano kserówki z zeszytów najpilniejszych uczniów, żebym nie przerywał nauki w ostatnim roku przed maturą. Przeglądałem je, lecz bez większego zainteresowania, na siłę, bo bardzo trudno było mi się skupić.

Ponury nastrój, w jakim byliśmy w tamtych dniach, pogłębił dodatkowo znany i ceniony astrolog Mauricio Puerta, który w czasopiśmie „Semana” opublikował przepowiednię. Wynikało z niej, że jeszcze w tym samym roku ojciec umrze. „Prawdopodobnie jeszcze w tym tranzycie Escobar przeżyje swoje spotkanie ze śmiercią”, zawyrokował.

— Znajdź go i sprawdź, co to za jeden. Zapytaj go o siebie, Tata — poprosił ojciec. Zaskoczyło nas to, bo zawsze sceptycznie odnosił się do takich przepowiedni.

Mama zakrzątnęła się wokół tematu i udało jej się zlokalizować Puertę. Wysłała mu nasze imiona i dokładne daty urodzin wraz z godzinami. Przysłał nam kilka kaset ze swoimi wróżbami, ale osobiście poznaliśmy go dopiero w Bogocie po śmierci taty. Zaskoczyły nas te przepowiednie, bo okazały się bardzo trafne. Na początek stwierdził, że będziemy żyli długo w mieście nad brzegiem jednej z największych rzek świata. Nie sprecyzował nad którą. Jakiś czas później mieliśmy osiedlić się w Buenos Aires, metropolii omywanej przez wody wielkiej Río de la Plata. Muszę przyznać, że w naszym przypadku jak dotąd Mauricio się jeszcze nie pomylił.

Niebawem znów przyszła pora, by zmienić lokum. Poczekaliśmy, aż się ściemni, i jak zwykle z zamkniętymi oczami przemieściliśmy się do starego domu w obrębie miasta. Nazwaliśmy to miejsce „Siedzibą Monita” na cześć

mniej więcej siedmioletniego blondynka, który mieszkał tam z rodzicami, zwanymi „opiekunami kryjówki”.

Dom posiadał niewielkie patio koło jadalni i salonu, skąd dało się przynajmniej patrzeć na niebo przez pręty ogrodzenia uniemożliwiające dostęp obcym. Tam właśnie obchodziliśmy dzień ojca. Każde z nas napisało list, co zwyczajowo robiliśmy w naszej rodzinie przy szczególnych okazjach.

Kilka dni później, za zgodą taty, mama, siostra i Andrea wyjechały na kilka dni do nauczycielki, Alby Líi Londoño. Dzięki temu Manuela, choć zmieniła jedno zamknięcie na drugie, zobaczyła inne twarze, nauczyła się czegoś o sztuce i podniosła na duchu. Ja wolałem zostać z tatą.

W tygodniu kiedy zostaliśmy sami, zaczęła się kończyć żywność i nadeszła pora, by para „opiekunów” poszła na zakupy. Około piątej po południu wyjrzeli przez okno i zauważyli, że policja ustawia blokadę na ulicy, akurat naprzeciw domu, gdzie mieszkaliśmy.

— Będziemy musieli się wstrzymać z wyjściem, dopóki sobie stąd nie pójdą. Nie ma wyboru, trzeba siedzieć spokojnie. Nie zapalajcie żadnych świateł, nie włączajcie telewizora ani niczego innego. Niech mały nie hałasuje, a jeżeli chce się bawić, niech pójdzie na tyły od kuchni. Bądźcie cicho, dopóki wam nie powiem, że już nie trzeba. Uważajcie, bo nie stanęli tu dla mnie, ale nie chciałbym, żeby przez głupi przypadek mnie odkryli — wyjaśnił tata ojcu Monita, upewniwszy się przez szparę w drewnianych żaluzjach, że policjanci faktycznie rozkładają się na dobre.

Atmosfera zrobiła się napięta. Tata uznał, że dom powinien sprawiać wrażenie niezamieszkałego. Wtedy policja nawet się do niego nie zbliży.

Spędzał długie chwile, patrząc przez wizjer w drzwiach wejściowych. Od czasu do czasu wołał mnie, żebym dyskretnie wyjrzał i sprawdził, co robi policjant, który stał dosłownie o kilka centymetrów od nas. Widzieliśmy go

dokładnie: w rękach trzymał karabin z lufą skierowaną do góry, a na głowie miał charakterystyczny zielony kapelusz z podniesionym z jednej strony rondem.

Dni mijały, a blokada nadal stała, niewzruszona. Widzieliśmy tylko, że jedni policjanci byli zastępowani drugimi. Ale nie odchodzili. W domu skończyły się zapasy i nadszedł moment, kiedy jedyną rzeczą nadającą się do jedzenia była stara zzieleniała zupa z podrobów, którą „opiekunowie" ponownie zagotowali, dolewając wody i dorzucając kostkę rosołową. Nie zostało nam nic ponadto.

Przez te kilka dni przeżywałem całą gamę uczuć. Przeszedłem przez stany optymizmu, pogodzenia z sytuacją, negacji, rozpaczy, przerażenia na samą myśl o strzelaninie, jaka rozpętałaby się, gdyby policjanci wdarli się do środka, a ojciec powitał ich ogniem.

— Tato, a co będzie, jeśli ci goście zostaną tu przez miesiąc? Jak wyjdziemy z tego domu, skoro sądzą, że jest pusty?

— Spokojnie, synu. Na pewno zaraz się zbiorą. Nie denerwuj się. Nawet dobrze ci zrobi, jak trochę schudniesz — odpowiedział z uśmiechem, jak byśmy byli na campingu.

Dni mijały nam w głębokim milczeniu, staraliśmy się bowiem wydawać jak najmniej dźwięków, by nikt nie zauważył nas w środku. Właściwie nawet nie rozmawialiśmy. Całe szczęście, myślałem sobie, że mama, Manuela i Andrea wyjechały, bo z nimi sytuacja byłaby jeszcze bardziej dramatyczna.

Na stole leżały ponad dwa miliony dolarów w gotówce, ale mieliśmy związane ręce: nie mogliśmy z nich wydać ani grosza, bo nikt z obecnych nie powinien wychodzić z domu. A przecież stać nas było na wykupienie całego targu. Ogarniało mnie poczucie bezsilności. Poznałem wówczas u boku ojca dziwaczną formę skrajnego „ubóstwa".

Ostatecznie, po ośmiu dniach, kiedy już zaczynały opuszczać nas siły, policja zakończyła blokadę i odjechała, a wszystko wróciło do normy.

Tego samego dnia lodówka znów się wypełniła. Potem wróciły nasze trzy panie, a my woleliśmy nie opowiadać im o strasznym doświadczeniu minionych dni.

Pielgrzymka od kryjówki do kryjówki trwała dalej. Teraz przenieśliśmy się do niebieskiego domu. Choć Pepes coraz mocniej nękali prawników ojca, jeden z nich, Roberto Uribe, tak to załatwiał, że odbierał wiadomości przesyłane przez „Aniołka”.

Ich treść zmieniła się zasadniczo w ostatnich miesiącach. Wtedy to, pod koniec lipca 1992 roku, tata negocjował możliwość naszego wyjazdu z kraju, ale powątpiewał w wiarygodność prokuratury.

— Nic się nie martw, „Ula”, Roberto Uribe pomoże wam przy wyjeździe za granicę. To jeden z warunków mojego poddania się. Prokurator De Greiff zobowiązał się znaleźć dla was bezpieczne schronienie w jakimś kraju, zaraz potem się poddam.

W tych dniach tata dla żartu zwracał się do mamy „Ula”, bo musiała gotować, sprzątać i prasować, tak jak Eulalia, nasza dawna służąca, luksus, którego nam brakowało, odkąd wojna rozgorzała na dobre.

Zauważyliśmy z siostrą, że rodzice często teraz rozmawiali o naszej przyszłości. Z rozmów tych wynikało, że dla dobra wszystkich powinniśmy się rozdzielić. Zgadzali się co do tego, że nie możemy już przerywać z Manuelą nauki.

— Wiem, że za granicą będziecie bezpieczni. Obiecali już, że znajdą dla was jakiś kraj. W tym czasie ja ukryję się w górach z „elenami” i słuch po mnie zaginie, póki nie przygotuję mojego poddania się. W sumie wam też nic by się nie stało, gdybyście pojechali ze mną do selwy. Istnieje również taka opcja, ale musicie się uczyć, a tam to niemożliwe. Wasza przyszłość to

dla nas priorytet, dlatego postanowiłem, choć mama ma wątpliwości, że najlepiej będzie, gdy prokuratura zapewni wam ochronę w Altos. Już wyraziłem zgodę na to, by CTI weszło do mieszkania 401 i przygotowało się na wasze przyjęcie. To nie musi być zaraz jutro, spędzimy tutaj wspólnie urodziny mamy, bo to już niedługo.

Wiadomość o możliwej rozłące była dla nas niczym kubeł zimnej wody. Rozmyślałem o swojej przyszłości, ale także o ojcu. Obie te sprawy były ważne. Stanąłem wobec wielkiego dylematu, bo sądziłem, że jego powtórne poddanie się przyniesie krajowi pokój. Ufałem, że nie zaprzepaści tej nowej szansy. Przyłączenie się do ELN było skokiem w próżnię. Sytuacja wyglądała fatalnie. Dlatego w tamtym momencie wyrazem największej lojalności wobec niego było doradzenie mu, by się poddał, bez żadnych dodatkowych warunków.

Były to szare i ciche dni. Opanowało nas przygnębienie. W powietrzu wisiał przejmujący niepokój. 3 września 1993 roku mama skończyła trzydzieści trzy lata. Obchodziliśmy jej urodziny, by tradycji stało się zadość, ale nikt nie miał nastroju do zabawy. Po raz pierwszy ten dzień upłynął bez wyrazu, a posiłek smakował niepewnością.

Dwa dni później, 5 września, mieliśmy powód, by zapomnieć o naszych zgryzotach. Na meczu wyjazdowym, na ostatniej prostej przed klasyfikacją do mundialu w Stanach Zjednoczonych w 1994 roku, reprezentacja Kolumbii w piłce nożnej pokonała Argentynę 5 do 0. W naszym małym saloniku wiwatowaliśmy przed telewizorem przy każdym golu. Była to chwila szczęścia, która trwała równo dziewięćdziesiąt minut meczu. Pamiętam ten dzień nie tylko ze względu na deszcz goli, ale przede wszystkim dlatego, że od lat nie widziałem na twarzy ojca tak zadowolonej miny.

Jednak na wszystko kiedyś przychodzi pora i przyszedł też dzień naszego wyjazdu, dzień, w którym zobaczyłem łzy ojca. Wtedy po raz pierwszy i ostatni widziałem go w takim stanie. Mnie też zbierało się na płacz, ale zdołałem się pohamować, by nie zasmucać go jeszcze bardziej, kiedy spuścił głowę, chcąc ukryć pełne łez oczy. Był 18 września 1993 roku.

Głęboko poruszony tą sceną, to ja musiałem teraz podtrzymać go na duchu, zapewniając, że wszystko dobrze się skończy. Zdawałem sobie sprawę z trudności, ale nigdy nie wątpiłem, że ojciec znajdzie sposób, by znów oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Życie zmusiło nas do wyboru między pewną śmiercią gdzieś w kolumbijskiej selwie a decyzją o emigracji i całkowitej kapitulacji ojca.

Tata bez końca trzymał w objęciach Manuelę, a potem mamę. Żegnając się z Andreą, nie mógł z siebie wydobyć głosu. Łzy nie dawały mu mówić. Co dziwne, byłem dobrej myśli.

— No cóż, niestety musimy już iść — powiedziałem łamiącym się głosem, uściskałem go po raz ostatni i pocałowałem w policzek.

Tata odzyskał głos i powiedział, że ufa, iż funkcjonariusze prokuratury są „porządnymi ludźmi”, dotrzymają słowa i będą ścigać Pepes. Jego słowa uspokoiły mnie, bo po raz pierwszy pokładał wiarę w działanie instytucji państwowej.

Nie ufał natomiast swojemu bratu Robertowi.

— Juancho i Tata, pilnujcie dobrze małej, bo jeśli coś mi się stanie i Roberto zostanie z kasą, możliwe, że wam pomoże, w przeciwnym razie pilnujcie Manueli, bo jest zdolny ją porwać. Przekaż im informacje, które mam o Pepes. Weź te adresy, daj im to. Mówią, że nie atakują Pepes, bo nie mają wiarygodnych informacji. No to teraz będą je mieli. Dobrze, ruszajcie, pojadę za wami kilka przecznic, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Nie zapomnijcie dać mi znać, gdy dotrzecie na miejsce.

Wyszliśmy z niebieskiego domu. Usiadłem za kierownicą zielonego chevroleta sprinta i ruszyłem do Altos. Przez cały czas zerkałem w lusterko wsteczne i widziałem ojca jadącego za nami innym samochodem w towarzystwie „Aniołka”.

Czułem się bezpieczniej, ale uważałem za zbyt ryzykowne, by w takim momencie odprowadzał nas niemal pod drzwi domu, w którym mieliśmy zamieszkać. Było około jedenastej w nocy, gdy skręciłem w lewo, by zajechać przed budynek. W tym momencie tata dwukrotnie wcisnął klakson.

Gdy znaleźliśmy się w środku, weszliśmy na trzecie piętro, gdzie mieli nas oczekiwać funkcjonariusze CTI. Tata powiedział, że będą przybywać małymi grupami, żeby nikt się nie domyślił, iż nas chronią. Ze względów bezpieczeństwa wszystko miało się odbyć w największej tajemnicy.

Zapukałem kilka razy do drzwi, lecz nikt mi nie otwierał. Zadzwoniłem, również bez skutku. Zaczynało to dziwnie wyglądać, gdy nagle usłyszałem głos:

— Kto tam? Proszę podać nazwisko.

— Juan Pablo Escobar Henao, syn Pabla Escobara. Przyjechaliśmy tu zgodnie z jego wolą, by oddać się pod ochronę Prokuratury Generalnej. Proszę mi otworzyć, jestem tu z rodziną.

— Jesteś uzbrojony?

— Uzbrojony? Po co, na Boga?

Otworzyli powoli i ostrożnie. Przed sobą miałem dwóch uzbrojonych agentów, którzy otaksowali nas spojrzeniem od stóp do głów, jakby musieli stawić czoło groźnym bestiom. W głębi korytarza, kryjąc się w załomach ścian, kilku mężczyzn mierzyło do nas z karabinów R-15 i karabinów maszynowych MP-5.

— Spokojnie, to tylko my. Przepraszam, że was obudziłem. Śpijcie dalej, jutro porozmawiamy. My pójdziemy na górę do naszego mieszkania 401 i tam się prześpimy.

— Nie, chwila, muszą z wami być przynajmniej dwie osoby, dla bezpieczeństwa — powiedział „Alfa", jeden z agentów, który najwyraźniej dowodził grupą.

— Dobrze, w takim razie wejdźmy i zorientujemy się, jak tam wygląda na górze, bo zdaje mi się, że w tamtym mieszkaniu nie ma zbyt wielu mebli — odpowiedziałem.

Rzeczywiście, lokal świecił pustkami. Poznałem tam agentów „A1" i „Imperium". Mieszkanie było wykończone, ale przyniesiono do niego jedynie trzy materace. W kuchni brakowało wszystkiego, a już zwłaszcza jedzenia czy picia. Musieliśmy poczekać do następnego dnia z uzupełnieniem tych niedostatków. Było późno. W budynku pogaszono już światła.

Nazajutrz mama poszła porozmawiać z sąsiadką, która pożyczyła nam trochę naczyń, parę garnków, a nawet przysłała służącą, która zjawiła się po chwili z tacą pełną jedzenia.

Dwa dni później przyszedł Juan Carlos Herrera Puerta, „Nochal", kolega z dzieciństwa, który z czasem stał się moim osobistym ochroniarzem. Poprosiłem go, by dotrzymał mi towarzystwa, bo czułem, że potrzebujemy dodatkowej ochrony. Przyniósł ośmiostrzałową strzelbę z ważnym pozwoleniem na broń, więc agenci CTI nie mogli zakazać mu wstępu, choć z miejsca uznali jego obecność za bardzo podejrzaną, bo jedynymi osobami upoważnionymi do bezpośredniego kontaktu ze mną byli „A1", „Alfa", „Imperium" i „Pantera".

Powoli zaczynaliśmy przyzwyczajać się do nowej sytuacji, gdy nagle „A1" poinformował mnie, że „Nochal" powinien opuścić budynek, bo nie

jest upoważniony do przebywania z nami.

— Niech pan posłucha, „A1”. Z tego, co mi wiadomo, pilnujecie nas, bo ojciec uzgodnił to z prokuratorem i z rządem, co stanowi część procesu jego ponownego poddania się. Nie muszę pana pytać, kogo mogę zapraszać do własnego domu. Jeśli dobrze rozumiem, jestem tu w charakterze osoby chronionej, a nie zatrzymanej. A może się mylę?

„Nochal” nie odszedł. Udało mi się załatwić, by został naszym ochroniarzem. Dzięki mediacji „Imperium” relacje z „A1” polepszyły się w następnych dniach i potem graliśmy nawet razem w piłkę w podziemiu budynku.

Jednak spokojniejszy okres w Altos został brutalnie przerwany atakiem Pepes.

O piątej wieczorem usłyszeliśmy jakieś wybuchy. W pierwszej chwili pomyślałem, że to dzieci bawią się kapiszonami. Ostrożnie wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że na skrzyżowaniu Transversal Interior z Loma de Campestre zatrzymały się cztery prywatne pojazdy pełne uzbrojonych mężczyzn w cywilu. Wysiedli i to, co wydawało się zabawą dzieci, przeistoczyło się w kanonadę wymierzoną w fasadę naszego domu.

Schowaliśmy się w garderobie największego pokoju, a „Nochal”, ukryty za donicą, wyjaśnił, że nie strzela, bo jego broń nie ma wystarczającego zasięgu. Kilka minut później nadeszli z bronią w ręku bardzo zdenerwowani „A1” i „Alfa”.

— „A1”, dlaczego nie aresztujecie tych ludzi? Stoją na środku ulicy i strzelają, gdzie popadnie — zapytałem w desperacji.

— Nie rozumie pan, że nie mogę? Moim zadaniem jest was chronić, a nie aresztować ludzi na ulicy — próbował się usprawiedliwiać.

— W takim razie po co trzymacie w tym budynku ponad dwudziestu ludzi do ochrony, skoro nie reagują, kiedy ktoś nas atakuje? — dociekałem.

W tym momencie cztery samochody odjechały.

Niespodziewany atak wzmógł trudności Manueli w zasypianiu. Andrea straciła apetyt do tego stopnia, że kilka dni później zemdlała. W eskorcie „Nochala” i piętnastu ludzi z CTI zawieźliśmy ją do kliniki. Lekarz powiedział, że powinna więcej jeść, bo jej stan jest niepokojący.

Altos przeistoczyło się w twierdzę. Z użyciem dziesiątek worków wypełnionych piaskiem prokuratura wzniosła trzy okopy: jeden na dachu portierni, gdzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś trzymał straż, oraz dwa na rogach ulicy.

Jednocześnie przyjechało dwóch kolejnych ludzi z Bogoty. Liczba agentów CTI wzrosła do czterdziestu. Na ich uzbrojenie składały się pistolety oraz karabiny, zwykłe i maszynowe. Po budynku regularnie chodziły patrole, a na dachu zainstalowano ogromną, hałaśliwą syrenę.

Inauguracja syreny nastąpiła bardzo szybko. Wkrótce rozległy się odgłosy strzałów i wszyscy pobiegli na swoje miejsca. Pospiesznie schowaliśmy się w kącie garderoby największego pokoju, a „Nochal” zamknął drzwi, żeby nikt nie wszedł. Czas wlókł się niemiłosiernie. Mama, siostra i Andrea modliły się, a ja rozmawiałem przez drzwi łazienki i garderoby z „Nochalem”.

Gdy wszystko się uspokoiło, agent CTI, na którego mówili „Autobomba”, opowiedział nam, że trzech ludzi wysiadło z dwóch samochodów i otworzyło ogień. Jeden z nich wystrzelił z granatnika, trafiając w fasadę na wysokości piątego piętra.

Kilka godzin później nadszedł „Pantera”, mówiąc, że przynosi wieści z Bogoty.

— Mecenas De Greiff kazał wam przekazać, że cały czas szuka dla was kraju. Nie zaniedbuje tego tematu, ale to delikatna sprawa i trzeba działać

dyskretnie. Dlatego wszystko idzie tak wolno. Prosił, żebyście mu zaufali, bo zależy mu na tym, żeby Pablo się poddał.

Pragnąc informować tatę na bieżąco, filmowałem niewielką kamerą wszystko, co się działo. Spędzałem całe godziny na balkonie, nagrywając pojazdy, które uważałem za podejrzane. Tworzyłem w ten sposób swoisty wideodziennik każdego ataku, każdej podejrzanej sytuacji.

Pewnego dnia przeżyliśmy chwile wielkiego strachu. „Imperium" powiedział mi, że Sekcja Poszukiwawcza rozpoczęła właśnie szeroko zakrojoną obławę na ojca w dzielnicy Belén Aguas Frías i że już prawie go zlokalizowali. Prawdziwym zamiarem agenta CTI było sprawdzenie, jak zareaguję, bo tata został namierzony metodą triangulacji podczas rozmowy ze mną przez radiotelefon.

Na temat tego zdarzenia kilka dni później otrzymaliśmy od ojca list, w którym streszczał nam jeżące włos na głowie szczegóły swojej ucieczki, która udała się chyba cudem. Widząc nadjeżdżające radiowozy, domyślił się, że namierzyli go przez radio. Miał nad nimi sporą przewagę, bo stok góry był bardzo stromy. Kiedy zobaczył „władzę" — opowiadał dalej — rzucił się biegiem przez straszne przepaście, gdzie zgubił latarkę i radiotelefon. Przestraszył się, sądząc, że to już koniec, a deszcz i chłód jeszcze go osłabiły. W końcu dotarł do Belén. Ludzie dziwnie na niego patrzyli, bo był strasznie ubłocony, ale nikt go nie rozpoznał z powodu brody. Potem wziął taksówkę i pojechał do domu kuzynki.

Ponownie straciliśmy kontakt z ojcem. Dopiero 6 października 1993 roku „Imperium" przybiegł do mieszkania i powiedział mi:

— Podobno zabili gościa o ksywce „Aniołek". Znasz go? Kto to był? Słyszałem, że on i jego brat zginęli podczas strzelaniny z policją, tutaj w Medellín.

— Niewiele o nim wiem. To nikt ważny, widziałem go parę razy w La Catedral, ale to była postać bez większego znaczenia — odpowiedziałem, powstrzymując łzy, bo ta wiadomość oznaczała, że depczą ojcu po piętach.

Tak właśnie spędziliśmy 31 października, ukrywając swoje zaniepokojenie i udrękę z pomocą makijażystki, którą mama zatrudniła, żeby umalowała Manuelę i pomogła jej przygotować przebranie. Tego wieczoru w naszym budynku zaplanowano małą zabawę z okazji Halloween, w której brało udział kilku sąsiadów. Nic wielkiego. „Nochal” ubolewał, że przez obowiązki ochroniarza nie zobaczy w przebraniu swojego małego synka.

Funkcjonariusze prokuratury nie mogli pojąć, jak to możliwe, że choć rewidowali wszystkich wchodzących i wychodzących z budynku, utrzymywałem listowny kontakt z ojcem. Nie mieli pojęcia, w jaki sposób przekazuję ojcu wiadomości od prokuratora De Greiffa. W dodatku żadne z nas nie opuszczało domu.

Nie zdawali sobie sprawy, że różne osoby, które przechodziły im tuż pod nosem, pomagały nam bezinteresownie. Jak na przykład Alicia Vásquez, jedna z administratorek budynku, która solidaryzowała się z nami w tej trudnej sytuacji i zaoferowała nam wszelką pomoc, bo nie mogliśmy wychodzić nawet na parking dla odwiedzających. Pełna dobrych intencji Alicia odbierała więc u siebie w domu korespondencję od naszych krewnych, a potem wnosiła ją do budynku, bo jej nie rewidowano.

Innym skutecznym listonoszem była Nubia Jiménez, opiekunka Manueli. Spotykała się ona z naszą nauczycielką Albą Lią Londoño. Alba przekazywała jej listy od ojca, które przynosił jej „Aniołek”.

Jednak tajemnica mojej komunikacji z ojcem została nagle ujawniona. „Nochal” chciał zobaczyć Camila, swojego małego synka, i poprosił mnie o zgodę na wyjście. Powiedziałem mu, żeby opuścił budynek przez kanał

z boku basenu, tą samą drogą, której użyliśmy, uciekając przed Pepes w dniu nieudanej podróży do Stanów Zjednoczonych.

— No co ty, Juancho, idąc tamtędy, przemoczę sobie buty. Ludzie z CTI mnie podrzucą, już ich o to prosiłem i się zgodzili. Wyluzuj, chłopie, przecież złapię kawałek dalej taksówkę. Nie zamierzam zabierać ich do swojego domu.

„Nochal” zignorował moje błagania. Powiedział, żebym się nie denerwował, bo „Alfa”, „A1” i „Imperium” podwiozą go do szosy w El Poblado tym samym chevroletem sprintem, którym swego czasu przyjechaliśmy do budynku.

Jednak moje obawy okazały się uzasadnione. „Nochal” dostał przepustkę na spędzenie z rodziną weekendu, miał wrócić w niedzielę 7 listopada wieczorem. Nigdy więcej go jednak nie zobaczyłem, a jego ciała nie odnaleziono. Zlikwidowali go Pepes.

Dwa dni później, we wtorek 9 listopada, uzbrojeni po zęby zakapturzeni ludzie zjawili się na osiedlu Los Almendros, wyważyli drzwi i wyciągnęli z domu za włosy naszą nauczycielkę Albę Líę Londoño. O niej też już nigdy nie usłyszeliśmy.

Gdy tylko się o tym dowiedziałem, wbiegłem pędem po schodach. Musiałem natychmiast zadzwonić, by uratować życie opiekunce Nubii Jiménez. Ona i Alba Lía stanowiły ogniwa rodzinnej poczty, groziło jej zatem nieuchronne porwanie.

Wpadłem do pustego mieszkania i pospiesznie wybrałem jej numer. Telefon zadzwonił kilka razy, nim wreszcie syn Nubii podniósł słuchawkę i powiedział, że mama właśnie przed chwilą wyszła, bo przy portierni osiedla czekała na nią taksówka.

— Biegnij co sił, nie pozwól, żeby wsiadła do tej taksówki, chcą ją zabić. Biegnij, już, szybko! — krzyknąłem, a chłopak rzucił słuchawką i pognał

za matką.

Cały roztrzęsiony modliłem się ze słuchawką przy uchu, by zdołał dogonić Nubię i uratować ją przed pewną śmiercią. Czekałem niecierpliwie, aż wreszcie usłyszałem kroki chłopca, który podniósł słuchawkę i zadyszany powiedział, że nie udało mu się złapać mamy. Pojechała na spotkanie z nauczycielką, która w tym momencie już została porwana.

Zaczęła się nowa faza polowania na tatę. Pepes wiedzieli, że wyłapując kolejne ogniwa naszej poczty, w końcu dotrą do niego. A ponieważ chcieli go dopaść za wszelką cenę, niczyje życie się nie liczyło. Podobnie postępował ojciec, dla niego także ludzkie życie nie miało znaczenia. Teraz my płaciliśmy za jego czyny.

Zacząłem analizować, czy Nubia mogła wydać jakieś inne osoby, gdyby Pepes poddali ją torturom. Poprosiłem Andreę, żeby też się nad tym zastanowiła. Choć większość ludzi z naszego otoczenia uciekła, odkryliśmy, że jest jedna osoba, która przebywa pod swoim zwykłym adresem: „Goofy”, ochroniarz taty.

Doszliśmy do wniosku, że „Goofy” z pewnością będzie kolejną ofiarą, bo dość łatwo można go było znaleźć w Envigado. Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie mieszkał, ale ktoś z Altos podał nam adres i wysłaliśmy sprzątaczkę, by ostrzegła go, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wróciła zapłakana po czterdziestu minutach.

— Kiedy już dojeżdżałam do osiedla, na którym on mieszka, zajechało kilka aut z zakapturzonymi ludźmi — powiedziała zrozpaczona, błagając, żebym coś zrobił, by uratować mu życie.

Jednak nic nie dało się już zrobić. „Goofy” próbował się bronić i wywiązała się strzelanina. Pepes postrzelili go i porwali.

Od tego wieczoru nie wypuszczałem z ręki broni, którą „Nochal” zostawił u nas w mieszkaniu. Wiedziałem, że na długiej czarnej liście Pepes

zostało już bardzo niewiele nazwisk. Praktycznie rzecz biorąc, wszyscy ludzie jakoś powiązani z ojcem byli martwi. Żyli tylko ci nieliczni, którzy uciekli lub zrezygnowani przeczekiwali burzę w więzieniu.

Tak naprawdę jedynymi, którzy zostali przy życiu, byliśmy my, jego rodzina. Wraz z mamą, siostrą i dwojgiem dzieci nauczycielki, które przyjechały do nas tego wieczoru, spaliśmy na materacach w garderobie. Solidarna i dzielna Andrea trwała u mego boku.

Były to najbardziej ponure noce w moim życiu. Spałem z otwartymi oczami. Skrajna sytuacja i brak łączności z tatą jeszcze bardziej utrudniały nasz wyjazd z kraju, który wydawał się zablokowany. Zostało to jasno powiedziane w wiadomości przyniesionej przez „Panterę" od prokurator z Prokuratury Generalnej, Any Montes, prawej ręki prokuratora De Greiffa, która przyjechała do Medellín: najpierw ojciec musi się poddać, dopiero potem znajdą dla nas kraj, do którego będziemy mogli wyjechać.

Nikomu nie zależało już na ułatwieniu nam wyjazdu za granicę. Teraz chodziło o szantaż. Trzeba to powiedzieć wprost: wbijano nam nóż w plecy.

Wroga atmosfera i bliskość grożącej nam śmierci przyspieszyły naszą decyzję o wyjeździe do Niemiec. Podjęliśmy ją, nie pytając nikogo o zdanie. Zleciliśmy zakup biletów. Jednak wszystko było pod kontrolą i bardzo szybko odkryto cel naszej podróży: Frankfurt.

Do Medellín zawitała Ana Montes. Nie przyjechała z pustymi rękoma. Chłodna urzędniczka powiedziała, że do prokuratury wpłynęły przeciwko mnie dwa oskarżenia: w sprawie domniemanego gwałtu na kilku dziewczętach w dzielnicy El Poblado oraz przemytu. Nie miałem wątpliwości, że chcą nam uniemożliwić wyjazd z kraju.

— Droga pani mecenas — powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy — pani oskarżenie o gwałt na dziewczętach jest niewiarygodne. Nigdy w życiu nie zrobiłbym czegoś takiego, a nawet muszę pani wyznać, że, za

przeproszeniem, prędzej one mogłyby mnie zgwałcić niż na odwrót. Nie chcę przesadzać, ale często muszę się od nich oganiać, bo za wszelką cenę próbują być z synem Pabla Escobara. Więc nie mam potrzeby nikogo gwałcić, zapewniam panią.

— No dobrze, faktycznie to oskarżenie jest na razie niepotwierdzone, ale kilka dziewcząt zeznało, że jeden z gwałcicieli przedstawił się jako syn Pabla Escobara i miał jasne włosy, dlatego podejrzewamy, że chodzi o pana. Ja panu wierzę, ale co mi pan powie o skrzyni z bronią, którą wwiózł pan do tego budynku? — pytała dalej pewna, że tym razem zapędzi mnie w kozi róg.

— Z bronią? A kto tu widział jakąś broń? W małej skrzynce? Coś pani zaproponuję, pani mecenas: jeśli pani sobie życzy, zostanę tutaj, a pani może wziąć paru ludzi i przeszukać całe mieszkanie. Może pani nawet wywrócić wszystko do góry nogami w poszukiwaniu tej skrzyni, która tak panią niepokoi. Nie potrzebuje pani nakazu rewizji, zgadzam się na przeszukanie.

— Dobrze już, dobrze, wierzę panu. Mam nadzieję, że mnie pan nie okłamuje. Wracam do Bogoty do pracy. Nie ma potrzeby przeszukiwania tego budynku. Ale proszę zawiadomić ojca, żeby się poddał, a wówczas znajdziemy wam kraj. Ach, i proszę mu powiedzieć, żeby nie zwlekał zbyt długo z decyzją, bo w przeciwnym razie wycofamy wam obstawę i to już w najbliższych dniach. Wtedy pozostanie wam jedynie taka ochrona, na jaką może liczyć każdy obywatel tego kraju.

— Co też pani opowiada, pani mecenas! Jak moglibyście to zrobić, na Boga? Czy naprawdę chcecie zostawić dzieci i mnie na pastwę wrogów? To bezprawie. Jesteśmy tu, bo nam to zaproponowaliście, bo obiecaliście nam pomoc w wyjeździe za granicę i schronienie w zamian za to, że mój mąż się

podda. A teraz grozicie, że zabierzecie nam ochronę?! — oburzyła się mama.

Ostatecznie rankiem tego słonecznego dnia pod koniec listopada wyjechaliśmy do Bogoty z zamiarem wejścia na pokład samolotu lecącego do Frankfurtu.

Jednak, tak jak się obawialiśmy, Niemcy nie zgodziły się nas przyjąć, mimo że mieliśmy wszystkie dokumenty w porządku. Na prośbę rządu i prokuratury kazali nam wrócić do Kolumbii.

Po powrocie, 29 listopada, funkcjonariusze prokuratury, którzy odbierali nas z lotniska, poinformowali, że jedynym miejscem, w którym mogą zapewnić nam bezpieczeństwo, są Residencias Tequendama, luksusowy aparthotel w centrum Bogoty. Tam spędziliśmy kolejne godziny, bo nie mieliśmy informacji o miejscu pobytu ojca. Czekaliśmy na wiadomość od niego.

Drugiego grudnia ojciec obudził się nieco wcześniej, niż to miał w zwyczaju. Czuwał przy swoim maleńkim radioodbiorniku, czekając na wiadomości o nas.

Tego dnia wstaliśmy o siódmej, mimo ogromnego zmęczenia po wyczerpującej podróży do Europy i z powrotem w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin. Odebrałem wiele telefonów od zabiegających o wywiad dziennikarzy z mediów lokalnych, ale także z najbardziej szanowanych mediów Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych. Wszystkim odpowiedziałem, że nie będziemy składali żadnych oświadczeń. Dzień wcześniej udzieliłem krótkiego kilkuzdaniowego wywiadu dla rozgłośni radiowej jedynie po to, by tata mógł usłyszeć bezpośrednio ode mnie, że czujemy się dobrze. Korzystając z okazji, złożyłem mu też krótkie życzenia urodzinowe.

Zamówiliśmy obiad do pokoju, a wtedy, około wpół do drugiej, zawiadomiono nas, że odwiedzi nas czterech generałów z armii. Nie było sposobu wymówienia się od tego spotkania, które przebiegło w pełnej dystansu, lecz życzliwej atmosferze. Po obowiązkowych grzecznościach goście poinformowali nas, że zabezpieczenie budynku zostało wzmocnione oddziałem stu żołnierzy i że w drodze wyjątku postanowili opróżnić całe dwudzieste dziewiąte piętro.

Podczas rozmowy zadzwonił telefon. Była to recepcjonistka.

— Dzień dobry. Mam na linii pana Pabla Escobara, który chce z panem mówić.

— Cześć, „babciu”, jak się masz? Nic się nie martw, czujemy się dobrze, wszystko w porządku — powiedziałem do taty, który musiał zrozumieć, że nie jestem sam, i przerwał połączenie, niechętnie, bo chciał porozmawiać.

Spotkanie z generałami trwało dalej. Myślałem, że tata nie zadzwoni ponownie, ale pięć minut później telefon znów się odezwał.

— „Babciu”, nie dzwoń tak co chwilę, już ci przecież mówiłem, że czujemy się dobrze — powtórzyłem, ale on poprosił, żebym nie odkładał słuchawki, bo chciał porozmawiać z mamą, która przybiegła z sąsiedniego pokoju.

Gdy pożegnałem wojskowych, poszedłem przypomnieć mamie, by nie przeciągała rozmowy, bo na pewno założono nam podsłuch. Skinęła głową i pożegnała się z ojcem:

— Mister, tak czy inaczej uważaj na siebie. Wiesz przecież, że bardzo cię potrzebujemy — powiedziała ze szlochem.

— Bądź spokojna, kochanie, jedyne, co trzyma mnie przy życiu, to troska o was. Schowałem się w superbezpiecznym miejscu, najtrudniejsze już za nami.

Podczas następnej rozmowy powiedziałem mu, że poprzedniego dnia skontaktował się ze mną dziennikarz Jorge Lesmes z czasopisma „Semana” i ustaliliśmy, że przyśle mi w firmowej kopercie kilka pytań dotyczących naszej obecnej sytuacji. Dodałem, że budzi to moje zaufanie, bo możemy się zastanowić nad odpowiedziami. W odróżnieniu od niego wszyscy inni reporterzy domagali się wywiadu natychmiast, na żywo.

— Zgódź się, a jak ci to przyśle, powiesz mi, co to za pytania.

Nieoczekiwanie ojciec postanowił odstąpić od zasady dotyczącej długości trwania rozmów telefonicznych, co przez niemal dwadzieścia lat jego przestępczej kariery należało do podstawowych środków bezpieczeństwa. Teraz zdawał się nie przywiązywać do tego najmniejszej wagi. Jak gdyby nie obchodziło go już to, że Sekcja Poszukiwawcza i Pepes z pewnością namierzają miejsce, z którego do nas dzwoni, podobnie jak parę dni wcześniej w Aguas Frías, kiedy to cudem się uratował.

— Tato, nie dzwoń więcej, bo cię zabiją — powiedziałem mu bardzo zaniepokojony, gdy zadzwonił po raz trzeci. Ale nie posłuchał mnie.

Kwestionariusz Lesmesa nadszedł około drugiej po południu. Podczas kolejnej rozmowy powiedziałem o tym tacie, a on poprosił, żebym podyktował mu pytania, które „Limón” zapisywał w zeszycie. Dał mnie na głośnik. Przeczytałem pierwsze pięć, potem mi przerwał i powiedział, że zadzwoni za dwadzieścia minut.

Zadzwonił o ustalonej porze. Zacząłem notować odpowiedzi. Żałowałem, że nie potrafię pisać równie szybko jak lekarze.

— Zaraz do ciebie zadzwonię — powiedział ojciec, gdy byliśmy w połowie.

Czekałem na telefon, kartkując jakieś czasopismo. Rozległ się dzwonek. Myślałem, że to on.

— Juan Pablo, mówi Gloria Congote. Policja właśnie poinformowała mnie, że pana ojciec został zastrzelony w centrum handlowym Obelisco w Medellín.

Zamarłem oszołomiony, to nie mogła być prawda, ledwie siedem minut wcześniej z nim rozmawiałem.

— W centrum handlowym Obelisco w Medellín? A co mój tata tam robił? Wydaje mi się to jakieś dziwne.

— To potwierdzona wiadomość.

Dałem Andrei znak, żeby włączyła radio. Rzeczywiście na różnych kanałach już mówiono o tym, że ojciec zginął podczas policyjnej akcji.

Wiadomość została potwierdzona, a dziennikarka nadal czekała przy telefonie, aż wydam oświadczenie. Zrobiłem to, ale w sposób bardzo nieszczęśliwy:

— Nie chcemy teraz rozmawiać. Ale jedno pani powiem: osobiście wykończę skurwiela, który go zabił. Zajebię po kolei wszystkich tych morderców.

Rzuciłem słuchawką i wybuchnąłem płaczem. Wszyscy płakaliśmy. Potem popadłem w zadumę i zacząłem rozważać, co powinienem zrobić, by wypełnić groźbę. Moje pragnienie zemsty było ogromne.

Na szczęście po jakimś czasie naszła mnie opatrznościowa refleksja. Zrozumiałem, że otwierają się przede mną dwie drogi: stać się jeszcze bardziej zabójczą wersją mego ojca lub na zawsze odrzucić jego zły przykład. W tym momencie przypomniałem sobie chwile nudy i przygnębienia, jakie przeżyliśmy, ukrywając się z tatą. Wtedy pomyślałem, że nie mogę sam wybrać drogi, którą tyle razy mu odradzałem.

Zdecydowałem, że wycofam swoje słowa, i nie zastanawiając się długo, zadzwoniłem do dziennikarza Yamida Amata, szefa wiadomości

telewizyjnych CM&. Zawołano go do telefonu niemal natychmiast. Wyjaśniłem mu, co zaszło z Glorią Cognote. Poprosiłem, żeby dał mi szansę sprostowania mojego oświadczenia, a on się zgodził. „Pragnę osobiście, jasno i dobitnie powiedzieć, że nie będę mścił się za śmierć ojca, bo teraz jedyną sprawą, która się dla mnie liczy, jest przyszłość mojej zbolałej rodziny. Uczynię co w mojej mocy, by podnieść ją z upadku, byśmy z siostrą zdobyli wykształcenie, zostali uczciwymi ludźmi i jeśli tylko będę mógł jakoś się przyczynić do tego, by w naszym kraju na zawsze zapanował pokój, zrobię to”.

To, co nastąpiło potem, to już historia. Ojciec zginął 2 grudnia 1993 roku o trzeciej po południu, lecz wiele aspektów jego życia, a także śmierci nadal pozostaje obiektem badań i dyskusji.

W ciągu tych dwudziestu jeden lat powstało wiele hipotez na temat prawdziwego autorstwa strzałów, które doprowadziły do jego zgonu. Wersji jest wiele, a ostatnia z nich wypłynęła we wrześniu 2014 roku, kiedy kończyłem pisać tę książkę.

W tekście *Tak zabiliśmy patróna* poddany ekstradycji dawny szef oddziałów paramilitarnych Diego Murillo Bejarano alias „don Berna” zapewnia, że to jego brat Rodolfo alias „Nasionko” oddał decydujący strzał.

Kto go zabił? Nie ma to większego znaczenia. Natomiast za istotny i wart podkreślenia uważam fakt, że sekcja zwłok przeprowadzona przez lekarzy sądowych Johna Jaira Duque i Javiera Martíneza Medinę o szóstej po południu w czwartek, w dniu zgonu, wykazała, że ojciec otrzymał trzy postrzały, z których jeden miał skutek śmiertelny.

Pierwsza kula pochodziła z karabinu o nieustalonym kalibrze i wystrzelona została przez kogoś z ulicy, kto zabezpieczał tylne wyjście domu, w którym ukrywał się ojciec. Tata przedostał się na dach. Tam zdał sobie sprawę, że jest otoczony, i chciał zawrócić. Wtedy dosięgła go kula,

która zgodnie z ekspertyzą lekarza sądowego weszła w ramię od tyłu i zatrzymała się w żuchwie między dolną piątką i szóstką.

Dokument wspomina również o drugim postrzale, który trafił w lewe udo, robiąc otwór o średnicy trzech centymetrów. A jednak na zdjęciach wykonanych zaraz po śmierci nie widać śladów krwi na spodniach. Na fotografii ze stołu prosektoryjnego, na którym złożono nagie ciało przed sekcją zwłok, również nie widać rany na lewej nodze.

Nie ma wątpliwości, że kiedy ojciec dostał postrzał z karabinu w ramię i upadł na pokryty dachówkami dach, był już ranny. Nie mógł więc uciekać. Chciałbym przyjrzeć się bliżej trzeciemu, śmiertelnemu postrzałowi. „Rana wlotowa w górnej części prawej małżowiny usznej o nieregularnym kształcie, rana wylotowa o poszarpanych brzegach w okolicy przyusznej lewej”. Pocisk, którego kalibru raport nie podaje, wszedł z prawej, a wyszedł z lewej strony.

Nie zamierzam bynajmniej zaczynać nowej dyskusji, ale jestem głęboko przekonany, że strzał ten oddał sam ojciec w sposób, który planował. Nieraz zapowiadał, że w krytycznej sytuacji strzeli sobie w prawe ucho, by nie ujęli go żywcem.

Przy wielu okazjach, nękany bezlitosnym pościgiem, powtarzał mi, że w chwili gdy nieprzyjaciele go dopadną, wystrzeli czternaście z piętnastu kul ze swojego pistoletu Sig Sauer, zostawiając ostatnią dla siebie. Patrząc na zdjęcie, na którym widać ciało ojca na dachu, można się przekonać, że pistolet marki Glock pozostał w kaburze, natomiast sig sauer leży tuż obok i nie ulega wątpliwości, że był w użyciu.

Doskonale pamiętam jeden z momentów, kiedy mówił o możliwości pozbawienia się życia. Wspomniał o tym podczas szturmu, rozmawiając przez radiotelefon z jednym ze swoich ludzi. Nigdy nie zapomniałem jego

słów. Nie wiedziałem, że zostały one nagrane przez Sekcję Poszukiwawczą, dlatego długo po śmierci ojca mogłem usłyszeć je ponownie:

„Nigdy w tym jebanym życiu nie wezmą mnie żywcem”.

---

[44] *Día de las velitas* — charakterystyczne dla Kolumbii święto związane z obchodami Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny celebrowane 7 grudnia.

[45] *Novena de aguinaldos* — obchodzone w Kolumbii i Ekwadorze dziewięciodniowe uroczystości (od 16 do 24 grudnia) stanowiące przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia.

[46] Pod koniec 1994 roku Carlos Castaño wyjawił mamie, że był wśród zakapturzonych osób, które owej nocy przybyły do Altos. Według jego słów towarzyszył mu jego brat Fidel Castaño i członkowie grupy Pepes (przyp. aut.).

[47] Niedługo po śmierci kapitana Posady wrogowie ojca próbowali oskarżyć o to przestępstwo mnie. Jakiś podstawiony świadek zeznał w prokuraturze, że tamtego wieczoru widział mnie z ojcem w barze w Envigado, jednak do zabójstwa doszło zupełnie gdzie indziej. Stawiłem się w sądzie dla nieletnich, żeby złożyć zeznania, i poprosiłem, by wezwano na świadków kilkunastu sąsiadów i pracowników budynku Altos, którzy wielokrotnie widzieli mnie w domu tamtego dnia. Poza tym kilka godzin wcześniej Sekcja Poszukiwawcza przeprowadziła ponadpięciogodzinną operację w budynku. Fałszywy świadek wysłał do sądu list, w którym napisał, że poddano go torturom, by zeznawał przeciwko mnie. W tym okresie Pepes wzmogli prześladowania, starając się uniemożliwić naszej rodzinie dalszy pobyt w Kolumbii, a ojciec zabronił nam wychodzić z domu (przyp. aut.).

# Epilog

## DWADZIEŚCIA LAT NA WYGNANIU

Wyjazd z kraju był kwestią życia lub śmierci. Tak po prostu. Większość placówek dyplomatycznych w Bogocie odmówiła nam wydania wizy. Nasze podania odrzucono w ambasadach Kostaryki, Niemiec, Izraela, Australii, Argentyny, Brazylii, Kanady, Wenezueli, Salwadoru, Włoch, Peru, Ekwadoru, Chile, Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Kościół katolicki także zamknął przed nami drzwi. Spotkaliśmy się z nuncjuszem apostolskim Paolem Romeo i z monsignore Daríem Castrillónem, by błagać ich o wstawiennictwo i pomoc w znalezieniu jakiegoś miejsca na Ziemi, gdzie moglibyśmy żyć.

Zwróciliśmy się do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, do Organizacji Narodów Zjednoczonych, spotkaliśmy się z ówczesnym rzecznikiem praw obywatelskich Jaime Córdovą i z prokuratorem Carlosem Gustavem Arrietą. Przyjęli nas co prawda serdecznie, lecz nie udzielili nam żadnej pomocy. Skontaktowaliśmy się z Rigobertą Menchú, która właśnie dostała Pokojową Nagrodę Nobla, ale laureatka odpowiedziała, że to nie jej problem.

Mama była tak zdesperowana, że z braku lepszych pomysłów zadzwoniła do byłego prezydenta Julia Césara Turbaya, który powiedział jej: „Proszę sobie przypomnieć moją Dianę. Dobrze pani wie, czym zajmował się pani mąż. Wie pani, że to on zabił moją córkę. Nie mogę wam pomóc”.

Odparliśmy, że nie powinien obarczać nas odpowiedzialnością za swoje nieszczęście. Owszem, byliśmy rodziną Pabla Escobara, lecz nie byliśmy porywaczami ani mordercami.

Gdy wyczerpaliśmy wszystkie możliwości wyjazdu, nasz adwokat Francisco Fernández wpadł na pomysł, by skorzystać ze starego prawa zezwalającego na poprawianie błędów w nazwiskach lub ich zmianę poprzez zarejestrowanie tego faktu w dowolnej kancelarii notarialnej.

Umówiliśmy się na spotkanie z prokuratorem De Greiffem, pragnąc przedstawić mu ten pomysł. Zasadniczo nie widział formalnych przeszkód, ale nie chciał nam w tym pomóc. Prosiliśmy go jedynie o to, by formalności załatwiało Biuro Ochrony Ofiar i Świadków, co gwarantowało, że nasze nowe tożsamości nie zostaną od razu ujawnione. Atmosfera podczas rozmowy z każdą chwilą stawała się coraz bardziej napięta.

Głos zabrał nasz adwokat:

— Niech pan pomyśli, panie prokuratorze, sytuacja robi się nieznośna. Nie możecie przecież bez końca chronić tej rodziny. Oni natomiast, z dwojgiem niepełnoletnich i dwiema kobietami, nie mogą siedzieć przez całe życie w zamknięciu. Co chwilę powtarzacie im, że wycofacie obstawę. Jeżeli zatem nie pomoże im pan zorganizować sobie życia na nowo i zdobyć nowej tożsamości, nie pozostanie im nic innego, jak pójść do prasy i opowiedzieć o wszystkim, co zobaczyli, o wszystkim, co wiedzą o prokuraturze. A zarówno pan, jak i ja doskonale zdajemy sobie sprawę, że to nie byłoby dobre ani dla kraju, ani dla pana, więc jeśli nadal będzie się pan upierał trzymać ich w tym piekle, doradzę im, by powiedzieli wszystko, co wiedzą. Niech się pan zastanowi, jak mógłby pan im pomóc. Jest pan prokuratorem generalnym, więc proszę mi nie mówić, że nic pan nie może zrobić. Jeśli przyczynił się pan do tego, że odrzucono ich we wszystkich krajach, to równie dobrze może pan sprawić, by ich przyjęto.

— Nie, nie. Niech się pan uspokoi, mecenasie, zobaczę, co da się zrobić. Proszę zrozumieć, że oni nie mają statusu ofiar ani świadków, a w prokuraturze nie można przeprowadzać zmiany tożsamości. Proszę dać mi trochę czasu, żebym się zorientował w sytuacji.

— Zostawiam panu tutaj tekst prawa, o którym mówiliśmy. Wszystko to jest legalne, oczekujemy jedynie pańskiej dyskrecji i współpracy, bo na nic się nie zda zmiana nazwiska, jeżeli na drugi dzień zostanie ono opublikowane w prasie. Ta rodzina zapłaciła już bardzo wysoką cenę i pan doskonale o tym wie.

Ostatecznie dzięki prokuratorowi De Greiffowi otrzymaliśmy nie tylko nową tożsamość, ale także w lutym 1994 roku poznaliśmy Isabel. Była to wysoka blondynka, Francuzka w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat. Chodziła w czerni, w narzuconym na ramiona ekstrawaganckim boa ze strusich piór i twierdziła, że jest hrabiną. Towarzyszyli jej dwaj Afroamerykanie w garniturach i pod krawatem — mieszkający w Nowym Jorku przedstawiciele Republiki Mozambiku.

Przynosili wiadomość, na którą tak długo czekaliśmy — wysłuchawszy w wiadomościach telewizyjnych naszych apeli, prezydent Mozambiku postanowił nam pomóc i zaproponował swój kraj jako miejsce, w którym moglibyśmy rozpocząć nowe życie. Hrabina była pośredniczką. Wyjaśniła, że prowadzi fundację, która zajmuje się organizacją pomocy dla ubogich krajów. Powiedziała, że jeśli wesprzemy ją w tej działalności, ona użyje swoich wpływów, by przyjęto nas w Mozambiku. Byliśmy szczęśliwi.

Nie wiedzieliśmy tylko, że prezydent, o którym mowa, był zaledwie kandydatem na prezydenta. Mozambik przechodził głęboki kryzys. Dobiegała właśnie końca trwająca od piętnastu lat wojna domowa, w której zginęło około miliona osób. Porządku strzegły siły pokojowe ONZ, a ludność cierpiała straszliwy głód.

Wiedzieliśmy jedno: ta oferta oznaczała dla nas wolność.

Spotkaliśmy się z nimi, gdy tylko Francisco Fernández rozeznał się w temacie. Nasz prawnik rozpoczął rozmowę dość obcesowo:

— Moi klienci są bardzo wdzięczni za oferowaną im pomoc, jednak ja jako adwokat rodziny chciałbym wiedzieć, ile będzie ich kosztowała ta pomoc humanitarna?

Odpowiedzieli wymijająco, że nie ma potrzeby od razu przechodzić do rozliczeń. Oblałem się rumieńcem i poprosiłem Fernándeza, żeby nie przypierał rozmówców do muru. Nie chciałem ich peszyć. Nie mogliśmy pozwolić sobie na utratę jedynej możliwości wyjazdu z Kolumbii.

Przez następne miesiące nasz adwokat pozostawał z nimi w kontakcie i na koniec zainkasowali pokaźną kwotę w dolarach. Płaciliśmy im za pomoc w wyjeździe do kraju, o którym nie wiedzieliśmy nawet, gdzie się znajduje. Zdeponowaliśmy część pieniędzy na oficjalnych rachunkach rządowych należących do „Ministerstwa Orzecha” czy innej równie wiarygodnej instytucji. Planowaliśmy dokończyć pertraktacje z nimi już w Mozambiku, przekazując im dzieło sztuki i biżuterię jako część uzgodnionej opłaty.

Luis Camilo Osorio, ówczesny naczelnik ewidencji ludności[48], wręczył nam paszporty i dowody tożsamości z nowymi imionami i nazwiskami. Był już listopad 1994 roku, wkrótce mieliśmy wyjechać za granicę.

Zmiana mojego nazwiska została odnotowana w akcie notarialnym numer 4673, w dwunastej kancelarii notarialnej w Medellín, pod datą 8 czerwca 1994 roku w obecności notariusz Marty Inés Alzate de Restrepo. Świadectwo urodzenia Juana Pabla Escobara Henao wystawione było teraz na nazwisko Juana Sebastiána Marroquína Santosa. Poza tym w specjalnym dokumencie mama jako moja jedyna opiekunka prawna poświadczyła, że zmiana tożsamości nie odbywa się w celu uniknięcia odpowiedzialności

karnej lub cywilnej, lecz po to, by chronić życie własne i jej dwojga dzieci wobec powszechnie znanej złożonej sytuacji rodziny, której wiele osób groziło śmiercią.

Książeczka wojskowa rezerwowego kosztowała około dwudziestu milionów pesos. Biuro Ochrony Ofiar i Świadków wystawiło ją, by uniknąć sytuacji, że wojsko odkryje moją nową tożsamość.

Nadszedł 14 grudnia 1994 roku, moment pożegnania na zawsze z rodziną mamy, jedyną, która wspierała nas i naprawdę pomagała po śmierci ojca. Krewni taty mieli teraz inne priorytety.

Ostatni tydzień spędziliśmy w Santa Ana z rodziną Henao Vallejo. Nasi krewni nie wiedzieli, dokąd jedziemy ani jak się nazywamy. Cokolwiek by się działo, przez najbliższe dziesięć lat nie mogli liczyć na żadne wiadomości o naszych losach, podobnie zresztą jak my mieliśmy pozostać odcięci od informacji o nich. Była 5.45 rano, wszystko gotowe do wyjazdu, walizki w aucie, my po kąpieli. Zebraliśmy się po raz ostatni w salonie i zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie, ostatnie zdjęcie rodzinne, na którym niemal wszyscy są w piżamach i bardzo zasmuceni. Pożegnaliśmy się. Jako ostatnią uściskałem babcię Norę.

— Babciu, jak ci się wydaje, uda nam się?

— Tak, wnusiu. Wiem, że tym razem wszystko się ułoży i nic wam się nie stanie. Nie mam żadnych złych przeczuć. Jedźcie spokojnie i nie martwcie się.

Kiedy wyjechaliśmy na ulicę, poprosiłem siedzącego za kierownicą wujka Astado, żeby na chwilę się zatrzymał. Przed odjazdem chciałem zamienić kilka słów z „Pumą”, funkcjonariuszem CTI, który skutecznie chronił nas od czasu naszego przyjazdu do Altos.

— „Puma”, jestem ci bardzo wdzięczny za ochronę w tym tak trudnym dla nas okresie. Dziękuję za uczciwość wobec naszej rodziny i wielokrotne

narażanie własnego życia. Nadeszła pora, żebyśmy poszli własną drogą. Dlatego nie musisz nas już chronić, bo wyjeżdżamy z kraju. Rozumiesz chyba, że ze względów bezpieczeństwa nie mogę powiedzieć nic więcej. Bardzo proszę, nie jedźcie za nami.

— Ja też wam dziękuję za dobre traktowanie wszystkich ochroniarzy i dbanie o nas w miarę możliwości. Wybaczcie wszystko, co złe. Nie jesteście tu w charakterze zatrzymanych, więc jeżeli rezygnujecie z obstawy, możecie jechać, dokąd wam się podoba.

Ta serdeczność kosztowała go utratę pracy. Prokurator De Greiff wpadł we wściekłość, kiedy dowiedział się, że pozwolił nam odjechać. „Puma" tłumaczył, że przecież jesteśmy wolnymi ludźmi, ale nic to nie pomogło.

Traktowaliśmy tę podróż jak wyścig z czasem i ucieczkę przed prześladującą nas ponurą i bolesną przeszłością. Ruszyliśmy w kierunku granicy z Ekwadorem, a po drodze musieliśmy w krótkim czasie nauczyć się naszych nowych tożsamości i oswoić z nimi. Nosiliśmy je niczym za duże ubranie, które wciąż jeszcze nie chciało na nas dobrze leżeć.

Przekroczenie granicy było zaplanowane na trzeci dzień podróży, bo mieliśmy rezerwację w Limie. Musieliśmy się postarać, by urzędnicy imigracyjni podstemplowali nam paszporty, nie sprawdzając tożsamości ani nie patrząc na zdjęcia. Alfredo załatwił to szybko, dając łapówkę funkcjonariuszowi DAS. Wreszcie wyjechaliśmy z Kolumbii.

W tym czasie w Bogocie Andrea przygotowywała się do wyjazdu z kraju bezpośrednim lotem do Buenos Aires. Jej nikt nie znał, była anonimowa, a to stanowiło najlepszą ochronę.

Zmiana tożsamości zaczęła przynosić pierwsze efekty, bo wyjechaliśmy z Ekwadoru, a później z Peru i dotarliśmy bez przeszkód do Argentyny. W Buenos Aires podstemplowano nam paszporty i przyznano trzymiesięczną wizę turystyczną. Wystarczyły dwadzieścia cztery godziny

oczekiwania przed podjęciem podróży na drugi koniec świata, by zafascynowała mnie argentyńska metropolia. Było lato, ulice tonęły w zieleni i fiolecie, akurat kwitły jakarandy.

— Nie roztkliwiaj mi się za bardzo, Juanchito, nie roztkliwiaj się, bo jesteśmy tu tylko przejazdem przez dobę. Nic więcej — studził mój zapał adwokat Fernández, który wraz z żoną dotrzymywał nam towarzystwa.

Następnego dnia rano Buenos Aires podobało mi się nawet jeszcze bardziej, ale mieliśmy już wytyczony szlak.

Na lotnisku Ezeiza niespodziewanie pojawiła się nowa przeszkoda. Przez moment pomyślałem, że może już nigdy nie zobaczę rodziny. Zatrzymał mnie jeden z celników. Nie rozumiał, czemu szesnastoletni chłopak podróżuje z tak dużą ilością biżuterii przy sobie. Zaprowadzono mnie do małego pokoiku i kazano opróżnić kieszenie. Argentyński celnik uprzedził, że moja sytuacja się skomplikuje. Zapowiedział, że zadzwoni do konsulatu kolumbijskiego i zawiadomi o zdarzeniu.

— Tak że wiesz... zastanów się, czy nie wolałbyś sobie oszczędzić tych wszystkich kłopotów i pojechać od razu dalej. Sam zdecyduj. W przeciwnym razie trzeba będzie posłać po konsula Kolumbii, ale z góry mówię, że to jeszcze bardziej wszystko skomplikuje, a więc zastanów się, co wolisz.

Zdawało mi się, że rozumiem, o co chodzi, ale nie miałem odwagi nic mu zaproponować.

— No dobra, młody, włóż trzysta dolarów w czasopismo, które tam masz, odłóż je na stolik i udaj, że zapomniałeś, a ja cię puszczę. Może być trzysta?

Wsunąłem między strony gazety pięćset dolarów i zostawiłem ją na stole. Włożyłem biżuterię z powrotem do kieszeni i wyszedłem do hali odlotów. Wszyscy czekali na mnie bladzi.

Pierwszy etap podróży, do Johannesburga w RPA, przebiegł w luksusowych warunkach, ale po przesiadce do Maputo sytuacja się zmieniła. Warunki higieniczne, wszechobecny smród i niewygoda dały nam przedsmak tego, co nas czekało.

Wylądowaliśmy na starym lotnisku, które wyglądało jak przeniesione wprost z jakiejś odległej epoki. Nie było tam samolotów liniowych, jedynie cztery herculesy Organizacji Narodów Zjednoczonych, z których wyładowywano właśnie worki z ziarnem i mąką opatrzone logo „ONZ". Żołnierze sił pokojowych trzymali straż przy żywności z pomocy humanitarnej.

Na płycie lotniska czekali na nas ci sami mężczyźni, których poznaliśmy w Kolumbii w towarzystwie hrabiny. Zaprowadzili nas do sali dla VIP-ów na lotnisku, która okazała się pomieszczeniem zamkniętym od dziesięcioleci. Czerwony dywan pokrywała gruba warstwa kurzu, podobnie zresztą jak prezydencki fotel.

Gdy wyjeżdżaliśmy z lotniska, samochód, który po nas wysłano, zderzył się z innym autem. Kierowcy wysiedli, obejrzeli szkody, wymienili kilka zdań i się pożegnali. Zapytałem naszego szofera, dlaczego nie spisał danych drugiego pojazdu do formalności z ubezpieczeniem i innych.

— Tutaj nikt nie jest ubezpieczony. Ubezpieczenia nie istnieją. Ludzie nie mają na nic pieniędzy. Więc też nie spierają się o pieniądze. Wysiadamy obejrzeć szkodę jedynie z ciekawości.

W drodze do miejsca, które dla nas wynajęto, coraz szerzej otwierałem oczy. Po latach wojny domowej Maputo było miastem na wpół zrujnowanym, bez oświetlenia elektrycznego, chodników czy sklepów. W fasadach budynków widać było dziury po pociskach artyleryjskich i rakietach, które mieszkańcy zasłaniali przezroczystymi kawałkami plastiku. Mozambik dopiero zaczynał swoją drogę ku demokracji. W tym

momencie był trzecim na liście najbiedniejszych krajów świata. O żadnej z tych rzeczy nie wspomniała nam hrabina ani towarzyszący jej mężczyźni.

Dotarliśmy do budynku w dzielnicy dyplomatów, w którym mieliśmy teraz zamieszkać. Był to prosty dom z czterema sypialniami i dużym salonem. Unosił się w nim jednak nieznośny smród z kanałów. W spiżarce prawie nic nie było, więc Marleny (służąca, która przyjechała z nami z Kolumbii) wyszła, żeby kupić najbardziej podstawowe rzeczy. Wróciła godzinę później z pustymi rękoma i nietkniętymi dolarami.

— Proszę pani, tutaj pieniądze nic nie znaczą. Targ jest otwarty, ale nie ma tam jedzenia ani wody czy owoców. Tam nic nie ma.

Był 21 grudnia 1994 roku, za trzy dni mieliśmy obchodzić Boże Narodzenie w nieskończenie biednym kraju. Podróżowaliśmy prawie przez tydzień, by znaleźć się w sytuacji, która nas przerastała.

Mama, jak zwykle, uciekła się do swojej starej metody „na wpół napełnionej szklanki”. W spiżarce znalazła ziemniaki i jajka, z których przyrządziła nam kolację. Podnosiła nas na duchu, mówiąc, że wszystko się ułoży, że będziemy mogli się uczyć, pójść na studia, uwolnić się od ciężaru nazwiska. Angielskiego nauczymy się w RPA lub sprowadzimy stamtąd nauczycieli, żeby dawali nam lekcje języka. Nie zamierzała załamywać rąk i się poddawać.

Ponieważ nasze bagaże nie nadchodziły, wybrałem się z Andreą do niewielkiego centrum handlowego, żeby kupić jakieś ubrania, ale zobaczyliśmy tam tylko opustoszałe lokale, z wyjątkiem jednego sklepiku z pamiątkami, w którym podłej jakości koszulki z napisem „Maputo” kosztowały po sto dolarów sztuka!

Nic, absolutnie nic nie wskazywało na to, że damy radę zbudować w Mozambiku nasze życie od nowa. Prawdę powiedziawszy, na pytanie o uniwersytety usłyszeliśmy, że jeżeli chodzi o studia wyższe, możemy

jedynie pobierać lekcje medycyny w stołecznej kostnicy. Nie było sal, ławek, bibliotek, a tym bardziej licencjatu na wydziale reklamy czy projektowania przemysłowego, czyli kierunkach, jakie marzyły nam się z Andreą.

Godziny mijały, a ja z każdą chwilą odczuwałem coraz większe przygnębienie. Hotel mieścił się w imponującej rezydencji pełnej sił pokojowych ONZ i wyłączonych telewizorów. Nie było sygnału na żadnym kanale. W tej sytuacji wolałbym już chyba siedzieć zamknięty w byle jakim pokoju w Bogocie, nawet jeżeli oznaczałoby to narażanie życia.

Byłem totalnie załamany, gdy mama weszła do mojego pokoju. Trzymałem w ręku smycz.

— Powieszę się na tym, jeżeli stąd nie wyjedziemy. Mamo, wolę już, żeby mnie zabili w Kolumbii. Nie chcę tak żyć, umieram tu.

Mama bardzo się przestraszyła, widząc moją determinację. Natychmiast poprosiła Fernándeza, żeby sprawdził, czy dostępne są jakieś loty. Dokądkolwiek.

— Jedyny samolot, jaki wylatuje z Mozambiku, startuje za dwie godziny. Następny będzie za dwa tygodnie.

W jednej chwili spakowaliśmy wszystko, nawet dżinsy, które mama moczyła w wannie. Francisco Fernández był wściekły.

— Jeżeli teraz wyjedziecie, zniweczycie półtora roku starań i zabiegów! Jest pani zupełnie nieodpowiedzialna i szalona. Przejmowanie się kaprysami syna, który ma się chyba za księcia, to jakaś kolosalna bzdura!

— Łatwo panu wyciągać takie wnioski, mecenasie, bo pańska córka nie mówi panu, że się zaraz powiesi. Radzi nam pan zostać, a sam wyjeżdża, żeby spędzić z rodziną Boże Narodzenie w Paryżu. Błagam, proszę nam pomóc stąd uciec. Trudno, będziemy jeździć po całym świecie, ile będzie

trzeba, póki nie znajdziemy godnego miejsca, w którym nasza rodzina będzie mogła ostatecznie się osiedlić.

Przedstawiciele rządu zostawili nas samym sobie do początku następnego roku. Z pewnością nie przypuszczali, że przyjechawszy z zamiarem spędzenia w ich kraju dziesięciu lat, wytrzymamy zaledwie trzy dni.

Wylecieliśmy z Maputo do Rio de Janeiro. Próbowaliśmy trochę poznać to miasto, ale bariera językowa i chaotyczny ruch uliczny zniechęciły nas do Brazylii, więc kupiliśmy bilety do Buenos Aires, bo koniec końców to miasto nas zachwyciło. Poza tym mieliśmy tam trzymiesięczną wizę turystyczną.

Raz jeszcze w krytycznej sytuacji pomocną dłoń wyciągnął do nas Alfredo Astado. Tajnym kanałem zdołaliśmy przesłać mu alarmującą wiadomość. Wracaliśmy do Buenos Aires i ktoś powinien dopilnować wszystkiego, by oszczędzić nam jakiejś niemiłej niespodzianki. Alfredo, nie zważając na święta, wsiadł w samolot, zostawił rodzinę i 24 grudnia przybył do Argentyny na kilka godzin przed nami.

Buenos Aires oznaczało dla mnie mnóstwo nowych doświadczeń. Nauczyłem się doceniać przywilej bycia kimś anonimowym. To tam po raz pierwszy skorzystałem z autobusu. Stawianie co dzień czoła zwykłemu życiu napawało mnie lękiem i niepewnością. Coś tak prostego jak podejście do lady w McDonaldzie i zamówienie hamburgera wprawiało mnie w panikę. Dotychczas zawsze miałem przy sobie kogoś, kto rozwiązywał za mnie problemy. Dopiero teraz zrozumiałem, w jakiej izolacji od świata żyłem wcześniej.

Nie potrafiłem jednak całkowicie pozbyć się nieufności. Byłem przyzwyczajony do ukrywania się. Całymi miesiącami używałem ciemnych okularów, by mnie nie rozpoznano. Mama i Andrea nieustannie to

krytykowały. Przekonywały, że mieszkając w dwunastomilionowym mieście, nie ma się czego obawiać, a ponadto uważały, że nie jestem tu aż tak znany, żebym musiał nadal się ukrywać za ogromnymi szkłami.

Pomyślałem, że pewnie mają rację. Pewnego razu postanowiłem zrobić im przyjemność i idąc po bilety na koncert, zostawiłem okulary w domu. Złapałem taksówkę o przecznicę od budynku, w którym mieszkaliśmy. Zamiast zapytać, dokąd ma mnie zawieźć, kierowca zagaił: — Pan jest synem Pabla Escobara?

— No co pan, człowieku! Też pomysł! Rodzina Escobara siedzi w Kolumbii, bo nie pozwalają im wyjechać. Nie słyszał pan, że żaden kraj nie chce ich przyjąć?

Ale taksówkarz, który nie był w ciemię bity, dalej uważnie przyglądał mi się w lusterku. W końcu rzuciłem mu surowe spojrzenie i zażądałem, by zawiózł mnie szybko do Alto Palermo. Kupiłem bilety i wróciłem do domu, czując, że wszyscy mi się przyglądają. Ależ scenę urządziłem tamtego dnia mamie i Andrei! Powiedziałem im, że są strasznie naiwne, a ja głupio postąpiłem, słuchając ich. Krótko mówiąc: wygłosiłem im kazanie.

W odróżnieniu od Maputo, gdzie proponowano nam lekcje w kostnicy, w Buenos Aires nie brakowało możliwości nauki. Już w ciągu dwóch pierwszych miesięcy po przyjeździe zrobiliśmy kilka kursów komputerowych. W marcu zapisałem się na wydział wzornictwa przemysłowego w szkole technicznej ORT. Andrea podjęła studia magisterskie na wydziale reklamy na Uniwersytecie Belgrano i skończyła je z wyróżnieniem. Mnie również dobrze szło, miałem średnią 8,8 na 10. Studia mnie zafascynowały i oddałem im się całym sercem. Profesorowie to dostrzegli, a w dwóch katedrach (na projekcie końcowym i projektowaniu komputerowym) zaproponowano mi nawet stanowisko asystenta.

Manuela chodziła do szkoły, a mama dużo spacerowała po Buenos Aires i zbierała różnego rodzaju foldery, by pozyskać informacje o rynku nieruchomości, który ją interesował.

Mieszkaliśmy w wynajętych mieszkaniach, które na wszelki wypadek zmienialiśmy co dwa lata, podobnie zresztą jak numery telefonów. Równie ostrożnie dobieraliśmy sobie znajomych. Ciągle towarzyszyła nam obawa, że zostaniemy odkryci.

Na początku 1997 roku przyznano nam prawo tymczasowego pobytu. Mama, przedstawiając się jako inwestorka z kapitałem, zaczęła starać się o uzyskanie prawa stałego pobytu. Zatrudniła księgowego. W ten sposób w naszym życiu pojawił się Juan Carlos Zacarías Lobos.

Skupiliśmy się na projekcie inwestycji i postanowiliśmy kupić działkę położoną naprzeciw Puerto Madero. W wyniku tej operacji nabraliśmy podejrzeń co do Zacaríasa. Odnieśliśmy wrażenie, że zawyżając cenę, sporo na nas zarobił. Jednak niedługo potem niespodziewana oferta firmy Shell SA uratowała jego dobre imię, gdyż zaoferowano nam ponad dwukrotnie więcej, niż zapłaciliśmy. Transakcja ta nigdy nie doszła do skutku, ale popełniliśmy przez nią ten błąd, że ponownie mu zaufaliśmy.

W 1998 roku zacząłem projektować i przygotowywać trójwymiarowe prezentacje komputerowe. Ta nowa technika wkrótce miała wyprzeć ołówek. Wprowadziłem ją do biura projektowego IQ jako wartość dodaną. Moja pierwsza w życiu pensja wynosiła tysiąc dolarów. Ta kwota, która jeszcze nie tak dawno starczała mi na dwa napiwki, teraz oznaczała miesięczny czynsz i składkę na ubezpieczenie społeczne.

Wtedy to los znów postanowił nas zaskoczyć. Kanał Discovery zaplanował pokazanie specjalnego programu poświęconego życiu Pabla Escobara Gavirii. Ogłoszenia pojawiły się wszędzie: w prasie, na billboardach, przystankach autobusowych, w transporcie publicznym

i oczywiście w telewizji. Wpadliśmy w popłoch i postanowiliśmy wyjechać z Buenos Aires do Cariló, miejscowości na argentyńskim wybrzeżu.

Zacarías, który zdążył się już zorientować co do naszej prawdziwej tożsamości, bo zobaczył zdjęcie w starym czasopiśmie „Caras", zasugerował natychmiastowe przepisanie na jego nazwisko nieruchomości Inversora Galestar — urugwajskiej spółki z filią w Buenos Aires, którą nabyliśmy, by zająć się obrotem nieruchomościami. Zapewniał, że wszystko zwróci, gdy tylko uspokoi się burza wywołana filmem dokumentalnym.

Niestety, dobrych chęci starczyło mu jedynie na kilka dni. Po tym czasie przyjechał do naszej kryjówki, żądając zwiększenia honorarium za „ryzyko" związane ze świadczeniem usług takiej rodzinie jak nasza.

— María Isabel, jeżeli mam nadal dla pani pracować, musi mi pani zapłacić dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie.

— Dwadzieścia tysięcy dolarów? Na Boga, Zacarías! A skąd niby mam wziąć tyle pieniędzy dla pana? Sama chciałabym tyle mieć. Jeśli zdoła pan spełnić swoją obietnicę i doprowadzić do tego, że nasza rodzina będzie zarabiać sześćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie, bez problemu odstąpię panu dwadzieścia. Ale nie mogę zapłacić z niczego takiej fortuny.

— Źle mnie pani zrozumiała, María Isabel. Nie potrzebuję tych pieniędzy dla siebie, muszę zapłacić Oscarowi Lupii i Carlosowi Marcelowi Gilowi Novoa, żeby was chronili.

Temat podwyżki utknął w tym punkcie, bo zamęt wywołany filmem dokumentalnym ucichł i wróciliśmy do Buenos Aires, gdzie bez nowych przeciwności losu spędziliśmy Boże Narodzenie i Nowy Rok. Zajmowaliśmy mieszkanie na siedemnastym piętrze przy ulicy Jaramillo 2010, które Zacarías wynajął dla mamy i Manueli. Zatrzymaliśmy się tam z Andreą przejściowo, a księgowy szukał w tym czasie jakiegoś lokum do

wynajęcia dla nas, ponieważ postanowiliśmy zamieszkać wspólnie i spróbować życia we dwoje. W pierwszym tygodniu lutego 1999 roku mama znów nabrała podejrzeń. Zacarías zapadł się pod ziemię.

Zanim jeszcze poznaliśmy złe intencje Zacaríasa, w obawie przed negatywnymi skutkami filmu dokumentalnego Discovery wystawiliśmy na sprzedaż dom na zamkniętym ekskluzywnym osiedlu Club Campos de Golf Las Praderas de Luján, który kupiliśmy wcześniej po okazyjnej cenie.

W ciągu kilku dni zjawił się potencjalny kupiec, Luis Dobniewski, szanowany w Argentynie adwokat. Zacarías tak to urządził, że spotkał się z nim i zainkasował sto tysięcy dolarów zaliczki. Nigdy nie przekazał nam jednak tych pieniędzy.

— Boże mój, ten człowiek zniknął, a ma wszystkie moje pieniądze. Co ja teraz zrobię? — Załamywała ręce mama.

Zacarías nie odbierał telefonu, nie oddzwaniał, nie odpowiadał na wiadomości. Wobec tego mama wybrała się do jego biura. Tam powiedziano jej, że księgowy znajduje się w szpitalu, gdzie leczy nerwicę wywołaną stresem. Przed wyjściem zapytała, czy może skorzystać ze stacjonarnego telefonu w biurze, żeby do niego zadzwonić. Wybrała numer komórki Zacaríasa. Tym razem oczywiście odebrał.

— Dzień dobry, Juan Carlos, czyżbyś jednak nie leżał umierający na intensywnej terapii? Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?

— Nie chcę z panią rozmawiać. Będę się z panią kontaktował wyłącznie za pośrednictwem mecenasa Tomása Lichtmanna — odpowiedział Zacarías.

— Możemy rozmawiać za pośrednictwem dowolnej osoby, ale niech pan nie będzie bezczelny. Co pan właściwie robi? Zniknął pan z moimi pieniędzmi, ze wszystkim!

— Nie, to pani mnie oszukała! Nie powiedziała mi pani, kim naprawdę jest!

— Nie oszukałam pana! Podałam panu moje prawdziwe nazwisko, a tajemnicy swojej tożsamości muszę pilnie strzec, więc bardzo proszę, nie mieszajmy tych dwóch rzeczy. Proszę mi zwrócić pieniądze. Ja rzekomo pana oszukałam, a tymczasem to pan został z moimi pieniędzmi!

Po tej kłótni Zacarías zobowiązał się wszystko zwrócić, ale za pośrednictwem Lichtmanna. Mama zadzwoniła do niego, jednak on powiedział, że nie zamierza mieszać się do tej sprawy, tym bardziej że wiedział już, z kim ma do czynienia.

— Mecenasie, nie oszukałam pana. Nikomu nie mogę ujawniać swojej tożsamości, bo to kwestia życia i śmierci dla mnie i moich dzieci. Bardzo proszę, niech mi pan pomoże, niech pan okaże serce. Zacarías właśnie mnie okrada. To pan mi go polecił jako adwokat. Błagam o pomoc.

Lichtmann umył ręce, a Juan Carlos Zacarías jeszcze bardziej się rozochocił i dopuścił kolejnych nadużyć. Dysponując podpisanymi przez mamę pełnomocnictwami, przepisał na siebie własność działki i dwóch mieszkań, które nabyliśmy na licytacji po bardzo korzystnej cenie, z zamiarem wyremontowania ich i odsprzedania. Wykorzystał także dokument, który mama podpisała mu kiedyś in blanco, żeby udokumentować rozliczenie, którego tak naprawdę nigdy nie było.

Jednego Zacarías nie przewidział. Nie spodziewał się, że zmierzymy się z nim, uciekając się do jedynej dostępnej nam broni: prawa. W październiku 1999 roku mama wytoczyła sprawę jemu, a także jego wspólnikom: Lupii i Gilowi.

W tej sytuacji Zacarías zatrudnił Victora Stinfale’a, jednego z bardziej wówczas rozpoznawalnych adwokatów w Argentynie. Wsławił się on, broniąc Carlosa Telleldína, głównego oskarżonego w sprawie o zamach bombowy na żydowską instytucję AMIA[49], w którym zginęło osiemdziesiąt pięć osób.

W typowy dla siebie sposób Stinfale poprosił Telleldína, który wówczas przebywał w więzieniu, żeby przekazał jakiemuś dziennikarzowi informację o obecności rodziny Pabla Escobara w Argentynie. Prawnik kilkakrotnie groził mamie, że jeśli będziemy się upierali przy swoim, przypuści na nas atak prawny lub „podrzuci nam" narkotyki, by „wyeliminować nas z gry".

Zabiegi te miały na celu zmuszenie nas do ucieczki z kraju i porzucenia tego, co w nim uczciwie zarobiliśmy. Stinfale i Zacarías nie zdawali sobie jednak sprawy, że jesteśmy prawdziwymi specjalistami w znoszeniu presji i ataków. Niestety, najtrudniejsze miało dopiero nadejść.

Pewnego dnia wróciłem po przeprowadzeniu zajęć w ORT wcześniej niż zwykle. Kiedy parkowałem, drogę zajechał mi biały renault 19 z czterema mężczyznami w środku. Dwóch podeszło do okna. Ubrani byli po cywilnemu. Zerknąłem w lusterko wsteczne i zauważyłem, że odwrót zamknęła mi biała furgonetka z policyjnymi oznakowaniami. Nic z tego nie rozumiałem.

— Proszę wysiąść!

Złapałem gaz, który zawsze trzymam pod ręką, i wysiadłem z auta. Jeden z nich, wyraźnie podchmielony, krzyknął, żebym za nim poszedł. Miałem już użyć gazu, ale ruszyli w kierunku głównego wejścia do budynku.

W drodze na siedemnaste piętro przedstawili się jako funkcjonariusze Federalnej Policji Argentyńskiej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że przed wejściem do mieszkania czeka trzech ludzi, a kolejnych pięciu Andrea wpuściła już do środka, zażądawszy wcześniej, by wsunęli jej pod drzwiami nakaz rewizji. Uprzedziła ich, że w mieszkaniu znajduje się starsza pani i dwoje dzieci, oraz poprosiła, by nie wchodzili wszyscy naraz, a tym bardziej nie wymachiwali bronią. Posłuchali jej.

Zostałem w jadalni pod ich strażą. Nasze psy, Śnieżek, Kuleczka, Beethoven i Da Vinci, wpadły w histerię i szczekały jak najęte. Babcia Nora, która przyjechała akurat w tych dniach z wizytą, cały czas płakała. W pewnej chwili Andrea uświadomiła sobie, że jeden z policjantów został sam w pokoju z Manuelą i jej szkolną koleżanką, które razem odrabiały lekcje. Zaskoczyła go w momencie, gdy je wypytywał.

Najbardziej obawiałem się, by nie „wrobiono" nas w narkotyki. W Argentynie była to dość częsta praktyka. Słynny stał się przypadek Guillerma Cóppoli, dawnego menedżera Diega Maradony, którego zatrzymano i wytoczono mu sprawę, ponieważ w wazonie u niego w domu znaleziono narkotyki podrzucone tam przez policję. Sąd go uniewinnił.

Intruzi niechętnie otwierali szafy. Widać było, że sami nie wiedzą, czego szukają. Praktycznie rzecz biorąc, to Andrea mówiła im, gdzie mogą zaglądać, a gdzie nie. Kiedy wysunęli szufladę z papierami mamy, powiedziała im, żeby tam nie szukali, bo to dokumenty ze szkoły Manueli. Natychmiast zamknęli szufladę.

W tym momencie Śnieżek usłyszał kroki mamy i pobiegł do drzwi. Służąca Olga również je usłyszała. Zdołała otworzyć drzwi i dać mamie znak, żeby zawróciła, ale pies wybiegł za nią zdesperowany. Kiedy już niemal otwierała boczne drzwi budynku wychodzące na ulicę Crisólogo Larralde, dziesięciu uzbrojonych ludzi ubranych po cywilnemu zastąpiło jej drogę.

— Stać! Rzuć broń!

— Spokojnie, panowie. Jaką broń? To tylko mały biały piesek — obruszyła się mama.

W mieszkaniu policjanci nie zdołali zmusić mamy, żeby siedziała w miejscu. „Możecie tu wejść, ale to mój dom. Sprawdzajcie sobie, co chcecie", oświadczyła. Wykąpała się, przebrała, udało jej się schować kilka

dokumentów do koperty i ukryć je w łazience, wykonała dyskretnie kilka telefonów, by zaalarmować adwokatów i notariuszy, którzy znali szczegółowo sprawę oszustwa Zacaríasa. Policja kontrolowała mieszkanie, ale Andrea z mamą kontrolowały policję.

Około trzeciej nad ranem przyszedł Jorge „Fino" Palacios, komisarz Policji Federalnej, i poinformował nas, że jesteśmy zatrzymani.

W czasie gdy prowadzono nas do siedziby brygady antyterrorystycznej Policji Federalnej (na początku operacji), program *Memoria* telewizji Canal 9 transmitował akcję na żywo. Rola prezentera przypadła w udziale Samuelowi „Chiche" Gelblungowi, zaprawionemu w bojach dziennikarzowi, znanemu ze słabości do skandalu i sensacji.

Nasz proces, co zresztą zostało odnotowane w aktach sprawy, zaczął się wraz z doniesieniem policjanta Roberta Ontivero, który zeznał, że stojąc na rogu ulicy w Buenos Aires, dostrzegł kobietę bardzo podobną do wdowy po Pablu Escobarze, która prowadziła zieloną furgonetkę marki Chrysler, z przyciemnianymi szybami.

Funkcjonariusz utrzymywał, że znał mamę ze zdjęć, które widział na komendzie w Wydziale do Walki z Przestępczością Narkotykową. Zdjęcia, o których mowa, pochodziły sprzed dwudziestu lat, co sprawiało, że rozpoznanie mamy na ich podstawie podczas ulotnej chwili na światłach i to w dodatku przez przyciemniane szyby było niemożliwe. A jednak „poczucie obowiązku" nakazało policjantowi zanotować numery rejestracyjne i sprawdzić je.

Furgonetka była wzięta w leasing przez Galestar SA i miała aktualne papiery. Sędzia nie potrzebował więcej dowodów i zlecił aresztowanie nas.

Media oszalały. Po zatrzymaniu trafiliśmy na pierwsze strony gazet: „wdowa po Pablu Escobarze" została zatrzymana w Argentynie.

Następnego dnia konwój Policji Federalnej odwiózł nas z mamą do sądu przy Comodoro Py, w pobliżu portu w Buenos Aires. Tam przygotowano dokumenty, by oddać nas w ręce służby więziennej, ale wpisano do nich moje dawne nazwisko: Juan Pablo Escobar. Zobaczywszy to, powiedziałem, że nazywam się inaczej.

— Za kogo się masz? Dobrze wiemy, kim jesteś! Nie umiesz kłamać! — krzyczeli.

Ja natomiast wiedziałem, że jeśli przed jakąkolwiek władzą przedstawię się jako Juan Pablo, będzie się to równało składaniu fałszywych oświadczeń, bo zrezygnowałem z wcześniejszego nazwiska i nie używałem go.

— Przykro mi, panowie, nawet jeśli się to wam nie podoba i was wkurza, choćbyście na mnie nie wiem ile krzyczeli, nie zmienia to faktu, że tak się nie nazywam. W papierach mam co innego i takie jest moje właściwe nazwisko. To legalne dokumenty. Nie ma w nich nic podejrzanego. Koniec kropka. Nie ma o czym mówić.

— Podpisuj tu! Podpisuj, mówię ci, w tej chwili!

— Chętnie podpiszę, ale raz jeszcze powtarzam, że nazywam się Juan Sebastián Marroquín Santos. Nie podpiszę się jako Juan Pablo Escobar ani obok nazwiska Pablo Escobar.

Wreszcie się poddali. Umieszczono nas w osobnych celach. Nie wiedziałem, co robią z mamą, nie miałem pojęcia, czy aresztowano również Andreę, co dzieje się na zewnątrz, co się stało z siostrą i babcią. Cela była bardzo mała, mniej więcej metr na półtora metra i znajdowała się w niej jedynie betonowa ławka. Nie starczało miejsca, żeby się położyć, mogłem tylko stać lub siedzieć. Spędziłem tam trzy dni, nie mogąc się z nikim kontaktować i nie jedząc, bo obawiałem się, że mnie otrują.

Nasza sprawa przypadła w udziale sędziemu Gabrielowi Cavallo. Była to prawnicza gwiazda, a przynajmniej zachowywał się, jak na gwiazdę przystało. Zdobył sobie rozgłos, unieważniając prawa znane jako *Obediencia Debida* i *Punto Final*[50]. Był ambitny i zabiegał wtedy o stanowisko w Federalnym Sądzie Apelacyjnym. Zniesienie praw dotyczących amnestii otoczyło go nimbem świętości, co sprawiło, że przez chwilę miałem nadzieję, że i w naszym przypadku od razu zauważy, że chodzi o grubymi nićmi szyte pomówienie. Ale tak się nie stało.

W czasie gdy oczekiwaliśmy z mamą w celach, on udzielał się na konferencjach prasowych, opowiadając, jak w wyniku drobiazgowego procesu zdołał ująć rodzinę słynnego barona narkotykowego.

Nie wspominał natomiast o tym, że kiedy przeszukiwał kancelarie notarialne, w których mama miała zarejestrowane siedem opieczętowanych kopert, znalazł także argumenty świadczące o naszej niewinności. Były tam zgromadzone dowody prób wymuszenia i pogróżek księgowego Zacaríasa, jego adwokata i ich wspólników. Wszystko to wystarczająco dobrze udokumentowane naszymi oświadczeniami i nagraniami rozmów, które rejestrowaliśmy, kiedy dzwonili, by nam grozić. Każda koperta miała potwierdzoną datę, a notariusze mogli zaświadczyć, kiedy dokument został u nich złożony. Pierwsze z tych dowodów pochodziły sprzed sześciu miesięcy.

Na nic się one jednak nie zdały. Sędzia zarzucał mi przestępstwo, które polegało na tym, że pojechałem do Urugwaju i zaprojektowałem komodę. Owszem, pojechałem na krótko do Urugwaju z moim dowodem osobistym i rzeczywiście zaprojektowałem tam komodę, bo tego nauczyłem się na studiach i tym się zajmowałem. Najgorsze, że każde nasze oświadczenie było przeinaczane i redagowane w formie przyznania się do winy. Oczywiście nie chcieliśmy tego podpisywać.

Prokuratorzy Eduardo Freiler i Federico Delgado, którym powierzono proces, nigdy nie przedstawili oficjalnego aktu oskarżenia. Wysławszy zapytanie do władz kolumbijskich, dowiedzieli się, że nasza nowa tożsamość była całkowicie legalna i została zatwierdzona przez organy państwowe. Następnie odkryli, że Galestar SA to działająca zgodnie z prawem firma. Cała reszta: dom w Praderas i dwa auta zostały zakupione za pieniądze zdobyte uczciwą pracą. Ponadto płaciliśmy raty za chryslera furgonetkę i mazdę 121, której używałem.

Mimo braku aktu oskarżenia, mimo złożonych przez nas wyjaśnień i potwierdzenia legalności naszych dokumentów oraz dowodów na wymuszenia, których padliśmy ofiarą, sędzia Cavallo kontynuował proces. Przekonał opinię publiczną, że nie można zlekceważyć (ewidentnie zmyślonych) zeznań policjanta na usługach Jorge Palaciosa. A ponieważ prokuratorzy nie chcieli przedstawić formalnego aktu oskarżenia przeciw nam, zdjęto ich z funkcji.

Na czwarty dzień przewieziono nas do aresztu 28. W samym centrum miasta. Pozwolono mi się wykąpać i zaoferowano zasikany i obsrany materac. Choć nieraz już przebywałem w zamknięciu, gdy się ukrywałem, dopiero w tym lochu zrozumiałem, co czuje człowiek, którego pozbawiono wolności.

Czekaliśmy na akt oskarżenia z prokuratury, ale nie nadchodził. Sędzia musiał zdecydować o miejscu naszego uwięzienia. Mama skorzystała z okazji, żeby z nim porozmawiać, i wyjaśniła mu, na jakie zagrożenie będziemy wystawieni, jeśli wyśle nas do zwykłego więzienia.

— Panie sędzio, jest pan odpowiedzialny za to, co stanie się ze mną, moim synem i całą rodziną. Odpowiada pan za to, póki jesteśmy zatrzymani, i to także przed rządem Kolumbii.

W rezultacie prawnik postanowił skierować nas do aresztu w Wydziale do Walki z Przestępczością Narkotykową. Mogliśmy tam odbierać rozmowy z Kolumbii i przyjmować codziennie po południu wizyty.

W tych dniach za kratki trafił również Zacarías, ale dość pechowo, bo wysłano go do więzienia Devoto. Według jego własnych słów mało brakowało, by osadzeni go zlinczowali. Oburzyło ich to, że odważył się tknąć wdowę po Pablu Escobarze. Nienawiść do Zacaríasa wśród więźniów była tak powszechna, że ostatecznie przeniesiono go do „naszego” więzienia, piętro wyżej.

Pozwalano nam z mamą odwiedzać się w naszych celach i spędzać razem dużo czasu. Towarzyszenie w celi własnej matce uważałem za przywilej. Mama od zawsze cierpiała na klaustrofobię, wymyślała więc najróżniejsze preteksty, by tylko pozwolono jej wyjść na chwilę z małego pomieszczenia. Zaproponowała na przykład, że pomaluje ściany i kraty we wszystkich celach. Potem zgłosiła się do sprzątania biur i ubikacji, byle tylko nie siedzieć bezczynnie.

Zgodnie z zaleceniem nigdy nie gaszono światła w naszych celach. Mama korzystała zatem z okazji, żeby czytać wszystko, co tylko wpadło jej w ręce. Ja studiowałem Biblię i modliłem się słowami psalmu 91, którego nauczyłem się na pamięć podczas wojny w Medellín.

Ze względu na nasze dobre sprawowanie strażnicy traktowali nas z coraz mniejszą niechęcią. Można nawet powiedzieć, że w pewnym stopniu zdobyliśmy sobie ich szacunek.

W tym czasie sędzia Cavallo zdecydował się obłożyć nas sekwestrem: mamę kwotą dziesięciu milionów dolarów, Andreę trzema milionami, mnie dwoma. W wypadku Stinfale’a, który również stał się podejrzanym, były to trzy tysiące pięćset dolarów.

Cavallo próbował wywrzeć na mamie presję. Obiecał, że ją wypuści na wolność, jeśli poda mu kod do zaszyfrowanej płyty znalezionej podczas rewizji. Lub jeżeli złoży zeznania obciążające byłego prezydenta Carlosa Menema. Ciągle namawiał ją do współpracy, aż w końcu zaczęła dostrzegać w jego propozycjach pewne plusy. Chciał, byśmy oświadczyli, że nasz przyjazd do Argentyny został uzgodniony z byłym prezydentem.

Przez nasz proces w krótkim czasie przewinęło się siedmiu prokuratorów: Freiler, Delgado, Stornelli, Recchini, Cearras, Panelo i Aguilar. Żaden z nich nie widział powodu, by przetrzymywać nas w więzieniu. Ostatni wnioskował nawet o sprawdzenie, czy Cavallo nie naruszył prawa, sprzeniewierzając się obowiązkom, nadużywając sprawowanej funkcji i bezpodstawnie pozbawiając nas wolności: „(…) sędzia nakazuje, ewidentnie nadużywając władzy, zatrzymać Maríę Isabel Santos Caballero (nowe nazwisko przyznane w Kolumbii Victorii Henao Vallejo ze względów bezpieczeństwa) tylko dlatego, że jest wdową po Escobarze”.

Kocham i bardzo cenię Andreę. Odważyła się wsiąść na pokład mego samolotu w chwili, gdy straciłem oba silniki i nie miałem paliwa. Był to jeden z najgorszych momentów w historii rodziny Escobar Henao, a ona postawiła wszystko na jedną kartę, bo chciała być ze mną.

W więzieniu cały czas o niej myślałem. Żeby być u mego boku, porzuciła studia, rodzinę, przyjaciół, tożsamość, ojczyznę. Rzuciła dla mnie wszystko. Dlatego podczas tamtego pierwszego lata w więzieniu zrozumiałem, że nadszedł moment, by zaproponować jej małżeństwo. Przyszła pora, by zrobić ten krok. Nosiłem się z tym zamiarem już od pewnego czasu, ale zawsze czekałem na jakiś „idealny moment”. Gdy tylko powiedziałem, że chciałbym spędzić resztę życia u jej boku, Andrea rozpłakała się i objęła mnie wzruszona. Zgodziła się, a potem powiedziała:

— Kochanie, wierzę głęboko, że w końcu wszystko się ułoży. Upadliśmy już tak nisko, że bardziej się nie da, na samo dno. Dlatego sądzę, że teraz może być już tylko lepiej. Kocham cię bezwarunkowo.

Mama, która była przy tym obecna, objęła nas i powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym to, co przeżyliśmy, będzie tylko cennym doświadczeniem.

Nie chcieliśmy brać ślubu w więzieniu, ustaliliśmy więc, że zrobimy to, gdy wreszcie wyjaśni się nasza sytuacja prawna. Na wolności.

Dwudziestego dziewiątego grudnia 1999 roku odprowadzono nas z mamą na nowe przesłuchanie w Comodoro Py, w kamizelkach kuloodpornych i kajdankach. Był to ostatni dzień roboczy przed początkiem wakacji sądowych. Nagle uświadomiłem sobie, że strażnicy zostawili mi kluczyki w kajdankach. Nie wiedziałem, co robić. Mogła to być pułapka, by sprowokować mnie do ucieczki. W końcu zdecydowałem, że choć mam realną szansę ucieczki, nie powinienem z niej korzystać, bo nie zamierzałem ukrywać się przez całe życie jak ojciec. Wobec tego zawołałem strażniczkę.

— Zapomniała pani o czymś.

Zaskoczona kobieta zabrała kluczyki i podziękowała. Powiedziała, że uratowałem ją przed zwolnieniem z pracy.

Po zakończeniu czynności odprowadzono nas do celi w podziemiach budynku. Mieliśmy tam poczekać na samochód, który odwiezie nas z powrotem do więzienia.

Pod wieczór przyszli nasi adwokaci Ricardo Solomonoff i Ezequiel Klainer i przekazali nam dobrą wiadomość. Sędzia Cavallo postanowił wypuścić mnie tego dnia na wolność, nakładając na mnie zarazem serię ograniczeń: nie mogłem opuszczać miasta i dwa razy w miesiącu musiałem stawiać się na komendzie na dowód, że nie wyjechałem.

Zamiast się ucieszyć, w pierwszej kolejności pomyślałem o tym, że zostawiam mamę samą w takim miejscu. Jednak nic nie mogłem zrobić i z nakazem zwolnienia w ręku rozpoczęliśmy formalności służące opuszczeniu więzienia. Tym właśnie się zajmowałem, kiedy zobaczyłem Zacaríasa w pobliskiej celi. Podszedłem do niego.

— Sebas, wychodzisz?

— Tak.

— Jesteś porządnym człowiekiem, dobrą osobą, wszystko to było wielkim błędem, pomyłką. Wcale nie powiedziałem tego wszystkiego, co myślicie, nie skłamałem. To Sinfale jest wszystkiemu winien. Patrz tylko, jak na tym wyszedłem, też siedzę w pudle.

— Wiesz co, Juan Carlos, nadal masz nas za głupców, ale nie myśl, że po raz drugi nabiorę się na twoje historyjki. Sam doprowadziłeś do tej skrajnej sytuacji i tych godnych ubolewania okoliczności.

— Nie, naprawdę nie. Uwierz mi, to wcale nie było tak. Jest w tym wszystkim mnóstwo pomyłek i kłamstw, a sędzia naobiecywał rzeczy, których nie dotrzymał.

Z rozmowy z Zacaríasem nic nie wynikło. Udałem się do celi, gdzie pomodliliśmy się razem z mamą, dziękując Bogu za moją wolność i za to, że wreszcie wszystko zaczyna się wyjaśniać.

— Synu, nie trać ducha. Wiem, że zrobisz, co się da, by mnie stąd wyciągnąć. Nie możemy wyjść razem. Ale jestem pewna, że nie pozwolisz, bym tu dłużej siedziała.

Rozpłakałem się. Płakaliśmy oboje, tuląc się do siebie. Nie potrafiłem się pożegnać. Strażnicy powtarzali: „już może pan iść”. A ja odpowiadałem: „Pozwólcie mi zostać jeszcze chwilkę, bardzo proszę”. Nie mam słów, by wyrazić, jak ciężko było mi zostawić mamę samą, zamkniętą w celi, monitorowaną przez kamery, ze sztucznym światłem palącym się przez

dwadzieścia cztery godziny na dobę. A przecież wiedziałem, że jest - niewinna.

Po wyjściu na wolność, zgodnie z sugestią naszego dobrego znajomego, piosenkarza Piero, spotkałem się z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla Adolfem Pérezem Esquivelem i opowiedziałem mu, co nas spotkało.

— Wierzę we wszystko, co mi tu opowiedziałeś. Ale nie mogę interweniować w twojej sprawie poprzez SERPAJ[51], dopóki moja adwokat nie przestudiuje dokładnie całego przypadku i nie przyśle mi szczegółowego raportu dotyczącego podstawowych praw człowieka twoich i twojej rodziny, które prawdopodobnie zostały pogwałcone. Ona się z tobą skontaktuje.

Procedura ta ciągnęła się w nieskończoność, ale wreszcie otrzymałem kopię listu, który Pérez Esquivel skierował do sędziego Cavallo.

*El Servicio de Paz y Justicia zwraca się do Pana w celu powiadomienia go, że nasze biuro otrzymało zgłoszenie od rodziny Marroquín Santos w związku ze sprawą, która toczy się przeciwko nim w Pana Sądzie i która leży w Pańskiej gestii, a która w naszej ocenie stanowić może pogwałcenie praw człowieka.*

*We wspomnianej powyżej sprawie wedle naszych danych toczy się obecnie postępowanie karne w związku z zarzutem kierowania organizacją przestępczą i prania brudnych pieniędzy opartym przede wszystkim na pokrewieństwie oskarżonych z Pablem Escobarem Gavirią.*

*Pragniemy zaoferować Sądowi nasze wsparcie i mediację celem wyjaśnienia punktów grożących pogwałceniem niezbywalnych praw człowieka, podkreślając zarazem jakże ważną okoliczność, że cudzoziemiec posiada takie same prawa człowieka jak każdy obywatel Argentyny.*

*Adolfo Pérez Esquivel*

Wreszcie jeden spośród milionów Argentyńczyków zdołał dojrzeć coś przez zasłonę dymną zrobioną przez Cavallo, Stinfale'a i Zacaríasa.

Nie był to bynajmniej koniec prześladowań. Raz odkryliśmy na przykład, że pewien policjant usiłował zbliżyć się do naszej rodziny, próbując zaprzyjaźnić się z moją siostrą. Piętnastoletnia Manuela nadal płaciła najwyższą cenę za błędy ojca. Uczyła się w Szkole Jeana Piageta aż do dnia, kiedy zadzwonił do mnie dyrektor, mówiąc, że niektórzy nauczyciele odmawiają udzielania jej lekcji ze względu na jej rodzinne powiązania.

— Dziękuję za szczerość. Zabiorę ją z tej placówki, która nie potrafi dbać o swoich uczniów ani ich szanować. Od takich ignorantów moja siostra nie nauczy się wiele, a może w ogóle nic.

W następnej szkole w Buenos Aires Manuelę czekały kolejne przejawy dyskryminacji, bo prezenter „Chiche" Gelblung nie zawracał sobie głowy przepisami prawa i opublikował jej zdjęcie. Po tym zdarzeniu wielu rodziców protestowało, a niektórzy uczniowie kpili sobie z niej i prześladowali ją, porobili nawet napisy na ścianach na ten temat.

Sędzia Cavallo upierał się natomiast dalej trzymać mamę w więzieniu. Ten areszt w sprawie pełnej arbitralnych decyzji był tak naprawdę porwaniem, które trwało rok i osiem miesięcy. Któregoś dnia wyrwało mu się nawet, że już samo to, że jest Kolumbijką, czyni ją bardziej winną.

Niewiele brakowało, a mama uwięzienie przypłaciłaby życiem. Pewnego dnia zaczęła uskarżać się na silny ból zęba. Adwokaci poprosili o zgodę na wizytę u dentysty, ale sędzia odmówił. Prawnicy nalegali, bo infekcja postępowała, lecz sędzia nie chciał zmienić zdania. Jeszcze raz ponowili prośbę, na co Cavallo w akcie niezwykłej samowoli posłał jej obcęgi, by sama wyrwała sobie ząb.

Opuchlizna nie schodziła, a był już piątek. Infekcja trwała od ponad tygodnia i dopiero informacja, że przypadek wymaga niezwłocznej interwencji, zmusiła Cavallo do wydania zezwolenia. Diagnoza: brakowało dwóch lub trzech godzin, by mama doznała szoku septycznego. Infekcja mogła objąć cały organizm, przyjmując postać sepsy.

Gdy wreszcie trochę doszedłem do siebie, postanowiłem pokazać się w pracy i porozmawiać z moimi profesorami i kolegami z instytutu ORT. Chciałem przedstawić im własną wersję zdarzeń, dlatego poprosiłem wszystkich pracowników naukowych, by zebrali się na nieoficjalne spotkanie podczas przerwy. Ledwo zacząłem, gdy jeden z nich mi przerwał:

— Daj spokój, Sebastián. Nie jesteś nam winien żadnych wyjaśnień. Znamy cię od czterech lat, przychodzisz tu codziennie i należysz do najlepszych. Poza tym byłeś pracownikiem i sąsiadem naszego kolegi Alana i wiemy, że nie pierzesz brudnych pieniędzy, no chyba że wpadasz do banku o trzeciej rano, bo wtedy faktycznie miałbyś na to wolną chwilkę i w takim wypadku powinieneś nam się wytłumaczyć. Ale my ten temat już omówiliśmy wszyscy, włącznie z władzami ORT, i jesteśmy jednomyślni. Pogadajmy o czymś innym, jeśli łaska. Nic nie musisz nam wyjaśniać, bo cała sprawa jest dla nas aż nadto jasna.

Dobiegała końca zima 2000 roku i na ulicach pojawiły się plakaty uniwersytetu w Palermo zachęcające młodych do podjęcia nauki. Fascynowała mnie architektura, bo na powrót zostałem zatrudniony w biurze projektowym, gdzie wcześniej pracowałem, przy czym pozwolono mi pracować w domu, żebym nie zaniedbywał sprawy mamy w sądzie.

Powiedziałem mamie, że chciałbym studiować architekturę. Czesne nie było wysokie, a ponadto mogłem nieco okroić materiał, by nie zabrakło mi czasu na proces. Tak też zrobiłem i z początku szło mi dobrze, bo zwolniono mnie z kilku przedmiotów, które zaliczyłem podczas

wcześniejszych studiów, jednak na dłuższą metę łączenie pracy z nauką oznaczało, że nie miałem już czasu na sądowe zmagania. Wobec tego postanowiłem rzucić uniwersytet. Zamierzałem właśnie złożyć rezygnację na uczelni, kiedy zadzwonił do mnie Solomonoff z najlepszą wiadomością: mama wychodziła na wolność.

Sędzia nie znalazł w końcu żadnego powodu, by trzymać ją dłużej w więzieniu. Ostatnim pozbawionym podstaw oskarżeniem był zarzut kierowania organizacją przestępczą. Skąd taki pomysł? Otóż mama „kierowała międzynarodową organizacją przestępczą", ponieważ zatrudniła dwóch kolumbijskich adwokatów — Francisco Fernándeza i Francisco Salazara — żeby nadzorowali jej sprawy w Kolumbii.

To nowe oskarżenie Cavallo stopniowo zaczęło upadać, lecz kiedy nasi adwokaci złożyli apelację, sędzia federalna Riva Aramayo (koleżanka Cavallo) zamiast zająć się istotą sprawy, skupiła się na kwestiach pobocznych.

Był to decydujący dzień procesu. Mieliśmy się dowiedzieć, czy mama będzie występować na sali sądowej w charakterze zatrzymanej, czy odpowiadać z wolnej stopy. Czekaliśmy na decyzję, kiedy nagle sędzia Cavallo wyszedł, trzaskając drzwiami, z twarzą czerwoną ze złości. Wściekł się, bo prokuratura uznała, że poza naszym pokrewieństwem z Pablem Escobarem nie ma żadnych dowodów przeciwko mamie.

Jeden z naszych adwokatów wyszedł za sędzią, a potem przekazał nam dobrą wiadomość, że ustalono kaucję, by mama mogła wyjść na wolność. Nie mieliśmy na to środków, ale byłem gotów je zdobyć. Wtedy adwokat Solomonoff powiedział, że pożyczy nam pieniądze na kaucję. Uważał, że należy wyciągnąć mamę z więzienia jeszcze tego samego dnia, ponieważ obawiał się, iż Cavallo może przedstawić jakieś nowe oskarżenie, byleby ją tam zatrzymać.

— Mecenasie, dziękuję panu z całego serca za pomoc w tak kluczowej sprawie. Chciałbym jednak jasno powiedzieć: nie tylko nie mam pieniędzy, ale nawet nie potrafię powiedzieć, kiedy i jak będę mógł je panu oddać. Lepiej niż ktokolwiek inny wie pan, że Zacarías zostawił nas bez grosza w kieszeni.

— Mniejsza o to, Sebastián, nie przejmuj się, w ogóle o tym nie myśl. Dziś twoja mama wychodzi na wolność i to się liczy. Cavallo musi ją wypuścić. Już ją powiadomiono i musi wyjść.

W ciągu kolejnych dwóch godzin doszło do ostrego starcia między Cavallo a naszymi prawnikami w kwestii sposobu zapłacenia kaucji. Wreszcie sekretarka sędziego Cecilia Amil poszła do Banku Republiki Argentyńskiej przeliczyć pieniądze.

Po dziesiątej wieczorem, gdy sędzia Cavallo podpisał wreszcie nakaz zwolnienia, poszliśmy po mamę do więzienia. Uwolniona bardzo chciała wrócić do normalności. Mimo to na długie miesiące pogrążyła się w milczeniu. Wiele trudu kosztował ją powrót do zwykłej aktywności i odzyskanie radości życia, wreszcie jednak zdołała to osiągnąć i znów zaczęła naukę w różnych znanych instytucjach.

Teraz już na spokojnie, bo wszyscy byliśmy w domu, czekaliśmy, aż proces trafi do ostatniej instancji: Sądu Najwyższego. Tam zlecono przeprowadzenie dokładnych ekspertyz księgowych, które wykazały, że domniemane pranie brudnych pieniędzy, o które nas oskarżono, nigdy nie miało miejsca.

Zamknięcie dochodzenia nastąpiło po długich siedmiu latach niepewności. Zostaliśmy całkowicie oczyszczeni ze wszystkich zarzutów przez Piąty Sąd Rejonowy w Buenos Aires.

Tym razem nagłówki w prasie były bardzo skromne, w odróżnieniu od wielkiego szumu, który towarzyszył naszemu zatrzymaniu.

Niemal równocześnie z zakończeniem tego koszmaru zdobyłem tytuł architekta na uniwersytecie w Palermo. Powoli stawiałem pierwsze kroki w zawodzie i założyłem własne biuro projektowe: Box[52] Arquitectura Latinoamericana.

Dołączyłem do grupy architektów (biur projektowych AFRA, LGR i Fernández Prieto) i wspólnie wygraliśmy konkurs na projekt mauzoleum Juana Domingo i Evy Perón. Zaprojektowałem czternastopiętrowy budynek i wraz z ówczesnym prezydentem Krajowego Stowarzyszenia Architektów[53] Danielem Silberfadenem i uznanym kolegą po fachu Robertem Busnellim wygrałem kilka innych konkursów w rejonie Puerto Madero.

W grudniu 2002 roku spełniłem obietnicę i ożeniłem się z Andreą. Wpadliśmy na pomysł zorganizowania uroczystości pod gołym niebem, w hotelu, ale wynikł problem, bo okazało się, że argentyński Kościół katolicki na to nie zezwala. Jak zwykle sprawę wzięła w swoje ręce mama i osiągnęła niemożliwe: biskup Buenos Aires Jorge Mario Bergoglio wydał nam pozwolenie na ślub. Wbrew wszelkim oczekiwaniom mama zdołała sobie załatwić audiencję u przyszłego papieża Franciszka.

Tymczasem zaprojektowałem i wybudowałem dwa duże domy dla klientów prywatnych z Kolumbii. Pierwszy z nich (rezydencja wypoczynkowa) był prawdziwym wyzwaniem, bo musiałem wykonać całą pracę na odległość, jedynie na podstawie planów, zdjęć i filmów. Drugi, w Medellín, stał się rozpoznawalny ze względu na czystość formy i ciepłą aranżację przestrzeni. Zdobycie tych zleceń nie przyszło mi łatwo, bo niewielu ludzi ma odwagę powierzyć projekt specjaliście, który nosi stygmat bycia synem Pabla Escobara.

Oddawałem się pracy architekta, gdy w 2005 roku odebrałem telefon od argentyńskiego reżysera Nicolása Entela, który zaproponował mi (jak

zresztą wielu innych) zrealizowanie filmu dokumentalnego o moim ojcu. Odpowiedziałem, że będę tym zainteresowany, pod warunkiem że ograniczymy się tylko do tego tematu.

Wspólnie opracowaliśmy myśl przewodnią historii, której nakręcenie zajęło cztery lata. W tym czasie napisałem list do synów Luisa Carlosa Galána i Rodriga Lary Bonilli, w którym przeprosiłem ich za krzywdę wyrządzoną im przez mojego ojca. W ten sposób zapoczątkowany został proces wybaczenia i pogodzenia między nami.

Pozytywne doświadczenie, jakim była realizacja dokumentu, zostało przerwane w pierwszych miesiącach 2009 roku, kiedy wniosłem pozew przeciwko pewnemu osobnikowi podającemu się za mnie w Stanach Zjednoczonych. Ten nowy problem wynikł z machinacji stryja Roberta, któremu kilkakrotnie odmówiłem swojego udziału w filmowych projektach z jakimiś rzekomymi amerykańskimi producentami, którzy chcieli przenieść na ekran historię ojca.

Stryjowi nie wpadło do głowy nic lepszego jak zastąpić mnie osobą José Pabla Rodrígueza. Był to otyły (ważący sto czterdzieści kilogramów) Amerykanin w wieku około trzydziestu lat. Pochodził z Kostaryki, ale mieszkał w New Jersey.

Wypełniając instrukcje Roberta, mój klon podstępem zdobył adres e-mailowy do mnie jako architekta w Buenos Aires i napisał list, w którym bez owijania w bawełnę wyjaśnił, że od 2001 roku używa nazwiska Pablo Escobar Jr i że dzięki podszyciu się pod moją tożsamość wielkie amerykańskie firmy, na przykład Nike czy Redbull, proponują mu milionowe interesy. Napisał też, że raperzy tacy jak NAS lub 50 Cent przyczynili się do jego popularności. Zakończył stwierdzeniem, że jeśli pomogę mu uwiarygodnić to oszustwo, obaj zostaniemy milionerami.

Oburzony poprosiłem mojego adwokata w Argentynie, żeby złożył przeciwko niemu pozew oraz zawiadomił kolumbijski wymiar sprawiedliwości o popełnieniu przestępstwa. W pozwie opisaliśmy całą historię tej postaci. W jednym z ustępów mojego oskarżenia zaznaczyłem:

„Jestem przekonany, że oprócz José Pabla Rodrígueza za pogróżkami stoi także mój stryj Roberto de Jesús Escobar Gaviria, który w przeszłości, z nieznanych mi powodów, działał już na moją szkodę, próbował zjednać sobie bliskich współpracowników ojca, nakłaniał ich, by zeznawali przeciwko mnie i by wytoczyli mi w Kolumbii proces karny, którego celem byłoby pozbawienie mnie wolności".

Mój sobowtór się wściekł, bo 10 marca 2009 roku odpowiedziałem na jego propozycje e-mailem, który zatytułowałem „List do klona". Zasugerowałem mu, żeby poszukał własnej drogi, tak jak ja próbowałem to robić, i zachęciłem go, by zastanowił się nad swoim postępowaniem. Miałem nadzieję, że zrozumie, iż nie musi przywłaszczać sobie cudzej historii.

Sądziłem, że zgodzi się z moimi argumentami, ale zareagował gwałtownie, stekiem gróźb i wyzwisk:

„Tego, co teraz powiem, nie będę powtarzał. Starałem się dogadać z tobą po dobroci, ale nie odpowiadało ci to. Jeżeli chcesz, aby twoje przyszłe dzieci oraz bliscy, którzy zostali ci jeszcze przy życiu, zestarzeli się w spokoju, zamiast dołączyć przedwcześnie do twojego tatusia, lepiej nie wchodźcie mi w drogę. Uwierz, bez problemu możemy przyspieszyć wasze spotkanie w zaświatach. Jest wielu ludzi gotowych sporo zapłacić za informację o miejscu waszego pobytu. Nigdy nie będziesz mógł spać spokojnie".

Mimo braku zgody z naszej strony z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że klon się nie wycofał. Wręcz przeciwnie — przeprowadzano z nim wywiady

w mediach w Kolumbii, Ameryce Środkowej i Stanach Zjednoczonych, gdzie wystąpił nawet w programie słynnej Cristiny Saralegui *El show de Cristina*. Poza tym stryj Roberto wrzucił na YouTube kilka filmików, na których pokazali się wspólnie, jak gdyby byli krewnymi. Mówił tam o nim jako o „bratanku Pablu".

O wywiadzie z Cristiną dowiedziałem się na tydzień przed emisją programu. W wyniku moich protestów przyznano mi prawo do odpowiedzi. Wyobrażam sobie zaskoczenie stryja, który z pewnością zaprosił masę ludzi, by obejrzeli zmontowane przez niego telewizyjne show. W programie zdemaskowałem bez reszty mojego sobowtóra, pokazałem zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa i udowodniłem, że to oszust.

Po przezwyciężeniu tej przeszkody przyszła wreszcie pora na premierę *Grzechów mojego ojca*. Nastąpiła ona na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mar del Plata w listopadzie 2009 roku. Od tamtej pory film był prezentowany na najważniejszych światowych festiwalach, takich jak Sundance w Stanach Zjednoczonych. Pokazano go między innymi w Miami, Holandii, Japonii, Hawanie, Ekwadorze, Francji, Polsce, Niemczech i Meksyku. We wrześniu 2010 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych wyświetliła go w ramach obchodów Światowego Dnia Pokoju. Dokument ten dosłownie otworzył przede mną drzwi na całym świecie. Zdobył siedem nagród i ważnych wyróżnień.

Kraje, w których film został pokazany, wydały mi wizę. Nawet Stany Zjednoczone przyznały mi ją na pięć lat. Niestety, trzy dni później odebrałem telefon z ambasady z informacją, że podczas wystawiania wizy doszło do błędu. Błędem był fakt, że jestem synem Pabla Escobara, i dlatego mi ją cofnięto.

Nie miały znaczenia nawet słowa Johna Cohena, szefa DEA w Argentynie, który powiedział w mojej obecności do amerykańskiej pani

konsul i przedstawiciela Departamentu Stanu: „DEA prześwietlała Sebastiána całymi latami. Nie ma on żadnych związków z działalnością przestępczą swojego ojca ani z narkotykami, dlatego nie widzimy przeszkód, by mógł wjechać do Stanów Zjednoczonych. Nie stanowi dla naszego kraju żadnego zagrożenia”. Od dwudziestu dwóch lat zabrania mi się wjazdu do tego państwa w związku z działalnością mojego ojca, nie moją.

Założyłem także maleńką firmę Escobar Henao zajmującą się sprzedażą odzieży z nadrukami inspirowanymi nigdy niepublikowanymi dokumentami, jakie zostały po ojcu. Przesłanie tej działalności jest jednoznacznie pokojowe, zachęca do refleksji i ostrzega przed powtórzeniem się tej historii. Mimo to nie musiałem długo czekać na dyskryminację. Niektórzy producenci oświadczyli, że nie będą z nami współpracować, a bank zamknął nam rachunki.

Wielu ludzi od razu skrytykowało ten pomysł. Wśród nich znalazł się niestety także senator Juan Manuel Galán, który uznał moje prawo do pracy za „zniewagę i agresję”. Dodał, że nie ma nic przeciwko temu, „by kręcono filmy i pisano książki”, ale jeżeli chodzi o moją firmę, uznał, że „trudno tu mówić o jakimkolwiek przesłaniu poza kultem przestępcy i mordercy”.

Wielu ludzi sądzi, że żyjemy z gigantycznej spuścizny po ojcu, ale tak naprawdę przetrwaliśmy dzięki pomocy rodziny ze strony mamy, robiąc interesy związane ze sztuką i nieruchomościami, a także dzięki naszym pensjom. Nikt lepiej od nas nie wie, że nielegalne pieniądze przynoszą jedynie nieszczęścia, których nie chcemy po raz kolejny przeżywać.

Moja rodzina ma prawo do życia w spokoju. Do tego właśnie celu dotychczas dążyliśmy i nadal będziemy dążyć. Nauczyliśmy się żyć i pracować z godnością, zawsze w zgodzie z prawem, w nadziei na to, że nasze wykształcenie i codzienny trud w końcu przyniosą owoce.

Przeprosiłem za wydarzenia z przeszłości, nawet za te, do których doszło przed moim narodzeniem, i nadal zamierzam za nie przepraszać, po kres moich dni. Ale moja rodzina i ja zasługujemy na szansę, by żyć bez zagrożenia społecznymi represjami.

Postępowanie ojca pozbawiło nas przyjaciół, rodzeństwa, wujków, kuzynów, połowy rodziny i ojczyzny. W zamian otrzymaliśmy życie na wygnaniu i ogromne brzemię obaw i prześladowań.

Przez całe lata odmawiałem sobie przywileju bycia ojcem, bo sprowadzanie na świat dziecka, które musiałoby żyć, dźwigając ciężar takiej historii, uważałem za pozbawione logiki i egoistyczne. Dziś myślę inaczej. Chciałbym mieć szansę pokazania swoim dzieciom wartości uczciwej pracy, wysiłku i nauki; wpojenia im szacunku dla życia i prawa. Pragnę wychować moje dzieci na uczciwych ludzi. Najważniejsza spuścizna, jaką mogę im zostawić, gdy dobiegną końca moje dni, to sprawić, że zawsze będą stać po stronie pokoju.

---

48 *Registrador nacional* — urzędnik nadzorujący krajowe rejestry publiczne oraz organizację wyborów.

49 Asociación Mutual Israelita Argentina.

50 *Obediencia Debida* (Konieczne Posłuszeństwo) i *Punto Final* (Gruba Kreska) — prawa zapewniające amnestię sprawcom nadużyć, zabójstw, tortur, wymuszonych zaginięć, do jakich dochodziło w Argentynie w okresie tzw. brudnej wojny podczas rządów junty wojskowej generała Jorge Videli.

51 Servicio de Paz y Justicia (W Służbie Pokojowi i Sprawiedliwości) — działająca w Ameryce Łacińskiej organizacja, której celem jest obrona praw człowieka i promowanie pokoju na świecie.

52 Busqueda Originaria de Expresión — Poszukiwanie Własnego Wyrazu (przyp. aut.).

53 Sociedad Central de Arquitectos.

# Podziękowania

Dla mojego ojca, który nauczył mnie, jaką drogą nie należy iść.

# Zestawienie pseudonimów wymienionych w książce

„Agonia” — „Agonías”
„Ananas” — „Piña”
„Aniołek” — „Angelito” (Alfonso León Puerta Muñoz)
„Autobomba” — „Carrobomba”
„Biała Gała” —„Zarco” (Víctor Granada)
„Brudas” — „Mugre” (Luis Carlos Aguilar Gallego)
„Brzytewka” —„Cuchilla” (Ricardo Londoño)
„Chudy Czacha” — „Flaco Calaveras”
„Czarny” —„Negro” (Jorge Pabón)
„Goofy” — „Tribilín”
„Gruby Lambas” — „Gordo Lambas”
„Hinduska” — „La India”
„Imperium” — „Imperio”
„Indianin” — „Indio” (Germán Espinosa)
„Japoniec” — „Japonés”
„Kolczyk” — „Arete” (Luis Carlos Alzate Urquijo)
„Komancz” — „Comanche”
„Lekarz” — „Médico”
„Limón” — „Limón” Álvaro de Jesús Agudelo
„Maluszek” — „Chiquilín”
„Meksykanin” —„Mexicano” (Gonzalo Rodríguez Gacha)
„Mistrzu” — „Campeón” (Albeire Areiza)

„Modelka” — „La Modelo” (Giovani Lopera)
„Nasionko” — „Semilla” (Rodolfo Murillo Bajerano)
„Nochal” — „Nariz” (Juan Carlos Herrera Puerta)
„Otto” — „Otto” (Otoniel Jesús de González Franco)
„Palomo” — „Palomo” (Johny Rivera Ascota)
„Parówa” — „Salchichón”
„Pasarela” — Guillermo Zuluaga
„Pinina” — John Jairo Arias Tascón
„Popeye” — „Popeye” John Jairo Velásquez Vázquez
„Ptaku” — „Pájaro” (Sergio Alfonso Ortiz)
„Pukawa” —„Chopo” (Mario Castaño Molina)
„Rondel” — „Pocillo”
„Smerf” — „Pitufo”
„Styropian” — „Icopor” (John Jairo Betancur)
„Szpon” — „Garra” (Carlos Díaz)
„Tato” Avedaño — „Tato” (Jorge Eduardo Avedaño)
„Titi” — „El Titi” (John Jairo Posada Valencia)
„Tyson” — „Tyson” (Brances Muñoz Mosquera)
„Wtyka” — „Enchufe” (Juan Carlos Ospina Álvarez)
„Yuca” — Ruben Darío Londoño

Rodzice poznali się w dzielnicy La Paz w Envigado. Ojciec był o jedenaście lat starszy od mamy. Stworzyli związek bardzo intensywny i burzliwy, który trwał aż do jego śmierci.

HOTEL
ASURCO

W 1976 roku ojciec, oczekujący na wyrok w związku z procesem o handel pastą kokainową, został przeniesiony z więzienia Yarumito w Antioquii do Pasto. Mama, będąca wówczas w ciąży, przyjeżdżała go odwiedzać z babcią Hermildą. Strażnicy pozwalali im się spotykać w hotelu Morasurco.

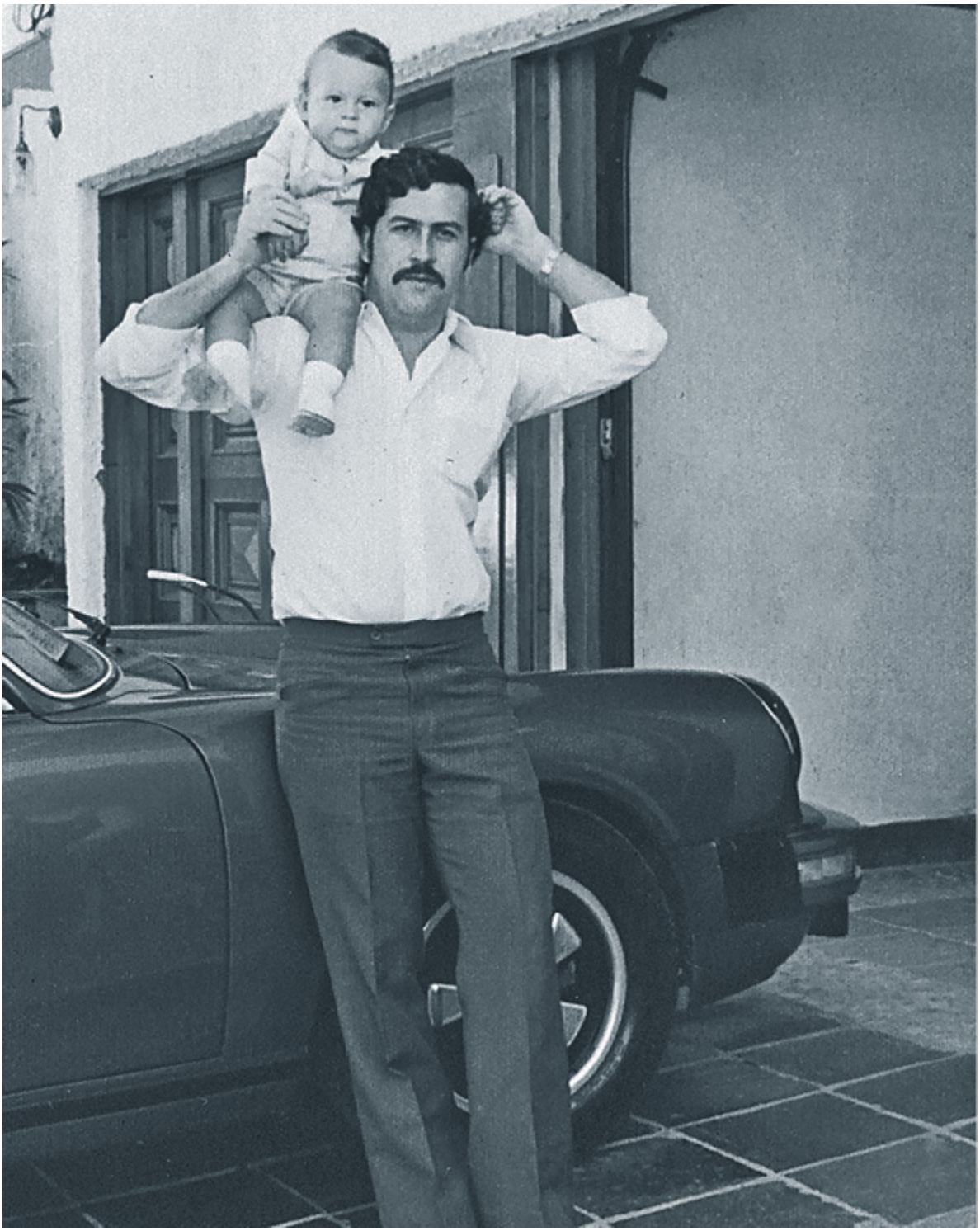

Kilka miesięcy po moich urodzinach w lutym 1977 roku nastały złote czasy dla handlarzy narkotyków. Rodzice przeprowadzili się z dzielnicy La Paz w lepsze rejony Medellín.

Dotychczas niepublikowane zdjęcie ukazuje ojca dosiadającego słonia w ogrodzie zoologicznym w Dallas w Teksasie. Podczas tej podróży odbytej w towarzystwie dużej części rodziny kupił dziesiątki zwierząt, które później trafiły do hacjendy Nápoles.

Hacjenda Nápoles była wielokrotnie zajmowana przez władze, ale ojciec zawsze umiał tak to załatwić, że mieszkał tam dalej jak gdyby nigdy nic.

Nápoles stanowiło początek imperium ojca. Było to idylliczne miejsce, w którym zrealizował marzenia. Wykorzystywał też jednak hacjendę jako ośrodek swojej działalności przestępczej.

Ojciec sprowadził ze Stanów Zjednoczonych dyliżans z Dzikiego Zachodu. Stał się on jedną z licznych ciekawostek w Nápoles.

Przez wiele lat hacjenda stanowiła ulubione miejsce wypoczynku rodzin Escobar i Henao. Jeździliśmy tam prawie co weekend.

Zawsze miałem z ojcem bardzo bliskie relacje. Nawet kiedy się ukrywał, nie oddaliło nas to od siebie. Miał w zwyczaju uczestniczyć w najważniejszych rodzinnych wydarzeniach.

Wujek Mario Henao był jedyną osobą, której ojciec się obawiał. Połączyła ich głęboka przyjaźń, która skończyła się dopiero wraz ze śmiercią wujka.

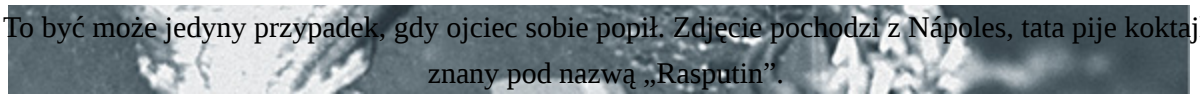

To być może jedyny przypadek, gdy ojciec sobie popił. Zdjęcie pochodzi z Nápoles, tata pije koktajl znany pod nazwą „Rasputin”.

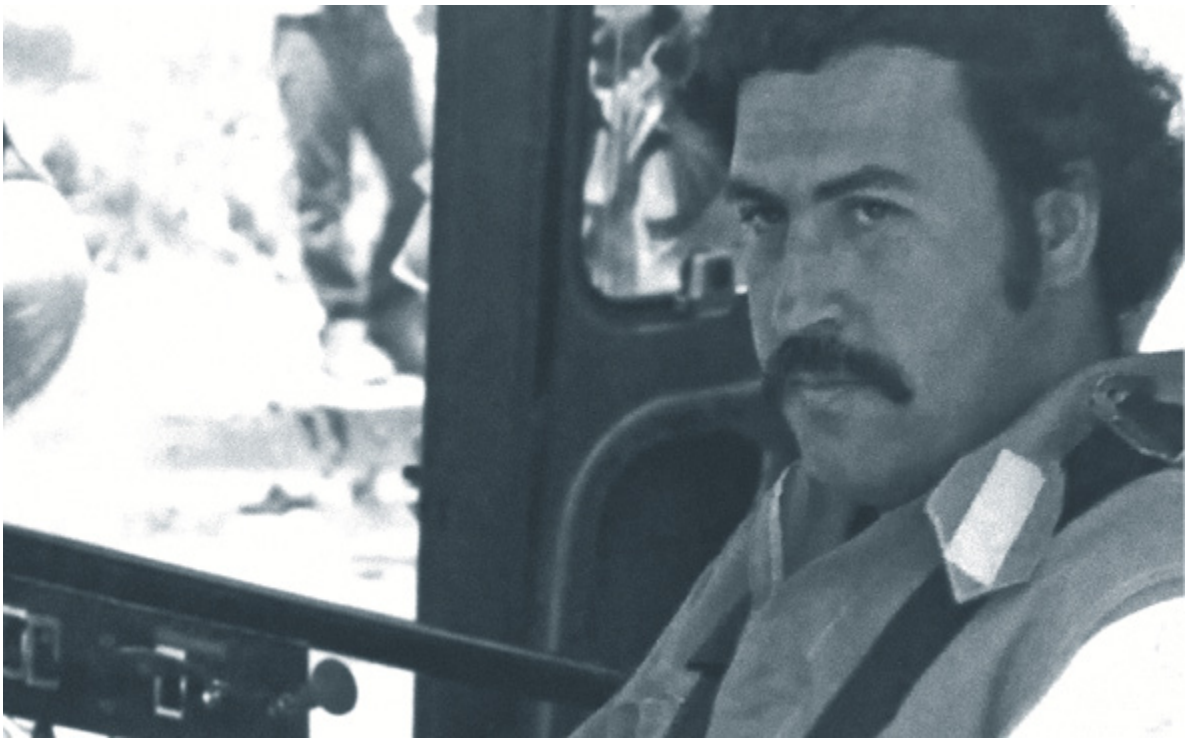

Żeby wziąć udział w Copa Renault, ojciec kupił dziesięć samochodów Renault 4 i ciężarówkę-warsztat pełną części zamiennych. Wynajął także całe piętro w hotelu Hilton.

Ojciec z kuzynem Gustavem kupili dwa kosztowne auta marki Porsche. Prezentowali je podczas Copa Renault w 1979 roku.

Przez rok ojciec i Gustavo brali udział w zawodach Copa Renault, a my często jeździliśmy im kibicować.

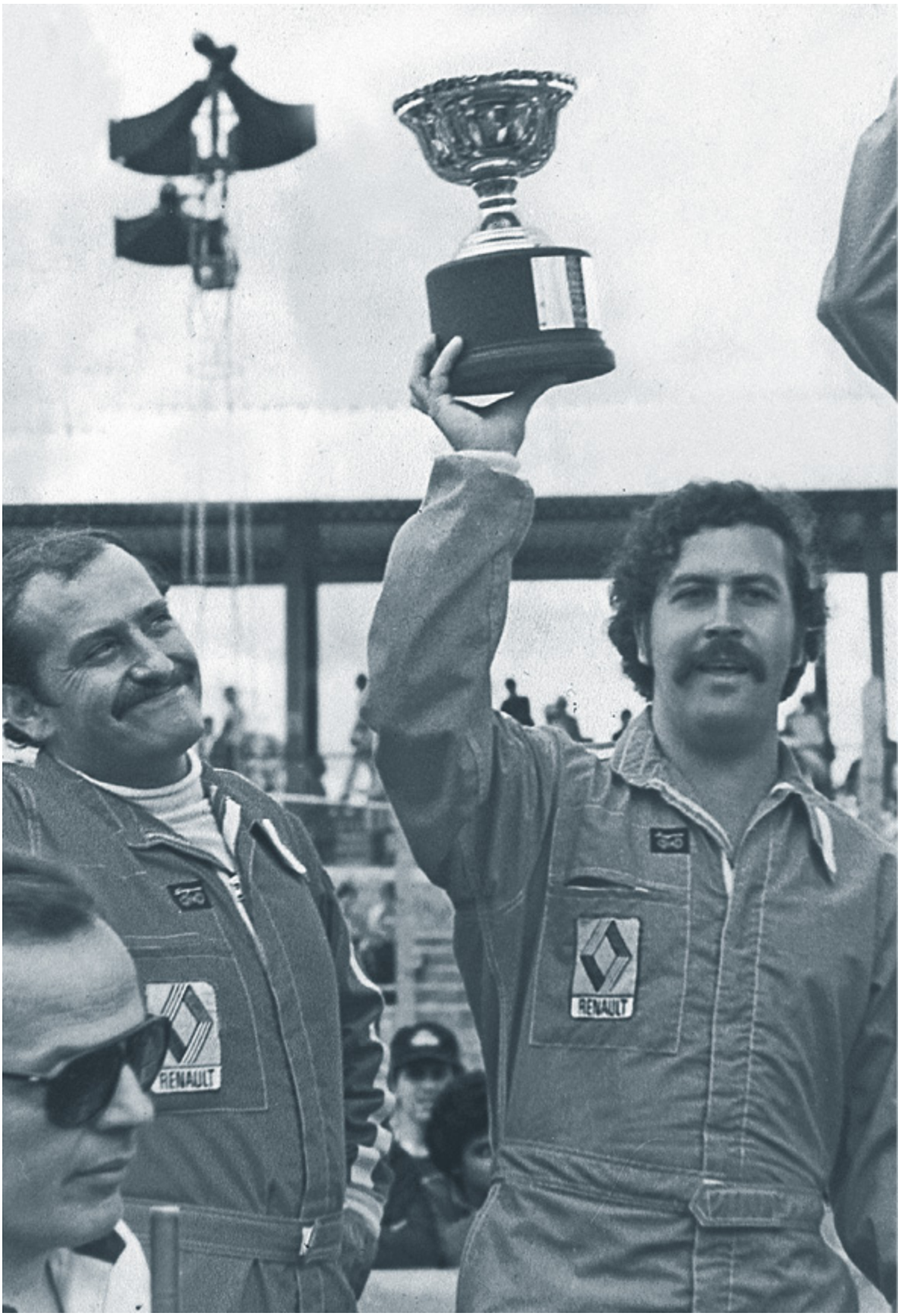
RENAULT
RENAULT

W ciągu roku, kiedy ojciec startował w Copa Renault, zajmował dobre miejsca, ale nie udało mu się zostać liderem. Podczas niektórych wyścigów mama dotrzymywała mu towarzystwa.

Kosztowny kaprys: za tę zastawę na dwadzieścia cztery osoby zapłacono czterysta tysięcy dolarów.

Pieniędzy starczało na wszystko: pośród upominków-niespodzianek schowanych w piñatach częste były zwitki banknotów.

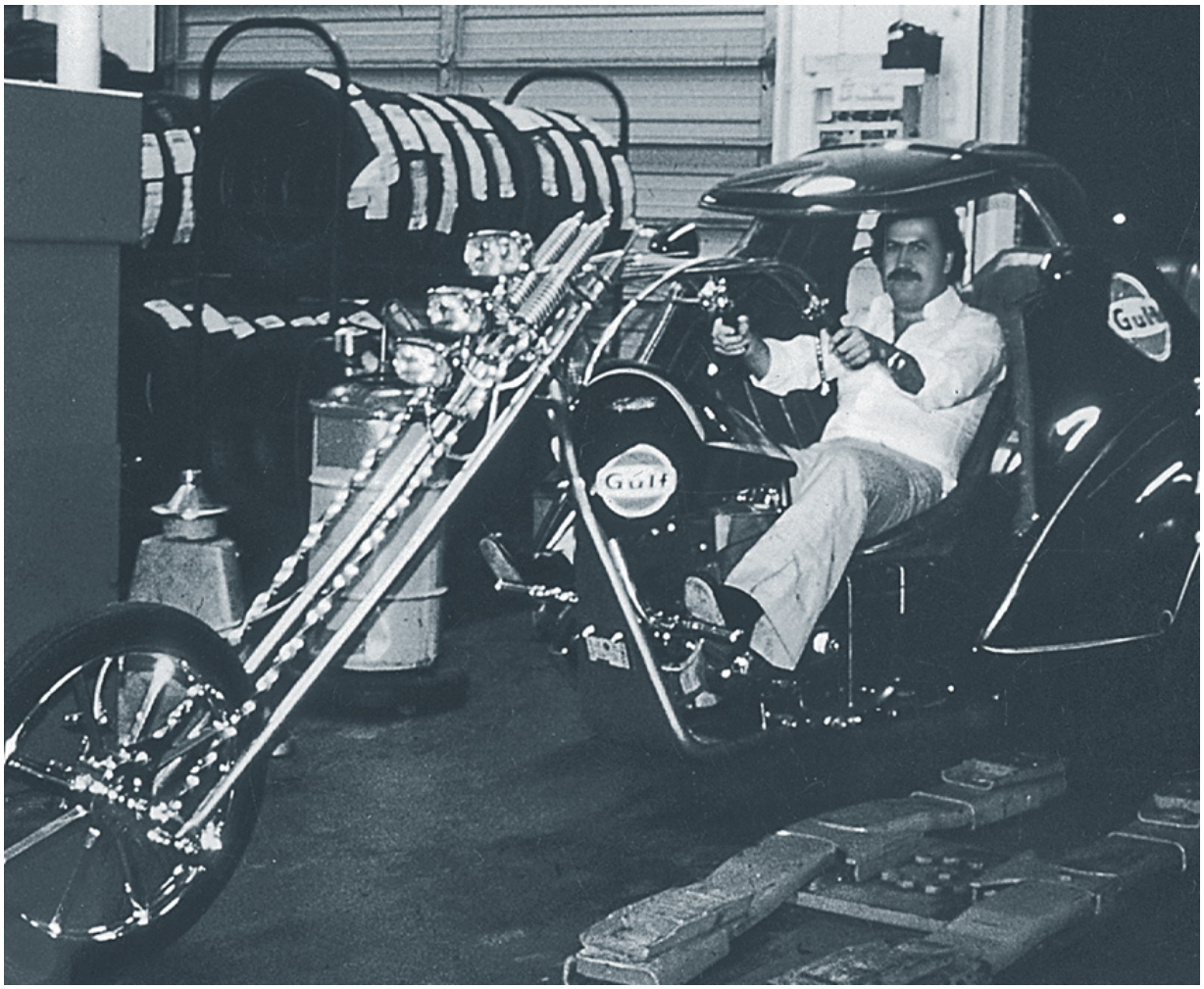
Gulf
Gulf

Ojciec z Gustavem Gavirią zrobili sobie te zdjęcia podczas podróży do Las Vegas.

Podczas błyskawicznej kampanii w 1982 roku ojciec został wybrany na zastępczego deputowanego do Izby Reprezentantów.

Ojciec spędził w Kongresie ponad rok. Dopiero oskarżenia o handel narkotykami zmusiły go do wycofania się z polityki.

Ruch polityczny Alberta Santofimio przyjął ojca, gdy Luis Carlos Galán odsunął go od partii Nowy Liberalizm.

W ferworze kampanii wyborczej ojciec stworzył osiedle Medellín sin Tugurios. Chodziło o wybudowanie trzech tysięcy mieszkań dla ubogich rodzin. By zebrać środki na ten cel, zorganizował korridę na arenie La Macarena.

LA CIUDADANIA DE LA ESTRELLA
AGRADECE AL SR. PABLO ESCOBAR G.
POR PARTICIPARNOS DE SU
PROGRAMA N°23 DE CIVISMO EN MARCHA

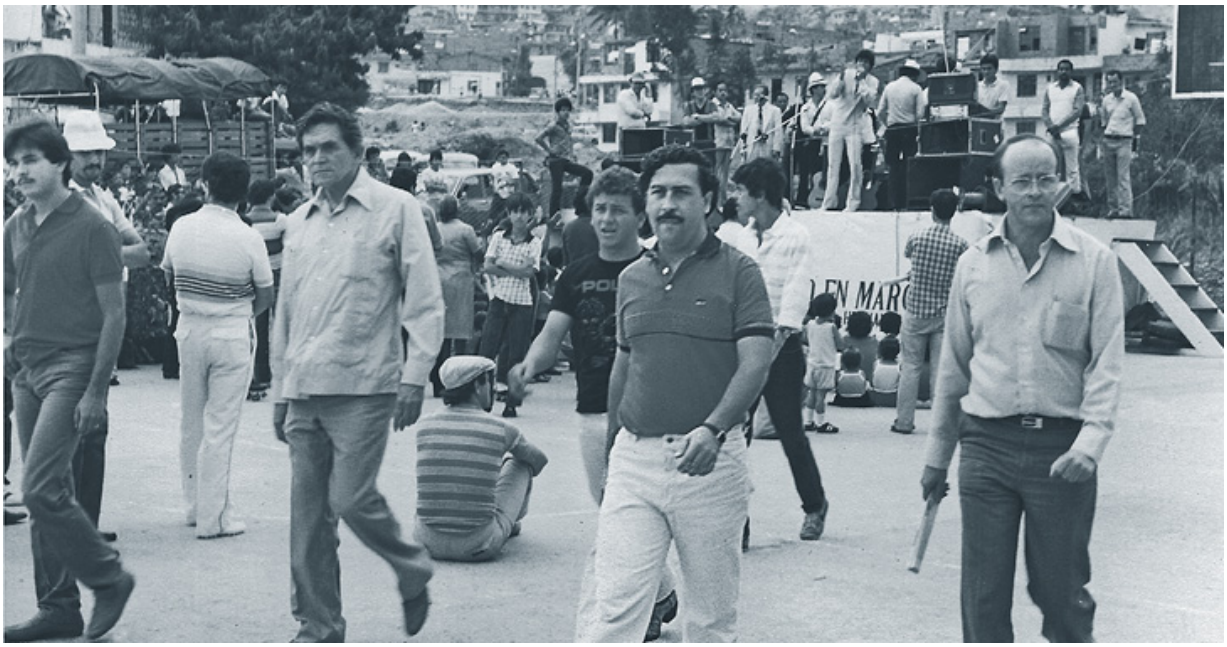

W 1982 roku ojciec na poważnie zaangażował się w politykę. Sądził, że będąc w Kongresie, zdoła wprowadzić wielkie zmiany. Okazało się to jego największym błędem.

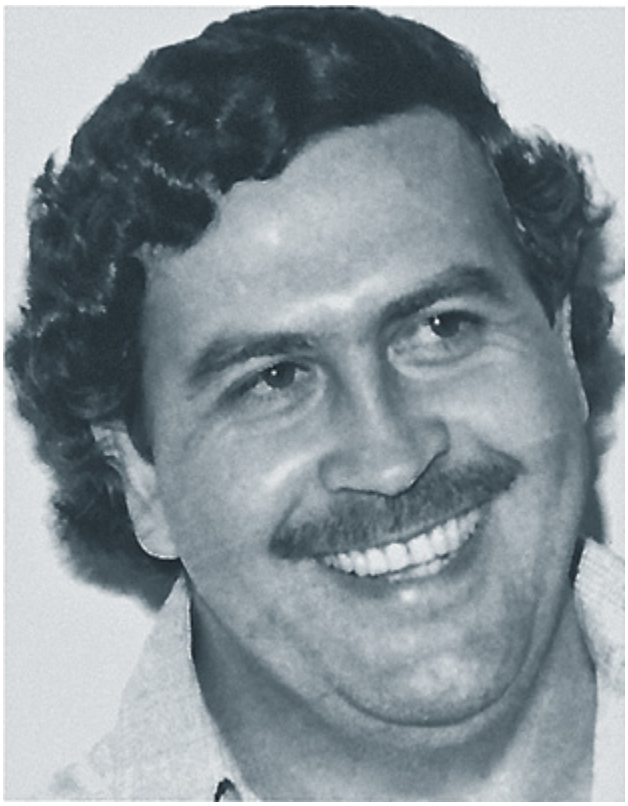

Prezydent Betancur poznał mamę podczas uroczystości dobroczynnej w Bogocie. Przez dłuższą chwilę rozmawiali w cztery oczy.

Moja siostra Manuela urodziła się w maju 1984 roku. Ukrywaliśmy się w Panamie, bo kilka dni wcześniej doszło do zabójstwa ministra Rodriga Lary Bonilli.

Ojciec utrzymywał bliskie kontakty z grupą M-19. W 1986 roku jeden z liderów tego ugrupowania podarował mu szpadę wyzwoliciela Simóna Bolivara. Była ona w naszym posiadaniu do 1991 roku, kiedy ojciec ją zwrócił. Przed oddaniem szpady zrobiłem sobie z nią zdjęcie.

Choć w kwietniu 1985 roku ojciec miał już zatargi z prawem, American Express wydał mu kartę kredytową ważną do 1987 roku.

Bomba podłożona w 1988 roku w budynku Mónaco, gdzie mieszkaliśmy, rozpętała wojnę między kartelami z Cali i Medellín. Cudem uratowaliśmy się z mamą i Manuelą przed śmiercią.

Pokój, w którym spaliśmy z mamą, gdy o świcie 13 stycznia 1988 roku wybuchł samochód pułapka. Przeżyliśmy dramatyczne chwile, spadł na nas sufit.

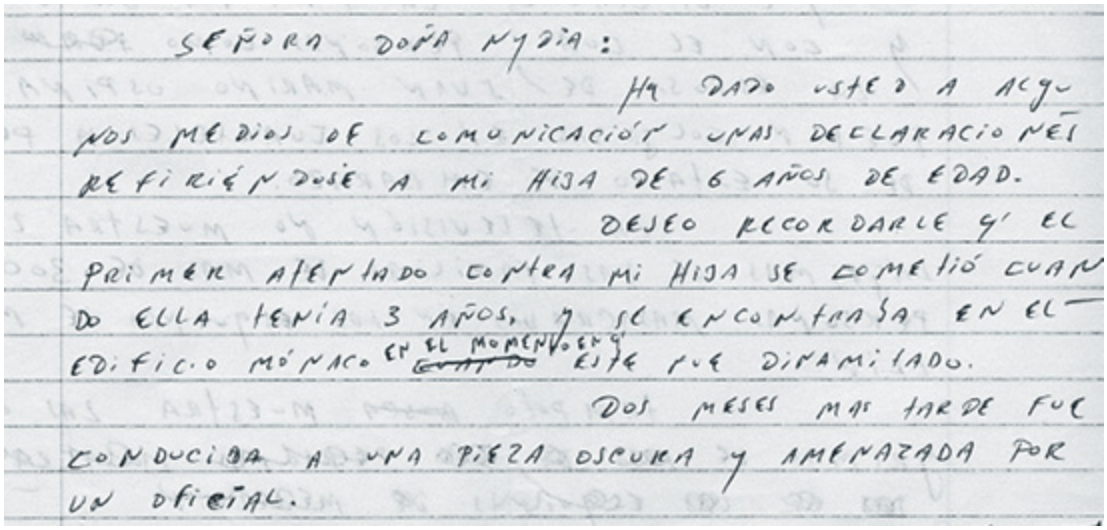

SEÑORA DOÑA MYDIA:

HA DADO USTED A ACTU
NOS MEDIOS DE COMUNICACIÓN UNAS DECLARACIONES
REFIRIÉNDOSE A MI HIJA DE 6 AÑOS DE EDAD.

DESEO RECORDARLE Q' EL
PRIMER ATENTADO CONTRA MI HIJA SE COMETIÓ CUAN
DO ELLA TENÍA 3 AÑOS, Y SE ENCONTRABA EN EL
EDIFICIO MÓNACO EN EL MOMENTO EN Q' ESTE FUE DINAMITADO.

DOS MESES MAS TARDE FUE
CONDUCIDA A UNA PIEZA OSCURA Y AMENAZADA POR
UN OFICIAL.

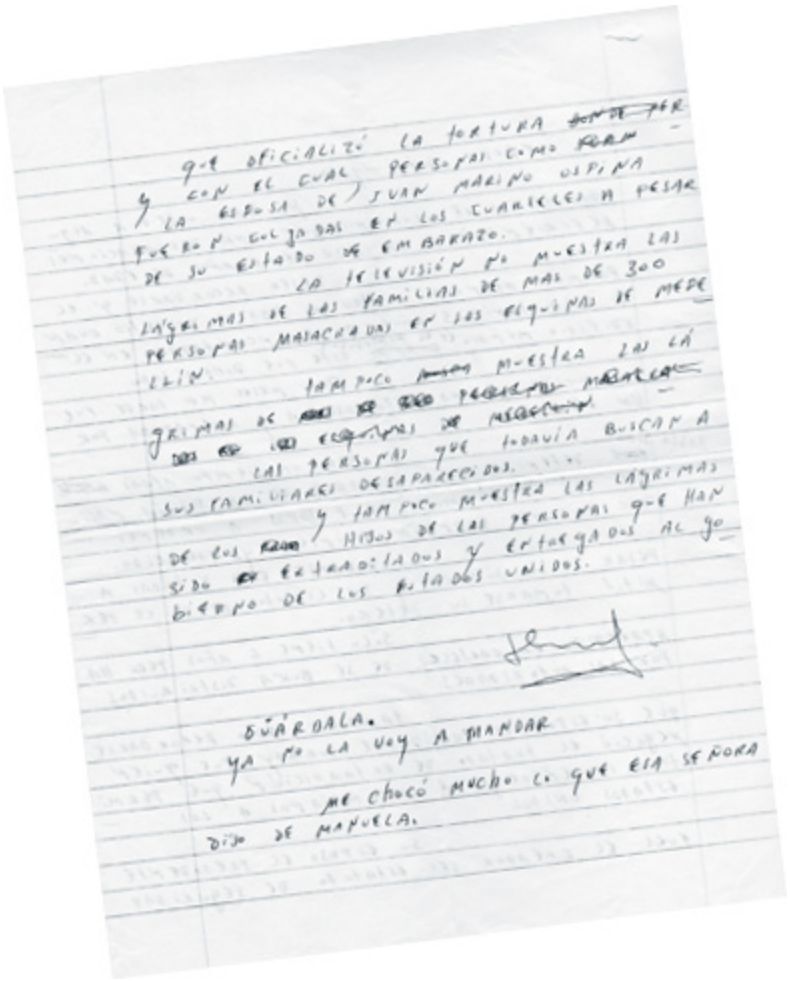

Po śmierci dziennikarki Diany Turbay jej matka Nydia Quintero wydała kilka oświadczeń, w których wspomniała o mojej siostrze Manueli. Tata w odpowiedzi napisał surowy list, którego jednak w końcu nie wysłał.

7 DE JULIO DE 1.991

GUERRI DO HIJO: ARRERA:

TE ENVÍO UN SALUDO MUY ESPECIAL Y CARIÑOSO.

TE CUENTO QUE YO ESTOY MUY BIEN Y MUY TRANQUILO.

TODAS LAS COSAS ESTÁN MARCHANDO DE ACUERDO A LO QUE SE HABÍA PENSADO.

NO TE IMAGINAS LA CANTIDAD DE MENSAJES DE RESPALDO QUE ME HAN LLEGADO. SON CENTENARES Y DE TODAS PARTES DEL MUNDO.

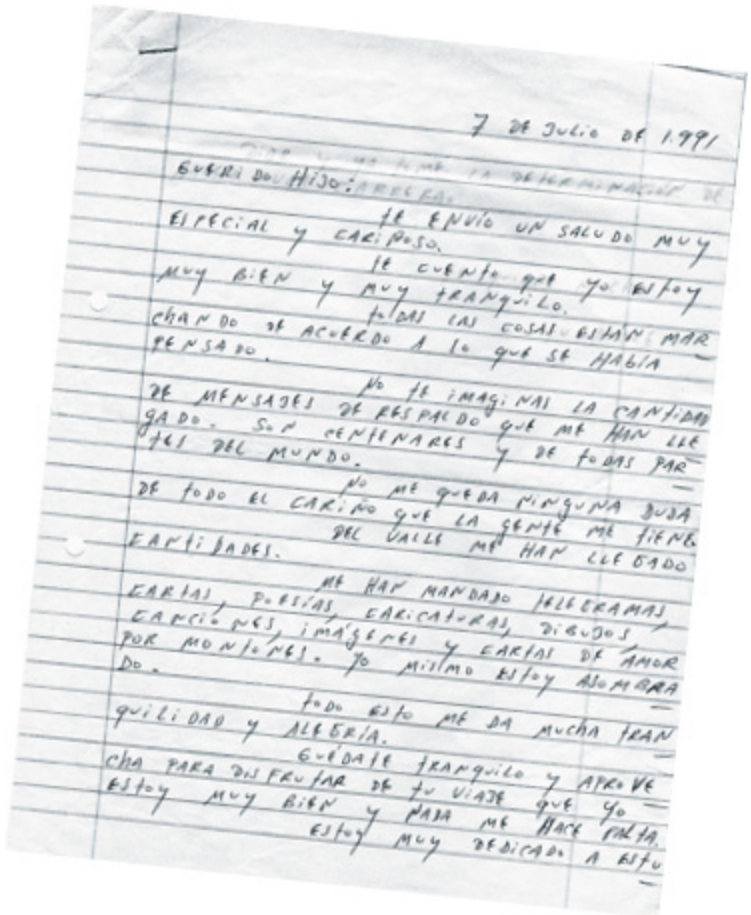
7 DE JULIO DE 1.991

GUERRI DO HIJO: ARRERA:

TE ENVÍO UN SALUDO MUY ESPECIAL Y CARIÑOSO.

TE CUENTO QUE YO ESTOY MUY BIEN Y MUY TRANQUILO.

TODAS LAS COSAS ESTÁN MARCHANDO DE ACUERDO A LO QUE SE HABÍA PENSADO.

NO TE IMAGINAS LA CANTIDAD DE MENSAJES DE RESPALDO QUE ME HAN LLEGADO. SON CENTENARES Y DE TODAS PARTES DEL MUNDO.

NO ME QUEDA NINGUNA DUDA DE TODO EL CARIÑO QUE LA GENTE ME TIENE. DEL VALLE ME HAN LLEGADO CARTAS, POESÍAS, CARICATURAS, DIBUJOS, CANCIONES, IMÁGENES Y CARTAS DE AMOR POR MONTONES. YO MISMO ESTOY ASOMBRADO.

TODO ESTO ME DA MUCHA TRANQUILIDAD Y ALEGRÍA.

GUÉDATE TRANQUILO Y APROVECHA PARA DISFRUTAR DE TU VIAJE QUE YO ESTOY MUY BIEN Y PARA ME HACE FALTA. ESTOY MUY DEDICADO A ESTO

Pierwszy list napisany do mnie przez ojca z La Catedral. Cieszyłem się, bo często otrzymywałem od niego korespondencję.

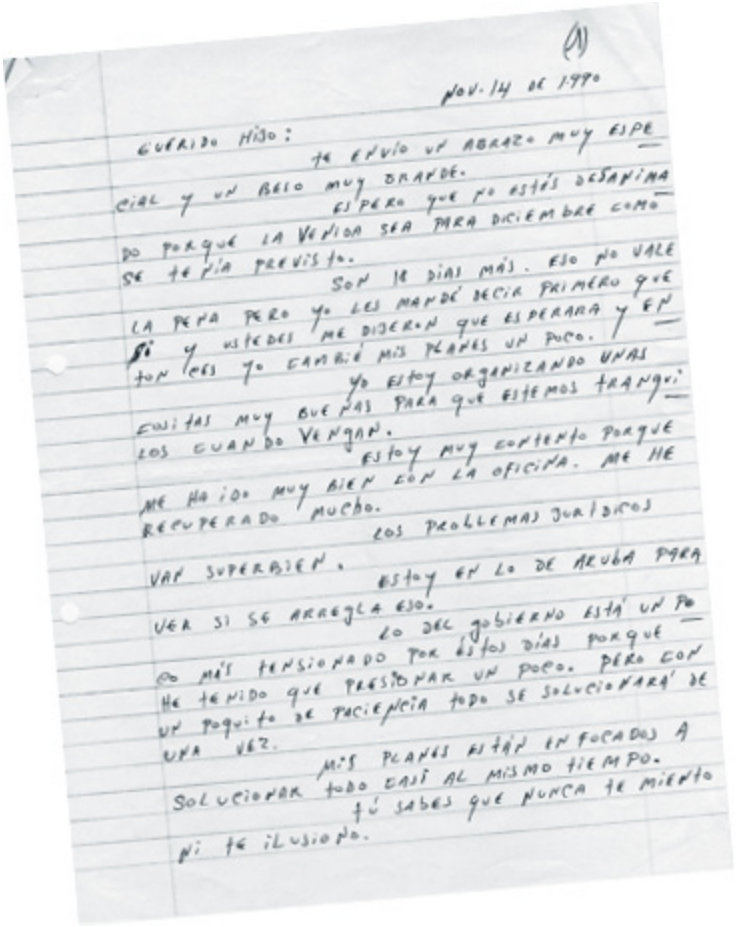

(1)

NOV. 14 DE 1990

QUERIDO HIJO:

TE ENVÍO UN ABRAZO MUY ESPE-
CIAL Y UN BESO MUY GRANDE.
ESPERO QUE NO ESTÉS DESANIMA-
DO PORQUE LA VENIDA SEA PARA DICIEMBRE COMO
SE TENÍA PREVISTO.
LA PENA PERO YO LES MANDÉ DECIR PRIMERO QUE
SON 18 DÍAS MÁS. ESO NO VALE
TANTO Y USTEDES ME DIJERON QUE ESPERARA Y EN
CAMBIO MIS PLANES UN POCO.
CUANTAS MUY BUENAS PARA QUE ESTEMOS TRANQUI-
YO ESTOY ORGANIZANDO UNAS
LOS CUANDO VENGAN.
ESTOY MUY CONTENTO PORQUE
ME HA IDO MUY BIEN CON LA OFICINA. ME HE
RECUPERADO MUCHO.
LOS PROBLEMAS JURÍDICOS
VAN SUPERBIEN.
VER SI SE ARREGLA ESO.
ESTOY EN LO DE ARUBA PARA
LO DEL GOBIERNO ESTÁ UN PO-
CO MÁS TENSIONADO POR ESTOS DÍAS PORQUE
HE TENIDO QUE PRESIONAR UN POCO. PERO CON
UN POQUITO DE PACIENCIA TODO SE SOLUCIONARÁ DE
UNA VEZ.
SOLUCIONAR TODO CASI AL MISMO TIEMPO.
MIS PLANES ESTÁN ENFOCADOS A
TÚ SABES QUE NUNCA TE MIENTO
NI TE ILUSIONO.

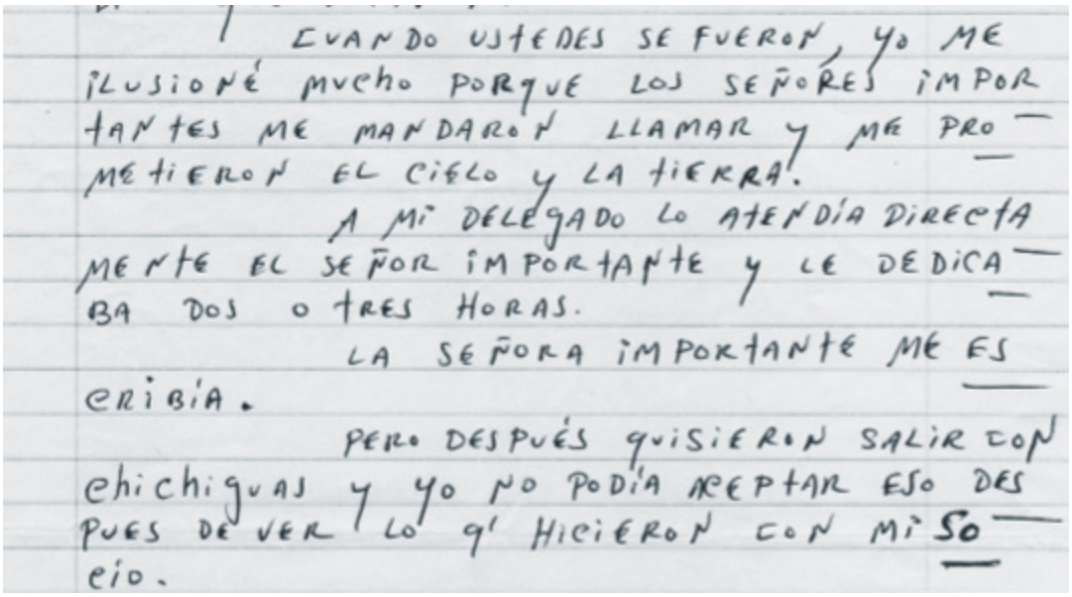

CUANDO USTEDES SE FUERON, yo ME ILUSIONÉ MUCHO PORQUE LOS SEÑORES IMPORTANTES ME MANDARON LLAMAR y ME PROMETIERON EL CIELO y LA TIERRA.

A MI DELEGADO LO ATENDÍA DIRECTAMENTE EL SEÑOR IMPORTANTE y LE DEDICABA DOS o TRES HORAS.

LA SEÑORA IMPORTANTE ME ESCRIBÍA.

PERO DESPUÉS QUISIERON SALIR CON chichiguas y yo NO PODÍA ACEPTAR ESO DESPUES DE VER LO Q' HICIERON CON MI SOCIO.

Ten list dostałem we Włoszech w 1990 roku, kiedy ojciec negocjował dobrowolne poddanie się karze. Jego ton nie był zbyt wesoły.

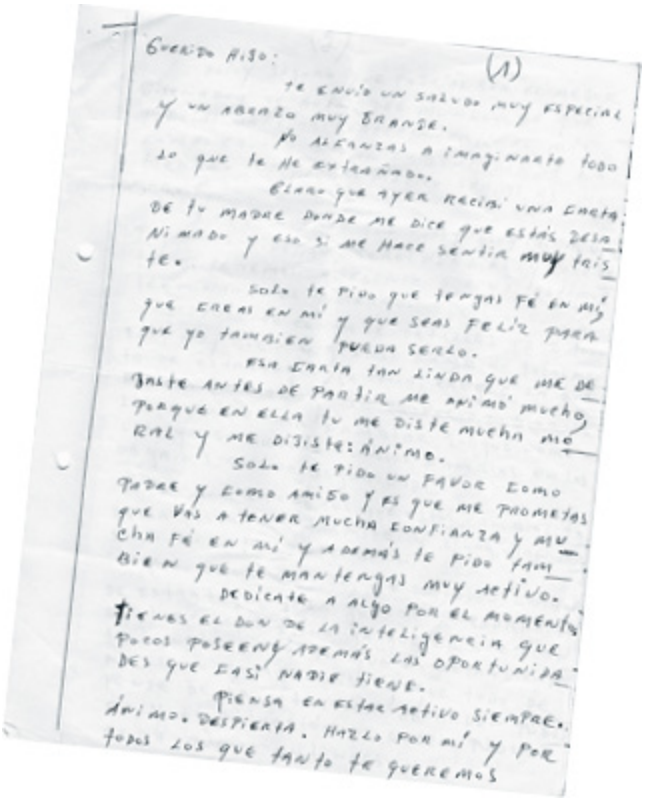

QUERIDO HIJO: (1)

TE ENVÍO UN SALUDO MUY ESPECIAL Y UN ABRAZO MUY BRANSE.

NO ALCANZAS A IMAGINARTE TODO LO QUE TE HE EXTRAÑADO.

ELARO QUE AYER RECIBÍ UNA CARTA DE TU MADRE DONDE ME DICE QUE ESTÁS ZELOSO Y ESO SI ME HACE SENTIR MUY TRISTE.

SOLO TE PIDO QUE TENGAS FÉ EN MÍ, QUE CREAS EN MÍ Y QUE SEAS FELIZ PARA QUE YO TAMBIEN PUEDA SERLO.

ESA CARTA TAN LINDA QUE ME DEJASTE ANTES DE PARTIR ME ANIMÓ MUCHO, PORQUE EN ELLA TU ME DISTE MUCHO ANIMO RAL Y ME DIJISTE: ÁNIMO.

SOLO TE PIDO UN FAVOR COMO PADRE Y COMO AMIGO Y ES QUE ME PROMETAS QUE VAS A TENER MUCHA CONFIANZA Y MUCHA FÉ EN MÍ Y ADEMÁS TE PIDO TAMBIEN QUE TE MANTENGAS MUY ACTIVO.

DEDÍCATE A ALGO POR EL MOMENTO TIENES EL DON DE LA INTELIGENCIA QUE POCOS POSEEN Y ADEMÁS LAS OPORTUNIDADES QUE CASI NADIE TIENE.

PIENSA EN ESTAR ACTIVO SIEMPRE. ÁNIMO. DESPIERTA. HAZLO POR MÍ Y POR TODOS LOS QUE TANTO TE QUEREMOS

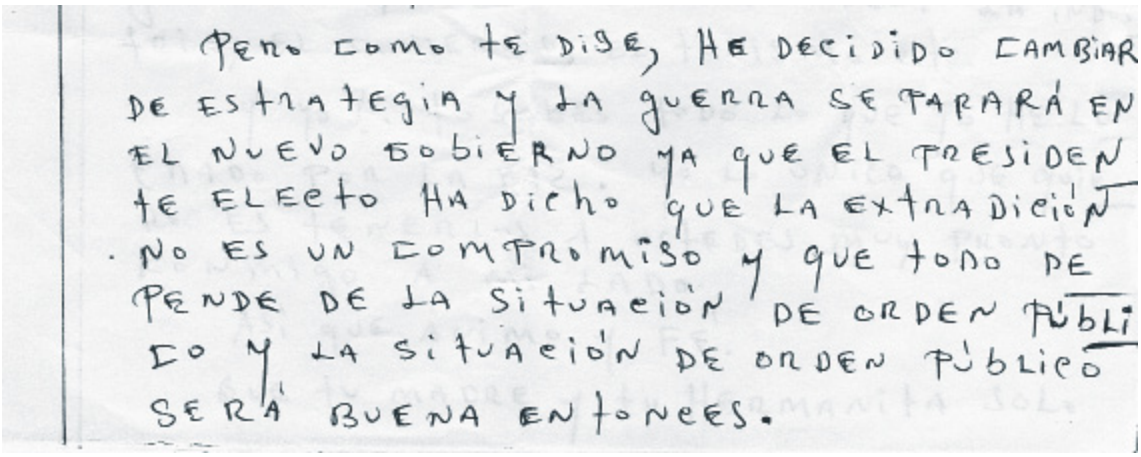

Pero como te dije, he decidido cambiar de estrategia y la guerra se parará en el nuevo gobierno ya que el presidente electo ha dicho que la extradición no es un compromiso y que todo depende de la situación de orden público y la situación de orden público será buena entonces.

List zapowiadający koniec ekstradycji. Tata był przekonany, że zapis o niej zostanie usunięty z nowej konstytucji z 1991 roku.

Zdjęcie zrobione w Nápoles kilka dni przed ekstradycją Carlosa Lehdera. Dziennikarz Germán Castro przyszedł porozmawiać z tatą.

Ksiądz Rafael García Herreros odegrał kluczową rolę w procesie dobrowolnego poddania się ojca wymiarowi sprawiedliwości.

Nasze życie rodzinne rozkwitło podczas pobytu ojca w La Catedral.

Spędzaliśmy z nim niemal wszystkie weekendy.

„Cela” ojca w więzieniu La Catedral.

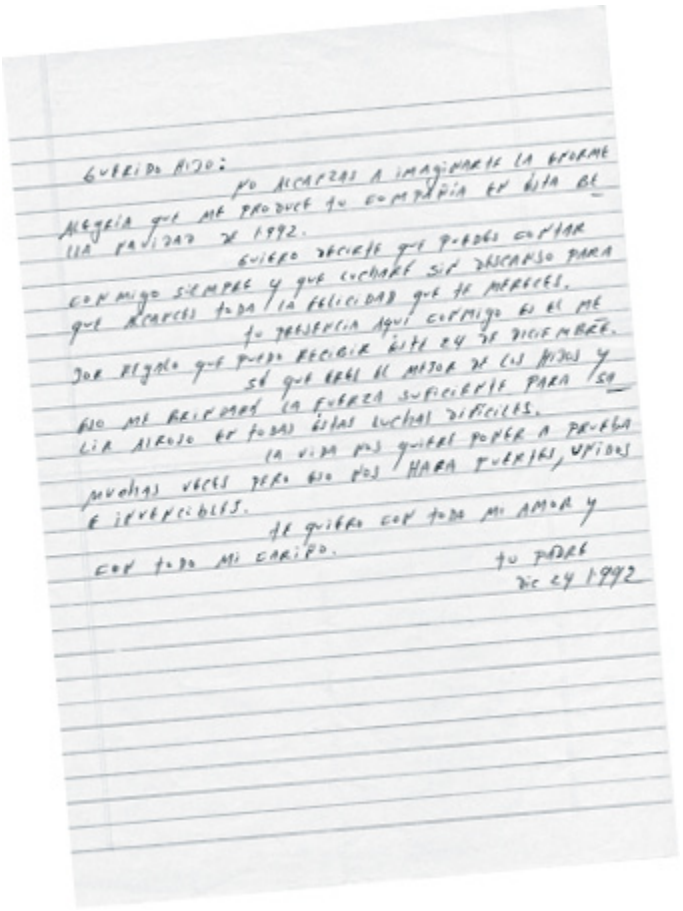

Querido hijo:

No alcanzas a imaginarte la enorme alegría que me produce tu compañía en esta Navidad de 1992.

Quiero decirte que puedes contar conmigo siempre y que lucharé sin descanso para que merezcas toda la felicidad que te mereces.

Tu presencia aquí conmigo es el mejor regalo que puedo recibir éste 24 de diciembre.

Sé que eres el mejor de los hijos y eso me brindará la fuerza suficiente para salir airoso en todas estas luchas difíciles.

La vida nos querrá poner a prueba muchas veces pero eso nos hará fuertes, unidos e invencibles.

Te quiero con todo mi amor y con todo mi cariño.

Tu padre

Dic 24 1992

Tu presencia aquí conmigo es el mejor regalo que puedo recibir éste 24 de diciembre.

Sé que eres el mejor de los hijos y eso me brindará la fuerza suficiente para salir airoso en todas estas luchas difíciles.

La vida nos querrá poner a prueba muchas veces pero eso nos hará fuertes, unidos e invencibles.

Te quiero con todo mi amor y con todo mi cariño.

Tu padre

Dic 24 1992

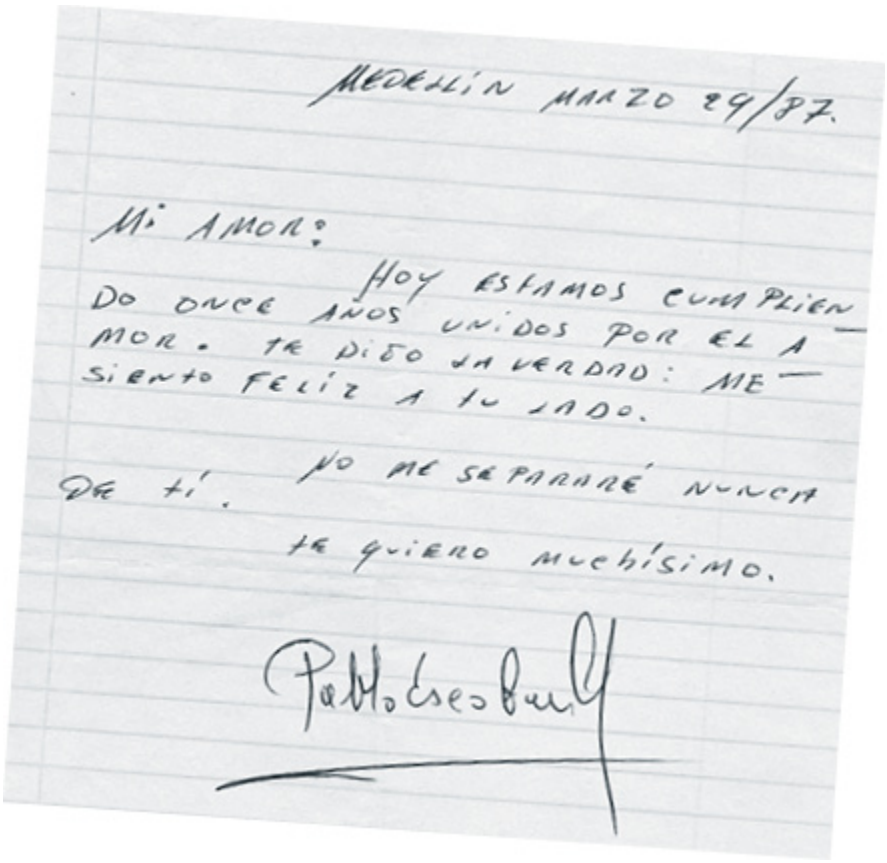

Medellín marzo 29/87.

Mi amor:

Hoy estamos cumpliendo once años unidos por el amor. Te digo la verdad: me siento feliz a tu lado.

No me separaré nunca de ti.

Te quiero muchísimo.

Pablo Escobar

Listy, pisane nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach, wzmacniały nasze więzi rodzinne.

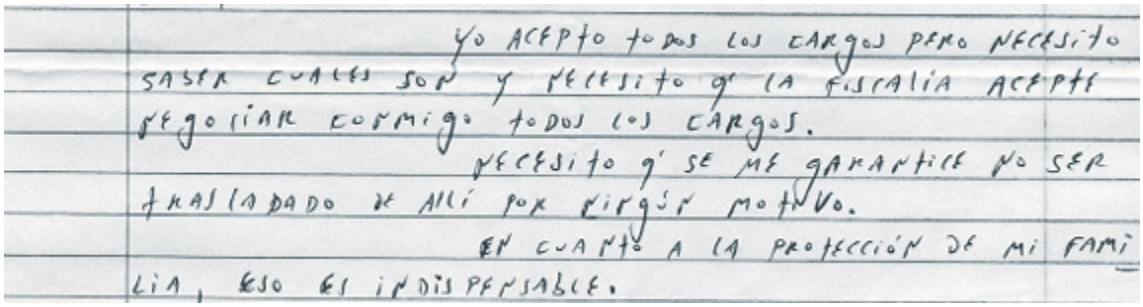

Yo acepto todos los cargos pero necesito saber cuales son y necesito q' la Fiscalia acepte negociar conmigo todos los cargos.

Necesito q' se me garantice no ser trasladado de allí por ningún motivo.

En cuanto a la protección de mi familia, eso es indispensable.

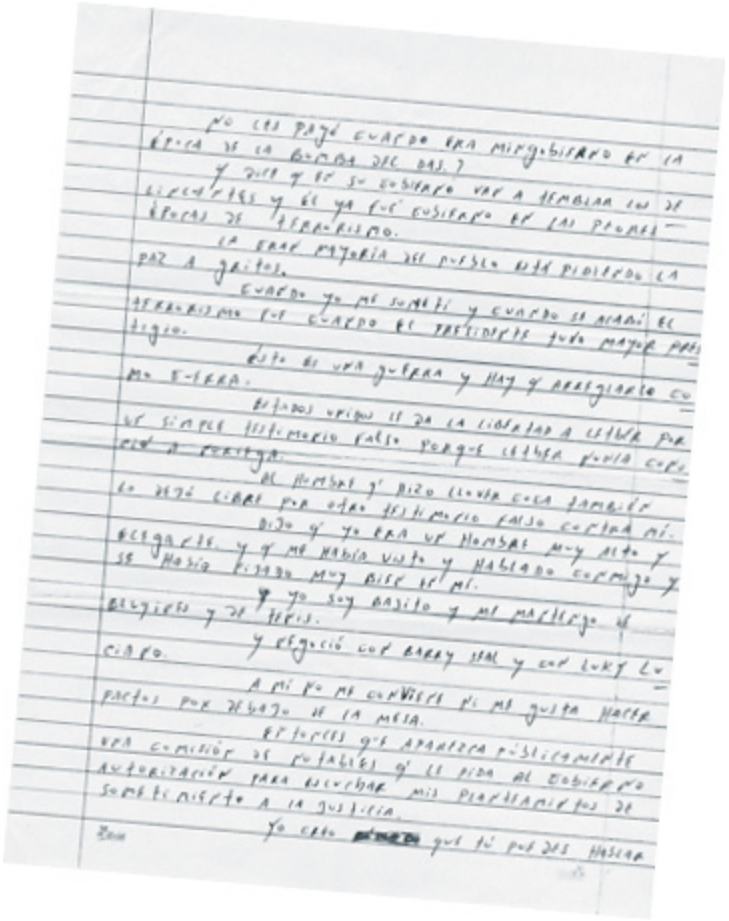

Po ucieczce z La Catedral ojciec ponownie podjął pertraktacje z rządem, by jeszcze raz oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Nigdy jednak nie udało się ich doprowadzić do końca.

Spotkanie z dziećmi Luisa Carlosa Galána i Rodriga Lary było historyczną chwilą. Przeprosiłem ich za krzywdy wyrządzone przez mego ojca, a oni uznali mnie za ofiarę przemocy panującej w Kolumbii.

W ramach Międzynarodowego Dnia Pokoju w 2010 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych pokazała film dokumentalny Grzechy mojego ojca.

Escobar Henao to nazwa założonej przeze mnie małej firmy odzieżowej. Inspiracją przy opracowywaniu nadruków stały się dla mnie nigdy niepublikowane dokumenty ojca. Bardzo zależy mi na tym, by ich przesłanie było jednoznacznie pokojowe.

W związku z projekcją Grzechów mojego ojca odwiedziłem kilkanaście krajów. Film zdobył siedem nagród.

Pobyt z mamą w więzieniu był bolesny. Zdarzały się jednak chwile, jak na przykład jej urodziny, gdy znajdowaliśmy w sobie dość siły, by zorganizować małą uroczystość.